



Prószyński i S-ka

JUDITH LENNOX

SPLĄTANA
NIĆ

Lennox Judith

Splątana nić

Gdy Serafina Guardi wraz z ojcem, bogatym marsylskim kupcem handlującym jedwabiem, płynie do Włoch, gdzie mają się odbyć jej zaręczyny z potomkiem starożytnego horeckiego rodu, na statek napadają tureccy korsarze. Dziesięcioletnia dziewczynka, sprzedana jako niewolnica, trafia do nieznanego jej, brutalnego świata. Cudem odzyskawszy wolność, pozbawiona domu i rodziny, rozpoczyna długą walkę, by odzyskać utracone dziedzictwo - rodzinne przedsiębiorstwo.

Część pierwsza

1586-1588

NOWA ROLA

Chrześcijanie byli potrzebni na galerach, by służyć w nowej roli. Zanim jednak zostali posadzeni przy wiosłach, brutalnie ściągano im z grzbietów odzież.

„DWUSTU SZEŚĆDZIESIĘCIU SZEŚCIU CHRZEŚCIJAN OSWOBODZONYCH Z TURECKIEJ NIEWOLI" RICHARD HAKLUYT

Kiedy zamykam oczy, widzę błękit. Lazurowe przestrzenie, rozległe równiny o barwie lapis lazuli. Niebieskie morze, połyskujące srebrem i nieskończony błękit nieba.

W Algierze jasne ściany domów odbijały się w morzu i musiałam zamknąć oczy, żeby uniknąć widoku intensywnego błękitu i bieli. Byłam wtedy chora, bolały mnie oczy. Znaki na żaglach galer miały szkarłatną barwę: krwistoczerwone półksiężycy na tle nieba marszczyły się, muskane powiewami morskiej bryzy.

Poniżej, w porcie, nie widzę żadnych galer. Stoją tam jedynie barki i karaki, szalupy i galeony. Jeszcze więcej błękitu; kiedy przymknę lekko oczy, widzę „Zimorodka” płynącego powoli między kołyszącymi się łodziami. Na masztach powiewają proporce w kolorze akwamaryny, a na żaglach wyszyte są moje insygnia. Serce bije mi trochę szybciej, wstrzymuję oddech, porażona tak pięknym widokiem. Czy kiedykolwiek mówiłam ci o tym, Thomasie? Czy kiedykolwiek powiedziałam ci, abyś zatrzymał się i posłuchał owego westchnienia, wyrażającego przyjemność i trudny do pojęcia ból?

Nie zdarzyło się, abyś zatrzymał się i posłuchał. Zawsze byłeś w biegu, nieprawdaż? Poprawiałeś liny, mierzyłeś odległości, wpatrywałeś się w gwiazdy. Zawsze w pośpiechu, wiecznie zniecierpliwiony. Jakbyś już wtedy wiedział.

A czy ja mogłam coś wiedzieć tamtego dnia, gdy opuszczałam Marsylię? Ależ skąd, miałam dziesięć lat i byłam pewna swego losu. Zabrałam ze sobą błękitną suknię, o barwie oczu twoich i Francesca. Francesco, chodź tu do mnie, niechaj odwróć wzrok od portu i przytulę cię mocno.

Nie chcę widzieć już niczego więcej. Pragnę zachować wszystko w pamięci. Ową błękitną suknię uszyła Marthe, gospodyni Guardich, a Serafina własnoręcznie ozdobiła ją haftem.

Marthe z powodu zbyt słabego wzroku nie mogła się podjąć tak finezyjnej pracy, a Serafina nie miała matki, która zajęłaby się zaręczynową suknią córki. Ale lubiła haftować, podobnie jak lubiła jeździć z ojcem albo z monsieur Jacques'em, albo z Angelem do składów, w których przechowywano jedwabie. Ojciec pokazywał jej bele błyszczących tkanin o różnych barwach i mówił: „Wybierz sobie kolor, który ci się podoba, maleńka. Pewnego dnia to wszystko stanie się twoje”.

Z monsieur Jacques'em było nieco inaczej. Zniecierpliwiony, strzelał małymi brązowymi oczami po całym pomieszczeniu i ocierał pulchną śniadą dłonią pot z czoła. „Te powinny być już dawno wysłane!, wołał z rozpaczą. Wszystko przez te przekłete wojny. Z którego mam dla pani skroić suknię, mademoiselle?”.

Jedynie Angelo dotykał migoczących jedwabów tak jak Serafina - z szacunkiem, z czcią - a gładkie, wzorzyste materiały przesuwają mu się powoli między palcami niczym piasek: brokaty i adamaszki o barwie szmaragdu, ochry, złota i szkarłatu, ozdobione wzorami. I cierpliwie wyjaśniał, trzymając w rękach zwoje tkanin: „Jedwabne nici przywieziono do Francji z Persji, Serafino. Z Persji do Aleppo, stamtąd do Aleksandretty, wreszcie do Florencji, gdzie w warsztatach należących do rodu Corsinich przerobiono je na materiał. Następnie gotowy jedwab wysłano do Livorno, skąd statkami został przetransportowany do Marsylii. A teraz my, rodzina Guardich, zawieziemy go do wielkich miast na północy”.

Dziewczynce najbardziej podobało się to, co mówił Angelo. Był bystry i przystojny, znał się na handlu jedwabiem tak dobrze jak nikt, nawet lepiej od Franca Guardiego, ojca Serafiny. Angelo właściwie nie należał do rodziny. Mieszkał z nimi, jeszcze zanim urodziła się Serafina, ale był synem z nieprawego łoża starszego brata jej matki. Nazywał się Angelo Desmoines. Kiedy Serafina wyjechała z Marsylii, miał dziewiętnaście lat. Mając sześć lat, dziewczynka zamierzała wyjść za niego za mąż. Gdy skończyła dziewięć lat, zmądrzała na tyle, by zmienić zdanie.

Wybrała błękitny jedwab, bo był w kolorze morza i nieba. Jeden kawałek dla siebie i drugi, mniejszy, dla Rosalie, swej lalki. Rosalie miała szmaciany korpus i drewnianą główkę. Później, siedząc na balkonie z widokiem na port, Serafina haftowała srebrne gwiazdki i złote księżycy na staniku zaręczynowej sukni. Księżycy i gwiazdki, ale miniaturowe, połyskiwały także na cudownym, błękitnym kawałku jedwabiu przeznaczonym na sukienkę dla Rosalie.

Dom rodziny Guardich był wysoki, miał trzy piętra i mieścił się prawie w centrum Marsylii, niedaleko traktu do La Cane-bière. Wybudował go dziadek Serafiny, który przeniósł się z Florencji do Francji. Dostrzegł w Marsylii to, czym miała się wkrótce stać: bramą wiodącą na północ, którą mogły przybywać, przy jego udziale, wspaniałe skarby Lewantu. Pozostawiając innym przyprawy i rudy metali, postanowił się specjalizować w handlu tkaninami. Wełny, płótna i sukna sprowadzał na południe z północy, cienkie jedwabie, szantung i bawełnę wysyłał z południa na północ. Owe wyprawy miały się niczym przeciwne prądy w rzece, nie walcząc ze sobą, lecz wspierając się nawzajem. Juczne konie Guardich przemierzały doliny Rodanu, ich statki pływały po Zatoce Lwiej i Morzu Liguryjskim. Choć wojny domowe we Francji przysparzały sukiennikom trudności, to zdołali jednak przetrwać. Z racji położenia geograficznego Prowansja była oddzielona od reszty kraju i Serafina nie słyszała nic więcej poza narzekaniem monsieur Jacques'a i nie widziała nikogo poza kalekami żebrakami na bocznych ulicach miasta.

Oprócz monsieur Jacques'a, plenipotentą Guardich, był jeszcze monsieur de Coniques, notariusz, który sporządzał akty prawne, zajmował się odszkodowaniami za stracone statki i był ostatecznym arbitrem w kwestiach spornych dotyczących jakości i cen towarów. Franco Guardi jako jedyny zwracał się do swego doskonałego pracownika per „Jehan”. Nikt inny nie śmiał traktować prawnika równie poufale, wywodził się on bowiem z rodu niegdyś znakomitego, choć pozostało mu jedynie stare nazwisko i dyplom nauk prawnych z Sorbony. Z tego też powodu Franco nie zwracał uwagi na hulanki monsieur de Coniques'a. Czuł wielki szacunek dla starego nazwiska, starożytnego rodu i starodawnych pieniędzy i rozumiał, że człowiek, który utracił to wszystko, może od czasu do czasu szukać po-

ciechy w kielichu wina. Jehan de Coniques był chudy, śniady i bystry, a Serafina uważała go za starca. Przyglądała mu się -dyskretnie, jak sądziła - zastanawiając się, jakie to uczucie -stracić wszystko prócz nazwiska i wykształcenia.

Marthe, gospodyni Guardich, była kiedyś mamką Serafiny. Wykarmiła także jej starszych braci, ale chłopcy okazali się słabowici i umarli, zanim odstawiła ich od piersi. Marguerite Guardi zmarła na ospę, kiedy Serafina miała sześć miesięcy, ale dziewczynka, karmiona białą, obfitą piersią Marthe, nawet nie dostała gorączki i wyszła jej tylko jedna krosta na brzuchu. Serafina matki oczywiście nie pamiętała; po ospie pozostała jej wyłącznie blizna. Czarnowłosa i zrędliva Marthe była kobietą słusznego wzrostu. Zanim wzrok jej się osłabił, zdążyła jeszcze nauczyć swą wychowankę haftu. Jehan de Coniques zapoznał dziewczynkę z łaciną, Angelo zaś pokazał, jak odróżniać dobry jedwab od gorszego. Na ulicach i w porcie poznała francuski, a w domu rodzinnym - włoski. Nie wiedziała, kto nauczył ją liczyć; sądziła, że wyssała tę umiejętność z mlekiem mamki - zachłannie i łapczywie. Rankiem owego dnia, gdy dowiedziała się o swych zaręczynach, Serafina bawiła się z córką piekarza, Lisette.

Lisette była dwa lata starsza od Serafiny, miała ciemne loki i niewielki, lecz widoczny już biust. Serafina w skrytości ducha zazdrościła jej zarówno loków, jak i piersi.

Przygotowywały Rosalie łóżeczko w jednym z kufrów w sypialni Serafiny, wyrzuciwszy pończochy, halki, koszule i bieliznę na podłogę. Lalka spoczywała w przepychu, pod drewnianą główką miała poduszkę wykończoną koronką, przykryta była aż po brodę jedwabną kołderką.

Lisette, klęcząc na podłodze, opowiadała Serafinie o poranku w piekarni.

- Potknął się i pękła torba z mąką. Był cały biały! Wyglądał - tu dziewczynka zniżyła głos tak, żeby Marthe, drzemiąca na krześle w pobliżu, nie mogła jej usłyszeć - wyglądał jak madame Lamotte.

Serafina zachichotała. Madame Lamotte była bardzo stara, nosiła pomarańczową perukę i używała zbyt wiele pudru.

Lisette także zachichotała, wykrzywiając twarz. Śpiąca zamrugła powiekami i poruszyła się na krześle. Dziewczynki,

zatykając sobie usta rękami, ukryły twarze w spódnicach i trzęsły się ze śmiechu. Na korytarzu rozległ się odgłos kroków i zaraz otworzyły się drzwi. Marthe otworzyła oczy, a Serafina otarła łzy z policzków i podniosła wzrok.

- Papa!

I już była w ramionach ojca, małymi rączkami chwyciła za zniszczone w podróży ubranie i przyglądała się uważnie jego kochanej, znajomej twarzy, szukając jakichś zmian po czteromiesięcznej wyprawie.

Franco był postawnym mężczyzną i - jak na Włocha - raczej jasnowłosym. Serafina nie przypominała go wyglądem: była mała i ciemna, podobnie jak jej pochodząca z Prowansji matka.

Marthe, wyrwana ze snu, zdołała podnieść się z krzesła i z trudem dygnęła, wygładzając czarną taftową spódnicę na płóciennych halkach.

- Cieszę się, że widzę pana całego i zdrowego z powrotem w domu. Zmykaj teraz, dziecko.

Te ostatnie słowa skierowane były do Lisette, która posłusznie podniosła się z podłogi.

- Przygotowaliśmy łóżeczko dla Rosalie, ojcze. - Serafina wzięła go za rękę i wskazała kufer. - Zobacz, jak ma wygodnie.

- Bardzo wygodnie - odrzekł nie patrząc Franco Guardi i uśmiechnął się do córki. - Chodź tu, maleńka. Mam ci coś do zakomunikowania. I ty, Angelo, i Jehan, i Marthe - wy też musicie posłuchać.

Angelo i Jehan właśnie przyszli na piętro, by powitać swego chlebowca.

- Podczas pobytu we Florencji spotkałem się, oczywiście, z naszymi przyjaciółmi - rodziną Corsinich. Odbyłem długą rozmowę z Michelelem i dowiedziałem się, że myśli o powtórny ożenku. Wybrał już nawet przyszłą żonę. To ważna decyzja dla nas obu i miło mi powiedzieć, że zgadzamy się w tej kwestii całkowicie. Poślubisz Michèle Corsiniego, Serafino.

Z początku doznała mieszanych uczuć. Przecież za mąż wychodzą dorosłe panny i księżniczki w bajkach, a nie Serafina Guardi, która miała tutaj, w Marsylii, wszystko, czego jej trzeba. Potem ogarnął ją na chwilę strach. Ojciec mówił o niej tak, jakby była pionkiem na szachownicy, towarem w handlu wymiennym. I chciał pozbyć się jej z domu. Czemu?

Oczy ją zapiekły. Wypuściła dużą dłoń ojca ze swych drobnych palców i odwróciła się, by nie dostrzegł, o czym myślała. Pochyliwszy się, wyjęła lalkę z drewnianego kufierka i przytuliła ją mocno.

- Marthe uszyje ci nową suknię, Serafino - powiedział Franco. - Angelo zabierze cię do magazynu i będziesz mogła wybrać sobie taki jedwab, jakiego tylko zapragniesz.

- Uśmiechnął się i dotknął drewnianej, łysej główki Rosalie. Dodał przymilnym tonem: - Możesz także uszyć nową suknię dla lalki.

- Dla Rosalie - przypomniała mu Serafina. W jej głosie prawie nie słychać było drżenia. - Z tego samego jedwabiu, ojcze?

- Oczywiście, moja maleńka - rozpromienił się Franco. Dał znak Angelowi, by nalał do kielichów wina, które miało

uświetnić tę uroczystą chwilę. Serafina rozmyślała o sukni, którą sprawi Rosalie. Będzie błękitna, z księżycami i gwiazdami na staniku... Wzięła głęboki oddech i stwierdziła, że już jej się nie chce płakać.

Odkąd tylko sięgała pamięcią, wiedziała, oczywiście, jakie są jej obowiązki. Była wszak jedynaczką, jedyną spadkobierczynią rodzinnego przedsiębiorstwa. Tylko ona mogła zająć się domem, statkami, magazynami, karawanami mułów i barkami, którymi przewożono jedwab na północ.

Serafina rozejrzała się powoli po pokoju. Na twarzy Marthe malowała się дума, natomiast oblicze Jehana de Coniques'a wyrażało głębokie znudzenie. A Angelo - w jego ciemnych oczach nie dostrzegła ani nienawiści, ani oburzenia, ani złości na myśl o tym, iż jakiś obcy człowiek zabierze to, co w innych okolicznościach mogłoby przypaść jemu. W oczach kuzyna pojawił się tylko przelotny błysk, wyrażający zgodę, jak gdyby Angelo już wcześniej zmyślał i wiedział, że ów dzień musi kiedyś nadejść.

Małżeństwo z Michele Corsinim niekoniecznie oznaczało, że Serafina zamieszka z dala od Marsylii, od statków, od handlu jedwabiem, płótnem i koronkami. Spędzi może kilka lat we Florencji, ale któregoś dnia będzie musiała wrócić do domu.

Wzniesli kielichy w jej stronę. Trzech dorosłych mężczyzn piło za pomyślność dziewięcioletniego dziecka. W przyszłym roku mają się odbyć zaręczyny dziewczynki z mężczyzną w tym samym wieku co jej ojciec. Serafina poczuła wielką dumę.

Następnego dnia wybrała sobie ów błękitny jedwab.

Tydzień później, kiedy w domu skończyła się już gorączkowa krzątanina po przyjeździe Franca Guardiego, Angelo zabrał Serafinę na całe popołudnie na wieś. Czynił tak mniej więcej co miesiąc, gdy tylko miał czas i gdy pogoda sprzyjała. Wciąż było bardzo ładnie i prawie bezwietrznie; niebo nadal pozostawało nieskazitelnie błękitne. Droga wiodła wśród białych wzgórz, rozciągających za Marsylią. Serafina jechała na łagodnym mule, a Angelo na niewielkim wierzchowcu hiszpańskim - dzianecie. Dziewczynka nosiła suknię z lewentyńskiego jedwabiu i miała rękawiczki uperfumowane kosztownym pachnidłem z Indii; siedziała na siodle z hiszpańskiej skóry. Nie zwracała jednak uwagi na te luksusy, widziała tylko jadącego przed nią Angela, jego głowę wyłożoną słońcem i piórko przy kapeluszu, unoszące się w rytm uderzeń końskich kopyt. Serafina lubiła, gdy widywano ją w towarzystwie kuzyna. Już wcześniej zauważyła, jak patrzą na niego inne dziewczęta.

Zatrzymali się przy wzgórzach i Angelo pomógł jej zejść z muła. Przed nimi rozpościerał się widok na Marsylię i lazurowe fale Morza Śródziemnego. Za plecami mieli wzgórze i Les Baux, niegdyś kryjówkę rozbójników. Serafina widziała ją kiedyś, ale nigdy by tam nie poszła po raz drugi - bała się duchów nieszczęśliwych, których stracono z wysokich murów fortecy. Gdy odkryła, że możliwe jest okrucieństwo dla przyjemności, nie mogła potem spać w nocy. Angelo rozłożył swój płaszcz na trawie. Serafina usiadła, z kolanami pod brodą, przyglądając się motylom wiszącym niemal nieruchomo w rozgrzanym powietrzu. Wokół panował spokój i bezruch. Przyglądała się ukradkiem kuzynowi. Cień drzewka oliwkowego sprawiał, że jego gładka skóra wydawała się jak pocętkowana, wydobywał też zagłębienia przy ustach i nosie oraz dołek w brodzie. Chłopak miał na sobie niebieski kaftan i błękitne pończochy, które tu, pod drzewem wydawały się ciemniejsze i także pokryte plamkami. Ulubioną opowieścią dziewczynki w owym czasie była historia Aucassina i Nicolette. Aucassino wydawał się jej zawsze podobny do Angela: złocistobrązowe loki sięgające kołnierza; uśmiech, który mówił, że to właśnie z tobą i z nikim innym pragnie teraz być. Zerwała gałązkę rozmarynu i wręczyła ją Angelowi, pragnąc, by świat nigdy się nie zmienił.

Kuzyn usiadł obok, nadal kryjąc twarz w cieniu, i zapytał- Jak sądzisz, czy spodoba ci się rola żony, Serafino' Dopiero gdy zadał to pytanie, przypomniała sobie o narzeczonym i jego wielkim domu z terakoty we Florencji

- Zapewne bardzo mi się spodoba - odpowiedziała beztruskim tonem, odwracając się na brzuch. - Ale upłynie jeszcze wiele lat, zanim wyjdę za mąż. Mam popłynąć wiosną do Włoch na uroczystość zaręczyn i to wszystko.

Włochy Wielką przyjemność sprawiało jej samo wymawianie tego słowa. Ojciec często odwiedzał swój rodzinny kraj ale Serafina jeszcze nigdy tam nie była.

- Zaręczyny są równie wiążące jak małżeństwo - oświadczył Angelo, oplatając leniwie powój wokół gałązki rozmarynu. - Musisz kochać swego narzeczonego i nie wolno ci zwracać uwagi na nikogo innego.

Serafina wlepiła w niego wzrok. Miłość? Miłość jest w bajkach, w balladach.

Czemu ma kochać messera Corsiniego - jakiegoś starego mężczyznę, w dodatku nieznanego? Powiedziała to Angelowi, a ten uśmiechnął się szeroko, błyskając białymi zębami.

- A czemuż wychodzić za mąż, jeśli nie z miłości, maleńka' Miała dziewięć lat i nie do końca go rozumiała. Wiedziała

tylko, że jest coś, co przed nią ukrywano, coś ważnego, o czym rozmawiano tylko w gronie dorosłych. Postanowiła ukryć uczucie zakłopotania, odpowiadając mu arogancko:

- Wychodzę za mąż, kuzynie, ponieważ messer Corsini to wielki i bogaty pan. I ponieważ jest wysokiego rodu

Młodzieniec, wciąż się uśmiechając, wstał, położył uplecioną przez siebie girlandę na ciemnej, niesfornej czuprynie Serafiny i odszedł parę kroków w cień drzew oliwkowych

Czując się winna, dziewczyna podniosła się z wolna i pobiegła za Anżelem. Wzięła go za rękę i wyszeptła:

- Bądź moim przyjacielem, Angelo. Proszę, pozostań zawsze moim przyjacielem.

Głos jej drżał - była bliska łez. Kuzyn odwrócił się, poprawił zsuwający się wianek, ale jego spojrzenie zaraz powędrowało z powrotem ku błękitnemu morzu i maleńkim wysepkom przytulonym do południowego brzegu Francji i spienionym falam, które zakłócały gładką toń.

- Zawsze będę twoim przyjacielem, Serafino - zapewnił ją łagodnie. - Kimże innym miałbym być?

Ich palce wciąż były splecione w uścisku. Angelo podniósł dłoń Serafiny do ust i pocałował. Potem pochylił się i leciutko musnął ustami wargi dziewczynki.

Uśmiechał się, a jego ciemne oczy błyszczały. Nie słyszała już ptaków; ich śpiew zagłuszyło łomotanie serca.

Zerwał się wiatr i Serafina ujrzała coś, co wzięła wpierw za stadko motyli, szarpanych prądami powietrznymi. Ale zaraz uświadomiła sobie, że to nie motyle. To spadające z drzew liście - nieubłagany znak nadchodzącej zimy.

Tego popołudnia Serafina postanowiła czegoś się dowiedzieć. Siedząc któregoś wieczora z Marthe, gdy wyszywała drobnutkie srebrne wzorki na fałdach błękitnego jedwabiu, zmusiła opiekunkę, by wyjawiała jej sekrety małżeństwa.

Dowiedziała się, że wyjdzie za messera Corsiniego, dopiero gdy stanie się prawdziwą kobietą, a ponieważ jest teraz małym dziewczątkiem, nie będzie pewnie jeszcze kobietą przez wiele lat. Dowiedziała się, skąd biorą się dzieci i jak przychodzą na świat. Strach, jaki ją ogarnął, wiązał się z utratą własnej prywatności i poczuciem wstydu, na myśl o tym, że będzie musiała dopuścić do takiej intymności obcego mężczyzny. Znała jednak swe obowiązki. Kiedy Marthe mówiła, Serafina wyszywała starannie i równiutko, a igła w jej rękach rzadko kiedy zatrzymała się czy zadrzała.

Gdy opiekunka umilkła, dziewczynka rzekła:

- Angelo mówi, że powinnam kochać messera Corsiniego. Piastunka spochmurniała.

- Nie powinnaś omawiać takich spraw z monsieur Des-moines'em, maleńka. To niewłaściwe. Ależ oczywiście, że pokochasz messera Corsiniego. Będzie wszak twoim mężem.

Serafina zrobiła supełek i zdołała oprzeć się pokusie odgryzienia nitki zębami.

- Wyjdę za messera Corsiniego i urodzę mu dzieci, ale nie pokocham go. Jest za stary.

Opiekunka wyglądała na zakłopotaną. Poruszyła się, szeleszcząc płótnem i taftą, i oznajmiła surowym tonem:

- Nie wolno ci kochać innego mężczyzny, Serafino. Włosi są bardzo zazdrośni o własne żony i honor.

Dziewczynka zirytowała się na swą ukochaną Marthe. Ślub z Michele nie może mieć wpływu na jej prawdziwą miłość -co więcej, sprawi, że owo uczucie będzie rozkwitać.

- Kocham to - oświadczyła, wyciągając przed siebie dłoń, w której trzymała szeleszczący, błękitny materiał utkany z błyszczących nici, układający się na podłodze w fale. Z jednej strony, niczym śródziemnomorskie niebo, jedwab pokryty był gwiazdami i księżycami.

Samotna kobieta z trudem potrafiłaby utorować sobie drogę w świecie handlu, pozostającym domeną mężczyźni, ale mężatka, jeśli tylko miała bystry umysł, mogła dobrze sobie w nim radzić. Związek Serafiny Guardi z Michele Corsinim stanowił transakcję handlową i w tym sensie należało go respektować. Zapewni mężowi potomków, a on w zamian będzie występował jako marionetkowy właściciel firmy, pozwalając żonie zajmować się tym, co ukochała w życiu najbardziej: handlem tkaninami.

Interes, który założył dziadek Serafiny, jej ojciec ogromnie rozwinął. Marsylia skorzystała z kłopotów, jakie w ostatnich czasach spadły na Wenecję. Weneckie bogactwa naraziły miasto na ataki Turków i piratów oraz wzbudziły zazdrość innych narodów chrześcijańskich. Chociaż najazdy Berberów wciąż pustoszyły wybrzeże Prowansji, układy zawarte przez króla Francji z sułtanem tureckim sprawiały, że ataki muzułmanów drażniły jedynie, nie wyrządzając ludności tych terenów poważniejszych szkód.

O tym wszystkim Serafina wiedziała, odkąd tylko sięgała pamięcią. Chodziła za monsieur Jacques'em, gdy ten doglądał ładowania i rozładowywania statków w dokach, sterczała z rękoma założonymi na plecach przy pulpitych kancelistów zapisujących niekończące się ciągi cyfr. Słuchała, jak Angelo wymienia nazwy różnych gatunków jedwabiu, ich ceny i kraje pochodzenia. Pracownicy musieli okazywać cierpliwość rozpieszczonej jedynaczce swego chlebodawcy.

Rodzina Guardi posiadała zarówno galery, jak i kogi. Wyposażone w cztery żagle statki przewoziły więcej ładunku, lecz były powolne i mało zwrotne. Galery z dziobami pomalowanymi na biało i złoto były smukłe i szybkie jak ryba.

Załoga galer składała się z niewolników i skazańców. Dwudziestu wioślarzy przykutych łańcuchami do ławek wykony-

wało dwadzieścia pięć syzyfowych uderzeń na minutę, dopóki któryś nie upadł albo nie umarł. Dla Serafiny galery stanowiły widok powszedni, ale ktoś nieprzyzwyczajony wyczuwał ich wstrętny odór niesiony przez wiatr na długo wcześniej, zanim wpłynęły majestatycznie do portu. Niewolnicy na galerach nosili jedynie płócienne spodnie i mieli ogolone głowy. W porcie umieszczano ich w pomieszczeniach niedaleko składów, gdzie w pobliżu znajdował się również meczet. Rodzina Guardi miała muzułmańskiego odzwiernego o imieniu Ibrahim, który stał przy drzwiach kuchennych. Pięć razy dziennie, bez względu na to, gdzie akurat przebywał, padał na ziemię i modlił się do swego pogańskiego boga. Guardi zatrudniali również ponad pięćdziesięciu żołnierzy. Do ich zadań należało dopilnowanie, żeby jedwabie dotarły na północ, do Arles, Beaucaire i Valence, a następnie na targi w Lyonie. Z kolei płótno i wełny najpierw musiały znaleźć się w Marsylii, a potem we Włoszech. Wojny religijne sprawiły, że karawany przewożące złoto i cenne tkaniny, nie czuły się we trancji bezpiecznie. Chociaż monsieur Jacques często wyrzekał na koszt najmowania żołnierzy, był to jednak wydatek konieczny.

Franco Guardi nauczył córkę tego wszystkiego w ciągu ostatniej zimy w Marsylii. Zdawał sobie sprawę, że za mało czasu spędzali razem, a on sam był często zbyt zajęty albo po prostu pozostawał zbyt długo poza domem, by móc poświęcać więcej uwagi Serafinie. Jej zainteresowanie sprawami firmy sprawiało mu przyjemność, podobnie jak i to, że Angelo i notariusz Jehan, którzy niegdyś często się kłócili, wreszcie zaczęli żyć ze sobą w zgodzie - albo przynajmniej tak się wydawało. Ojciec wyjaśnił Serafinie, jak wartościowi są pracownicy tacy jak Angelo i Jehan oraz powiedział jej, że należy ich zawsze traktować z szacunkiem. Przypomniał sobie, iż niedawno niegrzecznie odezwała się do Angela, dziewczynka zaczerwieniła się i przyrzekła sobie, że w przyszłości będzie należycie dobierać słowa. Była zawsze uprzejma wobec monsieur de Coniques'a - i nie wyobrażała sobie, by mogło być inaczej.

A jednak notariusz nosił w sercu jakąś urazę, której nawet Serafina była świadoma. Owa niechęć nie wydawała się skierowana wobec konkretnej osoby, lecz dotyczyła jakby całego świata. Jehan de Coniques wciąż był całkiem młodym człowie-

kiem - miał dwadzieścia kilka lat, ale gorycz spowodowana utratą wszystkiego sprawiła, że wyglądał na dwa razy starszego. Tolerował Serafinę, podobnie jak tolerował wszystkich postawionych na równi z sobą lub wyżej. Może właśnie to było przyczyną jego sporów z Angelem - nie umiał określić pozycji młodzieńca w domu Guardich. Angelo był nieślubnym dzieckiem, a jednak także bliskim krewnym rodziny i zasiadał codziennie ze wszystkimi do stołu. Serafina czasami podejrzewała, że monsieur de Coniques wie, iż młody człowiek często się z niego naśmiewa za plecami, mając Serafinę jako jednego widza. Gniótł w dłoniach kapelusz kapelusz, przedrzeźniając wykręcającego swą czapkę prawnika, wykrzywił twarz, wyrażając miną dziwną mieszanicą niezadowolenia i dumy. - Moja rodzina miała trzy zamki i setkę uzbrojonych ludzi - mawiał. - A teraz nie mamy nawet nocnika.

Serafina turlała się wtedy po podłodze ze śmiechu, zupełnie zapominając, że jest dziewięcioletnią, dystygowaną damą.

Owej zimy czuła się tak szczęśliwa. Przywykła do myśli o zaręczynach i prawie z niecierpliwością wyczekiwała tego wydarzenia, świadoma, że przyszyły status narzeczonej sprawi, iż będzie się cieszyła większym poważaniem w domu rodzinnym. Nawet mistral - który zapowiadały najpierw suche liście i śmieci spadające do rynsztoka oraz chmury o barwie miedzi gromadzące się na horyzoncie, a który w końcu pojawił się niczym straszny, mściwy potwór, kradnący dachówki z dachów i zrywający cumy w porcie - nie zmusił dziewczynki, by szukała schronienia na kolanach Marthe, jak to bywało w przeszłości. Wszak była teraz dorosła i wkrótce miała się zaręczyć. Popatrywała przez zamknięte okiennice, jak wiatr targał statkami, a dom piekarza po drugiej stronie ulicy został pozbawiony większej części dachu.

Dopiero gdy nadszedł wieczór poprzedzający wyjazd do Toskanii, opanowanie zaczęło ją opuszczać. Przez cały dzień odczuwała niepokój, nie mogła czytać, dręczona irracjonalną, lecz coraz większą obawą. Ojciec i Marthe omawiali szczegóły podróży: piastunka nie popłynie do Florencji, bowiem pogarszający się wzrok i niepewne zdrowie nie pozwalały jej na taką wyprawę. Serafinie miała towarzyszyć jako opiekunka jakaś dziewczyna o imieniu Mathilde - nerwowe,

roztrzęsione stworzenie. Zamierzali pozostać poza domem przez całe lato, Franco Guardi bowiem poza zaręczynami chciał załatwić sprawy handlowe we Florencji, Neapolu i Livorno.

Serafina, siedząc w milczeniu przy oknie z lalką na kolanach, pomyślała, że kiedy wróci, wiele może się zmienić i na pewno się zmieni. Nie będzie już dzieckiem, ale poważną narzeczoną. Nieznajomy, stary mężczyzna z Florencji stanie się jej rodziną.

Nie. Zacisnęła pięści, nie zauważywszy, że Rosalie ześlizgnęła się podłogę. Stos pudeł i sakw, które Marthe tak starannie zapakowała, zaczął jej się zamazywać przed oczami. Franco Guardi stał przy ogniu, odwrócony plecami do córki. Nie. Tu jest mój dom, pomyślała. Nazywam się Serafina Guardi. Czemu mam wyjeżdżać?

- Serafino? - Ojciec odwrócił się i podszedł do niej. - Córeczko, kochanie, o co chodzi?

- Nie chcę jechać - wymamrotała, ogarnięta zarazem lękiem i podziwem dla własnej śmiałości.

Ojciec z początku nie dosłyszał jej słów, powtórzyła je więc, wysuwając dolną wargę, jakby miała wciąż dwa lata.

- To długa podróż, kochanie - zaczął jej tłumaczyć łagodnie. - Ale będziemy płynąć powoli, trzymając się brzegów. Nie musisz się bać otwartego morza.

- Nie chcę jechać - oświadczyła z uporem. - Chcę zostać tutaj.

Franco próbował objąć ją za ramiona, ale odsunęła się i zaczęła wpatrywać w okno z groźną miną. Słońce jeszcze nie zaszło i w oddali widać było las masztów i dziobów statków stłoczonych w porcie. Niektóre z tych masztów należały do trzech statków, które miały następnego ranka wyruszyć w długą drogę do Pizy. „Gabrielle”, „Mignon” i „Petit Coeur”. Przyjazne dotąd morze nabrało nagle ponurego, złowieszczego i nieznanego wyglądu. Maszty z opuszczonymi żaglami przypominały las pik i szpad przeszywających horyzont.

Serafina usłyszała sztucznie wesoły głos ojca, mówiącego z pozornym entuzjazmem:

- Zobaczysz kraj swych przodków, Serafino. Wszyscy wielcy panowie i damy z Florencji zjawią się na uroczystości twoich zaręczyn, a kiedy wyjdiesz za mąż, będą cię nazywać madonną. Założysz tę śliczną suknię, którą uszyła ci Marthe. Zaraz obieca mi pudełko cukierków i pieska, pomyślała ze złością.

- Tu jest mój dom. Dlaczego mam go opuścić?

- Ponieważ jesteś kobietą - odrzekł smutno Franco. - Musisz wyjść za mąż. Masz wyjść za messera Corsiniego, Serafino.

Gdy Marthe wyjaśniła jej, na czym polega małżeństwo, Serafina się przestraszyła; teraz była zła.

- Tak! - Odwróciła się, by spojrzeć ojcu w oczy. - Muszę wyjść za mąż. Żeby ci począć następcę w łóżu jakiegoś starca.

Usłyszała, jak Marthe syknęła z dezaprobatą i zobaczyła, że ojciec zbladł i postarzał się nagle. Natychmiast pożałowała swych słów, nie mogła bowiem znieść widoku cierpienia na jego twarzy. Wydawał się zawsze taki szczęśliwy i taki - niewinny - mogłaby powiedzieć, gdyby rozumiała wówczas to słowo. Podbiegła do niego, rozwarła zaciśnięte pięści i chwyciła go za rękę.

- Wybacz mi, ojczy - wyszeptwała. - Oczywiście to dla mnie zaszczyt wyjść za messera Corsiniego.

Wciąż wyglądał na zmartwionego.

- Ten dom zawsze pozostanie twoim domem - powiedział. - Corsini posiadają wspaniałe nazwisko, ale niewiele pieniędzy. Któregoś dnia, kiedy mnie już nie będzie, Michèle i jego synowie - wasi synowie - przejmą interes, który założył twój dziadek. Będziesz ich musiała nauczyć, jak go prowadzić, córko.

Wtedy Serafina się rozplakała. Głowa ją bolała, skóra paliła. Zgubiła chusteczkę, więc łzy spadały błyszczącymi kroplami na jej ręce i stanik niczym małe diamenty. Następnego dnia musieli wstać wcześniej, by pozełgować z prądem. Marthe ubrała swą podopieczną w kilka halek i obcisłą suknię z czarnego aksamitu, wyszywaną perełkami, jakby chciała zadusić ją z miłości. Serafinie zrobiło się gorąco i duszno, zanim jeszcze wyszła z domu.

Pogoda była ładna, niebo - czyste i błękitne - zdobiło tylko kilka puszystych obłoczków. Port znajdował się niedaleko, więc udali się tam piechotą. Służący, a także Ibrahim w czerwonym kapeluszu, nieśli bagaże Serafiny. Gdy wyszli z domu, Ibrahim padł na ziemię, by wznieść modły, ale przywykli do tego, więc nikt nawet się nie zatrzymał, by na niego popatrzeć, nikt mu też nie złorzeczył. Serafina z trudem trzymała się na nogach. Gdyby była parę lat młodsza, ojciec mógłby posadzić ją sobie na ramionach i nieść jak na tronie wśród tłumu. Ale dzisiaj miała na sobie grubą suknię, a pod spodem płócienny

stanik i małą, sztywną halkę, więc chociaż bolał ją brzuch, a nogi wydawały się prawie tak bezwładne jak bele materiału złożone w ładowni „Gabrielle”, zmuszała się do marszu.

Nagle pojawił się Angelo, którego jeszcze dzisiaj nie widziała. Prowadził za cugle jej własnego, ślicznego kuca, osiodłanego i w uprzęży. Zatrzymał się przed dziewczynką i jej ojcem, którzy dotarli już do połowy placu, ukłonił się, ściągając z głowy czapkę, aż gęste, złotobrazowe włosy spadły mu na twarz.

- Witaj, moja pani - rzekł, wyciągając rękę do swej kuzynki.

I tak Serafina pojechała do portu na hiszpańskim kucu niczym wielka dama. Minęła sklep rzeźnika i piekarnię, cukiernię i kosze z rybami wystawione na nabrzeżu: cefale, sardynki i makrele o jaskrawych barwach błyszcząły w porannym słońcu niczym jedwab. Machała ręką do ludzi, których znała i lubiła w ciągu swego krótkiego życia, a oni odpowiadali jej, kłaniając się ze śmiechem, nazywali madonną Corsini i rzucali kwiaty. Wszystko wydawało się nienaturalnie jaskrawe, jak gdyby wszelkie drobne szczegóły z dzieciństwa starały się usilnie wryć w jej pamięć. Kiedy dotarli do „Gabrielle”, Serafina przyjęła dłoń ofiarowaną jej przez Angela, by zsiąść z kucyka. Gdy stali na nabrzeżu, pocałował palce dziewczynki i oba jej policzki. Weszła wraz z ojcem na pokład, unosząc czarną, aksamitną suknię, by się nie zakurzyła.

Kiedy galera odbijała od nabrzeża, Serafina stała na pokładzie, machając i wołając „do widzenia” do Marthe, Angela i wszystkich pozostałych domowników, zgromadzonych w porcie. Później, gdy słyszała jedynie uderzenia wiosel i szum morza, a widziała tylko fale i przybrzeżne skały, raz jeszcze szepnęła „do widzenia”. Tym razem żegnała ciasne szeregi domów, dalekie, białe klify, wiatry, motyle i kwiaty. Ale w głębi serca przyrzekła sobie, że tu wróci.

Mieli płynąć blisko wybrzeża, zawijając często do portów. W ten sposób mogli podczas podróży prowadzić handel. „Petit Cœur” i „Mignon” były to kogi, małe i trochę niezgrabne, ale „Gabrielle”, dwumasztowa galera o długości pięćdziesięciu kroków, błyszcząca i zręczna przypominała pełną wdzięku ważkę.

Serafina początkowo stała na burcie, przyglądając się rytmicznym ruchom wiosel w wodzie. Ostry zapach soli przytłumił inne, mniej przyjemne wonie dochodzące spod pokładu,

a zsynchronizowana praca wiosł była popisem siły i zręczności. Słońce prażyło i dziewczynka prawie zaczęła zazdrościć wiosłującym niewolnikom ich nagości. Skóra pod sztywną „dorosłą” suknią poczęła ją swędzieć przy szyi, a twardy, płócienny stanik, mający uwypuklać nieistniejący biust, wpijał się w ciało. Chciała się porozpinać i drapać, kręcić i wiercić, ale opanowała się, była bowiem kobietą, a nie dzieckiem, i miała się wkrótce zaręczyć. Patrzyła, jak nadzorca niewolników wyszedł na pokład i rozmawiał z jej ojcem; obserwowała „Petit Cosur” i „Mignon” płynące ocieężale w ślad za „Gabrielle”. Błądziła wzrokiem po wysepkach porozrzucanych wzdłuż wybrzeża i przyglądała się ich powolnym, nienaturalnym poruszeniom - w dół i w górę, zgodnie z rytmem uderzeń fal i wiosł. Serafina zamknęła oczy, położyła gorące, wilgotne palce na rzeźbionej poręczy i szybkim krokiem poszła w kierunku rufy, gdzie usiadła pod rozpiętym tam daszkiem z materiału.

Nie mogła aż w to uwierzyć: ona, zżyta z morzem od urodzenia, cierpiała na chorobę morską. I od wczoraj wciąż bolała ją głowa. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie zawołać tej głupiej Mathilde, ale postanowiła, że nie: była to pierwsza podróż morską jej służącej i dziewczyna klęczała teraz zapewne w ciasnej kajutce pod pokładem, odmawiając litanie do wszystkich świętych. Pasiasty jedwab, z którego wykonano daszek, osłaniał Serafinę od słońca, mogła ułożyć się tu wygodnie na tuzinie kolorowych, ozdobionych frędzlami poduszek i wkrótce poczuła się troszkę lepiej. Oparta na poduszkach, z lalką na kolanach, drapiąc się ukradkiem, odkryła pod obcisłymi mankietami czerwone plamy na nadgarstkach. Wysypka spowodowana upałem, pomyślała, tęskniąc rozpaczliwie za Marthe. Zaraz jednak upomniała surowo samą siebie, powtarzając w duchu, że jest prawie dorosłą kobietą, zmusiła się też, by usiąść prosto i utkwiała wzrok w horyzoncie.

To dlatego właśnie uważała później, iż jako pierwsza dostrzegła obcy statek. Od razu wiedziała, że to też galera, choć tamta była dłuższa i węższa, co sprawiało, że biedna „Gabrielle” wyglądała przy niej niezgrabnie. Wpatrując się w ów okręt, Serafina usłyszała, jak nadzorca niewolników woła jej ojca, stojącego przy głównym rnąszcie. Franco Guardi odwrócił się i zasłaniając oczy od słońca, odpowiedział:

- Myślę, że to Wenecjanie. Tak. Popatrz na ten porzecz.

Serafina wstała, przytrzymując się poręczy i zmrużyła oczy. Tamta galera, płynąca szybko ze wschodu w kierunku ich statku, była bogato rzeźbiona i złocona. Gdy dziewczynka wyteżyła wzrok, także mogła dostrzec lwa świętego Marka na trójkątnym proporcu. Usiadła z powrotem, oszołomiona upałem, światłem i nieustannym ruchem fal. Widziała już wcześniej w Marsylii weneckie galery, więc nie były dla niej nowością. Usiadłszy na poduszkach, Serafina zamknęła oczy i próbowała zasnąć.

Znacznie później, patrząc wstecz, nie mogła uwierzyć, iż ostatnie chwile wolności spędziła, drzemiąc. Ktoś czy coś powinien był ją obudzić, ostrzec, wyrwać z tego błogostanu. Nie powinno się spać, kiedy cały bezpieczny świat wkrótce ma się rozpaść w gruzy.

To krzyk nadzorcy niewolników wyrwał ją wreszcie ze snu i sprawił, że podbiegła, jak wszyscy wokoło, do burty. Zza wysepek wyłoniły się trzy inne galery i sunęły w kierunku ich małej floty. Lew świętego Marka zniknął: na każdej galerze łopotał islamski półksiężyc, jak gdyby próbując uwolnić się z masztu.

Berberyjscy korsarze z północnych wybrzeży Afryki! Tureccy rozbójnicy morscy, którzy rabowali statki i brali w niewolę chrześcijańskich jeńców, by umieścić mężczyzn przy wiosłach na galerach, a kobiety w haremach. Nawet Serafina słyszała, jak opowiadano sobie szeptem mrozące krew w żyłach historie o okrucieństwie piratów. Okręty Guardich nie mogły uciec przed korsarzami ani ich ostrzelać, ci bowiem prędko osiągnęli takie pozycje, że francuskie kule uderzałyby tylko w wodę.

Nikt się nie odezwał do Serafiny w ciągu owych dłużeń, bolesnych chwil. Nikt nawet na nią nie spojrział. Była sama, patrząc, jako milczący, bezsilny świadek, gdy jej dzieciństwo

1 przyszłość waliły się w gruzy. Wszyscy mężczyźni na statku chwytały się rozpaczliwych, lecz daremnych działań. Świat wokół skurczył się i składał tylko z krzyków nadzorcy, pięćdziesięciu na minutę uderzeń wiosł i świstu bata spadającego na plecy niewolników oraz głosu Franca Guardiego, który rozkazał przygotować działa i próbował odwrócić szerszą, mniej zwrotną francuską galere burtą w stronę tureckich korsarzy.

Korsarze wdarli się najpierw na statki, ale wkrótce stracono nadzieję, że napastnicy zabiorą tylko towary. Pojmami ludzie byli równie cenni jak tkaniny, wszak Turcy zbudowali i oparli swe imperium na pracy chrześcijan. Serafina obser-

wowała, zapomniawszy o chorobie morskiej, jak dwie galery muzułmańskie tną fale, podpływając do „Gabrielle”, i strzelają z wycelowanych w nią dział. Dwóch mężczyzn zalanych szkarłatną krwią osunęło się na deski pokładu.

Dziewczynka patrzyła na to wszystko siedząc nieruchomo, jej wcześniejsze dolegliwości prawie minęły, a ból głowy dostarczał rytmicznego odgłosu werbli do sceny, jaka rozgrywała się na oczach Serafiny. Wydawało się jej, że jest gdzieś daleko, jak gdyby oddzielona od tego, co się wokoło dzieje. Przypomnieli jej się poganie, których widywała na placach Marsylii: zabite smoki, potwory ze ściętymi głowami. To nie była prawda, to nie mogła być prawda. Coraz więcej tureckich strzał ze świstem przesywało powietrze. Żeglarze, których ugodziły, padali na pokład niczym bezwładne, szmaciane lalki.

Gryzący zapach prochu zasnuł niebo, półksiężyc uwypukliły się i poruszały na porpcach, powiewających na berberyjskich okrętach. Księżycy były podobne do tych, jakie wyszywała na staniku błękitnej, zaręczynowej sukni, teraz bezpiecznie złożonej w skrzyni w ładowni „Gabrielle”. Gdzie jest ojciec? Nie dostrzegła go w tym dymie, ale wiedziała, że z pewnością zaraz do niej przyjdzie. Wtedy będzie bezpieczna. Tureccy żołnierze zgromadzili się na rufie, ich luźne, białe szaty targane wiatrem przypominały nieco żagle, w zakrzywionych szablach odbijało się jaskrawe słońce. Wśród krzyków, jęków i uderzeń fal Serafina usłyszała głos ojca.

Stanął przy niej. Przystojna twarz Franca Guardiego poczerniała od dymu i była bardzo smutna. Po raz pierwszy Serafina poczuła wielki lęk. Ściskając ją za rękę tak mocno, że prawie zmiądzzył kości, ojciec zawołał:

- Mów, że masz tylko siedem lat, Serafino. Pamiętaj, tylko siedem!

To polecenie zaniepokoiło ją bardziej niż szable, proch i krzyki. Wtedy nie rozumiała jeszcze, dlaczego chciał, by skłamała. Nie była siedmioletnim dzieckiem, miała dziesięć lat i czuła się prawie dorosła. Pokiwała jednak głową na znak, że rozumie i Franco puścił jej rękę. Później domyśliła się że pragnął ocalić ją od seraju. Odczuła siłę, z jaką Turcy wtargnęli na dziób „Gabrielle”. Galera zatrzęsła się, Serafina upadła na kolana wśród porzrzucanych jedwabnych, ozdobionych frędzlami poduszek. Ojciec od-

szedł i była z tego zadowolona, ponieważ udzielały się jej jego obawy. Wcisnęła lalkę pod pachę i zaczęła układać poduszki. Zawsze lubiła porządek. Niebieskie tutaj, czerwone tam, pomarańczowe w rogu. Wyprostowała frędzle i wygładziła materiał, tak że błyszczał jak prawdziwy jedwab Guardich. Ktoś coś powiedział, Serafina odwróciła się i ujrzała obok siebie brodatego mężczyznę w turbanie. Przez moment zastanawiała się, czy powinna dygnąć. Turek ruchem ręki wytrącił jej Rosalie, która upadła na pokład. Potem uniósł zakrzywioną szablę, tak że jej końcem drasnął wyszywany perłami stanik sukni.

Serafina zerknęła na lalkę, później odszukała wzrokiem ojca, a potem zwróciła spojrzenie na korsarza. Sukienka Rosalie, rzuconej na zakopcone deski pokładu, wyglądała teraz na brudną, staranny haft zaczął się strzępić, małe, równe szwy się rozchodziły. Gładka, drewniana buzia wpatrywała się w dziewczynkę i wciąż sztucznie się uśmiechała - niezmieniona pomimo nieszczęścia. Serafina usłyszała, jak ojciec zaklął głośno, a gdy spojrzała na pokład, zobaczyła, że uderzono go biczem w twarz. Franco Guardi, podobnie jak wszyscy inni chrześcijanie na statku, miał na sobie tylko spodnie.

Zrozumiała wtedy, czego chciał Turek i podniosła się powoli. Dopiero od niedawna, od rozmowy z Marthe, zaczęła odczuwać wstyd związany ze swym ciałem. Nie drżała jednak ani nie płakała, odpinając guziki przy sukni prawie pewnymi ruchami palców. Powiedziała sobie, że z przyjemnością pozbędzie się tego przeklętego stroju i będzie jej znacznie chłodniej w staniku i lekkich halkach.

Mathilde i Serafina zostały zamknięte w małym pomieszczeniu pod pokładem, gdzie przechowywano beczułki z winem. Mathilde miała wciąż na sobie cały swój ubiór - Serafinie Turek zabrał suknię tylko ze względu na perły, którymi obszyty był stanik. Korsarze posadzili mężczyzn do wiosł, uwolniwszy muzułmańskich niewolników. Uwięzionej w ciemnościach dziewczynce przyszło do głowy, że gdzieś tam na zewnątrz, może w odległości zaledwie paru stóp, jej ojciec, dumny Franco Guardi, siedzi teraz przykuty łańcuchem do ławki. Jego ręce miarowo unoszą i opuszczają wiosło, na plecy spada mu raz po raz turecki bicz, dostaje tylko suchary i ocet winny, by wypełnić żołądek. Strach powrócił i to zwielokrotniony. Nie może sobie pozwolić, by o tym wszystkim myśleć. Serafina spojrzała

na Mathilde, pochlipującą w kącie. Żadna z modlitw dziewczyny nie została wysłuchana. Żal było na nią spojrzeć; cała jej godność znikła. Serafina czuła w tej chwili tylko pogardę dla swej towarzyszki. Ona nigdy sobie nie pozwoli, by tak wyglądać.

Czuła też udrękę z innego, całkiem fizycznego powodu. Odkąd Turek zabrał jej suknię, odkryła, że na całym ciele ma małe, czerwone plamki. Na piersiach pojawił się biało-różowy wzór, niczym na adamaszku, zgięcia kolan i łokci, pachy i pachwiny były czerwone i pokryte krostkami. Serafina znów pomyślała o swych zaręczynach. Po chwili zdała sobie jednak sprawę, że nigdy już nie wyjdzie za messera Corsiniego, zwinęła się więc w kłębek na ławce i zasnęła.

Po wielu godzinach podróży zatrzymali się na małej wysepce, by nabrać wody. Wypchnięto ich z galer na brzeg. Słona woda, przez którą Serafina brnęła na plażę, sprawiała ulgę jej rozgrzanemu, swędzącemu ciału. Mathilde, z twarzą zapuchniętą od płaczu pozwoliła, by podopieczna wyprowadziła ją z „Gabrielle” w kierunku stałego lądu.

Siedząc na piaszczystej plaży obok służącej, z której nie było żadnego pożytku, dziewczynka po raz ostatni ujrzała ojca. Niebo wisiało nad nimi niczym błękitna czara, skalistą wysepkę porastały nieużytki, był tam tylko jeden strumień płynący po dnie wąwozu o zielonych brzegach. Serafina przymknęła obolałe oczy, nie mogąc ich całkiem otworzyć nawet wtedy, kiedy zobaczyła, jak ojciec, na rozkaz Turka, wstaje.

Między nią a zakutymi w kajdany chrześcijańskimi galernikami płonęło ogromne ognisko, rozpalone przez jeńców. Oprócz garnków i innych rzeczy potrzebnych do przygotowania posiłku dostrzegła tam także żelazny pręt, do połowy zagrzebany w żarzącym się popiele. Jeden z odzianych w czerwone szaty janczarów ruchem ręki kazał Francowi Guardiemu usiąść i wyciągnąć nogę. Potem wziął rozgrzany do czerwoności pręt i przeciągnął nim dwa razy na krzyż po stopie jeńca.

Serafina trzymała ręce przy oczach, by osłonić się od ostrego słońca, ale przez szparki między palcami dostrzegła, jaki znak wypalił janczar na stopie jej ojca. Krzyż. Teraz Franco Guardi, gdziekolwiek pójdzie, będzie deptał symbol swej wiary.

Był to dość powszechny obyczaj, mający zapewnić muzułmanom szczęśliwą podróż.

Skóra swędziała ją nieznośnie. Gdy ponownie zamknięto je obie w malutkiej kabynie, Serafina wierciła się i drapała prawie do krwi. Mathilde zupełnie się rozkleiła i szlochała tak głośno, że prawie traciła przytomność. Nie mamrotała już modlitw opuchniętymi wargami, różaniec wyślizgnął jej się z palców i upadł na podłogę. Kiedy wreszcie służąca zasnęła, Serafina wepchnęła różaniec w szparę między deskami. U dziesięcioletniego dziecka zdrowy rozsądek przeważył nad wiarą. Dziewczynka nie zamierzała ściągnąć na siebie gniewu muzułmanów.

W małym pomieszczeniu znajdował się wprawdzie nieduży świetlik, jednak Serafina straciła w końcu poczucie czasu. Mogli płynąć godzinę albo i miesiąc. Czasami zdawało jej się, że jest bardzo zimno i nie mogła opanować dreszczy - wówczas była przekonana, że płyną na północ, do krajów, gdzie właśnie panuje zima, leży śnieg i lód. Kiedy indziej pot lał się z niej strumieniami, mierzwił jej włosy i przylepiał halki do biednego, obolałego ciała.

Wreszcie jakiś janczar przyszedł, by zabrać je na pokład. Początkowo Mathilde nie mogła się ruszyć, ale Serafina ciągnęła ją i szczypała, póki dziewczyna z jękiem nie stanęła na nogi i z trudem nie wyszła z kabiny w ślad za swą podopieczną.

Promienie słoneczne boleśnie kłuły Serafinę prosto w oczy. Słońce odbijało się też w falach niczym w szkle. Dziewczynka nie pozwoliła jednak się objąć przerażonej Mathilde, zmusiła się też, by opanować drżenie kolan. Uchyliwszy z trudem powieki, wbiła wzrok w miasto rysujące się na horyzoncie.

Długie rzędy białych budynków o płaskich dachach, rzucające niebieskie cienie, i zielone ogrody, które z dala wyglądały jak mech. Na szczycie stromego wzgórza wznosiła się ogromna forteca. Od strony domów wielki falochron strzegł portu. Zdawało się, że całe miasto tkwi w uścisku otaczających je obronnych murów.

Algier.

Serafinę zabrano do małej, ciemnej celi tureckiego więzienia i zostawiono tam zupełnie samą. Nigdy już nie ujrzała Mathilde - zapewne wysłano ją do jakiegoś seraju, gdzie szlochała, lamentowała i odmawiała modlitwy.

Ze względu na drobne ciało i wiek uznano, że dziewczynka nie przyda się w haremie. Tak naprawdę, to nikomu nie wydawała się przydatna - dragoman widząc, że mała chwieje się z wyczerpania i nie potrafi odpowiedzieć na najprostsze nawet pytanie, pokiwał głową i poklepał ją delikatnie po ręce. Nie mogła sobie przypomnieć, jak się nazywa; nie mówiąc już o wieku czy miejscu urodzenia. Strażnik, myśląc, że jest opóźniona w rozwoju, odesłał ją do celi, podobnie jak wszystkich innych jeńców, z kocem w rękę, kawałkiem czarnego chleba i miską wody. Nie drgnęła, gdy zaciśnięto jej na kostce u nogi żelazną obręcz: nie miała nawet siły się bać. Wpatrywała się w labirynt cel oczami błyszczącymi od gorączki, a nie od płaczu. Nie miała siły biec. Nie wiedziałyby nawet, dokąd uciec. Nie dostrzegła już wokół siebie żadnej życzliwej twarzy.

Nie mogła jeść czarnego pieczywa, ale wypijała całą wodę. Leżąc na małym sienniku, który jej rzucono, zawięła się w koc i próbowała zasnąć. Tak bardzo pragnęła do czegoś się przytulić, szukając pociechy - choćby nawet do lalki Rosalie. Z innych pomieszczeń dobiegały ją słowa ze świata, jakie знаła: do jej rozpalonej gorączką głowy dochodził francuski, hiszpański, włoski i inne języki, ale ich nie rozpoznawała. A także szczególnie *lingua franca* z tureckiego więzienia - dziwna mieszanina włoskiego i hiszpańskiego, którą chwilami rozumiała. Kiedy zamykała oczy, język niewolników przedostawał się do jej snów. Mówiła nim i myślała. Tak właściwie, to zapomniała wszelkich innych języków.

Więzienie tureckie było ogromną, ciemną i cuchnącą norą, pełną niewolników. Główny strażnik i jego podwładni przemykali po tym labiryncie niczym duże nietoperze, wszyscy w turbanach albo dziwacznych wysokich nakryciach głowy, przypominających głowy cukru. Podobnie jak Ibrahim w Marsylii, padali pięć razy dziennie na ziemię, by się modlić. Z tym że tutaj nikt się z nich nie śmiał ani ich nie przeklinał.

Następnego dnia stan Serafiny jeszcze się pogorszył. Zdobyła się tylko na to, by usłuchać wezwania dragomana i wyjść za nim z więzienia. Oślepią ostroym słońcem, mrugała oczami, wstrząsały nią dreszcze, gdy tak stała apatycznie, a cała grupa innych biednych istot pojmanych w niewolę gromadziła się wokół niej. Były to kobiety i dzieci - za stare, za młode albo zbyt

chore, by pójść do haremu. Serafina nikogo spośród nich nie rozpoznawała. Ale gdy się przyglądała dłużej, na okrągłej, ciemnej twarzy jakiejś kobiety pojawiała się chmurna mina kochanej Marthe, natomiast dziewczynka o kręconych włosach, ściskająca szmacianą lalkę, przypominała córeczkę piekarza z Marsylii. Serafina nie walczyła z tymi irracjonalnymi myślami. Szybko odkrywała, że świat nie jest racjonalnym miejscem.

Zabrano je na suk - niekończący się, jak się zdawało, zadaszony targ, las namiotów i kotar. Kobiety były zasłonięte od stóp do głów, dzieci śmigwały po alejkach niczym małe, ciemne ptaszki, a bogaci mężczyźni w turbanach ozdobionych piórami i szlachetnymi kamieniami, chełpili się swymi pięknymi, młodymi chłopcami. W powietrzu unosił się gęsty zapach kuskusu i sorbetu, przypraw oraz koziego łajna i rozgrzanych ludzkich ciał. Jaskrawe kolory rozłożonych jedwabi ostro i boleśnie przypomniały Serafinie o domu. Odwracając głowę, utkwiała wzrok w chłodnych i mrocznych wnętrzach straganów. Oprócz gwaru panującego wokół słyszała w głowie walenie bębnow, oczy ją bolały. Szła, tak jak i pozostali więźniowie - spętana łańcuchami, podśpiewując coś po cichu, a chwilami mówiąc sama do siebie. Często wydawało jej się, że słyszy głos ojca. Gdy jednak rozglądała się za nim, nigdzie nie było go widać.

W Bedestanie, na targu niewolników, pojmanym przyglądano się bacznie i poszturchiwano ich bezceremonialnie. Otwierano im usta i badano uzębienie jak koniom wystawionym na sprzedaż. Serafina nie zwracała uwagi na swych prześladowców: wszystkie jej myśli krążyły wokół ojca. Papa zaraz przyjdzie, papa zabierze swą dziewczynkę do domu, przecież jeszcze nigdy jej nie zawiódł. Przemawiała do ojca po łacinie, przemawiała do niego po francusku, a chwilami nawet w owym zniechęconym zlepku języków z tureckiego więzienia. A kiedy pewien szczególnie wścibski ewentualny nabywca szturchnął ją troszkę zbyt obcesowo, Serafina zwymyślała go po francusku, używając obficie soczystych i barwnych przekleństw rodem z marsyjskiego portu.

Nie zdawała sobie sprawy, że mówiła na głos, póki nie poczuła uderzenia w twarz, które powaliło ją na ziemię. Kiedy leżała jak długa w kurzu, zastanawiając się, czy ma wszystkie zęby, usłyszała gromki wybuch śmiechu i czyjś dźwięczny głos: - Mała, musisz zapanować nad swym językiem, bo inaczej posadzą cię do wioseł na galerze!

Z trudem podniosła się na kolana. Wśród tłumu, za czerwoną mgiełką, zdołała dostrzec jedną twarz. Olbrzymi mężczyzna, wysoki i mocno zbudowany, zbliżał się do niej, z uśmiechem na twarzy. Miał ciemne, poznaczone bliznami policzki, nosił luźne szaty i turban, ale jego oczy wydały się Serafinie niebieskie.

~ Mała, ci kupcy to twoi panowie i nie życzą sobie, by ich przyrównywać do brudów z rynsztoka.

W jego głosie słychać było przyganę, ale w niebieskich oczach wciąż błyskały iskierki śmiechu. Ukłoniwszy się mężczyźnie, który przed chwilą uderzył Serafinę, wyciągnął rękę i pomógł dziewczynce wstać. Czowała w ustach smak krwi, a prawym okiem widziała coraz mniej. Jej obrońca potrząsnął głową.

- Nie słyszałem takiego języka od wielu lat - powiedział. - Tak naprawdę, to odkąd opuściłem Marsylię. A było to ponad dwadzieścia pięć lat temu. Przypuszczam, dziecko, że ty wyjechałaś stamtąd całkiem niedawno?

Serafina wlepiała wzrok w pokrytą suchym pyłem, zakrwawioną ziemię.

- Trzy dni temu, a może cztery - wyszeptwała i zaczęła płakać, nie tylko dlatego, że mówienie sprawiało jej ból, ale dlatego, że nie mogła sobie nawet przypomnieć, kiedy ostatni raz widziała dom.

- Urodziłem się w Marsylii - wyjaśnił łagodnie mężczyzna i uśmiechnął się do niej ponownie.

Nowy właściciel Serafiny mówił szybko i biegle francuszczyzną z Marsylii.

Dziewczynka biegła za nim truchtem wzdłuż rynsztoka, ale coraz mniej go rozumiała. Zbliżała się już do punktu, kiedy nawet duma nie może skłonić nóg, by dalej niosły.

Opuścili Bedestan, gdy tylko Francuz dobił targu, to znaczy kupił Serafinę i dwie starsze kobiety, które miały pracować w jego kuchniach. Za zachodnią bramą, zwaną Bab el-Oued, na placu pełnym stosów drewna i sprzedawców węgla drzewnego, czekali już niewolnicy z końmi. Trzęsąc się w upalnym słońcu, Serafina patrzyła na domy bogaczy, otoczone ogrodami i fontannami. Jej pan odwrócił się, by dosiąść swego wierzchowca. Zerknąwszy w dół na Serafinę, stanął i zmarszczył brwi.

- Mała! - zawołał i kiwnął na nią.

Nie mogła ruszyć się z miejsca i stała nieruchomo, apatycznie czekając na kolejne razy. Ale zamiast unieść ramię, męż-

czynna zsiadł z konia, podszedł do niej i uniósł jej twarz obiema dłońmi, odwracając ją do słońca.

- Mała, jesteś chora - powiedział.

Znowu zaczęła szlochać i tym razem nie czuła już nawet do siebie pogardy.

- Mała - powiedział, przyglądając się uważnie wysypce dziewczynki i dotykając delikatnie jej czoła. - Masz odrę.

I podniósł ją, by posadzić na własnym siodle.

W poprzednim życiu, w świecie chrześcijańskim, nowy pan Serafyny zarabiał na życie jako lekarz. Studiował na uniwersytecie w Padwie i uprawiał swój fach w największych domach we Florencji, w lupanarach Neapolu i dokach Marsylii, gdzie się urodził. Kiedy płynął z Neapolu na Malte, algierscy korsarze dogonili i zdobyli jego statek; owa cenna profesja pozwoliła mu uniknąć losu galernika, przypominającego piekło na ziemi. Islam potrzebował medyków. A gdy jeszcze, podobnie jak wielu innych chrześcijan, przywdział turban, mógł sobie pozwolić na wspaniały dom na żyznej ziemi między Algierem a Oranem oraz mnóstwo koni i niewolników.

- *La ilaha illa'llah* - powiedział sobie. Jest tylko jeden Allah. Kiedyś nazywał się Raoul Herault, lecz odkąd wyrzekł się wiary, zwał się Kara Ali.

Ale gdy wyjechali z Algieru i udali się w długą podróż w upale, Serafina o niczym jeszcze nie wiedziała. Wiedziała tylko, że jej pan jest dobrym człowiekiem. Dał jej maść łagodzącą wysypkę i jakiś płyn, dzięki któremu przespała całą męczącą podróż. Okrył też jej głowę kawałkiem płótna, by widok białych równin i łagodnie pofalowanych błyszczących wydm nie potęgował bólu w skroniach.

Jechali wolno, trzymając się blisko wybrzeża. Zatrzymywali się często, by nabrać wody i zjeść posiłek w khanach. W każdej znajdował się chłodny dziedziniec, ocieniony drzewami, i fontanna. W jednej z nich Kara Ali nakarmił Serafinę kwaśnym mlekiem i powiedział jej, jak się nazywa.

- A jak ty masz na imię, mała?

- Serafina - odrzekła, ale z trudem wymawiała znajome sylaby obrzmiałymi ustami. Kiedy Kara Ali zsiadł, by coś zjeść i wypić, skierowała się do fontanny. W niedużej sadzawce była woda. Dziewczynka uklęknęła, chcąc obmyć twarz.

Z przerażeniem stwierdziła, że nie poznaje własnego odbicia. Opuchnięte, wytrzeszczone oczy, obrzmiałe, spękane usta, potargane, ciemne włosy opadające na policzki, na których widniały ślady łez i krosty.

To nie była twarz Serafiny Guardi. To była twarz młodziutkiej niewolnicy. W domu Kara Alego znajdował się wewnętrzny dziedziniec, podobnie jak w khanach. Serafina najpierw leżała na nim w chłodzie dzień i noc, póki gorączka jej nie spadła, a dokuczliwa, czerwona wysypka nie znikła. To tam, na dziedzińcu, dziewczynka przypatrywała się wszystkiemu i przysłuchiwała, nieświadomie przygotowując się i przystosowując do nowego życia. Wiele już przeszła: zerwano z niej ubranie, była bita, skuto ją żelaznym łańcuchem. Okrucieństwo nigdy dotąd nie przynależało do jej świata. Leżąc i wpatrując się w liście palm, muskane lekkim powiewem wiatru, Serafina zaczęła akceptować nową wizję życia. Skoro bogate stroje sprowadzały upokorzenia, zaczęła nosić szmaty. Jeśli przekleństwa ściągnęły na nią razy, musi zapanować nad swym językiem. Z kuchni dochodziły zapachy ryżu, baraniny i przypraw; słyszała, jak niewolnicy krzyczą coś do siebie w więziennym *lingua franca*. Patrzyła, jak niewolnice z zasłoniętymi twarzami przechodzą przez dziedziniec, dźwigając na głowach koszyki lub naczynia. Kiedy wróciła do zdrowia, wysłano ją do pracy w kuchniach. Nauczyła się od hiszpańskiej kucharki, jak czyścić wielkie rondle, których używano do przyrządzania kuskusu, jak kroić warzywa i przygotowywać mięso. Nigdy wcześniej niczego takiego nie robiła, a jednak stwierdziła, że radzi sobie dobrze, sprawiało jej to nawet przyjemność. Kiedy pracowała ciężko, nie musiała myśleć o ojcu ani o szyderyczym krzyżu wypalonym raz na zawsze na jego stopie. Kiedy zmęczyła się bardzo w ciągu dnia, mogła w nocy spać i nie śniła już, że znów stoi na cienistym wzgórzu pod Marsylią, w wianku z powoju i rozmarynu na głowie. Palce miała szybkie i zręczne, zaczęła też rozumieć swoisty dialekt, którym posługiwano się w kuchniach, chociaż sama nie odzywała się właściwie ani słowem. Nikt jej nie uderzył, jeśli siekała uważnie paprykę i nosiła wodę ze studni, nie rozlewając jej po dziedzińcu. Odkryła coś, co zapamiętała do końca życia: ciężka praca jest balsamem na wszelkie rany.

Wyzdrowiawszy, Serafina przez wiele dni nie widziała swego pana. Niewolnicy pracujący w kuchni szeptali, że Kara Ali jest czarownikiem, że nocami używa swych magicznych umiejętności, by wywoływać dżina, który z kolei przekazuje mu swą wiedzę. Kucharka mówiła, że dżiny stworzył Bóg z bezdymnego ognia, inaczej niż człowieka, którego ulepił z gliny. Dżin wyglądał strasznie i wchodził do domu przez szczelinę w ścianie - wysoką od podłogi aż po sufit. Kiedy któregoś wieczora Serafinę posłano, by zaniósła panu sorbet, dziewczynka spodziewała się, iż zostanie go na rozmowie z jednym z owych okropnych stworów.

Był jednak sam. Dom składał się z kilku niskich budyneków, ustawionych wokół centralnego dziedzińca, zaś pracownia Kara Alego znajdowała się po przeciwnej stronie dziedzińca niż kuchnia. Otwierając Serafinie drzwi (dziewczynka wciąż uważnie trzymała tacę z pucharem sorbetu), medyk uśmiechnął się i ruchem ręki kazał jej wejść do środka.

- Proszę, proszę, mała Serafina - odezwał się, gdy postawiła puchar na stole. - Jakże ci się podoba moje królestwo?

Rozglądając się dookoła, dziewczynka, która od tygodni rzadko otwierała usta, milczała. Ale wodząc oczami po pomieszczeniu, zdołała wybełkotać:

- Bardzo mi się podoba, panie.

Pomieszczenie było duże, wysokie, z małymi, wysoko umieszczonymi oknami. W najodleglejszym kącie postawiono trzy potężne piece, które ryczały i syczały niczym sam dżin. Pomarańczowy blask płomieni wydobywał z mroku wiele dziwnych przedmiotów: flaszki, butelki i pęczki suszonych ziół zwieszające się z krokwi. Najokropniejszy wydał się jej stos kości leżący na podłodze w rogu. Była tam także - Serafina zrobiła krok czy dwa do tyłu - ludzka czaszka, z pustymi oczodołami i bez zębów.

A te książki! Więcej tomów niż w bibliotece Franca Guar-diego w Marsylii, więcej niż w gabinecie notariusza. Zajmowały całą ścianę, leżały w nieładzie na wielkim stole, niektóre otwarte, z gęsim piórem i kawałkiem papieru obok, inne zamknięte, poustawiane w stosy i pokryte kurzem.

Medyk powędrował w ślad za jej spojrzeniem i roześmiał się głośno.

- Trochę tu bałaganu, co, Serafino? Jeśli chcesz, możesz zaprowadzić nieco porządku. Tu jest szmata, odkurz okładki i poukładaj książki z powrotem na półki. Ale ostrożnie, pamiętaj!

Wzięła od niego szmatkę i po kolei zaczęła delikatnie przecierać skórzane okładki książek, a następnie odkładała poszczególne tomy na półki. Jedna z książek była otwarta: Serafina zerknęła tylko na obrazek i sapnęła z przerażenia.

Kara Ali odwrócił się zdziwiony.

- O co chodzi, mała? Wskazała na książkę.

- Dżin, panie.

Zerknął w otwartą księgę i uśmiechnął się znowu.

- To nie żaden dżin, Serafino, tylko słoń. - Przysunął księgę bliżej do siebie i podniósł świecę. - Proszek z kości słoniowej, z jego kłów, przynosi ulgę w trądzie. Kawalek skóry słonia, przyłożony do ciała, leczy malarię. To doprawdy wspaniałe stworzenie, a nie żaden dżin. Ta książka to katalog zwierząt Ibn Bakh-tishu, wielkiego medyka, który, żył wiele lat temu. Zobacz.

Powoli przewracał kartki, pokazując Serafinie obrazki przedstawiające lwa i niedźwiedzia.

- To piękna książka - powiedziała, przyglądając się ilustracjom.

- Bardzo piękna - zgodził się Kara Ali. - A także użyteczna. To spis zwierząt i leków, jakie można z nich sporządzić. To - wyciągnął większy tom, bez ilustracji - także jest wartościowa książka, usiłuję ją teraz czytać, ale oczy odmawiają mi posłuszeństwa.

- „Labyrinth błędzących doktorów” - przeczytała na głos Serafina, a gdy medyk nic nie odpowiedział, powróciła do odkurzania.

Nie zdawała sobie sprawy, że Kara Ali jej się przygląda. Usłyszała tylko, jak zapytał łagodnie:

- To ty umiesz czytać, mała?

Kiwnęła potakująco głową i położyła następną książkę na półce. Oczywiście, że umie czytać. Nie pamiętała, by kiedykolwiek nie umiała czytać.

- A czy umiesz pisać?

Serafina znów kiwnęła głową. Sam monsieur de Coniques nauczył ją pisać, wyraźnie i czytelnie.

- A czy znasz cyfry?

Cyfry zawsze były dla niej jak zabawki: bawiła się nimi, żonglowała, cieszyła.

- Tak, panie.

Kara Ali zmarszczył brwi. Blask bijący z palenisk oświetlał jego łagodne, stare oblicze, podkreślając każdy włos na brodzie, każdą zmarszczkę, którą życie wyryło mu na twarzy.

- Usiądź, Serafino - polecił, więc przycupnęła na wysokim stołku, tak że znaleźli się prawie na tej samej wysokości. Po chwili milczenia medyk powiedział: - Kupiłem cię w Bedesta-nie, Serafino, za jedyne pięćdziesiąt asperów, ponieważ uznano cię za chorą, niedorozwiniętą umysłowo i niskiego pochodzenia. Ale nie jesteś już chora, z pewnością nie jesteś niedorozwinięta i nie jesteś także, jak sądzę, niskiego pochodzenia. Opowiedz mi o sobie, dziecko.

Więc mu opowiedziała. Mówiła o Marsylii, o firmie rodziny Guardich. I w końcu, przy akompaniamencie huczących pieców i zawodzenia wiatru za oknami, opowiedziała Kara Alemu o ojcu.

Pod koniec medyk wstał i wypił sorbet. Kiedy skończył i odstawił puchar na tacę, powiedział:

- Korsarz, który was schwytał, zażąda okupu za uwolnienie twego ojca. Zapewne pozostawiono go w więzieniu w Algierze. Tak samo powinni byli zrobić z tobą. Z początku go nie zrozumiała. Kara Ali wyjaśnił jej więc, że dla korsarza zamożny jeniec jest jak złoto. Takiej zdobyczy nie marnuje się na galerach ani nie pozwala, by zmarła jako niewolnik w Algierze, lecz odsprzedaje się ją rodzinie, korzystając na przykład z usług Żydów jako pośredników albo też jednego z zakonów, najczęściej trynitarzy.

- Gdyby wiedziano, że jesteś dobrego pochodzenia, nie mógłbym cię kupić za pięćdziesiąt asperów. Nie, w tym gdzieś musi tkwić błąd. Kiedy następnym razem udam się w podróż do Algieru, popytam o twego ojca i zobaczę, co można robić. A tymczasem - zerknął na leżącą przed nim książkę - tymczasem będziesz dla mnie pisać.

Tego wieczora Serafina odzyskała nadzieję. W ciągu dnia wciąż pracowała w kuchni, ale nocami pomagała swemu panu. Czytała mu, pisała, notowała skomplikowane składniki skomplikowanych mikstur. Pisała o pierwiastkach, o trzech zasadach chemicznych, o kamieniu filozoficznym, który miał przemieniać zwykły metal w złoto. Często, skrobiąc piórem po papierze - zwłaszcza gdy zbliżała się północ - Serafina spodziewała się, iż ujrzy dzina. Ale nie czuła już strachu, wierzy-

ła bowiem, że jej wygnanie kiedyś się skończy. Podróż do Algieru zabierze jej panu dużo czasu, potem długo będzie szukał Franca Guardiego, wreszcie czeka ich oboje podróż powrotna przez Morze Śródziemne. Aż w końcu dotrą do Marsylii i Serafina nigdy, przenigdy już stamtąd nie wyjedzie.

Kara Ali wyjechał do Algieru tuż po tym, jak skończył się ramadan. Przez cały miesiąc wszyscy domownicy pościli w dzień, jedli w nocy, aż wydawało się, że cały świat stanął na głowie. Kiedy posty dobiegły końca, medyk i jego świta odjechali tą samą drogą przez pustynię, którą kilka miesięcy temu przybyła Serafina.

Co wieczór stawała na dziedzińcu, przyglądając się, jak gwiazdy na niebie odbijają się w fontannie. Kara Ali powiedział Serafinie, że te same gwiazdy świecą nad Marsylią. Gwiazdy, które wyjaśniłyby nam sprawy przeszłości i przyszłości, gdybyśmy tylko potrafili zrozumieć ich mowę. Serafina każdej nocy wpatrywała się w niebo przez jakiś czas, próbując odczytać swój los.

Stała na dziedzińcu, kiedy wiele tygodni później Kara Ali przyjechał do domu. Noc była ciemna i zimna; dziewczynka miała na ramionach szal. Usłyszała zamieszanie, gdy podróżnicy wrócili, ale tkwiła w miejscu, nie mogąc uczynić kroku. Bała się, a jednocześnie wyczekiwała jakichś wieści.

- Serafino!

Odwróciła się - obok niej stał medyk, na jego twarzy widać jeszcze było ślady brudu po podróży.

- Chodź ze mną na chwilę, dziecko!

Posłusznie ruszyła w ślad za swym panem. Dom otaczały rozległe ogrody, gdyż strumienie spływające z gór zostały skierowane kanałami, tak by rośliny miały dopływ wody i mogły się rozwijać. Palmy daktylowe, drzewka cytrynowe i cyklameny rosły bujnie w tej oazie, egzystującej dzięki wodzie.

Podeszli w milczeniu do małej kępy drzew. Rosły tam oliwka i eukaliptus z poskręcany konarami i szarymi liśćmi, które oblewało teraz światło księżyca. Serafina nie była tutaj wcześniej, nie widziała też nigdy niewielkiego kamienia ukrytego pomiędzy poplątanymi gałęziami.

- Moja córka - powiedział miękko Kara Ali, stając przed kamieniem. - Nazywała się Badr-al-Dudża, to znaczy „Pełnia Księżyca”. Miała dziesięć lat, kiedy zmarła. Chorowała na fe-

brę. Zrobiłem wszystko, co mogłem, wykorzystałem wszystkie swe umiejętności, ale nie potrafiłem jej uratować. Taka była wola Allaha.

Serafina uniosła głowę i spojrzała na niego, a potem znów na szary kamień w poświęconej księżycowej. Odgadła, jakie będą jego następne słowa, zanim je jeszcze wypowiedział.

- To również z woli Allaha, dziecko, odszedł z tego świata twój ojciec.

Rozpytywałem w Algierze i dowiedziałem się, że umarł wkrótce po przyjeździe do tego kraju. Chorował na febrę i zmarł szybko. Często się tak zdarza, zwłaszcza gdy chodzi o ludzi wysokiego rodu. Upał, nowe otoczenie... - zawiesił głos.

Serafina słyszała tylko szelest liści i delikatny szum wiatru. Myślała o ojcu siedzącym przy stole w Marsylii, wspominała, jak stał za sterem „Gabrielle”.

Widziała go na brzegu tamtej nieznanej wysepki, gdy wypalano mu na stopie krzyż. Był zawsze najważniejszy w jej życiu, a jednak nie знаła chwili jego śmierci.

Kara Ali nie próbował pocieszać jej żadnymi głupimi zapewnieniami o wspaniałościach, oczekujących na zmarłych w niebie, czy to chrześcijańskim, czy muzułmańskim. Pogłaskał tylko dziewczynkę delikatnie po głowie i zostawił ją tam, przy kamieniu zalanym światłem księżyca, pod drżącymi liśćmi oliwki i niezliczonymi gwiazdami na niebie.

Serafina zaczęła godzić się ze swym nowym życiem. Za dnia była niewolnicą w kuchni, a w nocy sekretarzem swego pana. Miała szczęście (wszyscy domownicy byli co do tego zgodni), bowiem Kara Ali nie bił jej ani nie głodził. Kilku innych niewolników opowiadało o surowym traktowaniu, karach cielesnych i bacie.

Zacząła prawie uważać, że ma szczęście. Nie umarła w więzieniu na febrę tak jak jej ojciec. Nie wysłano jej do haremu, jak pewnie stało się to z Mathilde, nie musiała też, jak wszyscy pozostali mężczyźni z okrętów, ciężko pracować na morzu. Miała co jeść, pić i gdzie spać.

Tylko czasami gdy Serafina obudziła się bardzo wcześnie rano, na długo zanim reszta niewolników zaczynała się krzątać, doznawała uczucia rozpacz. Najczęściej nic nie czuła; funkcjonowała tylko. Starła się wszystkich zadowalać, bo w przeciwnym razie dostawała po głowie. Kradła resztki jedzenia, ponieważ wszyscy niewolnicy tak robili: to było normalne, że niewolnicy

kradną. Do swego pana mówia po francusku, w kuchniach używała żargonu niewolników i wkrótce oboma językami posługiwała się tak samo biegle.

A jednak wczesnym rankiem, gdy było jeszcze ciemno, a w domu panowała cisza, płakała. Z tęsknoty za ojcem, za domem, za wszystkim, co utraciła, a czego nie potrafiła jeszcze nazwać. Płakała cichutko, nauczyła się bowiem, by wszystko robić ukradkiem, ponieważ nie należało zwracać na siebie uwagi. W końcu, zmoczywszy poduszkę łzami, zasypiała ponownie, gdy słońce podnosiło się nad horyzontem.

Kara Ali szybko posuwał się w latach. Nie rozróżniał już najmniejszych liter ani nie mógł wskakiwać na siodło i zeskakiwać z konia tak zręcznie jak kiedyś. Wciąż pracował jako lekarz i podróżował po kraju, ale nie wyjeżdżał już zbyt często. Coraz bardziej pochłaniały go alchemia i astrologia. Serafina zawierzyła mu swe dalsze losy, a gdy zaczęła godzić się z obecną sytuacją, stwierdziła, że mniej dba o przyszłość. Życie wydawało się jej jednym dniem, każdy bowiem mijał tak samo i ważne było tylko to, aby przetrwać. Za sukces uchodziło ściągnięcie garści słodczy z tacy albo kradzież łyka chłodnego sorbetu w upalny dzień. Przyjemność sprawiały jej wizyty wędrownego bazarza i skrobanie piórem po papierze co wieczór. Miłość, jeśli w ogóle była kiedyś ważna, teraz już się nie liczyła. Serafina wiedziała, że utraciła to wszystko, co darzyła dziecięcym uczuciem.

Mogłaby wiecznie już trwać w takim stanie zapomnienia, w którym nie istniało szczęście ani nieszczęście, złość ani rozkosz. Mimo wszystko łatwiej było nie odczuwać niczego. Ale pewnego dnia następnego lata, kiedy słońce paliło bezlitośnie, a powietrze wydawało się tak gęste, że prawie można je było kroić nożem, Serafina ukradła miseczkę migdałów.

Duże, dorodne migdały zostały od jakiegoś dania z poprzedniego dnia i nikt ich nie zauważył. Ukryła je, gdy tylko została sama. Znalazła ocienione miejsce w ogrodzie, schowała się wśród gałęzi i chrupała jeden po drugim, ściskając w rękach naczynie. Była to piękna miseczka, pokryta emalią o barwie czystego, śródziemnomorskiego błękitu. Dziewczynka nie zabrała jej z głodu - pragnęła raczej odrobiny zbytku, miała też świadomość, że wygrała niewielką potyczkę z niewyobrażalnie wielkim przeciwnikiem.

Migdały były wspaniałe, chrupiące, oblane miodem. Tego dnia wszędzie wsuwał się piasek: nieustannie walczono, by me wdarł się do domu, a teraz zgrzytał Serafinie w ustach i wciskał się do oczu. Owinęła się w zakurzony, czarny zawój, aby nikt me mógł jej zobaczyć przez równie zakurzone liście. Kiedy usłyszała jeźdźców, nasunęła bardziej na twarz dzellabę, przykryła błękitną porcelanową miseczkę fałdami szaty i jeszcze bardziej się skuliła, chcąc stać się zupełnie niewidzialną dla obcych oczu.

Usłyszała, jak jeden z przybyłych pytał o jej pana i zobaczyła Hassana, stajennego, który pobiegł go szukać. Tkwiła pod krzakiem, nie przerywając jedzenia. Po kilku minutach Kara Ali wyszedł z domu, a w ślad za nim nieznajomy, w purpurowej szacie i charakterystycznym, janczarskim nakryciu głowy, składającym się z turbanu zwieńczonego wysokim stożkiem.

- Dziecko nie żyje. - Serafina usłyszała słowa swego pana. - To było chorowite stworzenie.

Gryzła migdał, obracając w palcach następny, i słuchała z zainteresowaniem rozmowy. Obaj mężczyźni szli w kierunku kępy oliwek i eukaliptusów, w pobliże grobu, w którym spoczywała córka Kara Alego. .

- Żałuję, że nie mogę ci pomóc, przyjacielu - ciągnął medyk. - Kosztowała mnie jedynie pięćdziesiąt asperów - a teraz byłbym dobrze na niej zarobił.

Resztkę migdałów potoczyła się na ziemię, ale Serafina się nie poruszyła. Nie spuszczała wzroku z mężczyzn, stojących przy grobie, plecami do niej.

Janczar wyciągnął rękę w geście wyrażającym obojętność.

- Nieważne. Allah uczynił to, co inaczej byłoby moim obowiązkiem. Bóg z tobą, przyjacielu.

- Bóg z tobą.

Kara Ali poprowadził nieznajomego z powrotem do domu. Serafina pochyliła nisko głowę, obawiając się, że pałający wzrok zdradzi obcym jej kryjówkę niczym latarnia morska. „Kosztowała mnie tylko pięćdziesiąt asperów, a teraz byłbym dobrze na niej zarobił” - te słowa tłukły się po głowie dziewczynki niczym odgłosy werbli. Nie mogła zjeść ani jednego migdała więcej. . .

Kiedy uznała, iż może już to zrobić, odwróciła się i obserwowała, jak janczar odjeżdża ze swymi towarzyszami w obłoku kurzu. Wtedy usłyszała, że Kara Ali ją woła.

Było wczesne popołudnie, słońce wciąż mocno świeciło, powietrze wydawało się ciężkie. Medyk stał na dziedzińcu przy fontannie. Wyglądał na zaniepokojonego.

- Posłuchaj mnie uważnie, dziecko. Nie nazywasz się już Serafina. Nazywasz się Badr-al-Dudża i mieszkasz tutaj od urodzenia. Zapomnij o swym domu, zapomnij o rodzinie, mów w swym ojczystym języku tylko wtedy, gdy jesteśmy sami. Tak będzie lepiej.

Serafina wpatrywała się w niego z uwagą. Badr-al-Dudża -tak nazywała się córka jej pana, nie ona.

- Dlaczego? - zapytała.

- Ponieważ tylko wtedy będziesz bezpieczna, dziecko - odrzekł po chwili milczenia. Bezpieczna? Zaciskając lepkie palce na brzegu niebieskiej miseczki, Serafina popatrzyła na dziedziniec, kuchnię, stajnię i pracownię z paleniskami.

- Jestem tu bezpieczna - oznajmiła z uporem.

Kara Ali nie zbeształ jej za zuchwałość, tylko potrząsnął głową.

- Są ludzie, którzy źle ci życzą, dziecko - powiedział łagodnie. Nie zrozumiała jego słów. Czemu miałyby zmienić imię i zapomnieć o domu, o rodzinie?

Medyk przez chwilę milczał. Słońce było wciąż wysoko na niebie i rzucało ostre cienie, pogłębiające jeszcze zmarszczki na jego twarzy.

- Kto odziedzyczyłby wasz majątek po śmierci twego ojca, dziecko? Czy masz braci? - zapytał.

Serafina potrząsnęła przecząco głową. Od najmłodszych lat znała swą pozycję w domu rodzinnym.

- Mam tylko kuzyna z nieprawego łoża - odpowiedziała. -Ale wszystko będzie - jest - moje.

Nie pomyślała o tym wcześniej. Że ona, mająca teraz dziesięć lat, jest głową rodu Guardich. Potem przypomniała sobie nieznanego messera Corsiniego.

- I mojego męża, oczywiście - dodała. - Płynęliśmy do Pizy, gdzie miały się odbyć moje zaręczyny z pewnym dobrze urodzonym mężczyzną z Florencji.

Medyk odezwał się, nie patrząc na Serafinę:

- A gdybyście zginęli, ty i twój ojciec, któż wówczas odziedzyczyłby dom i firmę?

- Nie wiem. - Nigdy nie rozważała takiej możliwości.

Kara Ali wskazał jej miejsce obok siebie na brzegu fontanny.

- Posłuchaj, janczar, który tu był przed chwilą, ofiarował mi dużą sumę pieniędzy za to, bym cię zgładził. Oświadczyłem, że zmarłaś na febrę, której nabawiłaś się w więzieniu. Pokazałem mu grób mojej córki i powiedziałem, że to twój.

Mimo że dzień był gorący, Serafinę przeszedł nagły dreszcz. Jej pan powiedział janczarowi, że ona nie żyje. Ten janczar proponował Kara Alemu pieniądze, by ją zabił...

Błękitna miseczka wyslizgnęła jej się z rąk i roztrzaskała na kamiennych płytach. Serafina nie pytała już więcej dlaczego, przyjęła po prostu słowa medyka jako jeszcze jeden dowód na to, jak zły jest świat. Z początku nie mogła nic powiedzieć ani się poruszyć, ale po chwili padła na kolana i zaczęła zbierać kawałki porcelany. Palce jej zeszywniały i z trudem chwyciła delikatne odłamki.

Kiedy odzyskała zdolność mówienia, oznajmiła:

- A zatem będę Badr-al-Dudza, papo.

Użyła tego czułego słowa bez namysłu, ale pan poklepał ją tylko po głowie i rzekł:

- Allah z tobą, dziecko. I wszedł do domu.

Długo jeszcze siedziała na dziedzińcu. Słońce błyszczało w ozdobnych arkadach, w maleńkich strumykach wody w fontannie i w aksamitnych płatkach róż. Serafina trzymała na kolanach błękitne kawałki potłuczonej miseczki i po raz pierwszy zdała sobie sprawę z tego, że popełniła kradzież nie tylko ze względu na smaczne jedzenie, ale dla samego piękna rzeczy, którą następnie zniszczyła.

Straciła dom, rodzinę, własny język. Coś jej mówiło, że tak jest lepiej - to samo coś, co nauczyło ją kraść i udawać, przeżywać kolejne godziny, nie myśleć o przyszłości. Tak było łatwiej, wtedy nie bolało.

A jednak zaczęła też odczuwać złość, ukrytą gdzieś w głębi, pod warstwami uległości i pogodzenia się z losem. Mogli jej zabrać wszystko, co posiadała, wszystkich, których kochała, ale nie mogli pozbawić imienia, dopóki je pamiętała. Należało do niej i któregoś dnia znów go będzie używać.

- Nazywam się Serafina - szepnęła do siebie. - Nazywam się Serafina...

Część druga

1593

PUSTYNNNE OKOLICE

Zastanawialiśmy się wspólnie, jaki kierunek obrać, ujrawszy, że znaleźliśmy się w pustynnych okolicach.

„ZATONIĘCIE «TOBY'EGO»", RICHARD HAKLUYT

Niewierna Faith* - szepnął Thomas Marlowe z zachwytem, kiedy już złapał oddech i mógł coś powiedzieć.

Było południe, połowa sierpnia, ale niestosowny o tej porze roku deszcz bębniący po ulicach Greenwich nie zwrócił niczyjej uwagi w najlepszej sypialni Faith Whitlock. Na wypolerowanej dębowej podłodze stała sztywna halka, niczym pełen wyrzutu duch właścicielki, a z baldachimu nad łóżkiem zsuwał się powoli czarny, mokry od deszczu kapelusz, bezlitośnie przyciągany siłą ciężkości, a rzucony tam przed półgodziną pod wpływem równie bezlitosnej siły namiętności.

Faith Whitlock, udając urażoną, odrzekła:

- Nie kochałbyś mnie, Thomasie, gdybym była wierna.

- To prawda. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu i złapał swój kapelusz, gdy ten zsunął się wreszcie na podłogę. - I miły to sposób na spędzenie deszczowego popołudnia, prawda, kochanie?

- Zwykle tak. - Miedziane włosy kobiety rozsypały się po poduszce; Faith pozwoliła sobie na uśmiech.

Za oknem dźwięk spadających kropli mieszał się z ulicznymi nawoływaniami i odgłosami z pobliskich doków, dając efekt nasączonego wilgocią szumu. Thomas Marlowe, z czarnymi włosami poskręcanymi od deszczu, z ulubionym kapeluszem na nagiej piersi, leżał z przymkniętymi oczami, oddając się marzeniom o swym statku.

Czteromasztowiec, smukły i nie tak przeciążony od góry jak ów przeklęty „Toby” Richarda Stopera. Z osprzętem rejowym,

* Faith - jako rzeczownik pospolity znaczy w języku angielskim „wiara” (przyp. tłum.).

oczywiście, i zbudowany z najlepszego angielskiego drewna dębowego. Będzie dwa razy szybszy od „Toby'ego” i dwa razy bezpieczniejszy, już on się o to postara. Faith czując, że kochanek oddalił się od niej myślami, jeśli nie fizycznie, poruszyła się i oświadczyła stanowczo:

- Lucy może zaraz pojawić się z powrotem. I naprawdę muszę pomówić z kucharzem o jutrzejszym obiedzie, Edward bowiem wraca...

Thomas przewrócił się na bok i oparł na łokciu. Czarny kapelusz upadł wreszcie z plaśnięciem na podłogę. Marlowe pieścił ręką i ustami pełną, białą pierś kochanki.

- Lucy i Ned zapewne nie wrócą wcześniej niż za godzinę. Ned nie opuści doków, póki Lucy nie powie mu, jak nazywają się wszystkie statki. Ten chłopak - mówił Thomas, wędrując dłonią, a potem ustami po płaskim, białym brzuchu Faith - zostanie kiedyś żeglarzem. Przyszłego lata nauczę go rozpoznawać gwiazdy. A jeśli chodzi o Edwarda, jutro można mu podać mięso i wino. - Zerknął w górę i wykrzywił się w uśmiechu: - Dokładnie to samo, co ja mam dziś na obiad.

Po dziesięciu minutach Faith odezwała się łagodniejszym tonem:

- Czy pytałeś już pana Stapera?

Deszcz wciąż bębnił w okna. Thomas opadł z powrotem na poduszkę i odpowiedział z ponurą miną:

- Tak. - Zmienił głos, naśladowując w złośliwy, lecz udany sposób Richarda Stapera, założyciela Angielskiej Kompanii Lewantyńskiej. - Jest pan sternikiem, panie Marlowe. Doskonałym sternikiem. Ale nie budowniczym okrętów. - Spochmurniał jeszcze bardziej. - Próbuje namówić mnie, bym stanął za sterem „Toby'ego”.

Faith, będąca od dziesięciu lat żoną kupca, rzekła rozsądnie:

- Edward mówi, że „Toby” to dobry statek.

- Ten cały „Toby” to przeciętny żaglowiec i nic więcej. Mój będzie wspaniały - najwspanialszy.

Zupełnie nagi Thomas wstał z łóżka, podszedł do okna i z groźną miną zaczął się wpatrywać w zalane deszczem doki.

- Więc powiedziałeś panu Staperowi...? - ciągnęła Faith.

- Powiedziałem mu, że może posłać na dno swego cholernego „Toby'ego” wraz z owym głupim kapitanem, którego wyprawia tym statkiem na morze.

Faith, starsza od Thomasa o pięć lat, westchnęła, jakby wzdychała nad własnym upartym synkiem.

- Tak więc pan Staper ofiarował ci pięćset koron i pozwolił korzystać ze stoczni? - spytała ironicznym tonem.

Jej kochanek odwrócił się z nieco zakłopotaną miną.

- Niedokładnie tak - potrząsnął przecząco głową. - „Toby” odpływa jutro rano, Faith, a ja mam rację co do jego kapitana. Nazywa się George Goodlay, jest mniej więcej w moim wieku i ma tyle rozumu, co twój Ned. Jest kapitanem - mówił Thomas, odchodząc od okna - ponieważ jego ojciec oddał Richardowi Staperowi jakąś przysługę. To wszystko. Wie o morzu mniej od ciebie, kochanie.

Z dołu dobiegł ich odgłos zatraskiwanych drzwi.

- To Lucy - oznajmiła spokojnie Faith, upinając bujne, rude włosy na czubku głowy.

- Port wreszcie im się znudził...

Przerwała. W holu poniżej słychać było męskie kroki, a nie chodaki niańki czy głosik małego dziecka wołającego matkę stanowczym tonem.

- Edward! - szepnęli razem Faith i Thomas, a ten ostatni, chwytając w pośpiechu spodnie i kapelusz, wybiegł na schody.

Za późno. Wpadli na siebie, on i Edward Whitlock, a jeśli do połowy zawiązane bryczesy i naga pierś nie były wystarczającym dowodem, nagły odwrót dziwnego gościa i skok ze szpadą w rękę w kierunku okna sypialni dopełniły obrazu.

Faith Whitlock, żalując w duchu, że nie okazała się wierniejszą żoną, zgodnie ze swym imieniem, usiadła na małżeńskim łożu i była świadkiem całej sceny. Jej kochanek ze szpadą w zębach, w kapeluszu okrywającym ciemne loki, zniknął prędko w oknie. Mąż zaś, w humorze gorszym niż zwykle po długiej podróży, wpadł do sypialni i rzucił swej grzesznej małżonce oskarżycielskie spojrzenie, po czym wybiegł po pistolety. Thomas zaplątał się w bluszczu, słychać było, jak pod ciężarem uciekiniera kruszą się cegły i trzaskają rynny, potem rozległ się nedorzeczny wybuch - to Edward zdołał wystrzelić z pistoletu w deszcz. Faith usłyszała jeszcze cichy krzyk: „Jezu!” - Thomasa, i groźbę Edwarda: „Jeśli kiedykolwiek zobacę cię w Londynie, odstrzelę ci tę twoją cholerną dupę!”. Słychać było jeszcze jakiś łoskot przy murze, szelest liści, a Faith ukryła twarz w dłoniach.

Następnego ranka Thomas Marlowe odpłynął z Blackwall jako sternik na „Tobym”.

Podczas kolejnych tygodni z pewną satysfakcją upewnił się, że miał rację co do „Toby'ego”. Ten statek handlowy o wyporności dwustu pięćdziesięciu ton miał płynąć do Livorno, Zante i Patras, z ładowniami zapchanymi towarami wartości dwunastu tysięcy funtów. Załoga składała się z całkiem rozsądnych ludzi, a Thomas, jak powiedział wcześniej właściciel statku, okazał się doskonałym sternikiem. Ale kapitan...

Kapitan, rozmyślał Marlowe ze znużeniem, kiedy minęli strefę sztormów szalejących w Cieśninie Gibraltarskiej, jest głupcem. Nie przyjmował żadnych rad, nawet doskonałych propozycji Thomasa. Nosił wytworzone, bufiaste pludry i francuską kryzę wokół szyi podczas tropikalnej burzy. Ten człowiek, krótko mówiąc, mógłby być ozdobą w Whitehall, ale na pokładzie małego, delikatnego, drewnianego statku wydawał się niepotrzebnym ciężarem. Thomas, który nie spał dwie doby, miał ogromną pokusę, by przyłożyć mocno swemu zwierzchnikowi w ufryzowane starannie loczki, tak by wszyscy pozostali mogli bez przeszkód wykonywać swe zajęcia. Jedynie spokój i zdrowy rozsądek Williama Williama, który na statku był cieślą, powstrzymał go od tego.

- Kiedy odzyska przytomność, zakuje cię w łańcuchy i będzie się upierał, żeby samemu przejąć ster. A wtedy wszyscy przyłączymy się do chóru syren na dnie morza. - Cieśla odwrócił się do Thomasa. - Chyba że myślałeś o tym, by załatwić na dobre?

- Taka możliwość również przemknęła mi przez głowę. - Thomas wałnął zaciśniętą pięścią w drewnianą ściankę kabiny sternika. - Nie byłoby większej różnicy, gdyby zakuto mnie w kajdany, Will. Nasz drogi pan Goodlay nie zważa na żadne moje słowa.

- Tak. - William Williams potrząsnął głową.

Statek przechylił się gwałtownie, aż klepsydra potoczyła się po stole. Marlowe złapał ją w locie, zanim upadła na podłogę, podniósł kapelusz i wyszedł na środkowy pokład.

George Goodlay stał przy bezanmaszcie, w jednej ręce, obciążonej haftowaną rękawiczką, trzymał trzcinową laseczkę, drugą wodził po maszcie. Starannie uczesany, z małą, spiczastą bródką, miał na sobie pikowany, purpurowy płaszcz z aksamitu oraz ozdobiony sprzączką z perłą i piórami kapelusz.

Thomas, czyniąc nadludzki wysiłek, by zachować się grzecznie, uklonił się i oświadczył:

- Wydaje mi się, panie kapitanie, że mogliśmy nieco zboczyć z kursu. - Musiał krzyknąć, by jego głos przebił się przez wiatr i deszcz.

Kapitan, nie zadając sobie trudu, by się odwrócić, odpowiedział:

- Oczywiście, to pan jest za to odpowiedzialny, panie Marlowe.

Thomas usiłował zapanować nad sobą. Pod wpływem deszczu George'owi Goodlayowi loki przykleiły się do czoła, rondo u kapelusza i kryza opadły żałośnie. W świetle błyskawic, które rozświetlały od czasu do czasu niebo, widać było, iż skóra kapitana nabrała interesującego odcienia zieleni.

- Zepchnęło nas zbyt daleko na południe, panie kapitanie, i płyniemy za blisko wybrzeża. Będzie pan musiał zmienić nieco kurs statku.

Wyjątkowo wielka fala zalała aksamitne ubranie George'a Goodlaya i płócienne portki Marlowe'a. Kapitan poprawił kapelusz, a potem utkwiał w Thomasie pogardliwe spojrzenie szarych oczu.

- Będę musiał, panie Marlowe? Zapomina pan, kto tu jest kapitanem.

Thomas zapanował nad odruchem, by go uderzyć, i syknął:

- A pan zapomina, kto tu jest sternikiem. - I wcisnąwszy na głowę kapelusz, sztywnym krokiem opuścił pokład.

Tego samego wieczora sztorm zaczął słabnąć. Jedyne suche rzeczy na „Tobym” były teraz cenne bele tkanin wełnianych z Hampshire i Devonshire, tuzin ozdobionych taftą kapeluszy, sześć tuzinów holenderskich koszul i skrzynki z cyną stłoczone w ładowni. Cała załoga miała potargane i splątane od soli włosy i czerwone obwódki wokół oczu od wiatru i z wyczerpania.

Thomas Marlowe jednak nie spał jeszcze. Stał na pokładzie, oparty o rzeźbioną barierkę i patrzył na czerwone słońce nad horyzontem, a jego zmęczony umysł wciąż próbował określić położenie statku.

Byli zbyt daleko na południe i zbyt blisko wybrzeża. Dwa dni temu dostrzegli szczyt Bujeo, a zatem przepłynęli wczoraj obok cieśnin, a nie przez nie, więc są gdzieś w pobliżu Wybrzeża Berberyjskiego, na zachód od przylądka Espartel. Powinni trzymać

się z dala od brzegu, niebezpiecznych przyływów i odpływów oraz mielizn i skierować się z powrotem w stronę cieśnin.

A zamiast tego, korzystając ze sprzyjającego wiatru mieli przez całą noc płynąć pod żaglami z fałszywą nadzieją, że nadrobią stracony czas. Sine słońce zniknęło za horyzontem, gdy Thomas Marlowe jęknął, ukrywając twarz w dłoniach. Gdyby tylko potrafił wyjaśnić George'owi Goodlayowi, że astrolabium może służyć mu jedynie pomocą, a nie jest wyrocznią. Gdyby tylko umiał wytłumaczyć, że ma we krwi żeglarstwo, czuje kierunek fal, linię brzegową i pogodę. Wówczas ten człowiek coś by może pojął, zamiast widzieć w nim małego, bezczelnego parweniusza, któremu trzeba wskazać, gdzie jego miejsce. Ale podczas każdej rozmowy z George'em Goodlayem Thomas Marlowe czuł się traktowany jak zuchwały uczeń. William Williams, prosty, niewykształcony William Williams lepiej sobie radził z kapitanem. Nawet William Williams nie był jednak w stanie przekonać George'a Goodlaya, by zgodnie z radami sternika zrezygnować z obranego wcześniej kursu. Thomas wiedział, że to musi się zakończyć katastrofą.

Katastrofa nadeszła półtorej godziny przed świtem. Marlowe spał w tym samym miejscu, gdzie wcześniej stał, zwinięty jak niemowlę na mostku, w jednej ręce wciąż ściskając rondo przemoczonego kapelusza. Obudził się, zanim marynarz stojący „na oku” pojął, co się dzieje. Oprzytomniał szybko, czując, że pokład drży, belki skrzypią, a „Toby” wpada na mieliznę.

Był już na nogach i znalazł się przy burcie, gdy „oko” zawołał:

- Wszystkie ręce na pokład! Osiedliśmy na mieliznie! Odwróciwszy się, Thomas zobaczył George'a Goodlaya, jak

wychodzi zaspany z kabiny na przedni pokład. Marlowe powoli zacisnął palce na rękojeści noża, ale nie się odezwał. Było za późno na słowa: fale waliły w drewniany kadłub statku, a nieznane Berberyjskie Wybrzeże połyskiwało na horyzoncie niczym niedostępna Utopia.

Thomas usłyszał, jak cieśla mruknął mu do ucha:

- Jezu Chryste! - i zobaczył, że William ukradkiem robi znak krzyża. Kapitan upadł na kolana i pochylił głowę w modlitwie.

Marlowe podszedł do niego i zapytał, siląc się na grzeczność:

- Czy mamy odrąbać główny maszt, panie kapitanie? George Goodlay spojrział na niego i podniósł się niepewnie.

- Moja wina - powiedział. - Niech Bóg mi wybaczy...

Jeśli nawet Thomas czuł jakąś litość wobec braku doświadczenia czy instynktu tego człowieka, to zniknęła ona bez śladu, gdy kapitan dodał:

- Nie, panie Marlowe, nie będziemy ścinać głównego masztu. Spuścimy na wodę szalupę.

Thomas zacisnął zęby aż do bólu.

- Statek się przewróci - odrzekł, zaciskając szczęki. - Jest zbyt ciężki od góry, z masztami i postawionymi żaglami. Do szalupy zmieści się z tuzin, może półtora tuzina ludzi...

Spod pokładu dobiegły krzyki.

- Nabieramy wody! - zawołał ktoś i Thomas poczuł, że „Toby” zaczyna poruszać się w innym rytmie, stał się bowiem cięższy, gdy morze wdarło się do środka.

Nie czekał ani chwili dłużej: wraz z innymi rzucił się, by podtrzymać główny maszt, gdy cieśla go odpiłowywał. Za późno, za późno! - kołatało mu w głowie w rytm uderzeń fal i zgrzytu piły. I miał rację: gdy maszt spoczął na pokładzie, kadłub statku, osłabiony naporem wody od środka i z zewnątrz, zaczął się łamać na dwie części.

Thomas znalazł się wysoko na wantach przedniego masztu. Było tam także wielu innych członków załogi, ale niektórzy zostali na rufie i walczyli teraz o życie wśród fal. Ciężka, zielona woda rozbijała się o burty. Jesteśmy, pomyślał Marlowe, jakieś pół mili od brzegu. Ktoś zaczął śpiewać dwunasty psalm.

- Ratuj, Panie! - mrucał do siebie Thomas Marlowe, gdy przypinał nóż do pasa i wpychał kapelusz pod koszulę.

A potem zapanował już zupełny chaos, jako że przedni maszt, osłabiony ciężarem ludzi i siłą fal, upadł wraz z żeglarzami do wody.

Jeśli tonący przypominają sobie całe życie, gdy słona woda wdziera im się do nosa, oczu i ust, to Thomas Marlowe ujrzał Greenwich, doki i morze, a także lata spędzone w szkole, które pozwoliły mu się wznieść ponad własne niskie pochodzenie, czyniąc zeń sternika, a nie zwykłego bosmana. Zobaczył też szereg pięknych dziewcząt w różnym wieku, różnych ras i o różnych temperamentach umiłających mu życie, odkąd skończył szesnaście lat. Wreszcie zaś ostatnie lata, kiedy pływał dla Towarzystwa Lewantyńskiego, nie najgorzej zarabiając. Ale przede wszystkim statek, jego własny statek, ten, który wciąż

istniał tylko w głowie Thomasa, ale który kiedyś zbuduje, musi budować.

Później zawsze uważał, że to właśnie myśl o statku nie dała mu zginąć w zielonych odmetach, dodając sił do walki z potężniejszym przeciwnikiem. W końcu przebił głową taflę fal, w płucach poczuł powietrze i poruszając silnymi, muskularnymi ramionami, począł automatycznie niemal, acz mozolnie, walczyć o życie, płynąc w kierunku lądu.

Częściowo płynął, częściowo popychało go zwycięskie morze. Thomas nie potrafił już myśleć o niczym innym, tylko o miarowym odgarnianiu wody rękami i potężnym haucie powietrza, który musiał wziąć za każdym razem, gdy zdołał wynurzyć głowę. Kiedy kolanami uderzył w piasek, po długich - jak mu się wydawało - godzinach walki, nie mógł zrobić kroku, doczołgał się tylko do brzegu, słaby jak niemowlę.

Nie wiedział, jak długo tam leżał, rozciągnięty na plaży niczym niezgrabna rozgwiazda, z głową do połowy zagrzebaną w białym, drobniutkim piasku. Nie wiedział, czy spał czy też stracił przytomność, ale zdawał sobie sprawę, z leciutkim odcieniem triumfu, że wymknął się śmierci.

W końcu uświadomił sobie, że ostre słońce praży go w niczym nieosłoniętą głowę, pali go w kark i wysusza włosy, które wyglądały teraz jak czarne, stwardniałe od soli sprężynki. Z trudem przewrócił się na plecy, czując, że kończyny wciąż ma słabe i drżące, jakby w gorączce. Koszula i obcisłe spodnie z tyłu były już suche. Thomas leżał, jedną ręką zasłaniając oczy, a drugą wyciągnął zza koszuli nasiąknięty wodą kapelusz.

Wreszcie usiadł i osłaniając oczy, popatrzył na morze. Z początku nie dostrzegł „Toby'ego”. Gdy Thomas z trudem płynął w stronę brzegu, znosił go wiatr i ostatecznie dotarł do małej zatoczki otoczonej skałami. Po chwili zobaczył resztki kadłuba statku wbite w piach, z bezanmasztem wyłaniającym się spod fal niczym kruche źdźbło słomy. Sternik był dość krytyczny wobec „Toby'ego”, ale teraz czuł się tak, jakby zmuszono go do oglądania powolnego konania przyjaciela. Wreszcie podniósł się z trudem.

Zarówno morze, jak i wybrzeże pokryły już szczątki wraku statku. Wszędzie wałały się liny i żagle, deski, pale i całe owo wzruszające zbiorowisko przedmiotów codziennego użytku. Filizanki i butelki, baryłki i chustki, wyrzucone na obcy brzeg,

leżały na piasku wraz z kamykami w dziwnych kolorach i egzotycznymi muszelkami. Thomas, idąc chwiejnym krokiem wzdłuż brzegu, zobaczył książkę z przemoczonymi, pozlepia-nymi kartkami i małą butelkę piwa z obłuzowanym zamknięciem, której zawartość wsiąkała szybko w piasek. Potem jego wzrok przyciągnął większy, łatwo rozpoznawalny przedmiot, kołyszący się na falach w pobliżu skał, gdy nagle pod nogami dostrzegł aksamitny kapelusz. Zachłanne morze zerwało i połknęło pióra, ale sprzączka z perłą była na miejscu.

Thomas zamknął oczy i odwróciwszy się, długo i głośno wymiotował. Kiedy wyrzucił z siebie nasiąkniętą słońcą wodą zawartość żołądka, poczuł, że głowa mu już nie ciąży, a kończyny stały się nieco bardziej posłuszne. Żył i to się liczyło. Musi określić swe położenie i pomyśleć, co robić dalej.

Przypuszczał, że znajduje się w Afryce Północnej, na brzegu Atlantyku, gdzieś między Tangerem i korsarskimi portami Sale i Rabatem. A zatem powinien się skierować na północ, z powrotem w stronę Morza Śródziemnego. Najpierw jednak musi się dowiedzieć, czy tylko on przeżył katastrofę.

Thomas zaczął się gramolić na jedno ze skalistych wzniesień otaczających zatokę. Skała była czarna i ostra, kaleczyła mu ręce i stopy. Pamiętał, że opuszczając „Toby'ego” zrzucił buty, ale był zadowolony, że zatrzymał kapelusz. Słońce prażyło niemiłosiernie.

Kiedy dotarł już prawie na sam szczyt, przystanął, by złapać oddech. Poraził go jakiś metaliczny błysk, promienie słoneczne odbijały się od czegoś ze zwielokrotnioną mocą. Wspiąwszy się wyżej, ujrzał małą, drewnianą skrzynkę, poruszaną przez fale, która utkwiała w jednej z ciemnych rozpadlin. Przez dziurę w ścianie wysypywały się małym strumyczkiem złote monety i powoli opadały na morskie dno.

Złoto należące do Kompanii Lewantyńskiej, przeznaczone na łapówki, które miały pomóc w zawieraniu transakcji! Sto koron albo i więcej leżało ukryte bezpiecznie w kajucie kapitana, póki statek nie zawinie do portów w Livorno czy Zante. Ale „Toby” nigdy już tam nie dotrze.

Thomas zacisnął ponuro usta i podjął wspinaczkę. Po raz pierwszy usłyszał jakieś inne dźwięki poza szumem fal rozbijających się o skały. Ludzkie głosy. W szczelinie między skałami zobaczył następną zatokę i szeroki pas piasku. Rozpoznał cie-

śle Williama Williamsa, i około tuzina innych marynarzy. Miał już stanąć na szczycie i pomachać kapeluszem, ale nagle uderzyła go pewna myśl. Sto koron albo i więcej. Zagubionych, jak się zdawało, we wraku „Toby'ego”. Sternik nie mógł złapać powietrza, miał uczucie, jakby woda morska wciąż wdzierала mu się do płuc. Gdyby zawołał swych towarzyszy ze statku, wówczas jeśli by im się poszczęściło, wróciliby z nimi do Londynu i dalej pracowałby jako sternik na statkach kompanii.

A gdyby nie zawołał swych towarzyszy...

Sto koron wystarczyłoby, aby mógł zacząć budować własny statek. Sto koron i jakiś dogodny port, gdzie nie zadawano by żadnych pytań.

Nie było nad czym się zastanawiać. Pozostali poradzą sobie równie dobrze i bez niego.

- Ratuj, Panie! - szepnął do siebie Thomas, gdy zaczął wygrzebywać złoto ze skalnej rozpadliny i wrzucać je do kapelusza.

Z początku wędrowało mu się całkiem łatwo.

Wbrew temu, co postanowił na początku, szedł w głąb lądu, kryjąc się w cieniu tamaryszków i pinii. Pod gołymi stopami miał biały piasek i suche sosnowe igły. Mięśnie bolały go po walce z falami, ale czuł się dziwnie beztrosko. Żył; morze nie wyrzuci jego białego, nasiąkniętego wodą trupa na wrogi brzeg. Z wraku statku zabrał butelkę na wodę i kubrak. Kryjąc się wśród drzew, rozpruł w nim podszewkę i ukrył pod spodem złote monety.

Las przeredził się, zamieniając się w zarośla, a słońce prażyło niczym błyszczący, miedziany gong. Od kiedy Thomas zostawił swych towarzyszy na plaży, nie widział żywej duszy, ale był zadowolony, mając za jedyne towarzystwo owady i jaszczurki. Strój zdradzał w nim Europejczyka, a brak konia czy wielbłąda oraz jakiegokolwiek broni sprawiał, że okazałby się słabszy od prawie każdego napotkanego człowieka. Nawet jego skóra różniła się od skóry tubylców: słońce spaliło mu już kark i odkryte części rąk i nóg.

Rozwazał, jaką odległość musi pokonać, chcąc dotrzeć na wybrzeże i przypominał sobie skąpe wiadomości, jakie miał na temat Maroka. Statki Kompanii Berberyjskiej handlowały z Ara-

bami od 1585 roku. Sam Thomas nawet osobiście kilkakrotnie zawinął bezpiecznie do portu w Sale. Wiedział jednak, że Berberowie zmusili wielu angielskich jeńców do pracy na statkach i na lądzie; wędrownie plemiona żyjące na pustyni nie uznawały żadnych praw prócz swoich. Ale w końcu, rozmyślał beztrosko, całkiem niedawno dwukrotnie uszedłem z życiem, uniknąwszy najpierw kuli, a potem śmierci w morskich odmętach.

Wędrował aż do zmroku, żywiąc się tylko korzeniami daktyli i oliwkami. Kiedy zapadła ciemność, zwinął się pod drzewem oliwkowym i zasnął, a z nieba spoglądały nań znajome gwiazdy.

Następnego ranka obudził go czyjś głos. Sternik nie rozumiał słów, które przypominały wrzask małpy w menażerii albo skretyniałego dziecka. Tylko że nie były to ani małpa, ani dziecko: Marlowe przekonał się o tym, gdy tylko oprzytomniał, czując, że ktoś trąca go nogą w głowę i dźga szablą w brzuch. Thomas otworzył szeroko oczy. Ujrzał mężczyznę, właściciela buta oraz szabli, ubranego w podartą, brudną szatę, która może kiedyś była biała. Człowiek ów cuchnął i szczyrzył zęby w uśmiechu.

Siadając, Thomas zaprezentował także swój najuprzejmiejszy uśmiech, który miał zarezerwowany dla najbogatszych właścicieli statków i najpiękniejszych kobiet. Następnie usiłował sobie przypomnieć jakieś powitalne słowa we wszystkich językach, z którymi się kiedykolwiek zetknął, sprawdzając jednocześnie, czy jego sztylet wciąż tkwi za pasem. Ani uśmiech, ani miłe słowa nie odniosły jednak większego skutku: trącanie zamieniło się w kopnięcie, ostrze zaś dźgnęło go nieco mocniej, aż pojawiła się krew.

Był wczesny ranek. Na horyzoncie wstawało słońce, trawa pozostawała jeszcze mokra od rosy. Napastnik nie wyglądał na szczególnie silnego, a w pobliżu stał przywiązany do drzewka oliwkowego koń, bardzo przydatny w obecnej sytuacji. Thomas potrzebował wierzchowca, potrzebował także bukłaków z wodą, które, jak widział, wisiły u siodła. Gdy wstawał, nadal się uśmiechając, jedną rękę zacisnął na rękojeści sztyletu.

Nie miał jednak szansy użyć noża. Nagle poczuł coś zimnego na spalonej skórze karku, a potem czyjaś ręka chwyciła go za nadgarstek i zmusiła, by otworzył palce. Zanim zdołał policzyć do dziesięciu, liczne ciosy i kopniaki pozbawiły go przytomności.

Zabrali mu nóż, kapelusz, chusteczkę, ale nie kubrak, Bogu dzięki. Kiedy Thomas się ocknął, słońce stało już wysoko, a on wciąż leżał na plecach w tym samym gaju oliwkowym. Powoli otworzył zapuchnięte, obolałe oczy i zerknął z ukosa na silne słońce. Czuł, że na twarzy i szyi ma zaschniętą krew; jego ciało, pokryte sińcami po wczorajszej walce z morzem, wydawało się obite niemal na miazgę.

Otaczali go mężczyźni, kobiety i obdarte dzieci. Nieostre postacie przesuwały się i chwiały w blasku słońca. Kilka wynędzniałych mułów, obciążonych ponad miarę wielbłądów i stado owiec pasło się nieopodal oliwek. Thomas spróbował usiąść. Miał spętane ręce i stopy, przywiązany był mocno za nadgarstki do pnia drzewa. Nie zdołał powstrzymać jęku.

Otrzymał kopniaka w brzuch, co podwoiło jeszcze ból, a po chwili przecięto mu sznury na kostkach i postawiono go na nogi. Zobaczył, że karawana zaczyna się zbierać do drogi. Wielbłądy powiązane, załadowano kosze na muły. Zastanawiał się, jakież to los przewidziano dla lekkomyślnego sternika okrętowego, który okazał się na tyle głupi, że dał się wyrzucić na Berberyjskie Wybrzeże. Był ciekaw, czemu zostawili go przy życiu.

Już wkrótce się dowiedział. Miał służyć w charakterze jucznego zwierzęcia, podobnie jak konie, wielbłądy i muły. Na plecy zarzucono mu ładunek, ręce przywiązano do czyjejś uzdy i dostał batem w plecy na początek długiej wędrówki na południe.

Thomas zauważył, że kierują się na południe, ale wkrótce stracił rachubę dni i godzin. Nie sądził, żeby zmierzali do Rabatu czy Sale, ponieważ zbliżali się do gór. Ziemia robiła się coraz bardziej jałowa, a skrawki bujnej przyrody coraz rzadsze. Dawano mu tyle wody i jedzenia - daktyli, oliwek i odrobinę chleba - aby przeżył i mógł dźwigać swój ładunek. Gdyby nie to, że lata na morzu uczyniły organizm Thomasa silnym, padłby drugiego dnia wędrówki i zostawiono by go, aby umarł tam, gdzie runął. Ale tak - było mu ciężko, ale nie ciężej niż na statku podczas sztormu.

Wędrowali powoli, robiąc jakieś trzy mile dziennie, według jego szacunków. Po pewnym czasie postawienie kolejnego kroku stało się czynnością zupełnie mechaniczną, nie czuł też już prawie ciężaru ładunku na plecach. Gdy nadażał za resztą rozproszonej karawany, nie otrzymywał razów. W południe chro-

nili się, gdzie tylko mogli, przed palącymi promieniami słońca, w nocy Thomas spał pod gwiazdami, zaś ci, którzy go pojmali, śmiali się, kłócili i palili haszysz w namiotach z kozłej skóry. Gdy miał czas na rozmyślenia, mówił sobie, że musi być cierpliwy, oszczędzać siły i czekać na właściwą chwilę.

Stracił rachubę dni spędzonych w niewoli; wydawało mu, się, że minęły już dwa tygodnie, może trzy. Podróż na „Tobym” i zatonięcie statku stały się wspomnieniem, które nie sprawiało już Thomasowi bólu, ale gdy szczegóły zaczęły mu się zacierać w pamięci, znów poczuł dawną niecierpliwość. Nie po to przyszedł na świat, żeby stać się zwierzęciem pociągowym. Zamierzał wszak zbudować statek i popłynąć na nim do najdalszego zakątka ziemi, z którym warto handlować. Miał teraz pieniądze - zdjął wcześniej koszulę, by osłonić sobie głowę i kark przed słońcem, ciężki kubrak uderzał go po udach i lepił się do nagich pleców. Pozostało mu jedynie znaleźć właściwe miejsce, wynająć cieśli okrętowych i wybrać drewno. Potrafił dokonać tego wszystkiego i niecierpliwie na to czekał.

Właściwa chwila nadeszła, tak jak się spodziewał, pewnej nocy. Przywiązany do drzewa, Thomas obserwował bacznie sy» tuację wokół. Rozgwieżdżone niebo oświetlało scenę, jaka się przed nim rozgrywała: widział nomadów - ich szaty odcinały się blado w świetle księżyca - i czuł ciężki, słodki zapach haszyszu. To dobrze, punkt dla uciekiniera. Dostrzegł też bukłaki na wodę, które pomagał napełniać przy strumieniu, piętzące się przed namiotem. Jeszcze lepiej.

Thomas wodził niebieskimi oczyma w ciemnościach, próbując znaleźć trzeci element, który umożliwiłby mu ucieczkę. Jakiś ostry kamień. Dobry Boże, spraw, żeby jakiś ostry odłamek skały znalazł się w pobliżu! I leżał tam; serce Marlowe'a, zazwyczaj tak spokojne, zaczęło uderzać mocniej i bardziej nerwowo; z trudem powstrzymał się, by nie krzyknąć z zachwytu. Począł bezszelestnie przysuwać jedną nogą ów zbawczy kamień do siebie.

W ciągu kilku minut ostry gład znalazł się za plecami jeńca, wciśnięty między gałęzie. Thomas zabrał się do przecinania zwojów sznura, nie spuszczać ani na chwilę spojrzenia z czarnych namiotów. Chwilami kamień trafiał w obolałe, pokryte pęcherzami nadgarstki, ale Thomas nie ustawał, aż poczuł, że więzy obluzowały się i puściły.

Musiał zachować cierpliwość. To tak jak z nawigacją: bezczynność może być równie ważna jak działanie. Dym wydobywający się z namiotu sprawił, że Thomasa ogarnęło nawet rozleniwienie. Jeszcze trochę, a i on przestanie się czymkolwiek przejmować. Odwróciwszy głowę, nabrał w usta świeżego powietrza, utkwiał wzrok w odległym końcu obozu i zamrugał oczami.

Z początku nie chciał wierzyć własnym oczom - to z pewnością narkotyczny sen, złudzenie wywołane dymem z konopi, którym zaciągali się tamci w namiocie. Po chwili jednak uwierzył i z radością czekał na rozwój wydarzeń, napiąwszy wszystkie mięśnie.

W obozowisku pojawili się nowi ludzie, ledwie widoczni, niby czarne duchy w świetle księżyca. Thomas dostrzegł Wielbłądy, wielkie i białe, z ozdobną uprzężą, przypominające blade, egzotyczne zjawy. Słabe światło odbijało się w fałdach szat jeźdźców i ostrzach ich szabel czy też sztyletów.

Napastnicy zamierzali okraść nomadów ze zwierząt i wszelakich dóbr. Bóg Thomasa, Bóg budowniczych statków i zarozumiałych londyńczyków, którzy wszystko zawdzięczali własnym wysiłkom - okazał się znów łaskawy. Zerkając pospiesznie w stronę namiotów Berberów, jeniec usłyszał stłumiony, leniwy śmiech i pomyślał, że niektórzy z jego porywaczy zapadają już w sen.

Teraz musiał złapać wiatr w żagle, trafić na właściwy prąd, a wszakże potrafił jak nikt inny skorzystać choćby z cienia szansy. Bardzo powoli Thomas wyciągnął nogi i przycisnął łokcie do ciała. Musi zabrać jeden z bukłaków na wodę i nóż, jeśli go znajdzie. Potem ruszy w stronę gór, po wolność.

Zerwał się, gdy grupa napastników przekroczyła granice obozowiska. Chwycił dwa bukłaki, zanim Berberowie zorientowali się, co się dzieje, a potem rzucił się biegiem, machając bosymi stopami, z krótkim, zakrzywionym nożem w rękę, nie czekając, aż rozpocznie się walka.

Następnego dnia o świcie sternik rozpoczął wędrówkę. Zdawał sobie sprawę, że Berberowie i napastnicy nie znajdują się zbyt daleko, a nie pragnął wcale, by odnaleźli go jedni czy drudzy. Uwolniwszy się od więzów, ciężkiego ładunku, drwiących głosów i nieodłącznego zapachu wielbłądziego łajna, uciekinier czuł rozpierającą go radość i beztroskę. Podśpiewując

i uderzając kijem w niskie zarośla, Thomas Marlowe rozpoczął długi marsz ku swemu przeznaczeniu.

Istniała tylko jedna trudność: nie miał pojęcia, dokąd zmierza. Maroko wydawało się pełne ludzi, których musiał unikać, a pozbawione miejsc, gdzie mógłby znaleźć schronienie. Ziemia stawała się wciąż coraz bardziej jałowa, gleba ustępowała miejsca piaskom, a niewielkie oazy drzew należały do rzadkości. Postanowił, że nadal będzie zmierzał na południe z tego tylko powodu, że marsz na północ mógł zaprowadzić go z powrotem na ścieżki wędrujących Berberów.

Podczas wędrówki upał narastał; na ciele Thomasa ucztowały chmury owadów. Odpoczywając w południe pod kępą palm i rozdrapując szkarłatne, spuchnięte miejsca po ukąszeniach, ujrzał w górze niebieską plamkę, jaśniejszą od błękitu nieba. Zimorodek, pomyślał, wiedząc, że nie ma tu owych ptaków. Ale oczyma duszy ujrzał statek, swój statek, z zarysem masztów niczym liście palmowe na tle południowego nieba, z nazwą wypisaną na burtach. „Zimorodek” - niebieskie porce trzepoczą na wietrze, zręczny żaglowiec mknie chyżo i z wdziękiem jak jego imiennik. Nada mu teraz nazwę sam, nie pozwoli, by ochrzcił go jakiś cholerny zawistny protektor.

- „Zimorodek”! - zawołał Thomas do moskitów i pustego, afrykańskiego nieba. - Nadaję ci imię „Zimorodek”!

Ale następnego dnia zaczął się obawiać, czy umknąwszy jednemu wrogowi, nie trafił na jeszcze gorszego. Nie znalazł najmniejszego śladu człowieka, a w bukłaku pozostało mu już tylko kilka łyków wody. Droga była coraz trudniejsza, a chociaż góry kusiły chłodem, to mimo forsownego marszu Thomasowi wydawało się, że nie zbliżył się do nich ani na krok. W zmęczonej głowie jawiły mu się obrazy lodowatych wodospadów i zaciemionych gajów. Przystając na krótko wśród skał, dających słabe schronienie, stwierdził, że gdy zamyka oczy, czuje strumień opadającej wody, słyszy szum liści. Ale gdy się budził i rozglądał wokół, widział jedynie blask słońca i gniazda niewielkich węży, które podobnie jak on chroniły się przed bezlitosnymi promieniami. Usta miał spieczone i popękane, powieki opuchnięte i pokryte bąblami. Ciężar wypełnionego złotem kubraka stał się uciążliwszy od pakunku, który kazali mu nosić Berberowie: przygniatał go i spowolniał krok.

Thomas począł mylić dzień z nocą. Szedł trochę, potem zaś odpoczywał i nie mógł już dłużej trzymać się określonego planu. Wszystko go bolało, myślał tylko o wodzie. Napełnił bukłak w małej, błotnistej kałuży w wypalonym słońcem wąwozie, ale zostało mu tylko kilka łyków. Nie jadł nic od wielu dni, ale nie czuł już głodu. Potrzebował wody, lodowatozimnej i krystalicznie przejrzystej.

Wydawało się jednak, że pustynia jest wszędzie, otaczało go morze piasku upstrzone skałami. Skóra mu krwawiła i bolała od ukąszeń owadów i palącego słońca, a dotykając skał w poszukiwaniu schronienia, poparzył sobie palce. Suche powietrze, piasek, rozpalone niebo były męczarnią.

W końcu nie mógł już iść. Nie dostrzegał nigdzie nawet plamki zieleni ani kropli wody. Niebo i piasek stopniowo zmieniały kolor z żółtego na wściekle czerwony i jaskrawo-biały. Kilka ospałych much uniosło się znad pustyni, gdy półprzytomny osunął się w ocienioną szczelinę między skałą a piaskiem. Gdyby miał siłę, zdjąłby kubrak, jego ciężar stał się bowiem morderczy. Przykrywszy sobie twarz strzępami koszuli, mamrocząc coś do siebie, Thomas Marlowe zamknął oczy.

Myślał o swojej rodzinie, o rodzicach, zmarłych podczas zarazy wiele lat temu, o starszym bracie, który miał tyle rozsądku, by oszczędziwszy nieco pieniędzy, kupić tawernę w South-wark. Robert nie umierał na dalekiej pustyni, ponieważ Robert nigdy nie rezonował, nie był uparty i nie miał obsesji na punkcie statków. Thomas myślał o Faith, o jej rudych włosach i kremowej, piegowatej skórze. Lubił hoże, szczodre, nieskomplikowane kobiety. Myślał o wszystkich swych podróżach w ciągu ostatnich dziesięciu lat, i myślał o „Tobym”, którego dosięgnęło przeznaczenie. Nie myślał już o „Zimorodku”. To „Zimorodek” go zabił.

Thomasowi wydawało się, że jest na pokładzie statku, słyszał wiatr w żaglach, czuł na twarzy chłodne kropelki morskiej piany.

Gwiazdy, kryształowe łyzy na czarnym aksamicie, mówiły o zmianie, konieczności podjęcia decyzji i kresie zadowolenia.

Później, w domu, rozmyślając o fazach ognia i hierarchii kolorów, stary medyk zastanawiał się, na czym polega istota zadowolenia. Szczęście to rzecz krucha: odnajdywał je i tracił

wiele razy, ale zadowolenie jest może nieco bardziej trwałe. Satysfakcja przychodzi z wiekiem, gdy rezygnujemy z oczekiwań, gdy granice pragnień zawężają się i ustalają.

Kara Ali był teraz starym, prawie siedemdziesięcioletnim człowiekiem. Nie kurował się już sam własnymi pigułkami ani innymi medykamentami, zażywał jedynie środki, które uśmierzały ból albo sprowadzały sen. Nie będzie się opierał śmierci, gdy ta nadejdzie. Zmienił narodowość i wyznanie, stracił jedną tożsamość, zyskując inną. Zdobyta wiedza i profesja były dlań zawsze pociechą, a jednak zawiodły go wtedy, kiedy najbardziej ich potrzebował. Pochował ukochaną żonę. Stracił jedną córkę, a znalazł drugą.

Serafina. Dźwięk tego imienia zaskoczył niemal starca: stwierdził, że przestał myśleć o niej jako o Serafinie. Nazywała się Badr-al-Dudża i czasami zapominał, że pierwsze dziecko

O tym imieniu już od dawna nie żyło i że pochował je w ogrodzie pod drzewem eukaliptusowym. Ciemnowłosa, ciemnooka Serafina stała się arabską dziewczynką równie łatwo jak jego własna córka z mieszanego małżeństwa. Czasami wydawało mu się, że odebrano mu kiedyś jego własne dziecko i oddano dziesięć lat później na targu w Algierze.

Tego wieczora jednak, gdy medyk z zadowoleniem patrzył na Serafinę siedzącą po drugiej stronie stołu i piszącą coś dla niego, przeszedł go nagle dreszcz niepokoju. Nie była już dzieckiem, lecz kobietą, skończyła piętnaście lat. Kara Ali przyglądał się dziewczynie, pochylającej głowę nad kartką. Była drobna jak na swój wiek i miała zręczną figurę. Poruszała się szybko

I cicho niczym mały ptaszek. Często, gdy odwracał głowę, pojawiała się bezszelestnie za jego plecami i nie słyszał nic poza szelestem wiatru w gałęziach. Jej skóra po sześciu latach pobytu na Wybrzeżu Berberyjskim stała się gładka i nabrała barwy ciemnej oliwki. Dziewczyna zachowywała się w stosunku do niego tak, że żaden ojciec nie mógłby pragnąć lepszej córki. Czemu zatem Kara Ali odczuwał teraz niepokój? Czy dlatego że owa zmiana, decyzja, którą przepowiadały gwiazdy, miała dotyczyć Badr-al-Dudży, a raczej Serafiny?

- Ojczy?

Podniosła głowę i spojrzała na niego pytająco, przerywając pisanie. Starzec poczuł ucisk w sercu; usiadł, nie okazując bólu i lekceważąc ostrzegawcze trzepotanie w piersiach.

Zmiana, decyzja i kres zadowolenia. To nie odnosiło się do niego, on już wszystko przeżył. To odnosiło się do dziecka, które los mu powierzył. Odkąd, przed wielu laty, dom Kara Alego odwiedzili janczarzy, nie było już żadnych niespodziewanych wizyt. A jednak medyk zachowywał ostrożność, trzymał dziewczynkę poza zasięgiem wzroku obcych i nigdy nie wziął jej ze sobą do Algieru. Nie okazywała z tego powodu niezadowolenia, jak jednak mógł znaleźć męża dla kobiety, która nie istnieje? Mogła być Badr-al-Dudzą dla przybywających gości, ale przy bliższej znajomości oszustwo wyszłoby na jaw, jak obawiał się Kara Ali.

Ogień w paleniskach prawie wygasł. Medyk nie mógł już sam podsycić płomieni, a nie chciał wołać Hassana. Kamień filozoficzny może poczekać na odpowiedniejszą noc. Zmusił się do uśmiechu.

- Już późno, dziecko. Idź do łóżka.

Patrzył, jak wyciera pióro, kładzie je obok kałamarza i posypuje papier piaskiem. Miała przyjemne, wyraziste rysy, lecz w jej oczach zawsze kryła się jakaś tajemnica. Wiedział, że ta dziewczyna nie mówi nikomu, nawet jemu, co naprawdę czuje. I on także miał swe tajemnice. Dotknął jej ręki, gdy Serafina przechodziła obok i wsłuchiwał się w lekkie kroki, kiedy przechodziła przez dziedziniec. Trzeba już wkrótce pozwolić, by dokonała wyboru, zanim jego własne, słabe zdrowie sprawi, że będzie za późno, pomyślał. Żeby zdecydować o swym przeznaczeniu Serafina musi znać okrutną przeszłość. Zbyt długo bawił się w Boga. Gwiazdy wskazują drogę: niebawem będzie wiedział, kiedy przemówić i co powiedzieć.

Thomas był na pokładzie statku. Wszystkie inne wydarzenia z ostatnich tygodni musiały mu się przyśnić, ponieważ płynął, czuł ruch fal. Poruszał się w górę i w dół, w górę i w dół, zawieszony w jakimś szczególnie niewygodnym hamaku.

Zdawał się odzyskiwać i tracić przytomność, ale kiedy uważał, że nie śpi, zawsze znajdował się na statku. Miło było znów żeglować; woda kapała mu do ust i połykał ją powoli, coś chłodnego koło jego rozpaloną, obolałą skórę. Tylko dźwięki nie pasowały; nie słyszał łopotu żagli ani tupotu bosych stóp na deskach pokładu. I dominował zapach czegoś - nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, czego - ale z pewnością nie były to smoła ani sól.

Wreszcie jednak ruch ustał. Thomas zdał sobie sprawę, że jakieś ręce wyciągają go z hamaka, a potem znów miał owo uczucie, na które czekał od wielu dni.

Lodowatozimna woda ściekała mu do ust; zakrztusił się, parsknął śliną i otworzył oczy.

Kiedy wreszcie zdołał opanować rozbiegane spojrzenie, uznał, że jest w niebie. Była tam nie tylko woda - obok siebie ujrzał najpiękniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek widział.

Miała jasną skórę i ciemne włosy. Nie zasłaniała twarzy, w odróżnieniu od kobiet z tych stron, więc Thomas mógł dokładnie zobaczyć czerwone usta, prosty nos i czarne, skośne oczy w ciemnej oprawie. Dostrzegł również czarne loki pod srebrną chustą. Jedwabna szata spowijała kształtne, smukłe ciało, a biżuteria: złoto, srebro, bursztyn i krwawniki przyciągały oczy do wysmukłej szyi, nadgarstków i stóp.

Thomas przełknął ślinę, dziewczyna zaś wpuściła mu jeszcze trochę wody do ust z gąbki trzymanej w dłoni.

Powoli jego mózg znowu zaczynał pracować. Byli w namiocie, a przez odsłonięte wejście widział inne namioty, długi sznur wielbłądów oraz ludzi zebranych wokół ognisk. Ich sylwetki rysowały się na tle zachodzącego pustynnego słońca. To uczucie, że jest na statku - teraz jedynie kłopotliwe wspomnienie - musiał wywołać krok wielbłąda. To również tłumaczyło Thomasowi ową woń - tak, z pewnością jechał w koszu na wielbłądzim grzbiecie.

A zatem ci ludzie go znaleźli i - tu spojrzał po sobie - nie związali mu rąk ani nóg.

Szybki rzut oka w dół powiedział mu coś jeszcze. Opiekowała się nim najpiękniejsza kobieta na świecie, a on był nagi. Czuł się jednak zbyt wyczerpany, by silić się na cokolwiek innego, jak tylko pogodzić się z sytuacją -nigdy zresztą nie był przesadnie skromny czy wstydlivy. W tej chwili Thomas Marlowe myślał jedynie o swym kubraku. Próbując usiąść, zaczął nieskładnie i nieudolnie gestykulować, wskazując na swą klatkę piersiową.

- Pański kubrak? - zapytała chłodno po hiszpańsku owa dama. - Mam go tutaj.

Włożyła mu ostrożnie okrycie do rąk. Gdy Thomas próbował się zorientować co do jego ciężaru, usłyszał dalsze słowa:

- Pańskie złoto jest bezpieczne. Dziury, jakie pan zrobił, zaszyto.

To była prawda: zgrabne ściegi łączyły szwy, które wcześniej rozerwał. Zdołał wymamrotać słowa podziękowania po hiszpańsku, w miarę poprawnie i wziął filiżankę, podaną mu przez kobietę.

Pijąc, nadal badał wzrokiem otoczenie. Namiot wykonano ze skóry, a on leżał na poduszkach na podłodze. Ściany i kotarę obwieszono kolorowymi jedwabiami, migoczącymi niczym tęcza. Poduszki były wyszywane kolorowymi kamieniami, ozdobione haftem i frędzlami. Światło mosiężnej lampy kołyszącej się na poprzecznej belce w górze wydobywało z cienia kamienie zdobiące poduszki i bogate wzory na jedwabiach. Skóra kobiety wydawała się gładka jak jedwab, a jej ciasno związane włosy błyszczały niczym dżet. Minęło już wiele miesięcy, odkąd Thomas opuścił z pośpiechem sypialnię Faith Whitlock.

Czując znajome mrowienie w ciele, okrył się kawałkiem jedwabiu leżącym w pobliżu. Kobieta nie odzywała się, klasnęła tylko w ręce, a zasłona przy wejściu do namiotu zafalowała.

Ukazała się młoda murzyńska niewolnica, niosąc tacę z jedzeniem. Thomas usiadł, a Murzynka położyła tacę na poduszkach obok niego i wyszła.

Daktyle, figi, miód i sorbet. Thomasowi zaczął wracać apetyt, a uczucie wyczerpania osłabło. Jadł łapczywie, a kiedy skończył, czarna dziewczyna wróciła, by zabrać tacę.

Kobieta odezwała się w końcu:

- A więc, señor...?

- Marlowe. Thomas Marlowe - rzekł pospiesznie, podnosząc się i pochylając głowę w ukłonie.

- A więc, señor Marlowe. Zjadł pan, napił się, opatrzono pańskie oparzenia i ukąszenia. Czy jest jeszcze coś, czego pan potrzebuje?

Był świadom niespokojnego mrowienia w dole brzucha. Miewa się apetyt na coś więcej, prócz jedzenia i picia. Kawałek jedwabiu niezbyt dokładnie osłaniał mu biodra, a mózg nie funkcjonował należycie, jak się wydawało. Thomas zdołał jednak wykrztusić:

- Byłbym zaszczycony, gdyby powiedziała mi pani, kim jest i dokąd jedziemy...

Kobieta uśmiechnęła się spokojnie.

- Nazywam się Dżamila. Podróżuje pan, señor Marlowe, wraz z karawaną wielbłądów pod eskortą moich ludzi, plemie-

nia Tuaregów. Wieziemy sól, złoty piasek i czarnych niewolników do hiszpańskiej twierdzy w Oranie, a potem dalej, do Algieru. Czy to panu odpowiada, señor Marlowe?

Siedziała na stosie poduszek w rogu namiotu. Thomas zdołał wymamrotać potakującą odpowiedź. Tak, Algier bardzo mu odpowiada, będzie mógł stamtąd popłynąć do Włoch czy do Francji.

- Dobrze - odrzekła Dżamila i poklepała poduszkę leżącą obok.

Nie mógł się poruszyć. Obserwował, jak kobieta zdejmuje srebrną chustę z głowy. Zaczęła powoli rozpuszczać wspaniałe, czarne sploty.

Ten sam spokojny uśmiech.

- Mój hiszpański, obawiam się, nie jest zbyt dobry. Nauczyłam się go trochę w Algierze i Oranie. A może powinnam była zapytać, señor Marlowe, czy jest coś jeszcze, czego pan pragnie?

Thomas pojął, że będzie musiał zapłacić za kolację.

Minęło sześć tygodni, zanim Allah pozwolił Kara Alemu znaleźć właściwe słowa i stosowny czas.

W zamian za wyleczenie chorego dziecka otrzymał kopię dzieła „Geographica” Ptolemeusza. Pięknie oprawiona księga, pokazująca wszelkie znane krainy na Ziemi, leżała otwarta na stole w pracowni medyka. Serafina właśnie ją przeglądała. Kara Ali przypomniał sobie nagle ową noc sześć lat temu, kiedy pokazał dziewczynce obrazki przedstawiające lwa i słonia. Owo wspomnienie wywołało gwałtowny ból w klatce piersiowej, jakby ktoś zadał mu cios w żebra dłońmi złożonymi w pięści. Wiedział, że tego wieczora musi się zdecydować.

Czekał, aż dziewczyna znajdzie mapę Morza Śródziemnego, a potem powiedział:

- Tutaj mieszkamy, Serafino, między Oranem a Algierem. A tutaj - palcem wskazującym przesunął po Morzu Śródziemnym do południowego wybrzeża Francji - tu jest Marsylia. Tam się urodziłaś. Tam jest twój dom.

Specjalnie użył słowa „dom”. Uniosła głowę i spojrzała na niego, ale w jej oczach, jak zwykle, nie było widać śladu bólu.

- Twój także, ojciec. Potrząsnął przecząco głową.

- Nie. Francja przestała być moim domem, kiedy założyłem turban. Jestem teraz muzułmaninem. To jest mój kraj. - Nigdy wcześniej, odkąd u niego zamieszkała, nie prosił, by dokonała wyboru. Ale teraz zauważył ostrożnie: - To mógłby być także twój kraj, córeczko.

Serafina nie odpowiedziała. Kara Ali wiedział, że ze wszystkich jej talentów największym jest zdolność kalkulacji i że ta właśnie umiejętność, z której korzystała, dokonując wszelkich obliczeń, posłuży jej teraz do określenia dodatnich i ujemnych stron każdej ewentualności.

Podobnie uczynił i on, wiele lat temu, kiedy postawiono go przed tym samym wyborem. Dopiero później zaczęło mieć to dlań większe znaczenie.

- Nie musisz decydować teraz, dziecko - odezwał się. - Daję ci wolny wybór.

Wciąż go obserwowała, czekając. Odszedł od stołu i stanął przy małym kwadratowym okienku. Czarne niebo usiane było gwiazdami,

- Muszę ci opowiedzieć o śmierci twojego ojca - powiedział. Wtedy ujrzał w jej oczach błysk zainteresowania i emocji.

- Mój ojciec zmarł na febrę w algierskim więzieniu.

Rzuciła to automatycznie niczym z góry przygotowaną kwestię, jakby nic to dla niej nie znaczyło. Kara Ali westchnął. Ogarnęło go obezwładniające znużenie.

- To prawda - odrzekł delikatnym tonem - że twój ojciec zmarł w więzieniu, ale nie jest prawdą, że zabiła go febra. Powiedziałem ci tak, gdyż byłaś dzieckiem i ponieważ już wtedy zacząłem cię darzyć miłością. Teraz jesteś kobietą, a moje życie dobiega kresu, uważam więc, że muszę wyjawić ci całą prawdę.

Serafina nie poruszyła się; światło lampy migotało w jej ciemnych lokach i przezroczystym welonie zakrywającym głowę. Tego, co miał powiedzieć, nie dało się wyrazić subtelnymi słowami.

- Twój ojciec nie zmarł na febrę, lecz został zamordowany. Ta sama osoba, która pragnęła twojej śmierci, pragnęła również śmierci twego ojca i w jego przypadku to się udało. Korsarzowi, który zdobył statek twego ojca, zaoferowano dużo pieniędzy, żeby zgładził swych najcenniejszych zakładników.

Przez dłuższą chwilę milczała, a potem odezwała się sztywno:

- Powiedz mi, jak zginął.

Tego właśnie medyk najbardziej się lękał. Ale opowiedział jej wszystko uczciwie, prostymi słowami, ponieważ uważał, że miała prawo wiedzieć. Gdy skończył, pomyślał, że ukryła się w kolejnym ochronnym kokonie, który roztoczyła wokół siebie.

- Dziecko - dodał jeszcze. - Mówię ci to nie dlatego, żeby cię zmartwić, lecz by zaproponować ci wybór - prawdziwy, wolny wybór. Jeśli zostaniesz muzułmanką, otrzymasz wolność, znajdę ci dobrego męża oraz zostawię skromny majątek, jaki zgromadziłem. Nie jest tego dużo: prawo islamskie zabrania mi mieć jakieś większe bogactwa. Możesz jednak, jeśli tak postanowisz, powrócić do Francji. Sądzę wszakże, że gdy to zrobisz, znajdziesz się w niebezpieczeństwie, podobnie jak sześć lat temu. Myślę - tu przerwał, starannie dobierając słowa - myślę, że grożące ci niebezpieczeństwo może pochodzić właśnie z Francji.

Wpatrywała się w niego ze zmarszczonymi brwiami.

- Jak to, ojciec? - zapytała ostro. Usiadł. Nie chciał już oglądać gwiazd.

- Miałem wiele lat, by nad tym rozmyślać. Po tym, jak zabrano twego ojca do Algieru, wysłannicy korsarza skontaktowali się z waszą rodziną w Marsylii. Żądali okupu, który powinni byli otrzymać. Jednakże, jak mi się wydaje, pieniądze te wysłano z innym zaleceniem - by mieć pewność, iż ani ty, ani twój ojciec nigdy nie wrócicie do domu. Myślę, że powinnaś się zastanowić, dziecko, kto mógł skorzystać na śmierci twego ojca.

Przezroczysta tkanina zsunęła się jej na tył głowy, szeroko otwarte, ciemne oczy wpatrywały się weń bacznie. Medyk wiedział, że Serafina znów dokonuje kalkulacji, wyliczając w myślach wszystkich członków rodu i domowników Guardich i rozważając na chłodno ich ewentualną winę. Kochał tę dziewczynę, ponieważ wierzył, iż pod ową rezerwą kryje się coś jeszcze; coś, czemu okoliczności nie pozwoliły się rozwinąć.

- Nie - powiedziała w końcu i zmarszczyła czoło. - Nie. To należy teraz do mnie, wszystko należy do mnie... - Podniosła się, poprawiając welon. - To jest moje, ojciec. Muszę wracać do Marsylii - stwierdziła po prostu.

To było wszystko. Kara Ali uświadomił sobie, iż nigdy nie sądził, że podjęcie decyzji mogłoby okazać się dla niej trudne. Mając tę świadomość, nie czuł nawet żalu. Zesłano mu przybraną córkę tylko na pewien określony czas i dziękował Allahowi za ów cenny dar.

- To nie będzie łatwe - odrzekł. - Musimy być ostrożni. Poczekamy, aż gwiazdy wskażą, co mamy robić.

Układ gwiazd sprawił, że w następnym tygodniu u Kara Alego pojawił się gość. Po chuście okrywającej całą jego twarz prócz oczu i otaczającego je, pomalowanego na niebiesko paska skóry, starzec poznał, że to wojownik z plemienia Tuaregów.

Po poczęstunku składającym się ze szklanki mleka i garści daktyli, spożytym na chłodnym dziedzińcu, gość przedstawił medykowi swoją prośbę. Jego syn spadł z konia tak nieszczęśliwie, że złamał nogę i nie umiano jej dobrze złożyć. Kara Ali leczył owych ludzi już wcześniej i znał tę ogromną, wędrującą powoli karawanę, która każdego roku wiozła złoty piasek, sól i niewolników z czarnego serca Afryki do Oranu i Algieru.

Późnym popołudniem wyruszył więc na pustynię w towarzystwie Hassana, Ahmeda i wysokiego Tuarega. Przez cały dzień bolały go kości, a co pewien czas czuł w sercu owo niespokojne kołatanie, przypominające mu o niewypełnionych do końca powinnościach. Uśmiechnął się lekko, zastanawiając się, jakie niebo go przyjmie. Marzyło mu się raczej to islamskie, niosące obietnice hurys i rozkoszy, które będą trwać przez setki lat.

Karawanseraj, w którym zatrzymała się karawana, składał się z budynków ze stajniami na parterze, otaczających szeroki dziedziniec. Odgłosy wydawane przez kozy, muły, owce i wielbłądy łączyły się z wrzawą, jaką czynili ludzie: Beduini, Tuaregowie i ich brudni, czarni niewolnicy. Zapach kuskusu, ognisk rozpalonych z wysuszonego wielbłądziego łajna oraz przepychających się ludzi i zwierząt był przytłaczający. Zapadał zmrok, gdy w jednej z izb medyk nastawił chłopcu nogę i dał mu miksturę sprowadzającą spokojny sen. Był już zmęczony i gdy kończył zawijanie bandaża, ręce zaczęły mu się trząść. Z dziedzińca na dole dochodziła muzyka i odgłosy biesiadowania. Pozwoliwszy, by Ahmed pozbierał narzędzia, Kara Ali opuścił izbę.

Kiedy siadł do posiłku, na który składały się: baranina, duszony gołąb z migdałami, kasza manna i ryż na odległej pustyni i w górach zapanowały zupełne ciemności. Światło ognisk i kołyszących się mosiężnych lamp połyskiwało w złotych i srebrnych bransoletach tancerek i w ich długich, rozpuszczonych ciemnych włosach, odbijało się w czarnych, błyszczących oczach. W dźwiękach bębenka, tamburyna i fujarki dało się sły-

szeć pewną, bardziej natarczywą, znajomą nutę. Ale na takie rzeczy jestem już za stary, pomyślał Kara Ali. O wiele za stary.

Gdyby miał dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści lat, mógłby pokochać jedną z nich. Kobiety z plemienia Tuaregów nie zasłaniały twarzy, oświetlał je blask ognisk, a kołyszące się, mosiężne lampy rzucały na nie tajemnicze cienie. Tuareżki były piękne, wysokie i silne, pełne wdzięku, miały jasną skórę i ciemne oczy, a plemienny obyczaj pozwalał im brać sobie tylu kochanków, ilu tylko chciały.

Spojrzenie Kara Alego powędrowało od tancerek do kobiety siedzącej po drugiej stronie ogniska. Stał przy niej jakiś mężczyzna; nie dotykali się, ale wyglądali tak, jakby należeli do siebie. Nie, stary medyk zmarszczył czoło, przyglądając się im uważnie, i wreszcie pojał. To mężczyzną należał do kobiety, właśnie tak.

Mężczyzna ów nie pochodził z plemienia Tuaregów, jego czarnych, kręconych włosów nie okrywał błękitny zawój, nie miał też niebieskich znaków wojownika na twarzy. Towarzysząca mu kobieta była niezwykle urodziwa. W wieku lat piętnastu mogła wydawać się zupełnie zwyczajna, ale teraz, gdy miała lat mniej więcej dwadzieścia pięć, jej uroda zapierała dech w piersiach. Podobnie będzie z Serafiną, pomyślał medyk, wyjmując pestki z trzymanyh w dłoni daktyli. Mężczyźni nie zatrzymywali teraz na niej wzroku, ale za parę lat... za parę lat stanie się prawdziwą Badr-al-Dudżą, Pełnią Księżyca. Gdyby była jego rodzoną córką, już jutro znalazłby dla niej dobrego męża. Uroda da jej władzę, stwierdził w duchu Kara Ali, jedząc daktyle i uważnie zbierając pestki. Czasami zastanawiał się, co by zrobiła, gdyby już ją miała.

Zacisnął w dłoni pestki, podniósł się i odszedł powoli aż na skraj karawanseraju. Był zmęczony, zupełnie jakby odbył taką samą podróż przez góry i pustynie jak Beduini i ich eskorta z plemienia Tuaregów. Łatwo się teraz męczył.

Odgłosy muzyki i biesiady przycichły. Kara Ali wyrzucił pestki na ziemię, by za parę lat dorodne krzewy mogły nakarmić znużonych wędrowców słodkimi owocami. On także wędrował setki mil, ale nie będzie już dłużej podróżował.

Spojrzał w górę, jak zawsze, na gwiazdy.

„Spotkanie” - mówiły. Gdy się zestarzał, ich przesłania stawały się nieco bardziej zrozumiałe. Ale i tak wiedział, że rozumie zaledwie drobną część z tego, co tam zapisano.

A jednak spotkanie. Odwróciwszy się, starzec ruszył z powrotem do karawanseraju. Zanim powrócił na swe poprzednie miejsce na dziedzińcu, tańce się skończyły, a zaczęły się walki. Wojownicy Tuaregów walczyli między sobą, posługując się obosiecznymi mieczami, sztyletami i skórzanymi tarczami. Gdyby nie była to jedynie rozrywka, dosiadaliby białych wielbłądów i używaliby kopii.

Oglądanie popisów szermierzy sprawiło medykowi przyjemność. Na swój sposób mężczyźni mieli tyle samo wdzięku, co tancerki. Ich błękitne zawoje powiewały w blasku ognisk, skóra o barwie miedzi błyszcząca od potu. Kara Ali przyjął filiżankę miętowej herbaty i bez cienia żalu pomyślał, że jest już za stary na takie zabawy. Zaczynał już drzemać, kiedy do walki stanął ów mężczyzna o kręconych włosach. Medyk podniósł ciężkie powieki, gdy jeden z wojowników wygrał kolejny, trzeci pojedynek, a tłum ryknął z zachwytem. Zwycięzca, wciąż ściskając w dłoni miecz, z oczyma pałającymi dumą, rozejrzał się wokół, szukając następnego przeciwnika. Kara Ali ujrzał, jak owa siedząca piękna kobieta wysłała swego kochanka mrugnięciem powieką i wdzięcznym ruchem dłoni na wysypany piaskiem placyk na środku dziedzińca.

Senność od razu opuściła medyka i usiadł, opierając brodę na rękach. Z początku Kara Ali przypuszczał, że ów mężczyzna jest pół-Arabem i pół-Murzynem, co tłumaczyłoby kręcone włosy. Ale nie, nowy śmiałek miał jaśniejszą skórę, niebieskie oczy i był średniego wzrostu, w odróżnieniu od wysokich, zręcznych Tuaregów. Może Włoch? Albo nawet - Kara Ali zmarszczył czoło, wyężdżając pamięć - Irlandczyk?

Jakiegokolwiek był narodowości, dobrze sobie radził z mieczem. Zarówno Europejczyk, jak i wojownik mieli krótkie miecze i sztylety, ale Tuareg nosił sztylet u lewego nadgarstka, a Europejczyk za pasem. Gdy obaj mężczyźni stanęli naprzeciwko siebie na małym placyku, czekając na najlepszy moment, by rozpocząć swe zmagania, spod granatowej chusty widać było błyszczące, spragnione rozkoszy walki oczy Tuarega. Jeden krótki błysk ostrza miecza i rozpoczął się pojedynek. Nie minęło wiele czasu, gdy medyk zdał sobie sprawę, iż ta walka jest nieco inna od pozostałych. Wszelkie poprzednie próby sił stanowiły zręczny, zapierający dech w piersiach popis

umiejętności władców pustyni; przerażający i wspaniały, owszem, ale mimo wszystko tylko popis. Ale to - serce Kara Alego zabiło mocniej, gdy medyk usłyszał powtarzający się szcęk stali i tupot stóp na ubitym piasku - to było coś więcej niż tylko zabawa.

Znał oczywiście przyczynę. Kobieta siedziała nieruchomo przez cały wieczór, obwieszona jedwabiami i złotem, jej profil dumnie rysował się w cieniu. Posiadła Europejczyka, a wojownik pragnął posiadać ją. Tuaregowie mogli traktować swe kobiety z szacunkiem, niespotykanym gdzie indziej w świecie arabskim, ale męska potrzeba posiadania była silniejsza od zwyczaju. Ci dwaj walczyli niczym dwa odyńce podczas rui, niczym dwa wielkie jelenie, szczipione rogami.

Kara Ali postawiłby na Tuarega, gdyby nie dostrzegł wyrazu twarzy Europejczyka. Pomyślał, że rzadko zdarzało mu się widzieć taką determinację i upór. Ten człowiek wiedział, że chodzi o jego życie i przyszłość. I nie przejmował się zasadami kodeksu honorowego. Walczył tak, jak to robią w porcie, jak walczą mieszkańcy rynsztoka. Serce Kara Alego znów zabiło mocniej, ogarnęło go podniecenie. Przypomniała mu się Marsylia i ciemne zaułki, gdzie nawet on musiał nauczyć się walczyć o życie. „Spotkanie” - przepowiedziały gwiazdy.

Pierwsze pchnięcie zadał jednak Tuareg. Sztylet przeciął ramię Europejczyka na całej długości, aż na opalonej skórze pojawiła się czarna kreska. Mimo to ranny nawet się nie skrzywił. Zdarzało się tak w gorączce walki - ból przychodził później. Krew skapywała po nagim ramieniu, była także na czubku sztyletu. Tuaregowie tupali i krzyczeli, by dodać ducha wojownikowi, zaś kobiety powiększały ten hałas swym dziwnym zawodem. Krzyczały tak jak wtedy gdy wysyłały mężczyzn na bitwę; rozpuściły włosy, kołysały się i potrząsały ciężkimi bransoletami. Jedyne owa piękna Tuareżka siedziała nieruchoma niczym kamienna rzeźba.

Następny cios otrzymał Tuareg, miecz zranił go w okolicy żeber. Zaczęło się nagle robić zimno, ale Kara Ali widział, jak pot ścieka strumyczkami po ciałach obu przeciwników. Europejczyk owinał nogę wokół nogi Tuarega i obaj upadli na ziemię, aż podniósł się obłok kurzu, który wzbił z kolei iskry z ogniska.

Walczący pogubili miecze i tarcze, przewracali się ze sztyletami w dłoniach, aż ubrania i skóra obu nabrały brunatnego

odcienia piasku. I wówczas nawet Kara Ali krzyknął, ujrawszy, jak Europejczyk wypuszcza nóż z broczących krwią mokrych od potu palców. Broń wyslizgnęła mu się z dłoni niczym wąż, a wtedy sztylet Tuarega spoczął na jego gardle.

- Dobry Jezu! - Starzec usłyszał szept pokonanego wśród ciszy która nagle zapadła na dziedzińcu. To angielski, pomyślał medyk, pochylając się do przodu. Ten człowiek jest Anglikiem

Wtedy jednak owa kobieta zawołała we własnym języku-

- On jest mój, Hanifie!

Nóż ześlizgnął się nieco, drasnawszy Europejczyka w gardło. Cisza zdawała się coraz bardziej gęstnieć. Bardzo powoli Tuareg podniósł się, splunął na piasek i odszedł.

Kara Ali zajął się najpierw Hanifem, wojownik był bowiem zwycięzcą, a poza tym odniósł poważniejszą ranę. Potem wiedziony ciekawością, której nie pozbawiła go starość, podszedł do Anglika.

Przebywał w namiocie kobiety, ale był sam, co ucieszyło medyka. Miał miskę z wodą i jakieś szmaty i kiedy starzec się pojawił, próbował oczyścić ranę na ramieniu.

- Niech pan pozwoli mi to zrobić - odezwał się Kara Ali po francusku. Zobaczył, że ranny go zrozumiał i poczuł się obrażony dodał więc: - Jestem medykiem, przyjacielu. Moja praca polega na naprawieniu głupstw, jakie popełniają inni. Proszę wybaczyć, że nie mówię w pańskim języku, ale słabo władam angielskim. Francuski, włoski, arabski, nawet narzecze tego ludu - owszem ale angielski... mój biedny język nigdy nie zdołał go opanować.

Usiadł ze skrzyżowanymi nogami obok Anglika, wziął od mego miskę i szmaty i zaczął przemywać obrażenia. To była długa, głęboka rana, ale właściwie opatrzona powinna się dobrze goić. Widział, że złość bijąca z oczu tamtego z wolna ustępuje, gdy medyk cicho i sprawnie wykonywał swe czynności

W końcu Kara Ali rzekł:

- Gwiazdy powiedziały mi o jakimś spotkaniu, przyjacielu jak pan widzi, niebios obwieściły mi znajomość z panem

- Gwiazdy mówią, gdzie północ, a gdzie południe, kiedy jest najdłuższy i najkrótszy dzień, to wszystko - odparł z pogardą Anglik.

Oddzierając bawełniany pasek na bandaż, starzec zapytał łagodnie:

- Nie wierzy pan, że przepowiadają ludzką przyszłość?

- Pozwalają nam współtworzyć własną przyszłość. Gdybyśmy na nie nie zważali, znaleźlibyśmy się na dnie oceanu lub rozbilibyśmy się o skały. Nie można z nich się dowiedzieć, co nas czeka.

- Nie? - Serce medyka znów zaczęło bić nierówno; zmusił się, by oddychać miarowo i zapanował nad drżeniem rąk, zajętych bandażowaniem zranionego ramienia. - Jest pan zatem żeglarzem, panie...?

- Marlowe. Thomas Marlowe. Tak, jestem marynarzem. Jestem sternikiem i nie wierzę, że jeśli odpłynę zbyt daleko od Morza Śródziemnego, to wypadnę za krawędź świata; nie wierzę również, że owe świetlne punkciki na niebie mogą przepowiedzieć mi moją przyszłość. Ale dziękuję panu - spojrzał na obandażowane ramię - za pański trud.

Ranny podniósł się pierwszy i musiał pomóc Kara Alemu wstać. Starzec oparł się na zdrowym ramieniu swego pacjenta; wiedział, że gwiazdy sprawiły tylko połowę: reszta była w rękach Allaha i tego człowieka.

- Chciałbym, aby pojechał pan na nocleg do mego domu, panie Marlowe - powiedział. - Mam do pana prośbę.

Ponieważ Kara Ali wyleczył kiedyś jakieś dziecko z rodu pięknej Tuareżki, kobieta nie odmówiła prośbie medyka, by Thomas Marlowe udał się wraz z nim do jego domu. Nie była jednak zadowolona: starzec dostrzegł to w lekkim skrzywieniu jej warg, w ruchu smukłej dłoni.

Wróciwszy do uspiętego domu, medyk zabrał Thomasa Marlowe'a do izby z paleniskami i książkami. Piece były wygaszone, więc Ahmed zapalił mosiężną lampę, zanim wyszedł, by usiąść przed drzwiami na dziedzińcu.

Starzec czuł się zmęczony, ale nie ukończył jeszcze swych zajęć tej nocy.

- Niech mi pan opowie swoją historię, panie Marlowe - polecił stanowczym tonem. - Niech mi pan opowie, jak to się stało, że angielski sternik trafił do karawany Tuaregów i podróżuje z nimi przez góry.

- Mój statek się rozbił. - Anglik, ubrany teraz w pludry, koszulę i pikowany kubrak, podniósł na chwilę głowę znad mapy Merkatora, którą gospodarz rozłożył przed nim na stole. -Gdzieś w pobliżu wybrzeży Północnej Afryki, tutaj, jak sądzę.

- Thomas Marlowe wskazał na róg mapy. - To było mniej więcej cztery miesiące temu. Osiedliśmy na mieliźnie. Medyk uniósł brwi.

- I pan był sternikiem, panie Marlowe?

- Sternik, nawet dobry, może jedynie doradzić właściwy kurs, ale nie może zmusić kapitana, by go obrał. Niestety.

Kara Ali, usadowiwszy się wygodnie na stołku, obserwował swego gościa.

- A potem, panie Marlowe?

- A potem, cóż, nie znalazłem żadnych innych pozostałych przy życiu towarzyszy, więc ruszyłem w drogę do jakiegoś portu. Zostałem schwytany przez grupę nomadów, którzy wykorzystywali mnie jako juczne zwierzę. Zdołałem im uciec, jednak zgubiłem się na pustyni. Jestem przyzwyczajony do mórz, nie do piasków. Myślałem, że umrę, ale Tuaregowie znaleźli mnie i zabrali ze sobą.

Opowiadając swą historię, sternik nie spuszczał oczu z mapy. Kara Ali pomyślał, że widać w nich prawdziwą miłość, a nawet obsesję.

- A co teraz, panie Marlowe? Czy jest pan szczęśliwy? Zamierza pan wędrować z Tuaregami aż po kres swoich dni? - zapytał.

Skupił teraz na sobie całą uwagę Anglika. Z niebieskich oczu ponownie wyzierały złość i pogarda.

- Oczywiście, że nie. Mam zadanie do wykonania.

- Jakie zadanie, panie Marlowe? Młody człowiek uważnie składał mapę.

- Zamierzam zbudować statek... - odpowiedział.

Medyk nie odezwał się od razu, serce bowiem znowu zaczęło mu mocno walić.

Czuł, że życie wycieka zeń jak piasek przesypany się przez palce i wiedział, że musi zatrzymać ostatnie ziarenka w zakamarkach dłoni. Przyglądał się więc przez chwilę swemu gościowi, odnotowując haczykowaty nos, stanowcze usta, bystrą, dumną twarz. I dłonie, stwardniałe od wieloletniej, uczciwej pracy. Potem odezwał się cicho:

- Chciałbym opowiedzieć panu pewną historię, panie Marlowe. I złożyć interesującą propozycję.

Kiedy skończył, Anglik wykrzyknął:

- Z Oranu do Kartageny? W łodzi wiosłowej? Można zginąć podczas takiej podróży!

- Owszem, można, panie Marlowe - Kara Ali otulił się ciasniej swą szatą, by rozgrzać obolałe członki. - Ale wydaje mi się, że powiedział pan, iż jest dobrym żeglarzem.

- Najlepszym. - Marlowe zaciskał pięści, zapomniawszy o mapie. - Ale nawet ja, nie mogę przewidzieć przyszłości. Może rozszać się sztorm, gdy będziemy dziesięć mil od portu -zwłaszcza o tej porze roku. Morze Śródziemne jest znane... -Napreżył ze złości wszystkie mięśnie.

Gdybym był młodszy, pomyślał z satysfakcją Kara Ali, ten człowiek rzuciłby się na mnie. Ale chronił go wiek.

- Nie zapytał pan o wynagrodzenie, panie Marlowe - zauważył spokojnie.

- Wynagrodzenie? - Marlowe odwrócił się od niego z lekceważeniem. - Wiele razy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy uniknąłem śmierci. Cóż takiego może mi pan zaproponować, żebym zechciał znów z nią się zmierzyć?

- Mogę panu oczywiście zaoferować złoto - powiedział miękko Kara Ali. - Żeby pomóc zbudować pański statek. Albo mogę zaproponować panu wolność.

Anglik uśmiechnął się lekko.

- Mam złoto - odparł. -1 mam wolność.

- Nie sędzę. - Gospodarz potrząsnął przecząco głową. Znów był kontent ze swego podeszłego wieku. Ujrzał, jak

w oczach jego rozmówcy rozpała się wściekłość, by po chwili zniknąć pod przymkniętymi powiekami.

- Przyjemna niewola - rzekł pojednawczo medyk, przypominając sobie urodę owej kobiety z plemienia Tuaregów. - A jednak niewola. Ale - ich oczy spotkały się - jeśli muzułmanie dowiedzą się o pańskich umiejętnościach żeglarskich, wówczas spędzi pan długie lata, sterując korsarskimi galerami na morzach Algieru. Berberom wciąż brak dobrych nawigatorów. - W tych słowach słyhać było groźbę, dobrze zamaskowaną, lecz niewątpliwie realną. Kara Ali dodał miękko: - Niech pan się zastanowi, panie Marlowe: ofiarowuję panu możliwość ucieczki z tej pajęczej sieci, którą los utkał dla pana. Albo też sam pan ją sobie utkał, jeśli pan woli.

Zobaczył, że Anglik wpatruje się weń z uwagą, pojmując sytuację; cała jego złość znikła, a może nawet zastąpił ją wstyd. Gdy Thomas kiwnął głową na znak, że się zgadza. Kara Ali zawołał Ahmeda, by zbudził Serafinę.

Część trzecia

1594

ŻĄDZA ZŁOTA

Żądza złota pomaga znieść wiele przeszkód.

„SIR WALTER RALEIGH ODKRYWA GUJANĘ”

RICHARD HAKLUYT

Przed spotkaniem z angielskim sternikiem Serafina spakowała worek i zmieniła ubiór.

Siedział w pokoju, w którym jadali, czekając na nią wraz z Kara Alim. Zobaczyła, że lekko się skrzywił, rzuciwszy na nią okiem, i usłyszała jego słowa:

- Wydawało mi się, że mówił pan o córce? Nie zadała sobie trudu, by mu odpowiedzieć. Kara Ali odezwał się łagodnym tonem:

- Serafino, oto pan Thomas Marlowe, który zabierze cię z powrotem do Marsylii. - Zwrócił się do sternika: - Mężczyzna płynący z kobietą łodzią wiosłową budziłby zdziwienie w tym kraju, panie Marlowe. Mężczyzna podróżujący z chłopcem nie powinien stać się obiektem niczyjzego zainteresowania.

- Ale nie w kubraku i pantalonach - zauważyła Serafina, zerkając na Anglika.

Nigdy nie lubiła Anglików i nie zamierzała czynić wyjątku dla tego mężczyzny.

Średniego wzrostu, miał czarne, kręcone włosy i opaloną, arogancką twarz.

Wszyscy Anglicy byli aroganccy. Dawno temu posiadali ogromne posiadłości we Francji, lecz wszystkie je utracili przez swą próżność i głupotę.

Nieosłonięte, przystrzyżone włosy, chłopięcy kaftan i luźne szarawary sprawiały, że Serafina czuła się dziwnie lekko.

- On musi założyć arabską szatę, prawda, ojczy? - odezwała się spokojnie.

Kara Ali skinął potakująco głową, a dziewczyna ujrzała w oczach Thomasa Marlowe'a błysk zniecierpliwienia.

Ale gdy Ahmed pobiegł po nową galabiję, sternik powiedział tylko:

- Będę potrzebował magnetytu. Czy pan go ma?

Medyk miał nie tylko magnetyt, lecz także mapy i astrolabium. Serafina przyglądała się człowiekowi, który był jej właścicielem i ojcem przez ostatnie sześć lat i dostrzegła, że starzec porusza się wolniej, a jego twarz pobleadła.

Zaproponowała, że zostanie z nim do końca, ale się nie zgodził. Wiedziała, że podjęła właściwą decyzję; jeśli czuła strach na myśl o przeprawie przez morze w małej łodzi z nieznanym mężczyzną, wystarczyło tylko, by pomyślała o rozpalonym pręcie kreślącym krzyż na stopie Franca Guardiego. Odkąd Kara Ali opowiedział Serafinie, jak zmarł jej ojciec, znów w snach powróciły owe wspomnienia. W ciągu dnia była wciąż Badr-al--Dudzą i posłuszną muzułmańską niewolnicą, ale nocami słyszała ryk fal rozbijających się o kadłub korsarskiego okrętu oraz jęki więźniów przetrzymywanych w Algierze i dźwięczało jej w głowie prawdziwe imię. Wzięła jednak swego opiekuna za rękę, gdy stali w ciemnościach na dziedzińcu, czekając, aż osiodłają konie. Zdała sobie nagle sprawę, że nie potrafi nic powiedzieć, zabrakło jej właściwych słów. Starzec rzekł miękko:

- Niech Allah ma cię w swej opiece, dziecko - a wtedy wskoczyła na siodło i opuściła go na zawsze.

Anglik nie zważał na jej wiek ani płeć podczas podróży z domu Kara Alego na wybrzeże. Zamierzał postawić żagle przed świtem, jak powiedział, zanim rybacy obudzą się i zauważą, że jedna z ich łodzi zniknęła. Pan Marlowe miał obandażowane jedno ramię, ale to pozostawało bez wpływu na tempo jazdy. Nie trzymał się na koniu z takim wdziękiem jak Beduini, którzy często zajeżdżali do domu medyka, ani tak elegancko jak Angelo. Jechał jedynie szybko, najszybciej, jak się dało, nie przeciążając konia i wydawało się, że tego samego oczekuje od niej. Dotarli do wybrzeża wyjątkowo prędko, zdjęli juki i ukryli konie w kępie palm daktylowych. Ahmed miał je zabrać następnego dnia. Niebo było wciąż czarne, ale Serafina bez trudu odnalazła drogę do morza w ciemnościach. Często tutaj bywała z Kara Alim. Pozornie po to, by kupić ryby lub odwiedzić chorego, ale tak naprawdę to chcieli zobaczyć morze, przekonać się, że te same niezmierzone, błękitne wody oblewają Afry-

kę, Włochy, Francję. Ściskając za rękaw Anglika, Serafina poprowadziła go w dół, na brzeg.

Łodzie rybackie z opuszczonymi żaglami kołysały się na wodzie niczym białe płatki kwiatu rzucone na staw. Były tam tar-tany, feluki, łodzie jedno- i dwumasztowe; większość z nich miała złożone i odpowiednio umocowane, trójkątne żagle. Księżyc oświetlał cienkie, smukłe maszty i niskie, wątle kadłuby. Sternik, brodząc między nimi z Serafiną u boku, oceniał każdą łódź po kolei, przesuwając stwardniałą dłonią po dziobach z ponurą miną. Wreszcie się zdecydował: Ta.

Wybrał tartanę, ponieważ miała tylko jeden maszt i dwa żagle. Nie przypuszczał, by sam mógł sobie poradzić z czymś większym. Już wcześniej uznał, że nie należy się spodziewać żadnej pomocy od tej dziewczyny. Wyglądała raczej na dwunastolatkę niż szesnastolatkę, ręce i nogi miała cienkie jak patyczki i nie dostrzegł w niej żadnych oznak kobiecości. Nic nie powiedziała, gdy zaproponował, iż pomoże jej wejść na pokład, przyjęła tylko jego rękę i wdrapała się na łódź.

Gdy Thomas podniósł kotwicę i zaczął rozwiązywać żagle, ujrzał pierwsze, różowe smugi słońca. I wtedy poczuł nagle spokój, po raz pierwszy chyba, odkąd runął przedni maszt „To-by'ego”, pogrążając ich wszystkich w topieli. Rozwijając żagle, odepchnął wiosłem łódź dalej w morze. Rybacy wkrótce się tu zjawią, by zebrać sieci rozłożone niczym pajęczyny na całej plaży. Żagle chwyciły lekki powiew i pociągnęły małą łupinę po powierzchni wody. Dziewczyna siedziała na rufie, ściskając kolana razem, worek z rzeczami trzymała przy sobie. Serafina, pomyślał Thomas, poprawiając żagle, by złapały ożywczy wiatr. Cóż za cholernie głupie imię. Gdy opuszczali przybrzeżne prądy, ruszając na otwarte morze, wydawało mu się, że słyszy krzyki rybaków. Potrząsnął pięścią w kierunku ewentualnej pogoni, pełen radości, że ucieka z kraju, który mógł go zatrzymać na zawsze. Zerknął na swą towarzyszkę, spodziewając się ujrzeć jakieś uczucia na jej twarzy. Nic z niej jednak nie wyczytał - Serafina siedziała nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w horyzont. W ciągu dnia Thomas odkrył, iż łódź i dziewczyna mają ze sobą coś wspólnego.

Jedna i druga była suką. Łódź - ponieważ dwa żagle i brak porządnego steru sprawiały, że okazała się diabelnie trudna do prowadzenia. Dziewczyna natomiast była suką w nieco subtelniejszy sposób.

Najpierw przypuszczał, że przyczyną jej milczenia jest nieśmiałość albo skromność. Widział, że jest z pochodzenia Włoszką, lecz urodziła się we Francji, a ostatnie sześć lat spędziła w niewoli. Sądził, że być może czuła się zakłopotana, nie mając chusty do przykrycia głowy ani przyzwoitej szaty, by okryć szczupłe ciało. Nie było wprawdzie co zasłaniać, jednak siląc się na grzeczność, zaproponował jej własną galabiję, gdy tylko odpłynęli wystarczająco daleko od portu, tak że przestała mu być potrzebna. Ale dziewczyna spojrzała na niego tylko jak na zadżumionego i odrzekła: - Nie, dziękuję panu, panie Marlowe - i dalej wpatrywała się w morze z złożonymi rękoma. Thomas zdał sobie sprawę, że smarkula milczy, ponieważ nie uważa, by zasługiwał na to, aby się doń odzywać.

Przypuszczał, że mając dobry wiatr, mogą dotrzeć do brzegów Hiszpanii w ciągu kilku dni. Pod koniec drugiego dnia jednak wiatr go zaniepokoił: nie tyle kierunek - południowy, dokładnie taki, jaki chciał, ile owa rzeźkość, która, jak przypuszczał, mogła zapowiadać burzę. Tego wieczora Thomas zapadł w przerywaną drzemkę, budząc się, gdy tylko wiatr mocniej uderzył w żagle, i wypatrując gwiazd, kiedy niebo się przejaśniało.

Wczesnym rankiem nie tylko czuł sztorm w kościach, ale widział jego zapowiedź w podnoszących się falach i łopotaniu żagli. Najpierw odszukał dziewczynę, zwinętą w kłębek na rufie, i zanim się obudziła, obwiązał ją w pasie liną.

Kiedy się zbudziła, musiał zamknąć jej usta ręką i krzyczeć, by go wysłuchała.

-Nadchodzi burza, więc chcę przywiązać nas oboje do masztu. Tu jest wiadro do wylewania wody...

Motając drugi koniec liny, Thomas zostawił przy maszcie Serafinę, której oczy wyrażały złość. W ciągu kilku chwil zwinął i umocował żagle, walcząc z potężnym wichrem. Miał jedynie nadzieję, że małeńka tartana będzie podskakiwać i ślizgać się na wodzie niczym skorupka orzecha. Nie mógł nią sterować.

Po półgodzinie, przywiązawszy i uszczelnivszy wszystko, co było możliwe, Marlowe uklął obok Serafiny i oboje wylewali wodę z łodzi. Burza nadeszła we wściekłych porywach, po któ-

rych następowały krótkie chwile ciszy. Gdy nadchodził moment spokoju, sternik walczył z wyczerpaniem po dwóch nieprzespanych nocach i gadał do siebie, aby nie zasnąć.

Oczywiście, mówił o „Zimorodku”. Opowiadał o nim Neptunowi, bo Serafina z pewnością nie słuchała. Cztery maszty, osprzęt rejowy, bramreje, wąski dziób i rozprza. Ciężka, zielona woda wdarła się na dno łodzi. Thomas, z którego koszuli zostały strzępy, a bandaż zwisał mu z ramienia jak proporzec, wybierał napierającą wodę wydrążoną tykwą. Jego statek będzie długi, smukły, o niezbyt wysokich burtach. To właśnie w tym punkcie większość budowniczych popełnia błąd, stawiając wysokie ścianki, ozdobione złoconiami i ornamentami i tymi wszystkimi cholerstwami, z których nie ma żadnego pożytku przy złej pogodzie. „Zimorodek” będzie piękny, ale owo piękno ma tkwić w jego linii i funkcjonalności.

Znów zerwał się wiatr i sternik nie mógł już mówić. Zabrał klęczącej wciąż Serafinie wiadro i przywiązał je do masztu. W samą porę - fala wdarła się na ich łupinę, zakręciła nią w powietrzu i Thomas poczuł, że cała łódź zaczyna przechylać się na jedną stronę.

Miał tylko jeden sposób, by nie przewróciła się do góry dnem: swój własny ciężar. Instynktownie, bez namysłu rzucił się do tyłu. Dziewczyna poleciała wraz z nimi, uderzyła głową w niską, drewnianą listwę, Marlowe był bowiem na tyle przewidujący, że związał ich razem.

Łódź stanęła sztorcem, a on uświadomił sobie dwie rzeczy, że na horyzoncie widać światełko i że Serafina leży obok niego niczym szmaciana lalka zupełnie nieruchomo.

Odzyskał oddech. Dziewczyna miała zamknięte oczy, ze skroni ściekała jej po twarzy krwawa strużka. Jej ubiór, podobnie jak strój Thomasa, był całkiem przemoczony: cienki biały muślin oblepił ciało, ukazując małe, wcześniej niezauważone wypukłości i krągłości. Miała kości cienkie jak ptaszek, ale jej klatka piersiowa nie była płaska, jak mu się wcześniej wydawało, a biodra też nie przypominały chłopięcych. Jej skóra, wychłodzona przez morską wodę, była gładka jak satyna; obcięte włosy przylepiły się do ust i oczu - Thomas delikatnie odsunął je na bok.

Wyczuł puls na szyi dziewczyny, by upewnić się, że wciąż żyje, a później położył ją ostrożnie w osłoniętym miejscu. Burza zaczęła cichnąć, ale Thomas nadal ciężko pracował, wyle-

wając wodę, którą przyniosła owa ogromna fala, uwiązując liny i sprawdzając żagle. Kiedy się upewnił, że łódź jest tak samo sprawna jak przedtem, znów zajął się Serafiną.

Miała wciąż oczy zamknięte; krew spływała szkarłatnym strumyczkiem po białych policzkach dziewczyny. Thomas klęcząc obok niej, począł rwać swą sponiewieraną płócienną koszulę na pasy.

Rana była krótka i głęboka, blisko linii włosów. Serafina musiała uderzyć w listwę czołem. Mokre i zimne ubranie oblepiało jego wyziębione ciało, ale działał szybko i uważnie, oczyszczając ranę i bandażując czoło. Kiedy skończył, wziął delikatnie dziewczynę za ramię i wymówił jej imię.

Zatrzepotała powiekami, posadził ją więc, podtrzymując zdrowym ramieniem i opierając jej wątłe plecy na swej piersi. Woda kapłała mu z rzęs i włosów, duszę oddałby za parę łyków wódki. Ciało dziewczyny ciążyło mu nieco, ale promieniowało też ciepłem. Nie chciał się poruszać, wymówił znów jej imię, dotknął jej policzka i wtedy po raz pierwszy zauważył łódź na horyzoncie.

Poczuł, jak to zwykle przy takich okazjach, niesamowitą falę wzruszenia. Nie przyszło mu jednak do głowy, że dziewczyna także mogła poczuć to samo; uważał, że odezwał się w nim żeglarz, a nie zesłaniec.

- Popatrz, Serafino - powiedział delikatnie, próbując ją unieść - ziemia!

Zobaczył, jak otwiera ciemne oczy i wbija wzrok w postrzępioną, różowopomarańczową kreskę na horyzoncie. Thomas Marlowe, sternik Angielskiej Kompanii Lewantyńskiej myślał wcześniej o swej towarzyszkę podróży jako o małej, twardej suce, dlatego też z pewną konsternacją ujrzał, jak jego podopieczna zaczyna płakać.

Dobili do brzegu w małej, usianej skałami zatoczce i zostawili tam łódź, by następny przypływ ją roztrzaskał. Serafina, osłabiona, z obolałą głową, pozwoliła, by Anglik pomógł jej dojść na piaszczystą plażę, która, jak sądził, należała do południowego wybrzeża Hiszpanii.

Siedząc na kamieniu, z trudem próbowała odzyskać równowagę ducha. Nie sądziła, że tak to się potoczy: tęsknota, niedola, wreszcie radość.

Zamglonymi oczami przyglądała się, jak Anglik rozładowuje łódź. Zdała sobie sprawę, że choć niezbyt lubi Thomasa Marlowe'a, żywi szacunek dla jego umiejętności, siły i uporu, dzięki którym zdołał utrzymać łódź na wodzie.

Pogardzała natomiast własnymi łzami i słabością.

Kiedy dotrze do Marsylii, będzie miała sześć lat do nadrobienia. Sześć lat spędzonych bez rodziny, bez kogokolwiek z Guardich, kto znałby się na jedwabiu, na wiatrach, kto by dbał o jej przyszłość. Myśl, że wróciwszy do domu, może nie zastać tam nikogo i niczego, że wszystko, co kiedyś posiadała, rozwiało się w pył - była dla dziewczyny nie do zniesienia. To stanowiło jeden z jej najgorszych nocnych koszmarów.

Tydzień później, schroniwszy się przed wiosenną ulewą w przydrożnej gospodzie, Serafina rozmawiała z Anglikiem o jego zamiarach. Thomas Marlowe nie przypuszczał, że słuchała tego, co mówił na łodzi podczas sztormu, ale najwidoczniej tak było. Wiedziała, że musi odbudować własne życie, a do tego potrzebuje złota, ludzi i statków. Zachowała więc w pamięci słowa swego towarzysza podróży, niczym skradzioną garść ryżu albo piękną, błękitną miseczkę - by móc z nich kiedyś skorzystać.

Chociaż kupili dobre konie, podróżowali powoli. Wczesnowiosenna pogoda była niepewna, drogi kiepskie. Ze względu na bandytów, których wielu grasowało w tych okolicach, nie okazywali swego bogactwa. Serafinę coraz bardziej dręczyły myśli o domu.

Jadąc w deszczu albo leżąc wczesnym rankiem w łożu, mówiła sobie, że wszystko będzie tak samo. Ze lata spędzone w Afryce, prawie połowa jej życia, przestaną się liczyć. Ze znów stanie się Serafiną Guardi, i nie będzie już Badr-al-Du-dżą ani jakimś bezimiennym chłopcem stajennym. Ze spotka Marthe, gderliwą, ubraną na czarno, która nie będzie mogła uwierzyć, że jej dziecko do niej wróciło. A Angelo, równie wysoki i przystojny jak zawsze, ów ideał z jej dziecięcych marzeń, uśmiechnie się i pocałuje ją znowu. Wszystko będzie tak samo, powtarzała sobie, wiedząc, że jest jedna, ogromna, straszna różnica. Potem, skrupulatnie jak zawsze, Serafina poprawiała ubranie, by osłonić się przed deszczem albo naciągała na głowę koc i starała się wymazać z pamięci wspomnienia o ojcu.

Wciąż nosiła strój chłopca. Pan Marlowe stwierdził, że tak będzie lepiej, dając jej ubrania kupione na wiejskim targu. Uznała to za rozsądne i bez sprzeciwu ukryła ciemne włosy pod czapką. Podczas podróży obopólne milczenie podyktowane było zarówno szybką jazdą, jak i wzajemną antypatią.

Ale Anglik miał coś, czego potrzebowała. Dzisiaj, znękani nieustannym deszczem i mocnym wiatrem wiejącym z gór, wczesnym wieczorem poszukali schronienia w ciepłej gospodzie.

Kiedy się najedli, a ich ubrania zaczęły schnąć w ciepłe ognia, Serafina spytała:

- A pan, panie Marlowe, co pan robi, kiedy dotrzemy do Marsylii?

Uznała, że był już nieco podchmielony, ale jeszcze nie na tyle, by odesłać ją na górę i zagrać w kości z kilkoma łotrzykami siedzącymi w kącie sali.

- Ja? - Thomas przeciągnął dłonią po wilgotnych włosach i ukroił sobie kawałek chleba. - Będę nadrabiał stracony czas. Zdaje się, że straciłem sześć miesięcy, nie robiąc nic pożytecznego.

Rozstanie się wreszcie z tą dziewczyną i przekaże ją w ręce rodziny w Marsylii - taką umowę zawarł z Kara Alim.

- Pan jest żeglarzem, prawda, panie Marlowe? - zapytała Serafina, pozornie obojętnie.

- Sternikiem.

Dostrzegła w jego oczach błysk ożywienia.

- Pływałem na cudzych statkach przez ostatnie dziesięć lat. Pragnę teraz pływać na własnym - wyjaśnił.

- Na „Zimorodku”?

Wlepił w nią oczy. Jeśli Angelo był zawsze księciem w jej bajkowych marzeniach, to ciemny, muskularny Thomas Marlowe stanowił jego przeciwieństwo.

Interesowały ją jedynie zamiary tego człowieka, nic więcej.

Roześmiał się i potrząsnął głową.

- Słuchałaś mnie. Tam, na łodzi.

- A miałam nie słuchać? Czy Anglicy zwykle mówią do siebie, panie Marlowe?

Wzruszył ramionami.

- To nie jest żadna tajemnica, jak sędzę. - Ciężka podróż osłabiła nieco jego energię, sprawiając zarazem, że stał się bardziej rozmowny. - Popatrz. Pokażę ci, co mam zamiar zrobić.

Zaczął mazać palcem umoczone w piwie na zniszczonym blacie stołu. Gwar w zatłoczonej sali gospody przycichł, gdy Anglik wyrysował dwa statki - szkice tylko, pospiesznie wykonane, ale czytelne. Wskazał na pierwszy z nich.

- To galera. Taką płynęłaś, jak przypuszczam, gdy pojмали cię korsarze. Taką samą płynęli również napastnicy.

Skinęła potakująco głową. Wciąż miała w pamięci obraz bitwy, ale nauczyła się trzymać go gdzieś głęboko, jakby to nie ona uczestniczyła w owych wydarzeniach.

- Statek niewiernych różnił się od naszego - odrzekła. - Był dłuższy i smukłej szy.

Thomas spojrział na nią prawie z radością.

- I to dlatego właśnie wygrali. I dlatego, Serafino, spędziłaś sześć lat w niewoli.

Dogonili was i podpłynęli z dwóch stron, tak że nie mogliście wykręcić. A ponieważ nie mogliście wykręcić, nie mogliście użyć dział.

Jeden krótki, poplamiony piwem palec spoczywał na rufie galery. Serafina pamiętała armaty korsarzy strzelające do nich i działa „Gabrielle”, wycelowane bezsilnie w morze.

- To - ciągnął Thomas, wskazując na drugi szkic - to jest zwykły statek albo koga - jak sobie go chcesz nazwać. Porządny, mały statek do przewożenia towarów, ale w starciu z chciwymi korsarzami jeszcze mniej użyteczny niż galera. Ciężki, niestabilny i powolny jak żółw.

Znow kiwnęła głową. Pamiętała dwie kogi, „Mignon” i „Petit Cœur”.

- Wieźliśmy na kogach tkaniny - wyjaśniła, przyglądając krótkie włosy za uszami. - Do Włoch.

- Tak. Powoli i narażając się na poważne ryzyko.

Dwa nakreślone piwem rysunki zniknęły, wysychając w ciepłe ognia. Thomas znowu zaczął szkicować. Na zniszczonych, sosnowych deskach pojawił się kolejny statek.

- A teraz - to statek, który zamierzam zbudować. Popatrz, Serafino. Miejsca na działa są wzdłuż obu burt, tak więc nie będzie ważne, którą stroną odwróci się do napastnika. Dwa razy szybszy od kogi, bardziej zwrotny od galery. I może wyruszyć w podróż o jakiegokolwiek porze roku, w przeciwieństwie do galery.

- „Zimorodek” - powiedziała Serafina, gdy sternik kiwnął na usługującego chłopaka, by napełnił mu kufel.

Jej ubranie było już prawie suche.

- Czy zbuduje go pan w Anglii?

Potrząsnął przecząco głową i przez chwilę unikał jej wzroku.

- Nie. Nie powinienem już teraz wracać do Anglii. Serafina przyglądała mu się w milczeniu.

- A zatem gdzie, panie Marlowe?

- Gdziekolwiek! - odpowiedział, odstawiając naczynie na stół i gestykulując szeroko wolną ręką. - W Hiszpanii, we Francji, Włoszech, a choćby i na owym przeklętym Wybrzeżu Berberyjskim, jeśli będzie trzeba. Chociaż - dodał, pocierając brodę - może raczej nie.

Kara Ali powiedział Serafinie, że Thomas Marlowe miał kochankę z plemienia Tuaregów.

- Niech pan zbuduje dla mnie statek, panie Marlowe - zaproponowała nagle.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem zaczął się śmiać.

- Dla ciebie? O rety...

- Hiszpania, panie Marlowe? - Serafina przyglądała mu się chłodno, złożony rękę na kolanach. - Hiszpania jest wrogiem Anglii. Czy zbudowałby pan statek dla drugiej armady hiszpańskiej?

Ujrzała, że jego oczy zapłonęły złością.

- Zbuduję statek dla siebie, dla nikogo innego! - oświadczył.

- A zatem posiada pan pieniądze?

- O Boże, jesteś zbyt ciekawa jak na swój wiek. Tak, moja droga, mam pieniądze. Wystarczająco dużo, żeby rozpocząć budowę, a może i skończyć. Kiedy będę w połowie, ktoś zda sobie sprawę z tego, ile mój żaglowiec jest wart i wyłoży resztę. Szkic wciąż połykiwał na nagich deskach.

- Mam w Marsylii przedsiębiorstwo handlujące tkaninami - oświadczyła Serafina. Siedziała z przymkniętymi oczami, jej twarz częściowo przysłaniał wdzierający się do izby wieczorny mrok. - Będziemy potrzebować statków.

Nie okazał wdzięczności, a raczej irytację.

- Po pierwsze, małe dziewczynki nie handlują tkaninami - rzekł, odliczając na palcach. - Ich ojcowie - owszem. Ich bracia również.

- Mój ojciec umarł w więzieniu w Algierze. Nie mam braci Wszystko należy do mnie.

Tłumaczył dalej, jakby nic nie powiedziała.

- Po drugie, nie wiem, ile statków straciliście sześć lat temu, ale zapewne zastąpiły je nowe. Jeśli wasze przedsiębiorstwo nadal istnieje! Po trzecie - uciszył jej protesty machnięciem ręki - po trzecie, „Zimorodek” nie będzie się płątał wzdłuż wybrzeża. To ma być statek do żeglugi morskiej, a nie jakaś barka do przewożenia wełnianych czapek i damskich pończoch!

Serafina przypomniała sobie składy pełne jedwabiu w Marsylii i na chwilę ją także opanowała złość.

- A zatem będzie pan szukał trójgłowych potworów w Indiach, panie Marlowe, albo legendarnych skarbów w Nowym Świecie?

Przeszył ją wzrokiem pełnym wściekłości.

- Ależ skądże! Handel i to na taką skalę, że nawet nie potrafisz sobie tego wyobrazić. A teraz idź do łóżka, dziecko. -W dłoni trzymał kości do gry. - Mam zamiar powiększyć swój majątek.

Podniosła się, była bowiem przyzwyczajona do posłuszeństwa. Wcisnęła do kieszeni kawałek chleba, by zjeść go w samotności i ciszy w pokoju. Zasiała swój pomysł w odpornej głowie Thomasa Marlowe'a. Na razie to wystarczy.

Gdy Thomas i Serafina wjeżdżali w głąb Prowansji, coraz bardziej było widać, iż we Francji toczy się wojna domowa. Rak, który nękał wcześniej Paryż i północną część kraju, opanował w końcu także i południe, tak więc miasta nad Morzem Śródziemnym stawały się podległe samym sobie, a nie swym zmieniającym się, niestałym królom.

Nieuniknione dziedzictwo wojny domowej: podejrzliwość, przemoc i głód naznaczyły pola lawendy i rozmarynu oraz białe, nadmorskie wioski. Oddziały Sabaudczyków, jak również niezliczone odłamy katolików francuskich i hugenotów wdeptały piękną Prowansję w bagno politycznych i religijnych walk. Cztery lata wcześniej Charles de Casaulx zajął marsylski ratusz, rozpoczynając w ten sposób okres dyktatury. Wojny trwały nadal, a Henryk IV coraz mocniej zaciskał dłoń na swym dziedzictwie i Marsylia była coraz bardziej odizolowana, aż wreszcie została zmuszona, by zwrócić się do Hiszpanii: o zboże, uzbrojenie, żołnierzy i galery. Thomas Marlowe czuł, jak żołądek ściska mu się z niepokoju, gdy zbliżali się do miasta. Gdyby nie ta nieszczęsna dziew-

czyna, jadąca obok niego, wsiadłby w Kartagenie albo Walencji na statek płynący do Włoch i uniknąłby podróży przez tonące w kłopotach królestwo Henryka z Nawarry.

Przybyli do Marsylii na początku lata. Gdy zjechali z wysokich, białych klifów i dotarli do bram miasta, nadgorliwy kapitan straży zalał ich potokiem wścibskich pytań. Thomas podał się za genueńczyka, budowniczego statków, a milczącą Serafinę przedstawił jako Giovanniego, udzielił wielu coraz bardziej zmyślonych odpowiedzi na coraz bardziej irytujące pytania aż w końcu pozwolono im wjechać do zalanego popołudniowym słońcem miasta.

Trafili na dzień świąteczny; obój i bęben, wiola i flet rozbrzmiewały przeraźliwie głośno w męczącym upale. Zobaczył ze Serafina mruga oczami i pochyła głowę, porażona hałasem i światłem. Thomas poczuł ulgę na myśl, że oto zrzuci z siebie ostatnie i najbardziej absurdalne kajdany. Już niedługo nie będzie musiał odgrywać bezsensownej roli niańki i wkrótce będzie mógł wykorzystać talent, którym tak hojnie obdarzyła go natura.

Z powodu święta musieli zejść z koni i zostawić je w jakiejś gospodzie, mm zaczęli się przepychać, torując sobie drogę wśród tłumów wypełniających ulice. Thomas trzymał Serafinę za ramię; co chwila potrącały ich zamaskowane postacie: satyrowie, bachantki i dwugłowe bestie. Dziewczyna prawie nic nie mówiła przez cały dzień. Nie okazywała ani strachu, ani radości zamknęła się po prostu w sobie, rzadko zdobywając się na wysiłek, by odpowiedzieć na pytania swego opiekuna. Nie martwiło go to zbytnio jednak; kiedy tylko opuszczali ciemne, wąskie uliczki i wychodzili na otwartą przestrzeń, czuł w powietrzu zapach soli, ryb i smoły, a na tle błękitnego nieba majaczyła w oddali płatanina masztów.

Marlowe brał także pod uwagę Marsylię. Od czasu owej rozmowy w przydrożnej gospodzie wciąż nurtowało go pytanie gdzie zbudować wymarzony statek. Serafina na swój irytujący sposób miała rację. Nie wybuduje wszak „Zimorodka” w Hiszpanii, żeby wykorzystano go w drugiej armadzie przeciwko jego ojczyźnie. Nie wybuduje też statku dla imperium otomańskiego, ponieważ oznaczałoby to utratę imienia, religii niezależności, tak jak w przypadku Kara Alego. Z drugiej strony, wracać do Anglii, by wybudować tam statek za pieniądze

skradzione Kompanii Lewantyńskiej, byłoby przynajmniej nietaktowne. No i jeszcze ów w gorącej wodzie kąpany Edward Whitlock. Nie, rozmyślał Thomas. „Zimorodek” jest mój, od momentu nadania mu imienia na pustyni w północnej Afryce, aż do chwili gdy będzie ślizgać się po falach z ładownią ciężką od koralu, jedwabiu i przypraw. Będę przewozić towary innych, ale nie zrzeknę się prawa własności.

Marsylia... Thomas wciągnął głęboko ciepłe, słone powietrze, pozwalając, by Serafina prowadziła go ulicami miasta. Marsylia mogłaby się nadawać. Ma doki, drewno i płótno na żagle. To miasto jest ośrodkiem handlu, ważnym punktem na trasie łączącej północ z Lewantem.

Ale na gorących, zatłoczonych ulicach czuło się jakieś napięcie, przemoc wisiała w powietrzu. Thomas, którego zainteresowanie polityką sprowadzało się do tego, jaki ma ona wpływ/ na handel, zdał sobie sprawę, iż zaciska dłoń na rękojeści sztyletu i trzyma się z dala od ciemnych bram i pustych ulic. Jakiś kupiec w jedwabnej opończy próbował przepchnąć się przez ciżbę konno i Thomas usłyszał głośne przekleństwa i dostrzegł niechęć malującą się na twarzach ludzi, gdy tłum potraktował aroganckiego jeźdźca kuksańcami. Rad był ze swego prostego, płóciennego stroju, który nie rzucał się w oczy.

Z wąskiej ulicy wyszli na szeroki skwer. Thomas zobaczył, że Serafina otwiera szeroko oczy - pod wpływem wspomnień, na widok połyskującego błękitu nieba i morza.

Podążył w ślad za jej spojrzeniem; ominął wzrokiem stragany, w których handlowano wstążkami, cukierkami i piwem, nie zwrócił też uwagi na tancerzy i żonglerów, żeglarzy i ich ukochane. Ujrzał czteropiętrowy dom, wyższy i szerszy od sąsiednich, górujący po jednej stronie placu.

Dom rodziny Guardich, jak przypuszczał. Po raz pierwszy Thomas uświadomił sobie, że Guardi nie byli drobnymi handlarzami, wysyłającymi pojedyncze bele materiału w jedną i drugą stronę wzdłuż wybrzeża. Fasadę budynku bogato ozdobiło: okna otaczał ornament z lilii i rombów, ten sam motyw powtarzał się w złoceniach. Cała ściana frontowa połyskiwała w promieniach jaskrawego słońca, jakby dom zbudowano ze złota. Sternikowi przypomniały się książęce pałace w Wenecji. Ostentacyjny przejaw bogactwa, który miał wywierać wrażenie i być demonstracją siły.

Poczuł, że Serafina wywinęła się z jego uścisku niczym ryba i przeciskała się teraz między straganami i ulicznymi sprzedawcami wymijając żonglerów i tancerki, nosiwodów i handlarzy cebulą. Zobaczył, że dotarła do złotego domu i czekał aż wbiegnie na schody i zacznie walić pięścią w drzwi. Ruszył w jej kierunku, spodziewając się, że będzie świadkiem długiej sceny, której uczestnicy okażą z ładu południowym temperamentem smutek i radość jednocześnie.

Przeciskał się przez zatłoczony plac, utkwivszy wzrok w małej figurce u stóp schodów. Serafina stała nieruchomo i Thomas nie mógł pojąć dlaczego. Byli w Marsylii, a ten dom należał z pewnością do jej rodziny. Ów stary renegat, Kara Ali szantażem zmusił sternika, by przywiózł tutaj tę smarkulę! A jednak, kiedy Thomas podszedł do niej, nie weszła na schody i przez długą chwilę stała w tym samym miejscu, zupełnie zagubiona.

Nie odezwała się, póki nie wymówił jej imienia. Wówczas zas powiedziała z namysłem:

- Zmieniło się tu. Wszystko tu się zmieniło. Thomas stłumił narastającą w nim niecierpliwość.

- Nie było cię tutaj przez wiele lat - zauważył łagodnie Ku swemu zaskoczeniu, w jej ciemnych, tajemniczych oczach ujrzał strach, którego nie okazała podczas całej podróży. Próbując dodać otuchy dziewczynie, wziął ją za rękę czując w swej dłoni małą, zaciśniętą piąstkę. Serafina wyrwała mu się, jakby dotyk jego ręki ją parzył. Powiodła wokół dzikim spojrzeniem, a potem rzuciła:

- Piekarz... - i pobiegła, oddalając się od zamkniętego na głucho domu.

Niezadowolony Thomas ruszył za nią.

- Moja droga! - zawołał niecierpliwie.

- Chcę najpierw porozmawiać z piekarzem! - odrzyknęła - Monsieur Caillot to nasz stary znajomy.

Szli, przepychając się przez rozgrzany, źle usposobiony do obcych tłum mieszkańców Marsylii. Ktoś szturchnął Marlowe a w twarz bukietem lawendy, a zirytowany Thomas, który się spodziewał, że zaraz odzyska wolność, odepchnął go i w ślad za Serafiną skierował się do pobliskiej piekarni. Chleb, bułki i ciastka pachniały cudownie, ale zaledwie przed półgodziną zjedli obiad w gospodzie. Przyglądał się, jak Serafina wita się z piekarzem i me ujrzał na jego szerokiej, czerwonej twarzy ja-

kiegokolwiek śladu, świadczącego, że rozpoznał dziewczynę. Jakże mogło być inaczej? Z krótkimi włosami, w chłopięcym stroju, niewiele przypominała owo dziecko, które opuściło Prowansję wiele lat temu. Pomyślał, że dziewczyna odzyskała panowanie nad sobą: jej oczy znowu nic nie wyrażały, na powrót była twarda i spokojna. Wkrótce zdobędzie się na odwagę i wejdzie na schody, wiodące do jej domu. Thomas przestał się przysłuchiwać ich pogawędce, prowadzonej bardzo szybko w lokalnym dialekcie. Jakaś dziewczyna, na oko siedemnastoletnia, zapewne córka właściciela, wyszła z zaplecza piekarni i zaczęła układać bochenki na ladzie. Jej jędrne piersi wysuwały się ze stanika sukni, kręcone włosy przysypane były mąką. Co i raz rzucała okiem w kierunku Thomasa. Uśmiechnął się i skinął głową w ukłonie.

Nie miał jednak czasu na bliższą znajomość, zobaczył bowiem, kompletnie zaskoczony, że Serafina pochyła się do przodu i wsuwa pod kurtkę bochenek chleba, gdy piekarz odwrócił się, mówiąc coś do córki. Potem wyszła ze sklepu, spokojna jak zawsze, zostawiając sternika, gapiącego się z ogłupiałą miną.

Chleb był jeszcze ciepły, grzał ją pod kurtką, słońce prażyło w nieosłoniętą czapkę głowę. Udała się w kierunku doków, te bowiem pozostały takie same. Słyszała, że Anglik biegnie za nią, ale się nie odwróciła.

Dogonił ją, gdy usiadła na jakiejś beczce, mając przed sobą błyszczące i upstrzone białą pianą morze. Dostrzegła, że jest zły.

- A czemuż, do diabła, to zrobiłaś?

Z początku nie wiedziała, o co mu chodzi. Słowa piekarza dźwięczały jej w głowie w rytm muzyki dobiegającej z placu. Nie miała ochoty rozmawiać z Thomasem Marlowe'em.

- To! - rzucił niecierpliwie, wskazując na chleb. Trzymała go wciąż pod kurtką niczym niemowlę. Nie mogła

pojąć, czemu Thomas tak się denerwuje. Zabrała chleb, bo nadarzyła się okazja.

- Pomyślałam, że później możemy być głodni - wyjaśniła, by zamilkł wreszcie. Ale nie zamilkł.

- Głodni? - powtórzył. - A czemuż mielibyśmy być głodni? Przecież mamy wystarczająco dużo złota, żeby kupić sobie jedzenie. Czemu ryzykujesz, że wtrąca nas oboje do jakiegoś

cholernego, obcego więzienia dla jednego bochenka chleba, którego żadne z nas nie potrzebuje?

- Nie widział mnie - odrzekła pogardliwym tonem Serafina.

Jednym prędkim ruchem wyjęła chleb spod kurtki i wrzuciła go do morza.

Obserwowała, jak bochenek hušta się na wodzie, a potem znika, i pomyślała, że chętnie poszłaby w jego ślady.

Zabrakło jej w końcu odwagi, żeby się ujawnić. Piekarz jej me poznał, podobnie jak jego córka, towarzyszka zabaw dziecięcych Serafina. Monsieur Caillot, zapytany o barwny, pozłacany dom, powiedział: „Uczynił go dla siebie o wiele wspanialszym, niż był za czasów tego głupca, Franca”.

„Uczynił go dla siebie o wiele wspanialszym, niż był za czasów tego głupca, Franca”. Franco - to jej ojciec. On - to Angelo.

- Serafino!

Podniosła głowę na dźwięk swego imienia, jednak ledwie rozpoznała Anglika, nie zadała też sobie trudu, by mu odpowiedzieć. Piekarz opowiedział jej również inne rzeczy, ale na razie starała się o nich nie myśleć.

Poczuła, że opiekun wcisnął jej coś do rąk. Póki nie spróbowała wódki, nie zdawała sobie sprawy, że ona sama się trzęsie, jakby to był środek zimy, a nie jasny, letni dzień.

- Powiedz mi - odezwał się Thomas Marlowe.

Serafina wlepiła w niego wzrok. Wiedziała, że Anglik chce po prostu pozbyć się ciężącego mu obowiązku i że niespodziewana zwłoka go złości. Dostrzegła w wodzie kawałki chleba, których nie zjadły jeszcze mewy.

- Twój ojciec nie żyje - ciągnął mężczyzna. - Wiedziałaś

o tym. A co z twoją matką, siostrami, dziadkami?

Nigdy mu nie wyjaśniła, kogo ma na myśli, mówiąc: „rodzina”. Rodzina to byli Franco i Marthe, i Jehan, i monsieur Jacques, i bele jedwabiu mające płynąć pod banderą Guardich z Neapolu do Lyonu. Wydawało się jednak, że Thomas oczekuje odpowiedzi.

- Moja matka zmarła, kiedy byłam dzieckiem. - Serafina stwierdziła, że mówienie przychodzi jej z wielkim trudem - Miałam piastunkę, Marthe. I kuzyna Angela, który pomagał memu ojcu. Był jeszcze notariusz, nazywał się Jehan de Coniques
1 faktor - monsieur Jacques. Nie mam braci ani sióstr.

- Notariusz, faktor - Anglik mówił teraz łagodnym głosem, klęknął przed nią na bruku. - Gdzie oni są?

Serafina nawet nań nie spojrzała.

- Piekarz powiedział, że sytuacja się pogorszyła, a ludzie zaczęli nienawidzić kupców.

Zobaczyła, że popatrzył na plac, na cisnący się, obszarpany tłum i przeniósł wzrok na dom połyskujący złotymi ornamentami. Położyła dłonie na przybrudzonych spodniach. Zwykle chwyciła w lot czyjeś wyjaśnienia, ale tego nie mogła zrozumieć. Wiedziała jednak, że musi dać jakąś odpowiedź, inaczej bowiem Marlowe zaciągnie ją po schodach tego zmienionego, a jednak znajomego domu i zmusi do konfrontacji, a nie chciała, by ktokolwiek był tego świadkiem.

Opowiedziała Thomasowi w krótkich, twardych słowach, w których nikt by nie wyczuł fałszywej nuty, że piekarz powiedział jej, iż nastąpiły ciężkie czasy. Że jej rodzina zmuszona była sprzedać dom. Ze przedsiębiorstwo Guardich już nie istnieje. Że nic nie zostało.

Ostatnich kilka miesięcy okazało się dla Williama William-sa, niegdyś cieśli okrętowego na pokładzie nieszczęsnego „To-by'ego”, równie trudne jak dla jego przyjaciela - sternika. Był katolikiem, a chociaż także sympatycznym, spokojnym człowiekiem, jego katolicyzm trwał mocno i niezmiennie, nie poddając się ani perswazji, ani groźbie.

Wróciwszy ostatecznie do Londynu, William Williams stwierdził, że Anglia nie jest już dla niego bezpieczną przystanią. Ktoś - pod wpływem przekonań, z chciwości albo po prostu żywiąc doń zadawnione urazy - rozsiewał plotki. Ktoś zauważył, że William rzadko bywa na nabożeństwach, ktoś widział go w towarzystwie księdza niechętnego obrządkom anglikańskim, ktoś dopatrzył się niewłaściwych elementów w religii, jaką wyznawał. Niezależnie od przyczyny, William Williams po dwóch tygodniach pobytu w domu uznał, że roztropniej będzie wrócić na morze.

Podczas jednej z podróży zawinął do Marsylii. Tutaj katolików raczej akceptowano. Marsylia mogła dać się wciągnąć wojnę domową, która zawsze jest wielką tragedią, ale pomimo pozorów w wojnie tej chodziło bardziej o władzę i bogactwo niż o religię. Niebezpieczeństwa czyhające w tym mieście na przybyszów różniły się od tych w Londynie i były znacznie mniej przewidywalne. W Marsylii człowiek mógł siedzieć w portowej

tawernie, sącząc piwo, i nie musiał obawiać się dotknięcia zimnej ręki na ramieniu ani stukania do drzwi w środku nocy. Tutaj niebezpieczeństwo polegało na tym, że można było zostać wciągniętym w czyjaś kłótnię albo otrzymać cios nożem w plecy, bo komuś nie spodobał się wyraz twojej twarzy albo krój ubrania.

Niewielu jednak ludzi chciałoby wszczynać kłótnię z Williamem Williamsem.

Cieśla miał sześć stóp wzrostu, był masywnym Walijczykiem, z muskularni wyrobionymi od swego fachu, a po czterech kuflach piwa wciąż zachowywał trzeźwą głowę. Nie obawiał się zwady, ale i nie znajdował przyjemności w bójkach: nie potrzebował, tak jak inni mężczyźni, konfliktów, by rozładować napięcie.

Dzisiaj dojdzie do bijatyki - cieśla mógłby się założyć o zawartość swego mieszkania - ale William Williams nie zamierzał brać w niej udziału. Będzie dziś bójka, bo zrobiło się gorąco, bo jest święto, no i Marsylia nieustannie rwała się do walki.

Wojna, jak również ostentacyjna zamożność kupców dostarczały pretekstów i to było wszystko. Podczas swego trzytygodniowego pobytu w porcie cieśla widział, jak jednego z bogaczy tłum ściągnął z konia i zatłukł na śmierć; widział też innych, którzy nie opuszczali domów bez uzbrojonej asysty.

Żaden jednakże kupiec nie bywał w tej tawernie. Podobne znajdują się w Londynie, Dieppe, Livorno. To miejsca, w których każdy żeglarz natychmiast czuje się u siebie, a ktoś inny od razu wie, że nic tu po nim. Było tu trio składające się z pięknych usługujących dziewczuch, cholerycznego właściciela i kilku graczy, których William mocno podejrzewał o oszustwo. Prawie jakby był w Greenwich.

Bijatyka, rozmyślał William, gdy podniósł kufel, by napelnić go jeszcze raz najpiękniejszą dziewczyną, zaczęła się od karciarzy. Cieśla słabo znał francuski, ale ton i gesty są takie same we wszystkich językach. Grono graczy powiększyło się ostatnio

o piątego. Ten ostatni, ubrany w zniszczoną, pikowaną kurtę

i w równie zniszczonym, czarnym, filcowym kapeluszu, siedział odwrócony plecami do Williama Williamsa. Przypominał mu kogoś, choć cieśla nie mógł sobie jeszcze przypomnieć kogo. Przybysz nie był mieszkańcem Marsylii, lecz cudzoziemcem, i miejscowi obedną go ze skóry. Czasami wybuchała wtedy bójka, czasami niewinny człowiek rozsądnie godził się z przegraną. Czasami, jak się domyślał William Williams, w środku nocy wrzucano jakieś ciało do tajemniczych, ciemnych wód portu.

Przypuszczał, że było koło dziesiątej. W mieście wciąż trwał świąteczny ruch i gwar, a w tawernie zrobiło się tak tłoczno, że nie dało się zamknąć drzwi. William Williams podniósł kufel, by miło pożegnać się z Francją i zobaczył, jak piąty gracz również wstaje, odłożywszy karty na stół. Ten człowiek nie zamierzał potulnie godzić się z przegraną. Przemawiał natomiast do przeciwników tak cicho i uprzejmie, że cieśla nie rozumiał ani słowa. Ale znów miał męczące przeświadczenie, że zna tego człowieka. Piąty gracz, jego agresywna poza, dobrane słowa, dłoń o pół cala od sztyletu - wszystko to zdecydowanie mu kogoś przypominało.

Thomas Marlówe. William Williams przypomniał sobie dawnego towarzysza, gdy gracze wyciągnęli sztylety, a stół, karty i piwo wyleciały w powietrze. Ten człowiek przypominał Williamowi Thomasa Marlówe'a, sternika na „Tobym”. Ale Thomas, wraz z czterdziestoma innymi biedakami utonął u wybrzeży północnej Afryki. Nie pochowali żadnego z ciał, które znaleziono, ale uratowali trochę ładunku. Musieli. William stwierdził nagle, ku swemu zdziwieniu, że także stoi ze sztyletem z dłoni. Połowa tawerny, jak się wydawało, przyłączyła się już do zwady, ale jakimś cudem skrawek miejsca pozostał pusty, pokryty jedynie śmieciami i słomą. Thomas Marlówe zawsze był małym, agresywnym bękartem. Ale Thomas Marlówe nie żyje. Teraz już wszyscy w tawernie mieli w rękach sztylety albo noże, albo też zacisnęli dłonie w pięści. Jedna z dziewczuch waliła kogoś po głowie dzbanem od piwa. Piąty gracz zatopił swój nóż w brzuchu przeciwnika, który zachwiał się i dotknął palcami rany, zanim runął na ziemię. Powtarzając wciąż sobie, że Thomas Marlówe utonął, cieśla stwierdził, że uparcie przedziera się przez salę.

Zraniony karciarz niewątpliwie zmarł; jego przyjaciele niewątpliwie pragnęli zemsty. William Williams wyprawił na tamten świat jednego z nich precyzyjnym, potężnym ciosem pięści. Dwóch pozostałych rzuciło się na człowieka, który wyglądał jak Thomas Marlówe. Zanim William odciągnął ich i cisnął w drugi kąt sali, nawet dawno nieżyjąca i wytrzymała matka Thomasa mogłaby mieć trudności z rozpoznaniem swego syna.

William Williams jednak go poznał. Pochwycił w ręce obie poły znoszonego kubraka niedoszłego nieboszczyka, jednym

ruchem dźwignął go i wyciągnął przez otwarte drzwi tawerny na zewnątrz. I wówczas, ukryty w ciemnej bramie, postawił dawnego kompana na nogi i rzekł: - Witaj we Francji, Thomasie.

Jeszcze tego ranka Serafinie wszystko wydawało się takie łatwe. Przybędzie do Marsylii, dojedzie ulicą La Canebière do samych drzwi domu. A tam będą Marthe i Angelo, i monsieur Jacques, i monsieur de Coniques.

Wydarzenia z przeszłości wciąż na nowo rozgrywały się w obolałej głowie dziewczyny, gdy wyslizgnęła się po cichu z tawerny i szła ciemnymi, gwarnymi ulicami Marsylii. Ojciec, ogłaszający jej zaręczyny, trwające całą zimę przygotowania, a wreszcie podróż. I Angelo, zawsze on. Angelo przy stole, z nieprzeniknioną miną, gdy ojciec zawiadamiał wszystkich o swym postanowieniu, Angelo na wzgórzu, kładący jej na głowę wianek z rozmarynu i powoju. Kiedyś chciała wyjść za mąż za swego kuzyna. Angelo podsadzający ją na kuca, Angelo jadący obok niej z piórkiem powiewającym przy szkarłatnej czapce. „Zawsze będę twoim przyjacielem - powiedział Angelo, całując ją. Kimże innym mógłbym być?”. A teraz pozostali tylko Angelo i monsieur de Coniques. Piekarz powiedział, że Marthe umarła rok po ich porwaniu, a monsieur Jacques opuścił Guardich wiele lat temu.

Ale było jeszcze coś gorszego. Skłamała Thomasowi, tam, na nadbrzeżu.

Przedsiębiorstwo nie zostało sprzedane. Firma dobrze prosperowała i należała teraz do Angela, który nie był ani zarządcą, ani też nabywcą. Był spadkobiercą!

Piekarz powiedział jej to wszystko dziś po południu. Tak straszne słowa pośród przyjemnego zapachu mąki, soli i świeżego pieczywa. „Uczył go dla siebie o wiele wspanialszym niż za czasów tego głupca, Franca”.

To stąd te błyszczące, złote ornamenty na domu. Na jej domu!

Ten budynek wciąż błyszczał, nawet w nocy. Kinkiety na ścianach odbijały jego blask; połyskiwał w odległym świetle świec dochodzącym z placu. Przed domem Guardich panowała cisza -mała oaza spokoju w gwarnym, rojnym mieście. Serafina czuła pulsowanie w głowie, bolały ją oczy, tak jak kiedyś w Algierze. Oprócz słów piekarza w głowie dźwięczały jej jeszcze inne. Ka-

ra Ali powiedział kiedyś: „Myślę, że powinnaś się zastanowić, dziecko, kto mógł skorzystać na śmierci twego ojca”.

Usiadła na najniższym schodku i oparła obolałą głowę

o chłodną, żelazną poręcz. Nie wiedziała, czemu tu przyszła. Zamaskowane twarze na ulicy wydawały się jej postaciami z sennego koszmaru; zbyt dużo czasu spędziła z dala od gwaru dużego miasta. Czy zamierzała stawić czoło kuzynowi? Powiedzieć mu: „Oddawaj, bo to moje”? Na co on przypuszczalnie odpowiedziałby: „Bierz wszystko, opiekowałem się majątkiem dla ciebie, *cherie*”.

Czuła się właściwie zbyt zmęczona, by się tym przejmować. Był późny wieczór, a ona już tak długo podróżowała. Miała potargane, cuchnące kwaśno włosy, a jej ubranie zeszytywniało od brudu i potu. Nie czuła jeszcze żalu po śmierci Marthe i tak naprawdę nie opłakiwała jeszcze ojca. Sądziła, że uczyni to tutaj, w domu.

Nie zdawała sobie sprawy, że przymknęła oczy, że czas mijał, póki nie usłyszała głosów na ulicy. Kiedy się obudziła, ujrzała w świetle pochodni dwóch mężczyzn stojących pod przeciwległą ścianą. Jeden z nich był młody i przystojny, miał ciemne, kręcone włosy do ramion, czerwoną czapkę i wcięty, pikowany kaftan. Tym drugim był Angelo.

Angelo ze wspomnień, z jej snów. Spod ozdobionego piórkiem kapelusza wystawały ciemnozłociste włosy, na białą, jedwabną koszulę zarzucił niedbale krótki, niebieski płaszcz. Miał przy sobie filigranowy rapier i wysadzany drogimi kamieniami sztylet. Zupełnie się nie zmienił.

Serafina usłyszała słowa nieznajomego:

- A zatem śliczny chłopiec, porzucony niczym bela jedwabiu, czeka tu na nas.

Poszerz trochę swe horyzonty, mój drogi,

1 spróbuj tego dzisiejszej nocy.

A Angelo, rzucając mu krótkie spojrzenie, odrzekł:

- *Dieu*, Piętro, równie dobrze mogę się przespać z moją kłaczą. Ona przynajmniej śmierdzi tylko końskim gównem.

Czuł się, jakby na jego twarzy ktoś zatańczył gigę. Wylawszy na siebie wystarczająco dużo słonej wody, by zacząć widzieć i myśleć jasno, Thomas spojrział na cieślę okrętowego i zapytał:

- Will, Chryste, jak ty...?

- Inną drogą niż ty, jak sądzę, przyjacielu. - Walijczyk wykrzywił twarz w uśmiechu.
- Myślałem, że zbierasz korale wraz z naszym drogim zmarłym, oplakiwanym kapitanem.

- Z nierozsądnym panem Goodlayem? - Thomas potrząsnął przecząco głową i skrzywił się z bólu.

- A więc nie wróciłeś do Anglii? - Oczy cieśli pełne były ciekawości i domysłów. Thomas spuścił oczy.

- Nie. A ty, Will?

- Na krótko. Ale nie przyjęto mnie zbyt miło.

Nic więcej nie powiedział, a po paru chwilach Thomas zdał sobie sprawę, że temat jest wyczerpany.

- A inni? - spytał, przypominając sobie „Toby'ego”, roztrzaskanego na kawałki o nieprzyjazne, czarne skały.

- Dwunastu przeżyło. - Zaczęli iść wzdłuż portu i po chwili tawerna stała się jedynie punkcikiem świetlnym w oddali. - Źle było, Thomasie. Marokańczycy zmusili nas do wyciągnięcia wraku, a potem wtrącili wszystkich do więzienia w Fezie. Dwóch naszych zmarło tam z upływu krwi. Reszta w końcu dotarła do kraju.

Thomas potarł brodę, pogrążony w rozmyślaniach.

- Co teraz chcesz robić, Will?

Cieśla zerknął do tyłu, na tawernę i wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Wyjadę z Marsylii - odpowiedział. - Słyszałem, że Livorno to przyjemne miejsce. Thomas żałował, że pił i wdał się w bójkę. Gdyby tego nie zrobił, może myślałoby mu się lepiej. Livorno było wolnym portem, miasto założył książę Ferdynand z Toskanii. Można tam było znaleźć doki i ludzi do pracy, rozwijał się handel.

- Kiedy? - zapytał Williama.

- Jutro. Stawiam żagle jutro. Na pokładzie małej, przyjemnej kogi o nazwie „Louise”.

Marlowe zaczął się z trudem uśmiechać, jeszcze zanim przyjaciel dodał:

- Jestem pewien, że znajdzie się tam miejsce dla sternika. - Wówczas Thomas przypomniał sobie o tej nieszczęsnej dziewczynie, umówił się więc z Willem i pobiegnął z powrotem do tawerny.

Serafina skończyła się ubierać, na krótko zanim jej opiekun załomotał do drzwi. Włożyła wówczas swój pancierz ochronny i nie okazała żadnych oznak bólu czy cierpienia.

Gdy otworzył drzwi i wszedł do pokoju, wlepili w siebie wzrok z głupimi minami. Ona, ponieważ twarz Thomasa wyglądała, jakby użyto jej w charakterze tarana, on - ponieważ dziewczyna miała na sobie suknię.

Serafina pierwsza odzyskała głos.

- Przyjemny wieczór, panie Marlowe? Spochmurniał.

- Pozyteczny - stwierdził i rozglądając się po pokoju, spytał: - Spakowałaś się już? Skinęła potakująco głową i zmusiła się do uśmiechu.

- Odchodzę jutro, panie Marlowe. Będę mieszkać z moją piastunką. Pamięta pan, z Marthe.

Powoli zwrócił na Serafinę pochmurny wzrok. Nigdy wcześniej tak na nią nie patrzył.

- Dobrze - oświadczył z roztargnieniem.

Nie zadaje nawet żadnych pytań, pomyślała zadowolona.

- Więc może pan już iść - dodała, wyrażając się bez ogródek.

- Aha.

Wydawało się, że Thomas zaraz wybuchnie gniewem i wyrazi oburzenie, iż Serafina tak łatwo się go pozbywa, ale nic nie powiedział. Zamiast tego, ku jej zdumieniu, zerwał z głowy kapelusz i pocałował ją w rękę.

- Pani uniżony sługa, mademoiselle - rzekł na pożegnanie i zostawił ją samą.

Izba wydawała się boleśnie pusta, gdy wyszedł. Ale muzyka dobiegająca z placu poniżej zabrzmiała głośniejsz, jakby wszystkie piszczące flety i źle nastrojone wirole zgromadziły się razem tej nocy w Marsylii. Przez otwarte okno Serafina wylapywała pojedyncze słowa. Wszystkie narodowości świata zgromadziły się w Marsylii, wszystkie języki ludów chrześcijańskich unosiły się i mieszały w wieczornym powietrzu. Ale Serafina знаła inny język i to właśnie wyrażenie z *lingua franca* z tureckiego więzienia tłuło jej się po głowie w rytm tanecznej muzyki i śmiechu dobiegającego z ulic. *Todo mangiado*, mawiali w Algierze, w Oranie. *Todo mangiado*.

Powoli podniosła się z łóżka i podeszła do okna. Kupiła tę suknię na targu za ostatnie złote monety, które dał jej medyk,

nie chciała bowiem, by jakikolwiek mężczyzna patrzył na nią tak jak Angelo. W jego błyszczących, ciemnych oczach była nikim, po prostu nikim. Stworzeniem bez imienia, bez ojczyzny, bez płci.

Ludzie na placu ustawiali się do tańca: długi korowód wijący się jak wąż tak daleko, jak mogła sięgnąć wzrokiem. Serafina była obca w swym własnym kraju, została pozbawiona należnego jej dziedzictwa.

Todo mangiado. Nieodwołalnie stracona.

Część czwarta

1594-1595

WIELKI PORT

Książę ma wielki port w Livorno - miście całkiem niedawno zbudowanym i ufortyfikowanym. Ale mieszkańcy Florencji nie posiadają własnych statków, ich towary przewożą cudzoziemscy kupcy, którzy dostarczają im też wiktuałów i innych artykułów pierwszej potrzeby.

„DZIENNIK PODRÓŻY”,

FYNES MORYSON

Livorno leży u wybrzeży Toskanii. Było to niegdyś malaryczne miejsce, zagubione wśród bagien pełnych owadów. Cosimo de Medici kupił port w Livorno, zaś jego syn, Ferdynand książę Toskanii, ogłosił miasto wolnym portem.

Livorno się rozwinęło: można tam było kupić i sprzedać właściwie wszystko. Zboże, jedwab, płótno, srebro, złoto i oczywiście ludzi. Livorno miało własne więzienie tak jak Algier oraz swoje galery, których załogi składały się z muzułmańskich i chrześcijańskich niewolników. Można tam także było kupić lub sprzedać towary z przemytu: broń, saletrę czy śrut, jak również łupy piratów. Nowe kompanie handlowe z północy potrzebowały Livorno, wygodnie usytuowanego portu w pół drogi między Atlantykiem a Lewantem. Wszelkie nacje świata chrześcijańskiego gromadziły się w tym hałaśliwym i rojnym miejscu, gdzie wysoko ceniono sobie umiejętności i siłę. Grecy i Korsykanie, Anglicy i Holendrzy tworzyli załogi statków kupieckich, pływających po Morzu Śródziemnym. W listopadzie 1594 roku niebo miało głęboki odcień czystego błękitu, a słońce połyskiwało zimno w dachówkach i jasnozielonych bagnach ciągnących się wzdłuż wybrzeża. Zimą w dokach trwała praca: naprawiano galery i statki, a także budowano nowe na miejsce tych, które zatoneły podczas sztormów albo zostały przechwycone przez korsarzy. Beczulki ze smołą, zwoje lin, worki z konopi i bele płótna składowano w magazynach i na nadbrzeżu. Słońce odbijało się w połączonych dziobach statków, zwiniętych żaglach i w takielunku karaweli, galeonów i kog, kołyszących się lekko na morzu. Wokoło

rozbrzmiewały odgłosy pił i młotków, w powietrzu unosił się zapach smoły i płonącego węgla. Doki pełne były ludzi: cieśli i powroźników, budowniczych okrętów, kowali i bednarzy.

W jednym z suchych doków leżały na ziemi kil, rufa i belki stanowiące podstawę galeonu - niczym wypalony przez słońce szkielet jakiejś ryby. W pobliżu niedokończonego statku William Williams pochylał się nad kawałkiem drewna z piłą w ręce. U jego boku uczeń - piętnastoletni chłopak o oliwkowej cerze i kręconych włosach - kręcił się po kamiennych płytach z ekierką i miarką w dłoniach.

Kiedy po spokojnej podróży z Marsylii Thomas pokazał Williamowi swe plany galeonu, ten, będący żeglarzem od piętnastu lat, a rzemieślnikiem jeszcze dłużej, potrafił docenić wartość „Zimorodka”. Człowiek mniej rozumny mógłby wybuchnąć śmiechem na widok gorącego zapału na twarzy tego młodego mężczyzny, człowiek obdarzony mniejszą wyobraźnią mógłby zlekceważyć natchnienie i intuicję, mieć wątpliwości z racji wieku, braku doświadczenia i koneksji upartego sternika. William w głębi duszy przez pewien czas żywił niejakie wątpliwości co do złota, ukrytego w znoszonym, pikowanym kubraku Thomasa - ale tylko przez krótki czas, niezbadane są bowiem ścieżki Pana. Pięć miesięcy wcześniej spędzili pierwsze trzydzieści dni w Livorno, ślęcząc nad planami w portowej tawernie - od tamtej pory William nie żałował decyzji, którą podjął owej nocy. Budowa statków to jedyny fach, na jakim się znał, a skoro nie mógł dłużej pracować w swej ojczyźnie, będzie zatem pracował we Włoszech dla jednego z rodaków.

Postępy w budowie sprawiały im satysfakcję, nie wydawały się jednak spektakularne. Thomas potrzebował nieco czasu, by zebrać najlepszych cieśli, najlepszych kowali, ale był cierpliwy me zadowalał się drugim rzutem. William sam znalazł obiecującego, młodego ucznia o imieniu Cristofano: chłopak miał wady właściwe każdemu młodzieńcowi w jego wieku. Rozpierała go nadmierna energia, nie mógł zapanować nad językiem i nie potrafił się skoncentrować, jeśli w zasięgu pół mili znalazła się piękna kobieta. Ale był zdolny i inteligentny i nie bał się ciężkiej pracy.

Prostując plecy znad sterty desek, William splunął w dłonie i czekał na Thomasa, który przeciskał się przez hałaśliwy tłum w jego kierunku.

- Kwiecień - powiedział sternik, zdejmując kapelusz i ciskając go na ziemię. - Kwiecień, niech to diabli...

- Aha.

William Williams dorzucił kilka kawałków węgla do piecyka. Pomimo lazurowego nieba i jaskrawego słońca powietrze było przejmująco zimne. Cristofano wykrzywił twarz, a otrzymawszy od Williama celnego kopniaka, zaczął mierzyć następną wręgę.

W oczach Thomasa, intensywnie niebieskich niczym morze latem, błysnęła złość. Odezwał się, wydychając obłoczek pary:

- Pytam go więc, jak można zbudować statek bez drewna? Ten człowiek jest ponoć kupcem drzewnym, na miłość boską.

- Są inni kupcy. - William, który poznał już charakter Thomasa i jego perfekcjonizm, spojrzał niepewnie na kompana. - I co ci powiedział?

Sternik zasyczał, złośliwie imitując głos kupca:

- Nie mogę zmusić drzew, aby rosły, messer Marlowe. Tylko dobry Bóg to potrafi. - Posłał Williamowi wściekłe spojrzenie nad palącym się węglem, unosząc ręce w geście irytacji. - Na to ja rzuciłem jakieś bluźnierstwo, on krzyknął, święcie oburzony, ja zakląłem, on posłał po swe sługi...

- I wyrzucili cię z domu - dokończył spokojnie William. Cristofano, młodzieniec uzdolniony, ale niezbyt taktowny, parsknął śmiechem. Na brzegu piecyka grzał się dzban z winem. Thomas, trzęsąc się jeszcze ze złości, wziął go w obie ręce i usiadł na pobliskiej beczce.

- Coś w tym rodzaju - przyznał ponuro. - Tak czy owak, ten człowiek na nic by się nie przydał.

Cieśla nic nie powiedział, tylko wrócił do ucznia i piły, zostawiając Thomasa, by zapił swój zły nastrój. Przyjaciół odznaczał się niewyczerpaną energią, ale bardzo niedużym zapasem cierpliwości. Miał jednak rację, nie da się zbudować statku bez drewna, nawet statku tak oszczędnego i pięknego jak „Zimorodek”.

Był to stały, dokuczliwy problem - brak drewna, jedyny wrzód na gładkim, obiecującym ciele Livorno. Planując szkielet z mocnego, tokańskiego drewna dębowego, konieczny dla najlepszych statków kupieckich, i sprawdzając pomiary poczynione przez Cristofana, William wiedział, że niepokoje Thomasa nie są bezpodstawne. Niedostatek materiału do budowy okrę-

tów stanowił od wielu lat utrapienie Toskanii. Brak drewna w dobrym gatunku mógł zatopić statek, dosłownie i w przenośni. Statek pochłaniał ów surowiec z ogromną zachłannością. Stępka, kil, belki - była ich ponad setka, a każda mogła mieć ponad półtorej stopy szerokości. Opóźnienia w budowie mogły oznaczać utratę cennych kontraktów, niedotrzymanie terminów, niepotrzebne wydatki w postaci opłat i uposażeń, gdy ludzie i doki stali bezczynnie. Nie można pożyczyć pieniędzy pod zastaw statku, który został wybudowany w połowie, czy też składów drewna, które są puste. A William Williams domyślał się, że Thomas nie ma tyle pieniędzy (bez względu na źródło ich pochodzenia), by pokryć nieprzewidziane przestoje. Przyglądał się, jak jego kompan wstaje, by odstawić puste naczynie, a zły humor opuszcza go równie szybko, jak się pojawił.

- Masz rację, Will. Są jeszcze inni kupcy drzewni. - Sternik podniósł kapelusz, włożył go na potarganą czuprynę i utkwiał spojrzenie w drewnianym szkielecie swego statku. - I odwiedzę każdego z nich, jeśli będzie trzeba.

W grudniu, po wielu opóźnieniach, spowodowanych chorobą i złym stanem dróg, kupiec Jacopo Capriani powrócił do swego rodzinnego miasta, do Pizy. Rozpoczął podróż prawie dziewięć miesięcy temu; była to starannie opracowana i zaplanowana wyprawa, którą przedsięwziął w jednym tylko celu: by zarobić pieniądze.

Messer Capriani handlował półszlachetnymi kamieniami i galanterią. Przywoził korale i bursztyny, tygrysie oczka i jedwabne świecidełka z gorącego południa Włoch. W Neapolu kupował kokardy i jedwabne wstążki, fatałaszki dla dam i bogatych panów z Włoch i Francji. Podróżował z Neapolu do Marsylii drogą lądową, z kawalkadą mułów dźwigających kosze wypchane towarami. Wracał do Pizy, wygodnego punktu w połowie drogi, na cztery lub pięć miesięcy w roku. W każdym większym lub mniejszym mieście znał wszystkich kupców, ich przedstawicieli lub faktorów. Odwiedzał targi i domy najbogatszych rodzin, rozkładając przed klientami swe towary niczym worek skarbów. Ale zatrzymywał się także w najmniejszych wioskach i najbiedniejszych osadach. Kilka lirów czy też parę sou nie zaszkodziło bilansowi, a dodatkowa moneta przydawała ciężaru skrzyniom.

Messer Capriani miał przyzwoity dom w Pizie oraz dwa mniejsze w Marsylii i Neapolu. Podróżując między tymi miastami, zatrzymywał się w przydrożnych gospodach i zajazdach, nigdy w najdroższych - wszak celem jego wypraw było zarabianie pieniędzy, a nie ich wydawanie - ani w najgorszych - ponieważ kupiec musi ukazywać światu godną zaufania twarz. Jego dom w Pizie był przyzwoitych rozmiarów - nie ostentacyjnie wielki, messer Capriani nie znosił bowiem ostentacji, jednak wystarczająco duży, by można w nim mieszkać wraz z domownikami w całkowitym komforcie.

Był wdowcem: jego żona, którą słabo pamiętał, zmarła wiele lat temu, zanim zdołała powić pierwsze dziecko. Od tamtego czasu Jacopo Capriani nie widział powodu, by ożenić się powtórnie, ale zażywał rozkoszy w ramionach nie najdroższych miejscowych kurtyzan. Dawno już z tym skończył - od lat nie spał z kobietą. Miał wystarczająco wiele sług, które go karmiły, ubierały i opiekowały się nim podczas ataków gorączki bagiennej. Nie pragnął wcale wysłuchiwać głupiej kobiecej paplaniny przy stole podczas obiadu.

Messer Capriani oczywiście nie podróżował sam. Zabierał ze sobą kucharzy, ponieważ miał delikatny żołądek, i służących, jako że osiągnął wiek, gdy przywiązuje się wagę do wygodnego łóżka i dobrze przewietrzonych ubrań. Miał też uzbrojoną straż, drogi bowiem są złe, a towary cenne. I trzech kancelistów, by być informowanym na bieżąco o wszystkich skomplikowanych transakcjach. Jednym z kancelistów messera Caprianiego, była, dziwnym trafem, kobieta. Nazywała się Serafina.

W jednej z tawern Livorno Thomas Marlowe świętował z przyjaciółmi. Minęło pół roku, odkąd znalazł się we Włoszech, budowa posuwała się, choć w nierównym tempie, a Thomas doświadczał mieszaniny frustracji i radości, która mogłaby okazać się wyczerpująca dla mniej energicznego mężczyzny. On jednak świetnie się czuł wśród następujących prędko po sobie triumfów i porażek, walcząc z brakiem wyobraźni u jednych i brakiem zaangażowania u innych, i wykazując zapał zrozumiały jedynie dla ludzi, którzy, podobnie jak on, dźwignęli się z ubóstwa. Świadomość, że jego marzenie bliskie jest realizacji, dodawała mu siłę, a czasami i cierpliwości, by znosić niezliczone prze-

szkody. Niedostatek drewna był najpoważniejszą z nich i udało mu się ją pokonać dopiero dzisiaj, po dwóch tygodniach spędzonych na przetrząsaniu doków i ulic w Pizie oraz Livorno. Teraz, w towarzystwie Williama Williama, jego ucznia Cristofana i kilku innych ludzi zaangażowanych w budowę „Zimorodka”, sternik świętował swój sukces.

- Najlepszy tokański dąb i wystarczy nam go przynajmniej do końca wiosny - zakończył z triumfem i opróżnił trzeci kufel piwa.

Cristofano, elegancko odziany w płócienną koszulę i kolorowe pończochy, stanął na ławce i krzyknął na usługującego chłopaka. Rufus, jednooki, małowówny kowal, z pochodzenia Szkot, splunął na podłogę.

William Williams, jak zawsze praktyczny, zapytał delikatnie:

- A cena?

Thomas wykrzywił twarz i potrząsnął głową.

- Za dużo, oczywiście. Gdy połowa właścicieli stoczni we Włoszech rozpaczliwie poszukuje drewna, raczej nie mogłem się targować. - Zniżył głos, tak że był ledwie słyszalny wśród gwaru rozmów w tawernie. - Nie miałem wyboru, Will. Trzymanie ludzi bez pracy także kosztuje.

Przez chwilę popijali piwo w milczeniu. Obchodzono dziś jakieś święto i portowa tawerna pełna była ludzi. Na zewnątrz niemiły śnieg z deszczem zamazywał kontury statków; panujący w środku tłok sprawiał natomiast, że w niskiej sali robiło się za gorąco.

- Twój spadek... - zaczął William, a na twarzy jego kompana pojawił się znajomy grymas.

Było to wygodne określenie, wymyślone przed kilkoma miesiącami w odniesieniu do złota, którym ponad rok temu obdarzyły Marlowe'a morze i wrak „Toby'ego”.

Thomas, który wypił już tyle, że niczym się za bardzo nie przejmował, odpowiedział beztrząskko:

- Niewiele z niego zostało.

W głowie zaczęło mu się przyjemnie mieszać, a uczucie ulgi z powodu zdobycia zapasu drewna jeszcze go nie opuściło. Znalezienie złota, Marlowe zdawał sobie teraz z tego sprawę, było jedynie pierwszym krokiem do realizacji marzeń. Całe przedsięwzięcie wymagało jeszcze wysiłku organizacyjnego, wiele szczęścia i cholernie dużo ciężkiej pracy. Długa droga, jaką

przebył od wraka „Toby'ego” na Wybrzeżu Berberyjskim aż do przyjazdu późnym latem do Livorno wydawała się teraz nieistotna, liczyła się tylko jako środek wiodący do celu. Wiedział, że jutro znowu będzie musiał zacząć się martwić o pieniądze, by „Zimorodek” nie okazał się niedokończonym, nagim szkieletem statku, niszczącym we włoskim doku - a z taką ewentualnością wciąż należało się liczyć.

- Zacznę rozglądać się za kontraktami - powiedział, wlepiając wzrok w pustą szklanę. - Ale nie sprzedam go, Will. Nikomu nie dam go przejść. - Przypomniał sobie smukły, zgrabny kształt wznoszący się w suchym doku. - Kiedy kupcy go zobaczą, będą ustawiać się w kolejce, żeby nim popłynąć - dodał z przekonaniem, które mogą dać jedynie cztery kufle piwa. -Zobaczysz. Od jutra zacznę do nich chodzić.

William uśmiechnął się, a jego szeroka twarz się rozjaśniła.

- Tak - odrzekł. - Jeśli tylko będziesz mógł chodzić. Thomas wstał i wcisnął sobie kapelusz na głowę.

- Zew natury - wyjaśnił, starannie wymawiając słowa. Stwierdził, że jest wyjątkowo z siebie zadowolony i wiedział, iż nie zdaje sobie sprawy z rozmiaru problemów, póki ich nie rozwiąże.

W domu kupca drzewnego była wielce urocza służąca i sternikowi przyszło na myśl, że mógłby tam znowu wstąpić tej nocy. Od przyjazdu do Livorno żył jak zakonnik, mówił sobie w duchu, a właściwie to odkąd przyплыли z północnej Afryki, nie zbliżył się do kobiety. Podziwiał wytworne damy siedzące w oknach i przypominał sobie wówczas Faith Whitlock i legendarną zazdrość włoskich mężów. Nie mógł sobie pozwolić na drogą kurtyzanę i nie zamierzał otrzymać prezentu w postaci syfilisu od portowej prostytutki. Rozmyślał właśnie, rozmarzony, o gęstych, jasnych włosach pokojówki kupca, gdy ktoś wylał nań dzban pełen wina.

Thomas ujrzał przed sobą szczupłą, arogancką twarz, fałdzistą, czarną szatę i wąskie ostrze noża wymierzone w jego własną, przemoczoną koszulę. Usłyszał francuskie przekleństwa, obficie przetykane skargami na własną nieuwagę. Uczucie ulgi i alkohol sprawiły, że Thomas okazał się wyjątkowo wyrozumiały, zdobył się na pojednawczy uśmiech i wyciągnął ręce w przepaszającym geście.

- Stokrotnie przepraszam, to moja wina, oczywiście.

Marlowe zdawał sobie sprawę z tego, że właściciel noża jest jeszcze bardziej pijany od niego. Przez chwilę panowała cisza, sternik przygotowywał się, by sięgnąć po sztylet i zawołać swych ludzi, aż wreszcie ów człowiek mruknął:

- Trzeba patrzeć przed siebie, gdy się idzie.

Thomas delikatnie odsunął nóż na bok. Czuł się niezwykle wielkoduszny, wprost kochał cały świat. Skłoniwszy się, zaproponował:

- Proszę pozwolić mi postawić sobie jeszcze jeden dzban wina, bym mógł naprawić swój błąd, monsieur...?

- ...de Coniques - dopowiedział niechętnie nieznajomy.

Na dźwięk tego nazwiska w głowie Thomasa zapaliło się jakieś światełko. Wziął od mężczyzny pusty dzban i zawołał chłopaka, by go napełnił. Ale dopiero gdy wyszedł na zewnątrz i znalazł się sam, oddychając zimnym, ostrym powietrzem, przypomniał sobie wszystko.

Ta mała, Serafina, którą eskortował z afrykańskiego wybrzeża do Marsylii na zlecenie owego renegata, medyka, Kara Alego. W Marsylii najpierw ukradła bochenek chleba, a potem, siedząc na beczulce w porcie, opowiedziała mu o swej rodzinie. Kuzyn, faktor i notariusz. Notariusz nazywał się Jehan de Coniques. A ten człowiek, ten gburowaty, agresywny pijak, miał na sobie strój notariusza.

Thomas niewiele myślał o Serafinie Guardi, odkąd zostawił ją w Marsylii - a właściwie odkąd został przez nią zwolniony w tawernie. Myślał za to o niej teraz i odkrył, że niespodziewanie wyraźnie pamięta ostatnią noc, ową jedyną chwilę w ciągu ich znajomości, kiedy widział dziewczynę w sukni. Przez większą część podróży z północnej Afryki do Francji rzadko myślał

O Serafinie jako o kobiecie - była dzieckiem, niewolnicą, czasami nawet chłopcem stajennym. Ale owej nocy przed jego wyjazdem do Livorno, gdy miała na sobie tę ciemną, prostą suknię'

I zreżymie upięła swe krótkie włosy, znowu doznał może nie uczucia pożądania, ale niewątpliwie zainteresowania, którego doświadczył był przedtem tylko raz, wtedy na łódce. Wówczas poczuł na sobie ciężar drobnego ciała Serafiny, widział ją bezbronną. W Marsylii uzbroiła się przeciwko niemu i najeżyła, odpychając go od siebie. Ale, zdumiony własną przenikliwością, dostrzegł cień namiętności i jakiś ślad uczucia w owych ciemnych, obojętnych oczach.

Był jednak zadowolony, że się jej pozbył. Thomas odwrócił się w kierunku morza, poprawiając swe lepkie, cuchnące kwaśno ubranie i przyznał się w duchu, że incydent z bochenkiem chleba w piekarni wstrząsnął nim. Nie z powodu wartości chleba - Bóg jeden wie, że on sam ukradł złoto, warte tysiąckroć więcej od tego bochenka - ale z powodu braku skrupułów i bez troski, z jaką to zrobiła. Tak jakby zawsze należało wziąć coś nie z potrzeby, ale dlatego, że trafiła się ku temu sposobność.

Ale ten monsieur de Coniques. Marlowe zapatrzył się w morze, w chłodną mgłę otaczającą ciemniejące statki, w przymglone odbicie płomieni w mętnej wodzie. O ile ten człowiek był owym monsieur de Coniques'em od Serafiny, pozostał nadal notariuszem, nawet jeśli nie pracował już dla Guardich.

Marlowe, wiedziony tą samą ciekawością, która ciągnie ludzi takich jak on po morzach i oceanach, powrócił do tawerny.

Notariusz wciąż tam siedział, skulony nad dzbanem wina, który postawił mu Thomas.

- Jehan - rzekł sternik, a mężczyzna podniósł wzrok. Thomas siadł na ławce naprzeciwko niego i przekonał się natychmiast z miny notariusza, że instynkt go nie zawiódł.

W tawernie było wciąż tłoczno; co chwila poszturchiwano ich w plecy, w powietrzu unosił się gęsty dym z paleniska. Ten kąt był jednak dość spokojny, oddzielony z dwóch stron ceglany murem, oświetlony jedną tylko świecą stojącą na stole.

Marlowe postawił drugą butelkę wina pomiędzy sobą a Francuzem. Zaspokoję swą ciekawość i wyjdę, powiedział sobie w duchu. Ten jegomość przypominał groteskowego, czarnego owada, spowitego w szeleszczącą tkaninę, z pofałdowaną, szarą skórą.

- Znam pańskiego chlebobdawcę - powiedział swobodnie Thomas. - Franca Guardiego.

Nie spuszczał wzroku z twarzy swego rozmówcy. Domyślał się, że Jehan de Coniques jest po trzydziestce, starszy od niego o jakieś dziesięć lat. Twarz Francuza naznaczona była wyrazem goryczy, poorana bruzdami od kącików oczu aż po kości policzkowe, od wąskich nozdrzy po poczerniałe od wina usta. Thomas miał już na końcu języka słowa: „Spotkałem córkę Franca Guardiego kilka miesięcy temu”.

Ale coś go powstrzymało, a notariusz, nie podnosząc oczu znad kielicha, mruknął:

- Franco nie żyje. Firma należy teraz do Angela. Angelo, rozmyślał Thomas, usiłując sobie przypomnieć coś więcej, był kuzynem Serafiny z nieprawego łoża. Upił łyk wina. Jehan de Coniques był pijany jak bela; musiał coś pomieszać. Firma Guardich nie należała do Angela, ponieważ firma Guardich już nie istniała. Wszak Serafina powiedziała mu to w porcie w Marsylii.

- Franco nie żyje? - powtórzył Thomas, udając zaskoczenie. - Miał córkę, prawda? Na krótko zdołał pozyskać uwagę swego rozmówcy. Szare oczy, które byłyby ostre i bystre, gdyby nie alkohol, spoczęły na nim, po raz pierwszy lustrując go badawczo.

- Dziewczyna również nie żyje - oznajmił Jehan de Coniques, a jego głos brzmiał sucho i zgrzytliwie. - Umarła w tym samym czasie, co ojciec.

- Och! - Sternik ponownie napełnił oba kielichy. - Zaraza?

- Nie. Ci przekłęci algierscy korsarze - odrzekł tamten, wycierając usta w rękaw, i zachichotał.

Thomas poczuł, że jeży mu się skóra na karku. Uświadomił sobie nagle, że coś jest nie w porządku, że czuł to od samego początku, lecz w głupi sposób nie chciał się do tego przyznać. Ale zmusił się, by mówić nadal spokojnym, normalnym głosem.

- A zatem firmę sprzedano?

- Nie. - Jehan de Coniques, zirytowany, podniósł kielich do ust. - Powiedziałem już, że Angelo ją dostał. Angelo posiada wszystko.

Sternik zacisnął mocniej dłoń, w której trzymał kielich. A więc Serafina skłamała mu tamtego dnia w Marsylii. Przedsiębiorstwo Guardich nadal istniało i dobrze prosperowało, uświadomił sobie, przywołując w myślach obraz owego wyłocznego domu. Wcześniej, w hiszpańskiej tawernie, dziewczyna powiedziała mu, że wszystko należy do niej, że po śmierci ojca jest jedyną spadkobierczynią. A jednak nie chciała wejść na schody swego własnego domu. Skłamała bez powodu i rozmyślnie. Thomas stwierdził ze zdziwieniem, iż świadomość, że został oszukany, wzbudziła w nim gniew.

- Dziewczyna miała piastunkę, prawda? - zapytał, drażąc dalej temat, które może lepiej byłoby zostawić w spokoju. -Marthe...

- Ona także nie żyje. Zmarła w dniu, gdy się dowiedziała, że jej najdroższa Serafina nie wróci do domu. - Jehan de Coniques zajął do pustego kielicha i wykrzywiając twarz, dodał: - Angelo to sprytny bękart!

A więc skłamała raz jeszcze. „Będę mieszkać z moją piastunką” - oświadczyła mu w Marsylii, nie zadając sobie trudu, by nań spojrzeć. A owa piastunka, Marthe, od dawna nie żyła. Obserwując notariusza, Thomas poczuł zimny dreszcz. W końcu dostrzegł z oślepiającą jasnością, co wydawało mu się nie w porządku - co od zawsze było nie w porządku. Serafina oraz jej ojciec powinni zostać wykupieni. Ktoś - na przykład ów czarujący kuzyn, Angelo - powinien był zapłacić pieniędzmi Guardich, by oboje wypuszczono z niewoli. Ale nikt tego nie uczynił, pozwolono natomiast, by dziewczyna spędziła na afrykańskim wybrzeżu sześć lat, jej ojciec zaś, według słów Kara Alego, zmarł w więzieniu.

Gwar w tawernie stał się irytujący i jakby niestosowny zarazem. W głowie Thomasa jedna myśl gonila drugą. Poświęcił tej małej trzy miesiące swego życia, a jednak wiedział, że pojął jedynie niewielką część gry, którą prowadziła. Serafina oszukała go w wielu sprawach: nie zatrzymała się w Marsylii u dawnej piastunki, a przedsiębiorstwo Guardich nie przestało istnieć. Ta kłamczucha rzuciła mu tylko przynętę, którą chętnie przyjął i połknął niczym biedna ryba. Czując w głowie zamęt wywołany alkoholem i złością, Thomas zapytał:

- A ta dziewczyna, córka Franca, czemu z nim popłynęła? Czyż nie powinna była siedzieć w domu?

Notariusz poruszył się na krześle, szeleszcząc poplamioną taftą.

- Serafina miała wyjść za mąż. Wyruszyli do Włoch, gdzie zamierzano ogłosić jej zaręczyny z Michele Corsinim. Franco Guardi kupował oczywiście jedwab z warsztatów Corsinich.

Jehan de Coniques osunął się na siedzenie, przymykając oczy. Thomas widział wokół siebie porzrzucone fragmenty niczym kawałki dziecięcej układanki i usiłował zrozumieć, w jaki wzór powinny się ułożyć. Wiedział, odczuwając taki sam głęboki niepokój, jak przed sztormem, że Serafina kłamała i że nic się tu nie zgadzało. A więc Serafina płynęła z Francji do Włoch, by wyjść za mąż. Dziecko, mające ile? - dziewięć czy dziesięć lat, podróżuje po morzu, by się zaręczyć z jakimś zamożnym to-

skańskim pankiem. I jakaż to wygodna sytuacja dla kuzyna Angela, że korsarze zdobyli statek Guardich...

Zbyt wygodna. Thomasa nagle uderzyła inna myśl, która spadła nań niczym kubał lodowatej wody. Spytał ostrożnie:

- A zatem korsarze przejęli statki Guardich przed zaręczynami córki Franca?

- Przed jej zaręczynami - potwierdził notariusz. Światło świecy ukazywało zmarszczki i zagłębienia w jego twarzy. - Mówiłem już, że to sprytny bękart...

Sternik gwałtownie wciągnął powietrze. Jehan de Coniques miał zapadnięte oczy, z ust nie schodził mu uśmiech, obnażający zęby. Wygląda tak, rozmyślał Thomas, wpatrując się w swego rozmówcę, jakby śmierć przedwcześnie ujęła go za ramię, naciągając skórę, by ukazać czaszkę.

- Kim pan jest? - zapytał nagle notariusz, a jego rozmazane, szare oczy błysnęły inteligencją i podejrzliwością. - Jeszcze jednym sprytnym bękartem?

Marlowe potrząsnął przecząco głową. Z pewnością nie czuł się sprytny, a jedynie głupi i oszukany.

- Jestem tylko marynarzem. Żeglarzem. - Zdziwił się, gdy zobaczył, że ręka mu drży przy podnoszeniu butelki z winem do ust.

- Była małą, arogancką suką - dodał niespodziewanie tamten. Znów zachichotał i podniósł wzrok na Thomasa. - Wydawało jej się, że jest lepsza od nas wszystkich. Myślę, że po paru nocach w haremie dowiedziała się, do czego naprawdę się nadaje. Marlowe potrząsnął głową. W oczach Jehana de Coniques'a malowała się nieszczerą radość. Thomasa zalała fala niemal fizycznego obrzydzenia: wygląd tego człowieka, a także świtająca mu w głowie myśl o sieci zdrady i oszustw, w jaką wplątał go Kara Ali, przyprawiały go o mdłości.

Uznawszy, że ledwie już nad sobą panuje, podniósł się i skinął notariuszowi głową na pożegnanie. Nie wrócił do swych towarzyszy, lecz udał się w stronę doków, by odetchnąć czystym, wilgotnym powietrzem.

Liczby, chłodne rzędy cyfr w księdze rachunkowej dawały pociechę i koły ból.

Pewnej nocy Serafina, siedząc samotnie w izbie kancelistów w domu Jacopa Caprianiego w Pizie, napisała ostatnią cyfrę i posypała kartkę piaskiem.

Kiedy atrament wysechł, zamknęła księgę i podniosła się, by zaciągnąć zasłony. Stała na chwilę w oknie, oglądając miasto, a bliżej - własne odbicie w ciemnej szybie. Oba obrazy lekko drżały, niedoskonałe z powodu drobnych usterek i nierówności szkła. Mogła dostrzec jednak błyszczące, ciemne włosy pod skromną opaską i prostą, szarą suknię, która podkreślała jej zgrabną, choć drobną sylwetkę. Nie była już niewolnicą ani chłopcem stajennym. Po lecie spędzonym w podróży jej gładka skóra przybrała odcień złoto-brązowy, a oczy, niczym ciemne stawy, nie miały żadnego wyrazu. Nikt już nie patrzył na nią tak jak Angelo. Kiedyś utraciła wszystko, lecz teraz nie pozwoli, by ktokolwiek odebrał jej tę odrobinę, którą zdołała odzyskać. Nie pozwoli nikomu zbliżyć się na tyle, by mógł spróbować. Zaczęła pracę u messera Caprianiego jako służąca, spotkaw-szy go na targu w Marsylii w ubiegłym roku. Po kilku latach spędzonych w kuchniach Kara Alego nową pracę uznała za łatwą, ale wkrótce, przypomniawszy sobie rozwój wydarzeń w domu medyka, zadbała, by kupiec dowiedział się, iż potrafi pisać i czytać. Napisała dla niego kilka listów, gdy jeden z kancelistów zachorował. Człowiek ów był głupcem, odkryła w cennej księdze rachunkowej messera Caprianiego jego błędy i z niewinną miną wskazała je swemu chlebobdawcy. Została wówczas zwolniona z robót domowych i zajęła się rachunkami. Jej znajomość języków również okazała się przydatna. W domu kupca podawała się za Francuzkę, ale łacina, włoski i arabski, które znała, zapewniły jej wygodniejsze życie, niż mogła się spodziewać. Pewnych rzeczy nikt, choćby zawsze sprzyjało mu szczęście, nie może ci odebrać. To bowiem ślepy traf sprawił, że Angelo zyskał bogactwo, a Serafina je utraciła. Jej kuzyn zawsze był oportunistą. Z wyroku losu galera „Gabrielle” znalazła się na drodze korsarzy. Zanim przyszła propozycja wykupienia jeńców, Angelo zajmował się już od kilku miesięcy bieżącymi sprawami przedsiębiorstwa. Sprawiało mu to radość, czuł się usatysfakcjonowany, może nawet stwierdził, że potrafi robić niektóre rzeczy lepiej niż Franco. Wtedy los ofiarował mu możliwość przejęcia na zawsze całego przedsiębiorstwa Guardich. Musiał tylko dopilnować, by Franco i jego córka nigdy nie powrócili z Afryki Północnej. Na ostateczne żądanie korsarza w sprawie okupu odpowiedział

po prostu: „Nie, zabij ich”. I zapewne wysiał nawet pieniądze, by jego prośbie stało się zadość. Każdemu, kto o to pytał, Angelo mówił po prostu, że muzułmanie zabili Franca i jego córkę albo że oboje zmarli na jakąś zakaźną chorobę w algierskim więzieniu. Serafina pomyślała, że potrafi zrozumieć swego kuzyna, że prawie się z nim solidaryzuje. Ona także wykorzystywała wszelkie pomyślne okoliczności, jakimi obdarowywał ją los. Tyle że w jej przypadku los nie okazał się tak hojny. Z radością opuszczała Marsylię, z radością udała się do kraju, do którego jechała prawie osiem lat wcześniej. Jeśli w ogóle wspominała przeszłość, myślała o niej niemal ze spokojem, bez poczucia krzywdy czy goryczy. Podobnie jak w Algierze, nie zastanawiała się nad przyszłością. Jej przyszłość została pogrzebana, przyszłość należała do Angela i jego jaskrawozłote-go domu w Marsylii, Serafina nie miała w niej udziału.

Jej rodzinę stanowił teraz messer Capriani i jego księgi rachunkowe. W kantorze kupca pracowało jeszcze dwóch innych ludzi: Bastien i Amadeo. Amadeo był dobrym kancelistą, o ile przestawał na jakiś czas myśleć o swoim wyglądzie i nie uwodził służących, a zajmował się pracą. Bastien, jak szybko się zorientowała dziewczyna, zmieniał liczby w księgach, a różnicę brał do kieszeni. Kiedy Serafina pracowała w kuchni, obaj zaczęli się nią bardziej interesować, jednak jako ich towarzyszką stała się dziwolągiem, istotą kuriozalną, do której należało podchodzić ostrożnie. Zatrudnienie kobiety w kantorze była oznaką starzenia się messera Caprianiego. W pracy Bastien i Amadeo rzucali w siebie papierowymi strzałami i opowiadali dowcipy o swym chlebodawcy, Serafina zaś siedziała za biurkiem i myślała tylko o liczbach.

A jednak, jak zauważyła z niechętnym rozbawieniem, doświadczenia z dzieciństwa pozostawały wciąż żywe. Jeśli w ogóle doświadczała uczucia bliskiego złości, to wtedy, gdy przeglądała księgi rachunkowe messera Caprianiego. Gniewało ją marnotrawstwo i brak umiejętności, które sprawiały, że zamiast cieszyć się zamożnością, kupiec żył jedynie na przyzwoitym poziomie.

Po pierwsze, powinien był kupić statek. Zaciągając powoli zasłony, Serafina przypomniała sobie angielskiego sternika, kreślącego swe wizje na nierównej powierzchni stołu. Konne wyprawy Jacopa Caprianiego, z obładowanymi towaram zwierzętami, były wyczerpujące, kosztowne i niebezpieczne. Po-

dróż dobrze uzbrojonym statkiem trwałaby o połowę krócej. A te towary, którymi handlował! Messer Capriani znał wszystkie ważniejsze rodziny i wszystkich kupców we wszystkich portach od Marsylii do Neapolu. Mógłby handlować przyprawami, srebrem, jedwabiami. Zamiast tego sprzedawał świecidełka. Znów przyszedł jej na myśl angielski sternik i przypomniała sobie jego chłodny, sarkastyczny głos: „«Zimorodek» nie będzie jakąś barką do przewożenia wełnianych czapek i damskich pończoch". Jacopo Capriani postanowił handlować jedynie jedwabnymi kokardami i bursztynowymi kolczykami.

Wyszedłszy z kantoru z księgami rachunkowymi w ręce, Serafina znalazła kupca w jego pokoju, gdzie siedział przy stole zarzuconym zwojami wstążek i nici. Wieczór był chłodny, jednak świece nie paliły się jeszcze, i tylko słaby ogień płonął w palenisku. Kupiec miał na sobie brązową szatę z grubego aksamitu i wyświechtaną opończę obszytą futrem. Skłoniwszy się, Serafina położyła na stole księgi rachunkowe.

Platanina jedwabiu, satyny i aksamitu obok ciemnych okładek zajaśniała pomarańczowym blaskiem, odbitym od ognia, jakby ozdobił ją piękny, barwny deseń. W tym ponurym pokoju kolorowe wstążki wyglądały wprost niestosownie i niemoralnie, niemal uwodziły swym pięknem.

Messer Capriani trzymał księgę na długość wyciągniętej ręki. Mrużąc wodniste oczy, czytał, przewracając powoli stronicę.

- To chyba zadowolające wyniki, madonna - mruknął.

By to znak dla Serafiny, iż może dygnąć ponownie i wyjść, że wypełniła swe obowiązki na dziś. Ale to, co wydawało się zadowolające według messera Caprianiego, było coraz bardziej niezadowolające dla niej. Przez chwilę zastanawiała się, czy Angelo czuł się podobnie, obserwując jej ojca. Te piękne tasiemki i wstążki leżące na stole mogły do niej nie należeć, jednak troszczyła się o nie. Usłyszała swe własne słowa:

-Mógłby pan zażądać więcej pieniędzy za szkarłatne wstążki niż za purpurowe. Zarobiłby pan wówczas tysiąc lirów rocznie więcej.

Messer Capriani nie zadał sobie nawet trudu, by na nią spojrzeć.

- Kupuję je w Neapolu za tę samą cenę - odrzekł, wyciągając chustkę z rękawa i wycierając nos. - Czemuż miałbym żądać więcej za szkarłatne?

Serafina nie dała się przygnieść poczuciu klęski.

- Ponieważ wyglądają ładniej - odpowiedziała cierpliwie, wyciągnęła szkarłatną i purpurową wstążkę z kłębowiska na stole, ciesząc się miękkim dotykiem chłodnej, gładkiej tkaniny. Kupiec zerknął na nią.

- Obie są czerwone - rzekł lekceważąco. - Szkarłat, purpura, czy to ważne? Jeśli zażadam więcej za szkarłat, wówczas damy będą kupować tylko purpurę.

Nie jest głupi, pomyślała Serafina. Brakuje mu po prostu wyobraźni.

- Proszę tylko spojrzeć - odezwała się głośno.

Zsunęła opaskę i rozpuściła ciemne, sięgające jej teraz do ramion włosy.

Przyłożywszy szkarłatną wstążkę do ciężkich loków po jednej stronie twarzy, a purpurową - po drugiej, podeszła do ognia, by kupiec mógł ją zobaczyć. Messer Capriani z szelestem szat odwrócił się, by na nią popatrzeć. Serafina stała nieruchomo, gdy kupiec obchodził ją dookoła, przyglądając się uważnie szkarłatnemu jedwabowi na tle błyszczących, ciemnych loków. Poczula, że musnął palcami jej ozdobione wstążkami włosy, ale się nie poruszyła. Oceniał, jaką wartość ma jego własność, jaką ona ma wartość, dokładnie tak, jak to czyniono na targu w Algierze.

- Szkarłatna jest ładniejsza, prawda? - zapytała Serafina. Kupiec pokiwał głową.

- Jest ładniejsza, madonna. - I sięgnąwszy po pióro i księgę rachunkową, Jacopo Capriani zaczął poprawiać cyfry w jednej z kolumn.

Niedostatek pieniędzy, a może jeszcze bardziej dokuczliwy brak materiałów, zmusił Thomasa, by w lutym udał się konno do Pizy, oddalonej od Livorno o kilkanaście mil. Zabrał ze sobą Cristofana: sam władał włoskim dość dobrze, ale bywały sytuacje, kiedy nieznośnie brakowało mu właściwych słów. Chłopak, urodzony w Pizie, znał wszystkich i wiedział wszystko o każdym mieszkańcu tego miasta. Choć nie skończył jeszcze szesnastu lat, znał także najlepsze tawerny i najbardziej uległe kurtyzany. Thomas jednak stanowczo postanowił poczekać z jednym i drugim, aż będą mieli okazję do świętowania.

Pogoda była okropna i przygnębiająca, padał śnieg z deszczem albo sam śnieg.

Odpowiednia aura, by wreszcie dojść do

ponurego wniosku: przyjdzie mu się zobowiązać, iż przez rok czy dwa będzie przewozić błyskotki wzdłuż wybrzeża Morza Śródziemnego w zamian za wsparcie finansowe, które pozwoliłoby mu dokończyć budowę statku.

W Pizie Thomas omijał bogate palazzo wychodzące na rzekę Arno, domyślając się, że w takich domach wymagano by listu polecającego, by mógł przekroczyć ich próg. Musiał znaleźć kupca, który zamierzał stać się bogaty, a nie takiego, który już miał pieniądze. Znalazł wielu kupców, ale okazali się nudnymi, liczącymi się z każdym groszem skąpcami, dla których podniecające było uzyskanie kilku soldów więcej za łokieć koronki, a przygodą - jednodniowa przejażdżka do Lukki.

Thomasowi pozostała jeszcze wystarczająca suma pieniędzy, by kontynuować budowę - sam miał niewielkie potrzeby i zakupił już wiele materiałów potrzebnych do budowy statku - ale wiedział, że musi znaleźć patrona, zanim „Zimorodek” zostanie spuszczonej na wodę. Wyekwipowanie statku, by mógł wypłynąć, jest kosztowne, a nie można prowadzić handlu, mając puste kieszenie.

Lodowaty deszcz spływał sternikowi po karku, rondo kapelusza pod wpływem deszczu oklapło. Ta pogoda przypominała mu Londyn w marcu. Ale wystarczyło, by podniósł głowę i popatrzył na urocze, malowane fasady domów, na ciemne cienie sylwetek kobiet ukrytych za oknami, by upewnić się, że od Londynu dzieli go tysiąc mil. Wydawało się, iż całe miasto przybrało jeden kolor - żółtej ochry, poszarzałej przez zimę. Cristofano zaczął narzekać na pusty brzuch, lecz Thomas dał mu pstryczka w ucho i ruszył w kierunku jeszcze jednego kupieckiego domu.

Kazano im czekać piętnaście minut w lodowatozimnym holu wyłożonym płytkami, po których ściekała woda. Cristofano, znudzony, usiadł na rzeźbionej skrzyni i rysował coś palcem na zamglonej szybie. Kominiek był wygaszony. Thomas oddychając, wypuszczał obłoczki pary. Był to przyzwoity budynek, otynkowany na ciemnożółty kolor jak pozostałe domy w Pizie, ale otaczała go aura upadku czy też zaniedbania. Sitowie rozrzucone po holu nie wyglądało na świeże, a w kątach klatki schodowej zgromadził się kurz. Cristofano, odpowiadając na pytanie Thomasa, szepnął mu, że messer Capriani jest starszym człowiekiem i nie ma żony. A zatem nie było tu kobiety, która dopilnowałaby służby i przeciwstawiła się brzydo-

cie tego domostwa. Thomas, nienastrojony optymistycznie wobec tej wizyty, oparł się o ścianę i ziewnął.

Zamknął prawie oczy, kiedy ją zobaczył. Ujrzał w przelocie drobną, szczupłą dziewczynę, ubraną w szarości, dźwigającą w ramionach stos ksiąg. Najpierw przyglądał się jej, ponieważ pomyślał, że może być śliczna, a potem, ponieważ odkrył, iż ją zna.

Serafina! Thomas zerwał się i ruszył w ślad za nią, a w tej samej chwili z góry zbiegł służący, by mu oznajmić, iż messer Capriani go oczekuje. Marlowe miał tylko tyle czasu, by przyłgnąć wzrokiem do jej małej twarzy w kształcie serca i usłyszeć słowa:

- On panu nie pomoże. Podróżuje sam. Na koniach, mułach i osłach. - I zaraz ruszył w ślad za służącym po schodach, a potem ciemnymi korytarzami.

Niestety, miała rację. Jeśli kiedykolwiek jakiś kupiec potrzebował statku, to tym kupcem był Jacopo Capriani. A jednak messer Capriani, jak powiedziała Serafina, wolał muły i osły.

Thomas zostawił Cristofana na dole, a uczeń zapomniał nawet o pustym żołądku na widok Serafiny. Sternik miał ochotę znów chwycić młodzieńca za ucho, gdy ten podniósł się i ruszył za dziewczyną niczym pies goniący za suką.

Messer Capriani przyjął gościa w gabinecie na piętrze. Kominiek widać źle ciągnął, gdyż zasłony, kiedyś zapewne ładne, poczerniały od dymu. Pokój był skromnie umeblowany i zimny, pomimo ognia tłącego się w palenisku. Messera Caprianiego, podobnie jak jego dom, również otaczała atmosfera zaniedbania. Kłaniając się kupcowi, Thomas pomyślał, że ten ma już dobrze po sześćdziesiątce. Był wysoki i wymizerowany, a spod fałdzistego nakrycia głowy wyłaziły mu rzadkie kosmyki włosów. Jego ciemne, aksamitne szaty wydawały się o jeden rozmiar za duże, a żółta skóra zaczęła się kurczyć, opinając się na kościach twarzy.

- Witam pana, messer Marlowe. - Gospodarz siedzący za wielkim, brzydkim biurkiem, skinął głową w kierunku Thomasa. - Co mogę dla pana uczynić?

Zaczął opowiadać mu tymi samymi słowami, które powtarzał już tego dnia z pół tuzina razy, o „Zimorodku”, o wspaniałym interesie, jaki proponuje messerowi Caprianiemu,

O szczęściu, jakie go spotkało. Ale czuł, że nie mówi równie przekonująco jak zwykle, ponieważ połowa jego myśli krążyła wciąż wokół niespodziewanego spotkania z Serafiną, w skromnej szarej sukni, niosącą księgi rachunkowe. Wyglądała tak jak wtedy w Marsylii, gdy widział ją ostatnim razem: prosty szary strój, włosy zawinięte nad uszami w dwa gładkie obwarzanki. Nawet jej wyraz twarzy i brzmienie głosu były takie same. Pewna siebie, daleka, opanowana. Nie powiedziała ani jednego niepotrzebnego słowa, nie rzuciła mu ani jednego spojrzenia więcej, niż wymagała tego grzeczność. Jeśli nawet Thomas nie spodziewał się, że dziewczyna ucałuje go serdecznie w oba policzki, to jednak poczuł się urażony faktem, iż nawet się nie uśmiechnęła. Zastanawiał się przez chwilę, jak tutaj trafiła.

- ...jest tyle problemów z przewożeniem towarów drogą morską, messer Marlowe. Sztormy, korsarze. Uważam podróżę lądem za bezpieczniejsze.

Thomas zaczął raz jeszcze, w godny podziwu sposób siłąć się na cierpliwość, wyjaśniać, że jego statek będzie dobrze uzbrojony przeciw korsarzom, że zamierza pływać o wszystkich porach roku i że zakończy podróż w znacznie krótszym czasie niż ten, którego potrzebuje teraz kupiec, by wraz z wieloma jucznymi zwierzętami przejechać błotnistymi, pełnymi bandytów drogami. Ale messer Capriani podniósł pióro i wrócił do pisania. Thomas miał ochotę potrząsnąć tym mężczyzną, by zmusić go, aby dostrzegł, że korzystając z „Zimorodka”, podwoi swe dochody w ciągu roku.

Jednak kupiec z irytującym uśmieszkiem dodał:

- Ja nie wierzę w wykładanie pieniędzy na projekty, które mogą nigdy nie zostać ukończone, messer Marlowe. To nie leży w moim zwyczaju.

Zakosztowawszy raz jeszcze tego dnia gorzkiego smaku porażki, sternik skłonił się niedbale, wcisnął kapelusz na głowę

i opuścił gabinet kupca.

Na schodach minął Serafinę, próbującą pozbyć się natrętnego Cristofana. Nie odezwała się do Thomasa: spojrzała na niego jak na nieznanego. Nie - nawet nie tak. Jak na służącego, który kiedyś u niej pracował, a teraz jest już niepotrzebny. Gdy rzuciła mu krótkie, drwiące spojrzenie, poczuł budzący się gniew i usłyszał własne słowa:

- Spotkałem twego dawnego znajomego, Jehana de Coni-ques'a. Jeśli chcesz wiedzieć, co mi powiedział, znajdziesz mnie w gospodzie przy via di Santa Caterina. A potem, ciągnąc za sobą Cristofana, Thomas opuścił dom kupca.

W gospodzie było pustawo, ponura pogoda zatrzymała bowiem wielu ludzi w domu. Thomas, który spędził tego dnia dwanaście godzin, włócząc się po ulicach, chętnie rozstał się z Cristofanem i poszedł na górę, by zdjąć z siebie mokre rzeczy.

Prawie zapomniał o Serafinie. Prawie, ale niezupełnie: jej obraz tkwił mu gdzieś głęboko w myślach podczas owego długiego, męczącego dnia. Niemal natychmiast pożałował impulsu, który kazał mu powiedzieć jej o spotkaniu z Jehanem de Coniques'em, ale zdołał się łudzić, że Serafina wzgardzi zaproszeniem.

Był jednak w błędzie. Ujrzał ją, gdy tylko otworzył drzwi. Siedziała na stolku przy ogniu w jego izbie, z oczami utkwionymi nie w ogniu czy drzwiach, ale w pustej ścianie po przeciwnej stronie.

Wstała, kiedy Thomas wszedł do środka.

- Mam nadzieję, że mi pan wybaczy, panie Marlowe. Gospodarz powiedział, że mogę tutaj poczekać. Poprosiłam służącego, by dorzucił do ognia.

Miała na sobie tę samą, szarą suknię, w której widział ją rankiem. Skromny kolor i prosty biały kołnierz podkreślały ciemną barwę jej włosów i oczu i rzucały cienie na gładką skórę. Wyglądała bardzo młodo w tej sukni, z włosami wilgotnymi od deszczu, i niemal tak bezbrinnie jak wtedy na łodzi.

Thomas ściągnął ociekający wodą płaszcz i kapelusz, rzucił je na najbliższą skrzynię i powiedział:

- Siadaj, jadłaś coś?

Siadając z powrotem na stolku, skinęła potakująco głową. Nie wierzył do końca tej dziewczynie. On sam nie był głodny, chciał natomiast się napić, i to dużo, by pozbyć się dreszczy, których nabawił się podczas tego długiego, męczącego dnia.

Otworzywszy drzwi, krzyknął, by przyniesiono wina.

Jego ubranie zupełnie przemokło, zdjął więc kubrak i powiesił go na krześle, a potem stanął blisko paleniska, by osuszyć koszulę i spodnie. Usłyszał pytanie Serafiny:

- Czy znalazł pan już patrona, panie Marlowe?

Pokręcił głową. Pojawił się posługacz z butelką wina i dwiema szklankami.

- Odniosłem wrażenie, że kupcy w Pizie albo mają statków pod dostatkiem, albo wolą, jak twój pracodawca, muły. Tutejsze statki są oczywiście małe, słabo uzbrojone i w złym stanie, ale właściciele czują się z nich zadowoleni, jak się zdaje. Thomas nalał wina, podał Serafinie szklankę, lecz dziewczyna potrząsnęła przecząco głową.

Ciepło rozchodzące się po całym ciele pod wpływem trunku nie wynagradzało zmarnowanego dnia, który spędził, włócząc się po tym ponurym mieście.

- Kiedy zostawiłem cię w Marsylii, powiedziałaś, że będziesz mieszkać u swej piastunki, Marthe. A tymczasem spotykam cię w Pizie, w domu messera Caprianiego - odezwał się Marlowe.

Serafina, usadowiwszy się na stołku, tkwiła bez ruchu.

- Marthe nie żyje.

- Wiem. Notariusz mi powiedział. Zmarła wiele lat temu, gdy byłaś w Algierze. - Thomas przejechał dłonią po głowie, strzepując krople deszczu. - Czemu mnie okłamałaś?

Serafina wzruszyła ramionami.

- Powiedziałam panu to, co pan chciał usłyszeć. Wypełnił pan prośbę Kara Alego. Przelotne złudzenie bezbronności minęło, zastąpiła je bardziej znajoma arogancja. Thomas poczuł, że narasta w nim bezsensowny gniew. Izdebka była mała i ciasna, a fizyczna bliskość dziewczyny wyprowadzała go z równowagi, powiększając jeszcze irytację.

- Jego prośbę... Zabrzmiało to tak, jakby ten przebiegły, stary lis tylko grzecznie mnie poprosił, bym odwiózł do Marsylii jego niewolnicę. A jednak to nie było dokładnie tak, prawda, Serafino? Subtelny szantaż, potem zaś ty zwolniłaś mnie tak szybko, gdy tylko przestałem ci być potrzebny.

Podniosła głowę, by nań spojrzeć; połowę jej twarzy ozłocił blask ognia.

- Pragnął pan wyjechać z Marsylii, więc pozwoliłam panu wyjechać. A co by pan wolał, panie Marlowe?

Trochę zaufania z twojej strony, pomyślał, ale nie powiedział jej tego. Głośno rzekł natomiast:

- Uczciwość.

Serafina prawie się uśmiechnęła.

- To doprawdy luksusowy towar, panie Marlowe. Wypuścił powietrze ze świstem i znów napełnił szklanę.

- Czułem się odpowiedzialny za ciebie.

- Tylko do przyjazdu do Marsylii. Taka była umowa. Poza tym, nie przyszedłem tutaj, by rozmawiać o przeszłości. Powiedział mi pan, panie Marlowe, że spotkał pan monsieur de Coniques'a.

Thomas, popijając wino, zauważył w jej ciemnych oczach krótki błysk zainteresowania.

- Poznałem go zupełnie przypadkiem w pewnej portowej tawernie w Livorno kilka miesięcy temu - odrzekł. - Mam wrażenie, że monsieur de Coniques dużo czasu spędza w tawernach. A ja buduję swój statek w Livorno.

Skinęła głową.

- „Zimorodka”.

Thomas zapragnął nagle sprowokować Serafinę do jakiejś reakcji. Siedziała tutaj, jakby to miejsce było jej własnością, spokojna i niewzruszona niczym gipsowa madonna, nienagannie uczesana, z lekkim uśmiechem w kącikach kształtnych, czerwonych ust.

- Monsieur de Coniques był pijany jak bela i nie liczył się ze słowami - mówił, opierając się o ścianę i obserwując dziewczynę. - Ale to, co mi powiedział, było całkiem ciekawe. Okłamałaś mnie, Serafino, dwa razy, prawda? W sprawie Marthe i przedsiębiorstwa Guardich. Ono wciąż istnieje, czyż nie? I tak naprawdę, to rodzina Guardich radzi sobie zupełnie dobrze - pod zmienionym nieco kierownictwem.

- Angelo - wyszeptała.

- Zgadza się. Twój monsieur de Coniques pracuje teraz dla nowego właściciela. Ja natomiast, gdybym był na miejscu kuzyna Angela, postarałbym się, by kilku jakże przydatnych korsarzy zgładziło pana notariusza tak prędko, jak to możliwe. Tak naprawdę, to dziwię się przede wszystkim, że nie wysłano go na galery wraz z pozostałymi.

Wrażenie, jakie wywarły te słowa, zdumiało Thomasa. Ujrzał, iż Serafina blednie i otwiera szeroko oczy. Opanowawszy się prędko, wyjaśniła:

- Był potrzebny w Marsylii, miał pomagać Angelowi w prowadzeniu interesów podczas nieobecności mego ojca. Ojciec nie widział powodu, by zabierać go ze sobą do Włoch.

- Nie chodzi mi o twego ojca - odparł zniecierpliwiony Thomas. - Ale o Angela. Ten notariusz to dla niego cholerny kłopot.

Serafina wlepiała weń puste spojrzenie.

- On nie mógł... - zaczęła, płacząc słowa. - Angelo nie... Były jeszcze inne kłamstwa, szczegóły, które przeoczono,

cały ich katalog. Thomas miał tego popołudnia dość czasu, by się zastanawiać.

Owego czasu, który spędził, czekając w pełnych przeciągów przedpokojach, stukając do niegościnnych drzwi. Jego następne słowa zabrzmiały okrutnie:

- Nie marnujmy czasu na dyskusje o wstrętnym monsieur de Coniquesie. Powiedz mi coś o pozostałych członkach twej uroczej rodziny. Twój ojciec, na przykład.

Kiedy umarł? I jak?

Z rozmysłem wspomniał o Francu Guardim. Serafina jednak przyglądała tylko mokre włosy i odrzekła:

- Mój ojciec zmarł w więzieniu w Algierze, wkrótce po tym, jak nas tam przywieziono...

- Na jakąś zakaźną chorobę? - zapytał niewinnie Thomas. -Z przepracowania? A może od bicia?

Zobaczył, że dziewczyna zamknęła na sekundę oczy i pochyliła głowę. Wstała, ukrywszy twarz w rękach i odwróciła się plecami do niego. Przez chwilę Thomas poczuł prawie wstyd za swoje słowa.

-Wiedziałaś o tym, prawda? - odezwał się łagodnie. -Przed przyjazdem do Marsylii. Wiedziałaś, że twój ojciec został umyślnie zgładzony przez własnego krewnego. To dlatego nie wbiegłaś po prostu na schody swego domu i nie zastukałaś do drzwi. To dlatego nie chciałaś, by ktokolwiek dowiedział się, że żyjesz. A tak przy okazji, czemu przeżyłaś? Czemu korsarze nie postąpili z tobą tak samo?

Patrzył, jak opuszcza powoli dłonie i usłyszał jej słowa:

- Mieli zamiar. Ale mój pan mnie obronił.

- Chryste!

Powietrze w pokoju stało się gęste i ciepłe od żaru ognia. Odstawiwszy szklanekę, Thomas otworzył z wysiłkiem okno i odetchnął głęboko.

Z tyłu dobiegł go cichy, zimny głos:

- Nie mówiłam panu, bo nie musiał pan wiedzieć. To, co się wydarzyło w przeszłości, to nie pańska sprawa, panie Marlowe.

„Była małą, arogancką suką”, stwierdził notariusz i miał rację. Thomas poczuł, że twarz nabiegła mu krwią. Wilgotna

koszula wciąż lepiała się do pleców. Odwróciwszy się do Serafiny, powiedział:

- A więc twój ojciec podpisał wyrok śmierci na siebie, przekazując firmę w ręce Angela.

- Nie. - Przyszła już do siebie, głos miała mocniejszy. - Nigdy. Ojciec nigdy nie zostawiłby majątku memu kuzynowi. Angelo był nieślubnym dzieckiem. Wszystko miało być dla mnie i mojego męża, a potem dla moich dzieci. To dlatego chciał, abym wyszła za mąż, panie Marlowe. By zapewnić Guardim spadkobiercę. Ale w Marsylii, w Marsylii ten znajomy piekarz powiedział mi, że Angelo odziedziczył firmę.

To wyjaśniało, dlaczego notariusz przeżył. Diabelska spółka: jeden zmienił testament Franca Guardiego, drugi zaś załatwił bardziej dramatyczne sprawy, takie jak dokładne ustalenie pory, gdy miał pojawić się statek korsarski. Thomas pomyślał nagle o Serafinie, ale sprzed owych wszystkich lat: o dziecku, wyruszającym do obcego kraju, by poślubić nieznanego mężczyznę.

- To mogło chyba być niebezpieczne - zauważył. - Twój ojciec ryzykował twoje życie i bezpieczeństwo. Nie miałabyś jeszcze dzieci przez dłuższy czas.

Wlepiała w niego przejryste, ciemnobrażowe, prawie czarne oczy.

- Mój ojciec nie był stary, panie Marlowe, przekroczył dopiero czterdziestkę.

Przypuszczam, że wydawało mu się, iż nigdy nie umrze. Wszystkim nam się tak wydaje.

Zapadła cisza, słychać było tylko trzaskanie iskier w kominku i gwar dobiegający z sali na parterze.

- Powinnaś była mi zaufać - odezwał się wreszcie Thomas. Wiedział, że dziewczyna ma rację, że to nie jego sprawa, a jednak odczuwał coś, co sam uznał za nieuzasadnioną gorycz. - Powinnaś była powiedzieć mi prawdę, Serafino. Nie przyszło ci do głowy, że narażasz nas na niebezpieczeństwo?

- Na niebezpieczeństwo? - Serafina pogardliwie błysnęła oczami. - Moje życie skończyło się osiem lat temu, panie Marlowe. Cóż jeszcze mogłoby mi grozić? Thomas odstawił szklanekę z winem.

- A gdybyś tak została rozpoznana? - odrzekł, próbując zachować spokój. - Nie pomyślałaś, że człowiek, który raz zaaranżował twoją śmierć, potrafiłby zrobić to po raz drugi?

Zadrżała. Stała nadal, a jej poza zdradzała napięcie.

- Angelo nie zaaranżował tego, co się wydarzyło - zaprotestowała. Mówiła z wysiłkiem, jakby z trudem łapała powietrze. - Miał szczęście, to wszystko.

Znaleźliśmy się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie, a on z tego skorzystał. Zawsze umiał korzystać z sytuacji.

Marlowe uświadomił sobie wtedy, że chociaż od dawna przypuszczała, że kuzyn miał swój udział w jej porwaniu i śmierci ojca, nie domyślała się jednak wszystkiego.

- Nie miał szczęścia - odparł spokojnie - tylko był sprytny. To właśnie usłyszałem od twego lojalnego notariusza: „Angelo to sprytny bękart”, tak mi powiedział.

Serafina potrząsnęła głową, oczy jej się zaszklily. Nie, pomyślał ze złością; nie chodzi o to, że ona nie rozumie wszystkiego, ona nie chce pogodzić się z prawdą.

Świadomie lub nieświadomie, nie mogła przystać na to, co już od dawna podpowiadał jej rozum. I nagle Thomas pojął, czemu ta uparta istota nie chce pogodzić się z faktami.

Owa świadomość przyprawiła go o mdłości. Wydawało mu się, że ta dziewczyna jest taka racjonalna, trzeźwo myśląca, praktyczna, a jednak i ona także miała swój czuły punkt, bezsensowną obsesję.

- Co zamierzałaś zrobić? - szepnął, utkwivszy wzrok w jej małej, rozłoszczonej twarzy i mocno zaciśniętych pięściach. - Wejść do domu i oznajmić: Wróciłam! - z nadzieją że wszystko będzie dokładnie tak samo?

Wyczytał z jej oblicza, że dokładnie taki miała zamiar. Zachciało mu się śmiać. Całkowicie błędnie ją ocenił: to na pozór zimne, pozbawione uczuć stworzenie, także miało irracjonalne namiętności. Ciągnął z niedowierzaniem:

- A kiedy zobaczyłaś swój dom, po rozmowie z tym przeklętym piekarzem, uświadomiłaś sobie, że coś się zmieniło, prawda? Nie mogłaś być panią fortuny Guardich, zadowolona się więc kradzieżą bochenka chleba...

Złapał ją za rękę, zanim zdołała uderzyć go w twarz. Rozczapierzyła palce niczym kotka, a ręce miała zadziwiająco silne. Wyrывała się gwałtownie, lecz Thomas siłą przytrzymał jej rękę wzdłuż ciała.

- Nie zdawałaś sobie sprawy? Czy na prawdę myślałaś, że to zbieg okoliczności? Jakież to uczucie, moja droga Serafino,

uświadomić sobie, iż kuzyn Angelo ukartował całą sprawę? Jak daleko byliście od portu, gdy pojawili się korsarze? I jakież to rozsądne ze strony kuzyna Angela, że pozbył się ciebie, zanim jeszcze miałaś okazję wyjść za mąż... - W tym momencie wrzasnął, ponieważ Serafina pochyliła głowę i ugryzła go w nadgarstek. - Kochałaś go! - zawołał. - Chryste, ty wciąż go kochasz! A ów łotr cię zdradził! - Wyrwała mu się i oboje upadli na łożo, on na nią.

Thomas nie poruszył się od razu. Z nadgarstka kapłała mu krew, serce waliło mocno. Widział z bliska jej drobną twarz, a nawet cienką szramę na czole - ślad po wypadku na łodzi -i czuł, jak unoszą się jej piersi, gdy próbowała złapać oddech. Nagle zapragnął jej tak silnie, że nie mógł nad sobą zapanować. Pochylił głowę i pocałował czerwone usta dziewczyny.

Zamknął oczy i zatracił się zupełnie, kiedy Serafina, wijąc się jak ryba, uniosła kolano i uderzyła go dokładnie w najczulsze miejsce. Thomas znalazł się na podłodze, szlochając z bólu i wściekłości. Dziewczyna była już przy wyjściu.

- Suka! - wrzasnął, gdy zatrzasnęły się za nią drzwi.

Kiedy wreszcie zasnęła tej nocy, znów miała ów najgorszy sen. Siedziała na białym piasku, niebo także było białe, a słońce wyglądało jak szkarłatna tarcza. Był tam jej ojciec; patrzyła, jak ubrany w purpurową szatę janczar, zwrócony tyłem do niej, przywiązuje go do pała i zaczyna bić w stopy. Bicz przecinał powietrze niczym nóż, blada skóra na stopach ojca poznaczona była purpurowymi krzyżami. Serafina nie mogła się poruszyć, nie mogła nic powiedzieć, siedziała tylko i patrzyła.

Ale tej nocy sen okazał się nieco inny. Kiedy janczar się odwrócił i podniósł bicz, szykując się do następnego uderzenia, Serafina ujrzała twarz pod białym turbanem. To był Angelo.

Widziała jego gęste, złociste włosy i czarne oczy w kształcie migdałów. Miał opaloną skórę, a w kącikach jego ust igrał uśmiech. Nie mogła krzyczeć ani się poruszyć, nie była w stanie oddychać. Kiedy Serafina w końcu zdołała otworzyć oczy, poczuła, że mimo chłodnej nocy, jest mokra od potu. Usiadła, szukając drżącymi rękoma hubki. Długo trwało, zanim zdołała zapalić świecę. Wciąż spodziewała się, że z ciemności wyłoni się ciemnooki Angelo w purpurowej szacie i wybuchnie śmiechem.

Kiedy w końcu zabłysnął płomień, zmusiła się, by rozejrzeć się po pokoju. Jest taki sam, powiedziała sobie, taki sam jak zwykle. Znajome sprzęty: wysokie, wąskie łóżko, ciężkie zasłony, prosta skrzynia, w której trzymała swe nieliczne stroje. Spociwszy się, czuła teraz chłód i nagle dreszcze. Wygramoliła się z trudem z łóżka, owinęła narzutą i podeszła do okna.

Nadchodził brzask, a przez oszronione szyby widać było zarys odległej wieży i *duomo*. Serce jej nie uderzało już tak szybko, ale za ciemnym szkłem nadal widziała wyraźnie twarz Angela. Uśmiechał się, uśmiechał się tak samo, jak tego dnia, gdy odpływali z Marsylii. Wówczas jego ciemne oczy błyszczały, gdy z uśmiechem pocałował ją w rękę. A jednocześnie wiedział, że ani ona, ani jej ojciec nigdy już nie powrócą do domu. Serafina nie chciała pogodzić się z tym, co było oczywiste: że sprawy potoczyły się zbyt gładko, żeby uznać je za pomyślny dla kuzyna zbieg okoliczności. Dzisiejszego wieczora Marlowe zmusił ją, by dostrzegła to, czego nie chciała widzieć, a teraz starała się pozostać przy zdrowych zmysłach. „Kochałaś go, a on cię zdradził!” - powiedział Thomas i miał rację. Jeśli dziesięcioletnie dziecko zdolne jest do miłości, to Serafina kochała Angela.

A jeśli teraz chce przeżyć, musi pogodzić się z ową prawdą. Od tamtego momentu w Marsylii, gdy Angelo spojrział na nią pogardliwie i wypowiedział owe tak obelżywe słowa, egzystowała zaledwie, a nie żyła. Dawała oznaki życia, znalazła sobie dach nad głową i jedzenie, kiedy mogła trafić do rynsztoka. Ale nie żyła. Teraz po raz pierwszy przyszła jej do głowy myśl, że z bólu potrafi się narodzić gorzkie pragnienie zemsty i że to może być powód, aby żyć.

Angelo prawdopodobnie powziął ów zamiar, gdy ojciec zapowiedział jej zaręczyny. Nie tylko miał szczęście, ale był sprytny. „Sprytny bękart!”. Przeciągnął notariusza na swą stronę podczas ostatniej zimy - potrzebował pomocy Jehana de Coniaguesa; chciał, by ten zajął się całą sprawą jako prawnik. Znużona, obolała Serafina zamknęła oczy i oparła głowę o chłodną szybę, pograżając się w rozmyślaniach. A jednak Angelowi nie ze wszystkim się udało. Myśl ta zaświtała w jej głowie niczym pojedyncza, srebrna rybka pływająca w ciemnej wodzie. Z jednym mu się nie powiodło, ale jeszcze o tym nie wie. Wszak ona nadal żyje.

Oddychała spokojniej. Angelo wszystko jej odebrał: rodzinę, dom, nazwisko - ale powoli zaczęła już coś odzyskiwać. Miała dach nad głową i pełny brzuch. A Thomas się mylił: nie kochała nikogo. Zdrada Angela zabiła w niej dawną miłość i ewentualne pragnienie, by kogoś pokochać. Zrzuciła już kajdany; czuła się wolna. Ale to była inna wolność. Jej dom nie należał do niej, jej bezpieczeństwo zależało od kaprysów zręczliwego starca. Gdyby Jacopo Capriani umarł albo przejął się obowiązującymi w świecie handlu zasadami i wypędził ją z kantoru, znów nie miałaby niczego. To nie była taka wolność, jaką zapewnił sobie Angelo. Choćby nie wiem jak mocno Serafina walczyła

O to, co jej się należało, to niestety - nie miała czym walczyć. Nie miała broni, była bezsilna - i to podwójnie jako kobieta. Jedyłą jej przewagę stanowił fakt, iż Angelo nie zdawał sobie sprawy, że przeżyła, oraz silne pragnienie zemsty.

John Keane, przedstawiciel Angielskiej Kompanii Lewantyńskiej, przybył tej wiosny do Livorno z kompletem szachów

1 lutnią z nowymi strunami. Przyplłynął niedużym, trójmasztowym galeonem, mocno już zniszczonym. Okręt zdobyło godło Kompanii Lewantyńskiej. Gdy statek płynął, na maszcie, pod czerwonym krzyżem - znakiem rozpoznawczym Kompanii - trzepotał morski stwór, ogłaszając zamiary Anglii wobec całego świata. Teraz jednak, w nieruchomym powietrzu, wszystkie flagi zwisały apatycznie. Jedyne sir Keane, wysławszy wyczerpaną załogę do kajut lub tawern, pozostał na pokładzie. Był to mężczyzna po trzydziestce, wysoki, o łagodnym wyglądzie i prostych, brązowych włosach, które zaczęły już siwieć i przerzedzały się na skroniach. Jego oczy krótkowidza miały szaroniebieski kolor, otaczała je siateczka zmarszczek, a skóra po podróży z Londynu nabrała barwy rdzawoczerwonej.

John Keane spędził na pokładzie całą godzinę, zanim doszedł do wniosku, że chociaż burty „Garlanda” są nieco poobijane, da się go jednak wystarczająco wyreperować, by mógł kontynuować rejs do Aleppo. Sprawdzając podarte żagle i popękane belki, przypomniał sobie sztorm, który dopadł ich na Morzu Tyrreńskim. Zostali odcięci od eskorty i Johnowi, zmaltretowanemu deszczem i wiatrem, przez chwilę wydawało się, że tracą statek. Ale w końcu on, załoga i Bóg odnieśli triumf

i wyładowali w Livorno płótno, cynę i śledzie z Yarmouth. Eskorta była już wówczas w drodze do Aleksandretty, portu handlowego w pobliżu Aleppo. Trzeba będzie napisać listy z wyjaśnieniami, pomyślał agent.

John Keane był przedstawicielem Kompanii Lewantyńskiej od ponad dziesięciu lat; rozpoczął pracę wkrótce po tym, jak królowa Elżbieta nadała towarzystwu królewski przywilej. Od tamtej pory statki pływające pod królewską banderą pływały do Aleksandretty, Smyrny, a nawet do Wysokiej Porty. To były fascynujące, naznaczone sukcesami, ale także groźne lata, dawne potęgi śródziemnomorskie bowiem poczuły się oburzone zuchwałym wtargnięciem Anglii na oceany. Francja, będąca od dawna jedynym sojusznikiem islamu w świecie chrześcijańskim, mnożyła trudności, gdzie tylko się dało. Wenecja, której potęga chyliła się ku upadkowi od ponad dziesięciu lat, upatrywała w angielskich statkach handlowych jeszcze jednej przeszkody na drodze do odzyskania dawnej świetności. Hiszpania, odczuwając boleśnie poniżenie Wielkiej Armady, z radością witała jakikolwiek pretekst do odwetu. A jeśli chodzi o sam islam - John Keane wiedział, że zawsze będzie czuł się obco w owym najbardziej obcym ze światów.

Toskański port Livorno stanowił wygodne i niedrogie miejsce postoju w drodze do krain lewantyńskich. W Livorno Anglicy, zajmujący się handlem i przewozem towarów, sprzedawali płótno i wełny, kupowali zaś surówkę jedwabną i brokat. Livorno słynęło także z innych powodów: z handlu pirackimi łupami oraz niewolnikami i z tego, że ludność miasta, której część stanowili kryminaliści - o czym powszechnie było wiadomo - wciąż się zmieniała. John Keane znał Livorno niemal równie dobrze jak Rotherhithe, swą rodzinną miejscowość. Nie zatrzymywał się już, by podziwiać damy, chwiejące się w pantoflach na wysokich, drewnianych koturnach, ani na hultajów towarzyszących wymalowanym kurtyzanom. Wiedział, czym jest Livorno: wibrującym, gwałtownym tygłem, miejscem spotkań kupców* ców ze wszystkich krańców Morza Śródziemnego. Załadunek i składowanie były tu przyjemnie tanie, nie brakowało też kupców z Genui i Lukki, którzy chętnie nabywali towary. Można było handlować również z Hiszpanią i Prowansją; jedynymi ludźmi, z którymi nie pozwalano oficjalnie prowadzić handlu byli korsarze z Wybrzeża Berberyjskiego. Anglicy, którzy złamali za-

kaz i zostali przyłapani przez Toskańczyków, trafiali na galery Medyceuszów. John Keane, który lubił brzdąkać na lutni i grać w szachy oraz pozostawał w zażyłych stosunkach z pewną damą w Londynie, zmarszczył czoło i odwrócił się, by popatrzeć znów na popękane belki.

Jakiś głos z portu zawołał doń:

- Mogę podać panu nazwisko dobrego cieśli!

Głos był młody i przyjazny, mówił po angielsku. John Keane, zerknąwszy w dół, ujrzał śniadego, krępego mężczyznę, w kapeluszu z hiszpańskiego filcu, który zakrywał częściowo czarne, kręcone włosy.

- Nie brakuje mi cieśli - John oparł się rękoma o rzeźbioną barierkę. - To miło jednak z pana strony, panie...?

- Marlowe. Thomas Marlowe. - Ciemnowłosa mężczyzna zdjął kapelusz i uklonił się grzecznie. - Nie pamięta mnie pan, panie Keane?

John Keane, który miał słaby wzrok, ale za to bystry umysł, zmrużył oczy.

- „Flying Heart”! - zawołał Thomas Marlowe. - „Michael”. I, niestety, „Toby”.

Kapitan „Garlanda” jeszcze bardziej zmrużył oczy.

- „Toby” rozbił się u wybrzeży północnej Afryki półtora roku temu - odparł. - Tylko kilku ludzi z jego załogi powróciło...

Mężczyzna wskoczył na pokład statku, chwytając się bar-kierki. John przestał marszczyć czoło, podniósł powieki i rzekł:

- Tak, pamiętam, Thomas Marlowe. Pływał pan na statkach kompanii jako sternik. Gość uklonił się ponownie.

- Myśleliśmy, że pan zginął - dodał John Keane.

- Nie zginąłem, jak pan widzi. - Thomas wykrzywił twarz w uśmiechu. - Morze wyrzuciło mnie na brzeg, przebyłem pustynię, by w końcu wylądować w Toskanii. A teraz buduję statek, nie płynam. - Wlepił wzrok w potrzaskane deski „Garlanda” i zauważył uszczypliwie:

- Chyba nie ujrzy już końca stulecia. Powinien pan zobaczyć mój statek, panie Keane.

John Keane, człowiek niegłupi, znalazł butelkę wina i dwie szklanki, porządkując jednocześnie myśli. Kiedy zjawił się znowu na pokładzie, zapytał:

- Dla kogo buduje pan swój statek, panie Marlowe?

- Dla siebie. - Oczy sternika lśniły czystym, niewinnym błękitem, gdy dodał: - Poszczyło mi się trochę w kartach. Można wygrać majątek, jeśli ma się szczęście. Gospodarz nalał wina i podał Thomasowi szklanę. Napili się, a po chwili sternik powiedział:

- Tylko ostatnio nie mam za wiele szczęścia. A drewno jest piekielnie drogie. Naprawdę uważam, że powinien pan pójść i zerknąć na mój statek.

Agent podniósł szklaneczkę na znak, że się zgadza.

Przez pewien czas w domu Jacopa Caprianiego ruch w interesie osłabł, kupiec bowiem zachorował.

Nie była to nowa przypadłość - dręczyła go już od wielu lat. Znał jej przyczynę: to bagna otaczające wybrzeże Toskanii - i nauczył się rozpoznawać objawy poprzedzające każdy atak, każde zmaganie się z własnym, wewnętrznym demonem. Bolesne mrowienie w oczach, chwilowa utrata przytomności, niezwykle kolorowe nocne koszmary. A później gorączka wzrastała, udręczone, obolałe członki drżały, pojawiały się nudności. Kiedyś pielęgnowała go żona, do niedawna podczas ataków opiekowała się nim gospodyni, ale zmarła w zeszłym roku. Messer Capriani nie chciał opłacać medyka. Tym razem, powiedział sobie, kładąc się do łóżka, sam będzie walczył z owym demonem.

Przestał odróżniać dzień od nocy. Na dworze była wiosna - o tej porze roku najczęściej pojawiała się bagienna gorączka -ale Jacopo Capriani nie widział błękitnego nieba i rozwijających się liści. Myślał czasami z niepokojem o pracy, ale nie miał siły iść do izby kancelistów czy swego kantoru. Nie ufał ani Amadeowi, ani Bastienowi, a gorączka potęgowała ową podejrzliwość. Sypiał niespokojnie, miewał jaskrawe i szkaradne sny, w których wstążki gniły w magazynach, towary wypadały z juków i osuwały po górskich zboczach. Krzyczał wówczas przez sen, nie zdając sobie z tego sprawy. * Nie wiedział też, jaki jest dzień i która godzina, kiedy poczuł na obolałej głowie coś chłodnego. Otworzywszy oczy, najpierw dostrzegł jedynie ciemność. Ciemność jak w grobie, który był już otwarty i czekał na niego. Nie mógł oddychać, czuł już, jak ziemia rozstępuje się pod jego wysuszonym, słabym ciałem. Usłyszał czyjś głos:

- Messer Capriani, musi pan to wypić.

Poczuł, że ktoś unosi go wraz z poduszką i przystawia mu do ust filiżankę. Usłyszał, ponieważ sądził, że to matka do niego mówi, że znów jest dzieckiem. Kiedy wypił kilka łyków, ułożono go z powrotem i zasnął.

Gdy znowu się obudził, za oknem świeciło słońce i nie był w pokoju sam. Osobą, która go karmiła, nie była matka, lecz Serafina, dziewczyna, którą zatrudnił jako służącą w Marsylii. Siedziała przy łóżku, książki rachunkowe piętrzyły się na skrzyni obok niej. Z początku myślał o niej jako o drobnej, niezbyt urodziwej osobce, ale teraz uznał, że jej wygląd wpływa nań uspokajająco.

- Przyszłam pokazać panu rachunki, żeby się pan nie martwił - powiedziała. Miała miły głos, niski i kojący. - Powinien się pan jeszcze napić, signor, wtedy szybko, pan wróci do zdrowia.

Wypił kilka łyków z filiżanki, którą mu podała, nie zwracając uwagi na lekko gorzki smak płynu. Zastanawiał się przez moment, czy dziewczyna nie chce go otruć, ale uznał, że nic by nie zyskała. Zatrudnił ją w charakterze służącej, wkrótce potem jednak pozwolił jej pracować w biurze, ponieważ miała znakomitą głowę do liczb - lepszej nie widział u nikogo, ani u kobiety, ani u mężczyzny.

Wraz z upływem czasu zauważył, że nie przeszkadza mu jej obecność, ponieważ nie paplała ani nie chichotała jak większość kobiet, po prostu siedziała obok łóżka, a jej profil jaśniał w słońcu.

Jacopo Capriani stwierdził także, gdy znów zasnął, że twarz Serafiny pojawia się czasem w jego snach.

Przychodziła do niego z księgami rachunkowymi dwa razy w ciągu dnia, za każdym razem pozostając trochę dłużej. Gorączka spadła, ale messer Capriani wciąż był bardzo słaby. Serafina uważała w głębi ducha, że umarłby, gdyby nie przyszła do niego tamtej nocy. Nie chciała, żeby umarł: Jacopo Capriani stał się jej jedyną gwarancją bezpieczeństwa. Gdyby umarł, zostałaby znowu bez dachu nad głową. Zmusiła kupca, by napił się naparu przyrządzonego według receptury Kara Alego, dzięki czemu mógł zasnąć i od owego dnia powoli odzyskiwał siły.

Tego wieczora czytała mu księgi rachunkowe, od czasu do czasu pokazując niektóre strony, gdy o to poprosił. Messer Ca-

priani opierał się o poduszki, jego twarz odbijała się złotą plamą na tle białego płótna. W całym domu panowała cisza, w kuchni sprzątano i myto naczynia, a kanceliści i chłopcy na posyłki pili w jakiejś gospodzie.

Serafina skończyła czytać i zamknęła księgę. Odłożyła ją na bok i usiadła, milcząca i spokojna. Za oknem zapadał zmrok, niebo odbijało się w dachach i kopułach z terakoty.

Po chwili uświadomiła sobie, że messer Capriani nie spi. Leżał, utkwivszy w niej małe ciemne oczy pod czerwoną szlafmycą.' Nie poruszyła się i nie odezwała, ale jej serce pod stanikiem prostej sukni zaczęło bić szybciej. W końcu położyła rękę na narzucie.

- Muszę już iść - powiedziała miękko.

Poczuła, że jego palce zaciskają się wokół jej dłoni; czuła suchą jak papier skórę i kości.

- Jeszcze nie - poprosił szeptem.

Powrót do zdrowia następował powoli, przerywany lekkimi nawrotami choroby i polepszeniami.

W naturalny sposób studiowanie ksiąg rachunkowych dwa razy dziennie przekształcało się stopniowo w rozmowy o bardziej ogólnym charakterze na temat kondycji firmy. W naturalny sposób także do obowiązków Serafiny, prócz prowadzenia księgowości, doszło nabywanie towarów. Messer Capriani począł jej ufać, a zaszczytem tym nie obdarzył żadnego z pozostałych kancelistów. Serafina pomyślała, że szczęśliwie się dla niej złożyło, iż Amadeo jest łobuzem, a Bastien złodziejem.

Pod koniec czerwca pojechała ze służącym do Livorno, żeby wybrać wstążki i kryzy z przyplływających statków. Denerwowało ją, iż nie może kupić jedwabiu, jako że statki zaczęły przywozić pierwsze bele. Wkrótce prawie każdy okręt zawijający do portu miał w ładowniach jedwab. Kiedy przyjechała do Livorno następnym razem, kupiła dwa płaty tego materiału za własne, pracowicie gromadzone pieniądze. Jeden sprzedała z okazałym * zyskiem innemu kupcowi, z drugiego uszyła sobie suknię. Pokazała swój dochód messerowi Caprianiemu, a on zmarszczył czoło, jednak oczy mu się zaświeciły i zgodził się, że mogą chyba od czasu do czasu nabyć okazyjnie jakiś kawałek jedwabiu.

Na nabrzeżu w Livorno, dotykając palcami turkusowej, wzorzystej tkaniny przetykanej srebrną nitką, Serafina zaczęła od-

czuć lekkie podniecenie na myśl o zarysowujących się wspaniałych możliwościach. Była jednak na tyle ostrożna, by ukryć głęboko swe uczucia. Skończyła po prostu suknię, którą szyła i z jeszcze większą uwagą zabrała się do ksiąg rachunkowych.

Było również całkiem naturalne, iż studiowanie ksiąg miało coraz częściej miejsce podczas posiłków. Messer Capriani wciąż spędzał większość dnia odpoczywając i stosowniej było, aby spotykał się ze swą pracownicą w jadalni zamiast w sypialni. Poza tym Serafina zaczęła interesować się kuchnią. Miała talent do wynajdywania rzeczy, które delikatny żołądek chorego mógł trawić najłatwiej, umiała też wyszukiwać najlepsze produkty, dostępne na targu. Czasami sama przygotowywała posiłek - delikatnie przyprawione wschodnie dania, kuszące nawet ludzi o słabym apetycie. Jacopo Capriani śmiał się i mawiał, że nie wie, jak sobie wcześniej bez niej radził. Żartowali we dwoje, że jest mu przydatna niczym żona.

Któregoś wieczora jedli razem obiad - przepiórki nadziewane migdałami z miodowym, tokańskim winem - kiedy Serafina skierowała znów rozmowę na temat transportu.

- Ta wyprawa z mułami - zaczęła niepewnie, krojąc mięso na małe kawałki - kiedy wyrusza?

Kupiec czknął i wytarł usta w serwetkę.

- Powinna była już wyruszyć - odrzekł, marszcząc czoło. - Zwykle udaję się w drogę w maju.

- Do Neapolu?

Wiedziała, oczywiście, gdzie. Wystarczyło po prostu przejrzeć księgę rachunkową, by zbadać trasy messera Caprianie-go, posługując się listą towarów i rzędami cyfr.

- Najpierw do Neapolu.

Kupiec wypił łyk wina. Ręka mu drżała, gdy unosił kielich: nie odzyskał jeszcze pełnej władzy nad swym ciałem.

Serafina wypowiedziała na głos to, o czym rozmyślał messer Capriani.

- To ciężka podróż, signor. Drogi są kiepskie, a upał może panu zaszkodzić.

Nic nie odpowiedział, wytarł tylko kąciki ust, z których wino zaczęło spływać mu po brodzie. Wiedziała, że od czasu choroby jego lęk przed śmiercią jeszcze się wzmógł.

- Musi pan dbać o siebie, messer Capriani. Był pan bardzo chory.

Całe jedzenie na jej talerzu pokrojone było na małe porcje. Serafina nadziała zręcznie na widelec kawałek przepiórki i podniosła go do ust. Spuściła oczy, unikając wzroku swego chlebodawcy.

- Bastienowi nie można ufać, Amadeo to całkiem bystry młodzieniec, ale rzadko myśli o pracy. Szkoda, że me jesteś mężczyzną, moja droga! Poprosiłbym cię, byś mnie zastąpiła.

Podnosząc głowę, Serafina odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech, a potem odezwała się smutno:

- Nie mogę pojechać dla pana do Neapolu, messer Capriani. To za daleko.

- Owszem. - Kupiec żuł głośno jedzenie, odłożywszy noz.

- Ale może nie musi pan w ogóle udać się w tym roku do Neapolu - powiedziała ostrożnie Serafina. - Mogę pojechać za pana do Livorno. . .

Messer Capriani zmarszczył brwi. Wypił dwie szklanki wina i czapka z tafty zaczęła mu się zsuwać na czoło. Odpowiedział z irytacją w głosie: ,

- W Neapolu mają najlepsze wstążki i tasiemki, moja droga. W Livorno nie znajdziesz takiego wyboru.

Jedli w milczeniu. Po chwili Serafina rzekła: -Myślę, że mógłby pan dokonać zakupów w tym roku w nieco inny sposób.

Nikt, słuchając łagodnego głosu dziewczyny, nie domyśliłby się, jak ważna jest dla niej odpowiedź kupca. Ale messer Capriani roześmiał się tylko.

- Ten twój ukochany jedwab! Myślałem, że jeden czy dwa kawałki ci wystarczą. Ale muszę przyznać - dodał, zerkając przez stół i mrużąc małe oczy - że bardzo ci do twarzy w tej sukni, Serafino. Ładnie w niej wyglądasz.

Tego wieczora założyła swą nową suknię po raz pierwszy. Miała odcień ciemnego bursztynu, który podkreślał ciepły kolor skóry i blask włosów jej właścicielki. Zgodnie z włoską modą stanik był mocno wycięty, a dekoltd ozdabiała kremowa koronka.

- Mogłabym kupić panu jedwab - oznajmiła, odkładając na bok talerz. - Jeśli mi pan powie, czego pan chce.

Płomienie świec stojących pomiędzy nimi zachwiały się nagle gdy przez okno wpadł lekki powiew wiatru. Serafina wstała żeby zaciągnąć zasłony. Pomyślała, że nigdy jeszcze mczego

tak bardzo nie pragnęła, jak teraz, by kupiec się zgodził, powiedział „tak”, by pozwolił jej znowu zająć się handlem, który miała we krwi.

Póki się nie odezwał, nie wiedziała, że on także się podniósł i stanął obok przy oknie.

- Czego chcę - powtórzył.

Głos miał ochryply i niepewny. Serafina zacisnęła pięści, wbijając sobie paznokcie w dłonie, ale nie odwróciła się i milczała. Czuła suchy, zatechły zapach ubioru messera Caprianiego, słyszała jego nierówny oddech. Uświadomiła sobie nagle, że jeśli się nie poruszy i nic nie powie - on jej dotknie. Zaczęła nagle pojmować znaczenie takiego kontaktu. W końcu poczuła rękę głaszczącą ją po karku i powoli przesuwającą się po ramieniu.

- Mam dobre oko do jedwabiu, - odezwała się spokojnym głosem - pracowałam kiedyś w handlu jedwabiami.

Kupiec wciąż trzymał rękę na jej ramieniu. Poczowała, że jego palce błądzą wokół rąbka jej stanika, muskając koronkę. Drżała, lękała się tego. Żaden mężczyzna nigdy jeszcze tak jej nie dotykał. Bała się pozwolić mu na taką poufałość, oddać część samej siebie. Bała się, że owa zażyłość sprawi, iż znów będzie bezbronna.

A jednak oprócz strachu, odczuwała także podniecenie. Nie miało ono wprawdzie nic wspólnego z tym niezręcznym kontaktem fizycznym; wywołała je świadomość, że posiada, mimo wszystko, jakąś władzę. Są różne metody uzyskania tego, co się chce, a jednak do tej pory Serafina nie brała nigdy pod uwagę owego najbardziej oczywistego sposobu. Messer Capriani objął ją w talii drugą ręką, głaszcząc gładki jedwab skrywający jej płaski brzuch. Strach, który ogarnął ją przed chwilą znikł, zastąpiło go uczucie niepewnego triumfu. Miała coś, co się liczyło. Angelo się mylił, mężczyźni jej pragną!

Thomas Marlowe także jej pragnął. Serafina widziała to w jego oczach w tamtej izbie przy via di Santa Caterina. Usłyszała jęk Jacopa Caprianiego, gdy jego palce wślizgnęły się pod stanik i dotknęły jej piersi. Przypomniała sobie Anglika i jego wymuszony, skradziony pocałunek i na to wspomnienie serce jej zadrżało, a oddech stał się nierówny. Czuła się niezręcznie i niezdarnie; nagle pojęła, że popełniła błąd, postępując tak obcesowo z tamtym mężczyzną. Nie знаła wtedy roz-

miarów swej ignorancji ani użyteczności owej wiedzy. Usłyszała sapanie i poczuła, że kościste palce ściskają jej sutki. Uświadomiła sobie, że nie wie nic o tym, czego pragną mężczyźni. Ona, która tyle się nauczyła, nie miała pojęcia o tej jednej, jedynej rzeczy, mogącej dać jej władzę. Nie mogła się poruszyć ani odezwać - stała nieruchomo, aż wreszcie kupiec, z pałającymi oczami i czołem błyszczącym od potu, pozwolił jej odejść.

- Myślę, że warto, abym kupiła trochę jedwabiu, nie sądzi pan, messer Capriani? - rzekła w końcu.

Odwróciwszy się z uśmiechem, Serafina zobaczyła, że skinął głową.

Część piąta 1595

O MOJE SERCE!

Och, ja zaiste jestem zakochany! Ja, który byłem dla miłości biczem, Serdecznych westchnień prawdziwym oprawcą, Krytykiem, więcej, bo nocnym strażnikiem, Władczym pedantem względem tego chłopca, Któremu żaden śmiertelnik nierówny, Tego ślepego, upartego chłopca, Starca i dziecka, olbrzyna i karła, Kupida, mistrza rymów o miłości I załamanych rąk, jęków, wzdychania, Władcy próżniaków, wszystkich malkontentów, Straszego księcia spódnic, króla spodni, Imperatora i wielkiego wodza Służalczych ciurów. Moje biedne serce! Ja to mam zostać jego adiutantem I nosić barwy jak obręcz kuglarza!

„STRACONE ZACHODY MIŁOŚCI”,

WILLIAM SHAKESPEARE,

TLUM. ZOFIA SIWICKA, PIW, WARSZAWA 1976

Thomas Marlowe naradzał się ze swymi ludźmi wewnątrz prawie ukończonego kadłuba „Zimorodka”, gdy otrzymał wiadomość, że ktoś nań czeka i bardzo się niecierpliwi.

- Ma na sobie żółtą suknię i te drewniane buty - dodał Ru-fus, kowal, zerkając w dół z drabiny.

Thomas, przyglądając potargane włosy, poczuł ciekawość.

Była to, jak się okazało, Serafina. Poznał ją natychmiast, mimo welonu osłaniającego jej twarz, żółtej sukni i owych pantofli, o których mówił Rufus. Tyle że suknia nie była naprawdę żółta, ale barwy matowego złota. Serafina potrafiła nawet wyglądać uroczo w butach na koturnach - Thomas uważał dotąd tę modę za śmieszna.

Serce zaczęło mu bić mocniej, gdy zeskoczył z kadłuba statku i stanął obok niej. Słońce znajdowało się wysoko na bezchmurnym, błękitnym niebie, powietrze było gęste, ciężkie i lśniące. Na bagnach otaczających Livorno wyroiły się muchy i trafiły do miasta, potęgując irytację ludzi, wymęczonych już niesłabnącym upałem. Smoła nie chciała gęstnieć, belki wykrzywiały się i pękały, więc trzeba je było bezustannie moczyć i przykrywać. Serafina jednak, ubrana w lekki jedwab, zdawała się nie odczuwać palącego słońca ani owadów.

- Dzień dobry, panie Marlowe. - Podeszła bliżej zza sterty beczek i desek. - Jakże miło pana widzieć.

Thomas wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Kiedy wrócę, odkrywszy północno-zachodnią drogę morską, uginając się pod ciężarem złota i przypraw, powie pani: „Dzień dobry, panie Marlowe. Jakże miło pana widzieć”. Ukło-

nił się. - Jestem zaszczycony, mademoiselle Guardi. Co panią sprowadza do Livorno?

Mimowolnie zwrócił się do niej w bardziej oficjalny sposób. Nie była już tamtą Serafiną, chłopcem stajennym czy kancelistą - przeobraziła się w piękną i elegancką kobietę. Odrzuciła do tyłu lekki welon, a suknią, którą Rufus nazwał żółtą, zalśniła w jaskrawym słońcu. Kosztowny jedwab dodawał blasku wspaniałej cerze dziewczyny, podkreślał aksamitny cień oczu. Rozstali się prawie pięć miesięcy temu skłóceniu nie na żarty; zachował się wówczas potwornie. Jednak w jej niezgłębionych oczach nie widać było śladu wyrzutu czy urazy, jedynie daleki, lecz charakterystyczny błysk rozbawienia.

- Handel, panie Marlowe - odpowiedziała. - Cóż innego?

Zaczęła przechadzać się wzdłuż kadłuba „Zimorodka”. Thomas, odgarniając ręką muchy bzykające mu nieustannie wokół głowy, spocony i przegrzany w lekkiej koszuli i spodniach, zauważył, iż Serafina jest starannie uczesana, a jej suknią wydawała się w nienagannym stanie. Nawet w czasie długiej podróży z Walencji do Marsylii nigdy nie widział tej dziewczyny brudnej czy też nieporządnie ubranej.

- Messer Capriani nie czuł się dobrze, powierzył mi więc część zakupów - wyjaśniła.

- Nie zamierzam jednak kupować złota ani przypraw, panie Marlowe, lecz jedwab. - Mówiąc to, obdarzyła Thomasa jednym ze swych rzadkich uśmiechów.

Dotarli do dziobu „Zimorodka” i przystanęli. Przesuwając szczupły palec po dębowej belce, Serafina zapytała:

- Budowa statku wymaga trochę czasu, prawda, panie Marlowe? Jak długo jest pan w Livorno?

Jej głos brzmiał łagodnie, a pytanie wyrażało grzeczne zainteresowanie. Sternik spochmurniał.

- Już prawie rok, niech to wszyscy diabli! - odrzekł, uderzając pięścią w mocną, drewnianą ściankę. - Powinno było pójść szybciej... Ale mamy kłopoty z materiałami i nie mogłem zatrudnić tylu ludzi, ile chciałem...

Umilkł, a jego głos zginął gdzieś w zalanym słońcem porcie. W tych kilku słowach znalazły się zawiedzione nadzieje i nekające go od miesięcy trudności, o których nie mógł przestać myśleć w dzień i w nocy, we śnie i na jawie. W najgorszych wizjach wyobrażał sobie, że „Zimorodek” pozostanie na zawsze

niedokończony z powodu braku pieniędzy i nieustannej walki, by utrzymać najlepszych rzemieślników i znaleźć najlepsze materiały. A to byłoby jeszcze gorsze, niż gdyby budowa nigdy się nie zaczęła.

Thomas wziął głęboki oddech.

- Drewniana konstrukcja jest prawie gotowa, niedługo więc rozpoczniemy uszczelnianie. I potrzebuję dębowego drewna z Anglii na maszty.

- To będzie dobry statek - zauważyła łagodnie dziewczyna.

Prawie o niej zapomniał. Prawie, ale nie do końca: w nieruchomym powietrzu unosił się zapach paczuli i słychać było szelest jedwabiu. Skoro jego marzenia zaczęły coraz bardziej przypominać senny koszmar, jak w takim razie Serafina, ze swą skomplikowaną przeszłością, spędziła owe miesiące w Toskanii?

Odezwała się, zanim znalazł odpowiednie słowa. Opuściła znów welon na twarz i jej głos dotarł do niego zza ochronnej warstwy muślinu, przez portowy gwar i krzyki.

- Zatrzymałam się w Palazzo Sacchetti, panie Marlowe - rzekła. - Może zechce pan zjeść dziś ze mną obiad? Mamy wiele spraw do omówienia. Handel, na przykład. Palazzo Sacchetti nie zasługiwał na tak dumne miano. Mały dom o popękanych ścianach przycupnął przy jednej z krętych uliczek na tyłach portu. Thomas, zanim zastukał do drzwi frontowych, poprawił pióro u kapelusza. Zauważył, że malowidła ściennie, wyblakłe od słońca, nie zostały odnowione i że część drewnianych okiennic jest w złym stanie.

Palazzo nie należy do messera Caprianiego, wyjaśniła mu później Serafina, gdy siedzieli nad peklowanym kurczakiem i ryżem, popijając lekkie, czerwone wino. Jej chlebodawca ma tylko pozwolenie, by korzystać z domu za każdym razem, gdy przebywa w Livorno.

Gość, z ustami wypełnionymi kurczakiem i ryżem, mógł tylko wymamrotać coś w odpowiedzi. Rozmawiali o pogodzie, o tokańskiej polityce, o jedzeniu i cenach ziemi. Kończąc trzeci kieliszek wina, Thomas zauważył, że zaczyna, po raz pierwszy od wielu miesięcy, trochę się odprężyć. Wcześniej nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo pochłaniają go problemy związane z budową statku.

Kurczaka zabrano już ze stołu, teraz pojawiły się miski z migdałami i owocami. Marlowe, powracając do poprzedniej rozmowy, powiedział:

- Jedwab. Nie miałem pojęcia, że messer Capriani handluje jedwabiem.

Serafina zmarszczyła czoło, okazując w ten sposób irytację.

- Kokardy - odrzekła. - Wstażki. Łzy antylopy. -1 na widok zdziwionej miny Thomasa, dodała pogardliwie: - Bezoar, szanowny panie. Znajdowany w brzuchu antylop. Uważa się, że leczy ukąszenia węży.

Wyglądała tak, pomyślał z śmiechem Thomas, jakby miała ochotę zapoznać nieszczęsnego kupca z wielką żmiją.

- Takie błyskotki zawsze dobrze się sprzedają - zauważył, dobrze się bawiąc. Serafina wstała i zasunęła kotary. Miała zaciśnięte usta i twarde spojrzenie.

- Najlepszy jedwab z Lewantu trafia do Livorno. We Florencji, Pizie i Sienie znajdują się warsztaty produkujące jedwab. Messer Capriani zna wszystkich kupców, wszystkie bogate rody od Neapolu po Marsylię. I sprzedaje im skamieniałe łzy antylopy. - W jej głosie słychać było gorycz.

- Jedwab, przyprawy, złoto - rzekł łagodnie Thomas. - To

o nie teraz walczymy na Morzu Śródziemnym, Serafino. Żadnych armad, żadnych krucjat przeciw poganom, żadnych wielkich podbojów terytorialnych. Nawet sam sułtan spuścił z tonu. Teraz walka toczy się o co innego. Może messer Capriani jest szczęśliwy, wożąc swe kokardy na mułach wzdłuż wybrzeża Morza Liguryjskiego.

- Szczęśliwy? - Dziewczyna odwróciła się do niego. - A czy ty byłbyś szczęśliwy, Thomasie? Przewożąc wełniane czapki

1 damskie pończochy?

Wiedział, że Serafina nie ma na myśli ambicji messera Caprianiego. Marlowe zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy: że jej zamiary są równe jego ambicjom i że w końcu nazwała go po imieniu. Skończywszy jeść brzoskwinie, położył pestkę na środku talerza i powiedział wolno:

- Nie, nie byłbym szczęśliwy, Serafino. Są większe morza od tego i zamierzam je poznać.

- Droga Północno-Zachodnia?

Thomas uśmiechnął się. Szybsza droga do Indii była owym Świętym Graalem, którego poszukiwał każdy żądny przygód kupiec.

- Jeśli Bóg pozwoli. Ale być może będę zmuszony przewozić wszystko, za co mi zapłacą, przynajmniej przez jakiś czas. Choć mam nadzieję, że nie. Na razie daję sobie jakoś radę.

Rozgorączkowanie minęło i jej oczy znów wydawały się spokojne, prawie czułe.

- Czy kupcy nie potrafią poznać się na wartości twego statku? - zapytała.

- Niektórzy potrafią. - Thomas pomyślał o przedłużających się negocjacjach z Johnem Keane'em. - Niektórzy nawet zbyt dobrze.

Serafina milczała, czekając z zaciekawieniem, by mówił dalej. Kielich Thomasa znowu był pełen; mężczyzna trzymał go w krótkich, kwadratowych palcach.

- Prowadzę rozmowy z pewnym agentem Angielskiej Kompanii Lewantyńskiej.

Przez wiele lat byłem sternikiem na ich statkach. Ten agent - nazywa się John Keane

- złożył mi ciekawą propozycję. - Przez chwilę nic nie mówili. Thomas wychylił jednym haustem pół kieliszka wina. - Keane robi trudności. Chciałby kupić

„Zimorodka”, Serafino. I oczywiście mnie razem ze statkiem. Jeśli nie będę ostrożny, nigdy się z tego nie wyplączę.

- Co zatem zrobisz?

Oboje skończyli jeść. Świece paliły się, wydobywając z mroku wyblakłą świetność sali: postrzępione arrasys kołyszące się lekko na ścianach, wyszczerbione, kruche ozdoby ze szkła.

Thomas wzruszył ramionami.

- Będę próbował ciągnąć prace, póki nie znajdę bardziej ustępliwego patrona. -

Wstał i stanął obok kominka, opierając się łokciem o gzyms. - Trochę pożyczyłem, trochę wygrałem w kości.

Serafina wygładziła fałdy na swej jedwabnej sukni.

- I co ci zaproponowała Kompania Lewantyńska?

W niewielkiej jadalni było gorąco. Thomas, przypominając sobie ciągnące się od dawna pertraktacje z Keane'em, podczas których z trudem zdobywał się na grzeczność, odpowiedział z goryczą:

- Ze dadzą mi wystarczającą sumę, bym mógł dokończyć statek. Ale po trochu, opłacając każdy rachunek, wszelkie należności we właściwym terminie. Kilka dukatów, gdy będę musiał kupić drewno, jeszcze kilka, by zapłacić ludziom. Tak byłoby lepiej dla Kompanii Lewantyńskiej - mniejsze wydatki jednorazowo, ale dla mnie to upokarzające. Pozbawiliby mnie wolności. Oznaczałoby to, że muszę rozliczać się z Kompanią z każdego wydanego pensa, a Keane miałby ostatnie słowo w kwestii doboru ludzi i materiałów. Jego z pewnością bardziej interesowałaby oszczędność niż jakość, ponieważ jest odpowiedzialny przed swymi przełożonymi w Londynie. A także... -przerwał, zostawiając najbardziej gorzką pigułkę na koniec.

- Także? - powtórzyła Serafina unosząc brwi.

- Kompania Lewantyńska miałaby też prawo do wykorzystywania „Zimorodka” przez pierwsze pięć lat.

Marlowe zdawał sobie sprawę, że to propozycja niełatwa do przyjęcia. Pięć lat to za długo: Drake opłynął świat w dwa. Thomas zaczął już odczuwać przykrą bezczynność, wydawało mu się, że jest uwięziony na łądzie. Przewożenie przez pięć lat towarów Kompanii było dla niego jak wyrok skazujący na pięć lat więzienia.

Jako chłopiec wystawał w porcie w Greenwich i przyglądał się, gdy wylądowywano ładunek ze statków, które przyływały z Indii. Srebro i złoto, jedwabie, czarnoskóre księżniczki z nieznanymi i nienazwanymi krajami, egzotyczne ptaki i zwierzęta.

Podniecenie, jakiego wtedy doznawał, nigdy go nie opuściło i wciąż nim kierowało: sprawiało, że mógł pracować, czynił projekty, że wreszcie ukradł złoto.

Wiedział, że John Keane umyślnie mnoży trudności, ponieważ to on sam chciał mieć „Zimorodka” na własność. Agent był wystarczająco przenikliwy i inteligentny, by dostrzec potencjał statku Thomasa. Przedstawiciel Kompanii potrzebował „Zimorodka”, by zastąpił podniszczony „Garlanda”.

- Próbuję namówić messera Caprianiego, by wyczarterował ten statek - odezwała się Serafina.

Thomas utkwiał nagle spojrzenie w rzeźbionym, marmurowym gzymsie kominka, w tłustych cherubinach i boginiach zdobiących kolumny po jego obu stronach. W jednej wspaniałej chwili pojął możliwości i prawie równocześnie, ujemne strony takiego projektu.

- Przejdźmy do salonu.

Udał się w ślad za dziewczyną do sąsiedniego pokoju. Było tu ciemnowo, gdyż nie zapalono jeszcze świec, ale też nieco chłodniej, więcej powietrza. Przyglądał się, jak Serafina bierze cienki ogarek i zapala świece od tych stojących w jadalni. Jedna po drugiej zamigotały złotem, oświetlając jej twarz i gładką skórę na szyi i dekolcie.

- Byłbym wciąż przykuty do Morza Śródziemnego - odezwał się w końcu. - A poza tym, jak wiesz, złożyłem wiosną pewną propozycję messerowi Caprianemu.

Obserwując Serafinę, Thomas przypomniał sobie owego kruchego, wychudzonego starca. Przypomniał sobie, jak ujrzał ją na schodach domu należącego do kupca i przypomniał sobie, że tego samego dnia, wieczorem ją pocałował. Nigdy wcześniej nie pragnął żadnej kobiety tak, jak pragnął wtedy Serafiny Guardi. Fascynowała go, choć nie wiedział dlaczego. Znał kobiety piękniejsze, zamożniejsze, znacznie miłsze. A jednak Thomasa nieświadomie pociągała właśnie ta, pochłaniając go niczym rzeczny wir.

- Messer Capriani - oświadczyła chłodno Serafina - zaczął powierzać mi coraz więcej obowiązków. Kupiłam dlań trochę jedwabiu i sprzedaję go w Pizie i Luce. Jest już za późno, by w tym roku wyruszyła karawana mułów. Myślę, że w końcu potrafię przekonać mego chlebowca, by skorzystał ze statku. Przyniosłoby to większy dochód i byłoby mniej wyczerpujące. Jak już wspomniałam, messer Capriani nie miewa się najlepiej. - Widząc nieme pytanie w oczach swego gościa, wyjaśniła: - Gorączka bagienna. Zapada na nią co roku. Ogromnie go to osłabia. Zapaliła wszystkie świece i światło rozjaśniło ściany pokoju. Thomas dostrzegł freski namalowane wysoko pod sufitem: długi, splełtany szereg nagich tancerzy i muzyków.

- Może powinieneś się zastanowić, czy nie pomówić jeszcze raz z messerem Caprianem - zasugerowała Serafina.

Niektórzy z tancerzy, niczym marmurowe kupidyny, splełtli się w miłosnych uściskach. Kobiety i mężczyźni, kobiety z kobietami, kobiety ze zwierzętami.

Thomas, odwracając powoli wzrok w stronę Serafiny, odpowiedział:

- Nie myślałem wcześniej o tobie jako o kupcu. Uśmiechnęła się lekko. Przyszło mu do głowy, że mógłby policzyć na palcach jednej ręki, ile razy widział na jej obliczu uśmiech, jednak za każdym razem jej twarz się rozjaśniała.

- Mam to we krwi - stwierdziła.

Pomyślał o Angelu i notariuszu Jehanie de Coniquesie i o tym, co utraciła Serafina z powodu intryg tych dwóch łotrów - Sama zostałam sprzedana i kupiona, Thomasie - rzekła łagodnym tonem, wypowiadając na głos jego myśli. - Czemu więc ja także nie miałabym sprzedawać i kupować?

Uświadomił sobie nagle, czując lodowaty dreszcz na karku ze choć miesiące spędzone we Włoszech odmieniły ją zewnątrz, nie zapomniała jednak o przeszłości. Odstawił kieliszek - nagle odechciało mu się pić.

Dziewczyna mówiła dalej: ^ - Czy wiesz, Thomasie, jak algierscy kupcy wybierają sobie chrześcijańskie kobiety do haremu? Są one, oczywiście, zgodnie z prawem islamskim, całkowicie ubrane i mają zasłonięte twarze, poza tym stoją ukryte za parawanem. Ale w parawanie mogą być dziury, dziury są także w ich szatach. Tak więc kupcy mogą się przekonać, czy ich ewentualne przyszłe niewolnice są naprawdę dziewicami. - Urwała na chwilę. - Nigdy nie sprzedano mnie do haremu, Thomasie, los i mój pan mnie oszczędzili. Ale w Algierze dowiedziałam się nieco więcej o kupowaniu i sprzedawaniu.

Zerknął na fryz pod sufitem, a potem znów przeniósł wzrok na Serafinę. Miała wciąż na sobie migoczącą, bursztynową suknię z jedwabiu, jednak oczyma duszy ujrzał ją w luźnej szacie, takiej, jakie noszą kobiety z plemienia Tuaregów, ukrytą do połowy za rzeźbionym parawanem z kości słoniowej. Mokra od potu koszula lepiała mu się do pleców, zawładnęło nim stare znajome uczucie pożądania. Odkąd widział ją w Pizie, wyrzucił z myśli owo pragnienie i oto odpłaciło mu się teraz, powracając niespodziewanie, dwa razy mocniejsze. Jak w śnie zobaczył, że berarma odkłada świeczkę i podchodzi do niego.

- Jesteśmy do siebie podobni, ty i ja - powiedziała miękko. - ty będziesz miał swój statek, a ja jedwab. Może któregoś dnia zbudujesz statek dla mnie, Thomasie.

Oparła rękę na jego ramieniu; przez koszulę czuł ciepło iei dłoni. Zaczął nieśmiało wodzić palcami po jej ramionach, dotykał wygiętej, smukłej szyi. W domu panowała cisza; miał wrażenie, jakby istnieli tylko oni dwoje. Pocztał, że ręka Serafiny obejmuje go w pasie, pochylił głowę i ucałował jej włosy czoło, małą białą bliznę. Miała włosy miękkie jak jedwab któ-

rego tak pragnęła. Mała siatka naszywana perełkami podtrzymywała gładkie sploty; Thomas rozwiązał ją ostrożnie, tak że ciemne loki Serafiny opadły na ramiona. Właściwie wystarczyłoby prawie czuć jej gładką skórę przy ustach, przebierać palcami w rozpuszczonych włosach. Ale gdy Serafina uniosła twarz i zacisnęła mu palce na plecach wiedział, że jej to nie wystarczy. Zaczął więc podążać dawnymi ścieżkami, cały czas świadomy, że wkracza w nowe obszary, niezbadane krainy, świadomy również, że pragnął tego od wielu miesięcy, być może odkąd przepłynął z nią Morze Śródziemne.

On, który pierwszy raz spał z kobietą, mając lat szesnaście, stwierdził, że żegluje po nieznanych morzach. Wydawała się taka mała i krucha w jego ramionach, a jednak, kiedy na chwilę otworzył oczy, ujrzał w jej źrenicach żar i poczuł siłę jej drobnych, wędrujących rąk. To on zdjął jej z ramion suknię, by móc całować zagłębienia i cienie jej ciała, ale ona sama rozwiązała stanik, tak że dwie jedwabne połówki rozsunęły się, ukazując mu skarby, które kryły.

Opadła na podłogę, otoczona fałdami jedwabiu niczym obłokiem, a Thomas klęknął obok niej. Światło świecy wydobywało jej gładkie, krągłe piersi, zadziwiająco ciężkie przy tak drobnym ciele. Położywszy na nich dłonie, Thomas wcisnął twarz między dwie czarodziejskie kule. Jej skóra była ciepła i miękka niczym brzoskwinia, którą jadł niedawno. Delikatnie uciskając sutki palcami, spodziewał się prawie, że poczuje w ustach słodki sok. Usłyszał, jak odetchnęła głośno, gdy gładził jej płaski brzuch, a potem rozwiązał wstążki przytrzymujące spódnicę. Patrzył, jak dziewczyna kładła się na podłodze, wśród szeleszczących fałd jedwabiu. Później ten cichy suchy szelest zawsze miał mu przypominać Serafinę: Serafinę o prostych, zgrabnych nogach, płaskim brzuchu i krągłych piersiach, leżącą na łożu, uczynionym z bogactw Wschodu. Miał nozdrza pełne woni paczuli, którą pachniała jej skóra, jej ciało połyskiwało złotem w blasku świecy i jedwabiu. Była boginią Wschodu, a on przemierzy dla niej nowe oceany i morza. Odsunął jej ostatnie halki i jego dłonie odszukały drogę wiodącą od pępka do małego, lecz zachęcającego zagajnika między udami.

Będąc perfekcjonistą, Thomas się nie śpieszył. Wiedział, że najlepiej jest wówczas, jeśli obie strony doznają wspólnie przyjemności i rozumiał, że dlatego też musi być cierpliwy. Ale Se-

rafinie nie było trudno sprawić przyjemność: widział to w jej ciemnych, czujnych oczach, które w końcu się zamknęły, a także w lekko rozchylonych ustach. Czuł, że jej gibkie ciało rozluźnia się, gdy jego palce pieściły czarne, jedwabiste włosy. Potem, gdy rozchyliła dla niego uda, osunął się na nią i pozwolił by go wciągnęła. Nie było to mimo wszystko tak trudne, jak się obawiała. Denerwowała się tego wieczora i wypila więcej wina niż zwykłe. A jednak teraz już wiedziała, że to nie było konieczne, że jej nieuczzone ciało szybko pojmowało, co ma robić.

Tym razem Serafina nie doświadczyła też owego uczucia bezbronności, którego doznała wcześniej z Jacopem Capria. Współżycie z Thomasem Marlowe'em wydawało jej się konieczne, a równocześnie przerażające, gdy po raz pierwszy o tym pomyślała, jednak nie okazało się w końcu przykrym doświadczeniem. Czuł jego ramiona wokół siebie i ciepło jego ust przy twarzy - okazało się rzeczą właściwą i naturalną. Była to pociecha, a może nagroda, po latach samotności. Kiedy kochali się po raz drugi, z jej ust padło czułe słowo, które, jak sądziła, zginęło wśród splątanych jedwabi, w cieplej pachnącej nocy. A jeśli je usłyszał, nie cofnęłaby tego słowa nawet gdyby mogła.

Jutro znów usunie z myśli miłość i jej podniecającą, zwodniczą sieć. Ale tej nocy Serafina pozwoliła, by na chwilę omotały ją cudowne, błyszczące zwoje.

Kiedy po długiej nocy Thomas obudził się następnego ranka z głową ciężką od czerwonego wina, jej już nie było.

Obserwując promienie słoneczne sączące się przez zasłony okrywające łozko, przypominał sobie wydarzenia ubiegłego wieczora i nie mógł ich pojąć. Serafina Guardi była niewątpliwie suką, lecz okazała się też - ku jego zaskoczeniu - niewątpliwie dziewczicą. Przypuszczał wcześniej, że lata spędzone w Algierze uwolniły ją od tego szczególnego atrybutu. Był jednak wdzięczny losowi, iż uchronił ją od haremu. Żaden sułtan obdarzony jakim takim smakiem nigdy nie pozwoliłby jej odejść.

Wiedział, oczywiście, dlaczego z nią się kochał. Właściwie nie mogło być inaczej. W jakiś dziwny sposób podczas ich nieregularnych spotkań w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy jego stosunek do Serafiny zmieniał się, przechodząc od iryta-

cji, przez fascynację aż do obsesji. Jego własne motywy były oczywiste. Jej wizerunek, jej głos i cała istota zagnieździły się na dobre w jego duszy. Nie rozumiał natomiast, dlaczego ona się z nim kochała.

Podczas ich ostatniego spotkania okazała mu wystarczająco dobitnie, że niezdarne zaloty budzą w niej wstręt. Obrzucił ją wówczas plugawymi słowami, wytykając, że darzy kuzyna Angela dziwną mieszaniną miłości i nienawiści, toteż potraktowała go z pogardą, na jaką niewątpliwie zasługiwał. A jednak ostatniej nocy pragnęła go, zachęcała, a wreszcie objęła. To przecież Serafina pierwsza go dotknęła, to ona rozwiązała dlań suknię.

W końcu udali się do łóżka i kochali po raz drugi. Pamiętał miękki obłok jej włosów i spojrzenie jej oczu, kiedy chciała, by sprawił jej przyjemność. Wiedział, że szeptał jej czułe słowa i sama też ośmieliła się z radością wypowiedzieć raz jedno z nich. Nie przeceniał jego znaczenia: po doświadczeniach z przeszłości nie potrafiła łatwo wyrażać uczuć. A jednak nie zdziwił się rano, że druga połowa łóżka jest pusta, że Serafina wygładziła i ułożyła poduszkę i połowę prześcieradła, tak by nie pozostał żaden ślad. Ale zamykając oczy, za każdym razem, Thomas widział połysk jej miodowego ciała i ciemne, spragnione miłości źrenice.

Wczesnym wieczorem Jacopo Capriani obserwował z wyższego okna w swym domu przy via S. Domenico powrót Serafiny do Pizy.

Pojechała konno do Livorno trzy dni temu wraz z Amadeem, żeby kupić jedwabie i wstążki z rozładowywanych właśnie statków. Młodzieniec wrócił jednak sam poprzedniego dnia. Messer Capriani chciał zbesztać Serafinę, lecz kiedy zobaczył, jak jedzie po zakurzonej ulicy, wiedział już, że tego nie zrobi. Dom bez niej wydawał się pusty. Nie było sensu iść do kan, toru, skoro nie zastałby tam Serafiny, która uśmiechnęłaby się i skinęła mu głową; nie było sensu zasiadać do stołu nie mając naprzeciwko Serafiny, która przemieniała prosty posiłek w ucztę. W ciągu ostatnich tygodni często wydawało mu się, że znowu jest chory, ponieważ czuł gorączkowy niepokój, męczyły go urywane i kolorowe sny. Ale czoło miał chłodne, a serce biło mu normalnie. W końcu zdał sobie sprawę, że pewne

uczucia, które przygasły przez te wszystkie lata, nie umarły, a zostały jedynie pogrzebane. Nikomu oczywiście o tym nie wspominał, ponieważ nie miał komu się zwierzyć, a także dlatego, że wiedział, iż naraziłby się na śmieszność. On jednak nigdy się nie śmiał, może tylko czasami, w chwilach nieoczekiwanego zachwyty. Serafina sprawiła, że czuł się znów jak młodzieniec, niespodziewanie po raz drugi w jego życiu zapanowała wiosna.

Teraz, gdy nie mógł spać w nocy, zdarzało się to nie z powodu dolegliwości podeszłego wieku czy choroby, lecz z powodu Serafiny. Nie miała nawet owej urody, którą zwykle podziwiał u kobiet, ale w jej oczach, uśmiechu, w miękkiej, jedwabistej skórze było coś takiego, co kazało mu zapomnieć o upodobaniach, jakie żywił przez całe życie. Jacopo Capriani czekał na Serafinę w saloniku, by opowiedziała mu o towarach, jakie nabyła i pozwoliła się pocałować, a potem zsunąć z ramion gładki jedwab, tak żeby mógł dotknąć jej piersi. Nie oczekiwał niczego więcej, o nic więcej nie prosił. Sprawiała mu już wielką radość, której nie spodziewał się w życiu zaznać.

Nie zapukała jednak do jego drzwi, a kiedy Jacopo usłyszał, że drzwi do jej sypialni się zamykają, poczuł niewysłowiony, dziwny lęk. Zaczął spacerować bezmyślnie, przemierzając trasę wiodącą od okna w salonie do sypialni Serafiny, jakby stracił kontrolę nad własnymi czynami.

Ów strach jednak się rozwiął, gdy w końcu zapukał do drzwi, pragnąc ją wywołać, i natychmiast usłyszał odpowiedź. Otworzywszy drzwi, Jacopo ujrzał Serafinę stojącą w promieniach zachodzącego słońca przefiltrowanych przez półprzezroczyste zasłony w oknie. Jej nagie ramiona lśniły, ciemne włosy opadały na plecy. Piersi luźno owinęła ręcznikiem, a obok niej, na drugim ręczniku, stała duża miednica z wodą.

Messer Capriani poczuł, że serce zaczęło mu bić bardzo szybko.

- Zamknij drzwi - powiedziała, a on z trudem usłuchał, ledwie zdolny do najłżejszego ruchu. Kiedy odwrócił się, zobaczył, że ręcznik spadł na podłogę, a naga Serafina podeszła do miednicy.

Pojął wówczas, że pozwoli mu na więcej, niż on sam pozwalał sobie w marzeniach. Przyglądał się ze ściśniętym gardłem, jak podnosiła gąbkę i wyciskała wodę na piersi, brzuch, po-

śladki. Ostatnie promienie słońca ozłociły jej doskonałe ciało, odbijały się w drgającym lustrze wody w miednicy.

Kiedy się umyła i osuszyła, podeszła doń i zaprowadziła go do łóżka. Wilgotne koniuszki długich, ciemnych loków przykleiły jej się do pleców, policzki się zaróżowiły. Wziąwszy do ręki dłoń Jacopa Caprianiego, wodziła nią po swym ciele, a potem nie kazała mu już dłużej czekać.

W łóżku przećwiczyła wszystko, czego nauczył ją Thomas Marlowe. Czynności były te same, powtórzyła nawet niektóre słowa Anglika, a jednak miała wrażenie, jakby obserwowała samą siebie z oddali, tańczącą jakiś bezsensowny, gwałtowny taniec. To, co z Thomasem wydawało się takie łatwe i naturalne, było teraz fałszywym, mozolnym i poniżającym przymuszaniem ciała i myśli. Gdy kupiec szukał jej ust, a jego palce błądziły po jej ciele, Serafina czuła pod powiekami i w kącikach oczu napływające łzy. Ze złością walczyła z myślą, że jest marionetką, a Angelo wciąż pociąga za sznurki.

Ciepły wiatr uniósł lekkie zasłony i zachodzące słońce oświetliło leżącą w łóżku parę różowym blaskiem. Sprężyste i obwisłe ciało, gładkie i pomarszczone członki wykonywały rytuał tak stary jak świat.

Podczas panujących wciąż upałów Thomas spał na pokładzie „Zimorodka”. W ciasnych izbach, które wynajmował, było duszno, a poza tym często musieli zostawiać na statku cenne narzędzia i materiały. Spał lekko na jednym z niewykończonych pokładów; Rufus, kowal, chrapał za przednim masztem, a William Williams i Cristofano drzemali gdzieś w ładowni na dole.

Było zbyt gorąco, by zasnąć na dobre, więc Marlowe leżał na plecach, z otwartymi oczami i z rękami pod głową, wpatrując się w pocieszający układ gwiazd. Ten przeklęty medyk odczytywał z nich przyszłość, ale sternikowi przypominały jedynie podróże, do których tęsknił. Takie samo niebo widział nad Indiami, Chinami, Ameryką. Przepęłniało go pragnienie, by ujrzeć te kraje, czuł się tak, jakby skrupowano go i uwięziono, wraz z niedokończonym „Zimorodkiem”.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni wszakże dręczyła go coraz bardziej inna obsesja. Czasami Thomas nie mógł uwierzyć, że owa jedna, niezwykła noc w ogóle się wydarzyła; kiedy indziej

wspomnienie o niej pozbawiało go zdolności do działania, tak że najprostsze czynności wykonywał mechanicznie, nie mogąc zebrać myśli. Od tamtej nocy w Palazzo Sacchetti Thomas nie widział dziewczyny ani o niej nie słyszał. Nie oczekiwał tego zresztą i sam też nie próbował z nią się porozumieć. A jednak dni - a zwłaszcza noce - wypełniały mu nieustannie myśli o Serafinie. Na widok czyjejs żółtej sukni jego serce zaczynało bić dwa razy szybciej niż zwykle, zapach paczuli dobiegający z wyładowywanych pak z przyprawami pochodzącymi z Lewantu sprawiał mu fizyczny niemal ból, budząc wspomnienia. Powtarzał sobie, że takie szaleństwo nie potrwa długo. Ale wydawało się, iż pozostawiła trwałe ślad w każdej jego tkance, jakby odbiła na nim jakiś wzór, niczym na jedwabiu, którego tak bardzo pragnęła.

Otworzywszy oczy, rozpalony z pożądania, które prawie go nie opuszczało, Thomas zobaczył, że niebo nad nim zaczyna się płonąć, a pomarańczowy blask rozjaśnił ciemności. Przez chwilę sądził, iż nadszedł świt, ale w następnym momencie przypomniał sobie, że zupełnie niedawno słyszał, jak dzwony kościelne wybijały północ.

Zerwał się, wciągnął koszulę przez głowę i krzyknął na innych, zanim jeszcze skonkretyzował w myślach owo straszliwe przypuszczenie. Pomarańczowe niebo oznaczało to, czego wysuszony, przegrzany dok najbardziej się lękał - pożar. Zeskoczył na nabrzeże, a za nim Cristofano, William Williams biegł obok. Gdy Thomas zdołał określić źródło płomieni, zaklął w poczuciu bezradności: paliły się składy drewna. Pobiegnął jeszcze szybciej w kierunku miejsca, gdzie i on przechowywał swój skarb: drewno, które wybłagał, wytargował, za które niemal sprzedał duszę.

Kiedy dotarli do składów, była tam już, jak się zdawało, połowa ludności Livorno. Krzyczano do siebie we wszystkich językach świata; wiadra z wodą podawały sobie ręce białe, czarne i brązowe. Sprowadzono również jeńców z więzienia, skutych kajdanami, aby ratowali surowiec potrzebny do budowy galer, na których owi niewolnicy mieli potem wiosłować. Iskry wzbijały się w powietrze, w czerwonym świetle płomieni wszystkie twarze, czarne i białe, wydawały się podobne, śniade i zmęczone. Thomas, wciskając się w tłum z Cristofanem u boku, poczuł uderzenie gorąca, jakby to był potężny mur.

Ciężkie kłody, wysuszone po dwóch miesiącach upału przez mocne, tokańskie słońce, paliły się jak papier. Gdyby potrafił płakać nad owym stosem pogrzebowym, na którym płonęły jego marzenia, łzy wyparowałyby, zanim wypłynęłyby z oczu. Thomas posłał Cristofana po więcej wody. Potem, przeklinając brak rękawic, zaczął wyciągać nietkniętą ogniem belkę z tłącego się stosu. Poczul, że stała się nagle lżejsza i zobaczył, że William Williams, owinąwszy dłonie skórzanym fartuchem, podnosił drugi jej koniec. Wśród syków wody i pary, trzasku zwęglonego drewna i wrzasków niewolników poparzonych strzelającymi nagle płomieniami, Thomas wraz z cieślą zaczęli przenosić belki do w miarę bezpiecznego doku. Wiedział, oczywiście, że ich wysiłki mogą pójść na marne. Zdawał sobie sprawę z tego, że w każdej chwili może nastąpić wybuch, który pochłonie skład drewna, port i całe miasto. A jeśli ogień przeniesie się na arsenał, wówczas Livorno po prostu zatoni w bagnie, na którym wzniesli je Medyceusze.

Thomas pracował zawzięcie, nieświadom tego, że zaczyna mu schodzić skóra z twarzy, nie zwracając uwagi na obolałe dłonie. Rufus sam usuwał potężną, dębową belkę z zasięgu ognia; złote iskry wzbijały się w powietrze, gdy ciągnął drewno po ziemi. Nagi tors i twarz Cristofana poczerniały od sadzy, tak że trudno go było odróżnić od niewolników. Oprócz gryzącej woni zwęglonego i zmoczonego drewna Thomas czuł zapach swojej przypalanej skóry i włosów.

Thomas wiedział, że odnieśli zwycięstwo, gdy krąg ludzi począł się zacieśniać wokół składu, chwytając płomienie w pułapkę. Ale też już wcześniej zauważył, iż sam przegrał.

Ocalili może z tuzin belek z pięćdziesięciu. Utracili owe cenne angielskie dęby na maszty i krokwie. W ciągu jednej nocy cena drewna zwiększył się trzykrotnie, w ciągu jednej nocy większe przedsiębiorstwa, królujące na morza zdobędą pierwszeństwo przy zakupie tej odrobiny drewna, jaka jeszcze pozostała.

Thomas, siedząc na nabrzeżu, wpatrywał się w morze i prawie nie czuł bólu po oparzeniach. Ból w sercu wydawał się znacznie gorszy, oznaczał bowiem kres marzeń o statku.

Kupiec Jacopo Capriani wraz z towarzyszącymi mu ludźmi udał się konno na północ, do Lukki.

Messer Capriani jak zwykle zabrał ze sobą kancelistów, Amadea i Bastiena, chłopców na posyłki i uzbrojonego strażnika. Pojechała także z nimi Serafina - ale nie można jej już było nazywać kancelistką, stała się kimś więcej. Amadeo i Bastien podśmiewali się z niej na boku, ale w ich śmiechu pobrzmiwała gorzka porażka. Służba i chłopcy na posyłki spełniali polecenia dziewczyny równie szybko, jak życzenia messera Caprianiego - nie dlatego, że była ostra czy zbyt gorliwa, ale dlatego, że spojrzenie jej chłodnych, ciemnych oczu i barwa jej przyjemnego głosu w naturalny sposób zmuszały do posłuszeństwa. Kiedy kupiec oglądał towary wyładowane ze statków albo wykonane właśnie w warsztatach, Serafina zawsze mu towarzyszyła. Czasami jednak szła na targ sama, zostawiając messera Caprianiego drzemiącego na krześle w upalny dzień.

W mieście kupiec i Serafina złożyli wizyty w wielkich *palazzo*. Kiedy messer Capriani ustalał ceny, ona rozkładała na stole wstążki, kokardy i jedwab, a później wpisywała zakupy do księgi rachunkowej. W zbyt kłopotliwym holu *palazzo* bankiera Galeaz-za Merliego wspaniałe kolory połyskiwały w ciężkim, popołudniowym gorącym powietrzu; ochra, szkarłat i purpura odbijały się w rzeźbionych i pozłacanych kamiennych framugach otaczających otwarte okna, i w skomplikowanych wzorach arrasów wiszących nieruchomo na ścianach w bezwietrzny dzień.

Choć kupiec nie odbył w tym roku swej tradycyjnej wędrówki, interes szedł całkiem dobrze. Klienci doceniali większy wybór, żywsze kolory i lepszą jakość towarów messera Caprianiego. Serafina ostatnim ostrożnym muśnięciem dokończyła dzieła, jakim była kusząca ekspozycja błyskotek, i próbowała opanować mdłości.

Zawsze uczciwa wobec siebie, wiedziała, że dolegliwości tych nie wywołała gorączka bagienna ani zepsute jedzenie. Było jej niedobrze, ponieważ się bała. Ona, którą sprzedano i kupiono, która przepłynęła Morze Śródziemne w łodzi rybackiej, drżała na myśl o tym, co musi teraz zrobić. Omiatała niespokojnym wzrokiem komnatę, zatrzymując na chwilę oczy na kandelabrze, rzeźbionych i inkrustowanych skrzyniach, na wypolerowanej posadzce zarzuconej kobiercami. Przez okno widać było wspaniały ogród messera Merliego, nieruchomy, rozgrzany i przykurzony. Gdy wyglądała zagniecenia na jedwabkach, ręce jej lekko drżały, a włosy lepiły się do czoła.

Wciąż sobie powtarzała, że musi się opanować: nie lękała się, gdy straciła dziewictwo z Anglikiem, nie bała się też, gdy zaprowadziła messera Caprianiego do swego łóżka. Dlaczego zatem teraz, gdy trzeba jedynie okazać odrobinę uczucia we właściwym momencie, serce wali jej w piersiach, a żołądek kurczy się niczym pływająca meduza?

Tego ranka madonna Merli, żona Galeazza, wybrała sobie rzeczy, które chciała kupić od messera Caprianiego. Młodsza od Serafiny madonna Merli, ciemnowłosa i korpulentna, nie była specjalnie urodziwa. Jej służąca, która wyglądem i zachowaniem przypominała nagle dziewczynie Marthe, towarzyszyła jej przez cały czas. Madonna Merli kupiła wzorzysty jedwab i szkarłatne wstążki, cieszące się dużym powodzeniem. Messer Merli, starszy od żony ponad dwa razy, nie był obecny, gdy dokonywała wyboru. Przyszedł jednak teraz ze swą metresą, Con-stanza. Cofnąwszy się w pozie wyrażającej szacunek pod okno, Serafina próbowała uspokoić oszalałe serce i przyglądała się kurtyzanie spod współprzymkniętych powiek. Constanza miała trzydzieści - może czterdzieści lat, ale sylwetkę sprężystą i kształtną. Otaczała ją aura spokoju, której brakowało dziecinnej żonie messera Merliego i godności, sprawiającej, że jej ruchy wydawały się powolne i odmierzone, a szare oczy patrzyły ironicznie. Messer Capriani szepnął wcześniej Serafinie, że Constanza urodziła się w Wenecji, ale od dwudziestu lat prowadziła dostatnie życie w Lucce.

- Pozwól, moja droga. - Galeazzo Merli, spoglądając z zainteresowaniem na Serafinę, podprowadził bliżej kurtyzanę.

Kupiec pozostał z grzeczności z tyłu, ale dziewczyna, nie patrząc na swego chlebodawcę wiedziała, że zarówno on, jak i bankier, przypatrują się łakomie jej skórze, twarzy, ciału.

Pozwoliła messerowi Caprianiemu cieszyć się znów młodością i zażyć rozkoszy, ale ostatecznie, planując wszystko dokładnie, nie, pozbawiała go tego daru. Nie spała z nim od ponad tygodnia: podróż i konieczność zatrzymywania się w cudzych domach nie pozwalały na intymność i utrudniały zbliżenia. Wystarczyło, by Serafina dzieliła sypialnię ze służącą albo zapadła na migrenę w odpowiednim czasie. Nie dlatego, by czuła wstręt do messera Caprianiego, ale dlatego, że nadszedł czas, gdy kupiec miał zapłacić za przyjemności. Był zbyt stary,

by jego pożądanie potrwało długo: wiedziała, że musi osiągnąć to, co sobie zamierzyła, zanim obojętność zastąpi pragnienie.

Obmyśliła to wszystko bardzo starannie i cały plan wydawał się całkiem łatwy do przeprowadzenia. A jednak czuła teraz, że w tej obszernej, ładnie umeblowanej komnacie robi się jej coraz ciasniej i duszniej i że doświadcza tego samego dławiącego uczucia bezradności, co w ramionach kupca, kiedy wydawało jej się, iż własne ciało już do niej nie należy. Nudności się nasilały, Serafina splotła palce, mając ochotę zacisnąć pięści i gryźć je jak małe dziecko. Zmusiła się, by wyrzucić przez okno na ogród, gdzie trójkątne i kwadratowe połacie trawnika przecinały zakurzone, czerwone ścieżki. Czuła na sobie rozpalony wzrok kupca i przez chwilę myślała o nim z nienawiścią, zimną i czystą, o którą nawet się nie podejrzewała. Thomas tak na nią patrzył: z tęsknotą i pożądaniem. Przed kilkoma tygodniami w Palazzo Sacchetti widziała swe odbicie w niebieskich oczach Thomas Marlowe'a jako coś pięknego, upragnionego. Coś wartościowego.

Nie - nie wolno jej myśleć o Angliku. Thomas nie jest, nie może być częścią tej przyszłości, jaką właśnie zaczynała dla siebie budować. Thomas był dla niej nikim, bo i ona jest nikim dla tego mężczyzny. Uważał Serafinę jedynie za miłą rozrywkę, sposób na spędzenie nocy, przyjemne oderwanie od codziennych zmartwień. Tamta noc w Palazzo Sacchetti nie miała żadnego znaczenia, służyła po prostu pewnemu celowi.

Wciąż jednak przenikały ją dreszcze, jakby miała malarię. Z tyłu dochodziły niewyraźne głosy messera Merliego i Constanzy; dusząc się prawie, Serafina wymamrotała jakieś słowa przeprosin i wybiegła z pokoju do ogrodu.

Wiedziała, że kupiec nadal będzie ją obserwował z okna. Nie dbając o to, Serafina usiadła na niskim murku otaczającym fontannę i zacisnęła pięści, przyciskając je do oczu. Pomimo upału trzęsła się jak szare, zakurzone liście eukaliptusa. Niebo było intensywnie błękitne, czuła ostrą woń stojących w donicach z terakoty drzewek pomarańczowych i cytrynowych. Nagle wróciła w myślach do domu Kara Alego i dziedzińca z łukami i fontannami, gdzie w nieruchomym powietrzu unosił się gorzki, cytrynowy zapach. U jej stóp leżały skorupy niebieskiego naczynia, jej twarz i włosy okrywała zasłona. To wspomnienie ją uspokoiło: znowu wiedziała, dlacze-

go tu jest. Za te wszystkie stracone lata, za utraconą rodzinę i dziedzictwo! Opuściwszy ręce, Serafina wyprostowała się i odwróciła twarzą do fontanny. Deszcz kropel zrosił jej policzki, malując na nich łzy, których nie było. W końcu usłyszała kroki kupca na ścieżce.

- Wybrała same ciemne kolory, uwierzyłabyś? Przypuszczałem, że takie stworzenie lubi raczej barwy żółte i czerwone.

Serafina nic nie odpowiedziała. Siedziała z opuszczoną w dół twarzą, odwrócona bokiem.

- Może powinnaś pomóc mi wycenić jej zakupy... - zaproponował niepewnie messer Capriani.

- Myślę, że powinnam sobie pójść - odezwała się cichym, drżącym głosem.

- Nie chodziło mi o to, że musisz natychmiast wracać do pracy, Serafino. Jeśli źle się czujesz, posiedź tu może jeszcze chwilę - odrzekł kupiec.

Mdłości, jakie wcześniej odczuwała, ustąpiły nagle.

- Mam na myśli - szepnęła - że powinnam przestać u pana pracować, messer Capriani.

Nie patrzyła na niego, ale wiedziała, że usiadł obok na murku. Słyszała szelest jego szat i zmieszany z zapachem pomarańczy, cytryny i eukaliptusa ów nieuchwytny zapach starości.

- Czemu miałabyś odejść? - W głosie starca, pod sztuczną warstwą wesołości, słychać było panikę. - Firma cię potrzebuje, Serafino. Któż ma lepsze od ciebie oko do jedwabiu?

Pokręciła głową.

- Nie mogę zostać - odrzekła ze smutkiem i powoli odwróciła twarz.

Miała oczy czerwone, ponieważ wcześniej je przecierała, po policzkach spływały krople wody z fontanny. To wystarczyło: kupiec wziął jej dłonie w suche, starcze ręce.

- Moja droga Serafino, nie powinnaś płakać. Co cię martwi? Nabrała powietrza w płuca i opuściła twarz.

- Byłam taka szczęśliwa, pracując dla pana, messer Capriani. Ale nie mogę dłużej zostać. To, co się między nami wydarzyło... Boję się, że... - zawiesiła głos. Potem zaś oswobodziła jedną dłoń, otarła twarz palcami i powiedziała, siłąc się na stanowczość: - Nie czuję się najlepiej, messer Capriani. Są takie słabości, na jakie zapadają kobiety, jeśli śpią z mężczyznami.

Chociaż wyraziła się całkiem otwarcie, potrzebował czasu, by pojąć jej słowa. Ale w końcu poczuła, że zacisnął mocniej dłoń i usłyszała, jak wciągnął głośno powietrze. Czekala, aż zmieszanie widoczne w jego oczach ustąpi miejsca zrozumieniu, a w końcu dumie, a potem oświadczyła:

- Nie powiję bękarta w twym domu, Jacopo. Nie okryję cię wstydem.

Siedziała nieruchomo. Poczula, że dłonie znowu zaciskają jej się w pięści, a między piersiami cieknie strumyczek potu. Teraz jednak czula podniecenie, a nie nudności. Ofiarowała mu wybór między namiętnością a zdrowym rozsądkiem, wiedząc, że szala niekoniecznie musi przechylić się na jej korzyść. Pomyślała, że jeśli wstanie, jeśli drgnie jej choćby jeden mięsień, może na zawsze utracić messera Caprianiego i możliwości, jakie dla niej uosabiał. Nie poruszyła się więc, ufając, że bliskość jej ciała i zapach perfum zrobią swoje.

- Znajdę inny dom dla twego syna - zakończyła miękko. Natychmiast zrozumiała, że wybrała odpowiednie słowa.

Ogarnęły go pożądanie i duma, oszołomienie i bolesne pragnienie, by odzyskać młodość, którą, jak sądził, utracił na zawsze. Dołączyła się też nieodparta ludzka potrzeba walki z zimnym, grobowym powiewem, niesionym przez starość i gorączkę. Kiedy messer Capriani wziął jej rękę i podniósł do ust, Serafina wiedziała, że odniosła zwycięstwo.

Kiedy wrócili do *palazzo*, Constanza zbierała się do wyjścia. Gdy kiwnęła głową Serafinie i kupcowi, jedwabna chusta, która okrywała włosy kobiety, zsunęła się i Serafina po raz pierwszy zobaczyła wyraźnie lewą stronę jej twarzy.

Z prawej miała wciąż doskonałą cerę, gładką i kremową niczym magnolia - była to twarz, na której upływające lata nie pozostawiły żadnego śladu. Ale z lewej strony - Serafina znowu zaczęła drżeć - widniała krzywa blizna, biegnąca przez całą brodę - pamiątka po złym albo zaborczym kochanku, która na zawsze zniszczyła doskonałą urodę kurtyzany. Owa blizna informowała cały świat zarówno o karze, jak i profesji Con-stanzy.

Kiedy parę dni później Thomas Marlowe dotarł do Pizy, największe oparzenia pokryły się już bąblami.

Nie należał do ludzi, którzy rozwodziliby się nad własnym nieszczęściem - dni po pożarze spędził przeglądając resztki zapasów i odwiedzając po kolei wszystkich kupców handlujących drewnem w Livorno, a także równie metodycznie godząc się z krytycznym położeniem, w jakim się znalazł. Nie miał pieniędzy, nie miał budulca i miał niedokończony statek. Wpadł w długi, musiał opłacić ludzi, jak również dzierżawę za miejsce w dokach. Jeśli wkrótce nie zdarzy się jakiś cud, „Zimorodek” może nigdy nie wypłynąć w morze.

Nie wierząc w cuda, Thomas nocą pojechał konno do Pizy. Rzadko oddawał się rozmyślaniam nad sobą i nie tracił czasu, by analizować sprzeczne uczucia, jakich doznawał. Powinien odczuwać rozpacz; wiedział, że jeśli Capriani przedstawi mu propozycję, będzie zmuszony latami pływać po Morzu Śródziemnym. Ale to nie rozpacz doświadczał ostatniej nocy: zamiast niej czuł jakąś niestosowną wprost radość. Podczas długiej jazdy cieszyła go myśl, że znowu ujrzy Serafinę - nawet jeśli zobaczy ją tylko przy stole, przy którym będą prowadzić negocjacje. Przybywszy do Pizy, znalazł gospodę, w której zajęto się jego koniem i pomaszerował do domu messera Caprianiego.

Powitał go nie kupiec, lecz Serafina we własnej osobie. Ubrana była w tę samą suknię, którą nosiła podczas pierwszej wizyty Thomasa w Pizie, ze skromnym, białym kołnierzem i długimi, obcisłymi rękawami. Ale tym razem na szyi miała złoty łańcuszek z wisiorkiem, a także klejnoty w uszach i na palcach. Dyskretny odcień materiału kontrastował z barwą jej policzków, zaś złoto medalionu podkreślało śniadą skórę.

Thomas uklonił się i zdjął energicznym ruchem kapelusz.

- Witam panią, mademoiselle Guardi.

Serafina podała mu dłoń do pocałowania i poprowadziła go do niewielkiego saloniku. Stały tam dwa krzesła i stolik na chwiejnych nogach, a słońce wpadające przez okno oświetlało zakurzoną podłogę i pajęczyny w kątach.

- Czy słyszałaś o pożarze w stoczni w Livorno? - zapytał. Dziewczyna skinęła głową.

- Owszem. Bardzo to przykre. - Potrząsnęła głową z niezadowoleniem. - Żałuję, że nie kupiłam wcześniej trochę drewna...

Wlepił w nią oczy, nie wiedząc przez chwilę, czy powinien czuć złość, czy rozbawienie. Potem zamknął za sobą drzwi, rzucił kapelusz na stół i roześmiał się smutno.

- Niestety, ja kupię drewno. Większa część nadaje się teraz tylko na węgiel drzewny. Kupcy drzewni dodają zero do swych poprzednich cen.

Zobaczył, że Serafina przypatruje się jego rękom.

- Wybacz mi, proszę, mój wygląd - powiedział podnosząc do góry czerwone, pokryte pęcherzami dłonie. - I dziwną fryzurę. Udało nam się uratować nieco zapasów.

- Czy to boli?

Stała przy oknie, mając za plecami mały, zaniedbany ogród messera Caprianiego.

- Nie boli - odrzekł szczerze. - Już nie.

Dała mu znak, by usiadł. Napelniwszy kieliszek winem, wręczyła go Thomasowi.

- Rozumiem, że sprowadzają pana interesy, panie Marlowe.

Umysłny chłód w jej głosie sprawił, że Thomas poczuł przyływ dawnej irytacji.

Zauważył już, iż dziewczyna unika jego wzroku.

- Z powodu pożaru? - Wypił kilka łyków wina. - Tak. Znalazłem się w dość trudnej sytuacji. Kiedy spotkaliśmy się ostatnim razem, wspomniałaś, że może będziesz mogła mi pomóc.

„Kiedy spotkaliśmy się ostatnim razem”. Przez chwilę Thomas zamiast w małym, zakurczonym saloniku, znalazł się z powrotem w spłowiałym splendorze Palazzo Sacchetti.

Serafina nie odpowiedziała mu od razu. Ręce trzymała na kolanach, jej ciemne oczy spoglądały wszędzie, tylko nie na niego.

- Jestem pewna, że możemy zawrzeć jakieś porozumienie panie Marlowe.

Wiedział, że umyślnie buduje między nimi mur, pragnąc się odgradzić od niego i przyjaźni, jaką mógłby jej zaproponować. Metoda, którą prawdopodobnie opanowała doskonale w berberyjskiej niewoli. Ale raz już zdobył ten mur, kiedy w Palazzo Sacchetti szepnęła mu czułe słowo. Pamiętając o tym, zdołał jej odpowiedzieć równie beztróskim, praktycznym tonem.

- „Zimorodek” nie jest jeszcze gotowy, a ja nie mam drewna, by dokończyć budowę. Ani pieniędzy na zakup budulca Messerowi Caprianiemu opłacałoby się sfinansować prace wykończeniowe: to będzie piękny statek.

- Oczywiście. - Szare fałdy na sukni Serafiny ułożyły się malowniczo wokół jej sylwetki. - Nigdy w to nie wątpiłam, panie Marlowe.

- Thomasie.

Zbyt wiele się wydarzyło; jej upór, by zwracać się doń oficjalnie po nazwisku, musiał wydawać się śmieszny albo obraźliwy. Mówiła jednak prawdę: zawsze traktowała jego przedsięwzięcie z całkowitą powagą.

- Jak sobie życzysz, Thomasie.

Głos jej lekko drżał, ale gdy sięgnęła po dzwonek stojący na stole, rękę miała pewną. Chciał nią potrząsnąć albo wziąć w objęcia. Cokolwiek, by przełamać ten chłód.

Pojawił się służący, napełnił kieliszki i podał Thomasowi biszkopty. Serafina powiedziała do niego kilka słów, jednak zbyt cicho, by Marlowe mógł coś usłyszeć. Człowiek ów opuścił okiennice, chroniące pokój przed ostrym słońcem. I znowu, pomyślał lekko rozbawiony Thomas, wydawało się, że Serafina jest właścicielką tego domu. Próbował kiedyś wyobrazić ją sobie w więzieniu w Algierze, ale nie udało mu się, nie umiał bowiem myśleć o niej jako o niewolnicy spełniającej czyjeś rozkazy.

Kiedy służący odszedł, dodała:

- Jestem pewna, że możemy osiągnąć jakieś zadowalające nas dwoje porozumienie. Sądzę, że będę mogła zaproponować ci łatwiejsze do przyjęcia warunki niż Kompania Lewantyńska.

Ogarnięty miłym uczuciem ulgi zauważył jednak, jak naturalnie i autokratycznie używa zaimka „ja”.

Wydawałoby się, myślał Thomas z rosnącym rozbawieniem, że messer Capriani nie istnieje. Zdał sobie sprawę, że prócz pożądanego, czuje do tej dziewczyny szacunek, doceniając zalety jej chłodnego, twardego umysłu.

Uniósł kielich.

- A zatem, wypijmy za handel, droga Serafino.

- Za jedwab! - W jej kieliszku, napełnionym do połowy, odbił się promień słońca o barwie bursztynu. - Za dzień, w którym moje imię będzie firmować największe w Europie przedsiębiorstwo handlujące jedwabiem.

- Powinniśmy się pobrać. - Thomas usłyszał nagle swe własne słowa.

Padły, zanim zdołał je powstrzymać; odruchowo jego język wyraził to, co pomyślało serce. Serafina zatrzymała rękę z kieliszkiem w pół drogi, wino zakółsało się niczym miniaturowe morze.

- Pobrać? - powtórzyła i roześmiała się nieprzyjemnie. Ich spojrzenia spotkały się w końcu, a Thomas dostrzegł w jej oczach dziwną mieszaninę dumy i samowoli. - Pobrać? Kobieta nie może mieć dwóch mężów, panie Marlowe. Nawet islam na to nie zezwala.

Wystarczył jedynie ułamek sekundy, by Marlowe zrozumiał jej słowa, ale wydawało mu się, że trwało to całą godzinę. Wlepił w nią wzrok i dopiero teraz zaczął pojmować, co oznaczały te wszystkie klejoty, służący i małe, ale ważne słówko „ja” w jej ustach.

- Wczoraj rano poślubiłam messera Caprianiego. Thomas nie krzyknął, nie stłukł kieliszka ani nie dobył

szpady. Choć zwykle tak zapalczywy, teraz zachował spokój. Naprzeciwko niego siedziała Serafina, drobna i dumna, wyprostowana sztywno, z nieruchomymi rysami. Na chwilę jej policzki zabarwił rumieniec, który jednak ustąpił, zostawiając jej twarz bledszą niż zazwyczaj.

- Gratulacje - zdobył się na suche słowa.

- Dziękuję, panie Marlowe. - Zobaczył, że rozluźniła się nieco i sięgnęła po pióro oraz papier leżące na stole. - Może zaczęlibyśmy omawiać warunki dokończenia budowy „Zimorodka”.

Thomas nie odpowiedział. Wstał, podszedł do okna i zaczął przesuwając palcem po zakurzonych listewkach drewnianych okiennic. Czuł zamęt w głowie, ale z wolna myśli zaczęły mu się układać w przerażającą całość. Odezwał się z rozmysłem:

- Nie wypija pani wina, madonna Capriani. I zapomniałem o toaście, jaki pani wzniosła. - Nie zapomniał, oczywiście. Ponieważ Serafina milczała, mówił dalej, cały czas zwrócony plecami w jej stronę: - Za dzień, w którym twoje imię będzie firmować największe w Europie przedsiębiorstwo handlujące jedwabiem. O jakim imieniu myślałaś, Serafino? Miałaś ich w końcu kilka: Badr-al-Dudża, Giovanni, a teraz - madonna Capriani. Sądzę jednak, że wciąż pragniesz, by na porożcach powiewało nazwisko Guardi, nieprawdaż?

Nic nie odpowiedziała. Odwróciwszy się, Thomas zobaczył, że zacisnęła mocno usta, a jej spojrzenie było mroczne i twarde. Poczul pulsowanie w poparzonych dłoniach; ogarnęło go nagle zmęczenie po nocy spędzonej w siodle, po miesiącach walki.

Mimo wyczerpania, a może właśnie dzięki niemu, miał nieprzyjemnie klarowne myśli.

- Chodzi o Angela, prawda? Zamierzasz mu wszystko odebrać. To dlatego przyjął służbę u kupca - i dlatego za niego wyszłaś. I dlatego namawiasz messera Caprianiego, by handlował jedwabiem, żebyś mogła konkurować z Anielem. Łzy antylopy już nie wystarczą, Serafino? I to dlatego - Thomas poczuł gniewny ucisk w żołądku - to dlatego chcesz „Zimorodka”. Nie zniszczysz kuzyna Angela za pomocą mułów.

Nie zaprzeczyła. Rozłożyła tylko ręce w geście wyrażającym nie skrucę, lecz zgodę.

- To moja rzecz - oświadczyła.

- Co zrobisz, Serafino? - Thomas wpatrywał się w nią, mówiąc zduszonym, urywanym głosem, jakby brakowało mu powietrza. - Zadasz mu cios nożem w plecy, kiedy będzie spał?

Krew odpłynęła jej z twarzy; oczy miała ciemne i puste niczym lalka.

- Nie zabiję go. Nie muszę. Zrujnuję go. To wszystko. Jej ostry głos ugodził Thomasa niczym cios sztyletem.

- A zatem to dla Angela będziesz spała ze starcem? - Wlepił w nią wzrok. - Nie, robiłaś to zanim jeszcze za niego wyszłaś, prawda? Odrobina rozkoszy dla tego biednego, starego głupca, żeby ofiarował ci swe nazwisko i majątek w zamian za towarzystwo w łóżu? O mój Boże, on ma jakieś sześćdziesiąt pięć, siedemdziesiąt lat, a ty...

- Siedemnaście - odpowiedziała. W jej oczach płonął teraz lodowaty ogień. - Czy sądzisz, że to ma jakieś znaczenie, Thomasie?

Ledwie ją usłyszał.

- A ja? - Jego głos drżał lekko. - Do czego ja ci byłem potrzebny? - Nagle pojął wszystko i zaczął się śmiać, choć w owym śmiechu nie słychać było wcale wesołości. - Odrobina praktyki. To do tego mnie potrzebowałaś. - Czuł narastający gniew i miał wrażenie, że otwierają się przed nim nowe, ciemne otchłanie, których wcale nie chciał oglądać. Ale zmusił się, by powiedzieć:

- To dlatego się ze mną kochałaś.

Wreszcie spuściła oczy. Sięgnęła ręką po dzwonek, ale Thomas był od niej szybszy, zacisnął mocno palce na jej kruchym nadgarstku.

Odczuwany ból sprawił mu niemal przyjemność i pozwolił się odezwać:

- Raz w życiu powiedz prawdę, Serafino. Pozwoliłaś, żebym cię uwiódł, ponieważ chciałaś pozbyć się dziewictwa.

Uniosła powieki, a ich oczy się spotkały. Źrenice Serafimy były ledwie widoczne.

- Musiałam się nauczyć, Thomasie - odrzekła miękko. - Nie mogłabym tego zrobić bez ciebie.

Kruchość ciała wydawała się dysonansem wobec jej okrucieństwa i siły woli.

Thomas miał ogromną pokusę, by zgnieść tę szczupłą dłoń i ścisnąć, aż z kości pozostanie pył, Serafina zacznie krzyczeć, prosząc o litość, o którą on chciał ją błagać.

Zdołał się jednak opanować; puścił jej rękę i wychodząc z pokoju, powiedział tylko:

- A więc do diabła z tobą i twoim handlem. Na mnie nie licz!

Pobrali się dwa dni wcześniej, zaraz po powrocie do domu. Była to potajemna i pospieszna uroczystość, messer Capriani bowiem obawiał się, że może nagle stracić swą wstydliwą narzeczoną. Stojąc obok oblubieńca w zakurzonym, pełnym przeciągów salonie, Serafina przypominała sobie owe dawne przygotowania do jej zaręczyn, które nigdy się nie odbyły. Poślubiłaby messera Corsiniego w białej sukni, z rozpuszczonymi włosami, a cała wystrojona Florencja zebrałaby się, by ich zobaczyć. Na ślub z kupcem włożyła bursztynową suknię, którą sama sobie uszyła, a jedynymi świadkami byli kancelista Amadeo i młody jezuita z pobliskiego klasztoru; Miała jednak rozpuszczone włosy, mimo widocznej dumy kupca, iż utraciła dziewictwo.

Podczas ceremonii nie doznała żadnych specjalnych uczuć, poza irytacją, że musiała oderwać się na chwilę od pracy! Triumf i lekkie obawy przyszły później. Znała powód owego triumfu: nie jest już teraz niewolnicą ani służącą, ale żoną szanowanego i cenionego kupca. Trudniej było określić przyczynę niepokoju. Serafina mówiła sobie, że nie ma powodu się martwić, że zawarła jedynie transakcję: jej ciało i uroda w zamian za materialne zabezpieczenie. Takie transakcje zawiera się za każdym razem, gdy narzeczoną pozwala przyszłemu mężowi wsunąć sobie na palec obrączkę.

Mdłości powróciły wieczorem, kiedy messer Capriani, zachęcony przez świeżo poślubioną małżonkę, ale uważając się za twórcę tego pomysłu, sporządził nowy testament. Zapisał wszystko owemu hipotetycznemu dziecku w jej łonie. Serafina musiała odstawić czerwone wino, nie umoczywszy w nim ust, bowiem kwaśny zapach przyprawiał ją o bicie serca i ucisk w żołądku. Kiedy później kupiec wziął ją do swego łóża, stwierdziła, iż czuje się znowu dobrze i prawie z przyjemnością może przyjąć pieszczoty, które legalizowały jej małżeństwo.

W odróżnieniu od nudności, owo przerażające uczucie nierealności nie pojawiło się ponownie. Nie powróciły też koszmary nocne: Serafina spała mocno i nic jej się nie śniło. Leżąc w łóżku pierwszego ranka po ślubie i patrząc, jak słońce prześwituje przez zakurzone, różowe zasłony wokół łóżka, powiedziała sobie, że wszystko się należycie ułożyło, że ma teraz oto dom, nazwisko i spadek. Przed ślubem nie była nikim innym, tylko służącą, na tyle głupią, by sypiać ze swym panem. Małżeństwo z Jacopem Caprianim - związek ze schorowanym, starzejącym się mężczyzną - zadecydowało o jej pozycji. Nie martwiła się o nieistniejące dziecko - jeśli osłabione łądzwie kupca nie będą w stanie spłodzić potomka, ona nie będzie się z tego powodu smucić. Dzięki wiedzy medycznej, uzyskanej od Kara Alego, z pewnością zdoła utrzymać męża przy życiu jeszcze kilka lat. W owej przyszłości, którą zaczynała budować, nie było miejsca na małństwo, zresztą podobnie jak wiele innych kobiet, nie czuła specjalnego entuzjazmu do dzieci. Po prostu kiedy nadejdzie następna, miesięczna dolegliwość - pojawiająca się niezbyt regularnie - uda, że to wczesne poronienie. Została oto legalnie zaślubioną żoną szacownego kupca i dopóki Jacopo będzie z nią szczęśliwy i jak długo będzie żył - nie ma powodu do obaw. Sprawę, że jego interesy będą kwitły, a dom stanie się wygodniejszy niż w ciągu ubiegłych dziesięcioleci. Jej szczęście, podobnie jak innych żon, zależało od szczęścia męża. A jednak gdy angielski sternik wyszedł, obawy Serafiny powróciły. Mówiła sobie, że jej niepokój spowodowała utrata statku przez Thomasa Marlowe'a. Zdawała sobie sprawę z tego, jakie znaczenie ma dla Thomasa jego wizja, a ostatnio zaczęła patrzeć na „Zimorodka” oczyma Anglika. Potrzebowała Thomasa Marlowe'a. Potrzebowała jego statku i jego samego jako sternika, który potrafiłby kierować tą łupiną po szerokich przestrzeniach Morza Śródziemnego. Gdyby tylko nie poprosił, by za niego wyszła. Na wspomnienie owej sceny w saloniku krew uderzała Serafinie do głowy,

a na policzki wypływał rumieniec. Tłumaczyła sobie, że gniewa się na Anglika za to, iż skomplikował sytuację, która miała być prosta, za zmarnowanie okazji do transakcji, która byłaby korzystna dla nich obojga. A jednak w chwilach szczerości przyznawała się, że czuje także gniew do samej siebie. Źle pokierowała sprawą, która była dla niej ważna i utraciła w ten sposób „Zimorodka” i angielskiego sternika.

Thomas bowiem ją rozumiał. Zrekonstruował jej zamierzenia krok po kroku, z przerażającą dokładnością, pojmując, że został wykorzystany. „Odrobina praktyki. To do tego mnie potrzebowałaś”. Na myśl o jego wyrazie twarzy nudności powróciły. Na czole zbierały się jej krople lodowatego potu, a serce waliło niczym bęben gorliwego sierżanta. Rzuciła się do okna, by otworzyć okiennice i odetchnąć gorącym, nieruchomym powietrzem. Raz jeszcze powtórzyła sobie, że to nieważne, że Anglik miał swoją przyjemność i była to po prostu wymiana usług.

John Keane, ulokowany teraz wygodnie w wysokim, smukłym domu w centrum Livorno, oczekiwał wizyty Thomasa Marlowe'a. Niedawno z okna na najwyższym piętrze swej siedziby obserwował pożar w składzie drewna. Trochę czasu spędził biegnąc w pośpiechu po schodach tam i z powrotem wraz ze służącym, by wynieść swe najcenniejsze rzeczy na ulicę. Kiedy zobaczył, iż pożar został opanowany, a barwy zmieniły się ze złotych na bursztynowe, potem zaś stały się ciemnoróżowe, powtórzyli tę samą czynność, tyle że w przeciwną stronę. Dom był bezpieczny, „Garland” i magazyny Kompanii również. John Keane zdawał sobie sprawę, że owej nocy sprzyjało mu szczęście, gdy inni zostali do cna zrujnowani.

Słyszał plotki, z początku niepewne i niedokładne, potem coraz bardziej konkretne, na temat losów jego rodaków w Livorno. Dowiedział się też, że „Zimorodek” Thomasa Marlowe'a przetrwał pożar, ale materiały, które miały posłużyć do dokończenia budowy, spłonęły. A więc pozostało tylko cierpliwie czekać. Nie spodziewał się jednak, że usłyszy stukanie do drzwi o północy, kiedy służący zaczął właśnie zapalać świece w sypialni, a John kończył owijać swą lutnię czerwoną, aksamitną tkaniną.

Zawołał Antonia, by zaprowadził gościa na górę, a potem, przyglądziwszy dłonią siwe i coraz rzadsze włosy, wstał i skinął głową na powitanie, gdy sternik wszedł do pokoju.

- Witam pana - Marlowe się uklonił. - Proszę mi wybaczyć wizytę o tak późnej porze.

John Keane uprzejmie zapewnił go, że nie ma powodu do przeprosin, sprawdził jednak, gdzie ma szpadę. Ubranie sternika było pokryte kurzem, a chociaż Thomas odezwał się grzecznie, z trudem panował nad swym głosem.

- Napije się pan, panie Marlowe?

Pili czerwone wino, czując zapach soli morskiej wpadający przez otwarte okno i słysząc krzątanie niezadowolonego Antonia w kuchni na dole.

Sternik wychylił kielich do dna, zanim John zdołał opróżnić połowę swojego i rzekł:

- Przyszedłem, by zaproponować panu „Zimorodka”, panie Keane. Na takich mniej więcej warunkach, jakie już wcześniej omówiliśmy.

Keane odstawił kieliszek.

- Pożar musiał bardzo pana dotknąć - zauważył, przypatrując się badawczo gościowi.

- Pożar? - Przez chwilę Thomas wpatrywał się weń, nic nie rozumiejąc; Keane zauważył czerwone obwódki wokół jego błękitnych oczu i przypalone koniuszki czarnych, splątanych loków. Zmieszanie nie trwało jednak długo. - Pożar, ależ oczywiście. Tak - bardzo mnie dotknął. Sprawił, że moje chroniczne kłopoty finansowe stały się palące i dlatego do pana przyszedłem, panie Keane. Żeby im zaradzić.

John pokiwał głową. Z poczuciem lekkiego, ale wyraźnego triumfu, wziął pióro i usiadłszy przy stole, zaczął pisać.

- Będę musiał potwierdzić tę umowę, kiedy mój przełożony przyplynie z następnym konwojem. Ale jestem pewny, że nie będzie żadnych problemów. Warunki takie, jak omówiliśmy, panie Marlowe?

- Takie, jak omówiliśmy. Z jednym zastrzeżeniem.

Keane odwrócił się z piórem w ręce. Wściekłość, która kazała Johnowi rozejrzeć się za szpadą - zniknęła z oczu sternika. Malowała się w nich teraz zimna kalkulacja.

- Ja będę wybierał materiały, panie Keane. Oto mój warunek. Prędeż go teraz zatopię, niż pozwolę, by jakiś korsarz

uczynił to samo później, ponieważ pan postanowi oszczędzić na działach czy czymś takim.

Poważne zastrzeżenie, choć może niezaskakujące. John Keane wciąż trzymał pióro w znieruchomiałej ręce.

- Zapewniam pana, panie Marlowe - odezwał się ostrożnie - że traktuję niebezpieczeństwo ze strony korsarzy równie poważnie jak pan.

- Tak. Nie wątpię. - Thomas roześmiał się nieprzyjemnie. - W końcu sam pan niekiedy odgrywa rolę korsarza, jeśli może to panu przynieść jakiś niewielki, dodatkowy dochód.

Keane wzruszył ramionami.

- Nie przeczę. Bez wyrzutów sumienia sprzedajemy też Turkom cynę z Kornwalii, tak że muzułmanie mogą odlewać sami działa z brązu. Nie, panie Marlowe, nie wypieram się tego. To tylko handel i tyle.

- Słowo „handel”, jak się wydaje, w ciekawy sposób określa rozmaite grzechy. - Thomas Marlowe, na gest przyzwolenia ze strony Keane'a, napełnił swój kieliszek, wypił łączywie, a potem podniósł głowę. - Wkrótce Toskania przestanie tolerować wybryki Kompanii, panie Keane. Mogli byli zaprosić pana tutaj, ale nie będą dalej przymykać oka na piractwo.

John Keane włożył z powrotem pióro do kałamarza i założył ręce.

- Czy sądzi pan, że księżę Ferdynand ma zastrzeżenia do rzekomych aktów piractwa czy też do naszych sukcesów handlowych? - zapytał łagodnie. - Na Morzu Śródziemnym robi się coraz ciasniej, coraz więcej statków pada łupem piratów. My, przybysze z północy, mamy statki, mamy też żeglarzy. Potęga Wenecji chyli się ku upadkowi, Francja zмага się z wojnami domowymi, Hiszpanią rządzi opętany, starzejący się król. Od dwudziestu lat w rejonie Morza Śródziemnego panuje pokój. Specyficzny pokój. Nigdy jeszcze okoliczności bardziej nam nie sprzyjały.

Thomas Marlowe nie odpowiedział od razu. Keane wodził za nim oczami, gdy gość obchodził pokój naokoło, oglądając lutnię, szachy i książki.

- Jest pan człowiekiem cywilizowanym, panie Keane. Czy nie niepokoi pana fakt, iż Kompania Lewantyńska uzbraja Turków i napada na statki chrześcijańskie?

John pomyślał, że Thomas Marlowe wydoroślał nieco od czasu, kiedy ostatni raz rozmawiali. Oceniał, że sternik ma jakieś dwadzieścia pięć lat, dziesięć lat mniej od niego i że kieruje nim nie do końca ukształtowana moralność młodego człowieka.

- Owszem, trochę mnie to niepokoi - przyznał. - W naszym kraju pali się na stosach tych, którzy uważają się za chrześcijan, i ścięto też głowę królowej, która także uważała się za chrześcijankę. Takie rzeczy zdarzają się za mego życia - za naszego życia, panie Marlowe. Komplikacje dogmatyczne mnie przerastają, dlatego właśnie jestem kupcem, a nie teologiem. Zrobię jednak wszystko, co będzie trzeba, żeby kompania odnosiła sukcesy. I to dlatego ja, moja rodzina, mój kraj przetrwają. Spojrzał na swego gościa i napotkał jego błękitne, gniewne spojrzenie.

- Pan także przetrwał, panie Marlowe. I podejrzewam, że podobnie jak ja, uczyni pan prawie wszystko, by nadal utrzymać się na powierzchni.

Młodzieniec nie sięgnął, jak obawiał się John Keane, po swą szpadę - ponieważ Thomas Marlowe nie tylko przetrwał, ale podobnie jak sam Keane, był inteligentnym, cywilizowanym człowiekiem. A poza tym wystarczająco dużo czasu poświęcił wcześniej rozmyślaniom. John Keane dodał łagodnym głosem:

- Zgadza się na pana zastrzeżenie, panie Marlowe. Może pan wybrać ludzi i materiały, by dokończyć swój statek.

Część szósta

1595

SŁODKA WON

Tamtejsze powietrze pachnie słodko nawozem.

„DZIENNIK PODRÓŻY”,

FYNES MORYSON

Pierwsze dwa miesiące po ślubie Serafina spędziła na wymiataniu kurzu z kątów domostwa Jacopa Caprianiego. Przyjęła nowych służących: kobietę do gotowania i nadzorowania służby i nowego kancelistę na miejsce nieuczciwego Bastiena.

Czasami zarzucała na suknię fartuch i wytrzepywała z dywanów i kotar narosłe przez dziesięciolecia tony kurzu. Nie zaniedbywała również ksiąg rachunkowych, pilnując bystrego, lecz niedbałego Amadea. Wieczorami zaś zajmowała się zabawianiem małżonka.

Niestety, zdrowie ją zawodziło. Od czasu do czasu dostawała napadu nudności, kiedy indziej zaś, najczęściej popołudniami, ogarniało ją tak wielkie zmęczenie, że gdyby zamknęła oczy, usnęłaby natychmiast. Walczyła zarówno z wyczerpaniem, jak i nudnościami, ukrywając je przed mężem i służbą. Jak na ironię - w Algierze cieszyła się doskonałym zdrowiem, wyjąwszy odrę na początku niewoli, a teraz, gdy jej życie zaczęło się polepszać, czuła się źle.

Jednak Łzy antylopy powoli zaczął wypierać jedwab, a messer Capriani, oderwawszy się na jakiś czas od kwestii robienia pieniędzy, był coraz bardziej zadowolony, mogąc powierzyć codzienne obowiązki związane z prowadzeniem domu i firmy osobie spragnionej władzy, choćby i w takim zakresie. Piza to nie Marsylia, willi Jacopa nie można było porównać z domem, który przywłaszczył sobie Angelo, ale Serafina odkryła owo ekscytujące uczucie, którego źródłem jest posuwanie się powoli, lecz nieubłaganie w kierunku wytyczonego celu. Po raz pierwszy,

odkąd okręt korsarski odarł ją z człowieczej godności, przejęła kontrolę nad własnym życiem, kształtując je i urabiając silnymi rękami niczym glinę.

„To moje” - oświadczyła Thomasowi Marlowe'owi i wiedziała, że nie zazna spokoju ducha, póki nie odzyska wszystkiego, co utraciła: domu, firmy, nazwiska. Znowu je posiadzie; uzbroiła się już w środki, które miały jej w tym pomóc, odkryła w sobie wolę i siłę. Te dwie cechy pozwalały Serafinie znosić utyskiwania i zachcianki męża, pozwoliły jej ignorować szeptu służących i wlepione w nią spojrzenia na ulicy.

Rozważała różne sposoby, które mogą doprowadzić człowieka do ruiny. Klęskę finansową powodowały sztorm albo pożar, tymi zaś władał tylko Bóg. Ale istniały też powolniejsze, bardziej podstępne metody, którymi umiałby się posłużyć przebiegły kupiec - kobieta lub mężczyzna: bezpośrednie współzawodnictwo, obniżanie cen, przejęcie czyjegoś klienta lub hurtownika. Żeby konkurować z Angelem, należało ominąć włoskie firmy przewozowe, by im nie płacić. Serafina musiała zaopatrywać się na rynkach położonych dalej niż Livorno, nabywać większe ilości artykułów i rozprawdzać towar szybko i niezawodnie. Powinna popłynąć do krajów Lewantu. Żeby zrujnować Angela - jak szybko i z wściekłością pojęła - potrzebuje „Zimorodka”.

Lecz zarówno Thomas Marlowe, jak i jego statek zniknęli zupełnie z jej życia. Gdy Serafina przyglądała się pyłkom kurzu w świeżo wysprzątanym kącie i sprawdzała równe rzędy liczb w księdze rachunkowej, po raz pierwszy doświadczyła uczucia żalu. Ale jedynie za statkiem, za wspaniałym, niedokończonym „Zimorodkiem”. A Angelo? Żeby doprowadzić wroga do ruiny, należało bacznie go obserwować, znać dokładnie jego umiejętności, wady, ambicje. Angelo nigdy nie szukał szczęścia - teraz to rozumiała. Pragnął czego innego. Czasami, wśród bezlitosnej ciszy poranka Serafina myślała, że i ona w ciągu ostatnich lat zaczęła kierować się tym samym: ambicją, pragnieniem władzy i poczuciem bezpieczeństwa.

Angela i ją wiodły te same gwiazdy. Oboje urodzili się w listopadzie, a jadowity skorpion zwijał już ogon, szykując się do ataku.

Przechadzając się po ruchliwych dokach Livorno, John Keane czuł, że jest więcej niż szczęśliwy z powodu ostatnich dwóch nabytków. Zatrudniwszy ponownie Thomasa Marlowe'a, Kompania Lewantyńska pragnęła nie tylko dokończenia budowy „Zimorodka”, ale także sprawnego wyremontowania zniszczonego „Garlanda”. Marlowe z radością zgodził się nadzorować naprawę starego statku i użyć swych cieśli i miejsca w stoczni, w czasie gdy „Zimorodek” czekał na drewno. Nie - nie z radością. John Keane nie użyłby teraz w stosunku do Thomasa Marlowe'a określenia „radosny”. Energiczny, pracowity - tak. Ale nie radosny. Już prędzej ponury.

Keane tłumaczył sobie ową zawziętość nowego pracownika utratą niezależności. Było to całkiem zrozumiałe: Thomas pragnął odkrywać nowe lądy, żeglować po niezbadanych wodach. Chciał popłynąć do Indii, obu Ameryk i Chin na statku, który sam zaprojektował, skonstruował i sam też miał nim sterować. Niewola, w jaką się sprzedał, przyjmując warunki Keane'a, przyniesie korzyść Kompanii Lewantyńskiej, wszakże jest to jednak niewola. Marlowe ledwie maskował swój niepokój i irytację, pracował ciężko i dużo pił. Czasami John przyłapywał się na tym, że czeka w napięciu na nieunikniony wybuch.

Zatrzymawszy się przy „Garlandzie”, agent podniósł głowę i popatrzył na pokład zmrużonymi oczyma. Dojrzał sternika wśród grupy ludzi krzających się na statku i przyłożywszy dłonie do ust, zawołał:

- Thomasie Marlowe! Jak wam idzie?

Oczyma krótkowidza zobaczył ciemną głowę wylaniającą ' się z niewyraźnej ciżby wokół bezanmasztu. Thomas, spojrzawszy w dół, odrzyknął:

- Deski na pokładzie są teraz wszystkie w dobrym stanie, a William nareperował reje na bezanmaszcie. Przyjdź i sam zobacz!

John Keane wdrapał się na pokład „Garlanda”. Deski pod nogami wyglądały teraz solidnie, nie były potrzaskane jak po sztormie, a maszty i drzewce sterczały mocno i dumnie, gotowe, by wiatr uderzył z pełną siłą w żagle. Thomas miał rację mówiąc, że „Garland” nie doczeka końca wieku. Powinien jednak przetrwać jeszcze rok czy dwa.

Badając stan statku zmrużonymi oczyma, John powiedział:

- Dobra robota, Thomasie.

Sternik wzruszy ramionami. Miał na sobie płócienne spodnie i brudną koszulę, a jego oczy błyszczały jasnym błękitem na tle twarzy brązowej od tokańskiego słońca.

- Zachowaj swe pochwały dla Williama Williama. To cholernie dobry cieśla.

- Oczywiście. - W krótkowzrocznych, jasnych oczach Ke-ane'a pojawiła się ciekawość. - Płynął z tobą na „Tobym”, prawda?

Thomas skinął głową.

-1 omal nie poszedł z nim na dno. Mieliśmy szczęście. - W głosie sternika zabrzmiała gorycz, która nadała słowu „szczęście” specyficzne znaczenie.

John Keane odezwał się cicho:

- Całe Livorno szuka drzewa na maszty. Dostaniesz je. Potrzeba tylko trochę czasu. A tymczasem... - zawahał się na chwilę.

Thomas dokończył zdanie:

- A tymczasem pozwól mi popłynąć na „Garlandzie” do Zante. Uzyskam dobrą cenę na twoją cynę, John. No i będzie można wypróbować tego staruszka. - Poklepał z czułością grotmaszt „Garlanda”.

Agent pokręcił głową.

- Myślałem o innych rozrywkach, Thomasie. Miałem zamiar przekonać cię, że wszystko, czego potrzebujesz to piękne kobiety, dobre wino i starannie przyrządzone specjały z Morza Śródziemnego. Innymi słowy, przedstawiciele Kompanii Lewantyńskiej otrzymali zaproszenie na bankiet do domu pewnego bankiera z Lukki.

Thomas wpatrywał się weń, ale John Keane nie potrafił wyczytać nic z jego miny. Po chwili sternik skrzywił się i potrząsnął przecząco głową.

- Grube włoskie matrony, zasmarkane dzieciaki usiłujące śpiewać i rozgotowane ośmiornice. Znam to, Johnie. Wolałbym raczej posiedzieć na pokładzie mego niedokończonego statku z talią kart i butelką taniego, czerwonego wina.

- Właśnie - odrzekł szorstko John i ruszył w kierunku schodni z zamiarem odejścia.

- Dokładnie tak samo, jak spędziłeś wszystkie wieczory w ciągu ostatnich ośmiu tygodni. Mam zaproszenie do pałacu messera Merliego w Luce na piątkowy wieczór. Kompania prowadzi interesy z messerem

Merlim. Muszę tam być. I ty również! - rzucił przez ramię, schodząc ze statku. Bankiet okazał się jeszcze gorszy, niż Thomas się tego spodziewał.

Byli tam żonglerzy, kuglarze, połykacz ognia i małpka, która okryła się wstydem, ugryzłszy gospodarza w kostkę. Messer Merli dźgnął ją rapierem, ale zwierzę, które w przeciwieństwie do swego adwersarza nie wypilo czerwonego wina w dużych ilościach, uciekło bez szwanku, wspięło się na jedną z kotar i tkwiło tam uparcie przez cały wieczór.

Sprowadzono też karła, który wyciągał jedwabne kwiaty z najbardziej nieprawdopodobnych miejsc, takich jak świece, brzoskwinie i dekolty dam. Produkowała się tam również grupka przekarmionych dzieciaków, spłodzonych przez Galeazza Merliego. Odegrały one pantomimę z towarzyszeniem śpiewaków, zawodzących piskliwie madrygały. Kiedy najgrubsze i najbrzydsze dziecko usadowiło się z trójzębem w dłoni na muszli z *papier mâché*, dał się słyszeć wyraźny odgłos rozdieranego papieru. Thomas ukrył twarz w dłoniach i jęknął. I wtedy ją zobaczył. Nie było to dlań niespodzianką, że państwo Capriani bawili tego wieczoru w Lucce: wszak oni także trudnili się kupiectwem i należeli do tej niewielkiej, zwartej społeczności, której członkami byli też John Keane i on sam. Gdy tylko Keane powiadomił Thomasa o owym niechcianym zaproszeniu, ten zdał sobie sprawę, że może tam być Serafina. Dostrzegł ją, gdy tylko wszedł do Wielkiej Sieni: stała w rogu w towarzystwie starzejącego się męża i grupy schlebiających im kupców. Jej drobne, mocne plecy obleczone były w jakiś osobliwy, brązowawy materiał, w ciemne włosy miała wplecione kunsztownie wstążki i perły, co przypominało nieco takielunek. Nie podszedł wtedy do niej, wiedział bowiem, że nie będzie mógł ukłonić się tylko i powiedzieć chłodno: *Buona sera*, madonna Capriani. Najchętniej posłałby ją do diabła w obecności tego całego okropnego zgromadzenia, ale ostatecznie zmądrzał na tyle, by rozumieć, iż nie byłoby to właściwe zachowanie.

Serafina była zadowolona, ale też i zdziwiona, otrzymawszy zaproszenie od Galeazza Merliego. Zadowolona, ponieważ to zaproszenie pozwalało jej wejść do towarzystwa, czego tak roz-

paczliwie potrzebowała, ale zdumiona, że bankier uznał państwa Caprianich za godnych uwagi.

Pojęła wszakże, czym się kierował, gdy tylko została mu ponownie przedstawiona, stojąc obok rzeźbionego marmurowego kominka w jego okazałej Wielkiej Sieni. Tłuste, białe palce Galeazza Merliego przytrzymały jej dłonie, a oczy bankiera wędrujące łakomie po jej twarzy i sylwetce, zatrzymały się na dekolcie na nieskończenie długą chwilę.

Serafina pozostała jednak niewzruszona. Wiedziała, że lepiej nie ucinać natychmiast nawet tego rodzaju zainteresowania. A Jacopo, uskarżając się na upał, niczego nie zauważył. To właśnie dlatego, pomyślała, gdy messer Merli uwolnił ją wreszcie i wmieszała się, zadowolona, w tłum, tego wieczora czuła się szczególnie źle. Nerwy, powiedziała sobie w duchu Będzie musiała przygotować sobie jeden z kleików Kara Alego. Światło rzędu majestatycznych kandelabrow przyprawiało ją o boi głowy, żołądek wyczyniał sztuczki akrobatyczne

Przekonała Jacopa, by opuścić wygodny dom w Pizie i zatrzymać się w gospodzie w Luce, zdawała sobie bowiem sprawę, jak ważny może okazać się dla niej ten bankiet. Oddychała teraz głęboko, machając energicznie wachlarzem. Muzyka zmieniła się: zamiast saltarella* dały się słyszeć dźwięki pawany : słodkie, spokojne i chłodne. Serafina przypomniała sobie, jak daleką drogę już przeszła i poczuła się trochę lepiej. Bogate kolory jedwabiu i brokatów mieszały się w jeden wspaniały wzór o barwie purpury, turkusu, bursztynu i wiśni. Jestem tutaj, powtarzała sobie, wśród książąt i kupców, dzielę z nimi stoł w jednej z najwspanialszych willi w Luce. A jeszcze dwa lata temu byłam niewolnicą.

Nagle usłyszała mamrotanie męża, stojącego obok niej - Nie ma tu w ogóle krzeseł - i na chwilę ogarnęła ją fala nieznośnej irytacji.

Zdołała jednak poskromić gniew, uśmiechnęła się i odrzekła - Oczywiście, że są, mój drogi. Sama ci jakieś przyniosę.

* Saltarello - szybki, skoczny taniec włoski i hiszpański (przyp. tłum.) Pawana - taniec pochodzenia włoskiego albo hiszpańskiego, uroczysty i powolny (przyp. tłum.).

Później, w sali bankietowej, Thomas utkwiał wzrok w obfitym i dziwacznym jedzeniu. Drób w szkarłatnym sosie, łby cieląt posypane bazylią, pawie z rozłożonymi, okazałymi ogonami. Były też talerze z mielonym kurczęciem w galarecie, nerkówka i ogromny, pieczony dzik w glazurze, a także tace z rybami w zalewie z nasion sosny, cukrowe łodzie z cukrowymi marynarzami i żaglami, pływające po złotym, marcepanowym morzu. Herb rodu Merlich widniał wszędzie: na srebrach, talerzach i serwetkach, trząśł się w galarecie, połyskując szkarłatem i szmaragdem.

Thomas jadł niewiele, a pił dużo, znalazł kogoś do rozmowy o statkach, a potem kogoś innego, kto znał Greenwich. John Keane rozprawiał o interesach, Thomas zaś wiedział, że nie ma w sobie tego wieczora ani grama niezbędnego uroku i cierpliwości. Sala była wysoka i obszerna, okna przysłaniały ciężkie tkaniny, ściany obwieszono olejnymi malowidłami przedstawiającymi psy myśliwskie przy płotach i kształtne dziewczęta przy furtkach do ogrodów, w pozach zdradzających wahanie. Thomas nie pozwalał sobie na błędzenie wzrokiem po obecnych, wiedząc, że nieuchronnie ściągnęłyby jego oczy mała, ciemnowłosa postać, ozdobiona wstążkami i perłami. Wciąż jednak wydawało mu się, że słyszy jej śmiech, niczym srebrny, przenikliwy dzwoneczek, którego celem jest zachwycać, a nie okazywać rozbawienie. Zaciskając zęby, był jedynie wdzięczny, iż odgłosy muzyki i rozmów oraz wielkość sali nie pozwalały, by ów wyraźny, chłodny głosik dochodził do jego uszu.

„Powinniśmy się pobrać”.

„Pobrać? Kobieta nie może mieć dwóch mężów, panie Marlowe”.

Jeżeli istniał jakiś jeden powód, dla którego Thomas spędził wszystkie noce w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, pijąc czerwone wino i grając w oczko, zawarty był w tej krótkiej wymianie zdań. Gdy był sam, gdy nie pochłaniała go praca, słowa te wciąż kołatały mu się po głowie, upewniając go o własnej głupocie i obojętności Serafiny. Nie wiedział, nie mógł zrozumieć, czemu powiedział to: „Powinniśmy się pobrać”. Pojmował jedynie, że nigdy jeszcze nie wyszedł na takiego głupca.

Od czasu owego niepowodzenia, zajmował się głównie „Garlandem” i „Zimorodkiem”. John Keane dotrzymał słowa: ster-

nik mógł dobierać ludzi i materiały do obu statków. Praca pozwalała mu zapanować nad uczuciem żalu i złością: coraz bardziej niecierpliwie oczekiwał ukończenia „Zimorodka”, by znów wypłynąć na morze i robić to, do czego został stworzony. A jednak budowa nadal postępowała potwornie wolno. Thomas wątpił, że wyjdzie w morze przed końcem roku, a jak dotąd John Keane nie pozwolił mu popłynąć „Garlandem” na Zante. Tymczasem Marlowe musiał przetrwać ów bankiet, zerkając na wszystkie twarze prócz tej jednej, przyglądając się wszystkim kobietom prócz Serafiny. Omijał wzrokiem miejsce, gdzie siedziała, na pozór nieświadomy jej obecności i niezainteresowany nią w ogóle. Nie zamierzał powiększać swych wcześniejszych błędów, ale pijąc kieliszek za kieliszkiem, czuł, że jego postanowienie słabnie. Pragnął usłyszeć głos Serafiny, zobaczyć swe odbicie w tych ciemnych, obojętnych oczach. Chciał, by dostrzegła, że istnieje.

- Drogi Galeazzo - powiedział ktoś cicho po drugiej stronie stołu - będzie jeszcze w tym roku rozglądał się za trzecią żoną.

Thomas zerknął na mówiącego - kupca z Pizy, znajdującego się naprzeciwko, a potem spojrzął w górę, na podium, gdzie siedzieli bankier z żoną. Błada madonna Merli, wstała i opuściła salę, wsparta na ramieniu swej zaufanej służącej. Galeazzo Merli miał talerz i usta pełne jaskrawozielonej galaretki.

- Obdarzy go kolejnym tłustym synem i padnie martwa z wyczerpania. Ale nie sądzę, by Galeazzo specjalnie rozpaczał, a pan, messer Marlowe? W końcu to nie może być małżeństwo z miłości.

Thomas zrobił chmurną minę. Madonna Merli była rzeczywiście nieładna, niska i tęga, w dodatku teraz jeszcze jej sylwetkę zniekształciła ciąża, a niefortunny dobrana szfranowa suknia podkreślała żółty odcień skóry. Galeazzo Merli, jej mąż, wydawał się starszy od swej małżonki o jakieś dwadzieścia pięć lat. To nic, pomyślał ponuro Thomas. Jacopo Capria-ni jest zapewne starszy od swej żony o pięćdziesiąt lat. Myśl o tych dwojgu w łóżku przyprawiła go o mdłości.

Głos kupca z Pizy przywołał go do rzeczywistości.

- Słyszałem, że ładunek ugrzązł panu w Livorno, messer Marlowe.

Thomas zmusił się, by skupić uwagę na swym rozmówcy. Był młody, mniej więcej w wieku Anglika, nosił strój z turkusowego aksamitu ze szkarłatnymi wycięciami. Poły jego kubraka

wyszyto drogimi kamieniami, a kryzę wokół szyi i mankiety wykonano ze srebrnej koronki. Na policzku podskakiwał mu zalotny kosmyk włosów, ozdobiony zieloną, jedwabną wstążką. Thomas, który czuł się wcześniej niezwykle wytwornie w kaftanie bez rękawów i białej, jedwabnej koszuli, poczuł do tamtego pogardę od pierwszego spojrzenia.

- Nie tyle ugrzązł, raczej opóźnia się, messer...? -Tommaso di Credi - odrzekł młodzieniec, ukazując

w uśmiechu zaskakująco białe zęby. - Nazywam się messer Tommaso di Credi. Skinął głową, aż zadrżał pęk szkarłatnych pior na jego czapce. Wygląda niczym kogucik, pomyślał kwaśno sternik.

- Jeśli towary, którymi pan handluje, interesują mnie, messer Marlowe, być może będę w stanie panu pomóc zaoszczędzić na opłatach za składowanie.

Thomas opróżnił swój kieliszek.

- Garland" przewozi śledzie, cynę i tkaniny - powiedział. -Śledzie już sprzedaliśmy, a jak pan wie, składowanie w Livor-no wiele nie kosztuje. Z cyną i tkaninami nie ma pośpiechu.

Nie była to do końca prawda, ponieważ towary leżące bezużytecznie w magazynie mogły już wkrótce przynieść stratę, o czym zresztą ten Włoch doskonale wiedział.

- Mógłbym złożyć panu pewną ofertę, messer Marlowe. Składowane materiały zwykle prędzej spleśnieją, niż przyniosą dochód. A ja dobrze bym panu za nie zapłacił.

- Dostanę za nie lepszą cenę w Lewancie. - Thomas zdobył się na lekki ton i uśmiech. - Ładunek „Garlanda" nie będzie już długo czekał, messer di Credi, statek jest gotowy do drogi. Zamierzam popłynąć nim za kilka tygodni na Zante.

Gdy Serafina odwróciła się, by powiedzieć coś sąsiadowi, Thomas ujrzał ją przez chwilę wyraźnie. Materiał, z którego uszyto jej suknię, nie był wcale taki zwyczajny, jak mu się wcześniej wydawało. Połyskiwał w świetle świec, pogłębiając złoty odcień skóry i lekki, różowy rumieniec na policzkach dziewczyny. Przybrała chyba trochę na wadze. Małżeństwo jej służy, pomyślał ze złością, ściągając ze środka stołu dzban z winem.

Nie był wystarczająco ostrożny. Ów irytujący Włoch, odgadując kierunek jego spojrzenia, powiedział:

- To piękność, zgodzę się z panem, messer Marlowe. Jest tu dziś wszakże tyle innych pięknych kobiet. Możę z wyją-

kiem drogiej, młodziutkiej żony Galeazza, lecz jej powaby zdają się raczej finansowej natury... Ale jego kochanka, pomimo owego nieszczęśliwego wypadku, jest równie czarująca, jak malutka madonna Capriani, przyzna pan?

Thomas podążył wzrokiem za wdzięcznym, lekkim ruchem ręki messera di Crediego. Z początku nie wiedział, co tamten ma na myśli, mówiąc o wypadku, ale gdy przyglądał się ciemnowłosej nieznanym damie o jasnej cerze, kobieta odwróciła się i dostrzegł brzydką szramę, biegnącą dokładnie przez całą jej brodę.

- Nazywa się Constanza - mówił po cichu Włoch. - Ale jeśli nie zamierza pan zarobić wielkiej sumy pieniędzy podczas następnej podróży, radziłbym, żeby ograniczył się pan do marzeń o mej. Ma apartament w Lucce i dom w Pizie, a jedno i drugie dostała jako wyraz sympatii ze strony Galeazza Merliego.

Wino zaczęło uderzać Thomasowi do głowy, przytępiając złość. Po jakimś czasie jednak uczucie to powróciło zwielokrotnione. Zacisnął palce na nóżce kieliszka, słysząc słowa Tommasa:

- Oczywiście, jeśli szuka pan szybkiego zysku, powinien pan raczej przystąpić do naszego zakładu. Ja mógłbym się założyć, że pana potrzaskany statek zatonie, zanim dotrze do Lewantu - ale to byłoby do przewidzenia, więc mało ciekawe. Możemy jednak się założyć o coś innego, znacznie ciekawszego. Sam postawiłem już dziesięć dukatów. Chodzi o powabną, młodą madonnę Capriani...

- Dochody z jedwabiu - mówił kupiec Marco Datini, właściciel kilku największych warsztatów w Pizie wytwarzających ten materiał - co roku rosną coraz wolniej. Można się zastanawiać, czy warto dalej się trudzić.

Była już prawie północ, goście Galeazza Merliego opuścili salę balową i wrócili do Wielkiej Sieni. W przylegających do niej, mniejszych pomieszczeniach umieszczono na stołach tace z cukrowymi przysmakami i miski z gorzkimi wiśniami. Służący przeciskali się przez tłumy, niosąc tace z pustymi kieliszkami. Małpa, kołysząc się na karniszu do zasłon, obnażała zęby i dziąsła, wykrzywając się złośliwie do każdego, kto koło mej przechodził. Serafina, stojąc obok siedzącego męża, przyjęła kieliszek wina z rąk messera Datiniego i przysłuchiwała się z uwagą rozmowie.

- Mój drogi Marco - odezwał się jakiś Francuz, kręcąc głową - na jedwabiu można tak samo zarobić jak na czymś innym. Wielu się na tym bogaci.

Na środku sali pary tańczyły przy dźwiękach szpinetu i cytry. Urocze fałdy na sukniach kobiet i bogate tkaniny, z których uszyto kaftany oraz kurtki mężczyzn drżały i poruszały się w złotym świetle świec. Serafina tańczyła już z messerem Dati-nim, z Francuzem Philippe'em Moreau i z sekretarzem bankiera o imieniu Gianfranco. Nie tańczyła ze swym mężem, ponieważ Jacopo był niezadowolony i zmęczony i chciał już iść do domu. Nie tańczyła także z Anglikiem Thomasem Marlowe'em, którego dostrzegła w sali bankietowej państwa Merlich kilka godzin wcześniej, ponieważ sternik nie poprosił jej do tańca.

- Jeśli o mnie chodzi, to właśnie Francuzów obarczyłbym winą za problemy związane z handlem jedwabiem - zauważył złośliwie Marco. - Ci, którzy nie utracili wszystkiego w czasie owych głupich wojen, radzą sobie wyjątkowo dobrze w ostatnich latach.

- Prowansja radzi sobie dobrze - zgodził się Philippe. Miał długą, szczupłą twarz i płaski nos jak u konia. Głowę okrywała mu miękka, aksamitna czapka, ozdobiona rzadkim, gęsim piórem, które opadało mu na twarz. Białe pióro wyglądało na mocno przybrudzone. - Przynajmniej chwilowo. Prędzej zafrachtuję statki wokół przylądka, niż wyślę swe towary przez Prowansję.

Jacopo Capriani puścił bąka, zamknął oczy i zasnął. Trzej grajkowie z wiolami i zespół flecistów zajęli środek sali. Serafina rozłożyła wachlarz i poruszała nim z wdziękiem, acz niecierpliwie, gdy rozmowa zaczęła słabnąć. Ona także chciała usiąść. I chętnie zaczerpnęłaby świeżego powietrza i rozluźniłaby z mocno ściśnięty stanik na fiszbinach, w którym się dusiła. A przede wszystkim pragnęła znaleźć się z dala od okropnej woni ryby, wody różanej i wina z przyprawami, która wpadała do sali przez podwójne drzwi.

Nie poszukała jednak odosobnienia, jak wiele innych dam, w chłodnym saloniku Merlich piętro niżej. Nie mogła pozwolić, by niewielka, acz uparta dolegliwość żołądkowa odwróciła jej uwagę od fascynujących spraw: handlu jedwabiem, transportu morskiego i polityki.

Jacopo zaczął donośnie chrapać, Serafina zaś zwróciła się z uśmiechem do Francuza, trzepocząc wachlarzem:

- Czemu nie Prowansja, monsieur Moreau? Jedwab zawsze przewozi się na północ przez Prowansję. Tak jest z pewnością szybciej i bezpieczniej niż opływać przylądek.

Philippe obrócił na nią wzrok, uśmiechnął się i pochylił głowę w ukłonie.

- Nie wożę już jedwabiu przez prowincję, madame, ponieważ Prowansję ogarnęła korupcja. - Zmarszczył czoło. - Jest pani blada, madame Capriani, proszę pozwolić mi przynieść sobie krzesło.

Przed wyjściem z domu Serafina przygryzła wargi i natarła policzki minią, ale ujrawszy się przelotnie w jednym z wielkich, pałacowych okien, zobaczyła drżące, podobne do ducha odbicie, równie słabe i ulotne, jak jesienny wiatr poruszający zwiędłe liście w ogrodzie.

Nie oddaliła się jednak od towarzystwa jak niektóre starsze matrony. Wiedziała, co wówczas by się stało: mężczyźni zamknęliby się we własnym kręgu, pozostawiając ją na zewnątrz i nie dopuszczając do udziału w dalszej ciekawej i użytecznej rozmowie. A zbyt wiele zadała sobie trudu, by tutaj przyjść, walcząc z przyrodzonym skapstwem Jacopa i jego niechęcią do towarzystwa - by teraz do tego dopuścić.

Otworzyła wachlarz.

- Gorąco tu, monsieur Moreau. I głośno. Może moglibyśmy dokończyć naszą rozmowę na którymś balkonie?

Kilka z nich wychodziło na tarasowy ogród. Kupiec podał Serafinie ramię.

- Będę zaszczycony, madonna. Ale pani mąż...

Jacopo spał z otwartymi ustami i brodą opuszczoną na pomarszczoną szyję.

- Nie jest zainteresowany. Chyba się pan ze mną zgodzi, messer Datini.

Odetchnąwszy chłodniejszym powietrzem, z dala od gwaru rozmów i muzyki, poczuła się lepiej. We wrześniu noc są jeszcze ciepłe. W dole Serafina widziała fontannę, przy której Jacopo jej się oświadczył. W kroplach wody odbijało się i załamywało złociste światło płynące z balkonów, połyskując niczym klejnoty w aksamitnych ciemnościach.

Gianfanco, sekretarz bankiera, wyszedł wraz z nimi na balkon. Ów dwudziestokilkuletni młodzieniec wpatrywał się w Serafinę z oddaniem niczym wierny pies.

- Prowansja - rzekł Marco, powracając do poprzedniej rozmowy - nie uniknie w końcu uwikłania się w tragiczną wojnę domową. Cztery lata temu, madonna

Capriani, Marsylia ogłosiła swą niezależność od Francji. Henryk z Nawarry nie jest jeszcze na tyle silny, by odzyskać tam władzę. W Marsylii rządzi Charles de Casaulx, a nie król z dynastii Burbonów. Taki stan... niepewności... nie sprzyja interesom.

Oczywiście, słyszała już o tym wcześniej, gdy w ubiegłym roku była w Marsylii, ale udała zdziwienie, niewiedza bowiem często się przydaje. Zachęca ludzi do mówienia.

- W konsekwencji, madame, pienią się tam oszustwa, lichwa, malwersacje. Zbyt wielu ludziom trzeba płacić zbyt wiele łapówek. Przewiezienie towarów przez Marsylię do Lyonu kosztuje więcej niż ulokowanie ich na statku płynącym wzdłuż wybrzeża i wysłanie bezpośrednio na północ. Jak pani widzi, korupcja zmniejsza dochód, madame Capriani.

Do rozmowy wtrącił się Philippe Moreau, również handlujący jedwabiem.

- W Prowansji nie ma choćby jednego uczciwego człowieka. Ja sam jestem paryżaninem, madame.

Marco skinął potakująco głową.

- No i jeszcze kwestia wojen. Zarówno Hiszpania, jak i Sabaudia mieszają się wciąż w sprawy Francji - szczególnie w Prowansji. Jeśli pani mąż pragnie sprzedawać jedwabie na północy, proszę go przekonać, by wysyłał towary drogą morską, nie lądową. Niech unika Tulonu i Marsylii.

- Zwłaszcza Marsylii - odezwał się po włosku nowy głos, z angielskim akcentem. Serafina nie słyszała, jak otworzyły się drzwi na balkon, ale spodziewała się, że Thomas podejdzie do niej. Wiedziała wcześniej, że się do niej odezwie. To była tylko kwestia czasu.

Anglik miał na sobie czarny kaftan i pończochy oraz jedwabną koszulę z szerokimi rękawami. Pomyślała, że przywykła oglądać Thomasa w płóciennym ubraniu, i że w tym niezwykłym, eleganckim stroju wydawał się starszy i mniej przystępny. Nie rozstawał się jednak ze swym wytartym, czarnym kapeluszem, który wyglądał niczym wrona w stadzie pawi i rajszych ptaków.

- W Marsylii pełno jest łajdaków i włóczęgów, czyż nie, madonna?

Z bełkotliwych słów Thomasa domyśliła się, że jest pijany. Odwróciwszy doń twarz, Serafina spojrzała w jakże znajome, błękitne oczy.

- Owszem, panie Marlowe, pełno tam łajdaków i włóczęgów. - Poruszyła rzeźbionym wachlarzem z kości słoniowej. - Tak jak w Anglii.

Uklonił się niedbale. Jego oczy, wyrażające rozbawienie, które ją irytowało, i jakieś inne, mniej przyjemne uczucia - przyglądały się jej uważnie. Była zadowolona, że założyła tę brązową, mieniającą się suknię i kupiła minię.

- Czy znalazł pan kogoś, kto sfinansuje budowę pańskiego statku, panie Marlowe? - zapytała z rozmysłem.

Drzwi przymknęły się za nim, oddzielając ich od muzyki i śmiechu. Anglik ani drgnął.

- Na Boga, panie Marlowe! - Serafina odczuwała dziwną mieszaninę zadowolenia i urazy. - Zatem sprzedał pan w końcu własną duszę.

Przez kilka sekund panowała cisza. W końcu Thomas Marlowe odezwał się głośno:

- Zachowałem się niegrzecznie, panowie. Proszę wybaczyć, że przerwałem jakąś ciekawą rozmowę. Panowie zapewne nie wiedzą, że madonna Capriani szczególnie interesuje się Marsylią. Ma tam przyjaciół. Czyż nie, moja droga?

- Doprawdy? - Francuz spojrzał na Serafinę z jeszcze większym zainteresowaniem. - Jak powiedziałem, jestem paryżaninem, ale znam dobrze Marsylię od wielu lat. Czy mogę zapytać, jak nazywają się pani znajomi?

Zaschło jej w ustach i w gardle. Stłumione dźwięki muzyki dochodzące z Wielkiej Sieni zaczęły ją irytować, żołądek podskoczył. Przez cały wieczór prawie nic nie zjadła, ale teraz musiała wypić łyk wina, żeby odzyskać równowagę.

Lekceważąc Marlowe'a, Serafina odwróciła się ponownie do Francuza i odpowiedziała:

- Znałam rodzinę Guardich, ale dawno temu.

Rzuciła szybko okiem przez szparę w drzwiach na Wielką Sień. Niedaleko od balkonu kurtyzana Constanza tańczyła z messerem Merlim. Poruszała się z wdziękiem i dystynkcją, a światło świec podkreślało bliznę na jej brodzie, rysującą się niczym ciemna nić na jasnym jedwabiu. Jacopo, dzięki Bogu, nadal spał.

- Angelo - powiedział głośno i radośnie sternik. - Przyjaciół madonny Capriani ma na imię Angelo. Dobry i wierny przyjaciel to prawdziwy skarb, nieprawdaż, panowie? Może oni mają jakieś nowe wieści o twym drogim przyjacielu, madonna. Chciała się czegoś dowiedzieć, ale nie w takich okolicznościach, nie z Jacopem siedzącym w odległości zaledwie kilku kroków, nie na oczach Thomasa Marlowe'a, który jako jedyny człowiek w Toskanii znał ją zbyt długo i zbyt dobrze. Wbijając paznokcie w dłonie i nie zwracając uwagi na zimny pot, który zaczął płynąć jej po plecach, Serafina zamknęła z trzaskiem wachlarz.

- Rodzina Guardich? - Philippe zmarszczył czoło i z roztargnieniem okręcał na palcu długie pióro zwisające mu z kapelusza. - Znam trochę Angela Guardiego. Raz czy dwa robiliśmy razem interesy. A tutaj Gianfranco dokonuje zakupów u Guardiego, jak mi się wydaje. Pochodzą oczywiście z Florencji. To był zawsze niemały interes, ale Angelo Guardi uczynił z niego coś więcej. Przypuszczam, że jest jednym z najzamożniejszych ludzi w Prowansji.

- Śledzie? - odezwał się niezbyt zrozumiale Thomas Marlowe.

- Czy ów dżentelmen handluje śledziami? A może cyną? Albo

- niech się zastanowię - Łzami antylopy?

- Tkaniny, drogi panie - wyjaśnił chłodno Philippe. - Rodzina Guardich zawsze specjalizowała się w tkaninach. - Spojrzał na Serafinę z uśmiechem. - Mówi się jednak, że ostatnio messer Guardi ma pewne trudności. Marsylia jest politycznie odizolowana, tak więc kupcom handlującym tkaninami trudno teraz dostarczać towary na północ. Monsieur de Casaulx nie sprzyja kupcom, zwłaszcza tym zamożniejszym. Niektórzy mówią, że umyślnie rozbudza w ludziach zawiść. W Marsylii tłumy poszturchiwały bogatych kupców, ci zaś przejeżdżali ulicami w pełnym uzbrojeniu, w otoczeniu straży przybocznej. Serafina pamiętała ów nieznośny upał wtedy w maju i prawie namacalne napięcie panujące w mieście. Czowała wówczas strach.

A jednak słowa Francuza sprawiły, że serce zaczęło jej bić szybciej, nie z obawy lecz z nadzieją. „Mówi się jednak, że ostatnio messer Guardi ma pewne trudności”. Czyżby i Angelo walczył z siłami historii?

Thomas wpatrywał się w Serafinę oczyma, w których nie było już rozbawienia. Ale musiała wiedzieć. Zaciśnęła w dłoni wachlarz tak mocno, że krucha konstrukcja z kości słoniowej mogła pęknąć i zwracając się do monsieur Moreau, zapytała:

- Czy mówi się, że rodzina Guardich może zbankrutować, monsieur?

Francuz zachichotał, bawiąc się koniuszkiem zwisającego pióra.

- Czy liczy pani na tanią okazję, madame? Czy Capriani pragną rozwinąć skrzydła od Neapolu po Londyn?

Thomas Marlowe roześmiał się nieprzyjemnie. Serafina spuściła oczy, by ukryć nadzieję, podniecenie i złość, nad którymi z trudem panowała.

- Przedsiębiorstwo mego męża jest na razie niewielkie, monsieur. Handlujemy wyrobami z jedwabiu: wstążkami, ozdobami, kokardami. Tylko jedwabne drobiazgi. Chociaż owszem, Jacopo i ja mamy nadzieję, że uda nam się poszerzyć tę stronę działalności.

Mina monsieur Datiniego wyrażała mieszaninę rozbawienia i podziwu.

- A zatem musi kupić pani statek, madonna. Wszyscy znaczniejsi kupcy handlujący jedwabiem mają już całe floty. Musi pani kupić statek typu północnego - nie galereę. Galera nie przewiezie towarów wokół przylądka.

Thomas stojący zdecydowanie zbyt blisko ramienia Serafiny, powiedział:

- Madonna Capriani i ja omówiliśmy już kwestię statków, prawda? Czy przedstawimy panom wnioski z naszej rozmowy, madonna? A może - wziął ją za rękę, ściskając mocno palce -zatańczymy?

Messer Datini przeszył Anglika wściekłym spojrzeniem.

- Nie sądzę - oświadczył zimnym tonem - żeby madonna Capriani chciała tańczyć. Jest zmęczona.

Serafina zobaczyła, że Marlowe chce coś odpowiedzieć i nie pozwoliła na to. Nie ufała mu: zły nastrój i alkohol źle podziałały na jego mu język.

- Dziękuję panu, messer Datini - odezwała się spokojnie -ale z radością zatańczę z messerem Marlowe. Nie czuję się zmęczona, a poza tym, jesteśmy starymi znajomymi.

Nie wypuścił jej ręki. Ścisnął jej mocno palce i poprowadził z balkonu na parkiet. Znaleźli się ponownie w sali balowej, gdzie światło miało teraz odcień siarki, a nie złota, toteż postarzało i zmieniało tancerzy. Z całą świadomością Serafina skłamała włoskiemu kupcowi. Wydawało jej się, że nigdy jeszcze nie czuła się taka zmęczona. Nogi jej ciążyły i przeszkadzały, ale zmusiła się do poruszania w rytm lekkiego, beztroskiego tańca i pozwoliła, by Thomas kierował nią, trzymając rękę na jej talii lub ściskając koniuszki palców. Nie był niezgrabny, nie poruszał się jak pijany: znajdował się tam, gdzie wymagały tego odeń kolejne kroki, czekał na nią, gdy następna figura kazała jej poruszać się niezależnie od niego. Gdy podczas pawany ją obejmował, czuła się bezpiecznie. Pragnęła położyć mu głowę na ramieniu i usnąć. Chciało jej się płakać i spragniona była słów pociechy. I nagle, w środku tańca, gdy dźwięki cytry i szpinetu wciąż dominowały w sali, Thomas zatrzymał się, trzymając ją w objęciach.

- Jesteś zmęczona - odezwał się cicho. - Czemu mi nie powiedziałaś?

Zmusiła się do uśmiechu.

- Nie dał mi pan wyboru, panie Marlowe. Chciał pan rozmawiać o handlu.

Nie odpowiedział. Koniuszkami palców dotknął jej policzków, a gdy je cofnął - były czerwone.

- Nie powinnaś kłaść tego na twarz.

Owa tradycyjna chęć ingerowania w jej życie obudziła w Serafinie złość. Oderwała się od Thomasa, nie pragnąc już jego dotyku.

- To, co robię, nie powinno pana obchodzić, panie Marlowe - syknęła. - Jeśli zapragnę pomalować się wszystkimi kolorami tęczy, zrobię to!

Zatrzymawszy się na środku sali, znieruchomieli, otoczeni wirującymi parami.

Przez chwilę wydawało się, jakby byli zupełnie sami, jakby wszyscy inni: Jacopo, państwo Merli, wszyscy goście, nawet sam Angelo - przestali się liczyć i zniknęli.

- Portowe prostytutki używają minii i to je zabija. - Na twarzy Thomasa malowała się denerwująca mieszanina arogancji i troski. - A poza tym, nie potrzebujesz barwiczki.

Wysoko nad nimi małpka przeskakiwała z karnisza na karnisz, piskliwym skrzeczeniem przedrzeźniając subtelną muzykę. Thomas Marlowe przyrównał Serafinę do prostytutki, ale ze zdumieniem stwierdziła, że wciąż obok niego stoi, że nie odwróciła się i nie zostawiła go samego pośród tańczących par.

- Pan sprzedaje własne umiejętności, panie Marlowe - powiedziała chłodno i z rozmysłem. - Pańską umiejętność czytania w gwiazdach czy też kierowania statkiem. Ja zaś sprzedaję wdzięk i dowcip - owszem, sprzedaję swą twarz i ciało. Widzi pan, nie uwierzyliby mi, gdybym zaproponowała cokolwiek innego. A gdyby mi nie wierzyli, znienawidziliby mnie. Tak więc ofiaruję siebie jako wynagrodzenie w zamian za informacje.

Gdy podniosła głowę i spojrzała na niego, żar w jej oczach ostygł, wszystkie mięśnie miała napięte. Ale Thomas uśmiechnął się tylko.

- A zatem proszę pozwolić mi ofiarować sobie pewną informację, która mogła jeszcze do pani nie dotrzeć, madonna. Jest bardzo ciekawa, jestem pewien, że się pani ze mną zgodzi.

W jej oczach, wciąż w nim utkwionych, pojawiło się nieme pytanie, którego nie potrafiła ukryć. Marlowe powiedział łagodnym głosem:

- Ludzie robią zakłady, czy pani zgrzybiały małżonek zdoła panią zapłodnić przed końcem roku.

Wkrótce potem Anglik opuścił Palazzo Merli, mając wciąż widoczny na policzku ślad dłoni Serafiny, niby płaską, różową gwiazdę.

Był zbyt pijany, by i tym razem ją powstrzymać, ale dzięki Bogu nie na tyle pijany, aby popełnić błąd, oddając policzek. Ludzie przyglądali im się, szeptali i chichotali, ale tylko tyle. Czarujący mąż Serafiny ciągle chrapał, a Thomas wyszedł pośpiesznie i bez żalu.

Na placu było pusto, jeśli nie liczyć dwóch postaci, nierozpoznawalnych w ciemnościach, które szły przed nim. Przyciskając do piersi w połowie opróżnioną butelkę wódki, postawił kołnierz, chroniąc się przed mżawką, i ruszył w drogę powrotną do gospody.

Czuł wstęt do siebie, wstęt do Włoch i nie pragnął nic więcej, jak tylko strząsnąć tokański kurz ze swych butów i mieć przez sobą błękitne, bezkresne morze.

Bezczytność sprawiała

mu ból; mówił sobie, że to przymusowy pobyt na łodzi nadweręża jego cierpliwość i każe mu wyolbrzymiać ponad miarę niewielkie przestoje i zdrady.

Wciąż padał słaby deszcz, a dżentelmeni krocący przed nim dotarli do odległego rogu placu. Nie, to nie byli dżentelmeni. Marlowe poczuł ucisk w gardle, gdy rozpoznał jednego z mężczyzn po turkusowym, aksamitnym stroju i kapeluszu ze szkarłatnym piórem. Tommaso di Credi, kupiec z Pizy, który zaproponował ów wyjątkowo ohydny zakład - który on sam, Thomas, w jeszcze bardziej obraźliwych słowach, powtórzył Serafinie.

W ustach miał kwaśny smak, ale przyspieszył kroku i prawie biegł po ociekających deszczem kamiennych płytach. Musiał dać ujście swej złości, podświadomie oczekiwał jakiegoś wewnętrznego przełomu. Było ich dwóch, ale ci wszyscy Włosi, pomyślał sternik, wolą się bronić językami niż pięściami i szpadą. Chciał ściąć tamtemu ów uperfumowany kosmyk i stłuc tę upudrowaną twarz na miazgę. Thomas Marlowe, z oczyma płonącymi żądzą walki i rewanzu, przypomniał sobie najgorsze obelgi, jakie znał po włosku i rzucił jej wszystkie za swymi przeciwnikami.

Nieco później, gdy kurtyzana Constanza wracała samotnie z palazzo Merlich, ujrzała jakąś postać leżącą bezwładnie na progu domu po przeciwnej stronie placu. Noc była ciemna, ale deszcz odświeżył powietrze po upalnym, dusznym dniu.

Constanza zarzuciła na głowę i ramiona chustę z gazy, by ochronić włosy przed wilgocią. Chusta miała srebrny kolor, była podarkiem od Galeazza. W Wenecji kurtyzany musiały nosić żółte chusty, tak by każdy mógł rozpoznać profesję tych kobiet. Constanza nigdy nie żałowała, że opuściła Wenecję.

Zastanawiała się, czy obejść leżącego drugą stroną placu, ale odrzuciła tę myśl. Poznała tego człowieka: był na bankiecie u Galeazza. Dostrzegła jedynie mokre, czarne włosy i zniszczony, filcowy kapelusz, porzucony parę kroków od właściciela, ale wiedziała, że to ów Anglik, który przyszedł wraz z przedstawicielem Kompanii Lewantyńskiej, panem Keane'em. Ów pijany mężczyzna, którego w obecności setki ludzi uderzyła w twarz ta mała Capriani.

Constanza była jednak ostrożna: życie i ludzie, z którymi przestawała, nauczyli ją tego. Nie przypuszczała, by Anglik

zdolny był do jakichś złych czynów, ale uważała, by trzymać się odeń na odległość wyciągniętych ramion i zaciskała palce na sztylcie, zawsze ukrytym w fałdach sukni. Ale kiedy podeszła na tyle blisko, by obejrzeć leżącego wyraźniej w świetle pochodni, przekonała się, że przyczyną bezwładu Anglika nie jest tylko, jak wcześniej myślała, wypity alkohol.

Miał zamknięte oczy, a jego kaftan i spodnie były podarte i poplamione błotem. Po twarzy mężczyzny, od splątanych włosów aż do kształtnych ust płynęła cienkim strumyczkiem krew.

Posłużyła się srebrną chustą, nie myśląc o jej cenie ani ofiarodawcy. Przykładając ją delikatnie do skroni rannego, Constanza zaczęła mówić, bardzo cicho i prawie do siebie. Mówiła po włosku, angielski był bowiem tak trudnym językiem, że potrafiła jedynie zrozumieć proste zdania.

Kiedy po paru chwilach zamrugał powiekami, Constanza zauważyła butelkę leżącą obok na kamieniu. Podniosła ją, poczuła zapach wódki i przyłożyła ją mężczyźnie do ust, aż przełknął i zakaszał, a w jego zamglonych oczach pojawiły się iskiarki życia.

Poczekala, aż oprzytomniał, i wówczas, spoglądając koso na pustą butelkę, powiedziała:

- Jeśli ma pan ochotę, może pan znaleźć się w lepszym towarzystwie niż to. Anglik wreszcie utkwiał wzrok w jej twarzy. Miał ładne oczy: intensywnie niebieskie. Zauważyła to już wcześniej, w *palazzo*.

- Nie mam pieniędzy - odrzekł po włosku.

Nie drgnęła nawet, słysząc te niegrzeczne słowa. Nie sprawiły jej przyjemności ani też nie zraniły. Dawno już nauczyła się przyjmować podobne fakty spokojnie.

- Proponuję ci towarzystwo, przyjacielu, nic więcej - odparła chłodno.

Anglik przymknął oczy i wykrzywił usta, pomyślała więc, że jej odmówi, ale spytał jedynie:

- Dlaczego?

Istniało wiele schlebiających, nieprawdziwych odpowiedzi na to pytanie, ale Constanza odrzekła zgodnie z prawdą:

- Ponieważ wieczór okazał się nudny, piekielnie nudny. Gdyby zaś pan był wystarczająco trzeźwy, mógłby pan się okazać interesującym rozmówcą.

Usłyszała jego śmiech, choć zaraz skrzywił się z bólu i zamilkł, kryjąc twarz w fałdach ubrania. Ale w końcu stanął chwiejnie na nogach i powoli ruszył za nią w ciemność.

Czterdzieści tygodni. Potrzeba czterdziestu tygodni, by pojawiło się dziecko.

Thomas Marlowe powiedział jej: „Ludzie robią zakłady, czy pani zgrzybiały małżonek zdoła panią zapłodnić przed końcem roku”. A ona uderzyła go w twarz i odeszła, stukając pantoflami po marmurowej posadzce.

Messer Merli osobiście wyprowadził Serafinę z Wielkiej Sieni. Spędziwszy z madonną Capriani sam na sam kilka chwil, złożył jej własną, obraźliwą propozycję. Spojrzała na niego, przepełniona lodowatą, niekontrolowaną wściekłością i odrzekła:

- Nie sądzi pan, messer Merli, że powinny istnieć jakieś granice co do liczby starców, z którymi muszę sypiać?

Potem odwróciła się na pięcie, obudziła męża i opuścili *palazzo*.

Później, w ciszy i ciemności, przez chwilę żałowała swej odpowiedzi. Można było w mądrzejszy sposób odrzucić niepożądane zaloty wpływowego bogacza. Ale prawie natychmiast zapomniała o Galeazzo Merlim, nie mogąc pozbyć się koszmaru, w jaki wtrąciły ją słowa Thomasa Marlowe'a.

Tam bowiem, w Palazzo Merli, stojąc nieruchomo wśród tańczących par, Serafina uświadomiła sobie prawdę. Niczym odłamki stłuczonego naczynia, poszczególne elementy ułożyły się w pasującą całość, w okropny sposób tłumacząc jej dolegliwości ostatnich miesięcy.

Była w ciąży. Mając całą Toskanię wokół siebie i męża śpiącego obok na krześle pojęła, że jest w ciąży. I to dlatego uderzyła Anglika. Ponieważ była w ciąży, raz jeszcze wpadła w pułapkę swojej płci, stała się niewolnicą własnego słabego ciała. Znienawidziła Thomasa Marlowe'a za to, że był mężczyzną, że nie musiał obawiać się owych konsekwencji, nie musiał płacić takiej ceny.

Wracając z *palazzo* Merlich do taniej gospody, w której Jacopo wynajął pokoje, Serafina wiedziała, że ci leniwi, plotkujący głupcy wygrali już swe zakłady. Od ślubu nie miała miesięcznych dolegliwości. Nie, usiadła nagle na łóżku, wpatrując

się szeroko otwartymi oczami w ciemność, nie - od czterech, nie - od sześciu tygodni przed ślubem.

Suknie zrobiły się za ciasne, szczególnie w stanie. I czuła mdłości. W głowie brzęczały jej bezładnie liczby, a ich wymowa była prawie nie do zniesienia, obliczenia zawsze prowadziły do tego samego, okropnego wyniku. Potrzeba czterdziestu tygodni, by pojawiło się dziecko, ale by określić datę narodzin, trzeba znać datę poczęcia. Klęcząc na łóżku obok pochrapującego małżonka, Serafina próbowała sobie przypomnieć, kiedy po raz pierwszy poczuła mdłości.

Było to oczywiście w *palazzo* Merlich, w tym samym ogrodzie, z tymi samymi przekłętymi drzewkami cytrynowymi i fontanną. Wtedy, w ogrodzie, ciąża wydawała się jedynie użytecznym kłamstwem, przekonującym potwierdzeniem męskości starzejącego się mężczyzny. Teraz okazała się rzeczywistością, a ta zapewne zniszczy ową nadzieję, którą tak niedawno Serafina zyskała.

W jej planach nie było miejsca na dziecko: dzieci są brudne, brzydkie i uciążliwe. Dzieci są przyczyną słabości, a często i śmierci. Z powodu ciąży będzie wyglądała jak madonna Merli: blada, z podgrążonymi oczami i groteskowo zniekształconą sylwetką. Ciąża sprawia, że kobietę się nie akceptuje, a w najlepszym razie budzą one współczucie i stają się obiektem kpin, jeśli nie zamkną się w domu ze szczelnie zasłoniętymi oknami. Na skutek ciąży kobiety robią się nieatrakcyjne i nierozumne, a świat mężczyzn, do którego Serafina miała czelność zajrzeć, jest dla nich całkowicie niedostępny. Ciężarna, w połogu czy karmiąca piersią nie da sobie rady w walce z Anżelem, nie będzie mogła odebrać tego, co jej się należy. Natura, pomyślała z goryczą Serafina, postanowiła okiełznać ją w taki sposób, którego jej oszczędzono nawet w niewoli.

A jednak w całej tej historii był jaszczke jeden, jeszcze bardziej gorzki wątek. Gdyby Jacopo nie leżał u jej boku, Serafina zapomniałaby o swej wiecznej ostrożności, zacisnęła pięści i krzyczała z bóleści.

Kupiec oświadczył jej się w ogrodzie messera Merliego. Co oznaczało, że w dniu ślubu była już w ciąży. To zaś oznaczało -tu Serafina zacisnęła dłonie z wściekłości i rozpacz - że zarówno Thomas Marlowe, jak i Jacopo Capriani mogli być ojcem jej dziecka.

Trzy dni później, na galeonie „Garland”, należącym do Kompanii Lewantyńskiej, postawiono żagle - statek miał popłynąć na wyspę Zante na Morzu Jońskim. Wiozł cynę i tkaniny, które na Zante należało wymienić na rodzyнки. Stosunkowo krótka podróż, ponad dwa razy krótsza niż do Aleppo, mogła przynieść znaczny dochód, jeśli tylko burze i złe wiatry ominą żeglarzy, a także zdołają oni uniknąć spotkania z zazdrosnymi Francuzami i Wenecjanami oraz korsarzami różnej narodowości. Oprócz towarów ładownie „Garlanda” wypełnione były winem, oliwą, fasolą, bekonem i wołowiną oraz solą. Mogliby wprawdzie zawijać do portów, by uzupełniać zapasy, trzymając się przez większą część podróży blisko wybrzeża i wysp, ale musieliby wnosić opłaty, co z pewnością zmniejszałoby dochodowość wyprawy. Poza tym częste zawijanie do portów przedłużyłoby podróż, a kapitanowi „Garlanda” zależało, by odbyła się szybko.'

Thomas potrzebował całego dnia i dużej dozy cierpliwości na przekonanie Johna Keane'a, aby ten pozwolił mu zabrać „Garlanda” na Zante. Agent czekał na przybycie z Londynu następnego konwoju statków; było to wbrew polityce Kompanii, by jakiś okręt płynął w pojedynkę. Ładunek „Garlanda” spoczywał bezpiecznie w magazynie w Livorno, czemu zatem ryzykować samotną wyprawę na otwarte morze? Ale Thomas wiedział, że Keane w końcu będzie musiał przyznać, że owszem, podróż na Zante jest stosunkowo krótka, a na składowanym ładunku niewiele można zarobić, i że Thomas mógłby prawdopodobnie popłynąć na Zante i wrócić, zanim statki Kompanii Lewantyńskiej dotrą do Livorno.

Prywatnie John Keane uważał zapewne, że lepiej będzie ustąpić w tej kwestii sternikowi. Thomas powrócił z Lukki do Livorno z podbitym okiem i licznymi skaleczeniami i siniakami. Odkąd zgodził się pracować dla Kompanii Lewantyńskiej w zamian za sfinansowanie budowy „Zimorodka”, był napięty niczym struna. A fakt, że Marlowe postanowił zostawić swego ukochanego „Zimorodka” w obcych rękach na kilka tygodni, mówił sam za siebie. Keane chciał mieć zarówno ten statek, jak i tego człowieka, postanowił więc nie trzymać się zbyt gorliwie przepisów i zatrzymać ich obu. Poza tym sternik miał rację: jeśli podróż się powiedzie, wówczas „Garland” przed nastaniem zimy będzie mógł popłynąć z powrotem do Londynu z ładunkiem rodzynek, który powinien przynieść znaczny dochód.

„Zimorodkiem" miał fachowo zarządzać John Keane, który został na lądzie, by oczekiwać na przybycie konwoju. Thomas zabrał ze sobą Williama Williamsa i jego ucznia, Cristofana, by ten mógł nabrać doświadczenia na morzu. Marlowe został szybko awansowany do stopnia kapitana. John Keane, stojąc na murku w porcie w Livorno, wpatrywał się w „Garlanda" aż ten stał się jedynie czarnym punkcikiem na horyzoncie - i modlił się, by jego decyzja okazała się właściwa.

Thomas Marlowe nie żywił podobnych wątpliwości. Musiał opuścić Toskanię: nie miał w tej kwestii wyboru. Wiedział, iż pozostając na lądzie, znajduje się o krok od czegoś niewybaczalnego - i że prawie był uczynił ten krok owego pamiętnego wieczora w Luce. Kiedy pilotował statek przez Cieśninę Messyńską i potem, gdy wypłynęli na Morze Jońskie, miał zbyt wiele zajęć w ciągu dnia, by móc oddawać się ponurym rozmyśleniom. Stojąc na przednim pokładzie „Garlanda", wpatrzony we wspaniałą błękit morza, Thomas wiedział, że tym razem intuicja go nie zawiodła. We Włoszech zaczynał już nienawidzić nawet „Zimorodka"; lękał się, że budując swą przyszłość na wraku „To-by'ego", został oszukany, że doświadcza jedynie rozczarowań powróciwszy do pracodawców, których tak niedawno opuścił. W nocy jednak wszystko wyglądało inaczej. W nocy z oświetlonych księżycem wód wylaniały się różne obrazy i Thomas wiedział, że jego podróż to jedynie krótka przerwa chwilowe oderwanie się od zagmatwanej teraźniejszości. Wpatrując się samotnie w morze, słyszał jedynie delikatne trzepotanie żagla i skrzypienie desek. Zdawał sobie sprawę z tego że choć siniaki i zadrapania, które pozostały mu po tamtej nocnej bijatyce (doświadczenie owo przyniosło mu zadowolenie ale ostatecznie zakończyło się klęską), mogły już zblednąć, to więcej nic się nie zmieniło. Nadal związany był z Kompanią Lewantyńską na najbliższe pięć lat, no i wciąż pozostawała sprawa Serafimy.

Puste morze rozciągające się wokół nie pozwalało mu uciec myślą od jeszcze żywego wspomnienia rozmowy z Constanzą Zabrawszy Thomasa z ulicy, zaprowadziła go do swego mieszkania w Luce; ładnie umeblowanego, w stylu, ale nie nazbyt ekstrawagancki sposób, całkiem pustego, jeśli nie liczyć służącej i pazia. Ofiarowała gościowi płótno i wodę do obmycia ran

fizycznych, oraz towarzystwo, które miało być balsamem na ranę, jaką odniosła jego duma. Okazała się miła i rozumna, nie była natomiast wścibska, i właśnie dlatego Thomas dalej zachowywał się jak głupiec. Pijany, z głową obolałą po ciosie, jaki otrzymał, zapomniał o własnej godności i popełnił błąd: zwierzył się kurtyzanie. Za to pobłażanie dla samego siebie otrzymał sprawiedliwą nagrodę: kobieta wysłuchiwała go spokojnie, a potem zanalizowała charakter dręczących go uczuć. Bezskutecznie próbował uznać jej słowa za nonsens. Szczególnie jedno zdanie, które wypowiedziała, uparcie tkwiło mu w pamięci. „To całkiem proste, panie Marlowe - jest pan w niej zakochany”.

Thomas zamknął oczy i wsunął dłonie we włosy. Pamiętał, że wtedy najpierw się roześmiał, a potem poczuł złość. Nie na Constanzę, która głośno wyraziła prawdę, do jakiej sam nie chciał się przyznać, lecz na los - za to, że postawił go w tak dziwacznej sytuacji. Kilkakrotnie wcześniej uważał, że jest zakochany: w Faith Whitlock, w kwiaciarce spod kościoła St Paul's, w służącej z tawerny brata. Ale teraz, choć czuł silne pożądanie pomieszane z sympatią, nie uważał tego za równoznaczne z miłością. Wcześniej to on dokonywał wyboru i podboju i cieszył się konsekwencjami.

W stosunkach z Serafiną miał jednak niewiele okazji, by dokonać wyboru czy zaznać radości. Była suką bez serca, a nieliczne uczucia, które jej dano, wykorzystwała dawno temu, przelewając je na zbyt pobłażliwego papę i uroczego, pozbawionego skrupułów kuzyna. Jej ambicje sprowadzały się jedynie do chęci zemsty i odzyskania utraconych dóbr - i w tym celu posługiwała się wszystkim i wszystkimi w taki sposób, jaki uważała za najlepszy. Wydawało się, że nie interesuje jej to, co Thomas zwykł był uważać za normalne kobiece, zajęcia, czyli dom i rodzina. Nie osądzał jej za to: wiedział, że on z pewnością nie ma do tego prawa, bowiem jego ambicje i metody okazały się właściwie równie bezlitosne jak jej. Przyczynę złości stanowił po prostu brak wyboru. Pojął, że nie potrafi trzymać się z dala od Serafiny; oczekiwał, że ujrzy ją na bankiecie w Lucce, a gdy tak się stało, nie miał na tyle rozumu, by wyjść, nie odezwawszy się do niej. Wcześniej, latem, w Palazzo Sacchetti, wystarczyło, by Serafina pstryknęła palcami, a on już do niej biegł. Nie pragnął wcale widzieć siebie w roli pieska do zabawy.

Przeklinając samego siebie, Thomas zapatrzył się w szerokie, ciemne morze. I nagle momentalnie zapomniał zarówno o Serafinie, jak i o Kompanii Lewantyńskiej.

Wyteżył oczy, wpatrując się w niewyraźny kształt rysujący się na horyzoncie!

Najpierw wydawało mu się, że to tylko przywidzenie, srebrno-szary błysk. Ale po chwili wiedział, że „Garland” nie znajduje się już na morzu sam.

Morze Jońskie jest nieprzewidywalne, zdolne do nagłego sztormu i zdradliwego wiatru. Ale to nie gniewu bogów obawiał się Thomas; wpatrując się ze

zmarszczonym czołem w odległy kształt, wiedział, że bardziej niepokoją go

zagrożenia ze strony ludzi. Na szczycie masztu „Garlanda” powiewał królewski

herb Anglii, ogłaszając światu zamiary owego kraju. Na tych wodach pływało wielu, którzy uznaliby insygnia Kompanii Lewantyńskiej za godny cel napaść}.

Francuzi, Hiszpanie, We-necjanie, a nawet sami Toskańczycy czuli się dotknięci

ostatnimi sukcesami Anglików na obszarach Lewantu. Także piraci z północnej

Afryki, z Ragusy, z tysiąca maleńkich, bezimiennych wysepek tłoczących się przy

brzegach Grecji, mogli zwietrzyć pokusę, rozpoznawszy flagę kompanii. Należało

obawiać się wszystkiego, co może przynieść zawiść i oportunizm, ze strony owego

tajemniczego, migoczącego punkciku na horyzoncie.

Niewyraźny kształt potężniał, przeobrażając się w zarys statku-widma. Poruszając

się bezgłośnie, Thomas zgasił dwoma palcami świeczkę w latarni, ze świadomością

że to próżne działanie, że księżyc oświetla „Garlanda” jaśniej niż świeca. Nie ruszył

się jednak z mostka; czekał, wiedząc, iż ów moment, gdy będzie trzeba zawołać

ludzi, by przygotowali działa do wystrzelenia, jeszcze nie nadszedł.

Ale gdy ów odległy statek po cichu się przybliżał, Marlowe pomyślał, że wszelkie

działanie, walka albo ucieczka mogą okazać się daremne. Wpatrując się w kształt

wyłaniający się szybko z mroków nocy, na chwilę zapomniał o wszystkim i spo-

glądał tylko w milczeniu.

Statek był bowiem piękny. Czteromasztowy galeon, elegancki i pełen wdzięku,

wydawał się niczym wspaniałą łabędź przy brzydkim kaczątku, jakim był

„Garland”. Pokład i maszty srebrzyły się w świetle księżyca, a rzeźbiony i pozłacany

mostek płonął złotem. Tak właśnie będzie któregoś dnia wyglądał „Zimorodek”.

Statek należał do Francji, Thomas dostrzegł kwiat lilii, gdy światło księżycy na chwilę rozproszyło ciemności. Zaraz po tym, ku jego zdziwieniu, okręt zrobił zwrot i odpłynął, najwidoczniej niezainteresowany konfrontacją. Gdy wokół było już pusto i pozostały jedynie mewy nad głowami i ryby w morzu, Thomas poczuł, jak po czole spływa mu lodowatozimny pot...

Jesienią gwar w dokach w Livorno zaczął milknąć, a strumień jedwabiu płynący ze Wschodu - wysychać. Do tego czasu jednak Serafina Capriani zgromadziła niewielki, lecz znakomity wybór jedwabnych beli, które przechowywano starannie w składzie w Pizie.

Dbiała, by ukrywać ciążę przed światem. Bez względu na to, jak wielkie mdłości ją dręczyły, pochłaniała znaczne ilości jedzenia; bez względu na to, jak bardzo czuła się zmęczona, wciąż rozmawiała i uśmiechała się, a jeśli sytuacja tego wymagała - tańczyła aż do północy. Gdy zawiązała mocniej suknie, mała wypukłość brzucha stawała się łatwa do ukrycia. Tak długo, jak to było możliwe, próbowała ignorować ten najnowszy, szybko powiększający się problem, przekonując Jacopa, by zachował milczenie w tej kwestii, na co on zgodził się, być może także z obawy przed śmiesznością.

Osobiście wybierała każdy zwój jedwabiu, jeździła do Livorno i Florencji, by sprawdzić tkaniny i ocenić jakość jedwabnej surówki. Czasami towarzyszył jej Jacopo, ale coraz częściej miała przy sobie jedynie kancelistę Amadea, mąż zaś zajmował się koralikami i świecidełkami, chwościkami i wstążkami. Amadeo, którego po ślubie na przemian nękała i uwodziła, stał się przydatny. Miał mniej więcej tyle lat, co Serafina, a jego stosunek do niej przerodził się prawie w uwielbienie, równocześnie zaś darzył żonę swego chlebodawcy szacunkiem i poważaniem, podziwiając jej zdolności i siłę perswazji. Z Amadeem u boku Serafina wędrowała po dokach, składach i warsztatach, w obfitych fałdach sukni chowając sakiewkę. Musiała znosić zdziwione spojrzenia, gwizdy i kpiny. I niedwuznaczne propozycje, i mężczyźni mówiących jej bez ogródek, że jej miejsce jest w kuchni albo w łóżku. Jadła, kiedy mogła i gdzie mogła, i zasypiała, wyczerpana, gdy tylko głową dotknęła poduszki. Prowadziła starannie rachunki, sprawdzała pracę kancelistów, kiedy najmniej się tego spodziewali, odbywała uciążliwe podróże na narowi-

stych kucach, nie dysponując dostateczną ochroną. Była może nadal cenną perełką swego małżonka, ale Jacopo nie płacił za to, by jego skarbu należycie strzeżono. Sekretarz bankiera, wyraźnie zuroczony Serafiną, Gian-franco, którego poznała na bankiecie u messera Merliego w Luccie, nalał wina i przyjrzał się ukradkiem przybyłej.

Mała, szczupła, o ciemnych oczach. Zwłaszcza te ciemne oczy wydawały się fascynujące, ponieważ były lekko skośne i owiane mgiełką. Patrzyły obojętnie po małym pokoju i spoglądały na służbę bankiera zupełnie bez zainteresowania. Gianfranco nie wiedział, czemu owe czarne, zamglone oczy są tak intrygujące, ale były.

Kiedy zawiadomiono go o tej wizycie, spodziewał się ujrzeć starego kupca, a nie jego żonę. Jacopo Capriani od wielu lat korzystał z usług banku chlebobawcy Gianfranca; starzec był dość dobrze znany w Pizie. Gianfranco, jak i wszyscy wokół, roześmiał się, kiedy usłyszał o małżeństwie messera Caprianiego i podobnie jak inni uważał, że to jakaś młoda, zuchwała ulicznica, która wskoczy do łóżka pierwszemu lepszemu służącemu, gdy tylko mąż odwróci się plecami.

Na bankiecie u Galeazza Merliego przekonał się jednak, że madonna Capriani nie jest ani kobietą zuchwałą, ani też ulicznicą. Okazała się natomiast rozważną, dystyngowaną, spokojną osobką. Patrzyło się z przyjemnością, jak rozwija jedwab małymi, zgrabnymi rączkami, miło słuchało się jej cichego, delikatnego głosu przepraszającego za niespodziewaną wizytę i wyjaśniającego jej cel.

Przyszła tu bowiem po to, by coś sprzedać, a nie pożyczyć od niego pieniędzy. Do obowiązków Gianfranca należało także wy-karmienie i przyodzianie wszystkich licznych domowników. Jako człowiek młody i ambitny, pragnął to czynić zarówno sprawnie, jak i gospodarnie. Postawiwszy kieliszek z winem obok jedwabiu, i nie zwracając uwagi na kancelistę, którego przyprowadziła ze sobą madonna Capriani, sekretarz usadowił się przy stole i oddał się dwóm przyjemnościom: słuchaniu i oglądaniu.

- ...ta złota tkanina pochodzi z Florencji, adamaszek z Lewantu. Mamy, jak pan wie, pasujące do nich koronki i wstążki.

Madonna Capriani podniosła tkaninę, by Gianfranco mógł jej dotknąć. Jedwab miał kolor niebieski, ale powiedzieć „nie-

bieski" to za mało. Miał barwę lazuru, ultramaryny, turkus. W jednym migoczącym kawałku tkaniny było tysiąc odcieni.

- Weźmiemy oczywiście wstążki i koronki, madonna. - Młodzieniec zwinął z powrotem tkaninę. - Jak zwykle. Ale jedwab... - Gdy urwał, po raz ostatni pogłaskał materiał.

- Aha. - Nie powiedziała nic więcej, tylko to jedno słowo, które zabrzmiało prawie jak westchnienie, i zaczęła składać materiały, zwinąć wstążki.

- To dobre tkaniny, madonna - rzekł pospiesznie sekretarz, biorąc do ręki turkusowy jedwab i podnosząc go do światła. - Doskonali wybór. Ale... - Gianfranco się zawahał.

Sługa Serafiny pochylił się do przodu, by wziąć odeń jedwab, a madonna Capriani spytała:

- Obawia się pan może, czy będziemy w stanie zrealizować kontrakt?

Jej głos był tak cichy, że mężczyzna ledwie ją słyszał.

- Madonna, ja...

- To zupełnie zrozumiałe. Proszę dać mi szansę, a przekona się pan.

Serafina Capriani siedziała, złożywszy przed sobą skromnie dłonie, upierścienione i w rękawiczkach. Miała na sobie suknię z kosztownego aksamitu szkarłatnej barwy, ozdobioną koronkami. Gianfranco, który znał się na rzeczy, przypuszczał, że aksamit pochodził z krain Lewantu, koronki zaś z Brugii.

- To prawda, że nie możemy obecnie kupować bezpośrednio w Aleksandrecie. Ale możemy podróżować do Neapolu, Florencji i Livorno i kupować w tamtejszych warsztatach. Wiosną mamy nadzieję zatrudnić własnych rzemieślników. Do tej pory mogę zaproponować panu dobrą cenę, jeśli zawrzemy umowę, iż przez najbliższy rok czy dwa będzie pan kupował jedwab od Capriani.

Wymieniła sumę, od której sekretarzowi zaświeciły się oczy, kancelista zaś pospiesznie stłumił jęk. Cena była dobra, a jedwab - najwyższej jakości: Gianfranco miał już prawie pokusę, by przyjąć tę propozycję. _

- I może powinien pan mieć w pamięci, co messer Datmi powiedział o Guardich, pana obecnych dostawcach.

Gianfranco ze zdumieniem patrzył, jak madonna Capriani odchodzi od stołu i kieruje się do okna. Słoneczny blask oblał jej skórę, zapalił złote błyski w ciemnych, niezgłębionych oczach.

Powiedział zgodnie z prawdą:

- Od wielu lat kupujemy tkaniny od Guardich, madonna. Nigdy nie dali nam powodu do narzekań.

- Oczywiście, że nie. - Uśmiechnęła się, w zachwycający sposób unosząc kąciki ust... - Przedsiębiorstwo Guardich jest duże i powszechnie szanowane, zajmuje się przede wszystkim dostarczeniem jedwabiu na północ, a płótna i wełny na południe. Ale, jak podkreślił messer Datini, Marsylia jest w tej chwili izolowana. Drogi lądowe zrobiły się niepewne, kupcom grozi niebezpieczeństwo ze strony ich niesfornych rodaków. Na przykład ze strony samego monsieur de Casaubca. W Marsylii nastały trudne czasy, signor. Nie wszystkie firmy mogą przetrwać w tak niesprzyjających okolicznościach.

Uczyniła aluzję - Gianfranco wiedział o tym - do możliwości bankructwa Guardich. Nie było to zupełnie nierealne: zmiany w rządach, na tronie, mogą zniszczyć dochodowe przedsiębiorstwo w ciągu kilku miesięcy, tygodni nawet. Najbardziej obrotowego kupca zrujnować może utrata jednego transportu towarów, przejętych przez korsarzy czy zbójców albo zniszczonego na skutek czy powodzi. Ale choć połowę myśli Gianfranco zaprzętała kwestia bezpieczeństwa firmy Guardich, druga połowa była zupełnie rozproszona i krążyła wokół przyjemnej, drobnej postaci madonny Capriani. Zaabsorbowany swoimi myślami, Gianfranco zauważył jednak, że kancelista Capriani przeszywa go pełnym wściekłości spojrzeniem.

- Niech pan również raczy zauważyć, że najwspanialsze tkaniny Guardich podróżują niczym ambasadorowie, jeśli zgodzi się pan na to porównanie, do Paryża, Brugii, Londynu. Powinien się pan zastanawiać, czy wobec tego Guardi mogą wam zaproponować swój najlepszy towar. - Przerwała na chwilę i wskazała dłonią w kierunku zwojów jedwabiu oraz wstążek rozrzuconych na stole. - Oto, co my mamy najlepszego - rzekła. - Nie proponujemy niczego, co by nie dorównywało temu jakością. Jak pan wie, do niedawna jeszcze handlowaliśmy jedynie ozdobami i półszlachetnymi kamieniami. Ale mój mąż pragnie w przyszłości rozszerzyć naszą działalność, by wykorzystać wiele cennych kontaktów, jakie posiada. Jestem pewna

- spojrzała mężczyźnie w oczy - że pana chlebodawca pochwaliłby taką decyzję...

- Ach, bez wątpienia. Bez wątpienia. No i tkaniny są wspaniałe, jak już powiedziałem. - Gianfranco, zbierając się w so-

bie, ponownie się zawahał, usiłując *znaleźć* odpowiednie słowa. - Jest tylko jedno, małe zastrzeżenie...

Madonna Capriani, która już usiadła z powrotem, podniosła pytająco głowę. Młody człowiek poczuł, że mu zaschło w ustach.

- Chodzi tylko o to... Nie jestem pewien, czy... - Po raz drugi jego słowa zawisły w próżni. Wydawało mu się, że wyraził się niezrozumiale, ale jego rozmówczyni dokończyła powoli:

- Nie jest pan pewien, czy pana chlebodawca pochwaliliby zawieranie interesów z kobietą?

Gianfranco zaczerwienił się tylko i skinął głową.

- To nie są sprawy dla kobiet, powiedziałby mój pan. To nienaturalne.

Znów na chwilę zapadła bolesna cisza. Madonna Capriani przymknęła ciężkie powieki, obie ręce miała wciąż zajęte.

- Mój mąż nie mógł dzisiaj przybyć, ale zapewniam pana, że mocno dzierży w dłoniach stery firmy. W końcu - Serafina uśmiechnęła się i cała jej twarz rozbłysła się w zachwycający sposób - nie przypuszcza pan chyba, że zajmuję się rachunkami? Mam słabą głowę do cyfr, Amadeo to panu powie.

Sekretarz oblał się szkarłatem i coś wymamrotał.

- Mój mąż - dodała madonna Capriani, a z jej twarzy zniknął uśmiech i pojawił się wzruszający smutek - powierzył mi wizyty w domach naszych klientów. Mam nadzieję, że nie uważa pan tego za niestosowne. Albo - czarne rzęsy kobiety zatrzepotały, a usteczka zadrżały lekko - za przynoszące wam ujmę.

- Ależ skądże! - Gianfranco prawie chciał się rzucić na kolana i całować ją po rękach. - Małżeństwo to w końcu także wspólnota w interesach. Proszę mi wybaczyć, jeśli moje słowa wydały się pani obraźliwe, nie było to moim zamiarem, zapewniam panią.

Obserwował, jak wypila łyczek wina. Jej oczy spowijała lekka mgielka, a głos nie brzmiał zupełnie spokojnie.

- A zatem...?

- A zatem będę namawiał mego chlebodawcę, by podpisał kontrakt, który z panią zawieram. - Gianfranco wypowiedział owe słowa, zanim w pełni uświadomił sobie ich konsekwencje, lecz uznał, że nie dba o to. Dotknął lekko jej kruchego ramienia. - Na razie na rok, będzie można jednak przedłużyć umowę, jeśli będzie pani zadowolona. Jestem pewien, że tak się stanie.

Wkrótce potem młoda madonna Capriani wyszła, osuszywszy chusteczką łzy w kącikach oczu. Sekretarz bankiera patrzył przez okno, jak Amadeo pomagał swej pani wsiąść na przyprowadzonego jej konia. Uśmiechnął się lekko do siebie, z nadzieją myśląc o przyszłych interesach.

Zdumiałby się może, gdyby zobaczył oczy Serafiny ukryte pod welonem. Płonął w nich triumf.

Część siódma

1595

NIEBEZPIECZEŃSTWO

CZYHAJĄCE ZE WSZYSTKICH STRON

Wobec niebezpieczeństwa czyhającego na nich ze wszystkich stron na niektórych statkach opuszczono żagle i unosiły się teraz na falach.

„TRZECIA PODRÓŻ FROBISHERA DO CHIN”

RICHARD HAKLUYT

-Cante - powiedział cicho Thomas Marlowe.

Migocząca na horyzoncie lazurovoszmaragdowa i lawendowa mgiełka zapowiadała, iż „Garland” zbliża się do wyspy Zante, Kwiatu Lewantu. Maleńka, żyzna wysepka, porośnięta gajami oliwnymi i dzikimi winnicami, była cennym klejnotem, zazdrośnie strzeżonym przez Wenecjan skarbem.

- Zante - przytaknął William Williams, osłaniając dłonią oczy przed słońcem i badając horyzont. - Wenecjanie - dodał.

Thomas spojrział tam, gdzie utkwił wzrok cieśla okrętowy -i zaklął. Z drżącego powietrza wyłoniła się niczym jakiś niechciany, bajkowy potwór galera, sunąca po falach w kierunku „Garlanda”.

- Możemy ich prześcignąć - odezwał się z nadzieją w głosie Cristofano, stojący obok Williama.

- Wątpię. Oni nie potrzebują wiatru. - Thomas zasepił się, nie spuszczać wzroku z galery. Wysepkę przesłoniły już prawie trzepoczące bandery i proporce z wizerunkiem lwa. - Poza tym, mam do sprzedania dwa tuziny pak z cyną. Nie zamierzam zawozić ich z powrotem do Livorno.

William Williams nic nie odpowiedział, ale Thomas sam zauważył, jak promienie popołudniowego słońca odbijają się w wypolerowanych hełmach weneckich żołnierzy. Lekkie uczucie niepokoju, które opanowało go już wcześniej, nagle się spotęgowało. Potrafił wskazać początek owego niepokoju, choć nie powiedział o tym nikomu, nawet Williamowi Williamsowi. To ów francuski statek, który pojawił się na horyzoncie, jak upiór księżycowy, podpłynął, a potem zniknął.

- Myślę - dodał powoli Thomas - że zaufam ich dobrej woli. W końcu nie wyciągnęli jeszcze szpad. Będziemy się ładnie uśmiechać i zaprosimy ich na pokład na szklanke wina. Cristo-fano, znajdź jakiś przyzwoity kubrak. William - weź - niech się zastanowię - kanoniera i jeszcze jednego i żeby was nikt nie widział.

- Samuela? - zapytał cicho William. - To stuknięty jegomość. Spodziewasz się kłopotów?

Thomas odwrócił się już plecami do morza. Nie ma potrzeby wspominać o nocnym statku-widmie: ta galera, ślizgająca się po falach niczym podłużny owad wodny, stanowiła wystarczający kłopot. Mogła ich zatopić, skonfiskować towary albo wtrącić ludzi do jakiegoś cuchnącego greckiego więzienia. A on naprawdę nie miał innego wyjścia, mógł tylko zaryzykować. Powiedział cicho:

- Wenecja jest ostatnio w defensywie. Nie ma powodu, by darzyć miłością Kompanię Lewantyńską. Do tej pory nasze statki plądrowały ich okręty. Galera zbliżała się i z przedniego pokładu „Garlanda” widać było weneckich żołnierzy stłoczonych na rufie niczym figury szachowe.

- Po cóż mi kubrak? - zapytał z uśmiechem Cristofano. Thomas uśmiechnął się i odwrócił do niego.

- Ponieważ, mój drogi chłopcze, ci panowie zaraz poproszą, by pozwolono im wejść na pokład. Jeśli mają uczciwe zamiary, pragnąłbym, żeby wino podawał im mój piękny sługa - aby wyrzeć na gościach dobre wrażenie. A jeśli mają nieuczciwe zamiary - wówczas chciałbym, aby mój zaufany kanonier ukrył się i zaskoczył ich wszystkich, skoro mamy walczyć o życie. Nie wiem, jak będzie. Za pół godziny mogę leżeć na dnie morza z podciętym gardłem albo mogę spodziewać się wspaniałego wieczoru spędzonego w pałacu weneckiego gubernatora w Zakynthos. No, dalej, idź i załóż ten cholerny kubrak.

Okazało się, że wchodziła w grę ta druga ewentualność. Obcy żeglarze weszli na pokład i zbadali ładownię „Garlanda” z dokładnością, która zdziwiła nawet Thomasa. Ubrany w haftowany kubrak i równie olśniewającą koszulę, Marlowe czuł, że twarz boli go od uśmiechów, gdy proponował kapitanowi galery trunki. Cristofano, odziany w szkarłatny jedwab, nalał wina. Kapitan, mocno akcentując włoskie słowa, przeprosił ich, wyja-

śniąjąc z ubolewaniem, że niektóre statki próbują uniknąć płacenia cła. Kiedy jego ludzie skończyli przeszukiwanie żaglowca, kapitan wstał, uklonił się i zaproponował, by „Garland” wpłynął w ślad za galerą do portu Zakinthos. I tak skromny, mały „Garland” płynął za błyszczącą galerą. Gdy okrążali Zante, kapitan galery stał na przednim pokładzie angielskiego statku, grzecznie wskazując różnorakie cuda wyspy. Góry na północnym zachodzie, ukryte zatoczki i plaże, lasy sosnowe i pokryte kwiatami wzgórze. Gdy opływali cypel, mając widok na port, Zante połykiwało w upale niczym piękny klejnot.

Statki tłoczyły się w osłoniętym porcie, mającym za tło kościoły i budowle w weneckim stylu. Łodzie rybackie, galery i kogi stały ze zwiniętymi żaglami, proporce zwisały w nieruchomym powietrzu; wszędzie trwał załadunek lub wyładunek towarów. Większość floty stanowiły niewielkie jednostki, przy których nawet „Garland” wydawał się wielki i ciężki.

Dopiero gdy przybili do portu, a kapitan weneckiej galery wspaniałomyślnie zaprosił Thomasa z całą załogą do pałacu gubernatora, na „Garlandzie” zapadła wreszcie cisza, wtedy to William Williams, kanonier oraz jego pomocnik wygrzebiali się spod zwojów liny ułożonych w składziku bosmana.

Trzypiętrowy pałac weneckiego namiestnika rozsiadł się nad miastem Zakinthos niczym wielka, biała ropucha. W małych, osłoniętych okiennicami oknach jarzyły się już złotem lampy oliwne. Był wczesny wieczór: w porcie zachodzące słońce oblewało statki pomarańczowym światłem. Na otaczających miasto wzgórzach i gajach oliwnych kładły się niebieskoczarne cienie. Wszedłszy do pałacu, Thomas skłonił się przed gubernatorem, a potem skierował się do wielkiej, z przepychem urządzonej sali ciągnącej się przez szerokość całego pałacu. Pachniało tam drewnem sandałowym i paczulą, a każdy kąt zapchany był rzeźbami, kobiercami i rzeźbionymi skrzyniami z drewna cedrowego.

Gubernator nazywał się Hieronimo Carcandella i był, jak się domyślał Thomas, mieszanego, grecko-weneckiego pochodzenia. Ciemnooki, łysiejący messer Carcandella miał na sobie kolekcję wielokolorowych szat, a żadna z nich nie wydawała się specjalnie czysta. Powitawszy Thomasa i bosmana z wylewnością, a Cristof ana z nieskrywanym zainteresowaniem, wysłał za-

łogę „Garlanda” do odległego pomieszczenia, by upili się tanim winem.

- Ubolewam nad wtargnięciem moich ludzi na pokład waszego statku, panowie - powiedział wenecki gubernator, dając ręką znak Thomasowi, by usiadł na ozdobnym krześle. - Jestem pewien, że panowie rozumieją, iż w przypadku tak uczciwych przybyszów nasza wizyta to czysta formalność. Ale miewamy incydenty - kiedy ładunek ukrywa się, aby uniknąć płacenia cła.

Pstryknął tłustymi palcami i pojawił się służący z winem.

- Cło... - odezwał się z namysłem Thomas, ale messer Car-candella potrząsnął przecząco głową.

- Możemy o tym pomówić jutro, chyba się pan zgodzi, signor? - Szeroka, mokra od potu twarz przedstawiciela Wenecji wykrzywiła się w czymś zbliżonym do uśmiechu. - Żałuję, że agent waszej kompanii nie może być tu dziś z nami. Jest chory. Nasz klimat mu nie służy. Tak więc może będą panowie tak mi i zadowolą się moim nieciekawym towarzystwem.

Thomas, pijąc małmazję, wydawał z siebie odpowiednie dźwięki wyrażające żal i radość zarazem. Klimat Zante, jak było powszechnie wiadomo, nie odpowiadał przybyszom z północy: z monotonną regularnością agenci Kompanii

Lewantyń-skiej zapadali na tę czy inną chorobę.

- Mieszkam sam na tej wyspie, kapitanie Marlowe - ciągnął Hieronimo. - To nudne miejsce. - Poprawił obszernie szaty i usadowił się na okazałym krześle. -

Towarzystwo, rozmowa - to tak rzadka przyjemność. Nie miałem jak dotąd tyle szczęścia, by znaleźć sobie odpowiednią żonę.

Carcandella nie spuszczał prawie wzroku z Cristofana, odkąd ten się pojawił.

Młodzieniec spojrzał nań spode łba a Thomas stłumił uśmiech. Sala była słabo wywietrzona i przegrzana, lampki oliwne w oknach sprawiały, że powietrze, nagrzane w ciągu dnia, wydawało się jeszcze bardziej lepkie. Przez lekko uchylone okno Thomas rozróżniał odległe, ciemne sylwetki statków w porcie, ale nie widział już „Garlanda”.

Gubernator, podążając wzrokiem w tym samym kierunku wziął z miski garść migdałów.

- Niech się pan nie boi o swój statek, messer Marlowe - rzekł gładko. - Port jest dobrze strzeżony. Pański ładunek jest bezpieczny, ma pan moje słowo.

Thomas w głębi ducha uważał, że słowo Hieronima Carcandelli nie jest warte więcej niż gałązka drzewa oliwkowego, która właśnie pękła z trzaskiem w kominku. Podejrzywał jakieś nieczyste knowania. Gubernator znowu pstryknął i szklanę gościa napełniono ponownie.

- Kompania Lewantyńska - powiedział ostrożnie Thomas - pragnie utrzymywać dobre stosunki z Wenecją. Naszym jedynym pragnieniem jest prowadzenie wolnego handlu.

- Ależ oczywiście, panie Marlowe. - W małych, ciemnych oczkach Hieronima zabłysło nieco inteligencji. - To pragnienie nas wszystkich. Ale proszę wziąć pod uwagę położenie biednej, małej wysepki Zante. Imperium otomańskie na wschodzie, wybrzeże berberyjskie na zachodzie. No i te diabły z Segny i Fiume nawiedzające Adriatyk od północy. Nasi żeglarze prędzej sobie poderzną gardła, niż wpadną w ręce owych rozbójników morskich z Ragusy. Zapewne zdaje pan sobie sprawę, że coś nas łączy, panie Marlowe: obaj jesteśmy wyspiarskiego pochodzenia. Widzi pan, ja się urodziłem w Zakynthos.

- Zante jest pod protektoratem Wenecji.

- A, tak, Serenissima...

Ponownie nalano im wina. Hieronimo skinął na Cristofana, by usiadł przy nim na stosie poduszek, na co ten, choć bez entuzjazmu, przystał.

- Problemy Zante to problemy Wenecji w miniaturze, kapitanie. W ciągu ostatnich dziesięcioleci Serenissima jest obiektem zawiści całego świata, zarówno chrześcijan, jak i Turków. Jak pan zapewnie się orientuje, handel między Wenecją a północą boleśnie się zmniejszył. Ani Anglia, ani Niderlandy nie potrzebują teraz Wenecji. Macie swoje statki i ludzi, możecie sami żeglować.

Hieronimo skinął tłustym podbródkiem w kierunku portu, pogrążonego teraz w ciemnościach. Gestem upierścienionej dłoni polecił służącemu zamknąć wszystkie okiennice, uwięziwszy w ten sposób w pokoju nagrzane powietrze i wzmocniwszy woń perfum Wschodu.

Małmazja była mocna, ale Thomas wciąż zachowywał zdolność logicznego myślenia.

- Przybyłem do Zante, by uczciwie handlować, messer Carcandella. Mój statek może nie należeć do mnie, ale gdy ja nim dowodzę, nie popełni żadnego aktu agresji. Użyję swych dział,

gdy będę musiał się bronić, ale nie po to, by parać się piractwem - pod jakimkolwiek pretekstem.

Hieronymo roześmiał się donośnie i pochylił do przodu, by poklepać Thomasa po kolanie.

- Nie musi się pan martwić, kapitanie Marlowe - sądzę, że obaj dobrze się rozumiemy. Jestem półkrwi Wenecjaninem, ale jak już panu mówiłem, urodziłem się na Zante. Statki takie jak wasz są dla naszej wyspy niezbędne do życia. Ładunki takie jak wasz są konieczne, byśmy mogli przetrwać. No i czasami przywozicie najładniejsze rzeczy.

Upierścieniona dłoń musnęła lekko szkarłatną, jedwabną czapkę, która zdobiła głowę Cristofana.

- Niech się pan nie martwi, kapitanie Marlowe - powtórzył cicho Hieronimo, a Thomas opróżnił swój kieliszek i oparł się wygodniej na poduszkach, czując, że powieki mu opadają od trunku i gorąca.

Doprawdy, nie mogę nic więcej zrobić, pomyślał sennie. Gra toczyła się dalej, choć chwilowo stracił nad nią kontrolę. Pilnował tylko, jak mógł najlepiej, swoich pionków. Teraz właśnie los „Garlanda” spoczywał w rękach cieśli okrętowego, na wpół obłąkanego kanoniera i starożytnych bogów Morza Jońskiego.

Na pokładzie „Garlanda” William Williams i Samuel, kanonier, grali po cichu w karty w ładowni. „Jeśli będą jakieś kłopoty, powiedział wcześniej Thomas, gdzieś między Livorno a Zante, to z powodu cyny”. Cyna stanowi jeden z głównych składników brązu, którego tak pożąda wielu ludzi. Mając brąz, można odlewać działa.

Ulokowali się na dole między pokładem strzelniczym a ładownią. Siedzieli poniżej linii wody; nie było tam żadnych iluminatorów, które zdradziłyby obecność wartowników Wenecjanom w porcie, a od pak z cyną dzieliła ich jedynie drabina. Powietrze było tu wilgotne i cuchnące, a na podłodze poniewierały się poskładane żagle, łańcuchy kotwiczne, zapasowe kule armatnie i broń. Obaj mieli przy sobie noże, a ponadto Samuel był uzbrojony w strzelbę. Gdybym mu pozwolił, pomyślał William, przebijając asa atutem, zabrałby z pokładu strzelniczego jeden z falkonetów.

Było zupełnie ciemno, jedyne światło dawała migocząca świeczka, umieszczona na przewróconej beczce. Nastąpiła prze-

rażliwa cisza: słyhać było tylko lekkie fale rozbijające się o bok statku i szelest kart rozkładanych na stole. Wydawało się, że nawet szczury i karaluchy posnęły. Było już późno - minęła północ i na myśl o tym Williams stłumił ziewnięcie. Nie zazdrościł Thomasowi przyjemnego wieczoru u weneckiego gubernatora; stanawszy przed wyborem, cieśla wolał spędzić noc we własnym towarzystwie, niż pić cierpkie, czerwone wino

I brać udział w sztywnej rozmowie. Kanonier wypił potężny łyk wódki i podał butelkę Williamowi, wygrzebując z kieszeni monety.

Nie było jednak czasu, by zagrać o kolejną stawkę, bowiem nagle ciszę przerwały odgłosy kroków i po drabinie ześlizgnął się na dół pomocnik kanoniera. Zajrzał przez luk znajdujący się nad dwoma kamratami i szepnął:

- Płynie szalupa, jest na niej z pół tuzina ludzi...

A więc Thomas miał rację! Samuel wyjął z pochwy nóż i wykrzywił w uśmiechu twarz poraną bliznami, które zostały mu jako pamiątki po dawnych walkach.

William Williams, czując, że kark go swędzi, zdmuchnął świecę.

Czekali na dolnym pokładzie, domyślając się, że dwóch ludzi zostanie w szalupie, by odbierać skradziony łup, a reszta wdrapie się i będzie przenosić ładunek z „Garlanda”. Gdy tak czekali w ciszy, Williamowi zaczęły się pocić ręce, a nóż obrócił mu się w dłoni.. Trzech przeciw czterem to całkiem dobry układ, powiedział sobie w myślach, zwłaszcza gdy jednym z tych trzech jest Samuel.

No i mieli tę przewagę, że działali z zaskoczenia. Tamci czterej, podpływający w ciemności, spodziewają się, że bez trudu ograbią niestrzeżony statek. William i kanonier wraz z pomocnikiem czekali, aż dwaj rabusie znajdą się na drabinie między pokładem strzelniczym a dolnym i wtedy Samuel z okrzykiem wyrażającym czystą przyjemność wycelował strzelbę w nieosłoniętą głowę przeciwnika.

Strzelba wypaliła, ktoś wrzasnął. Błysk eksplozji wdarł się w ciszę panującą na statku. William na chwilę ogłuchł i oślepl, stał jak sparaliżowany. Ale prawie natychmiast jego złość powróciła i także rzucił się w wir walki.

Kapitan i załoga „Garlanda”, opici winem i najedzeni, wrócili na statek dopiero rano.

- Głowa mi pęka, a Cristofano przez całą noc bronił swej cnoty - odezwał się Thomas, otwierając drzwi do kajuty. -Dzięki Bogu, Hieronimo gustuje w młodszych mężczyznach.

William Williams delikatnie zamknął za nimi drzwi, zostawiwszy na zewnątrz odgłosy morza i wołania kompanów przygotowujących „Garlanda” do wypłynięcia.

- Pomocnik kanoniera ma złamaną rękę, a w pokładzie ogniowym jest dziura - powiedział cicho. - Samuel upierał się, by wziąć pistolet.

- O! - Thomas podniósł głowę, a jego zaczerwienione oczy zapłonęły ciekawością. - No i...?

- No i obawiam się, że straciliśmy trochę cyny. Kilku z nich zdołało wynieść jedną pakę na główny pokład. Wyrzucili ją jednak za burtę. Wydaje mi się - ciągnął z namysłem cieśla - że Samuel sprawił, iż zostało ich tylko trzech. Ale nie mam pewności. Kilka ciał leży w ładowni, a jednego Samuel zastrzelił, gdy wskakiwał do szalupy.

Thomas ze zmarszczonym czołem otworzył butelkę.

- Właśnie straciłem majątek, płacąc potwornie wyśrubowane cła w Zakintos. Nie rozumiem. Wydawało mi się, że rozumiem, ale jednak nie. Jeśli tak bardzo chcieli tego cholerstwa, czemu go po prostu nie skonfiskowali? Nie moglibyśmy nic więcej zrobić, żeby im przeszkodzić.

William wykrzywił twarz w uśmiechu i przyjął szklanekę wina z rąk Thomasa.

- Ponieważ to nie byli Wenecjanie - oświadczył, czerpiąc pewną satysfakcję z miny swego towarzysza. - To byli Francuzi.

Zarówno ból głowy, jak i nierozwiązana zagadka Zakinthos nie dawały Thomasowi zasnąć tej nocy. Pulsowanie w skroniach przypominało mu, by na przyszłość unikać Greków ofiarowujących prezenty. Mając świeżo w pamięci próbę kradzieży cyny, nie opuszczał pokładu i obserwował morze oraz gwiazdy, zamiast zakotwiczyć na noc w jakiejś położonej na uboczu zatoczce.

Francuzi. A więc ludzie, którzy wdarli się nocą na pokład „Garlanda”, aby ukraść cenną cynę Kompanii, gdy załoga statku znajdowała się w bezpiecznej odległości w willi weneckiego gubernatora w Zakinthos - to Francuzi. A jednak Hieronimo Carcandella - Thomas był tego pewien - wiedział wcześniej

O próbie kradzieży i miał w niej swój udział, skoro potwierdził, iż „Garland” wiezie cynę.

W tym wszystkim nie było sensu. Weneccy gubernatorzy nie powinni pomagać Francuzom w okradaniu angielskiego statku z ładunku. Powinni nakładać wygórowane cła, wchodzić bezprawnie na pokład statków i przysparzać żeglarzom kłopotów na różne sposoby. Ale wspieranie tajnych operacji prowadzonych przez Francuzów - to co innego.

Thomas usłyszał słowa Williama Williamsa:

- Przejmę dowodzenie, jeśli chcesz. Nie zgodził się jednak.

- Nie jestem zmęczony. - Po raz setny tego dnia oczyma duszy ujrzał ów statek-widmo, z trzepoczącym proporcem, na którym widniał kwiat lili. Zaczął mówić powoli: - Któregoś dnia -jakiś tydzień temu, gdy byłem na wachcie, widziałem statek. Pokazał się zaledwie na chwilę i prawie mogłem pomyśleć, że to wytwór mej wyobraźni. Wyglądało to tak, jakby wyrzał zza horyzontu, spojrzał na nas i znikł. To był piękny statek, Will.

1 francuski.

Przyjaciel zasepił się i spytał:

- Myślisz, że to do niego mogła należeć owa szalupa? Thomas wzruszył ramionami. Spędził cały dzień na „Gar-

landzie”, wyładowując cynę i tkaniny, a potem załadowując beczułki z rodzynekami i balast, którym zastąpiono ciężar metalu. Przenosząc beczułki i bele materiału, miał czas, by się zastanawiać.

- Nie wiem. To nielogiczne, ale... - przerwał.

Czasami w ciągu dnia wydawało mu się, że ów statek stał się jego obsesją, której nie mógł się pozbyć, gdyż napędzał ją zimny, wyrachowany gniew. Odwróciwszy się bokiem do przyjaciela, Thomas krzyknął do sternika, przekazując mu rozkazy.

- A więc będziemy... - podsunął mu William.

- ...go szukać. Albo też tego, kto odwiedził nas ostatniej nocy. Okrążymy Zante, zakładając, że ten, kto próbował ukraść cynę, nie może być daleko. Oddalili się tylko na taką odległość, by kilku posiniaczonych członków załogi znikło z pola widzenia.

- Thomasie... - zaczął ostrożnie William.

- Wiem. - Twarz Marlowe'a widoczna w srebrzystym blasku księżyca i świetle latarni kołyszącej się na rei wydawała się obo-

jętna i spokojna. - Znacznie rozsądniej byłoby popłynąć po prostu z powrotem do Livorno, dostarczyć Johnowi Keane'owi jego rodzinę i dać się poklepać po plecach Kompanii Lewantyń-skiej. Ale czy pomyślałeś, Williamie - oczy Thomasa, w mroku nocy pozbawione koloru, nabrały stalowoszarej barwy - co by się stało z „Garlandem” bez balastu, jaki stanowiła cyna?

- Przewróciłby się tyłkiem do góry i zatonął - odpowiedział ponuro cieśla. - A twój przyjaciel Hieronimo bez wątpienia tłumaczyłby to wiekiem statku, starymi belkami, czymkolwiek, byle dalekim od prawdy.

- A my nie zdołalibyśmy dowieść, że było inaczej. Po raz pierwszy popłynął pod moim dowództwem, a ja bym go stracił.

„Garland” sunął bezgłośnie po ciemnych wodach Morza Jońskiego.

- Mogę się założyć, że nasi nocni goście wciąż ukrywają się gdzieś na Zante. -

Thomas zmarszczył brwi, wsuwając palce w potargane, ciemne włosy. - Chciałbym wiedzieć, Williamie, kim oni są. Jeśli się nie dowiem, będę mi się śnił każdej nocy aż do końca życia.

Znaleźli Francuzów, gdy niebo na horyzoncie lekko się zaróżowiło.

Mogli byli ich nie zauważyć, gdyby nie wspaniały świt na Morzu Jońskim. Ów statek zarzucił wcześniej kotwicę w jednej z zatoczek na północ od Zante. Zatoczka, dostępna jedynie od strony morza, z trzech stron otoczona była wysokimi, sterzącymi pionowo skałami. Wąski skrawek białego piasku, znaczący wewnętrzną jej granicę, ukazywał się jedynie podczas odpływu. Nieoświetlony statek, ze zwiniętymi żaglami, z trzech stron osłonięty skałami, wydobywało z mroku koralowe światło, podkreślając kontury jego wdzięcznej sylwetki.

Thomas rozpoznał go jednak natychmiast. Żaglowiec nabrał teraz różowego odcienia, ale bez względu na kolor Thomas wszędzie poznałby te smukłe kształty i cztery wysokie maszty. Szare i srebrzyste barwy były złudzeniem, wywołanym światłem księżyca i bogactwem pozłacanych ozdób. To on odwiedzał nocą „Garlanda”, i choć pierwszym razem podpłynął tylko i spojrzał, druga wizyta miała gwałtowny przebieg.

Ani William, ani Thomas nie zasnęli tej nocy. Gdy jednak wypatrzyli francuski statek, wszelkie ślady zmęczenia zniknę-

ły, a Marlowe czuł jedynie ów znajomy gniew, którego doświadczył już wcześniej tej samej nocy.

- Jeśli nas widzieli, przy odrobinie szczęścia mogą pomyśleć, że płyniemy na zachód, do Kefalirii albo na Korfu. - Thomas skinął głową w kierunku galeonu, który zniknął szybko za skałami. - Będziemy dalej płynąć na północ, ale tylko po to, by móc rzucić kotwicę poza zasięgiem ich wzroku. A wtedy mam zamiar przyjrzeć się bliżej temu Francuzowi.

- A potem...? Thomas spochmurniał.

- Zatopiłbym to cholerstwo, gdybym mógł, Will. Ale czy zauważyłeś działa na pokładzie?

- To statek stworzony do walki - odrzekł z namysłem cieśla. Jego przyjaciel ruszył w kierunku rumpla.

- No! - odkrzyknął. - Ale z kim?

Zobaczyli wygodne miejsce do zakotwiczenia o jakieś pół mili dalej na północ. Północno-zachodnie wybrzeże Zante było podziurawione zatoczkami, więc bez większego trudu znaleźli pusty zakątek, z którego można było się dostać na wyspę. Wspinając się wraz z kanonierem na skały otaczające zatokę, Thomas zdawał sobie doskonale sprawę ze swego położenia. Statek francuski był większy i lepiej uzbrojony od „Garlanda”. Mógłby, gdyby chciał, zniszczyć Anglików, pozostając poza zasięgiem ich dział. Na otwartym morzu z łatwością prześcignąłby „Garlanda” dzięki swym większym żaglom i smuklejszej sylwetce.

Tak więc mogli tylko przyjrzeć mu się uważnie i poznać jego nazwę. Gdy gramolili się po kamieniach i szorstkiej trawie, porastającej wierzchołek skały, Thomas czuł, że wilgotna koszula przykleja mu się do pleców. Słońce stało już wysoko, przez podeszwy butów paliły go rozgrzane kamienie. Kwitły ostatnie kwiaty tego lata - złote i różowe, fioletowe i białe. Przyjrzy się uważnie tamtemu galeonowi i będzie czekał. Aż skończy budowę „Zimorodka”, aż znajdzie okazję do rewanzu.

Szli wzdłuż wybrzeża, ale w takiej odległości, by nie dostrzeżono ich od strony morza. Gdy dotarli do zatoczki, w której ukrywali się Francuzi, Thomasowi serce zaczęło bić szybciej. Skulił się i dotykając prawie brzuchem ziemi, podczołgał się do krawędzi skały. Ocierając dłonią pot z oczu, pomyślał, że

chciałby mieć teraz pod ręką działo. Armata wielkości Mons Meg wystarczyłaby, by zatopić ten przeklęty statek...

Tyle że to nie był jeden statek. Ujrzeni dwa.

Musiał zatkać Samuelowi dłonią usta, by stłumić jego głośny okrzyk. Wiedział, co chciał zawołać kanonier, i wiedział, że skały zwielokrotniłyby jego głos. Echo powtarzałoby bez końca: „Turcy!”, a owo oskarżenie odbijałoby się od potężnych, szarych murów niczym piłka.

Usłyszał tylko swój własny szept:

- Chryste!

Jego spojrzenie ześlizgnęło się z tureckiej galery i powędrowało w kierunku drugiego statku. Wydawał się taki francuski i doprawdy zachwycający. Gdyby najbardziej dręczącą wadę Thomasa stanowiła zawiść, to ten właśnie statek byłby go zniszczył. W każdym razie wziął głęboki oddech, zanim przyjrzał się jego pełnej wdzięku sylwetce, czterem potężnym masztom, błyszczącym, połączonym ozdobom, a w myślach porównywał go z planami i wyobrażeniami swego wspaniałego, niedokończonego „Zimorodka”. Usłyszał szept Samuela:

- To ta szalupa, jestem tego pewny! - i zobaczył niewielką łódeczkę przywiązaną liną do galeonu.

Francuski statek miał teraz opuszczone żagle. Na galerze podniesiono wiosła, a jej dziób, wymalowany w girlandy niebieskich kwiatów, skierowany był w stronę ujścia zatoki.

Nazwa żaglowca widniała na burtach, wymalowana złotem. Thomas odczytał imię „Fiametta” i po chwili biegł już w upale i kurzu z powrotem w kierunku „Garlanda”.

- Wenecjanie bowiem są przeciwni wysyłaniu cyny Turkom, by ci mogli odlewać działa. Sami mają wystarczająco dużo kłopotów z korsarzami, a to, co widzieliśmy, możesz mi wierzyć, Will, to był statek korsarski. Zapewne z Algieru albo Tunisu. Siedząc w kajucie kapitańskiej „Garlanda”, za stołem zarzuconym mapami, Thomas wytyczał już kurs powrotny do Toskanii. Postawiono szybko żagle, a sternik wyprowadzał statek z zatoki.

Nie podnosząc głowy znad stołu, Marlowe dodał:

- Domyślam się, że „Fiametta” jest w dobrej komitywie z Hieronymem i berberyjskimi korsarzami. Materiały do bu-

dowy dział w zamian za gwarancję, iż Zan te i jego statki będą pozostawione w spokoju. Żadnych lamentujących dziewczyc, uprowadzanych do algierskich haremów, żadnych towarów z Zakynthos, trafiających do ładowni Berberów. Hieronimo okazał się tak szczery, że powiedział nam poprzedniej nocy, iż jest lojalny wobec Zante, a nie Wenecji. Wenecja nie bierze udziału w tym rozdaniu. Jedynymi graczami są Carcandella, „Fiametta” i korsarze.

Rozwinął kolejną mapę i postawił na rogach ciężarki, by leżała płasko na stole.

- Cóż więc zrobisz? - zapytał z ciekawością William Williams.

- Co? Nic, oczywiście. Na razie. - Thomas wykreślił linię przez środek mapy. - To chyba przyjemny układ, nie sądzisz? No i wreszcie, czyśmy coś stracili?

Sprzedaliśmy nasz ładunek, kupiliśmy Keane'owi rodzinę. Zapłaciliśmy nieco zawyżone cło - to wszystko, ale nie więcej, niż byśmy zapłacili w Kandii czy Aleppo. Straciliśmy nieco cyny, ale tylko trochę, ponieważ nie byliśmy tak łatwym celem, jak się spodziewano na „Fiamet-cie”. W tej chwili nic nie mogę zrobić, Will.

- Wykreślił kurs, obierając najlepszą z możliwych dróg, wiodącą ku niepewnej przyszłości.

- Ale nie zostawisz go w spokoju? - usłyszał szept cieśli. Thomas zatrzasnął kompas i zatkał kałamarz.

- Chcieli nas zatopić, Will. Nie na otwartym morzu, nie podczas walki. Tak po prostu, jakbyśmy nic nie znaczyli.

Wstając, sam się zdumiewając, jak wielki gniew go rozpiera. Czuł, jak napięty ma każdy mięsień, pragnienie zemsty rozsadzało go niemal. Mogłoby się wydawać, że wszelkie frustracje i zawody, jakich doświadczył w ciągu ostatnich miesięcy, skupiły się w tej jednej, aroganckiej próbie pozbawienia go środków do życia oraz szacunku do siebie.

Wychodząc z kajuty, Thomas uświadomił sobie, że myślami powrócił do Serafiny. Być może zaczął ją rozumieć, kierował się wszak tym samym impulsem, który zawładnął jej chłodnym umysłem.

- A pan Keane? - Idący za nim William zawahał się lekko. - Powiesz mu?

- Nie sądzę. - Thomas pokręcił głową. - Nie sądzę, żeby „Fiametta” miała interesować kogokolwiek prócz nas.

Unikał jednak wzroku przyjaciela. Kompania Lewantyńska była mu potrzebna na jakiś czas, ale nie, jak przypomniała mu ta podróż - na zawsze. Sprawiedliwość, której się domagał, to jego własna, prywatna sprawa i nie należała do Kompanii. Tak naprawdę, zemsta była tylko jego celem i nikogo innego.

Konwój Angielskiej Kompanii Lewantyńskiej dopłynął do Livorno pewnego chłodnego, jesiennego poranka.

Składał się z trzech statków: „Legacy”, „Samsona” i „Saviour of Bristol”. Pomyślnie wiatry i nieustanne ponaglenia kapitanów przyspieszyły podróż. Przez długie tygodnie spędzone na statku znosili mało urozmaicony jadłospis i nieprzespane noce, żyjąc myślą o handlu. Kapitan „Legacy”, zawiąwszy do Livorno, nie tracił czasu. Choć ledwie zaczynało świtać, na horyzoncie pojawił się pasek zimnego, szarego światła - on raz jeszcze przeczytał adres na liście, wsunął go do kieszeni i ruszył na poszukiwanie Johna Keane'a.

Statek Keane'a, „Garland”, odłączył się od konwoju podczas letniego sztormu i od tamtej pory stał w Livorno, naprawiany i odnawiany. Na pewno doprowadzili już do porządku tę starą łajbę, pomyślał kapitan „Legacy”, opuszczając port i idąc ciasnymi uliczkami biegnącymi we wszystkich kierunkach. Stracili już zbyt wiele czasu - w ciągu tygodnia wszystkie cztery jednostki muszą być gotowe do podróży do Aleppo i z powrotem.

Port zaczynał się budzić: rybacy stawiali żagle na swych łodziach i składali sieci. W wysokim i wąskim domu Keane'a, znajdującym się o zaledwie kilkaset kroków od doków, panowała cisza. Przez niezastłonięte okno na piętrze widać było znajomy, okrągły kształt lutni. Kapitan „Legacy” niecierpliwie załomotał do drzwi. W zimnym powietrzu jego oddech zamieniał się w obłoczki pary. Prosty, pozbawiony ozdób kubrak miał zapięty wysoko pod szyją. Był głodny i zmęczony, śliskie kamienie brukowe poruszały mu się pod nogami jak drewniany pokład galeonu.

Drzwi otworzył mężczyzna ubrany w koszulę nocną, na którą narzucił płaszcz obszyty futrem. Mrużąc zaspane oczy, usiłował rozpoznać stojącego przed nim przybysza. Po chwili cała jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

- Edward! - zawołał John Keane, ściskając dłoń kapitana „Legacy”. - Edward Whitlock!

Nie minęło pół godziny, a Edward Whitlock siedział w saloniku Johna Keane'a, mając przed sobą talerz ze stekiem i jajkami, a obok szklanice z grzanyim winem.

- ...to dobre statki. Wszystkie trzy - wymamrotał gość, mając w ustach kawał mięsa.

- Powinniśmy być gotowi, by popłynąć do Aleksandretty w ciągu kilku tygodni.

John Keane, już ubrany, trzymał w dłoniach cynowy kubek i unikał znaczącego spojrzenia Edwarda. Ned Whitlock był dobrym, inteligentnym, pracowitym człowiekiem, ale bardziej popędliwym od karła zatrudnionego u Johna jako pomocnik kucharza. Nie po raz pierwszy Keane, interesujący się nieco filozofią naturalną, pomyślał, że Whitlock odznacza się cholerycznym usposobieniem. Miał suche, czerwone włosy prawdziwego choleryka, i nawet teraz, podczas posiłku, nie mógł usiedzieć spokojnie i nieustannie wystukiwał butem na wypolerowanej drewnianej podłodze jakiś rytm.

John postanowił, że później wyjaśni Whitlockowi nieobecność „Garlanda” i dał znak służącemu, by napełnił kubki.

- Jaki ładunek wiesz, Ned?

Stek prawie już znikł z talerza; Whitlock wytarł chusteczką usta.

- Przede wszystkim płótna i ozdobne wstążki. Ale mamy też trochę ładnych naczyń cynowych oraz noże i nożyczki. No, a na pokładzie „Savioura” jest trzysta funtów cyny w postaci zastawy i sztabek. - Whitlock, odchyliwszy do tyłu wielką, lwią głowę, opróżnił drugą szklanice wina. - „Garland” wiozł cynę, prawda, Jack? Keane unikając wciąż spojrzenia jego szarych, wypukłych oczu, dorzucił drew do ognia.

- Tak. Ale to były sztabki, a nie talerze. - Wykrzywił twarz. - Sądzę, że poszedłby na dno, gdyby nie cyna w roli dodatkowego balastu. Burza dała mu się bardzo we znaki.

Mina Whitlocka wyrażała współczucie.

- Nikt niczego ci nie zarzuca, John, postąpiłeś tak, jak należało. - Odstawiwszy dalej pusty talerz i przełknąwszy ostatni kawałek mięsa, powędrował wzrokiem w kierunku okna, za którym rozciągał się pobliski port. - Czy twój statek jest już zdatny do żeglugi?

- O, tak. - Keane przeklął w głębi ducha kapitana „Legacy” za pośpiech, a „Garlanda” za spóźnienie. - Zniszczenia by-

ły w dużej mierze powierzchowne i znalazłem dobrych fachowców, którzy wykonali wszelkie naprawy. No i kupiłem jeszcze jeden statek.

W końcu zdołał zainteresować Whitlocka, który przestał postukiwać butem w podłogę i otworzył szerzej szarozielone oczy.

- Właściwie to go wynająłem - jest gotów dopiero w połowie, a właścicielowi zabrakło pieniędzy, by skończyć budowę. Pokrycie kosztów materiałów w zamian za pięcioletnie użytkowanie - to chyba korzystny kontrakt, jak sądzę. No i ten statek to cudo, Ned, to coś wyjątkowego. Musisz go zobaczyć.

Whitlock wstał zza stołu i sięgnął po rękawiczki i kapelusz.

- Być może. Ale teraz musimy się przygotować, by móc jak najszybciej wypłynąć w drogę. Czy załadowano już cynę na twój statek, czy też ładunek jest jeszcze w magazynie?

Nie było rady. Keane wziął głęboki oddech.

- „Garland” wziął ładunek i popłynął, Ned. Na Zante. - Tym razem nie uniknął spojrzenia Whitlocka. - Ładunek obrastał kurzem przez trzy miesiące - ciągnął cierpliwie, czując się urażony faktem, iż musi się tłumaczyć niczym uczeń. - Thomas zaproponował, że popłynie na Zante - to niezbyt daleko, a on jest cholernie dobrym sternikiem. Zgodziłem się więc. - Keane także wstał i szykował się do wyjścia.

- Thomas? - zapytał Whitlock, marszcząc brwi. - Jaki Thomas?

To dziwne, ale nie zwrócił uwagi na fakt, iż „Garland” popłynął sam.

- Thomas Marlowe jest właścicielem „Zimorodka” - tego statku w budowie - wyjaśnił John. - Nadzorował naprawę „Garlanda”. Będzie z powrotem, zanim pogoda się pogorszy. Zna się na rzeczy, Ned, zapewniam cię. A w ogóle to Marlowe pracował dla Kompanii wcześniej - był sternikiem na „To-bym”. Pamiętasz, Ned, „Toby” poszedł na dno u wybrzeży Maroka w 1593 roku. - Niewłaściwie odczytał wyraz twarzy kapitana „Legacy”. - Wydaje mi się, iż ogólnie wiadomo, że to nie sternik był odpowiedzialny za zatonięcie „Toby’ego” - dodał pospiesznie Keane. - Richard Staper przyznał się chyba, że popełnił błąd, mianując George’a Goodlaya kapitanem. Pewien jestem, iż Thomas będzie się troszczył o „Garlanda”. Wróci lada dzień z ładunkiem rodzyneków, a wtedy ktoś inny może popłynąć tym starociem z powrotem do Londynu.

Raz jeszcze przeklął w myślach nieobecnego kapitana. Edward Whitlock nie poruszył się: wytrwał spokojnie przez całą minutę. Po chwili odezwał się cicho: - Thomas Marlowe? No proszę, a myślałem, że on nie żyje. Keane zarzucił sobie płaszcz na ramiona i wcisnął na głowę kapelusz.

- Wróć lada dzień - powtórzył uspokajająco. I dodał, zmieniając temat na najgorszy z możliwych: - A jak się miewa twoja rodzina, Ned? Co słychać u twojej uroczej żony?

Nie mógł pojąć, czemu Edward ryknął jak niedźwiedź i rzucił się do drzwi, jakby chciał je wyrwać z zawiasów.

Tej jesieni kupiec Jacopo Capriani znowu dostał ataku malarii. Gorączka spadła dość szybko, ale wszelkie mikstury i lekarstwa, które przygotowywała Serafina, nie mogły wyleczyć kaszlu, jaki zostawiła choroba. Kaszel wstrząsał całym ciałem kupca, szarpał mu płuca, nadwerężone już przez wieloletnie ataki gorączki bagiennej. Serafina przypomniła sobie zapis w notatniku Kara Alego: „*phthisis* - wyniszczająca choroba płuc” i przypomniła sobie także, że Allah nie pozwolił medykowi znaleźć na nią lekarstwa.

Nie miała czasu ani energii, by zastanawiać się, jakie konsekwencje spowoduje owa diagnoza dla niej samej. Mając lat siedemnaście, w środkowych miesiącach bardzo niechcianej ciąży, zdała sobie sprawę z tego, że odkąd jej status społeczny się zmienił, nie ma po prostu okazji, by rozmyślać o sobie. Stan zdrowia Jacopa pogorszył się i równocześnie powiększyły się też jego żądania. Jęczący głos męża drażnił jej nerwy, i tak już maksymalnie napięte, a jego nieustanne potrzeby uczuciowe pozbawiały ją własnych, ograniczonych zasobów cierpliwości. Choć nie egzekwował swych praw małżonka, wciąż jednak chciał, by leżała w nocy u jego boku; pragnął słyszeć jej głos, gdy bezsenność przypominała mu o kruchości życia; chciał ścisnąć jej dłoń, gdy przypominał sobie o samotności grobu. Serafina często łapała się na tym, że powieki jej opadały, gdy sprawdzała księgi rachunkowe, czasami zaś miała pokusę, by posłać Amadea, aby sprawdził ostatnie bele jedwabiu przybywające do Livorno. Ale zawsze w porę przypominała sobie, że tylko ona jest tak dokładna w rachunkach, że tylko ona ma dobre oko do wysokogatunkowego jedwabiu. Po to wyszła za mąż, po to prowadziła walkę.

Jacopo odmówił wzywania lekarza. Uważał, że wszyscy medycy to sępy, żądają absurdalnych sum za nieskuteczne lekarstwa. Serafinie pozostało więc przyrządzać własnymi rękami najodpowiedniejsze specyfiki Kara Alego i podawać je mężowi, który z każdym dniem coraz bardziej stękał. Rozumiała jego lęki: sama też miała powody do obaw. Jeśli Jacopo umrze, ona zaś urodzi córkę, wówczas ponownie znajdzie się bez grosza.

Ponieważ kupiec coraz częściej kładł się do łóżka, Serafina była obarczona coraz większą odpowiedzialnością za firmę. Nie dopuszczając do siebie gorzkiej myśli, iż owa kukułka, którą nosi w łonie, może pozbawić ją wszelkich korzyści materialnych - nadal jeździła konno do Livorno, nadal osobiście wybierała nowe tkaniny i pokazywała swe towary w wielkich *palazzo*, mając u boku Amadea lub nowego kancelistę, Michèle. Cięża nie była jeszcze widoczna; Serafina poszerzyła suknie i zamówiła kilka nowych, a gdy zasnurowała mocno stanik, jej brzuch był płaski jak zawsze. Mobilizowała wszystkie siły wewnętrzne, jakie posiadała, by nie myśleć o tym, co miały jej przynieść najbliższe miesiące. Ale czasami owe myśli stawały się silniejsze od niej i zwyciężały ją, przypominając, że nie może uniknąć pewnych ograniczeń. Siedząc w książęcym *palazzo* w Sienie, poczuła pierwsze lekkie ruchy nowego życia, które nosiła, i te słabe drgnięcia, podobne do trzepotania ryby, przypawiło ją o mdłości. Musiała kazać Amadeowi, by sam spisał kontrakt: palce jej tak drżały, że nie mogła utrzymać pióra.

Tylko raz czy dwa zdarzyło jej się pomyśleć o Thomasie, gdy pewnego zimnego dnia w listopadzie znalazła się w dokach Livorno, z dokładnie zasłoniętą twarzą, i kątem oka zobaczyła jego statek - już nie w suchym doku, ale przycumowany w porcie. Na dziobie połyskiwał dumnie wielki złoto-turkusowy ptak, wpatrujący się w Morze Liguryjskie, jakby chciał wyrwać się z klatki portu i poszybować po falach. Patrząc na „Zimorodka”, Serafina doświadczyła nagle kłującego uczucia rozpacz. Uczucia, jakby czegoś jej brakło, jakby z własnej winy straciła coś o niedającej się wyliczyć wartości.

Thomas wypłynął z Livorno, mając nad sobą czyste, błękitne niebo, wilgotne od gorąca i pełne brzęczących komarów. Teraz powietrze stało się ostre i zimne, a wiatr wzburzył morze, ozdabiając szarozieloną wodę gęstą, białą pianą. Gdy tylko przybili do

portu w Livorno, a „Garland” był bezpieczny i czysty, Thomas posłał Williama Wilhamsa, by powiadomił Johna Keane'a o ich szczęśliwym powrocie, a sam pospieszył do „Zimorodka”.

Choć czuł się zmęczony po niespodziewanie trudnej podróży, zapomniał o wyczerpaniu, rozglądając się po swym statku. Na pokładach wałało się wciąż jeszcze pełno różnych śmieci, nieuniknionych przy budowie: naczyń po farbie, młotków, beczulek z gwoździami i wiórów - ale konstrukcja kadłuba była już dawno gotowa. Zakończono też uszczelnianie, konieczne, by ochronić drewno przed wodą morską. Maszty i reje już stały, a w zapadającym powoli mroku Thomas wyobrażał sobie, że wkrótce ozdobią je żagle i liny. Dziób pomalowano w intrygujące złote i niebieskie koła i ornamenty, a okrężnice wokół rufy zaczęto ozdabiać szewronami i rombami w tych samych kolorach. Niecierpliwymi i dumny dziób galeonu sterczał ponad wzburzonym morzem.

Zapomniawszy tym razem o ostrożności, Thomas nie dosłyszał kroków.

- Ho, ho, ten statek doprawdy robi wrażenie - odezwał się nagle ktoś za jego plecami. - Był pan ostatnio zapracowany, prawda, panie Marlowe?

Sternik obrócił się na pięcie.

- Ale cóż, pan nigdy nie próżnuje. Zawsze wynajdywał pan sobie jakieś zajęcie.

Mężczyzna stojący na głównym pokładzie był wyższy i potężniejszy od Marlowe'a. Nie od razu rozpoznał jego głos, należał bowiem do przeszłości - ostani raz słyszał go w Greenwich.

- Edward Whitlock - wyszeptał Thomas i poczuł, że zasycha mu w gardle.

- Zgadza się. - Whitlock z uśmiechem zrobił krok do przodu. - Nie byłem pewien, czy będzie mnie pan pamiętał. W końcu lepiej ode mnie znał pan moją żonę, nieprawdaż?

Na pokładzie kładły się czarne cienie, a Edward Whitlock miał u boku szpadę dość okazałych rozmiarów. Thomasowi serce zaczęło walić mocniej. Ukradkiem sięgnął ręką po sztylet.

- Kompania Lewantyńska - odezwał się, wypowiadając na głos nagłe i trafne przypuszczenie, które przemknęło mu przez głowę. - Statki przypłynęły, a pan jest...

- ...kapitanem „Legacy”, dowodzę też konwojem. Pamięta pan „Legacy”, prawda, panie Marlowe? Niewielki, miły stateczek.

- Sterowałem nim.

Thomas ukradkiem zacisnął palce na rękojeści sztyletu. W głębi ducha przeklinał siebie, iż nie przewidział tak fatalnej możliwości. Doskonale pamiętał ostatnie spotkanie z Edwardem Whitlockiem: wciąż jeszcze czuł ów cholerny bluszcz rwący mu się w dłoniach i rozpaloną kulę, która sparzyła go w policzek. Pamiętał także gładką skórę Faith Whitlock pod swymi ciekawymi palcami i miękką obfitość jej uległego ciała.

Powracając prędko do skomplikowanej terażniejszości, Thomas dodał:

- Płynąłem na „Legacy” do Aleksandretty. Dwa razy.

Tak naprawdę to nie sądził, by udało mu się wciągnąć Neda Whitlocka w przyjacielskie wspomnienia o dawnych podróżach, ale im dłużej zdoła utrzymać jego dłoń z dala od szpady, tym większa szansa, że pojawią się John Keane i William Williams. A jeśli John Keane dyplomatycznymi metodami nie wyperswaduje Whitlockowi chęci walki, wówczas potężne ciało i spokojne usposobienie Williama Williamsa pomogą przynajmniej Thomasowi zmniejszyć impet uderzenia.

Ale port opustoszał; całe Livorno opuściło Thomasa, pozostawiając go na pastwę ogarniętego żądzą zemsty zdradzonego męża, którego wszak nie miał najmniejszej ochoty spotkać. Edward Whitlock zaczął przechadzać się po głównym pokładzie, przytykając od niechcienia palcami w zwoje liny czy niedokończoną stolarkę.

- Myśleliśmy, że poszedł pan na dno razem ze statkiem, panie Marlowe. Muszę przyznać, iż raczej ucieszyła mnie ta wiadomość. - Uśmiechnął się nieprzyjemnie. - Powiedziałem Faith o zatonięciu „Toby'ego”, kiedy byliśmy na bankiecie wydanym przez Kompanię. Nie uroniła nawet jednej łzy, panie Marlowe. Ani jednej łzy.

W Thomasie krew zaczęła się burzyć, co było równie nieuchronne i znajome, jak fale rozbijające się o kadłub „Zimorodka”. Odezwał się chłodno:

- Powinien pan chyba opuścić mój statek, panie Whitlock. Myślę, że nie mamy o czym rozmawiać.

Kapitan „Legancy” przestał na chwilę krążyć po przednim pokładzie i stanął z jedną nogą na schodach prowadzących na środkowy pokład.

- Ależ owszem, drogi panie. Mamy pewną sprawę do omówienia.

Powoli obiegi spojrzeniem cały pokład, od dziobu po ster. Thomas ujrzał na jego twarzy uśmiezek i poczuł nagle, że strach ściska go w żołądku.

- Musimy porozmawiać na temat tego statku, panie Marlowe - mówił cicho Whitlock. - Wydaje mi się, że Kompania Lewantyńska wypłaciła panu pieniądze na dokończenie budowy. Muszę pana z żalem poinformować, że już go nie chcemy. Mamy zbyt wiele żaglowców, panie Marlowe, a ten - wspiał się po schodach na środkowy pokład - nie jest już nam potrzebny.

- Zawarłem umowę - Thomas zacisnął palce wokół noża i uświadomił sobie, że z trudem panuje nad własnym głosem. - Podpisałem umowę z panem Keane'em. Whitlock raz jeszcze się uśmiechnął.

- Jestem przełożonym Johna Keane'a, panie Marlowe. Oświadczyłem mu właśnie, że kontrakt jest nieważny. Ten statek pozostanie niedokończony i obawiam się - zacisnął palce na barierce biegnącej wokół środkowego pokładu i szarpnął ją mocno - że nadaje się tylko na podpałkę. - Urwał listwę jednym silnym ruchem. - Na podpałkę - powtórzył, łamiąc pomalowaną już barierkę na dwie części i zrzucając kawałki na niższy pokład.

- Ty bękarcie! - Marlowe zrobił krok w kierunku schodów, wyciągając nóż.

- Niech pan uważa, panie Marlowe! Żądam zwrotu pożyczki, którą udzielił panu wcześniej John Keane. To tylko kwestia określenia wartości, zapewniam pana. Ten kadłub będzie miał dla nas większą wartość jako drewno, Kompanii zawsze brakuje dobrego budulca. A poza tym, bękarty to chyba bardziej pańska specjalność. A więc Whitlock zamierzał domagać się zwrotu pożyczki Johna Keane'a, której on, Thomas, nie będzie mógł spłacić. I w zamian za to, że sięgnął po własność Edwarda, ten postara się, by „Zimorodek” nigdy nie wypłynął w morze. Zetnie maszty, porąbie deski z pokładu i rozbierze kadłub na drewno opałowe, do którego go przyrównał.

Nie. Zbyt długo i zbyt ciężko o niego walczył. Mógł stracić życie w wodzie i w ogniu, kłamał i dokonał kradzieży - wszystko dla tego statku.

Thomas wiedział, że zaraz powie coś niewybaczalnego, ale stwierdził, że nie dba już o nic. Tak naprawdę to czerpał z tego satysfakcję. Podobną przyjemność sprawiało mu oczekiwanie na walkę, jaką sprowokuje swymi słowami.

- Niewątpliwie doki pełne są mych bachorów - oznajmił wyraźnie, zrównując się z Whitlockiem. - Podobnie jak domy w pobliżu doków pełne są rogaczy.

Usłyszał, że Edward wciąga w płuca powietrze i ujrzał w jego oczach złość równą tej, jaka paliła się w nim samym. Whitlock wyszarpnął z pochwy szpadę, na której ostrzu ostatnie promienie zachodzącego słońca rozpałył ogniki.

- To mój statek - powiedział cicho Thomas. Zejdź z mego statku, Whitlock, zanim cię z niego zrzucę.

Tamten uniósł szpadę i wykonał pchnięcie w jego kierunku. Marlowe uskoczył na bok, chwytając jednocześnie kawałek drewna. Oszacował już przeciwnika, gdy tylko mąż Faith postawił stopę na „Zimorodku”: wróg był silny, ale powolny i ciężki. To dlatego wolał pistolety. Miał dobre oko, brakowało mu jednak koordynacji ruchów i prędkości. Drewno zmieniło nieco kierunek uderzenia szpady: dał się słyszeć przyjemny chrzęst i na pokład posypały się drzazgi. Mój statek, pomyślał Thomas, wykrzywiając twarz.

Ale Whitlock też schwycił coś z pokładu. Młotek. Wróg uniósł potężne, silne ramię i zakreślił młotkiem, wałąc wielokrotnie w delikatne listwy, aż drewno roztrzaskało się i zamieniło w trociny.

Ktoś ozdobił balustradę, malując na niej małe, złote kwiaty na niebieskim tle.

Thomas zapragnął zabić swego przeciwnika.

- Bękart! - zawołał ponownie, rzucając się z nożem na przeciwnika.

Whitlockowi wyslizgnęła się szpada i upadła z brzękiem na deski niższego pokładu.

Młotek uderzył Thomasa w rękę, tak że nóż przejechał jedynie po materiale.

Whitlock rzucił się gwałtownie na okrężnice, na bezanmaszt, na deski pokładu.

- To nazywasz statkiem? - zawołał, ciskając zwój lin do morza. - Nie przepłynąłbyś nawet Tamizy w tym pudle - pęknie na pół przy pierwszym wietrze!

Wolną ręką chwycił kolejną listwę i wrzucił ją w ślad za liną. Morze wciągnęło chciwie kawałki drewna. Thomas miał

przed oczami czerwoną mgłę; ściskając wciąż nóż w dłoni, rzucił się na Whitlocka. Tym razem wiedział, że pozostawił ślad na ciele wroga. Poczuł, jak uderzenie wytraciło nagle impet, gdy ostrze natrafiło na ciało i kość. Jego przeciwnik zachwiał się, chwytając powietrze otwartymi ustami, a ciemne krople krwi zbrukały pokład. Ale tego było dlań za mało. Miał szkliste oczy, a mokre od potu włosy lepiły mu się do głowy, gdy ponownie uniósł ramię. Schyliwszy się szybko, Thomas poczuł, jak młotek wali go w obojczyk i wiedział, że gdyby tamten uderzył celniej i dosięgnął jego czaszki - zabiłby go. Uderzenie pozbawiło go czucia w ręce, nóż wyslizgnął mu się z bezwładnych palców i poleciał w odległy kąt pokładu.

W końcu jednak to nie Whitlock go wykończył, ale jego własny, budzący zachwyt i lęk, „Zimorodek”. Tańczyli jakiś śmiertelny, absurdalny taniec, on i Edward, ściskając jeden drugiego za ręce, chwytając palcami za włosy, koszulę, skórę. Była w tym dziwna zgodność: wściekłość Whitlocka i jego własna doskonale ze sobą współgrały, każdy z nich pragnął śmierci przeciwnika.

Ale wreszcie przeturlali się o jeden raz za dużo. Whitlock, cięższy od Thomasa, przygniótł go do niedokończonej balustrady. Bariierka, przybita tylko z jednej strony, zaskrzypiała i pękła, nie broniąc już dostępu do morza. Edward Whitlock miał tylko czas, by rozluźnić chwyt, odchylić się do tyłu i upaść na kolana, gdy okrężnica runęła w kawałkach do wody.

Thomas spadł razem z nią. Jedną ręką chwycił się belek, lin, wszystkiego po drodze, druga zaś zwisała bezwładnie u jego boku. Upadł niezgrabnie, czyniąc nagły zamęt wśród roztrzaskanych kawałków stolarki i uderzył głucho głową w jedną z większych desek unoszących się na powierzchni morza.

Wszystko, co mu zostało, to gmatwanina niedokończonych myśli. Zimne fale przyprawiły go o wstrząs, woda wlewała się do nozdrzy, uszu, oczu. Wydawało mu się, że ma tylko jedną rękę -co się stało z drugą? Morze uniosło go niczym jeszcze jeden szczątek rozbitego statku i cisnęło nim niedbale o kadłub „Zimorodka”.

Morze, jego obsesja i jego wróg. I „Zimorodek”, którego kochał tak wiernie, jak nikogo na świecie. Zjednoczywszy siły, zabijają go pospołu.

Dotarli do „Zimorodka” dokładnie wtedy, gdy Edward Whitlock skończył rąbać bezanmaszt. Z odległego krańca portu William dostrzegł dwie postacie - złączone i rozdzielone, i jeszcze raz sczepione. A potem, nagle, widać już było tylko jedną sylwetkę.

Zaczęli biec, on i John Keane. Dla Keane'a były to jedynie niewyraźne, pozbawione twarzy marionetki, ale słyszał odgłosy trzaskającego drewna i kolejne pluski, gdy Whitlock wrzucał jakieś trudne do zidentyfikowania przedmioty do morza. Znajdowali się w połowie drogi, gdy Whitlock zamienił młotek na siekiere. Cieśla podbiegł do schodni, wdrapał się bez tchu na środkowy pokład i wyrwał Whitlockowi z zaciśniętych dłoni siekiere właśnie wtedy, gdy bezanmaszt zaskrzypiał i padł, zamieniając rufę w drzazgi.

Wcześniej były jednak dwie sylwetki. Gdy William precyzyjnie uderzył kapitana „Legacy” w szczękę, John Keane zobaczył jeszcze połamaną okrężnicę. Kucnąwszy na skraj środkowego pokładu, spojrział w dół, na morze.

Było już prawie ciemno i chyba nigdy jeszcze tak nie żałował, iż ma słaby wzrok. Ale dostrzegł, że tam, w dole, pływają kawałki drewna, mnóstwo lin i puste beczki, które chwiały się na falach. Na wodzie unosiło się też ciało, odwrócone plecami do góry, z czarnymi kosmykami włosów podobnych do wodorostów, z rozrzuconymi, bezwładnymi kończynami, objijającymi się wciąż o drewniany kadłub „Zimorodka”. - Williamie! - zawołał Keane, ale cieśla był już przy nim zdjął w biegu buty i rzucił sztylet na pokład.

Gdy John znalazł odpowiednią linę, William wskoczył do wody. Whitlock leżał nieruchomo na środkowym pokładzie. Do diabła z mm, pomyślał agent, przywiązując jeden koniec liny do kikuta bezanmasztu, do diabła z tym cholerycznym bękartem. Statek, na który także i Keane patrzył pożądliwie Whitlock zniszczył i pokierszował. A właściciel statku zapewne już nie żył.

Kłęcząc obok połamanych kawałków barierki, Keane wpatrywał się zmrużonymi oczami w chaos na dole. William Williams trzymał już Thomasa za włosy. Morze falowało i próbowało ich rozdzielić, ale cieśla trzymał go mocno, przełożywszy sobie przez pierś ramię przyjaciela. John dostrzegł i pojął krótkie spojrzenie Williama i zaraz zwój liny rozwinął się i poszyb-

wał w powietrzu, uderzając w kadłub „Zimorodka”, szybki i giętki niczym wąż. Williams wyciągnął rękę i jakimś cudem schwycił ogon węża.

Ta część zadania okazała się łatwa. Trudniej było obwiązać liną nieprzytomnego człowieka, utrzymując się jednocześnie na powierzchni zimnej i niespokojnej wody o głębokości dwudziestu stóp. Trwało to długie, straszne minuty, które zmniejszały szanse Thomasa na przeżycie, czego Keane był świadom. Ale w końcu udało się i John, rzuciwszy okiem wokoło, by się upewnić, że Whitlock nadal leży bezwładnie - zaczął ciągnąć.

Był to solidny ciężar i Keane, mniej więcej wzrostu i wagi Thomasa, musiał zacisnąć zęby i napiąć wszystkie mięśnie. Ale dłonie służyły mu w życiu nie tylko do strojenia lutni czy przesuwania figur szachowych: gdy cieśla, który opłynął dziób statku i wdrapał się na nadbrzeże, pojawił się przy nim, agent zdołał już wciągnąć nieprzytomnego sternika na pokład.

Jego ciało było jedną zmaltretowaną, posiniaczoną masą. William położył Marlowe'a na deskach pokładu. Gdy topielec leżał twarzą w dół, Keane zaczął wypompowywać mu wodę z płuc. Marlowe miał krew na rękach, na plecach, na twarzy, jego koszula nabrała szkarłatnej barwy. Morze wypilo mu krew z żył. John przerwał na chwilę i spróbował wyczuć puls na szyi Thomasa - z ulgą poczuł słabe, lecz uparte trzepotanie.

Kiedy niedoszły topielec wykaszlał już hektolitry morskiej wody na zniszczony pokład „Zimorodka”, owinęli rannego w płaszcz Johna i cieśla zarzucił go sobie na ramiona. Thomas nie otworzył oczu ani się nie odezwał. Tylko Keane, gdy po raz ostatni rzucili okiem na zrujnowany statek i człowieka leżącego wciąż na pokładzie, zapytał z westchnieniem:

- I o co im, do diabła, poszło?

Jako że Marlowe dopiero co powrócił z wielotygodniowego rejsu, a zaraz po tym morze znów próbowało go wziąć w swe zimne objęcia, Thomasowi wydawało się, że wciąż czuje pod nogami kołysanie.

Z początku była tylko ciemność, zamęt i niespokojne morze oraz liczne ciosy, które pozbawiły go przytomności. Ciemność nie była przykra: nie pozwalała mu pograżać się w myślach. Potem, stopniowo Thomas zrozumiał, że tonie. Pochwyliła go śmierć, której lękają się żeglarze: morze wleje mu się do płuc,

wypierając powietrze i uczyni zeń białego, opuchniętego potwora, w którym z trudem można rozpoznać człowieka. Był znów na „Tobym”, gdy statek wywrócił się do góry dnem w pobliżu Maroka: połamane drzewca dźgały go, gdy próbował pływać. Kończyny go nie słuchały, ręce miał skrępowane. Potem zobaczył, że dotarł do brzegu i że tuż przed nim leżą porzucane złote dukaty niczym pozłacane muszelki. Thomas wyciągnął rękę, by dotknąć wbitych w piasek monet. Rozpostartymi palcami wodził po ich gładkich i twardych powierzchniach, ale wyslizgiwały mu się z rąk i czuł, że morze nieubłagane wciąga go z powrotem, że woda go dusi.

W końcu uświadomił sobie, że fale się uspokoiły i że ktoś koło niego siedzi. Czasami wydawało mu się, że to Dżamila, kobieta z plemienia Tuaregów, w błyszczących jedwabnych i złotych chustach. Potem przekonał się nagle, że to Serafina. Miał jej coś ważnego powiedzieć, ale nie mógł, mając usta pełne morskiej wody. Wydawała mu się bardzo piękna, z gładkimi, ciemnymi włosami i skośnymi, przejrzystymi oczyma, ale kiedy się odwróciła, zobaczył, że na brodzie ma bliznę. Serafina zjawiała się nagle i równie nagle zniknęła. Thomas prawie uśmiechnął się sam do siebie, w ten sposób bowiem pojawiła się w jego życiu. Ale potem ktoś zaczął zadawać mu straszny ból, ciągnąc go za kończyny. Chciał krzyknąć, ale jedyne odgłos, jaki mógł wydać, było to bulgotanie wody w płucach. Thomas stwierdził, że jest zadowolony, gdy wreszcie fale raz jeszcze rozbiły się o jego głowę i znów ogarnęła go ciemność.

Zabrali rannego z powrotem do domu Johna Keane'a i posłali Antonia po medyka. Doktor, opukawszy i poszturchawszy niezręcznie nieprzytomnego Thomasa, powiedział im to samo, co podejrzewali wcześniej: połamane żebra, złamany obojczyk, poważny uraz głowy. Jeśli ów ranny doznał także pęknięcia czaszki (czego nie był pewien), wówczas dostanie wysokiej gorączki i umrze. Pacjent napił się dużo wody morskiej, co zawsze osłabia organizm. Medyk mruknął jeszcze coś pocieszającego o pijawkach i agent pokazał mu drzwi.

Thomas obudził się dopiero po północy. Keane i Williams spali: jeden przy kominku w saloniku, drugi w cywilizowanym łóżku z baldachimem. Antonio siedział w w sypialni gościnnej i miał przykazane, by obudzić swego pana, jeśli zajdzie jakaś

zmiana w stanie rannego. Służącemu także zaczęły opadać powieki; Thomas wciąż leżał nieruchomo niczym wyrzeźbiona w kamieniu postać.

Cały dom i większość ulicy obudziła się jednak, gdy Edward Whitlock zastukał do drzwi frontowych.

- Keane! - wrzasnął, waląc pięściami w drzwi. - Keane! Wiem, że ten bękart jest tutaj!

To właśnie wtedy Marlowe poruszył powiekami i zdołał otworzyć oczy. Antonio, słysząc kroki na schodach, otworzył drzwi.

- ...jeśli będziesz się zachowywał jak dżentelmen. - Zimny i twardy niczym żelazo głos Johna Keane'a dotarł wreszcie do sypialni. - Nie pozwolę na żadne awantury w moim domu.

Zapadła cisza. Antonio wymacał ręką sztylet, który zawsze nosił ukryty pod kubrakem. Ale usłyszał odpowiedź Whitlocka.

- Zgoda. Przysięgam, że nie tknę go palcem, póki jest pod twoim dachem.

Kroki słysząc było coraz bliżej, otworzyły się drzwi do saloniku. 5 .

- Williamie - zabrzmiał głos Johna Keane a. - To jest Edward Whitlock, kapitan „Legacy”, którego widziałeś ostatnio na pokładzie „Zimorodka”.

Antonio wstał po cichu i otworzył drzwi od sypialni. Poznał Whitlocka, pamiętał go z poprzedniej wizyty, ale tym razem czoło gościa zdobił duży, purpurowy siniak, a pod płócienną koszulą bieleło coś, co wyglądało na bandaż.

- Przyszedłem, żeby panu powiedzieć, panie Keane, że ten człowiek nie będzie pracował dla Kompanii. Nie wiem, jakie pan z nim zawarł umowy, ale ja ich nie podpiszę. Jestem pewien, że moi koledzy w Londynie udzielą mi poparcia w tej kwestii.

Zapadła cisza. Antonio dotknął palcem ostrza swego sztyletu. I zaraz usłyszał głos messera Keane'a:

- Doskonale, Ned. Tak czy owak, on może z tego nie wyjść, więc twoje protesty stracą rację bytu.

Znów chwila ciszy. Potem pan Keane zapytał:

- A statek? Czy warto stracić ten statek bez względu na przedmiot waszego sporu?

- Statek może iść na dno, jeśli o mnie chodzi! - Antonio słyszał, jak Whitlock nabrał powietrza i ciężko stąpa po pokoju.

- Marlowe spłaci każdego pensa, którego mu pożyczyłeś, albo każę porąbać tę przeklętą łajbę na opał!

- Jesteś niesprawiedliwy, Edwardzie - odezwał się Keane zimnym, spokojnym głosem. - Dałem mu moje słowo. Cokolwiek ci zrobił, jesteś niesprawiedliwy.

- Nie. Jestem wspaniałomyślny. Ma czas do mojego powrotu z Aleppo. I wówczas chcę mieć z powrotem każdego pensa, którego mu wypłaciłeś, Johnie. Każdego pensa!

Znów słychać było kroki i drzwi się zamknęły. Antonio po raz pierwszy zerknął na swego podopiecznego.

Sternik miał otwarte oczy, które teraz w nikłym świetle świecy nabrały ciemnoniebieskiego koloru.

- Co mu zrobiłeś? - spytał szeptem służący Keane'a. Już wcześniej, oczywiście, domyślił się odpowiedzi.

- Spałem z jego żoną - odrzekł Thomas Marlowe i uśmiechnął się na to wspomnienie, ale potem uśmiech znikł z jego twarzy.

Część ósma

1595-1596

NAGŁE ANOMALIE

Owe nagłe anomalie mogą łatwo zwieść żeglarza, jeśli zbyt ufa busoli.

„Z LISTU GERARDUSA MERCATORA O PLANACH ODKRYCIA DROGI
PÓŁNOCNO-WSCHODNIEJ”

RICHARD HAKLUYT

Jako że stulecie zbliżało się ku końcowi, możniejsi od Thomasa Marlowe'a także doświadczyli fizycznej słabości. W Hiszpanii Filip II, władający od czterdziestu lat wielkim imperium Habsburgów, walczył bezsilnie z febrą i rozczarowaniem. Utracił większość Niderlandów na rzecz protestantów, a jego potężna armada nie zdołała nawrócić Anglii na prawdziwą religię. Do końca swych dni (a niewiele mu ich zostało) przykuty do fotela na kółkach, ten dumny, przywykły do rozkazywania człowiek doświadczał upokarzającej, silniejszej od niego choroby, jakby to była ostateczna klęska.

We Francji Henryk z Nawarry zmienił raz jeszcze wyznanie i wstąpiwszy na tron francuski, usiłował stłumić rebelie w rozmaitych zakątkach swego ogarniętego wojną królestwa. Oddziały Filipa Et wciąż mieszały mu szyki; Francja i Hiszpania od początku roku prowadziły ze sobą wojnę, religia i polityka coraz bardziej mieszały się, tworząc węzeł nie do rozsupłania.

W Anglii nowy faworyt, hrabia Essex, pozwalał królowej Elżbiecie, dręczonej przez dwa demony: starość i choroby, na dziwne zachowanie. Anglia stawała się coraz bardziej zarozumiała: armia Essexu splądrowała Kadyks, angielskie okręty zaś łupiły statki hiszpańskie na Atlantyku i wszelkie inne na Morzu Śródziemnym. Anglia, ambitna parweniuszka, zarzucała swe pajęczne sieci handlu na morza, które wcześniej uważano za nieprzydatne do żeglugi, na lądy, które kiedyś uważano za niezamieszkałe. Toskania rozpychała się łokciami między rywalami, podobnie jak

Serafina, niegdyś niewolnica, walczyła, by uwolnić się z krępującego ją kokonu własnego przeznaczenia i płci.

Morze Śródziemne przypominało, jak powiedział kiedyś John Keane, zatłoczoną sadzawkę. Gwiazdy sprawiały, że los rozmaicie obchodził się z tymi wszystkimi przeciwnikami: jednych poniewierały burze, innych grzały promienie słońca. Aż do kolejnej, nieuniknionej zmiany pozycji, póki nie znaleźli się na przeciwko siebie, z działami gotowymi do strzału.

- Dziewczynka! - powiedział z obrzydzeniem Galeazzo Merli, walcząc z tasiemkami przy kaftanie. - I to bardzo podobna do matki.

W pokoju płonęły wszystkie świece. Constanza zgasła wąski ogarek, którym je pozapalała.

- Masz już czterech synów, Galeazzo.

W jej głosie nie słychać było wyrzutu, ale Galeazzo podniósł wzrok i uśmiechnął się do kurtyzany.

- Oczywiście, kochanie. Ciebie spotkało podobne szczęście. Chociaż ty trzymasz swój skarb w ukryciu.

- To moja jedyna córka, drogi Galeazzo - rzekła Constanza i myślami znalazła się momentalnie przy szesnastoletniej Marii, bezpiecznej w klasztorze w Neapolu. - Nie mam synów - dodała.

I nie chciałabym mieć, pomyślała, siadając na brzegu łoża. Kurtyzany nie powinny przekazywać swego nazwiska następnym pokoleniom.

Galeazzo pojawił się w apartamencie Constanzy w Pizie przed godziną. Dała mu wina, grała dla niego na flecie i śpiewała, a później, mając na sobie białą halkę i aksamitną suknię o barwie terakoty, zabrała bankiera do sypialni.

- Powinnaś przywieźć Marię do Pizy - powiedział Galeazzo, zrzucając kaftan na podłogę. - Jeśli jest tak śliczna jak jej matka, jestem pewien, że odniosłaby wielki sukces.

Constanza nie odpowiedziała. Galeazzo zaczął wyjmować szpilki, które podtrzymywały jej ciężki warkocz. Kurtyzana dzieliła sypialnię z tymi, których było na to stać, jednak jej serce należało jedynie do córki i kilku przyjaciół. Była zbyt mądra, by mieszać obie te sprawy.

- Jak ją nazwiesz? - zapytała, mając na myśli nowo narodzoną córkę bogatego kochanka.

- Och... Caterina... Beatrice... Nie mam pojęcia. Czy to ważne? Wątpię, żeby to stworzenie dożyło Nowego Roku. Wygląda jak szczur. Mały, łysy szczur.

Szarpał się niezdarnie z oporną szpilką, aż Constanza, przytrzymawszy jego rękę, powiedziała łagodnie:

- Pozwól mi to zrobić. - I sama rozpuściła włosy, aż opadły jej kaskadami na plecy. Galeazzo jęknął z zachwyty.

- A twoja żona? - zapytała kurtyzana. - Czy madonna Merli dobrze się czuje?

- Zupełnie dobrze. - Ukrył twarz w jej włosach, całował w kark i nagie ramiona.

Nagle znieruchomiał i spytał: - Czy widziałas ostatnio tę małą Serafinę Capriani?

Constanza pokręciła głową. Szare, spokojne oczy utkwiała w jakimś odległym punkcie, niewidocznym dla Galeazza.

- Pamiętasz ją chyba, moja droga. Wyszła za starego Jacopa. Wdała się w kłótnię na moim bankiecie z jakimś Anglikiem. Doszło nawet do rękoczynów. Jak on się nazywał?

- Marlowe - odpowiedziała Constanza. - Thomas Marlowe i madonna Capriani. Co z nią? - zapytała z ciekawością.

Galeazzo wziął kochankę w ramiona i zaczął rozwiązywać wstążki na przodzie jej sukni.

- W tym starym kupcu może tlić się więcej życia, niż przypuszczaliśmy. Wieść niesie, że uroczą madonna Capriani spodziewa się dziecka. Cóż - Galeazzo zadrzał, gdy suknia rozchyliła się i poczuł ciepłą skórę Constanzy pod cienkim muślinem. - Można zakładać, że to jego dziecko.

Nadal mówiła to, co należało, wykonywała właściwe ruchy, ale myślami cofnęła się o kilka miesięcy, miała w pamięci odgłos uderzenia otwartą dłoń w twarz, mokry bruk i postać skuloną na progu domu.

- To tylko plotka - dodał Galeazzo. - Ona sama nic nie mówi. Ale warto by się dowiedzieć, nie sądzisz?

- Zapytaj ją więc, mój drogi. - Kurtyzana stłumiła ziewnięcie. Potrząsnął przecząco głową.

- Ta kobieta miesza się w męskie sprawy - rzekł, kładąc Constanzę na łóżku. -

Podobno zamierza zatrudnić rzemieślników, by tkali materiały z jedwabnej przędzy.

Ludzie mówią, że to ona teraz zarządza firmą, a nie Jacopo Capriani. Dzieciak szybko położy temu kres. Poddanie się zwykłym niewie-

ścim słabościom będzie miało zbawienny wpływ na madonnę Capriani. Nie, nie zapytam jej. Ale są inne sposoby, by się o tym dowiedzieć.

Znała go od wielu lat; rozpoznała znajomy ton w jego głosie.

- Galeazzo... - odezwała się z wahaniem.

- Jestem ciekaw, to wszystko. No i jest jeszcze zakład... - pocałował ją.

Krzywiąc twarz w uśmiechu, Galeazzo usadowił się na niej. Constanza pamiętała Serafinę Capriani z bankietu: mała, ciemnowłosa dziewczyna, ubrana w brązową suknię, z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi i skośnymi oczami, nadającymi jej nieco egzotyczny wygląd. Pamiętała również, co mówił później ten Anglik, Thomas Marlowe, gdy wyjaśnił jej już istotę zakładu. „Uwiodła mnie. Chryste! Dziewica, a uwiodła mnie, żeby wiedzieć, jak uwieść owego starca”. Constanza pamiętała też, jak bardzo Thomas żałował, że jej się zwierzył z tego wszystkiego. Nie musiał się bać: nie powie nikomu. Dotykając blizny szpecącej twarz, Constanza pomyślała, że lepiej niż ktokolwiek inny wie, jakie mogą być skutki rozsiewania plotek.

Galeazzo dokończył dzieła. Kiedy odzyskał oddech, zapytała:

- A ten Anglik?

- Jaki Anglik? - Merli przewrócił się na plecy. Jego twarz miała kolor ciemnoczerwony, rzadkie włosy, mokre od potu, lepiły mu się do głowy. - Ten jegomość z Kompanii Lewantyńskiej, o tego pytasz, moja droga? Och, wydaje mi się, że umarł. Słyszałem, że pobili się o jakiś statek.

Thomas budował statek. Od czasu do czasu Constanza z rozbawieniem słuchała, jak opowiadał o nim w ten sam sposób, w jaki mówił o Serafinie - z dziwną mieszaniną miłości i urazy, jakby miał gorzką świadomość, iż tych dwoje zawładnęło jego życiem.

Umarł. Zdawała sobie sprawę, że odczuwa - nie, nie smutek, może raczej rozczarowanie. Trudno było jej myśleć o angielskim sterniku jako o zmarłym: miał w sobie niespożytą energię; to prawie niemożliwe, by opuściła jego ciało na zawsze. Constanza podniosła brązową, aksamitną szatę i zarzuciła ją sobie na ramiona.

- Umarł czy też umiera, nie jestem całkiem pewien - dodał Galeazzo sennym głosem. Leżał nagi na łóżku i przyglądał się, jak kurtyzana związuje znów włosy w węzeł na czubku głowy. - To było chyba tydzień czy dwa tygodnie temu. W Livorno.

Constanza chętnie zadałaby kilka pytań, ale wiedziała, że nigdy tego nie zrobi. Na przykład, ciekawa była, kiedy można oczekiwać narodzin owego raczej nieoczekiwanego dziecka lub czy ktoś zadał sobie trud, by powiedzieć Serafinie o śmierci - albo bliskiej śmierci jej pierwszego kochanka.

Galeazzo zasnął, kurtyzana zaś postanowiła, że pojedzie do Livorno.

Nie miała pojęcia, gdzie mieszka messer Marlowe, ale bez większego trudu znalazła adres agenta Kompanii Lewantyńskiej, Johna Keane'a. Constanza przyjechała konno z Pizy do Livorno, mając za jedyne towarzystwo i zarazem eskortę czarnoskórego chłopca o imieniu Helion. Nie powiedziała nikomu, dokąd się udaje. Bawiła ją myśl, że właśnie owa tajemniczość zachęciła ją do odbycia podróży; w tak niewielkim stopniu należała do siebie, że każde irracjonalne i prywatne zarazem działanie sprawiało jej przyjemność.

Dom pana Keane'a znajdował się w pobliżu doków. Stojąc na progu, widziała w słabym świetle poranka płataninę masztów i drzewc. Constanza nigdy nie wyjechała poza Włochy: dawno temu przeniosła się z Wenecji do Pizy, od czasu do czasu bywała w Neapolu u Marii - ale były to smutne i rzadkie wizyty. Chętnie by jednak podróżowała, aby się przekonać, czy gdzie indziej świat jest lepiej urządony. Helion zastukał do drzwi. Otworzył je ostrożnie nie sam pań Keane, ale jakiś służący.

- Chciałabym pomówić z twoim panem, Johnem Keane'em.

Odezwała się łagodnie, ponieważ chłopak wyglądał na przestraszonego, ale gdy skończyła zdanie, jego wzrok omiółł ją całą, od pantofli na koturnach, aż po zakrytą welonem twarz. Wiedziała, że ją rozpoznał, bo groźny wyraz twarzy ustąpił miejsca afektowanemu uśmiechowi.

- Pana Keane'a nie ma - oświadczył z dumą służący. - Popłynął do Aleksandretty przed trzema dniami. - Gapił się na nią, próbując zerknąć pod czarny, muślinowy woal.

Głos Constanzy brzmiał nadal zupełnie spokojnie:

- A pan Marlowe? Czy też on także popłynął do Aleksandretty?

Chłopaka znów ogarnął strach. Mrugnął i pokręcił głową.

- Pan Marlowe jest chory - oświadczył.

A więc przynajmniej żył.

- Zatem proszę mnie do niego zaprowadzić. - Constanza uczyniła krok do przodu.

- Och, nie, nie ma go tutaj. - Służący rozłożył ręce, zagradzając jej drogę i potknął się prawie o schodek.

Constanza spytała łagodnie:

- Jak się nazywasz, mój drogi?

Kiedy odpowiedział, jękając się, uniosła woal, rozłożyła ręce i powiedziała:

- A zatem, Antonio, nie mam żadnej broni, jak widzisz. Jest ze mną Helion, to prawda, ale on ma zaledwie dwanaście lat i mały jeszcze byłby z niego pożytek w bójkę. Nie żywię żadnych złych zamiarów wobec pana Marlowe'a. Chciałabym po prostu go zobaczyć, żeby się przekonać, czy dobrze się czuje.

- Nie czuje się dobrze. Jest bardzo chory. - Antonio zatrzymał wzrok na szpecącej jej twarz bliźnie. - Ale nie ma go tutaj.

- Jest jednak w Livorno?

Służący skinął głową, zerkając nerwowo na ulicę i w stronę doków.

- A zatem bądź tak dobry i zaprowadź mnie do niego, Antonio.

- To nie jest porządne miejsce, madonna - rzekł pośpiesznie. - Nieodpowiednie dla damy. - Zaczerwienił się, gdy zrozumiał wymowę własnych słów. - Przepraszam, chciałem powiedzieć...

Dotknęła jego ramienia.

- Nie szkodzi, Antonio. Chodźmy poszukać pana Marlowe'a dobrze? '

Służący mówił jednak prawdę - nie było to porządne miejsce. Idąc za chłopakiem przez labirynty ulic i ciasne podwórka na tyłach doków, Constanza musiała przedzierać się przez stosy obierzyn i inne gnijące odpadki, wtulając nos w perfumowaną chusteczkę i ślizgając się na błocie w swych butach na wysokich koturnach.

Dom, do którego zaprowadził ją Antonio, otoczony był niewielkim podwórzem.

Tłoczyły się na nim obdarte dzieciaki wraz z całym stadem świń. W pokoju na piętrze ktoś śpiewał; na linie zawieszanej pomiędzy oknami wisiało pranie.

Constanza uniosła spódnice i ruszyła w ślad za służącym na górę po schodach.

Z początku, kiedy Antonio otworzył drzwi, nie widziała nikogo. Okiennice były wciąż zamknięte, nie paliła się żadna świeczka. Po chwili, gdy jej wzrok przywykł do ciemności, ujrzała skłębione prześcieradła na łóżku i usłyszała ciężki oddech. Podeszła do łóżka i nie słuchając protestów Antonia, mamroczącego coś o złych fluidach, otworzyła okiennice. Klęcząc obok łóżka, pomyślała, że z trudem rozpoznałaby w leżącym mężczyźnie owego kłótliwego pijaka, który ją tak obraził po bankiecie. Niebieskie oczy miał zamknięte, ale powieki drżały, jakby skrywały złe sny. Błądą twarz Thomasa Marlowe'a pokrywały kropelki potu, palce zaciskały się na brudnej poduszce. Zanim jeszcze dotknęła jego czoła, wiedziała, że ma rozpaloną głowę.

Constanza odwróciła się i zapytała szybko Antonia:

- Co się stało?

Ten wzruszył ramionami.

- Messer Marlowe kochał się z żoną messera Whitlocka, więc messer Whitlock próbował go zabić.

Wygląda na to, pomyślała Constanza, zerkając na łóżko, że zazdrosny messer Whitlock był bardzo bliski celu.

- Messer Whitlock popłynął z messerem Keane'em do Aleksandretty - dodał Antonio. - Jeśli messer Marlowe będzie jeszcze żył, kiedy wróci, wówczas zabije go i zniszczy statek.

Constanza poczuła, nie po raz pierwszy, dreszcz irytacji, na myśl o głupocie mężczyzn. A potem, jako kobieta praktyczna, wzięła sprawy we własne ręce.

Posłała Heliona po czystą wodę ze studni, a Antonia po płótno do opatrzenia rany.

Później zaś, gdy rozpięła lepkie odzienie rannego i odkleiła warstwy pokrwawionych bandaży, zaczęła planować ich wspólną podróż do Pizy.

W nowym roku Serafina i jej pomocnik, Amadeo, jechali konno na północ od Pizy, wzdłuż Wybrzeża Liguryjskiego.

Zapowiadał się ładny dzień: niebo było bezchmurne, na horyzoncie wstawał różowokoralowy świt. Jacopo czuł się ostatnio trochę lepiej i po ostrożnych namowach pozwolił, by jego mała Serafina oddaliła się na cały dzień.

Jadąc po nierównych, oszronionych drogach, oddychała zimnym, ostrym powietrzem i cieszyła się muskającym jej twarz wiatrem. Od ponad miesiąca Jacopo nie wychodził z domu.

W nocy leżał na piętrze w łóżku z baldachimem, w ciągu dnia na sofie w salonie. Kaszel męczył go nieco mniej, ale podejrzewała, że to tylko chwilowa poprawa. Wydawało jej się, że zrzędlivy głos męża wzywa ją sto razy dziennie: czy była w kantorze, czy w kuchniach, czy rozmawiała z klientem o tkaninach czy też piekła chleb z kucharką. Mogła uciec z domu, gdy spał' ale potem musiała mu wynagrodzić swą nieobecność, spędzając przy chorym długie godziny. Czasami przyłapywała się na myśh, że cieszyła się większą wolnością w domu Kara Alego gdzie me wymagano od niej nic więcej, poza dobrze umytą podłogą albo wyraźnym pismem. Siedząc w siodle i czując, jak wiatr targa jej włosy, Serafina przypominała sobie, co zdołała osiągnąć w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Stosy zwojów i bel jedwabiu w składzie w Livor-no. Wstążki, koronki i różne ozdoby, składowane w Pizie Nie-wielka, lecz cenna grupa klientów, z którymi podpisała umowy Lista kupców, od Neapolu po Marsylię, których odwiedzi w tym roku, ale później, gdy już urodzi to przekłete dziecko. Dom z tuzinem służących i urzędników, wszelkie stroje i jedzenie jakiego zapragnęła. Perspektywy na przyszłość.

I pół tuzina rzemieślników, przerabiających na jej potrzeby surowy jedwab, którego im dostarczała. To ona im płaciła i tylko dla niej pracowali. Któregoś dnia postanowiła, że chce mieć własne warsztaty, takie jak te we Florencji. Nawet rodzina Gu-ardich nigdy nie tkala swego własnego jedwabiu, jedynie kupowała i sprzedawała gotowe tkaniny.

Serafina zauważyła, że prawie się uśmiecha, że zapomniała o trudnościach w Pizie, o ciężarze, jaki nosiła ukryty pod fałdami spodnie. W nocy to stworzenie kręciło się i rzucało, będąc jej częścią, a jednak od niej niezależne. W ciągu dnia jednak mogła wciąż go nie zauważać. Teraz myśl, że ma urodzić dziecko, wydawała jej się nierealna, niemożliwa. To było realne-czarne sylwetki drzew w oddali, na tle oszronionego krajobrazu bezkresna płaszczyna morza, w której odbijało się niczym w lustrze, jasne niebo. Koń wydychał obłoczki pary, uprząż 1 wędzidło pobrzękiwały. W portach tłoczyły się łodzie, inne sunęły gdzieś za horyzont. Jechali teraz we dwoje obejrzyć jakiś stateczek w rybackiej osadzie niedaleko Viareggio.

Gdy wieś ukazała się ich oczom, Serafina dostrzegła kamienne domy i rozsiane wokół niej biedniejsze chaty i chałupy. Po-

trzebowała statku, tak bardzo pragnęła *znaleźć* jakiś przed nadejściem wiosny. Od jesieni nie była w Livorno. Coś ją powstrzymywało - może myśl o nieosiągalnym „Zimorodku”. Nie chciała przyznać nawet przed samą sobą, że dręczą ją owe wspomnienia: pamięć o Thomasie Marlowie i ślicznym, delikatnym Palazzo Sacchetti. Liczy się tylko handel. Taki też był cel dzisiejszej wyprawy.

Gdy tylko zobaczyła tę łódź, od razu wiedziała, że to nie jest to. Rybak, Grek, który jak wielu jego rodaków przybył do Włoch, gdzie brakowało miejscowych marynarzy, zaprowadził ich w dół, do portu i zaczął wylewnie opowiadać o swym „statku”, przycumowanym do portowego muru. Gdy Serafina ujrzała ów „statek”, dobry nastrój w dużej części ją opuścił. Zauważyła popękana, obłaząca farbę i nadgniłe belki. Był za mały, za stary i zbyt zniszczony.

- ...piękny statek, madonna. Przepłynąłem na nim z Toskanii do Marsylii w niecałe cztery tygodnie. Ciężko mi się z nim będzie rozstać, ale...

- Nie. - Wiatr rzucił to jedno słowo rybakowi w twarz.

Z furkotem aksamitnych spódnic, Serafina zaczęła wspinać się z powrotem do portu, w kierunku koni.

Rybak, spiesząc się, by dotrzymać jej kroku, odzyskał oddech.

- Madonna, wystarczy go tylko pomalować. Niech pani wejdzie na pokład i wtedy...

-Nie.

Znów przez głowę przeleciała jej myśl o „Zimorodku” Thomasa Marlowe'a. Ze złością odepchnęła od siebie owo wspomnienie.

To była zmarnowana podróż i stracony dzień, a nie mogła sobie pozwolić, by tracić czas. Choć dopiero dochodziło południe, zaczynała się już czuć zmęczona. Ogarnęło ją znajome znużenie, z którym walczyła uparcie, gdy cięża stawała się coraz bardziej zaawansowana. Zatrzymawszy się, Serafina odwróciła się do rybaka i dodała:

- Ta łódź potrzebuje czegoś więcej niż tylko farby. Ma przegniłe dno, a belki wymagają wymiany. Przypuszczam też, że połowa drzewc jest połamana, a żagle zbutwiałe. Ta łódź nie dotrwa do następnej zimy, nie mówiąc o tym, żeby zabrała mnie wiosną do Prowansji.

Usłyszała, jak rybak mruknął coś pod nosem, gdy wspiąwszy się po kamieniach, wrócili do koni. Zauważyła, że Amadeo spojrział na nią bacznie, ale nie przerwała rozwiązywania cugli, mimo że słowa rybaka dotarły do niej, unoszone morską bryzą i usłyszała je tak wyraźnie, jakby były wyryte w marmurze.

„Wątpię, czy tej wiosny uda się pani gdzieś dalej niż do akuszerki”.

Amadeo nie spuszczał z niej wzroku. Serafina wdrapała się na siodło, nie czekając na jego pomoc. Nagle zauważyła minę rybaka i uświadomiła sobie, że kancelista doznał wstrząsu, po-jąwszy prawdę. Poczowała się niezgrabna, brzydka i groteskowa. Kopiąc konia w bok, odjechała bez choćby jednego spojrzenia na wioskę, port i łodzie kołyszące się w szarej, ponurej wodzie.

Gdy jechali z powrotem do Pizy, zaczął padać lodowaty deszcz. Serafina nie pozwoliła jednak, by konie zwolniły kroku, tak jakby szybka jazda miała z niej ponownie uczynić bystrą, godną pożądania dziewczynę, zamiast tego niezdarne go pośmiewiska, jakim się stała. Zimny deszcz zgęstniał, zamieniając się w śnieg z deszczem, kłujący w odsłonięte policzki i czoło. Wiedziała, że Amadeo jedzie tuż za nią, słyszała bowiem odgłos kopyt jego konia, ale okolice były niemal bezludne, tylko kilka drzew przy drodze rzucało niewyraźne cienie.

„Wątpię, czy tej wiosny uda się pani gdzieś dalej niż do akuszerki”. Rybak miał rację. Życie wymknęło jej się znów spod kontroli, a los, którym prawie zaczęła kierować, prowadził ją uparcie gdzieś w nieznane. Przyszłość majaczyła niepewnie niczym odległe, niewyraźne wzgórza umbryjskie. Jak długo jeszcze mogła się łudzić, że ukryje swój stan przed kupcami w Pizie, jeśli obcy zauważył, że była w ciąży? I tak jest już pewnie za późno; z pewnością dzielą się wygranymi z zakładów w tawernach i jaskiniach gry. A jeśli wszędzie wiadomo, że ona spodziewa się dziecka, w takim razie straciła całkiem szansę, by rozwinąć interes Jacopa na tyle, by mógł konkurować z Ange-lem. Prowadzenie interesów z kobietą - to doprawdy mało prawdopodobne. A prowadzenie interesów z kobietą ciężarną -to wprost nie wchodzi w rachubę.

Słyszała, że Amadeo coś woła, ale nie zwracała uwagi na jego krzyki. Zacięła znów konia, aż śnieg z deszczem siekł ją boleśnie po twarzy. Nagromadzone przeszłe, obecne i przyszłe nieszczęścia przelatowały obok niej niczym maleńkie, lodowa-

te płatki śniegu. Marsylia, Algier, Toskania... zebrała całą swą przeszłość, ujęła ją w swe silne dłonie, nadając jej kształt i jakieś znaczenie. A potem wydarzyło się to: grom z jasnego nieba, zesłany na nią przez jakiegoś boga, w którego przestała wierzyć w więzieniu w Algierze. Do diabła z tym dzieckiem, wcale go nie pragnęła. W tym życiu, które z trudem usiłowała sobie stworzyć, nie było miejsca na dziecko! Amadeo znowu coś krzyknął, tym razem z bliska i jeszcze głośniej.

- Proszę uważać na rów! - Usłyszała jego wołanie wśród wiatru, śniegu i tysiąca gorzkich, niedających spokoju myśli.

Serafina poczuła, że koń się potknął i szarpnął łbem do przodu, aż wypuściła z rąk wodze, stopy wypadły jej ze strzemion, siodło wysunęło się spod aksamitnych spódnic. Drzewa, śnieg i koń zatoczyły koło, jakby ktoś rzucił je w powietrze niczym talię kart. Niebo i ziemia zamieniły się miejscami.

Straciła oddech, padając na ziemię. Pod twarzą miała mokre, brązowe liście, a nad głową szare niebo, zabarwione lekko na pomarańczowo. Bolały ją płuca, nie mogła oddychać.

Trzeba było niespokojnego pytania jej towarzysza: „Madonna?“, by nabrała w płuca potężny haust powietrza, i wyciągniętej ręki Amadea, by mogła usiąść, unosząc się z zagłębienia, w którym leżała zwinięta w kłębek.

Walczyła z upokarzającą chęcią, by się rozplakać. Ale na twarzy Amadea, gdy klęknął obok niej i podał jej flaszkę, nie malowało się szyderstwo, tylko niepokój. Mocny alkohol palił jak ogień, uśmierzył drżenie kończyn i uspokoił roztrzęsiony umysł. Serafina powiedziała słabym głosem:

- Mój koń...

Poczekala, aż Amadeo oddali się, by przyprowadzić jej wierzchowca, zanim się podniosła, opierając o pobliskie drzewo.

Było jej zimno. Wydawało jej się, że zimno przeniknęło do wszystkich żył: wypila jeszcze jeden łyk wódki, by się go pozbyć i uspokoić drżące mięśnie. Patrzyła, jak Amadeo próbował wyprowadzić konia z rowu. Gdy zwierzę nie odpowiadało na zachęty, zeskoczył na zwiędłe liście i zbadał złamaną przednią nogę wierzchowca. Serafina nie patrzyła, jak jej towarzysz podciął koniowi gardło, nie mogła na to patrzeć. Zaciskała powieki, słyszała tylko jego głos, przemawiający delikatnie do biednego

stworzenia, a potem ciszę. Pozwoliła, by Amadeo poprowadził ją do swego wierzchowca, a potem pomógł jej wsiąść na siodło. Wokół panowała cisza. Zimno, śnieg, wiatr podrywający stare, zeschnięte liście i ciskający je na szkarłatne plamy obok rowu, nie byli jej wrogami, stanowili jedynie część nieprzychylnego wszechświata. Bóg stworzył człowieka z gliny, ale człowiek kształtował swój los z kawałków, które spadły z koła garncarskiego. Jeśli jechało się zbyt szybko po kiepskiej drodze i przy złej pogodzie, wówczas koń miał prawo się potknąć i złamać nogę.

Są wszakże i inne sposoby, by płacić za własną głupotę. Koszmar zaczął się, gdy byli już blisko Pizy, i z początku ledwie go odczuwała. Ale był to nowy rodzaj cierpienia, tępy ból w krzyżu, który w nieunikniony sposób przypominał, że jej ciało nie należało już tylko do niej. Postanowiła kochać się z Thomasem Marlowe'em i Jacopem Caprianim: zeszłego lata uważała, że obaj są jej potrzebni, by mogła kształtować swą przyszłość. Jeśli bogowie ulepili dziecko w jej łonie z jednej małej grudki gliny, zatem jej własne czyny, jej własne decyzje pozwoliły im na to dzieło stworzenia.

W drodze powrotnej do Pizy, siedząc na siodle przed Amadeem, Serafina, po raz pierwszy od czasu, gdy stanęła na schodach złocistego domu w Marsylii, poczuła strach.

Słyszała wyraźnie dźwięk tamburyna i piszczałek: wydawało się, że dobiegają dokładnie z dołu. Zeskrobawszy szron z szyby, Constanza zerknęła na ulicę. Przy drzwiach jej domu zebrał się tłum kobiet. Były dziwacznie ubrane: w łańchmanach, obramowanych koronkami sukniach narzuconych na niewyobrażalnie wielkie krynoliny, głowy przyozdobiły różnymi koralikami, piórami, nosiły czepeczki i sztuczne loki. Niektóre trzymały latarnie, inne dmuchały w piszczałki i waliły w bębny. Jedna z kobiet stojących u drzwi miała zadziwiająco muskularne ramię. Gdy Constanza usłyszała zza pleców głos Thomasa Marlowe'a: - Czy mam wylać na nie pomyje? - odwróciła się i z uśmiechem pokręciła głową.

Minęły już cztery tygodnie, odkąd kurtyzana, nieco rozbawiona swym nieracjonalnym odruchem, przywiozła do Pizy rannego Anglika. W czasie owych czterech tygodni pielęgnowała go i karmiła, pozwalała, by spał i krzyczał przez sen w jej pokoju gościnnym. Zastanawiała się czasami, co nią kierowało.

Nie pożądanie. Uważała, że nigdy już nie będzie pragnęła żadnego mężczyzny. Ta część jej serca dawno już umarła. Sama ją uśmierciła, planowo i świadomie, żeby móc przetrwać.

Początkowo myślała, że Thomas nie przeżyje, że to, co rozpoczęło morze i zazdrosny mąż, dokończy gorączka i wyczerpanie. Był jednak silny i powoli zaczął walczyć z chorobą, najpierw prawie że niechętnie, a potem z uporem, który brał się raczej z przyzwyczajenia, jak sądziła, niż z chęci. Wciąż nieco utykał i łatwo się męczył, ale jego oczy nie błyszczały już nienaturalnym blaskiem gorączki i coraz rzadziej zdarzało mu się krzyczeć w nocy.

Czasami jednak chciała, by Thomas krzyczał, szlochał, wrzeszczał o tym, co mu się przytrafiło. Stracił ukochaną kobietę; na jego oczach projekt, który nosił w sercu od lat, został z rozmysłem zniszczony. Powinien był płakać, powinien rzucać się z pięściami na nieubłagane demony przeszłości. Ale ostatnio w jego głębokich, niebieskich oczach nie można było odczytać niczego: ani bólu, ani złości. Biła z nich pustka, która wydawała się czymś zupełnie mu obcym, jak uważała Constanza. Nie reagował na nic, prowadził jedynie wymuszone, nienaturalne rozmowy.

Poza tym za dużo pił. Na początku pił wódkę, by złagodzić ból, jaki sprawiały mu rany i połamane kości. Potem pił, ponieważ tylko w ten sposób mógł przeżyć kolejny dzień, co oznaczało, myślała kurtyzana, że ten człowiek zupełnie się marnuje. Tego wieczoru milczał, nie wypuszczając z ręki kieliszka z winem, i zachowywał się coraz bardziej gburowato. Constanza z trudem miała jeszcze do niego cierpliwość. Wydawało jej się, że zna powód dzisiejszej nieuprzejmości Thomasa, ale coś w jego oczach i twardo zaciśnięte usta powstrzymały ją od poruszenia tego tematu. Rada była z zamieszania na ulicy.

Anglik stał obok niej, wpatrując się w hałaśliwych gości. Coś uderzyło w okno: pękło jajko, połała się woda różana, z ulicy dochodziły ochryple krzyki i klaskanie. Jeszcze kilka jajek odbiło się od futryny niczym mała salwa armatnia.

- Helionie, otwórz drzwi frontowe - poleciła Constanza swemu czarnemu paziowi. A potem dodała, widząc pytające spojrzenie Thomasa: - To Galeazzo. Przyjechał zapewne z Lukki na karnawał.

Na dole, w holu, uliczne śpiewy i muzyka były jeszcze głośniejsze. Helion odsunął rygiel i bezładna grupa kobiet w prze-

krzywionych kapeluszach i sukniach zadartych aż po uda wtłoczyła się do środka, na wykładaną ozdobnymi kaflami podłogę. Piszczalki i tamburyn powędrowały z brzękiem do kąta.

Tylko że to nie były kobiety. To Galeazzo Merli z pół tuzinem przyjaciół, wszyscy w maskach, sukniach i pijani. Constanza, stojąc na schodach, zasłoniła usta dłońmi i zaczęła się śmiać.

- Przyrządź mi sama ziółka, moja droga. Twoje smakują mi znacznie lepiej od tych, które parzy Lucia.

Salon i kuchnię dzieliły trzy ciągi schodów. Sześćdziesiąt stopni w dół i w górę, obliczyła Serafina, stojąc w zimnej, obszernej izbie i odcedzając nagietek z żywokostem.

Wrócili z Viareggio, ona i Amadeo, poprzedniego dnia. Musiała opowiedzieć Jacopowi o łodzi i o koniu, a ten jęczał i narzekał na wydatek, związany z kupnem nowego wierzchowca. Gdy Serafina przymknęła oczy, widziała tylko plamy ciemnej krwi na liściach, słyszała bezgłośnie umieranie.

Wczorajszego wieczoru udała się wcześniej do łóżka, tłumacząc się bólem głowy. Nie posłała służącej po akuszerkę: była pewna, że jeśli będzie mogła poleżeć spokojnie wystarczająco długo, wówczas ostrzegawcze bóle ustąpią, powrócą do tej ciemnej jamy, skąd wychynęły. I rzeczywiście - ustąpiły. Tego ranka, po przespanej nocy (dzięki jednemu z usypiających naparów Kara Alego), czuła jedynie leciutkie ćmienie w krzyżu.

Ale teraz, po całym dniu pracy, plecy zaczęły ją boleć znowu - ból nawracał co pewien czas. Wróciwszy do saloniku, postawiła filiżankę z naparem przy sofie i podeszła do okna. Padał śnieg, ale zbyt rzadki, by mógł się utrzymać. W ciemnościach zimowego wieczoru tylko światło pochodni wydobywało z mroku zarysy ulic i domów. Ktoś śpiewał, a gdy Serafina wyteżyła słuch, słyszała muzykę dobiegającą z oddali. Był czas karnawału. Niespodziewanie, z irytacją poczuła zbierające się w kącikach oczu łzy.

- Zaciągnij kotary, moja droga. Ten przeciąg szkodzi mi na gardło. - Głos męża przerwał jej rozmyślenia. W ciągu ostatnich miesięcy Jacopo stracił na wadze; choroba wycieńczyła go, pozostawiając zeń tylko słaby cień. Siedział przygarbiony na sofie, omotany szalami. - Chyba zjadłbym troszkę zupy, jeśli mogłabyś mi jej przynieść. Tylko pamiętaj, nie za gorącą.

Kolejne sześćdziesiąt stopni, w sumie sto dwadzieścia. Musiała teraz kilka razy zatrzymać się na chwilę, by złapać oddech

i pomasować sobie plecy, zanim z powrotem zaczęła pięć się schodami w górę. Jacopo rozlał zupę na ubranie i na narzutę. Kolejne schody: tym razem do sypialni, po świeżą pościel. Serafina zmusiła się, by myśleć o Angelu. Podczas bankietu u messera Merliego ten Francuz, Philippe Moreau, napomknął, iż Gu-ardi miał jakieś trudności finansowe. Wiedziała, że to szansa dla niej: należało drażyć ów drażliwy temat, jakim jest zadłużenie, aż fakt ten stanie się oczywisty dla ludzi. Zasiała już pierwsze ziarna niepewności, podawszy w wątpliwość jego solidną pozycję i reputację, tak istotną w handlu. No i ukradła kuzynowi trzech klientów. Nie byli to jego najcenniejsi kontrahenci, ich utrata nie doprowadzi go do ruiny, ale zdobycie tych ludzi napełniło Serafinę uczuciem wielkiego triumfu, tak jakby zdołała dostać się do jego skrzyni z kosztownościami i ukraść mu kolczyk czy złoty łańcuch. Będzie osłabiać jego imperium powoli, po cichu, mówiła sobie, póki ten cały podgniły gmach nie runie na ziemię. A wtedy nadstawi ręce, by złapać poszczególne fragmenty i zbudować z nich dawną świetną całość.

Ale nie mogła jakoś doświadczyć owej satysfakcji, tego uczucia zbliżającego się triumfu, które kiedyś odczuwała. Dzisiaj czuła się przytłoczona ograniczeniami własnej płci, kruchością życia. Jacopo zamknął oczy. Serafina wyjęła mu ostrożnie z rąk miszkę i łyżkę. Ból pleców się nasilał; atakował kręgosłup w nieregularnych napadach. Serafina bała się: nie był to jednak lęk przed bólem, ale przed śmiesznością, samotnością, wygnaniem.

Czuła się zbyt zmęczona, by wspiąć się po schodach do swej sypialni. Owinąwszy ramiona szalem, zasnęła tam, gdzie siedziała.

Dom Constanzy od *piazza* dzieliło jedynie kilka ulic, ale Galeazzo Merli, jego przyjaciele i kurtyzana potrzebowali prawie godziny, by je przebyć. Place, ulice i mosty wypełniał gęsty tłum, małe łodzie obijały się o siebie na ciemnobrunatnych wodach rzeki Arno. Na rozstawionych straganach sprzedawano pieczone prosiaki, barany i naleśniki, znad licznych kociołków unosił się ciężki zapach grzanego wina. Wszędzie przemykały się zamaskowane postacie, słabo widoczne w ciemnościach -w maskach złotych, srebrnych, do połowy czarnych, a dalej czerwonych, z rogami, chwościkami i długąśnymi nosami. Po uli-

cach, w wozach ciągniętych przez konie, jechały dumne diabły, połyskujące złotem boginie i olbrzymy sięgające prawie dachów, obrzucający tłumy pogrózkami. Na rogu ulicy, obok Ponte Mezzo, śpiewał ślepy chłopak, cały ubrany na złoto, a w złoconych dłoniach ścisnął mnóstwo monet. Noc była ciemna i zimna: na niebie niemal pomarańczowym od blasku latarni i ognisk, widać było ledwie kilka gwiazd. Pośrodku zatłoczonego placu trzeszczała i chwiała się wielki drewniany zamek. Mężczyźni poprzebierani za żołnierzy strzegli flanków i wież, inni przypuszczali do nich szturm, pieli się na drewniane mury, wdzierali na rozklekotane mosty zwodzone. Wokół zamku tłoczyli się przebierańcy w maskach na twarzach i wymyślnych kostiumach. Galeazzo zaproponował Constanzy kubek grzanego wina z korzeniami, który ta przyjęła z radością, grzejąc zziębnięte palce. Kiedy podniosła naczynie do ust i upiła pierwszy łyk, ktoś podpalił mokrą od wina szmatę i rzucił ją w kierunku drewnianego zamku. Szmata wylądowała na wieży, zapaliła się od niej cienka, drewniana ścianka, a ze środka rozległ się wrzask żołnierzy. Galeazzo Merli, którego haftowana szata pękła w szwach, wydał z siebie ryk zachęty. Jeden z jego przyjaciół, młody notariusz o imieniu Nicolo, zerwał z pobliskiej ściany pochodnię i rzucił ją w kierunku zamku. Jakiś żołnierz wylał na ogień wiadro wody, płomienie zasyczały, stanął słup iskier, ale było za późno: płomienie tańczyły już po flankach, a inni uczestnicy zabawy obrzucali chwiejnymi gmachami płonącymi szmatami, patykami i latarniami. Ludzie odskoczyli od wież i mostu, na tle nieba płomienie połyskiwały pomarańczową barwą. Zamek skrzypiał i chwiała się, aż wreszcie zawalił się do środka, wypuszczając fontannę purpurowych iskier.

Ktoś klaskał, ludzie ryczeli z ucieshy. Żar buchający z ognia zamienił zimę w lato, rzucając na twarze złote, szkarłatne i rdzawe błyski. Galeazzo obejmował Constanzę za ramiona, z góry ktoś zawołał ją po imieniu. Spojrzała i uśmiechnęła się - rozpoznawała wielu ludzi zgromadzonych na placu; kupcy, bankierzy, książęta i ich słudzy wylegli dziś na ulice, a ich pozycję w świecie przysłaśniały maski i kostiumy. Constanza zawsze lubiła karnawał: ów miły chaos i anarchia, które były jego częścią, odpowiadały jakiejś tajemniczej potrzebie jej dobrze strzeżonej duszy.

Dziwaczna suknia zsuwała się Merliemu z ramion, odsłaniając ozdobiony galonami kaftan. Kilku muzyków zaczęło grać, a pary ruszyły do tańca wokół tłących się resztek zamku. Zrzuciwszy suknię i krynolinę, Galeazzo pociągnął Constanzę w tany.

Obracali się w ciemnościach, a obok migwały różne twarze: tłuste i chude, młode i stare. Twarze mężczyzn, z którymi kiedyś spała, twarze żon, które okazywały jej lekceważenie na ulicach. Ciemnowłosa dziewczyna przypominała jej Marię, córkę mieszkającą w Neapolu. Przystojny młodzieniec był podobny do tamtego, który wziął do ręki nóż i wrył jej na twarzy swój podpis. Człowiek z odsłoniętą twarzą miał błękitne oczy i przypominał jej o angielskim sterniku.

Kiedy muzyka umilkła, opadli, wyczerpani, na schody kościoła. Padał coraz gęściejszy śnieg, przezroczyste kryształki przylepiały się do fałd czarnej, aksamitnej sukni Constanzy. Miały kształt diamentów, odbijały się w nich kolory karnawału, ale topniały prawie natychmiast. Przyjaciele Galeazza rozsiedli się na schodach, niektórzy wciąż w kobiecych sukniach, inni ubrani już w kaftany i pończochy. Constanza jadła pieczone jabłka i piła gorące wino. Śnieg, który wciskał się w szpary między schodami i kamieniami brukowymi, niedługo ugasi żarzące się ruiny drewnianego zamku. Słysząc było stukot drewnianych podeszew, pokrzykiwania i śmiechy.

Galeazzo pomógł Constanzy wstać i poprowadził ją przez plac. Pomyślała, że zostanie jeszcze trochę i popatrzy na wyścigi łodzi na Arno, a potem wróci do domu i napisze długi list do Marii. Być może za parę tygodni Thomas poczuje na tyle dobrze, że będzie mógł zawieźć listy do Neapolu. To nie tylko rozwiązałoby na jakiś czas ciągły problem, jakim było porozumiewanie się z córką, ale także dostarczyłoby Anglikowi zajęcia innego niż tylko obijanie się z kąta w kąt po jej domu i picie wina w nadmiernej ilości.

Idąc w kierunku rzeki, Galeazzo zatrzymał się tylko raz: by porozmawiać z jednym z muzyków i wcisnąć mu do ręki kilka monet.

Na brzegu było tłoczno: z jednej strony poszturchiwał Constanzę diabeł z czerwonym ogonem, z drugiej połyskujący w ciemnościach wąż. Jeden z przyjaciół bankiera, w rozpiętym i rozsznurowanym staniku, znalazł dla kurtyzany nieco miejsca przy balustradzie mostu. Pod mostem, tuż nad wodą, Galeazzo

wchodził do niewielkiej łódki. Łodzie kołysały się na wodzie niczym jabłka, na każdej wymalowano barwy i herb właściciela. Ludzie śmiali się, gdy łódki zanurzały się w rzece, a mężczyźni popychali je - własne i cudze - wiosłami. Arno oświetlały jedynie latarnie, palące się słabo na wietrze i śniegu.

Merli, kompletnie pijany, trzymał ster, łódź dwa razy obróciła się wokół własnej osi, kołysząc się i chwiejąc na falach; niewielki drewniany kadłub obijał się o inne. Ktoś podniósł w górę chusteczkę i wystrzelił z arkebuza, a wtedy łodzie ruszyły w górę rzeki, w kierunku mostu.

Gdzieś między punktem startowym a mostem Galeazzo stracił połowę swej załogi: osobiście wypchnął kompanów do rzeki, wyrywając im z rąk wiosła. Gdy łodzie zniknęły pod łukiem mostu, cały tłum niczym jeden organizm o wielu członkach, począł przesuwać się na drugą stronę. Nieznajomi poszturchiwali Constanzę, przyciskali ją do kamiennej balustrady, a jakiś obcy człowiek spojrzał na kurtyzane pożądliwie, błagając o pocałunek. Ktoś zaklął, gdy się potknęła, jakaś ręka gmerała jej przy talii, szukając sakiewki. Na tym samym rogu, gdzie wcześniej stał ślepy chłopak, teraz trzech młodzieńców podrzucało bezpańskiego psa, zawiniętego w koc, wrzeszcząc z uciechy, gdy zwierzę leciało coraz wyżej i wyżej. Nigdzie nie było widać przyjaciół Galeazza. Owinąwszy się mocniej opończą, Constanza zaczęła przeciskać się przez tłum, kierując się do domu.

Nie widziała żadnej znajomej twarzy, ale przepychając się przez ciżbę, usłyszała czyjś głos:

- Spotkamy się z nim na via S. Domenico.

Głos ów należał do młodego notariusza o imieniu Nicolo, który pojawił się wraz z Galeazem przed domem Constanzy parę godzin wcześniej. Ale gdy odwróciła się, by spojrzeć w jego stronę, wszędzie wokół były tylko maski, w różnych kolorach i kształtach. Twarze, które skrywały, nie miały wyrazu ani znajomych rysów.

Zawróciwszy z powrotem do rzeki, Constanza zobaczyła, że łódź Galeazza stoi pusta, cuma luźno zwisała, zanurzona w wodzie, wiosła leżały w środku.

Przebyła już połowę drogi do domu, gdy nagle zmieniła kierunek. Przypomniała sobie, kto mieszka na via S. Domenico: dziewczyna, która przyczyniła się do przynajmniej połowy nieszczęść Thomasa Marlowe'a. Serafina Capriani mieszkała na via S. Domenico ze starym kupcem, za którego wyszła. „Są inne sposoby, by się o tym dowiedzieć” - oświadczył Galeazzo Merli, mówiąc o domniemanej ciąży żony Jacopa. Nikt nie zatopi noża w twarzy madonny Capriani, ale znajdą się inne, subtelniej sze metody okazania dezaprobaty, upokorzenia, pokazania parweniuszom, gdzie ich miejsce. Wcisnąwszy na głowę kaptur, by uchronić się przed coraz gęściejszym śniegiem, Constanza ruszyła w kierunku via S. Domenico.

Była późna noc, gdy Serafinę obudziło stukanie do drzwi. Spała nierównym snem na krześle koło okna, budząc się często z powodu bólu brzucha i krzyża. Podniosła się, oparła o parapet i zerknęła w dół, na ulicę.

Via S. Domenico wydawała się pusta. Słysząc wciąż było odległe odgłosy karnawału, płatki śniegu wirowały na tle nieba. Znów rozległo się stukanie; Jacopo poruszył się i mruknął przez sen.

Serafina zdmuchnęła świeczkę, wychodząc spieszenie z pokoju. Służący z pewnością leżeli w łóżkach albo bawili się na ulicy. Ostrożnie unosząc spódnice, Serafina zaczęła schodzić po schodach. Ból w plecach nasilił się; małe piąstki w środku niej waliły wściekle, walcząc o swoje.

Kiedy otworzyła drzwi, z początku wydawało jej się, że na zewnątrz nie ma nikogo. Dopiero po chwili, gdy oczy przywykły do słabego światła, dostrzegła sylwetki ludzi.

Wszyscy mieli zamaskowane twarze, o zniekształconych, znieruchomiłych rysach. Jeden z nich, przebrany za urzędnika w barwach Caprianich, grał na bębnie i recytował jakiś wiersz. Inny, z groteskowym fallusem wystającym z szat ku- pieckich, udawał pochylonego i zgarbionego starca. Trzeci, o białej skórze i szkarłatnych ustach, miał na sobie suknię, luźno zawiązaną, by widać było wielki brzuch.

Serce w niej zamarło na chwilę. Nie musiała słuchać słów wiersza, by zrozumieć, lecz rymowane zdanie i rytmiczne bębnienie docierały do niej przez śnieg. Młoda kobieta poślubiła starego mężczyznę. Co gorsza, jest z nim w ciąży. „Ludzie robią zakłady, czy pani zgrzybiały małżonek zdoła panią zapłodnić przed końcem roku”. Sprzeniewierzyła się zasadom, a owa maskarada to kara, jaka ją spotyka.

To ja, Serafina, Serafina... Stwierdziła, że opiera się plecami o ścianę, na szczęście zresztą, bo ból powrócił. Tym razem

prawdziwy, wszechogarniający ból, który sprawiał, że wszystko mnie, nawet ta obsceniczna szarada, stało się nieważne. Zsuwając się powoli w dół, pomyślała, że tak, zgrzeszyła, ale to nie małżeństwo z Jacopem było jej grzechem.

Gdy Constanza wyłoniła się zza rogu, uczestnicy maskarady uciekali właśnie spod domu Jacopa, zobaczyła więc tylko lubieżne, czarne cienie na tle śniegu. To jednak wystarczyło: nie musiała widzieć ich twarzy, by przekonać się, kim są.

Ale był jeszcze jeden cień, zwinięty niczym toból starych ubrań, oparty o ścianę, widoczny w świetle padającym z otwartych drzwi. Constanza zaczęła biec i nie zwalniała kroku, póki nie dotarła do drzwi Caprianich.

Pamiętała Serafinę z bankietu u Merlich, pamiętała jej władczą, energiczną twarz, jej bezzwzględność i inteligencję, z którymi dziewczyna się nie kryła. Constanza mogła zrozumieć obsesję Thomasa, a nawet mu współczuć. Niełatwo kochać taką kobietę, ona nie zadowoli się kilkoma izdebkami, wiecznie podróżującym mężem-żeglarzem i kołyską pełną płaczących niemowląt.

Teraz jednak kto inny był obiektem jej współczucia. Skóra Serafiny wydawała się biała niczym kryształki śniegu wirujące wokół jej włosów, siedząca kobieta nie poruszała nawet powiekami. Nie miała na sobie płaszcza, a pod jej luźno zawiązaną suknią Constanza dostrzegła wypukły zarys brzucha.

Owinąwszy nieprzytomną we własną opończę, Constanza weszła do domu i zawołała służbę.

Thomas był w kuchni, kiedy godzinę później wróciła do domu.

Ponieważ nie umiał próżnować, naprawiał zepsutą klamkę u okna. Ponieważ nie potrafił stawić czoła przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, obok niego na parapecie stała butelka wódki.

Kurtyzana wróciła sama, uznawszy, że nie może już znieść towarzystwa mężczyzn.

Thomas odwrócił się, ale nie zauważył złości płonącej w jej oczach.

- Już się wybawiłaś?

- O, tak, już. - Zrzuciła z siebie opończę jednym zgrabnych ruchem, zgmiotła w palcach jedwabną maskę. - Chyba mam dosyć zabawy.

Coś w jej głosie sprawiło, że odłożył młotek i gwóźdź.

- A gdzie messer Merli? - zapytał.

- Kiedy ostatni raz widziałam messera Merliego, wiosłował po Arno. Mam nadzieję, że utopił się w rzece wraz z łódką.

Thomas zsunął się z parapetu i podszedł do niej. Bolało go ramię i ręka, ale wypił wystarczająco dużo, by złagodzić ból.

- Ten dom - odezwał się ostrożnie - należy do messera Merliego.

- A zatem zostanę zakonnicą! - odparła kurtyzana, zaciskając pięści i wygrażając nimi bezsilnie w powietrzu.

Przez chwilę miał wrażenie, że chce go uderzyć. Ale to nie leżało w naturze Constanzy. Nagle całe jej napięcie ustąpiło i usiadła ciężko na krześle przy stole, ukrywając twarz w dłoniach. Miała wilgotne włosy, brzeg sukni migotał jeszcze od śnieżnych kryształków.

- Skrzywdził cię - powiedział cicho Thomas. Nie uniosła głowy.

- Nie mnie - odrzekła pogardliwie. - Nie może mnie skrzywdzić. Skrzywdził kogoś innego.

Nie rozumiał jej. Podniósł z podłogi zniszczoną maskę i stał w milczeniu, gładząc palcami pogięty jedwab.

- Madonę Capriani - wyjaśniła cichym, twardym głosem Constanza. - Skrzywdził twoją Serafinę.

Z trudem znosił, gdy wymawiano przy nim jej imię. Wyleczył już zebra, ale wciąż miał w pamięci owo uczucie duszności, jaka dławiła go przez wiele tygodni po owej bójce, kiedy musiał walczyć o każdy oddech. Walczył i teraz.

- Nie moją Serafinę - odparł w końcu zimno Thomas. - Serafinę kupca Caprianiego.

- Jacopo Capriani umiera. - Kurtyzana uniosła głowę i znów na niego spojrzała, a w jej szarych oczach malowała się pogarda. - Oczywiście, możliwe, że żona umrze pierwsza.

Nic nie powiedział, nie mógł mówić, patrzył jednak na kobietę wyczekująco.

- Madonna Capriani nie jest specjalnie lubiana w Pizie. - Constanza odzyskała spokój i złożyła przed sobą ręce, ale w jej oczach nie było pobłażliwości. - Madonna Capriani poślubiła starego kupca dla jego pieniędzy i przedsiębiorstwa i zmierza do tego, by rozwinąć firmę. To okropna obelga, zgodzisz się chyba?

Przyglądała mu się uważnie. Obolały na ciele i umyśle Thomas podszedł z powrotem do okna i butelki.

- Wyszła za mąż dla pieniędzy, ale i z innych pobudek. Żadna z nich me wydaje się specjalnie godna pochwały.

- A co innego miała zrobić, według ciebie? Wolałbyś żeby prostytutuowała się na ulicach tak jak ja?

Ręka Anglika, zajęta nalewaniem trunku do kubka, zadrżała, a potem znieruchomiała. Odwrócony plecami do Constanzy powiedział spokojnie: '

- Nie. Ale miała jeszcze inny wybór.

- Czyżby? - Jej głos zamienił się prawie w szept - Testeś pewien?

Zdołał nalać sobie resztę wódki, nie rozchlapując ani kro- Zaproponowałem jej małżeństwo - odpowiedział obronnym tonem.

- Kiedy, mój poczciwy Thomasie? Kiedy była samotna i bez grosza? Czy też wówczas, gdy zaczęła już coś osiągać i przejęła kontrolę nad własnym życiem? Odwróciwszy się, wbił w nią wzrok. Znowu trzęsły mu się ręce i wiedział, że jeśli podniesie kubek do ust, nie zdoła zapanować nad drżeniem ręki i brzeg kubka zagrzechocze o zęby

- Pojechałeś tam dzisiaj, prawda? - zapytała Constanza.

Wiedział, że mówiąc „tam” tym razem nie myślała o Serafinie, lecz o jego drugiej miłości, zbezczeszczonej i zrujnowanej, stojącej w porcie w Livorno. Thomas skinął głową i trzymając kubek dwoma rękami, zdołał się wreszcie napić.

Zobaczył „Zimorodka” po raz pierwszy od owego dnia kiedy toomalże by utonął u jego burt. Owe tygodnie, które nastąpiły po bójce z Edwardem Whitlockiem, zatarły mu się w pamięci. Pamiętał Johna Keane'a, pamiętał Antonia, a później -Constanzę. I jeszcze ciemny, duszny pokój w Livorno, a potem chłodne ręce i pachnące prześcieradła w Pizie. Minęły kolejne tygodnie, zanim wstał i zaczął chodzić, i jeszcze dużo czasu mm siadł na konia. A dzisiaj zmusił się, by stanąć oko w oko ze swymi najgorszymi snami i wyobrażeniami. Przekonał się że wszystkie są jak najbardziej prawdziwe.

- Zrąbał bezanmaszt - powiedział. - Rozwalił na kawałki okrężnice, schody, całą rufę.

- Można to naprawić.

Thomas pokręcił głową.

- Nie można. Nie da się bez pieniędzy. A ja nie mam pieniędzy. Whitlock wróci z Aleppo w przyszłym miesiącu, a wtedy zniszczy go do końca.

Wypił łyk wódki, by uspokoić myśli, które tłukły mu się po głowie.

- Co zatem zrobisz? - usłyszał słowa Constanzy.

No właśnie? Wiedział, że nie może dłużej nadużywać jej gościnności i szczodrości, ale bez „Zimorodka” nie widział dla siebie żadnej drogi, nie miał żadnych powodów, aby żyć. Dano mu jedną szansę - na więcej nie może liczyć. A poza tym wciąż pamiętał, jak morze chciało go wciągnąć w swe odmęty.

- Obie Ameryki - przypomniała mu cicho Constanza. - Indie. Myślałam, że tego pragniesz, Thomasie Marlowe?

Kubek zatrzymał się w połowie drogi. Dano mu jedną szansę, by znalazł wszystko, czego pragnął i w jakiś sposób zmarnował tę szansę. Wmieszał się w życie innych ludzi i w ten sposób zniszczył własne.

- Są jeszcze inne porty prócz Livorno - powiedział, podnosząc alkohol do ust. - Inne statki. Zawsze znajdzie się jakaś praca dla sternika.

- Nie! - Constanza zerwała się w jednej chwili i wyrwała mu z ręki kubek. Naczynie roztrzaskało się, przezroczysty płyn błyszczał na posadzce. Oczy Constanzy pociemniały z wściekłości. - Posłuchaj mnie, Thomasie Marlowe. Dzisiejszego wieczora mój kochanek, Galeazzo Merli, przygotował niewielkie przedstawienie dla twojej kochanki, Serafiny Capriani. Czy wiesz, co znaczy *charivari*? Czy macie coś takiego w Anglii? Pozwól, że ci wyjaśnię. Jeśli ktoś uczyni coś, czego nie aprobują inni ludzie, na przykład gdy dziewczyna wyjdzie za mąż za bogatego starca, wówczas w czasie karnawału młodzieńcy przebierają się za winowajczynię, a jeden z grupy recytuje wiersz, który szydzi ze szczęśliwej pary. Zrobili to dziś w nocy Serafinie Capriani, mój ukochany Galeazzo i jego przyjaciele. Jeden z aktorów był stary, pochylony i zadziwiająco szczerze obdarzony przez naturę. Inny udawał kobietę w ciąży.

Thomas wpatrzył się w nią szeroko otwartymi oczyma, szarpany różnymi myślami, zmieszany.

- Madonna Capriani jest chyba w szóstym miesiącu, jak przypuszczam - szepnęła Constanza. - Chociaż mogła już wła-

śnie stracić dziecko. Występ Galeazza był dla niej wstrząsem. Zabrałam ją do domu i posłałam po akuszerkę.

Tym razem to on usiadł, nie panując na drżeniem mięśni. Mężczyźni umierają w bitwach albo na morzu. Kobiety umierają w połogach.

- Czy będzie żyła? - wykrztusił z siebie.

- Nie wiem. - Constanza milczała przez chwilę, a potem podeszła do niego i dodała łagodniejszym tonem: - Jest młoda i silna. I będzie walczyć. Ale sądzę, że jeśli przeżyje, powinieneś do niej pójść.

Ukrył twarz w dłoniach, ale dostrzegła, że cały drży.

- Nie chciała mnie.

- Cóż. - Położyła mu rękę na ramieniu i pogłaskała go, łagodząc ból fizyczny. - Będziesz musiał nauczyć się żyć z jej odmową, mój drogi Thomasie. Serafina dźwiga inny ciężar. Tylko ty możesz jej trochę ulżyć.

Nie poruszył się i nie odezwał.

- Ponieważ ją kochasz - dokończyła cicho. - I ponieważ jesteś jej przyjacielem. I ponieważ nie ma nikogo innego prócz ciebie.

Poszedł do niej tydzień później, dowiedziawszy się od służby Caprianich, że Serafina, podobnie jak i on, przechytrzyła śmierć.

Przyjęła go na górze, w pokoju, którego okna wychodziły na rzekę Arno. Dom stał na przeciwległym brzegu rzeki niż pałacyk Constanzy. Thomas siedł tu, nie czując bólu w ledwie wyleczonych kościach. Miotły nim lodowate podmuchy wiatru, pod nogami skrzypiał mu śnieg.

Zabolało go jednak, gdy ją zobaczył. Leżała na sofie obok okna, okryta kocami, wsparta o poduszki. Jej czarne włosy i oczy kontrastowały z bielą skóry. Gdy przyjrzał się dokładniej, dostrzegł niewielką bliznę pozostałą po wypadku, jakiego doznała podczas ich ucieczki z Algieru. Wyglądała teraz równie młodo jak wtedy: dziecko o bladej twarzyczce, zmordowane po walce z żywiołami.

Zamknął za sobą drzwi. Na deskach podłogi wokół jego butów rozlały się kałuże z topniejącego śniegu. Na płaszczu i rondzie kapelusza błyszczały jeszcze białe kryształki. Thomas uklonił się, nic nie mówiąc.

Serafina milczała. Pomyślał, że tym razem chętnie wysłuchałby jej sarkastycznych albo drwiących uwag. Nie powiedzia-

ła tak jak kiedyś: „Witam pana, panie Marlowe. Jak to miło”. Zmusił się, by spojrzeć w jej ciemne, nieprzeniknione oczy i dostrzegł, że i ona także poznała, co znaczy lęk i utrata nadziei.

Nagle znalazł się obok jej łóżka, na klęczkach, i położył na poduszce swój prezencik.

- William Williams zrobiłby to lepiej - powiedział. - Ale jest teraz w Aleppo.

Był to stateczek, wyrzeźbiony z drewna, z masztami z patyczków i jedwabnymi żagielkami. Serafina dotknęła maleńkiego galeonu i Thomas zobaczył, że ma białe, prawie przezroczyste palce.

- „Zimorodek” - szepnęła. Skinął głową i dodał:

- Należy do ciebie, jeśli tylko chcesz.

Zdumiewająco łatwo wypowiedział te słowa, w których ofiarowywał to, co kochał najbardziej, osobie, o której wiedział, że może zrobić z jego miłości podły użytek. Ale wcześniej już dostrzegł w tym wszystkim jakąś nieuchronność, jakby ktoś albo coś - ukochane gwiazdy Kara Alego albo nieudolne machinacje śródziemnomorskich bóstw połączyły ich losy. Los jego, Serafiny i „Zimorodka”. Patrzył, jak trzyma w dłoni maleńki statek, przyglądając się uważnie masztom, obszernej ładowni i smukłej, eleganckiej sylwetce, która miała zapewnić odpowiednią prędkość.

- Spodziewam się dziecka, Thomasie - odezwała się w końcu. - Prawie je straciłam, ale powiedziano mi, że jeśli będę wypoczywać, mogę je donosić.

Jej ciało skrywały pofałdowane koce.

- Wiem - odpowiedział. - Constanza mi powiedziała. Spojrzała na niego, marszcząc czoło.

- Ta kurtyzana, Constanza. Kochanka Galeazza Merliego - wyjaśnił Thomas. -

Znalazła cię tamtej nocy, po *pasquinade*. Mieszkam w jej domu już ponad miesiąc. Nagle przymknęła oczy, a jej palce zacisnęły się na modelu.

- Mieszkam w jej domu, to wszystko - wyjaśnił pośpiesznie. - W Livorno miałem pewien... wypadek. „Zimorodek” został zniszczony, ja odniosłem rany. Constanza się mną zajęła, tylko Bóg jeden wie, dlaczego.

Wyjął z jej palców stateczek i postawił go na stoliku obok sofy. Chciał wziąć ją w ramiona, pogłodzić po długich, ciemnych

włosach, usunąć zmartwienia, których przysporzyli jej Bóg, inni ludzie i ona sama. Wiedział jednak, że musi oprzeć się tej pokusie, podniósł się więc, podszedł do okna i popatrzył na zamarznąłą rzekę Arno w dole.

- Gdybym miał pieniądze, „Zimorodka” można by naprawić - powiedział. - Kiedyś go chciałaś. Jeśli nadal go chcesz, możesz go mieć, Serafino.

Śnieg przestał już jadać, jasne chmury wisiały nisko; były białozółte, niemal koloru pierwiosnków. Śnieg leżał na dachach i w rynsztokach, na parapetach okiennych i schodach, nawet brudne brzegi rzeki i uliczki wyglądały teraz czysto i świeżo.

Usłyszał szept Serafiny:

- A ty, Thomasie?

Zrozumiał ją natychmiast. Dokonał już wyboru, ale milczał przez chwilę, spoglądając w dół, na rzekę, gdzie ludzie budowali na lodzie rzeźby ze śniegu: konie, dragonów i galeony pod żaglami. Śnieg iskrzył się w słońcu niczym kryształ.

- Popłynę na nim - odrzekł w końcu. - Gdzie tylko zechcesz mnie wysłać.

To nie miało posmaku klęski, jak się kiedyś obawiał. Od kiedy Constanza zmusiła go, by się przyznał przed samym sobą, że bez Serafiny i „Zimorodka” nie może marzyć o szczęściu, wszelkie wysiłki, by się bronić, wydawały mu się daremne. Nie było sensu bronić się przed czymś, za czym tęsknił przez całe życie, choćby wbrew rozsądkowi. Nie próbować już stawiać żadnych żądań: wiedział, że potrzebuje obojga, bez względu na warunki, jakie by mu postawiono.

Nie widział morza, przysłaniał je biały horyzont. Ale wiedział, że ono tam jest, wolne od lodu, i że czeka na niego.

- Nie jestem już związany z Kompanią Lewantyńską, Serafino. „Zimorodek” został zniszczony, ale można go naprawić. Musiałabyś wydać trochę pieniędzy, by dokończyć budowę, i pożyczyć mi trochę, żebym mógł oddać Kompanii to, co pożyczyłem. Pracowałbym dla ciebie jako kapitan statku. „Zimorodek” pływałby pod twoimi barwami, zawijałby do portów, które byś wskazała. Constanza powiedziała mi, że twój mąż jest chory i sama prowadzisz firmę. A zatem, cóż, pozwól, że ci pomogę. Mogę popłynąć do Neapolu i Marsylii, a zajmie mi to kilkakrotnie mniej czasu niż podróż na mule messerowi Caprianiemu.

Wydawało się, że cisza i bezruch zasypanych śniegiem ulic zapanowały też w pokoju.

- Dlaczego? - Serafina wyszeptała jedno tylko słowo. Miał prawie tydzień, by znaleźć odpowiedź na to pytanie.

- Ponieważ nie mogę patrzeć na to, jak się zameczasz. Odwróciwszy się od okna, Thomas zobaczył, jak Serafina usiłuje usiąść, opierając się o poduszki, a w jej oczach zapłonęły resztki dawnego ognia.

- Odbiorę jednak Angelowi moją własność, Thomasie. Nie potrafiłabym bez niej żyć.

Pogodził się już wcześniej z tą możliwością. Uczucia wobec Angela Guardiego - czy była to miłość, czy nienawiść - były częścią niej samej. Przez chwilę zastanawiał się, czy mogłaby bez nich dłużej żyć.

- Wiem. Nie będę próbował cię powstrzymać.

- A dziecko?

Thomas podszedł do sofy i usiadł ostrożnie na brzegu. Wziął Serafinę za rękę, odbierając jej wszelkie argumenty i poczuł pod skórą delikatne kości.

- Na moich oczach umierało zbyt wielu ludzi w ten czy w inny sposób - powiedział cicho. - Moja rodzina zmarła podczas zarazy. Został mi tylko brat w Londynie, nikt więcej. Widziałem, jak ludzie umierają na szkorbut, giną od kuli armatniej, toną. Sam uratowałem się z tonącego statku, dwa razy prawie się utopiłem. Wydaje mi się, że warto trzymać się kurczowo życia. Tak więc ty wybierzesz imię dla swego dziecka, ale może nie będziesz jedyną osobą, dla której stanie się ono ważne.

Gdy w końcu na niego spojrziała, wiedział już, że się zrozumieli. Są rzeczy, których nigdy nie można być pewnym, ale jeśli dziecko Serafiny miało urodzić się w środku wiosny, jak domyślała się Constanza, nie trzeba specjalnych umiejętności matematycznych, by wyliczyć, że mogło być równie dobrze jego, a nie Jacopa Caprianiego.

- To nieważne - dodał miękko. - Nie żądam niczego. Mówiłem ci, że chcę tylko, byś przeżyła, to wszystko. Pomyśl o tym jak o umowie handlowej, jeśli chcesz. Ja potrzebuję pieniędzy, by dokończyć swój statek, ty zaś potrzebujesz kogoś, kto by ci pomógł podczas najbliższych miesięcy. Wymiana handlowa, moja droga, jak sama kiedyś powiedziałaś. O nic więcej cię nie proszę.

Zobaczył, że Serafina patrzy na niego już znacznie mniej podejrzliwym wzrokiem. Na chwilę jej dłoń rozluźniła się i teraz niemal z radością przyjmowała jego uścisk. Skinęła głową na zgodę w ledwo zauważalny sposób. Nie sięgnęła jednak po papier i pióro, by spisać umowę, tak jak może zrobiłaby dawniej. Thomas pomyślał, że nawet jej mogło się to wydać niestosowne.

Część dziewiąta

1596

TO, CO NIEMOŻLIWE, STAJE SIĘ MOŻLIWE

Wydawało się zatem niemożliwe, by mury Jeryha padły.

Ale Bóg potrafi sprawić, że to, co niemożliwe, staje się możliwe.

„DWUSTU SZEŚĆDZIESIĘCIU SZEŚCIU CHRZEŚCIJAN OSWOBODZONYCH Z TURECKIEJ
NIEWOLI”

RICHARD HAKLUYT

Jacopo Capriani zmarł w połowie kwietnia, ale jego żona nie uczestniczyła w pogrzebie, ponieważ trzy dni wcześniej urodziła dziecko.

Poród był wyczerpujący, upokarzający i bolesny. Kiedy już położnicę umyto i ubrano w czystą koszulę nocną, a akuszerka podała Serafinie dziecko, ta najpierw na nie nawet nie spojrzała. Chłopiec - powiedziano jej, kiedy najgorszy ból minął, i po cichu podziękowała za to wszelkim bóstwom, które mogły ją słyszeć, ponieważ chłopiec zapewniał jej to, czego pozbawiła ją śmierć Jacopa: majątek i firmę Capriani.

Gdyby to była dziewczynka, Serafina zostałaby bez grosza. Wszystko, na co zapracowała, przeszłoby w ręce jakiegoś odległego krewnego płci męskiej, którego zdołaliby odszukać prawnicy Capriani. To małe, ruchliwe zawiniątko, które trzymała w ramionach, gwarantowało jej przyszłość i nagrodę, słusznie należącą się za lata pracy i snucia planów. Serafina poczuła, że prawie mimowolnie uśmiecha się z triumfem i ulgą.

- Tak, śliczny jak laleczka, prawda? - odezwała się z aprobatą akuszerka. - Śliczny chłopczyk. Jaka szkoda, że ojciec nie mógł go zobaczyć.

Jeszcze nie spojrzała na dziecko. Wszystkie dzieci są przecież brzydkie. Powoli jednak skierowała wzrok w stronę białego tłumoczka. Z wysiłkiem poruszyła głowę, z wysiłkiem podniosła rękę, by poprawić szal, który spadł na twarz maleńkiej istotki. Noworodek wiercił się, wymachiwał rączkami, a po chwili otworzył oczy.

Wyglądały na ciemne, tak ciemne, że Serafina prawie nie mogła określić ich barwy, ale wydawało jej się, że są niebieskie. Kolor oczu nie miał jednak znaczenia; od dawna już wiedziała, że może to być dziecko Thomasa Marlowe'a, i miała czas, by wszystko obmyślić. Większość noworodków ma niebieskie oczy. Zanim zaczną się plotki, wyśle dziecko na wieś, by tam się nim zajmowano. Tak czy owak, tam będzie bezpieczniejsze; nie mogła sobie pozwolić, by jej syn, jak wiele innych dzieci, zmarł w niemowlęctwie. Jej przyszłość i bezpieczeństwo zależały od słabego płomyczka życia, tłącego się w tej brzydkiej istotce.

Ale synek nie był znów taki brzydki. Rzuciwszy na niego okiem po raz drugi, Serafina pomyślała, że chociaż chłopczyk ma spłaszczony nos i łysą główkę, to prezentuje się jednak zdumiewająco dobrze. Wyczerpana, jak przez mgłę usłyszała pytanie niańki:

- Jak pani go nazwie, madonna?

Niebieskie oczka były teraz zamknięte, a z pomarszczonych usteczek zaczęło wydobywać się kwilenie. Oczy miał jak Thomas, ale usta także jej kogoś przypominały: ojca, który czasami pojawiał się w jej snach.

- Francesco - odpowiedziała Serafina, oddając dziecko i stwierdziła, że znów się uśmiecha. - Nazwę go Francesco.

Na początku lutego Thomas Marlowe rozpoczął prace przy odbudowie „Zimorodka”. Najpierw sam, pracując wytrwale i ucząc się nie zważać na ból w ramieniu i pokonywać, nie po raz pierwszy, lęk, jaki zaczęło w nim znów budzić morze.

W marcu pojawił się znowu konwój Kompanii Lewantyńskiej wracający z Aleppo. „Garlandem” dowodził Edward Whitlock, a „Legacy” John Keane. Thomas wręczył Whitlockowi pieniądze pożyczone od Serafiny - wszystko to na oczach Johna Keane'a, który chciał być pewien, że żaden z nich nie przyłoży drugiemu noża do gardła. Dwa tygodnie później konwój odpłynął do Londynu.

Wraz z konwojem w Livorno zjawił się William Williams oraz jego pomocnik, Cristofano. William nie chciał wracać do Anglii za życia starej królowej. Nad szklanką gorącego wina w portowej tawernie Thomas opowiedział cięśli o madonnie Capriani, nowej właścicielce „Zimorodka”. Nie kłamał, tylko

nie mówił wszystkiego, a Williams nie komentował naglej ustępliwości przyjaciela, rozumiejąc sprzeczne siły, popychające go od uporu do kompromisu. Williams udawał, że niczego nie zauważył, ale zgodził się z sugestią, iż madonna Capriani potrzebuje dobrego cieśli okrętowego.

„Zimorodek” miał być gotowy do wypłynięcia w ciągu paru tygodni, trzeba było wymienić i na nowo pomalować deski z potrzaskanej rufy i wznieść nowe maszty, aby znów mogły sterczeć dumnie nad pokładami. W pierwszą podróż, zaplanowaną już przez Serafinę, wybierali się do Neapolu, by dokonać zakupu wyrobów z jedwabiu, w czym zaczął się specjalizować Jaco-po Capriani.

Ale kupiec zmarł na febrę, która już wielokrotnie atakowała go wcześniej.

Wiadomość ta dotarła do Thomasa, gdy zaczynał ostatnie przygotowania do rejsu „Zimorodkiem” z Livorno do doków w Pizie. Chciał, by Serafina zobaczyła swój statek. Była w ciąży, ale mogli ją przynieść do portu w zamkniętej lektyce, gdyby zaszła taka potrzeba. Chciał ujrzeć znów na jej twarzy uśmiech, chciał, by odzyskała tę pewność siebie, którą odebrała jej maskarada Galeazza Merliego. Pragnął zrobić wszystko, co tylko mógł, by uwolnić ją od więzów, jakie sama narzuciła sobie w przeszłości. Czasami wydawało mu się, że chociaż Serafiny nie krepowały już więzienne okowy, to jej umysł nigdy nie zdołał wyzwolić się z kajdan.

„Zimorodek” dotarł do Pizy cztery dni później. Nim to nastąpiło, Thomas spędził trzy dni, nadzorując ostatnie prace wykończeniowe, a czwartego dnia ostrożnie poprowadził galeon wzdłuż wybrzeża Toskanii. Płynął powoli, wykorzystując ów czas na dokonanie niezliczonych, drobnych poprawek i poznawanie arcydzieła, które stworzył.

To tak, pomyślał w czasie podróży, jakby poznał wreszcie wspaniałą, kosztowną kurtyzanę, której od dawna pożałował. Z początku czuł się nieporadnie, a widok szarych fal rozbijających się o burty, gdy opuścili bezpieczne schronienie, jakim był port w Livorno, budził jego niepokój. Od powrotu z Zante nie pływał, nie powierzył swego życia morzu, odkąd William Williams wyciągnął go z toni.

Z dala od portu, a bliżej otwartego morza, „Zimorodek” nabierając wiatru w żagle, aż zaczęły trzeszczeć maszty, walczył z ograniczeniami prędkości, jakie narzucił mu Thomas. Wiosen-

na pogoda im sprzyjała, niebo było prawie bezchmurne, wiatr wzbijał białą pianę na szczytach fal. Załoga składała się jedynie z Williama Williamsa, Cristofana i kilku mężczyzn, których Thomas wybrał spośród mieszkańców doków w Livorno.

Thomas objął funkcję kapitana, a zarazem pilota i czasami stał na mostku, niekiedy zaś wspinał się wysoko i z nożem w zębach rozplątywał zasupłane liny. Strach, jaki do niedawna odczuwał, powierzając się znowu morskim falom, zniknął zupełnie, zastąpił go bardziej znajomy respekt do żywiołu opływającego drewniany dziób statku.

Uświadomił sobie, że czuje ogromną radość. Żaglowiec spełniał wszystkie pokładane w nim nadzieje, a nawet i więcej. W końcu okazało się, że wszelkie trudy, jakich Thomas doświadczył przez ostatnie lata, nie były daremne: zatonięcie „Toby'ego”, długa podróż z Maroka do Livorno, otarcie się o śmierć za sprawą Edwarda Whitlocka i Morza Śródziemnego. Stojąc na mostku, Thomas stwierdził, że owe wydarzenia przestały się liczyć, liczył się tylko cel, jaki wytyczył sobie dawno temu. Teraz musi pływać po Morzu Śródziemnym, ale to nie będzie trwać wiecznie, powiedział sobie. W ciągu roku spłaci dług Serafinie, a wtedy i ona zacznie postrzegać przyszłość tak jak on: pełną możliwości, wolną od przeszłości. Czekał nań Atlantyk - Thomas chciał odnaleźć wrota wiodące na Wschód.

Znalazłszy się w Villa Capriani, Thomas podał służącej płaszcz i kapelusz i strząsnął grudy błota z butów. Dom był czysty, ciepły i cichy.

Dziwnie cichy. Nie słyszało się kroków ani głosów, kanceliści nie biegali po schodach z piórami za uszami i papierami w rękach. Thomas nie widział nigdzie Serafiny, która zwykle jak gdyby znajdowała się jednocześnie w kilku miejscach, pilnując i zachęcając do większych wysiłków swych pracowników. Wokół panował spokój, a gdzieś na górze miauczał kociak.

Oczywiście, że jest cicho, powiedział w duchu Thomas, by opanować niepokój, jaki go nagle ogarnął. Minęły prawie dwa tygodnie od śmierci Jacopa Caprianiego i zapewne już go pochowano. Przez kilka ostatnich miesięcy kupiec wyglądał jak własny cień, był niczym żywy duch we własnym domu, echo dawnych czasów. To Serafina wprowadzała wszędzie ruch i ożywienie. Ale teraz Thomas nie dostrzegł jej nigdzie w pobliżu,

słyszał tylko szybkie kroki służących i miauczenie tego przeklętego kota. W tym momencie uprzytomnił sobie, że to nie kot i poczuł się, jakby otrzymał niespodziewanie cios w żołądek. Był zadowolony, że służąca odwróciła się do niego plecami, bo nie mógł znaleźć właściwych słów, by sformułować owo ważne pytanie. Nie mógł nawet przypomnieć sobie żadnej modlitwy. Pobiegł tylko przez hol i w górę po schodach do sypialni Serafiny, przerywając ciszę dudnieniem butów. Niańka spojrzała na niego z wyraźną dezaprobatą, gdy otworzył gwałtownie drzwi, a służąca upuściła na podłogę stos małych, białych ubranek. Ale Serafina, pólsiedząc na łóżku, z białym zawiniątkiem u piersi, rzekła tylko:

- Witam pana, panie Marlowe. Jakże miło pana widzieć. Serce Thomasa uspokoiło się nieco, a on sam wykrzywił twarz w uśmiechu. Nie przejmując się groźną miną niańki, przemaszerował przez pokój i usiadł na brzegu łóżka. Niemowlę przestało ssać, a Serafina powiedziała spokojnie:

- To chłopiec. Ma na imię Francesco - i podała zawiniątko Thomasowi. W odróżnieniu od wielu mężczyzn w jego wieku wiedział, jak trzymać niemowlę. Nie dlatego, że jak powiedział kiedyś Edwardowi Whitlockowi, jego bękarty zaludniały doki w Greenwich, ale dlatego, że jego starszy brat Robert miał nie tylko porządną tawernę i miły charakter, ale także żonę i piątkę dzieci. Ubranie Thomasa pachniało morzem, solą i smołą. Synek Serafiny pachniał mlekiem, mydłem i wodą różaną. Na górnej wardze miał jeszcze białą kroplę. Był prawie tak łysy jak Ga-leazzo Merli. Miał także niebieskie oczy. Thomas obiecał w duchu swemu synowi morze, statek i wszelkie bogactwa, dostępne na tym świecie. A Serafinie powiedział:

- Ma piątki zawodowego boksera. Uważaj, bo zaczniesz zarabiać na życie, walcząc na jarmarkach, a nie na handlując jedwabiem. - A potem, nie pocałowawszy nawet dziecka, które szukało ustami piersi wymachując rączkami, oddał je matce. Widział, że jest zmęczona, zaczął więc po prostu mówić o „Zimorodku”. Ujrzał w oczach Serafiny lekki błysk i uśmiech, który przemykający jej po twarzy, kiedy zaproponował, że mogłaby zrobić listę zakupów i spraw do załatwienia w Neapolu. Ale gdy

przymknęła w końcu oczy, nie poruszył się, siedział tylko i patrzył na nich oboje: na dziecko w kołysce i Serafinę, której ciemne włosy rozrzucone były w nieładzie na poduszce.

Tydzień później, w tym samym pokoju, w którym Serafina powiedziała kiedyś Thomasowi o swym małżeństwie, notariusz odczytał testament Jacopa Caprianiego. Ubrana w czerń, w głębi duszy uradowana, że odzyskała swą dawną sylwetkę, Serafina siedziała z przymkniętymi oczami i rękami złożonymi na kolanach, słuchając uważnie słów prawnika.

Nie poruszyła się, gdy notariusz oznajmił, że posiada teraz, jako matka i jedyna opiekunka Francesca Caprianiego, domy w Neapolu, Pizie, Marsylii i Neapolu. Siedziała nieruchomo również wtedy, gdy monotonnym głosem wyliczał, co Jacopo Capriani zostawił żonie i synowi. Ale kiedy uświadomiła sobie w końcu, ile pieniędzy znajduje się w różnych bankach, skrzyniach i sakiewkach, serce jej zaczęło bić mocniej.

Pojęła, że Jacopo pracował ciężko przez całe życie i w ogóle nie wydawał pieniędzy. Mieszkał w zaniedbanym domu, nosił stare ubrania, jednakże posiadał aktywa warte ponad pięćdziesiąt tysięcy florenów. Nie chciał opłacić medyka, który mógł uratować mu życie, a przecież byłoby go stać na dziesięciu doktorów. Przyspieszył swą śmierć - i po co? Dla rzędu liczb w księdze rachunkowej, dla pliku dokumentów w skrzyni.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy Serafina poczuła, że powracają jej dawna energia i stanowczość. Czasami, w ponure dni, które nastąpiły po maskaradzie, gdy groziło jej poronienie, myślała, że już do końca życia będzie się czuła zniewolona, zapędzona w pułapkę tak przez swe słabe ciało, jak przez Angela. Dręczyła ją niepewność, przygnębiająca i dusząca. Teraz wydawało się, że horyzont się rozjaśnił, że przeszłość, teraźniejszość i przyszłość zaczęły znowu mieć sens. Notariusz zamilkł i skłonił się wdowie. Stojący pod ścianami salonu urzędnicy i służba zaczęli szurać nogami i pokasły-wać, a Serafina wstała i opuściła pokój. Nie uniknęła jednak spojrzenia pewnej pary oczu. Thomas Marlowe stał w niedbalej pozie w kącie, w czarnym kapeluszu, z założonymi rękoma. Uśmiechnął się, gdy go mijała, ale był to uśmiech pełen ironii. Serafina chwyciła go za rękaw i pociągnęła za sobą do holu.

Kiedy notariusz, urzędnicy i służący rozeszli się do swoich zajęć, Serafina powiedziała:

- Masz listę, którą dałam ci w związku z wyjazdem do Neapolu? Kup wszystkiego dwa razy więcej!

Skinął głową, nie wyglądając na zdziwionego.

- Jesteś teraz bogata, Serafino. Pokręciła głową, ściskając jego dłonie.

- Nie jestem bogata. Jeszcze nie. Ale będę!

Podczas porannej godzinnej rekreacji w klasztorze w Neapolu, Maria Garzoni próbowała wyczyścić stanik u sukni, mając do dyspozycji cebrzyk deszczówki i szczotkę do włosów.

Przód szarej, wyblakłej sukni pokrywały czarne plamy, upodabniając strój kolorem do marmuru. Zakonnice nie zauważyły jeszcze tego, ponieważ siostra Teresa, która złażała dziewczynę wcześniej za wczorajsze wykroczenie, miała bardzo słaby wzrok. A poza tym dość szczęśliwie się złożyło, że siostra Teresa kazała Marii nosić na piersi kartkę, która przykryła najgorsze plamy. Na kartce Maria napisała własnoręcznie, acz niezbyt wprawnie: „Za rozmawianie podczas robótek ręcznych”. Ten zbieg okoliczności, który pozwolił jej ukryć dzisiejsze wykroczenie za pomocą wczorajszego, wzmocnił też beztróską wiarę w to, że Bóg rozumie ludzkie przewiny.

Dziś wieczorem jednak, podczas wieczornej rekreacji, kartka zostanie usunięta (przez siostrę Bonawenturę, która budziła lęk nawet u Marii) i przestępstwo wyjdzie na jaw. Siostra Bonawentura miała fatalną zdolność docierania do sedna rzeczy, a Maria, która nie potrafiła kłamać, zbyt łatwo mogła sobie wyobrazić twarz zakonnicy, gdy ta odkryje pochodzenie owych czarnych plam. To nie była farba, lecz *kahveh*. Na początku tygodnia dziewczyna wymknęła się do portu, przekonawszy wprawdzie siostrę Teresę, że potrzebuje nowych rękawiczek. W porcie pewien ogromnie miły człowiek dał jej ziarenka *kah-veh*. Nie prosiła o nie - uśmiechnęła się tylko do niego, bo miał na odsłoniętym torsie wyrysowane niebieskie węże i drzewa, a mężczyzna sięgnął do worka i dał jej *kahveh*. Ludzie często jej coś dawali. Maria domyślała się, co powiedziałyby siostra Bonawentura, gdyby się o tym dowiedziała, ale ona sama uważała, że nie było w tym nic złego. Ludzie, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, lubili ją, ponieważ się uśmiechała i rozmawiała

z nimi, poprawiając im humor. A tego właśnie ludzie naprawdę chcą.

Kahveh był to doprawdy najdziwniejszy prezent, jaki kiedykolwiek otrzymała.

Żeglarz wskazał na garść małych, ciemnych ziarenek, powiedział *kahveh*, zrobił gest, naśladujący picie czegoś i oblizał usta. Tak więc wczesnym rankiem, zanim zadzwonił dzwonek na pobudkę, Maria próbowała zrobić z *kahveh* napój.

Eksperyment jednak się nie powiódł. Rozdrobniła ziarenka za pomocą kamienia, jakby to było ziarno do zmielenia, ale wiele czarnych kulek wyleciało z kubka na podłogę. Potem, gdy wreszcie otrzymała nieco proszku, zmieszała go z zimną wodą i spróbowała przyrządzonego napoju. Smakował tak wstrętnie, że kubek wyleciał jej z ręki, a płyn wylał się na przód sukni i podłogę. Często przedmioty uciekały Marii z rąk i po części dlatego zawsze miała jakieś kłopoty. Jej robótki, mówiła często siostra Bonawentura, wyglądały tak, jakby to wrona wyszywała ścięgi. Siostra Bonawentura przypominała wówczas Marii o pięknej serwecie na ołtarz, którą jej matka wykonała dla klasztoru. Maria, wiedząc, że matka zatrudniła hafciarkę do tej przekłętą roboty, zwieszała głowę i rozmyślała beztrosko o pięknym, klasztorным ogrodzie albo o statkach w porcie.

Teraz jednak nie mogła zachwycać się pączkami róż i lilii, błękitem nieba i słońcem odbijającym się w odnowionej niedawno fasadzie pobliskiego kościoła pod wezwaniem świętej Klary. Myśl o siostrze Bonawenturze sprawiła, że Maria szeptała słowa modlitwy, bezskutecznie walcząc z czarnymi plamami.

Bóg, o którego łaskawości dziewczyna była głęboko przekonana, odpowiedział na jej prośby prawie natychmiast. Rozległ się odgłos czyichś kroków i Maria pospiesznie przypięła do sukni kartkę z inskrypcją, a szczotkę do włosów wsunęła do kieszeni. Ale była to tylko siostra Esmeralda, najdroższa przyjaciółka Marii, jak zwykle zdyszana i zaróżowiona.

- Masz gościa, moja droga, siostra Bonawentura mnie po ciebie wysłała. - Siostra Esmeralda urwała, by otrzeć szeroką, błyszczącą twarz małą koronkową chusteczką, a Maria uściskała zakonnice i pomogła poprawić zsuwający się welon. Siostra Esmeralda roztaczała zawsze wokół siebie atmosferę niepokoju i zdziwienia, ale była bardzo kochana, i to ona towarzyszyła dziewczynie podczas wycieczki do portu. - Musisz się pospieszyć - wysapała. - Spóźnisz się!

Maria nigdy nie martwiła się, że się spóźni, ale uniosła spódnicę, by sprawić przyjemność przyjaciółce i pobiegła przez ogród w stronę klasztoru. Zakonnica jeszcze zawołała za nią:

- Idź, nie biegnij, moja droga! - zwolniła więc kroku.

W małym pokoiku przy wejściu do klasztoru Maria ujrzała najpierw siostrę Bonawenturę, wyglądającą na zagniewaną, a potem nie znanego jej młodego mężczyznę, który stał w drzwiach, trzymając grzecznie kapelusz w rękach. Potem wśród znajomych klasztornych woni mydła i kadzideł rozpoznała zapach wody różanej. Odwróciwszy się, usłyszała szelest jedwabiu i natychmiast wiedziała już, kim jest czwarta osoba znajdująca się w małym, ciemnym pokoju.

- Mamo! - zawołała i podbiegła, by ją uściskać.

Constanza skutecznie zajęła się siostrą Bonawenturą, aż w końcu surową twarz zakonnicy rozjaśnił cień uśmiechu na wieść o obiecany nowym świeczniku do zakrystii. Potem została sama z Thomasem, który przywiózł ją z Pizy do Neapolu, i córką, niewidzianą od półtora roku.

Kiedy odzyskała oddech i zapanowała nad łzami, przedstawiła Marii Thomasa. A potem zrobiła mały krok do tyłu i ściskając wciąż dłonie córki, przyjrzała się uważnie jej twarzyczce, jakby chciała napatrzeć się na zapas, na długie miesiące rozłąki.

Ale spoglądając na brązowe loki Marii i orzechowe oczy, które nie przypominały oczu matki ani nikogo innego zapamiętanego z przeszłości, Constanza pomyślała, że córka nie jest już dzieckiem. Ma teraz szesnaście lat, dogoniła prawie wzrostem matkę, a zgrabnej figury dziewczyny nie mógł przysłonić nawet szkaradny klasztorny strój.

Z bólem w sercu i uśmiechem na ustach Constanza pomyślała, że pod pewnymi względami jej córka nie zmieniła się ani trochę. Pomimo wielu szpilek we włosach, Maria była niedbale uczesana, a palce, które Constanza wciąż ściskała w dłoniach, miała brudne i poplamione. Na staniku sukni nosiła przypiętą kartkę papieru, co wydawało się dość dziwne. Napis na kartce był nieczytelny.

- Za rozmawianie podczas robótek ręcznych - pospieszyła z pomocą Maria, odgadując spojrzenie matki. - Musiałyśmy robić мережки, a mnie po prostu nie wychodziły tak jak trzeba.

Uśmiech, będący jej główną ozdobą, objął Constanzę i Thomasa, błękitne niebo i ogrody za oknem oraz wysokie mury klasztorne, odgradzające siostry od życia. Constanza zdawała sobie sprawę, że gdyby zabrała córkę do własnego świata, z takim uśmiechem byłaby zgubiona w ciągu zaledwie tygodnia. Sępy czekały już, by rozszarpać jej młode ciało i wyryć na czystej twarzy bruzdy żalu i gorzkich doświadczeń.

- Robótki się już skończyły - powiedziała stanowczo Constanza - więc myślę, że siostra Bonawentura nie miałaby nic przeciwko, aby to zdjąć.

Ostrożnie odpięła kartkę i odłożyła szpilki na stojący obok kredens. Okazało się jednak, że suknia córki pod papierem jest pomazana na czarno, jakby ktoś próbował, całkowicie nieskutecznie, zmyć plamy po czarnym atramencie.

- To *kahveh*, mamó - powiedziała Maria. W jej brązowoniebieskich oczach nie było śladu zakłopotania. - Próbowałam zrobić z tego napój i zalałam suknię. Tak czy owak był wstrętny - dodała nielogicznie.

Constanza musiała sprawiać wrażenie oszołomionej, usłyszała bowiem wyjaśnienie Thomasa.

- *Kahveh* przyrządza się z palonych ziaren, Turcy to piją. Gdzie na Boga kupiła pani *kahveh*, madonna Garzoni?

Maria uśmiechnęła się szeroko do Thomasa.

- Nie kupiłam, messer Marlowe. Jakiś człowiek mi to dał. W porcie.

- W porcie?

Dziewczyna ścisnęła uspokajająco matkę za ramię.

- Wszystko w porządku, mamó, siostra Esmeralda poszła tam ze mną. Jest nowicjuską i tęskni za matką, więc chodzimy i patrzymy na statki. Siostra Esmeralda pochodzi z Wenecji - powiedziała do Thomasa Maria, szczęśliwa, jak się wydawało, że wszystko wyjaśniła. - Gdy zobaczy jakiś wenecki statek, mniej tęskni za domem.

W korytarzu obok rozległy się kroki.

- Siostra Bonawentura! - szepnęła Maria. Po raz pierwszy wyglądała na zaniepokojoną.

Constanza zdejmowała właśnie z ramion swój czarny, koronkowy szal.

- Założysz to teraz - oświadczyła, układając go na ramionach córki, by ukryć zabrudzony strój. - I powiem siostrze Bo-

nawenturze, że zabieram cię do krawca, by wziął miarę na nowe suknie. Ty zaś - dodała surowo - wyjaśnisz mi wszystko na temat siostry Esmeraldy. I portu. I *kahveh*.

W końcu trafili oczywiście z powrotem na pokład „Zimorodka”, przycumowanego w neapolitańskim porcie. Thomas zostawił matkę i córkę u krawca, miał bowiem inne sprawy na głowie niż omawianie szerokości kryz i szarf oraz długość rękawów. W trakcie przymiarek i poprawek Constanza zdołała wydobyć z córki dość spójną relację z jej życia w klasztorze i upewniła się, że wyprawy Marii to nic więcej, jak tylko rzadkie okazje do ucieczki od nudy, zbyt dobrze znanych twarzy i otoczenia. Wymusiła jednak na córce obietnicę, że nigdy nie wyjdzie z klasztoru sama i że nigdy więcej nie pójdzie do portu. To ostatnie sprawiło, że orzechowe oczy dziewczyny spochmurnia-ty, a uśmiech znikł, Constanza musiała więc jej wyjaśnić, że siostra Bonawentura z pewnością uznałaby port za miejsce równie nikczemne jak tawerna albo i jeszcze gorsze, i że zarówno Maria, jak i siostra Esmeralda zostałyby wydalone z klasztoru, gdyby sprawa się wydała. Złagodniawszy nieco, Constanza zaproponowała córce, że pokaże jej po południu „Zimorodka”.

Morze, mieniące się wszystkimi odcieniami błękitu, zieleni i fioleto, było teraz spokojne. Constanza po raz pierwszy wybrała się w podróż morską i gdyby nie to, że cel stanowił Neapol i chęć ujrzenia Marii, czułaby się szczęśliwa, gdyby była to jednocześnie ostatnia jej podróż tego rodzaju. Wolała czuć pod nogami stały grunt i mieć możliwość umknienia przed wiatrem i złą pogodą. Ale dla córki mogłaby opłynąć cały świat dookoła, i gdyby nawet Thomas uważał, że jest jej coś dłużny, ona uznała już, że spłacił dług po stokroć.

Marlowe'a wciąż nie było, gdy matka z córką, precyzyjnie się przez zatłoczony port, dotarły na statek. Ale Cristofano, uczeń cieśli okrętowego, zbiegł po schodkach, by je powitać i zaprowadzić na środkowy pokład.

Constanza spodziewała się, że młodzieniec zacznie zalecać się do córki, pogodziła się więc z myślą, że będzie musiała rozstać się z nią na jakże cenne pół godziny, aby w tym czasie chłopak mógł ją oprowadzić po statku. Nie spodziewała się jednak, że William Williams, wyjrząwszy z przedniego pokładu, gdzie piłował drewno, każe wrócić swemu pomocnikowi do pracy i za-

proponuje, iż sam będzie towarzyszył młodej damie. No cóż, pomyślała Constanza, usadowiwszy się wygodnie na mostku, miłość chadza różnymi drogami.

Podobnie też pary, które połączyło to uczucie, często były dość dziwaczne. Jeśli Thomas mógł zakochać się w Serafinie Capriani, to czemu William Williams, ten spokojny, cichy walijski cieśla, nie miałby ulec urokowi roztrzepanej córki kurtyzany? A Maria była wyjątkowo miłą dziewczyną. Ta myśl nie dawała czasami Constanzy spać w nocy.

Thomas powrócił na galeon, kiedy William i Maria wciąż byli pod pokładem i oglądali różne skomplikowane urządzenia niezbędne na dobrze uzbrojonym okręcie handlowym. Constanza poznała po minie Thomasa, że spędził udany dzień i odwiedził wielu neapolitańskich kupców, by poczynić odpowiednie zakupy, wykorzystując wszelkie kontakty, jakie nawiązał w ciągu długich lat stary Jacopo. W jednej ręce trzymał kapelusz, a w drugiej dwa bukietki konwalii.

- Dla matki i córki - powiedział Constanzy na powitanie, rzuciwszy przedtem uważne spojrzenie na statek.

Przyjęła oba bukiety i odrzekła:

- Maria ogląda pokład strzelniczy i kajutę kapitana. Messer Williams ją oprowadza.

- Ściszyła głos i dodała: - Biedny Cristofano jest nadąsany.

Thomas rzucił okiem na przedni pokład i wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Nic mu nie będzie. Nie wątpię, że większą część dnia poświęcił na podziwianie miejscowych dam.

Po chwili William Williams pojawił się na środkowym pokładzie i wyciągnął rękę, by pomóc wejść Marii, wspinającej się w ślad za nim po schodkach. Dziewczyna miała na sobie nową, elegancką suknię w kolorze niebieskim, uszytą naprędce tego ranka. Constanza ze zdumieniem stwierdziła, że strój ten wciąż jest czysty.

- Thomas...

Cieśla uśmiechał się, ale pewien szczególny ton jego głosu kazał Constanzy podnieść na niego wzrok.

- Madonna Garzoni widziała „Fiamettę”. Stała w porcie, w Neapolu na początku tego tygodnia.

Thomas wstał i podszedł do dziewczyny.

- „Fiametta”? Czy jest pani pewna, madonna? - zapytał prawie szorstkim głosem, a z jego twarzy natychmiast znikł wyraz beztróskiego zadowolenia.

Ale Maria jakby tego nie zauważyła i odpowiedziała spokojnie:

- Tak, jestem pewna. To był galeon, taki jak ten - wskazała na „Zimorodka” - ale miał więcej złocień. Zwróciłam na niego uwagę, bo miał francuską banderę, mimo włoskiej nazwy.

Constanza usłyszała, jak Thomas nabrał powietrza i zauważyła, że wymienili z cieślą spojrzenia.

- To było kilka dni temu - dodała Maria, siadając obok matki. - Kiedy ten żeglarz dał mi *kahveh*. Na tę „Fiamettę” ładowano towary i szykowano się do wypłynięcia.

Oczy Thomasa nabrały odcienia twardego błękitu niczym szafiry.

- Czy widziała pani, w którym kierunku popłynęli, madonna? Na północ czy na południe?

Maria nie zastanawiała się ani przez chwilę.

- Na północ - odpowiedziała. - Jestem pewna.

Zapadła cisza. Constanza zastanawiała się, czemu francuski statek o włoskiej nazwie „Fiametta” jest taki ważny.

Po chwili Thomas, czytając jej w myślach, powiedział wymijająco:

- Mam do nich pewną sprawę. Nic ważnego, ale już dawno powinienem ją załatwić. Sięgnąwszy do kieszeni, podał cieśli listę i sakiewkę.

- Nie będzie mnie przez kilka dni. Will, większość transakcji z listy już zawarłem, ale może ty mógłbyś zająć się kilkoma ostatnimi. Constanzo... - Odwrócił się do niej.

Nie uwierzyła, gdy powiedział, że owa sprawa z „Fiamettą” to nic ważnego. Za dobrze go znała.

- Pojadę konno na północ, spróbuję odnaleźć ten galeon w którymś porcie. Nie masz nic przeciw temu, by zostać w Neapolu nieco dłużej, prawda? A William i Rufus z radością będą ci wszędzie towarzyszyć.

Constanza uśmiechnęła się i podała Thomasowi dłoń. Gdy pochylił się i pocałował koniuszki palców, powiedziała tylko:

- Uważaj na siebie, mój drogi. Pamiętaj, że jesteś we Włoszech, a nie w Anglii.

Francesco miał ciemne, kręcone kosmyki i niebieskie oczy
o barwie lapis lazuli.

Wbrew oczekiwaniom nianki, jego tęczy nie ściemniały

1 nie upodobiły się do oczu rodziców. Nie nabrały jasnobrażowej barwy oczu Jacopa, nie stały się też prawie czarne jak oczy matki. Serafina, siedząc przy oknie i tuląc do siebie sześciotygodniowego syna, pomyślała, że latem jego oczy będą jaśnieć, aż upodobnią się do błękitu tokańskiego nieba.

Nakarmiła małego po raz ostatni; kilka kropelek mleka błyszczało jeszcze na jego buzi, gdy zawiązywała z powrotem kaftan. Byli w pokoju sami, za oknami panowała cisza. Na ulicy stały tylko dwa konie - jeźdźcy zatrzymali się, by poprawić cugle i popręgi. W oddali słońce odbijało się w rzece i srebrzyło maszty statków stojących w porcie. Zaczęły przyplывать statki załadowane jedwabiem: każdego dnia w porcie rozładowywano bele materiału.

Francesco zamknął już oczy, zdradzające wszystko, a małe piąstki, którymi wymachiwał wojowniczo jeszcze pół godziny temu, leżały teraz spokojnie niczym kwiatki o pięciu płatkach. Ostatnia strużka mleka wyciekła z buzi dziecka na brodę. Serafina delikatnie wytarła ją własną, koronkową chusteczką i w nagrodę otrzymała bezzębny uśmiech.

Wiedziała, że to, co musi teraz zrobić, jest konieczne zarówno dla niej, jak i dla jej syna, okazało się to jednak takie trudne, tak potwornie trudne. Trudniejsze niż przepłynąć Morze Śródziemne z nieznanym mężczyzną, trudniejsze niż odesłać owego nieznanego, i zostać sama, nie po raz pierwszy zresztą. Z początku wcale nie pragnęła tego dziecka, a później chciała jedynie, by syn zapewnił jej bezpieczeństwo. A jednak, chociaż skończył już pierwsze sześć tygodni życia, uważane za najbardziej niebezpieczne, wciąż jej się zdawało, że jest z nim nierozzerwalnie złączona, jakby pępowina łącząca ich przez dziewięć miesięcy nie została przecięta.

Francesco zasnął mocno. Serafina podniosła się i owinęła go w chustę. Jedwab - przypomniała sobie, gdy przykryła buzię dziecka wełnianą tkaniną. Czekał na nią w porcie w Livorno. A gdzieś tam, nie tak daleko, Angelo zaczyna odczuwać dręczący lęk przed krachem finansowym. Thomas kupuje teraz w Neapolu wyroby z jedwabiu, stanowiące wciąż filar działalności przedsiębiorstwa Caprianich. Tkacze - na razie miała ich

tylko kilku, ale wkrótce będzie ich więcej - czekają na surówkę jedwabną, którą niebawem przywiezie „Zimorodek”. Zebrała wszystkie elementy razem: musiała już tylko odsunąć od siebie to niewielkie obciążenie, by móc po raz kolejny przystąpić do gry. No a poza tym, to dla jego własnego dobra.

A jednak, a jednak. Konie zaprzęgnięto do niedużego wozu, na schodach słychać było kroki. Niesłychanie ostrożnie podniosła synka i przyłożyła policzek do jego aksamitnej twarzyczki. Miała suche oczy, ale nigdy jeszcze nie czuła takiego ciężaru w sercu.

Gdy dziecko zabrano, udała się do pokoju kancelistów i zamieniła ich życie w piekło.

Thomas znalazł „Fiamettę” w Civitavecchia, głównym porcie Państwa Papieskiego. W ciągu czterech męczących dni, jadąc konno z Neapolu na północ, zaglądał do każdego portu po drodze. Postanowił dojechać aż do Genui, jeśli to będzie konieczne. Dał sobie dwa tygodnie na poszukiwania: ten jedyny raz Serafina mogła poczekać.

Rzuciwszy okiem na port w Civitavecchia, Thomas wiedział już, że zakończył poszukiwania. „Fiametta” przycupnęła u stóp potężnego fortu, częściowo ukryta w cieniu masywnych, sterczących bastionów. Od innych, mniejszych okrętów przycumowanych obok wyróżniały ją złocenia, które zauważyła Maria Garzoni. Thomas zeskoczył z konia i prowadząc go za uzdę, szedł dalej wzdłuż nabrzeża piechotą. Był wieczór, słońce zaczynało właśnie zachodzić, mieniąc się złotem i różami. Złość, jaka ogarnęła go na Zante, osłabła, ale tliła się wciąż niewielkim, ciemnym płomieniem, którego nie zgasił upływ czasu. Zbliżywszy się do francuskiego statku, zobaczył wyraźnie ową sylwetkę, która kiedyś ukazała się jego oczom w środku nocy. Nazwa „Fiametta” wypisana była złotymi literami na burtach, proporce zwisały luźno w wilgotnym, wieczornym powietrzu. Kilku mężczyzn szorowało pokład, inni naprawiali żagle i sprawdzali liny, wykonując wszystkie owe drobne prace, niezbędne do utrzymania kupieckiego statku w dobrym stanie. Nigdzie nie widać było jednak kapitana, który powinien przechadzać się dumnie po czystym pokładzie ani właściciela w czapce ozdobionej piórami, który dzięki swemu urokowi osobistemu i po-

mysłowości potrafił zawrzeć układ z gubernatorem Zante i algierskim korsarzem. „Fiametta” była większa od „Zimorodka”, a pod względem ilości złocen mogła się równać z galerą księcia Toskanii; błyszczała w zachodzącym słońcu podobnie jak wówczas, w świetle księżyca. Obwieszona proporcami niczym miasto w dniu święta swego patrona, przewyższała przepychem nawet największe okręty, przycumowane w odległym końcu portu.

Ale przechadzając się tam i z powrotem, Thomas zaczął się zastanawiać, czy ów okazały wygląd nie jest jedynie na pokaz. Ktoś nieznający się na rzeczy zauważyłby tylko błyszczący w słońcu wspaniały statek - Thomas zaś, przyglądając mu się uważniej, dostrzegł szpary w uszczelnieniu, przez które mogło wdrzeć się morze i osłabić belki. On kazałby kogoś wy-chłostać za taką niedbałość.

Same belki też nie były najlepszej jakości. Wodząc z ciekawością wzrokiem po kadłubie, Thomas poczuł satysfakcję z faktu, że kłamał, kradł, zebrał i zapożyczył się, by zdobyć porządne drewno do budowy „Zimorodka”. Kapitan „Fiametty” tego nie zrobił: wystarczył rzut oka, by dostrzec spaczenia i nierówności w kiepskim surowcu.

Ktoś z pokładu zawołał w jego kierunku po francusku:

- W czym można panu pomóc? - Jakiś żeglarz wychylał się przez burzę.

Thomas uśmiechnął się, machnął kapeluszem na przywitanie i odkrzyknął:

- Chciałbym wynająć jakiś statek do Tulonu. Czy zawijacie do tego portu?

- Czasami. W drodze do Marsylii. - Żeglarz wykręcił szmatę trzymaną w rękach i zerknął podejrzliwie na nieznajomego. - Ale nasz kapitan nie wynajmuje statku.

Marlowe nie zdziwił się, że właściciel „Fiametty” nie chce rozstawać się ze swym skarbem. Prawie od niechcienia zadał następne pytanie.

- Jak się nazywa wasz kapitan?

- Guardi - odparł żeglarz i odwrócił się tyłem. - Właścicielem „Fiametty” jest monsieur Guardi.

W pierwszej chwili Thomasowi wydało się, że to jakaś pomyłka. Guardi - tak nazywała się Serafina, a jej przecież nic nie łączyło z „Fiamettą”, z którą Thomas miał swe własne po-

rachunki. Wyruszył konno sam, by odnaleźć wroga, ponieważ była to jego sprawa i nikogo więcej, jak powiedział Williamowi Williamsowi. Istnieją sprawy, które nie wiążą się w żaden sposób z jego pracą dla Caprianich. Musiał się przesłyszeć albo ten żeglarz się pomylił. Ale Marsylia...

Thomas dopadł błyskawicznie kładki i wpadł na właśnie szorowany środkowy pokład.

- Guardi? - zapytał żeglarza, który spojrzał na niego z jawnym niezadowoleniem. - Czy to messer Angelo Guardi? Z Marsylii?

Sięgnął do kieszeni i wydobył kilka monet. Gdy znalazły się w wyciągniętej dłoni mężczyzny, ten kiwnął potakująco głową, ale nic więcej nie powiedział. Nad ich głowami krążyły mewy, w dole słychać było krzyki robotników portowych, ale wszelkie dźwięki z nabrzeża jakby przycichły i przestały się liczyć.

Thomas myślami powrócił do Marsylii - znajdował się przy drzwiach domu błyszczącego od złocen tak samo jak „Fiametta”. Obok niego stała Serafina, ubrana w koszulę i spodnie. Wkrótce potem ukradła w piekarni bochenek chleba.

A tamten pozłacany dom, podobnie jak i ten statek, należał do Angela Guardiego. Angelo, kuzyn Serafiny z nieprawego łoża, od dziewięciu lat był właścicielem rodzinnego przedsiębiorstwa Guardich. Zamordował ojca Serafiny, był odpowiedzialny za sprzedanie w niewolę i pozbawienie dziedzictwa swej stryjecznej siostry. Serafina darzyła go miłością i nienawiścią. Istoty owych uczuć Thomas nie mógł pojąć, nie byłby też do nich zdolny. Ale stał się ich świadom dawno temu, w gospodzie w Pizie, kiedy po raz pierwszy pocałował Serafinę, czując złość, zazdrość i żal.

A teraz dowiedział się właśnie, że to Angelo Guardi próbował pół roku temu ukraść cynę z „Garlanda”, aby potem sprzedać ją jakiemuś tureckiemu korsarzowi.

Natomiast wtedy, przed laty, sprzedał janczarom żywy towar.

Zdał sobie sprawę, że żeglarz wpatruje się weń podejrzliwie, zmarszczywszy opalone czoło. Thomas zmusił się ponownie do uśmiechu, który przed chwilą tak gwałtownie zniknął z jego twarzy.

- Czy mógłbym porozmawiać z messerem Guardim? Mężczyzna pokręcił głową i splunął do morza.

- Monsieur Guardi pojechał do Florencji - odrzekł.

Angelo Guardi nie dotarł jeszcze do Florencji. Najpierw miał do załatwienia sprawy w Livorno, gdzie wraz ze swymi ludźmi opuścił pokład „Fiametty”. Potem zaś powoli i dostojnie odbywał podróż w głąb kraju, odpowiednio do wrażenia, jakie zamierzał wywrzeć.

Angelo zbliżał się teraz do trzydziestki, miał gęste, ciemnozłote włosy do ramion i ciemnobrązowe, niemal czarne oczy. Miał też okrągłą twarz, okrągłęjszą niż Serafina, wystające kości policzkowe i zgrabny nos. Nosił strój uszyty z kosztownych tkanin: miał na sobie kaftan z najlepszego, perskiego jedwabiu, czarny ze szkarłatnymi tasiemkami, wywatowany w ramionach, a przez ramię przewiesił krótką pelerynę w tym samym kolorze, dotykającą końskiego grzbietu.

Powolne tempo podróży, przyjemny krajobraz i ciepła pogoda odpowiadały Angelowi, dając mu sposobność do rozważań. Chociaż gdy sytuacja tego wymagała, szybkie działanie nie sprawiało mu żadnych trudności, wolał mieć jednak czas, by przemyśleć wszystkie możliwości, by ustrzec się wszelkich, dających się przewidzieć błędów.

Ostatnio wydarzenia zaczęły gonić jedno drugie, nie zostawiając mu zbyt wiele czasu na spokojne rozmyślenia. Teraz, jadąc skąpanymi w słońcu i zieleni dolinami, mógł odetchnąć i odprężyć się nieco. W Marsylii wydawało się, że sytuacja zmienia się niepokojąco z dnia na dzień. W lutym zamordowano samozwańczego gubernatora miasta, Charlesa de Casaubca, wkrótce potem zdrajcy otworzyli w nocy bramy miasta przed armią księcia de Guise'a. Później, w marcu, ambitny, acz niezbyt rozumny książę d'Epemnon zawarł pokój z Henrykiem z Navarry, a właściwie to Henrykiem IV, królem Francji. Mimo że Hiszpanie wciąż wszczynali walki w królestwie, było pewne, iż Francja wkrótce znajdzie się pod władzą Burbonów. Ale to wszystko, rozmyślał bez goryczy Angelo, zdarzyło się zbyt późno, jeśli chodzi o jego sprawy. Gdyby król Henryk zdołał szybciej zjednoczyć swe królestwo, wówczas Angelo mógłby po prostu dalej rozwijać bez żadnych przeszkód interes, należący wcześniej do Franca Guardiego. Ale było inaczej, przyszło mu żyć w niepewnych czasach i musiał sięgnąć po niecodzienne środki, by przetrwać.

Lata rządów Charlesa de Casaulxa były szczególnie trudne. Prości ludzie zaczęli odczuwać zawiść wobec zamożnych kup-

ców, a de Casauhc, zamiast uśmierzać niespokojne nastroje, podsycił je. Angela, który zaczął bogacić się w niesprzyjających okolicznościach, spotykały groźby i obelgi, musiał walczyć, by utrzymać to, co z takim trudem wywalczył. Wieści o niepewnej sytuacji w Marsylii rozeszły się w okolicach Morza Śródziemnego, a plotki o powstaniu szkodziły reputacji kupca. Angelo stracił sporo klientów, także tych, którzy byli mu wierni przez wiele lat. Klienci, którzy nie opuścili firmy po tragicznej śmierci Franca i Serafiny, zaczęli potrząsać głowami, mrużąc coś o bankructwie i niepewnych pożyczkach. Człowiek o słabszym od Angela charakterze poddałby się panice, sprzedałby wszystko i zaczął od nowa.

Gdy koń przekraczał powoli przejrzysty strumień, Angelo oddychał głęboko łagodnym, spokojnym powietrzem, gratulując sobie w duchu, że uniknął błędów, które stałyby się udziałem słabszego człowieka. Gdyby sprzedał wszystko, nie byłoby go teraz tutaj, nie jechałby przez zalane słońcem okolice, by złożyć wyrazy uszanowania jednej z najmożniejszych we Florencji kupieckich rodzin o nazwisku Nadi. Zapożyczył się, wyblagał pieniądze i podpisał kontrakty, a za uzyskane pieniądze kupił „Fiamettę”, pożąłany symbol jego sukcesu. Była mu potrzebna z trzech powodów: jako oznaka stabilności finansowej, jako środek transportu do przewożenia tkanin, szybszy od galer Franca, i wreszcie, co najważniejsze, jako hołd złożony dziewczynie, z którą zamierzał się ożenić.

Nie poznał jeszcze Fiametty Nadi - na razie zawarł znajomość tylko z jej ojcem - ale wiedział, że ma dziewiętnaście lat, jasne włosy i nie jest jeszcze zaręczona.

Powiedziano mu też, że jej matka, Giulia, uchodziła za piękność, i że dziewczyna ma tylko siostrę, trzynastoletnią Nencię. A co najważniejsze, nie miała braci. Jej ojciec powiedział Angelowi, że starsza córka jest piękna, ale młody człowiek nie bardzo w to uwierzył. Piękne dziewczęta zazwyczaj wychodzą za mąż, zanim skończą dziewiętnaście lat. Ale gdyby nawet Fiametta Nadi miała twarz podobną do oślego pyska, Angelo Guardi nazwałby swój statek jej imieniem, ponieważ któregoś dnia ta dziewczyna będzie bardzo, bardzo bogata. Angelo zamierzał ożenić się z Fiamettą Nadi, podobnie jak kiedyś postanowił przejąć przedsiębiorstwo Guardich. Potrzebował jednego i drugiego, żeby przetrwać.

Żeby przetrwać, należało nieustannie czynić plany. Od wczesnego dzieciństwa Angelo planował i wykorzystywał każdą sytuację, by mieć z niej najlepszy dla siebie użytek. Sierota bez grosza, dziecko z nieprawego łoża, był inteligentny i pełen wdzięku i zamiast stać się ciężarem dla rodziny Guardich, okazał się dla nich wyrką i pomocą. Zajął miejsce syna Fran-cesca, którego ten nigdy nie miał, i trwał u jego boku nawet w najtrudniejszych chwilach. Pracował dla swego opiekuna bez wytchnienia w dzień i w nocy, czasami także w święta. No i wreszcie, gdy Franco Guardi wyruszył w podróż do Toskanii, właśnie Angelowi powierzył prowadzenie firmy i opiekę nad domem w Marsylii. Angelo nigdy nie wątpił, że przedsiębiorstwo Guardich należy do niego, jeśli nie w świetle prawa, to ze względów moralnych. Gdy pieli się w górę po zalesionych zboczach doliny, Angelo obserwował, jak jadący przed nim Jehan de Coniques pochyla głowę, chroniąc się przed zwisającymi nisko gałęziami i przeklina. Notariusz coraz częściej zachowywał trzeźwość tylko rano, i to każdego dnia krócej, znał bowiem tylko jedno lekarstwo na ból głowy, mdłości i dreszcze, które dręczyły go już od świtu. Nie minęło jeszcze południe, a prawnik rodziny Guardich chwiał się w siodle, śpiewając urywki sprośnych piosenek, i mamrotał coś pod nosem.

Kiedyś Angelowi wydawało się, że on i Jehan to dwie strony tej samej monety: obaj bez majątku, nauczyli się posługiwać sprytem i rozumem, by uwolnić się od przeszłości, a jednak każdy z nich postrzegał minione wydarzenia w innym świetle. De Coniquesa przeszłość powoli wyniszczała; nawet teraz, prześwitujące przez liście słońce rzucało na jego twarz ciemne i jasne plamy, przypominające symptomy zakaźnej choroby. Angelo nie miał poczucia winy i żalu wobec przeszłości. W chwili śmierci Franco Guardi przekazałby swą firmę w ręce młodej, niedoświadczonej dziewczyny i nieudolnego starca, co oznaczałoby bankructwo. W końcu zostawili za sobą las i jechali teraz grzbietem górskim, a w dole, otoczona purpurowymi wzgórzami, leżała Florencja. Wpatrując się w zaokrąglony, czerwony dach *duomo* i wysmukłą wieżę dzwonnicy, Angelo raz jeszcze odetchnął głęboko, napawając się tym widokiem. Słońce odbijało się w pokrytych dachówką dachach i załamywało w brązowych wo-

dach Arno, dzieląc ją na fragmenty niczym kawałki mozaiki. Po śmierci Franca i Serafiny Guardich Angelo utracił cenne kontakty z wytwórcami jedwabiu we Florencji. Gdy ożeni się z Fiamettą Nadi, odnowi je z pewnością. Sprzedaż niewielkich ilości cyny potrzebującym tego surowca korsarzom przynosiło pewien dodatkowy dochód, ale nie tak duży, jakiego pragnął Angelo.

Gdy zjeżdżali ze wzgórza, koń Jehana się potknął, notariusz zsunął się z siodła, wypuścił z rąk wodze, a czapka wpadła mu w błoto. Przy pomocy jednego ze służących z powrotem usiadł prosto, mamrocząc przekleństwa i szumiąc obszernymi, czarnymi szatami.

Angelo obserwując go, pograżył się znów w rozmyślaniach o przeszłości, o kredytach i długach, jakie nagromadziły się w ciągu długich lat.

Dom bez Francesca wydawał się pusty.

Kiedy piersi przestały ją boleć i wydzielać mleko dla synka, który był już daleko, Serafina odzyskała całkowitą kontrolę nad swym ciałem i cieszyła się, że wydarzenia ostatniego roku nie zostawiły na nim wielu śladów. Mijały tygodnie wypełnione gorączkową aktywnością: kupowała jedwab w Livorno, zatrudniała większą liczbę tkaczy, planowała i snuła projekty. Była natchnieniem i biczem dla swych urzędników i służby - zjawiała się jednocześnie w wielu miejscach, a jej przenikliwemu wzrokowi nie uszła ani chwila bezczynności, żaden niedbały ścieg. Pracowała tak ciężko, że nie miała czasu na jedzenie. Wstawała wcześnie, a kładła się do łóżka późno. Nie chciała spać, gdy bowiem zasypiała, miała straszne, jaskrawokolorowe sny, z których próbowała się obudzić, i z trudem chwyciła powietrze. Zawsze ten sam koszmar, który tylko czekał, aż Serafina zamknie oczy. Lepiej więc nie zasypiać i pracować bez wytchnienia. Kiedy była zajęta, nie miała czasu, by myśleć, jaki pusty jest dom, gdy brakuje w nim kołyski.

Kiedy Thomas powrócił z Neapolu, Serafina siedziała pochylona nad biurkiem w kantorze, podpierając ręką głowę, a pióro wyslizgnęło jej się z drugiej dłoni. Oczy jej się kleiły, cyfry rozmazywały, aż zupełnie przestały znaczyć cokolwiek. Głos służącej obudził ją, przerywając męczący sen pełen obrazów z przeszłości.

Dziewczyna oznajmiła, że przyszedł messer Marlowe.

Zanim Thomas wszedł do pokoju, miała czas, by poprawić włosy i strzepnąć fałdy sukni.

Uklonił się i rzucił podniszczony, czarny kapelusz na wolne krzesło.

- Udana podróż, Serafino. Statek jak marzenie!

Jak marzenie Thomasa, pomyślała, nie otrząsnąwszy się zupełnie ze snu. Jej marzenia miały inny charakter, mniej szalony.

Wypowiedziawszy słowa konwencjonalnego powitania, wyjęła z kredensu butelkę wina, nalała sobie i gościowi. Jej marzenia, przypomniała sobie zaraz, zależą od tego, jak powiedzie się „Zimorodkowi” i jego kapitanowi. Zmusiła się, by podnieść wzrok na Thomasa i przywołać uśmiech na twarz. Zauważyła, że przyszedł do niej prosto ze statku, nie zmieniwszy nawet ubrania i nie przyczesawszy włosów. Na jego koszuli i kubraku dostrzegła ślady soli, twarz miał zbrązowiałą od słońca i morza.

Nie wyciągnął jednak jeszcze z kieszeni listy zakupów, nie zaczął omawiać kwestii wstążek i koronek, cen i zysków. Uśmiech zniknął z jego twarzy, spuścił wzrok.

- Udana podróż - powtórzył. Podrapał się po podbródku, pokrytym kilkudniowym zarostem, przejechał dłonią po potarganych włosach. - To była także ciekawa podróż. Dowiedziałem się czegoś, co jak sądzę, powinno cię zainteresować, Serafino.

Zauważyła, jak szybko opróżnił drugi kieliszek wina. Potem wstał od stołu i podszedł do okna.

Dom był cichy, zmęczeni kanceliści i służba udali się na spoczynek. Dało się słyszeć tylko uporczywe trzepotanie skrzydełek ćmy, która szukała śmierci w migoczącym płomieniu świecy. Był późny wieczór, na atramentowoczarnym niebie świeciły jedynie jasne punkciki gwiazd. Thomas wpatrywał się z nienaturalnym zainteresowaniem w okoliczne domostwa z zamkniętymi okiennicami i mroczną ulicę, oświetloną jedynie z rzadka rozmieszczonymi pochodniami. Serafina poczuła nagle, że coś przed nią ukrywa. Że chce jej coś powiedzieć, tylko nie znalazł jeszcze właściwych słów. Wbiła nerwowo paznokcie w dłonie, zmęczona i napięta jednocześnie.

Krążył po pokoju, z ponurą miną, trzymając wciąż w krótkich, niemal kwadratowych palcach kieliszek z winem. W jego oczach pojawił się wreszcie wyraz determinacji, jakby podjął ostatecznie jakąś decyzję.

- Pamiętasz chyba, że popłynąłem jako kapitan na „Garlandzie”, na zlecenie Kompanii Lewantyńskiej?

Skinęła głową wyczekująco.

- Wieźliśmy ładunek na Zante. Nieco tkanin, ale głównie cynę.

Cyna, wydobywana w Konwalii, stanowiła jeden z najbardziej wartościowych ładunków, przewożonych przez Kompanię Lewantyńską. ,

- Na Zante, za wiedzą weneckiego gubernatora, ktos próbował ukraść nam cynę z ładowni. Zdołałem wytropić statek należący do złodziei. Stał ukryty w pewnej zatoczce na północ od Zante - a niełatwo go ukryć. Wyglądał wspaniale, Serafino: nowy, większy od „Zimorodka”. W końcu odkryłem, że to francuski galeon o nazwie „Fiametta”, i że cyna miała trafić w ręce algierskiego korsarza. Wiesz, oba te statki stały obok siebie: piracka galera i ów francuski żaglowiec.

Wiesz, oba te statki stały obok siebie, turecka galera i ow francuski żaglowiec”.

Serafina sięgnęła w końcu po kieliszek. Próbowała myśleć o Zante, małej wysepce w pobliżu greckiego wybrzeża, wciśniętej między dwie potęgi: Wenecję i islam. Ale jedyne, co zdołała sobie wyobrazić, to korsarski statek oraz banderę z wizerunkiem lwa świętego Marka, spod którego wylaniał się krwistoczerwony krzyż. Wydawało jej się, że przeszłość zaczęła wylazić z czeluści, do których ją wcisnęła Serafina, by roztaczać przed nią okropne sceny z dzieciństwa. Thomas stał nieruchomo przy oknie.

- Kiedy byłem w Neapolu, dowiedziałem się, że niedawno cumowała tam „Fiametta”. Postanowiłem więc pojechać konno na północ, w nadziei że statek zatrzyma się po drodze w jakimś włoskim porcie w celach handlowych. Chyba rozumiesz, że musiałem się dowiedzieć, jak nazywa się kapitan. Gdyby udało się im wtedy zabrać cynę z naszych ładowni, wówczas „Garland” poszedłby na dno. Serafina siedziała bez ruchu, z rękoma złożonymi na kolanach jej ciemna, żałobna suknia podkreślała bladość twarzy. Podniosła wzrok, i spojrzała w błękitne oczy Thomasa. Rozumiała, co oznaczałaby dlań utrata „Garlanda” i dlaczego musiał poznać nazwisko człowieka, który był autorem owego planu. Wiedziała najlepiej, jak gorzki smak ma podobna kradzież.

Nadal jednak wspomnienia i strach wywoływały w niej lodowate dreszcze.

- Znalazłem „Fiamettę” w Civitavecchia, Serafino. Jej kapitan nazywa się Angelo Guardi. Twój kuzyn Angelo, Serafino, jest chyba nadal w kontakcie z dawnymi znajomymi.

Dreszcz przeszedł całe ciało dziewczyny, ręce drgnęły, jakby krew zakrzepła jej żyłach.

- Angelo - szepnęła.

Kiedy pierwszy wstrząs minął i jej umysł znów zaczął pracować, pomyślała: Angelo sprzedawał cynę korsarzom, dzięki czemu mogli odlewać działa, potrzebne im, by napadać na chrześcijańskie statki. Francuskie okręty, statki z Marsylii. Kogi, galeony kupieckie i galery. „Gabrielle”, „Mignon” i „Petit Cœur”. „Twój kuzyn Angelo, Serafino, jest chyba nadal w kontakcie z dawnymi znajomymj”. Ze znajomymi, których spotkał zapewne dawno temu. Ze znajomymi, którzy, być może, pomagali mu wcześniej...

- Cyny zawsze jest za mało. Ale być w zмовie z Turkami -to groźne, Serafino, to ryzykowne posunięcie. Podejrzewam, że Angelo w ten sposób próbuje wynagrodzić sobie straty w bardziej konwencjonalnych gałęziach handlu.

Wbiła weń oczy, z początku nic nie rozumiejąc. Po chwili uświadomiła sobie, co Thomas chce jej powiedzieć. Ależ oczywiście. Poczwała, że budzi się w niej nadzieja, równie dręcząca jak uprzedni strach. Francuskie wojny religijne, izolacjonizm Charlesa de Casaulxa, nienawiść, z jaką spotykali się w Marsylii zamożni kupcy - to wszystko stanowiło zagrożenie dla jej kuzyna. Historia nie sprzyjała Angelowi, Thomas miał rację. Angelo nie zająłby się piractwem, nie współpracowałby z wrogiem, gdyby nie musiał martwić się o przyszłość.

Gdyby nie był już, może, zdesperowany.

Zaczęły jej się trząść ręce; przycisnęła je do kolan, opanowując drzenie, i usiłowała myśleć logicznie.

Sytuacja finansowa Angela przestała już być pewna; sama Serafina się do tego być może przyczyniła, odbierając mu klientów i rozsiewając plotki o jego niewypłacalności. A jednak, jakby wbrew logice, w Marsylii stał wciąż ów ekstrawagancki, złoty dom, drwiąc sobie z całego świata. No teraz jeszcze ta „Fiametta”. „Wygląda wspaniale” - oświadczył Thomas...

Nie zdawała sobie sprawy, że rozmyśla na głos, póki nie dostrzegła, że Marlowe przypatruje się jej z troską i niepokojem zarazem.

- Na pierwszy rzut oka „Fiametta” zapiera dech w piersiach, owszem. Jest większa od „Zimorodka”, ma cholernie dużo złożonych ozdób. Ale gdy przyjrzałem jej się bliżej, Serafino, przekonałem się, że nie jest dokładnie tym, na co ma wyglądać. Pocziwy messor Guardi wydał zbyt wiele pieniędzy na złotą farbę, a za mało na drewno i uszczelnienie.

Słuchała z napięciem jego krótkich objaśnień, dlaczego tak ważne jest, by właściwie uszczelnić kadłub. I czemu należy kupować najlepsze drewno, które nie będzie się paczyć ani rozsychać. I dlaczego warto opłacić najlepszych fachowców, którzy ułożą ciasno belki, a szczeliny wypełnią smołą. A także o tym, że trzeba położyć statek na burcie w suchym doku, a nie, jak to często się zdarza w krajach śródziemnomorskich, wykonywać tandetne naprawy, gdy galeon stoi na wodzie. Wszystkie te informacje ułożyły jej się szybko w jedną całość i doszła do triumfalnego, wspaniałego wniosku:

- A więc Angelo oszczędza - ułatwia sobie pracę? Thomas wzruszył ramionami. Widać było, że jest zmęczony.

- Możliwe. A może usłuchał złych rad. Albo jest ignorantem.

- Ignorantem! Nigdy nie był ignorantem - odparła z pogardą Serafina. Zacisnęła dłonie, szeroko rozwarłszy ciemne oczy i mówiła ciszej, jakby zapominając o Thomasie. - On zawsze polegał na własnych sądach. Prosił innych o radę, ale zawsze podejmował własne decyzje. Nie - potrząsnęła głową i objęła się ramionami

- Angelowi brakuje pieniędzy - oświadczyła z triumfem. - Pragnie zachować pozory.

- Doszedłem do tego samego wniosku. - Głos Thomasa, oschły i pozbawiony emocji, powtarzał niczym echo jej rozbiegane, oszalałe myśli. - Pozory są ważne dla każdego kupca. Gdyby zaczęło być widoczne, że firmie Guardich grozi bankructwo, wówczas inwestorzy i klienci wycofaliby natychmiast swe pieniądze. Stąd ten dom, ten statek.

W końcu zaczęła się uśmiechać; lekki, tajemniczy uśmiech, którym oddzieliła się od Thomasa, zamknął ją w świecie dawnych gorzkich doświadczeń i nowych działań, które dopiero zamierzała rozpocząć. Wiedziała teraz, co musi zrobić. Trzeba

wrócić do Marsylii. Sieć, którą tak precyzyjnie utkała, prowadzi z powrotem do miasta, gdzie dokonała się zdrada.

Serafina wstała, podeszła do Thomasa z flaszką w rękę i napełniła oba kielichy. Podniosła swój swój i powiedziała:

- Za niepowodzenia naszych wspólnych wrogów, Thomasie. Stali obok siebie.

Kielichy zadźwięczały w ciszy, płomyki świec odbijały się w winie.

Pragnęła wszystko odzyskać i wiedziała, że może zgodzić się tylko na zwrot wszystkiego. Jest może kobietą bogatą, kobietą sukcesu, matką udanego syna, właścicielką trzech domów i współwłaścicielką statku. Ale to za mało. Musi otrzymać z powrotem to wszystko, co utraciła. Dom, firmę, nazwisko. Zamknęła oczy i ujrzała Angela tak wyraźnie, jak widywała go w snach. Tylko że teraz klęczał przed nią, pochyliwszy głowę w niemym błaganu czy prośbie.

Chciała, żeby Thomas wyszedł. Pragnęła zostać sama, by oddać się rozmyślaniom, poczynić plany.

Musi pojechać do Francji, do Marsylii, do tego pięknego, zwodniczego miasta, gdzie się urodziła. Od czasu gdy miała dziesięć lat, jej życie podporządkowane było tylko jednemu celowi, napędzała je tylko jedna siła, która dzisiaj nabrała takiego przyspieszenia, że Serafina gotowa była rzucić się w tajemniczą otchłań przyszłości.

- Nie potrzebujesz rozładowywać „Zimorodka”, Thomasie. - Usłyszała swe własne słowa. - Możesz dopełnić ładownie tkaninami z magazynów i w ciągu dwóch tygodni popłyniemy do Francji.

Odsunęła się od niego i wolnym krokiem obeszła dookoła stół. Należał jeszcze do Jacopa, był stary i zniszczony. Zamierzała go wymienić, ale teraz chyba nie musi zawracać sobie tym głowy. Już wkrótce zamieszka we własnym domu w Marsylii, wśród swoich. Pokoje, sprzęty i nazwisko, które w dzieciństwie należały do niej, znów staną się jej własnością. W Marsylii ponownie zobaczy Angela, ale tym razem to ona zadecyduje o czasie, miejscu i przebiegu tego spotkania.

Serce jej zaczęło bić szybciej, ale teraz myślała logicznie, język nie nadążał za głową.

- Najpierw popłyniemy do Genui. W sierpniu powinniśmy dotrzeć do Marsylii.

W końcu spojrzała na Thomasa, spodziewając się ujrzeć na jego twarzy choćby ślad podniecenia, które ją ogarnęło. Ale

w błękitnych oczach mężczyzny nie widziała radości ani nadziei, tylko podejrzliwość i chłód. Wyrzekł tylko jedno słowo: -My?

- Popłynę z tobą!

Wlepił w nią wzrok, jakby powiedziała coś niedorzecznego lub nieprzyzwoitego.

Nie mogąc już nad sobą zapanować, Serafina wybuchnęła:

- Czy i ty, Thomasie, jesteś taki sam jak cała reszta? Czy uważasz, że powinnam spędzać całe dnie w kuchni albo w pokoju dzieciennym? Oczywiście, że z tobą popłynę!

- A Francesco? - zapytał zimno.

- Ach. - Uniosła spódnicę, zbierając się do wyjścia. - Odesłałam Francesca.

Thomas szybkim ruchem znalazł się przy drzwiach i jedną ręką zagroził jej drogę.

- O czym ty mówisz, jak to go odesłałaś? Dokąd? Kiedy? Ich twarze dzieliło zaledwie parę cali. Serafina zapomniała

na chwilę, iż Francesco jest także synem Thomasa. Ale teraz widziała w oczach tego mężczyzny żądzę posiadania i stwierdziła, że oburza ją owa chęć dominacji, jak również siła fizyczna, sprawiająca, że stała się więźniem we własnym domu.

Jej ciemne oczy zapłonęły złością. Odezwała się cichym, acz mocnym i lodowatym głosem:

- To nie twoja sprawa, ale skoro o to pytasz, Francesco pojechał na wieś. Wysłałam go tam dwa tygodnie temu.

- Aby móc pojechać do Marsylii? Żebyś mogła znów zalecać się do kuzyna? Czy własny syn jest dla ciebie tylko tym - ciężarem, który odsuwa się na bok, kiedy przeszkadza?

Uświadomiła sobie, że cała drży i ma ochotę znów go uderzyć, tak jak wtedy, na bankiecie u Galeazza Merliego. Osądzał ją wzrokiem, przejrzał jej pragnienia i nienawidziła go za to.

Ogromnym wysiłkiem woli Serafina zapanowała nad drżeniem ciała i rozluźniła pięści. Ów porywający optymizm opuścił ją równie szybko, jak się pojawił, zniweczony spojrzeniem Thomasa i bolesną myślą o synku. Nienawidziła tego mężczyzny, bo potrafił odebrać jej nadzieję, której tak rozpaczliwie potrzebowała; ponieważ potrafił także sprawić, by znowu poczuła się nikim. Kiedyś obiecała sobie, że nigdy już nie pozwoli, by jakkolwiek mężczyzna zranił ją samym swym spojrzeniem i swymi słowami. Popęłniła błąd: pozwoliła, by Thomas Marlowe

zbyttnio się do niej zbliżył. Odezwała się, chcąc, aby teraz i on poczuł się zraniony:
- Czy sądziłeś, że pozwolę mu tutaj zostać? Przecież wówczas już na pewno spędzałabym całe dnie w kuchni i pokoju dzieciennym. Wybieram się do Marsylii w celach handlowych, Thomasie. Nie mogłabym pojechać z niemowlęciem w ramionach.

Jego dłoń ześlizgnęła się z futryny drzwi.

- Mój Boże, ależ z ciebie samolubna suka - powiedział z goryczą. - Wiedziałem o tym oczywiście od dawna, ale nie sądziłem, że jesteś aż tak samolubna.

Słowa te wstrząsnęły Serafiną. W oczach Thomasa dostrzegła pogardę. To było jak cios w brzuch, jak seria ciosów, zapierająca dech i powodująca mdłości. Z trudem złapała powietrze, czując, że nogi jej drżą. Wcale tego nie chciała, nie mogła tego znieść. W pewien sposób pozwoliła mu uważać, że ma do niej jakieś prawa. Ale nikt nie miał do niej żadnych praw: po śmierci Jacopa zrzuciła wszelkie kępujące ją więzy.

- Czeka nas sporo pracy, panie Marlowe - oznajmiła chłodno, zbierając resztki sił. - Oboje mamy umowy, których musimy dotrzymać, prawda?

Nie poruszył się ani nie odezwał. W jego oczach malował się ból. Przez chwilę poczuła radość.

- Luisa przygotowała pokój dla ciebie - oświadczyła i zostawiła go. Prawie biegiem ruszyła do swej sypialni, by tam szukać schronienia i samotności.

W piwnicach tawerny było więcej wina, a w porcie czekał nań „Zimorodek”.

Thomas nie opuścił jednak domu Serafiny, wiedząc, że i jedno, i drugie przyniosłoby mu tylko chwilową ulgę. Został więc w brzydkim kantorze Jacopa Caprianiego, z widokiem na ulicę oświetloną połówką księżyca i ćmą wciąż krążącą bezwolnie wokół płomienia świecy.

W Civitavecchia, gdy minął pierwszy wstrząs spowodowany odkryciem, jakiego dokonał, Thomas uznał, że po części się lęka, a po części wyczekuje chwili, w której będzie mógł opowiedzieć Serafinie o Angelu i „Fiametcie”. Chciał, żeby miała całkowitą świadomość tego, iż kuzyn postępuje wciąż tak samo niegodziwie jak wiele lat temu. A jednak wiedział także, że obdarowuje ją nadzieją, która pozwoli jej znowu podjąć działania, by wziąć odwet i odzyskać majątek.

Widział, jak w oczach Serafiny pojawił się błysk triumfu i energii. Od razu wiedział, czemu postanowiła popłynąć z nim do Marsylii. Żeby znów ujrzeć Angela, odnowić znajomość z owym księciem ciemności, upadłym aniołem z czasów jej dzieciństwa. Dla niego jednego zdolna była porzucić wszystko, nawet maleńkiego synka.

Thomas zabawił w izbie rachmistrzów dłuższy czas, czekając, aż odzyska spokój i opierając się dwóm pokusom: by sięgnąć po butelkę wina oraz by obrócić się na pięcie i opuścić ten dom. Dokonał wyboru pół roku temu pod wpływem Constanzy i nie miał powodu, by zmienić zdanie. Od zawsze wiedział, jaka jest Serafina. To on okazał się głupcem, kochając ją. Musiał na nią patrzeć, widzieć jej znajomą, ukochaną, pełną złości twarz. Musiał obserwować, jak się porusza, słyszeć jej głos. Musiał być przy niej, dzielić z nią niepokój i sukcesy. Nie potrafił jej odmówić. Popłyną do Francji, zawiną do Marsylii. On i Serafina.

Po raz pierwszy od lat Thomas przyłapał się na tym, że myśli o Anglii. Tak on, jak i jego statek byli teraz związani z Serafiną i Morzem Śródziemnym, ale któregoś dnia to się skończy. Zapatrzywszy się w okno, wyobraził sobie szare niebo, zalane deszczem ulice, odgłosy rozmów w rodzinnym języku na targach i w gospodach. Wiedział, że kraje śródziemnomorskie zawsze będą mu się kojarzyły z Serafiną, że będzie ją widział w wysokich, stukających obcasach tokańskich dziewcząt, słyszał w piosenkach i pogawędkach ulicznych. Żeby się od niej uwolnić, musi wyjechać z Włoch i wrócić do domu. Od dawna już nie myślał o Anglii jako o własnym domu. Ale jeszcze nie teraz. Odwróciwszy się od okna, Thomas był świadom, że od Anglii i wszelkich marzeń z nią związanych dzielą go długie lata, i że może na zawsze owe cele pozostaną dlań nieosiągalne. Miał tutaj zadanie, które należało wykonać, „Zimorodka”, którego trzeba było wypróbować, jak również zaspokoić pragnienie zemsty Serafiny, teraz nierozzerwalnie związane z jego własnym. A poza tym, w Anglii mieszkał Edward Whitlock, a Thomas nie miał jeszcze tyle odwagi, by stanąć przed człowiekiem, który prawie go zabił. Musi walczyć z innym wrogiem: on także, jak zauważyła Serafina, ma do wyrównania rachunki z Anielem Guardim. W końcu poczuł się zmęczony, odwrócił się od okna, opuścił pokój i zaczął wchodzić po schodach, by udać się do przygotowanej dla siebie sypialni.

Gdy dotarł na pierwsze piętro, usłyszał jakieś zduszone dźwięki. Tym razem nie był to płacz dziecka, lecz kobiety, nabrzmiały bólem.

Ruszył do niej bez chwili namysłu, zupełnie tak samo, jakby chciał pocieszyć swego małego siostrzeńca czy siostrzenicę. Zapomniał o gniewie i znalazłszy pokój, z którego dobiegał płacz, popchnął drzwi. Wypowiedział jej imię, ale nie było odpowiedzi, tylko ów straszny szloch, coraz bardziej przeraźliwy, aż przechodzący prawie w krzyk.

Thomas odsunął zasłony chroniące łóżko i światło świecy padło na jej twarz.

Zaciśniętymi w pięści dłońmi tarła oczy, jakby chciała pozbyć się obrazów, które kryły się pod powiekami. Wciąż coś powtarzała, ale nie mógł zrozumieć, co. Nigdy wcześniej nie słyszał takiego języka. Postawiwszy świecę na stole, Thomas wziął Serafinę za ręce i odezwał się do niej po imieniu, tym razem głośniej.

Otworzyła pociemniałe ze strachu oczy, ale nie widziała go. Miała potargane i zlepione włosy, a koszulę nocną mokrą od potu. Objął dziewczynę mocno i posadził, mówiąc: - Serafino, to ja, Thomas. - Powtarzał te słowa tak długo, aż stopniowo przestała się trząść i zaczęła wolniej oddychać.

Chwyciła go za koszulę, ukryła twarz w jego ramionach. Kołysał ją niczym dziecko, głaskał po głowie. W domu panowała cisza, światło świecy wydobywało z mroku zarys jej drobnych, drżących ramion i pochyloną głowę, którą oparła mu na piersi. Kiedy zaczęła go słuchać, rzekł:

- Miałaś tylko zły sen. Opowiedz mi go.

Z początku milczała. W zaciśniętych palcach wciąż trzymała jego koszulę, czuł gorący oddech na piersi. W końcu usłyszał szept:

- Zawsze śniło mi się to samo. Aż do dzisiaj. Widzę ojca. -Przerwała i nabrała powietrza w płuca. - Jakiś janczar go bije. Ten człowiek ma twarz Angela; krzyczę, żeby przestał, ale potrafię mówić tylko w *lingua franca* niewolników. On nie słyszy i bije dalej. I śmieje się. - Znowu przerwała, usiadła i rozluźniła nieco uścisk. - Ale dzisiaj było inaczej. - Otworzyła szeroko oczy, tęczówki miała równie czarne jak źrenice. - To nie był mój ojciec, tylko Francesco!

W cieniu świec Thomas dostrzegł na jej twarzy oznaki wyczerpania. Za bardzo pragniesz zwyciężyć, pomyślał, ale nic

nie powiedział. Serafina podniosła nań oczy i wydawało się, że po raz pierwszy widzi go wyraźnie.

- Musiałam go odesłać, Thomasie. Niemowlęta w mieście częściej umierają. Nie chciałam tego. Tęsknię za nim.

- Wiem - odpowiedział. Przez cienką koszulę nocną czuł ciepło jej ciała.

Znów zaczęła drżeć, ale przynajmniej miała przytomny wzrok i mówiła do rzeczy. Thomas podniósł koc, by ją okryć. Kiedy pochylił się nad łóżkiem, usłyszał jej szept:

- Nie idź, Thomasie. Proszę cię, nie zostawiaj mnie samej.

W ciemnych oczach kobiety odbijał się płomień świecy i jego własna, pomniejszona twarz. Jak zwykle nie miał wyboru. Skinął głową i ucałował Serafinę w czoło. Nie sprzeciwiała się, zaczęła znów szybciej oddychać, tym razem z innego powodu - zaczął więc całować jej usta, piersi.

Było inaczej niż pierwszym razem: zupełnie jakby odkrył nowe obszary, okryte smutkiem, ale nadal piękne. Wiedział, że zawsze będzie ją kochał - gdy będą walczyć ze sobą lub się pieścić, szeptać czułe słówka lub obrzucać się obelgami. Stała się jego częścią. Nie mógł zostać na powrót tym, kim był, zanim ją poznał. Serafina wkrótce potem zasnęła, ale Thomas długo leżał w ciemnościach. Nie tylko z powodu fizycznej bliskości jej ciała i pachnącej skóry.

Wiedział, że rozejm, który zawarli, jest tymczasowy, że połączyli się w obliczu burzy, czekając, aż wiatr znowu zacznie wyć, a deszcz będzie walił o szyby.

Wybaczyli sobie oboje, zapomnieli o przykrych słowach, jakie padły. Ale przyjdzie dzień, pomyślał Thomas, gładząc miękkie, ciemne włosy, które rozsypały się na jego piersi, przyjdzie dzień, gdy już nie będą umieli sobie wybaczyć.

Część dziesiąta
1596

NA ŁASCE FAL

Pokierszowany statek jest bezpieczny na spokojnym morzu,
ale podczas burzy zdany jest na łaskę fal.

„DZIENNIK PODRÓŻY”,
FYNES MORYSON

W Londynie, w domu Edwarda i Faith Whitlocków podejmowano obiadem Johna Keane'a, jego kuzynkę Dorothy i z pół tuzina innych członków Kompanii Lewantyńskiej wraz z żonami i ukochanymi.

Obiad można uznać za udany, pomyślała Faith, dając znak służącym, by wnieśli kolorowe ciasta, krem migdałowy i galaretki. Bardziej udany niż jej małżeństwo, któremu od kilku tygodni, od powrotu Edwarda, groziło znane niebezpieczeństwo. Mąż znów miał ponury wzrok i wdał się w jakiś spór z Richardem Staperem, nowym zarządcą Kompanii. Faith westchnęła w duchu i zaczęła ustawiać na środku stołu misy z kandyzowanymi owocami oraz kwiatami w cukrze. Od czasu ostatniej podróży Edward był w wyjątkowo złym nastroju. John Keane wyjaśnił jej przyczyny przygnębienia męża. Któregoś wieczora, gdy Edwarda nie było w domu, odwiedził Faith i poinformował ją o tym, co jej małżonek utrzymywał w tajemnicy: że Thomas Marlowe, który niegdyś pracował dla Kompanii Lewantyńskiej, jest cały i zdrowy i wybudował w Livorno statek.

Wiadomość owa nie przyprawiła Faith o wybuch euforii, ponieważ nigdy nie kochała młodego sternika. Przepadała za nim, bardzo lubiła jego towarzystwo, zwłaszcza w łóżku, ale nie kochała go. Kochała Neda, który miał już sześć lat, kochała małą, dwuletnią Alice. Mężczyźni są potrzebni, rozmyślała Faith licząc łyżeczki, by rozgrzać kobietę w zimną noc, ale do niewielu rzeczy więcej. Wzięła Thomasa do swego łóżka przed trzema laty, ponieważ podobały jej się twarz i ciało tego mężczyzny, a także dlatego, że ją rozśmieszał.

Mimo wszystko Faith ucieszyła się na wieść o tym, że Thomas żyje. Nigdy do końca nie wierzyła niepotwierdzonym doniesieniom, iż utonął na pokładzie „Toby'ego”. Owego ranka, kiedy widzieli się po raz ostatni, przekonała się, że ma niezwykłą umiejętność wychodzenia cało z opresji. Podziękowała Johnowi, temu zacnemu i miłemu człowiekowi, który może kiedyś stanie na ślubnym kobiercu ze swą kuzynką Dorothy, a w cichości ducha pomyślała życzliwie o dawnym kochanku. Edward walnął pięścią w stół, aż łyżeczki, które właśnie rozłożyła, podskoczyły na wypolerowanym blacie. Faith przysunęła w kierunku męża talerz z jego ulubionym serem i usiadła obok Johna Keane'a.

- Kiedy wypłyniecie w morze, Johnie? - spytała, krojąc barwne ciasta. - Mojemu małżonkowi sprzykrzyło się już życie na łądzie.

- A zatem Edward nie wie, co dobre - odrzekł szarmancko Keane. - Przyjeżdża do ciepłego domu, pięknej żony i dwójki ślicznych dzieci. Zazdroszczę mu.

- Znajdź więc sobie żonę. - Faith położyła gościowi na talerzyku kawałek zielonej tarty. - Jestem pewna, że trafiłaby ci się odpowiednia kandydatka.

Mrugnęła okiem w kierunku Dorothy Jenkinson siedzącej po przeciwnej stronie. Dorothy doskonale nadawała się na żonę dla Johna: dziewczyna o przeciętnej urodzie, ale nieprzeciętnym intelekcie i pięknym głosie. Faith oczyma wyobraźni widziała ich razem: ona śpiewa arie, on akompaniuje jej na lutni - i tak przez całe życie.

- Czyżby ten przeklęty ojciec Dorothy jeszcze nie umarł? John Keane wykrzywił usta.

- Niestety nie, bywasz czasami uroczo szczerą, Faith. Nie miewa się jednak najlepiej. Ale wracając do twego poprzedniego pytania, spodziewam się, że postawimy znów żagle jesienią. Bo widzisz, najbezpieczniej jest opłynąć Hiszpanię pod koniec roku. Hiszpańscy żeglarze dostają choroby morskiej podczas zimowych sztormów.

Pomimo zapachu ulubionego sera, Edward po raz drugi uderzył pięścią w stół. Faith znowu westchnęła.

- Chodzi jednak o uzbrojenie, droga pani Whitlock - wyjaśnił John, częstując się kremem migdałowym i owocem w cukrze. - Edward chce, żeby „Legacy” i „Saviour of Bristol” były

lepiej przygotowane do obrony. W Livorno kazałem wzmocnić działa na „Garlandzie”, więc na jakiś czas powinny wystarczyć. Richard Staper niechętnie oczywiście wydaje na to pieniądze.

Faith przyglądała się przez chwilę badawczo mężowi, jego czerwonej twarzy i zaciśniętym pięściom. Doprawdy, w domu bywało znacznie spokojniej, kiedy wypływał do Aleksandret-ty albo gdziekolwiek indziej. No, a ona mogła zajmować się bez przeszkód własnymi sprawami...

- A czy uważasz, że mój mąż ma rację, Johnie? Keane kiwnął potakująco głową.

- Owszem. Na Morzu Śródziemnym pełno jest naszych wrogów, Faith. Hiszpanie, Wenecjanie, Francuzi, muzułmanie, no i oczywiście ci przekłęci korsarze. A chociaż Toskania pozornie znalazła się teraz po naszej stronie, nie potrwa to długo. Widzisz, odnosimy za dużo sukcesów, a to się nikomu nie podoba. - Wykrzywił twarz w uśmiechu i odsunął od siebie pusty talerz.

Faith znowu pomyślała, że John to miły i rozsądny mężczyzna. Jakże Dolly byłaby szczęśliwa, gdyby jej stary, bogaty ojciec wreszcie zmarł, a ci dwoje mogliby się pobrać!

- Uśmiechasz się - powiedziała cicho. - Dlaczego, Johnie?

Odwrócił się do niej ponownie. Była zadowolona, że założyła dzisiaj tę ciemnozieloną, aksamitną suknię, wykończoną srebrzystym, mieniącym się jedwabiem, którą Edward przywiózł jej z jednej z wcześniejszych podróży.

- Odbyłem kiedyś bardzo podobną rozmowę z Thomasem Marlowe'em - odpowiedział. - W Livorno, o północy. On także przekonywał mnie długo, jakie to ważne, żeby nie oszczędzać na uzbrojeniu.

Faith poleciła służącemu, by otworzył butelki z małmazją. Jej oczy wciąż błyszczały radością, ale poczuła lekki ból w sercu.

- Thomas ma rację - dodał John, marszcząc czoło. - I Ned także. Będzimy się kłócić przez jakiś czas, aż któregoś dnia sprawy osiągną punkt kulminacyjny. To dlatego Staper da Nedowi działa, o które ten prosi. I z tego też powodu kiedyś z nich skorzystamy. I dlatego pewnego dnia będziemy musieli popłynąć nieco dalej, by przywieźć cynamon i jedwab.

Fiametta Nadi ubrała się na bankiet w białą, satynową suknię, haftowaną srebrną nitką i ozdobioną perełkami. We włosy o barwie piasku, będące bladym echem błyszczących, czer-

wonoziotych loków matki, miała wpięte wstążki i druty, które podnosiły jej fryzurę. Tego wieczora w Palazzo Nadi zgromadziła się cała Florencja. Przedstawiciele rodów Donatic, Frescobaldich, Lambertich i Malespinich, wszyscy znamienici członkowie najważniejszych gildii kupieckich postukiwali butami na obcasach o marmurowe posadzki i zamiatali szatami wysadzone bukszpanami alejki w ogrodzie. Ci sami muzycy, którzy grywali dla Me-dyceuszy, szarpali struny lutni i cytr i śpiewali śliczne, smutne pieśni o Josąunie de Prez. Tańczono w Wielkiej Sieni, tańczono w sali bankietowej, tańczono w ogrodzie wśród kaskad i klombów, grot i rzeźb. Butelki z winem chłodziły się w wodzie płynącej przez środek marmurowego stołu, sztuczne ognie, petardy i bomby wodne wybuchały w uperf umowanym powietrzu niczym egzotyczne, hałaśliwe kwiaty. Ktoś przekroił ciasto, wypełnione żywym żabami, które skoczyły damom na suknie. W odwecie panie obrzuciły swych towarzyszy kandyzowaną skórą pomarańczową i galaretkami. Pod koniec zabawy służący wnieśli górę z cukru, pokrytą cukrowymi zwierzętami. Ze szczelin i skał wydobywał się pachnący płomień.

Lorenzo Nadi, ojciec Fiametty, szacował i dodawał w myślach aktywa, jakie reprezentowali goście i uznał, że warci są wszystkich legendarnych bogactw El Dorado. Przyglądał się Angelowi Guardiemu, którego zaczął uważać za ewentualnego przyszłego zięcia, i uznał, że jego maniery i powierzchowność są bez zarzutu. Wygląd jest niesłychanie ważny, gdy się prowadzi interesy: zamożność człowieka ocenia się po fasonie jego stroju; po tym, jak kupiec prezentuje się światu. Lorenzo sprawił, że messer Guardi mógł dać się poznać we Florencji -wczoraj spotkał się z rodziną, dzisiaj brał udział w bankiecie, ale jutro nie będzie już tak łatwo. Jutro będą mówić o interesach, sami i z dala od różnych bzdur, takich jak zaloty czy miłość.

Notariusz Guardiego, mało sympatyczny Francuz, upił się do nieprzytomności i Angelo zabrał go do jakiegoś odległego pomieszczenia. Prawnik nie pojawił się już do końca wieczoru, ale nikt tego nie żałował. Angelo Guardi, ten inteligentny, czujący człowiek umiał zająć się pijanym sługą równie sprawnie, jak sterować statkiem albo przewieźć na targi w Lyonie kilka tuzinów koni i tkaniny warte pięć tysięcy dukatów.

Giulia Nadi, matka Fiametty, tańczyła z księciem Mediom i messerem Donatim, a potem, ogromnie zmęczona, udała się do ogrodu, by odpocząć, wsparta na ramieniu młodszego Frescobaldiego. Zatańczy z drogim Angelem później, kiedy obie córki pójdą do łóżek, a Lorenzo znajdzie sobie jakiegoś starego nudziarza, który zagra z nim w trik-traka. Gdy zostali sobie przedstawieni, Giulia zauważyła w ciemnych oczach młodego człowieka błysk zainteresowania i z rozbawieniem odnotowała, że prawie natychmiast stłumił ów odruch. Przekonała się wówczas, że Angelo jest nie tylko przystojny, ale i inteligentny. Siedząc na marmurowej ławeczce w grocie, z miłym młodym Niccolem Frescobaldim, który klęknął wśród muszli, by ucałować jej stopę, Giulia pomyślała z zadowoleniem, iż czeka ją przyjemny tydzień. . ,

Nencia, młodsza siostra Fiametty, z ponurą miną obserwowała bankiet ze szczytu schodów, gryząc paznokcie z zazdrości. Fiametta dostrzegła ją, jak wychylała się, wściekła, zza poręczy, więc uśmiechnęła się jeszcze weselej, tańczyła jeszcze radośniej, żeby smarkuła widziała, jak ona świetnie się bawi. Mama już prawie dała się Nencii uprosić i pozwoliła tej przekłętej dziewczynie, by wzięła udział w bankiecie, ale tym razem Fiametta postawiła na swoim i oświadczyła, że jeśli młodsza siostra przyjdzie na bal, to ona nie odezwie się do nikogo i nie będzie z nikim tańczyć. Nencia miała włosy swej matki i duże, niebieskie oczy. Była mała i zgrabna, a poza tym - umiała flirtować Nawet teraz, taka nadąsana, wyglądała ślicznie. W przeciwieństwie do Fiametty nie spędzała każdego lata na słońcu, by rozjaśnić włosy, nie wybielała też sobie cery mlekiem i surową

"iSdyś Fiametta myślała, że wyjdzie za księcia, zamieszka w pięknym domu we Florencji, będzie mieć trzy tuziny służby i codziennie nosić inną suknię. Ale żaden książę me starał się o nią, gdyż wszyscy już, pomyślała z gorzkim uśmiechem Fiametta, byli zakochani w jej matce, a niedługo zakochają się w jej siostrze. Może jednak wyjdzie za Angela Guardiiego. Messer Guardi jest bogaty i przystojny, pół-Włoch i pół-Francuz, ale daleko mu do księcia. Posiada wielką firmę bławatną w Marsylii i statek, który nazwał „Fiametta”, na jej czesc. Angelo nadskakiwał jej ojcu przynajmniej tak samo, jak i samej Fiametcie podziwiając wspaniałe warsztaty papy, jego wysoko

wykwalfikowanych tkaczy i ludzi farbujących tkaniny. Musiał zabiegać o względy Lorenza Nadiego: otrzymawszy zgodę na małżeństwo z Fiamettą, Angelo Guardi ożeniłby się nie tylko z nią, ale i z rodzinnym imperium. I to nie ona zadecyduje, czy udzielić mu zgody, czy nie.

Biorąc Angela za rękę w skomplikowanej figurze galiardy, Fiametta przez chwilę zastanawiała się, jak to będzie, gdy będą dzielić łożę. Wiedziała oczywiście, czego ma oczekiwać. Nawet jeśli mama nie znalazła czasu, by jej to wyjaśnić, widziała przecież psy kopulujące na ulicy i służącą z kochankim na strychu. Po chłodnym namyśle uznała, że nie spodoba jej się taka intymność, wiedziała jednak, że ją zniesie, bo tego od niej oczekiwano. Jedyną inną możliwością był klasztor i owa władza oraz odosobnienie, którymi może dysponować matka przełożona. Ale ojciec nigdy by jej na to nie pozwolił.

Następnego ranka Lorenzo Nadi wezwał Angela.

Ten uklonił się, wszedłszy do okazałej komnaty pełnej ksiąg, obitej bukową boazerią, z rzeźbionym, połączanym sufitem i marmurowym kominkiem. Spał zaledwie cztery godziny, ale Lorenzo, który nadal grał w trik-traka, kiedy Angelo udał się wreszcie na spoczynek, zapewne spał jeszcze krócej.

- Witam, messer Angelo. Siadaj.

Lorenzo wskazał mu fotel, a sam usiadł za stołem, na którym piętrzyły się stosy papierów i leżało kilka ozdobnych piór. Zerknąwszy na długi list, jaki miał przed sobą, Angelo uznał, że pan domu pracował już co najmniej od godziny.

- Czy dobrze się pan bawił się na wczorajszym bankiecie? Zabrzmiało to bardziej jak rozkaz niż pytanie, ale młody człowiek uśmiechnął się i odrzekł:

- Doskonale, messer Nadi. To był niezwykle wieczór.

- Owszem. - Lorenzo podciągnął rękawy ozdobionej futrem szaty. - I całkiem owocny, zgodzi się pan chyba? Pewien jestem, że przy takich okazjach zawiera się połowę transakcji w całej Florencji.

Messer Nadi był dość wysoki, łysy, miał potężne bary, a jego ciężka budowa odzwierciedlała władzę i moc, jakie posiadał. Dla Lorenza Nadiego pracowało dwustu ludzi, którzy gręplowali, tkali, farbowali i zdobili jedwab. Ale był nie tylko kupcem handlującym jedwabiami, był także bankierem, miał głowę

i serce bankiera. Nie ogarniało go podniecenie na myśli o tym, że jest częścią ogromnego łańcucha łączącego Chiny i miasta północy, ów zapal, którym zaraził się dawno temu Angelo, stojąc w magazynach Franca Guardiego. Entuzjazm Lorenza wzbudzały dukaty. A także floreny i srebrne reale, ale nic innego.

Angelo mruknął coś potakująco. Tragedią Lorenza był fakt, iż miał tylko dwie córki, dziewiętnastoletnią Fiamettę i trzynastoletnią Nencję, i ani jednego syna. Córki oznaczały jedynie wydatki. Bez synów, bez wnuków, domy we Florencji i w Urbrii, warsztaty i bank - wszystko przepadnie. Bogactwo, które zgromadził Lorenzo Nadi, odziedziczy jakiś daleki, melubiany kuzyn z Neapolu. .

- Ale przejdźmy do rzeczy. - Bankier posypał list piaskiem i zebrał nadmiar na dłoń.

- Jak pan wie, moja firma rozrosła się poważnie w ostatnich latach, ale tak naprawdę, to Florencja staje się dla mnie za ciasna. Zamierzam poszukać innych rynków - wiarygodnych i pewnych. .

Angelo wziął głęboki oddech, wiedząc, że nadszedł dla niego wielki moment. .

-Ród Guardich od pięćdziesięciu lat prowadzi handel z miastami północy - odrzekł gładko. - Jeździliśmy na targi włókiennicze do Lyonu, kiedy te kwitły. Teraz wysyłam setki mułów z towarami dalej na północ. W zeszłym roku dotarliśmy aż do Paryża. W tym mieście można kupić tkaniny z Londynu, Antwerpii i Amsterdamu. Mówi się, że za jakiś czas będziemy tam mogli nabywać futra z Moskwy.

Angelo poczuł, że zasycha mu w ustach, a język sztywnieje. Nabrał niezwyklej jak na siebie ochoty na kieliszek wina. Ale Lorenzo tylko skinął głową.

- Futra płótno - nie handlowałem nimi jeszcze. Ale trzeba rozszerzać swój zakres działania, nie sądzisz? W przeciwnym razie interes się kurczy.

Albo obumiera, pomyślał Angelo. On także rozszerzył zakres działania w ciągu tych ostatnich, trudnych lat. Znalazł rynki zbytu, o których Lorenzo nigdy by nawet nie pomyślał. Handel cyną, na przykład, okazał się niezwykle dochodowy. Az do ostatniej podróży, dziewiczego rejsu „Fiametty”, kiedy to los mu nie sprzyjał. Od znajomego kupca z Pizy, Tommasa di Crediego, otrzymał informację, że angielski statek „Garland wiezie ładunek cyny z Livorno do krajów Lewantu. Informacja

okazała się prawdziwa, ale mimo to Angelo stracił trzech ludzi i prawie pokłócił się z Turkiem.

Tak czy owak, być może nie będzie już potrzebować Hamida i nadejdzie jeszcze czas, by odplacić kapitanowi „Garlanda” za zuchwałość. Statki angielskiej Kompanii Lewantyńskiej budziły coraz większą złość w obszarze Morza Śródziemnego. Czas już, żeby ktoś im podciął skrzydła.

- Urozmaicenie i nowe kontakty są bezcenne - odrzekł gładko. - Ale także i transport, messor Nadi. Mając własny statek, „Fiametta” - uśmiechnął się - mogę kupować surowy jedwab w krajach Lewantu, ale także najlepsze perskie tkaniny. I oczywiście za rozsądną cenę. Z „Fiametta” mogę wreszcie prowadzić handel z Moskwą i Turkami.

Idea sieci kontaktów handlowych oplatającej większą część świata przemawiała do Angela. I do Lorenza Nadiego także, pomyślał, obserwując go. Bankier zamknął pozbawione rzęs powieki, zacisnął mocno usta.

- Ma pan więc statek, ma pan kontakty handlowe - powiedział Lorenzo, podnosząc wzrok. - Czego więcej panu trzeba, messor Guardi?

Pytanie, które naprawdę miał na myśli, choć nie wypowiedział go na głos, brzmiało: „Czemu pragnie pan ożenić się z moją córką?”

Angelo poczuł na karku kropelki potu, ale zachował ten sam wyraz twarzy.

- Pragnę sprzymierzyć się z kimś, kto posiada warsztaty wytwarzające jedwab. Guardi znali tutaj pewną rodzinę, ale kontakty się urwały.

To Corsini posiadali warsztaty. Głową rodziny był Michele Corsini, który miał się zaręczyć z młodziutką Serafiną, ale nawet Angelo nie miał tyle śmiałości i tupetu, by zabiegać o jego względy po śmierci Franca i jego córki.

- Potrzeba mi takich właśnie koneksji rodzinnych i życzliwości. To by przyniosło poważny wzrost moich dochodów. A... - przerwał i przełknął ślinę. Jego ciemne, szeroko otwarte oczy wyrażały szczerą i niewinność. - Jak pan zapewne wie, messor Nadi, ostatnie lata nie były łatwe dla marsylskich kupców. Teraz owszem, dużo się zmieniło, mamy znów króla, ale tamte chude lata nie przeszły bez śladu.

- Ma pan długi? - zapytał sucho bankier.

Angelo znów przełknął ślinę. A to stary diabeł, pomyślał. Czuł się, jakby go opiekano na rożnie, który z premedytacją obracał Lorenzo Nadi.

- Tak - odpowiedział po prostu. - Mam długi.

Dlatego właśnie tutaj się znalazł i zabiega o tę wysoką, piegowatą dziewczynę, i godzi się na tę rozmowę. Lorenzo zadał nieuniknione pytanie, a Angelo udzielił mu zgodnej z prawdą odpowiedzi. A kiedy messer Nadi pociągał nosem, rachował i zadawał ważne pytania, młody człowiek rozmyślał o swej ewentualnej narzeczonej. Fiametta była zupełnie pozbawiona urody swej matki, Giulii. To dopiero kobieta - zgrabna, kształtna, o włosach niczym złotogłów i oczach wyrażających zachęte, rozsiewająca wokół siebie atmosferę beztroski i delikatności, której brakowało jej starszej córce. To Nencia, trzynastoletnia Nencia odziedziczyła po matce włosy, oczy i sposób zachowania. Fiametta miała włosy barwy piasku, a oczy tak jasne, że trudno było dostrzec ich kolor. Była wysoka, prawie wzrostu Angela, a ponieważ zdawała sobie z tego sprawę, poruszała się niezgrabnie. Brakowało jej także talentu do prowadzenia subtelnego flirtu: rozmowa z nią okazała się równie pozbawiona wdzięku jak ciało dziewczyny. Zeszłego wieczoru podczas tańca ledwie pozwoliła Angelowi, by jej dotknął.

Młody człowiek podał messerowi Nadiemu kolejne cyfry i stłumiwszy ziewnięcie, zaczął się zastanawiać, jak to będzie z Fiamettą w łóżku. Pomyślał, że podobnie, jakby kochał się z bryłami lodu, które przywożono z gór, by zapewnić w lecie chłód: najpierw nieprzystępne zimno, które potem przyjemnie topnieje. Gdyby mógł wybierać, wziąłby raczej Giulie albo małą Nencię. Ale nie miał wyboru i dlatego otwarcie nie odpowiedział na zaproszenie ze strony madonny Nadi. Nawet jej powab to za mało, by narażać się na gniew Lorenza, ograniczył się więc do miłych marzeń. Nie wdawał się również we flirt: instynkt mówił mu, że Fiametta znienawidziłaby go za umizgi do matki.

Bankier skrobał piórem po papierze, zapisując jakieś liczby. Angelo zdziwił się, że jego rozmówca nie posłał po urzędników i liczydło. Sumował wszystkie trudności, wzloty i upadki, jakich doświadczył Angelo w ciągu ostatnich czterech ostatnich lat, nie bacząc na jego uczucia. Ale ten stwierdził też, że szanuje Lorenza za takie podejście, trzeźwy umysł i nieuleganie emocjom.

W końcu gospodarz wyprostował się i odłożył pióro.

- To pokażna suma, messer Angelo.

Młody człowiek zauważył z ulgą, że jego rozmówca nadal zwraca się doń po imieniu.

- To prawda - odpowiedział spokojnie. - Ale wystarczy jedna udana podróż, bym mógł spłacić większą część długów. Widzi pan, na tym właśnie polega wartość „Fiametty”. To dlatego zapożyczyłem się, by ją zbudować.

- Musiałby pan pożyczyć jeszcze więcej pieniędzy, by sfinansować taką wyprawę - zauważył Lorenzo, składając ręce przed sobą na stole.

- Owszem. - Angelo wytrzymał jego spojrzenie.

- Jeśli owa podróż by się powiodła, wówczas mógłby pan, tak jak pan mówi, spłacić większość długów. Jeśli jednak coś by się panu nie udało - wówczas pańska firma zbankrutuje.

Bankier uśmiechnął się; Angelo pochylił głowę, przyznając rację jego słowom.

Przyglądał się, jak tamten wstaje zza biurka i idzie do okna, by popatrzeć na swój ogród.

W końcu, po chwili, która Angelowi wydała się wiecznością, Lorenzo powiedział:

- A więc dobrze. Pomyślę, czy pożyczyć panu pieniądze na następną podróż - na odpowiedni procent, oczywiście. A jeśli chodzi o Fiamettę, rozważę wasze ewentualne zaręczyny. Napiszę do pana, messer Guardi. Może być pan pewien, że spojrzę przychylnym okiem na pańską prośbę. Całkiem przychylnym.

Kiedy Angelo wstał i podszedł do drzwi, gospodarz dodał jeszcze:

- A tak przy okazji, pański notariusz, messer de Coniques, to bez wątpienia dobry i wierny sługa, ale może powinien pan się zastanowić, czy nie za długo dla pana pracuje. Jego zachowanie zeszłego wieczora nie przyniosło panu zaszczytu.

Stary diabeł, pomyślał Angelo, wychodząc z pokoju. Wydawało mu się, że prawie czuje piekielny ogień kłusający jego stopy.

Pięć od Marsylii dzieli dwieście pięćdziesiąt mil, dwieście pięćdziesiąt mil podróży wokół Zatoki Genueskiej, wzdłuż Lazurowego Wybrzeża aż do Zatoki Lwiej.

Zanim jednak postawiono żagle na „Zimorodku”, jego właścicielka i kapitan wyruszyli w podróż lądową, tym razem na

umbryjską prowincję, by odwiedzić najmłodszego z Caprianich, bezpiecznie ukrytego w miejscu otoczonym morzem dojrzewającej kukurydzy i słoneczników. Francesco rósł zdrowo, jego mamka była zadowolona - Serafina zapłaciła tyle, że ta kobieta musiała być zadowolona. Nie została jednak długo, nie było na to czasu. Odjechała po godzinie, mając za eskortę jedynie Thomasa. Podróżowali przez lekko zamglone, spalone słońcem okolice. Zatrzymali się w jakimś sadzie, by napić się wody, a potem zaczęli się kochać. Obok sadu kwitł len; delikatny, niebieskofioletowy kolor kwiatów przypominał barwą niebo. Powietrze było lepkie od upału, a kiedy Serafina się ubierała, znalazła przyklejone do sukni pomarszczone płatki, niczym szafirowe kropki na czarnym tle jedwabiu. Owa fizyczna przyjemność, którą ofiarował jej Thomas, pomogła Serafinie zapomnieć o bólu, jakiego doznała, rozstając się z dzieckiem.

Dwa dni później postawili żagle. Na „Zimorodka” załadowano wyroby z jedwabiu, aksamity i tafty, tkaniny srebrne i złote. Było wciąż bardzo ciepło i marynarze musieli szukać wiatru, dopasowując ustawienie żagli i olinowania, tak by wykorzystać owe słabe powiewy. Kiedy galeon wypływał z portu w Pizie, Serafinie przelatywały przez głowę różne obrazy. Ona sama, dziesięcioletnia, ubrana w czarną, aksamitną sukienkę, stojąca na rufie z rękoma zaciśniętymi na poręczy. Wtedy też było gorąco, a słońce raziło ją w oczy. Teraz osłoniła oczy ręką, spoglądając na niknące w oddali wieże i szczyty dachów w Pizie; patrzyła, jak bezpieczny świat, który stworzyła dla siebie, rozwiewa się, raz jeszcze bowiem powierzyła swój los jakże niepewnemu statkowi. Jeśli czuła strach, to przejawiał się on tylko w zbiegających się dłoń i ostrym tonie głosu, jakim zwracała się do słuchającej Luisy, która podobnie jak niegdyś Mathilde, cierpiała na chorobę morską. Serafina stwierdziła w myślach, że zazdrości Thomasowi, iż ten ma tak wiele zajęć. Obserwował swoje mapy i przyrzędy, wydawał rozkazy sternikowi, nadzorował pracę bosmana. Ona musiała dbać jedynie o to, by nie stać się dla nikogo przeszkodą ani zawadą. W nocy, jeśli czuł się samotny, mógł odczytywać położenie z gwiazd i rozmawiać z żeglarzami. Ona siedziała w czterech drewnianych ścianach swej kajuty, którą dzieliła z nieszczęsną Luisą.

Zaczynała pojmować, jak działa statek i co robią na nim ludzie. Wiedziała już, gdzie są: bezanmaszt, fokmaszt, grotmaszt i bukszpryt. Rozpoznawała też żagle: grotżagiel, bramsel i żagiel rozprzowy. Nawet gwiazdy na niebie, gdy Thomas miał czas, by ją uczyć, zaczęły układać się w określone wzory. Czasami, kiedy płynęli na tyle daleko, że nie było widać brzegu, niebo stawało się bezgranicznym błękitem, morze jego odbiciem, a horyzont niął na styku wody i powietrza.

Po trzech dniach podróży z ciemności wyłoniła się niczym jeszcze jedna gwiazda, Laterna, potężna latarnia morska w Genui. Powietrze, morze i niebo trwały prawie nieruchome. Na „Zimorodku” zapanowała senna, spokojna atmosfera letniego wieczoru. Serafina przebywała wciąż na pokładzie, odwlekając chwilę, gdy będzie musiała udać się wraz z cierpiącą na mdłości Luisą do dusznej i nagrzonej kajuty. Stojąc przy burcie, ujrzała ową dziwną gwiazdę i aż krzyknęła z zachwytu.

- To Lanterna, madonna Capriani, latarnia morska. Dotarliśmy do Genui. - William Williams, cieśla okrętowy, stał obok niej.

O głowę wyższy od Serafiny, był cichym i łagodnym człowiekiem - znacznie cichszym, wyjaśnił jej z uśmiechem Thomas, od czasu podróży do Neapolu i spotkania z Marią, córką kurtyzany Constanzy.

Gdy dostrzeżono latarnię morską, spokój ulotnił się nagle. Thomas przerwał brutalnie wieczorną ciszę i wykrzykiwał polecenia do sternika i bosmana, nadzorując wejście „Zimorodka” do portu z dwunastoletnią wprawą.

Był późny wieczór, port w Genui oświetlała jedynie potężna latarnia morska oraz pochodnie umieszczone na murach i światło padające z otwartych drzwi i okien tawern. Serafina rozróżniała łodzie stłoczone w porcie: kutry rybackie, barki, ogromne galeony i oczywiście galery. Genueńskie galery miały siedemdziesiąt pięć kroków długości, na każdej mieściło się czterystu niewolników przykutych łańcuchami do ławek.

Gdy „Zimorodek” zbliżył się do doków, dostrzegła miny ludzi, obserwujących ich wejście do portu. Na rozjaśnionych pochodniami twarzach malowały się zazdrość, zachwyty i podziwy, gdy statek podpływał zgrabnie do nabrzeża.

Następnego dnia Serafina zeszła na ląd, by odwiedzić miejscowych kupców. Stapała niepewnie po wykładanych kocimi

łbami ulicach, piękna via Aurea wydawała jej się ciasna po bezkresnych morskich przestrzeniach. Ale nie czuła się już lekceważona czy niepotrzebna. W Genui, pozostającej we władaniu Hiszpanii, Serafina w towarzystwie Thomasa, swego pośrednika, wyposażona w budzący szacunek atrybut, jakim było wdowieństwo, przedstawiała się klientom i znajomym Jacopa, ujmowała ich swym wdziękiem, targowała się i zawierała transakcje. Kupowała wspaniałe tkaniny, sprzedawała wstążki, kokardy i półszlachetne kamienie. Raz, gdy sprzedała bezoar z okazałym zyskiem, uśmiechnęła się, nie patrząc na Anglika i powiedziała:

- Łzy antylopy. Leczą ukąszenia węży.

Wieczorami bywała zapraszana na bankiety, kolacje, maskarady. Brała udział we wszystkich przyjęciach, narzekając na upał wraz z innymi damami i ubijając interesy z mężczyznami. Poznała największe rody w Genui: Fregosich, Adornich, Doriów. Spacerowała po ogromnych, pokrytych pyłem ogrodach, rozmawiając o wielkich sumach dukatów, stopach procentowych i problemach związanych z transportem. Stała się wyjątkową i pożądaną kobietą: piękną i bogatą młodą wdową. Mężczyźni przynosili jej wino, słodycze, przysyłali bukiety kwiatów i perfumowane chusteczki. Gdyby była brzydka, także zabiegaliby o nią, ale z błysku w ich oczach wiedziała, że brzydka nie jest. Łaskawie przyjmowała prezenty na tarasach w świetle księżyca i w wykładanych marmurem salach. A gdy się odwróciła, Thomas był zawsze w pobliżu, gotów podać jej ramię, gdy wracała wreszcie, chwiejąc się na nogach, w nocy do domu. Nie dzielili sypialni i rzadko bywali sami. Lekcja *charivari* nauczyła Serafinę zbyt wiele, nie zamierzała przeżyć raz jeszcze podobnego upokorzenia. Ale czasami przyłapywała się na tym, że mu się przygląda: patrzyła na opalone, muskularne ręce, gdy podwijał rękawy i rozkładał mapy na stole, wodząc wzrokiem po zarysie ramion widocznym przez cienki kubrak. Opuścili Genuę po dwóch tygodniach, sprzedawszy wiele wyrobów jedwabnych, kupionych wcześniej w Neapolu, i zapełniwszy ładownie najlepszymi, zbyt drobnymi tutejszymi tkaninami. Materiały we wszystkich odcieniach: barwach klejnotów, kolorach tęczy, przelewały jej się przez palce niczym błyszczący strumień wody. Pewnego dnia, rozmyślała Serafina, wychodząc po schodkach z dusznej ładowni na zalany słońcem

pokład, stanę się właścicielką manufaktur, w których powstaną podobne cuda. Wyroby Caprianich będą równie wysoko cenione jak te z Wenecji czy Genui. Zanim nadeszło południe, miasto dawno znikło im z oczu. Płynęli teraz wzdłuż Wybrzeża Liguryjskiego. Wąski pasek brzegów Królestwa Savoyu ginał we mgle lawendy i indygo. Żagle „Zimordka” wypełniły się na wietrze, żeglarze, przewiązani w pasie, poprawiali płótno i olinowanie, by jak najlepiej wykorzystać wiatr. Przybrzeżne wody usiane były statkami niczym staw pokryty jesiennymi liśćmi. Galeasy i barki, kutry rybackie i łodzie, galeony i galery. Mniejsze łodzie zawijały często w celach handlowych do maleńkich portów rybackich: beczułka ryb w zamian za ser, koszyk pomarańcz za belę płótna żaglowego. Nawet statki dalekomorskie, takie jak „Zimorodek”, wpływały zwykle do portu na noc, zarzucając kotwicę w jakiejś zatoce oświetlonej blaskiem księżyca i wysyłały do portu załadowaną łódź wiosłową, jeśli perspektywy handlu wydawały się zachęcające.

Następnego dnia Serafina wspięła się po schodkach na przedni pokład, czując, że nawet lekka jedwabna suknia na mocnym słońcu coraz bardziej jej ciąży. Thomas stał na mostku w znajomym, podniszczonym czarnym kapeluszu na głowie i w koszuli z szerokimi rękawami, które trzepotały lekko na wietrze. Wpatrywał się w morze, gdzieś w dal.

Stanąwszy przy nim, Serafina powędrowała wzrokiem w ślad za jego spojrzeniem i dostrzegła samotny statek połyskujący na horyzoncie.

Odgadła jego nazwę, zanim jeszcze Thomas otworzył usta. Pozorny spokój, jaki odczuwała przez ostatnie kilka tygodni, ulotnił się; miłe wspomnienia z Genui, cichy bezmiar wód dookoła nich - wszystko to przestało się liczyć. Spokój był jedynie złudzeniem - dżin wciąż gdzieś tam był i trząśł ścianami jej domu.

Żaglowiec sunął po horyzoncie niczym złota nić na turkusowym tle. Szatański statek, z masztami ze złota i załogą złożoną z widm. Pomimo upału Serafiną wstrząsnął dreszcz.

- Jestem pewien, że to „Fiametta” - powiedział spokojnie Thomas i odwróciwszy się, zawołał bosmana.

Nie obawiał się „Fiametty”. Mogła nadal pojawiać się w jego snach, lecz dawno już przestała być koszmarnym urojeniem, za którą ją kiedyś uważał.

Jednak na twarzy jego towarzyszkę malowała się dziwaczna mieszanina przerażenia i nadziei, nienawiści i bólu. Kiedy Thomas wydał już rozkazy, odciągnął Serafinę na bok i zaproponował:

- Moglibyśmy ich dogonić i rzucić na nią okiem. Chciałabyś?

Skinęła głową.

- Potrafisz to zrobić? - zapytała po prostu.

- Tak. - Thomas, oparłszy się o burłę, znów zapatrzył się w morze. Złocisty statek na horyzoncie minimalnie się przybliżył. Niewyraźna, migocząca zjawą zaczęła nabierać realnych kształtów, przypominało materialny przedmiot wykonany z desek, lin i płótna.

Serafina utkwiała wzrok we „Fiametcie”, jakby nawet z takiej odległości mogła dostrzec ową jedyną twarz, by przyjrzeć jej się i poznać słabe strony swego wroga. Thomas dotknął jej ramienia, czując, że trzeba, by wróciła do rzeczywistości, do teraźniejszości.

- Nie rozpoznają mnie oczywiście - odezwał się, kiwając głową w kierunku „Fiametty”. - Płynę teraz na innym statku, pod inną banderą. Nie mamy nic wspólnego z „Garlandem”, należącym do angielskiej Kompanii Lewantyńskiej. „Zimorodek” i firma Caprianich nic nie znaczą dla Angela Guardiego.

Mógł dodać „jeszcze”, nie chciał bowiem tak kończyć zdania. Ale zobaczył, że Serafina na chwilę zmrużyła oczy, a jej małą, stanowczą twarz rozjaśnił uśmiech, prawdziwy uśmiech wyrażający szczęście i radość, jakże u niej rzadki. Nad nimi powiewały na wietrze flagi Toskanii i proporce firmy Caprianich - błękitne i złote. Serafina wzięła głęboki oddech.

- Przekonajmy się zatem, jak szybko możemy popłynąć.

Odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech i na chwilę położył rękę na małej dłoni, zaciśniętej na barierce. Potem zostawił Serafinę i wrócił do swych zajęć: po raz pierwszy miał pozwolić, by statek popłynął najszybciej jak potrafił, by mógł rozwinąć skrzydła, sunąc po Morzu Liguryjskim.

Rozpoczął się wyścig. Oba statki dostrzegły się nawzajem mniej więcej w tym samym czasie i oba zmierzały, jak domyślał się Thomas, do tego samego portu. Czy jakkolwiek kapitan, płynąc na statku będącym jego dumą i radością, mógł się oprzeć takiemu wyzwaniu? Pomimo dokuczliwego upału każdy z nich

robił wszystko, by złapać wiatr w żagle i dotrzeć do Marsylii jako pierwszy. Stojąc na mostku „Zimorodka”, Thomas wiedział, że i Angelo wykorzystuje każdy cal żagla i każdego człowieka, by zyskać choćby stopę przewagi nad przeciwnikiem. Po południu oba statki dzieliło pół mili morskiej, ale były na tyle blisko siebie, że z pokładu „Zimorodka” mogli odczytać nazwę połyskującą na burcie „Fiametty” i dostrzec maleńkie postacie na jej pokładzie.

William Williams stanął na mostku obok Thomasa i kiwnąwszy głową w stronę odległego statku, zapytał:

- A co zrobisz, gdy go dogonisz?

To samo pytanie zadał dziewięć miesięcy wcześniej na Zanie. I odpowiedź wciąż była taka sama.

- Nic - odrzekł Thomas, przyglądając się uważnie „Fiametcie”. - Na razie - dodał. - Jedyna rzecz, na jakiej messer Guardi nie oszczędzał, to uzbrojenie. Ma wystarczającą liczbę dział na swych pokładach, by rozpętać małą wojnę. A poza tym... - Przerwał. William dokończył za niego zdanie.

- A poza tym zaciekle walczyła między francuskim i tokańskim statkiem to niekoniecznie dobry pomysł?

Thomas uśmiechnął się szeroko.

- W każdym razie nie tutaj. Może gdzieś w Lewancie, gdzie nikt by nie zauważył. Ale tak naprawdę, to i tak nie miał zamiaru wypróbować dział „Zimorodka”, pomyślał, gdy po raz setny tego dnia jego wzrok spoczął na kobiecie, siedzącej teraz na nadbudówce. Serafina pragnęła zniszczyć Angela Guardiego, ale nie zatapiając go - nie w ten sposób. Thomas wiedział też, że choć sam miał prawo do zemsty, w porównaniu z powodami, które nią kierowały, wydawało się ono mało ważne. Prawie dziesięć lat temu Angelo podstępem odebrał jej prawie wszystko, co miało dla niej wartość. Niezależnie od tego, kim stała się teraz, to Angelo pokierował jej losem. Czasami Thomas obawiał się, że Serafina do końca swych dni pozostanie marionetką w rękach tego człowieka.

Siedziała bez ruchu przy burcie, ciemne włosy i czarna suknia podkreślały jej bladość. Była zwrócona twarzą w kierunku „Fiametty” i Thomas aż nazbyt dobrze wiedział, na co czeka.

Tej nocy zarzucili kotwicę w małej zatoczce przy południowym wybrzeżu Francji. O pół mili dalej zrobiła to samo „Fia-

metta". Następnego ranka na „Zimorodku” wcześniej postawiono żagle. Ale kiedy wypłynęli z zatoki, zobaczyli, że statek przeciwnika jest już na pełnym morzu, jego żagle stanowią jedyną białą plamę na bezchmurnym niebie i zostawia po sobie ślad na wodzie w kształcie litery „v”. Angelo Guardi, pomyślał Thomas, postanowił również skorzystać z ich przypadkowego spotkania i wypróbować tak własny statek, jak i swoich ludzi.

Po południu stracili „Fiamettę” z oczu. By uniknąć zdradzieckich szlaków wokół Iles d'Hyeres, Thomas wyprowadził „Zimorodka” daleko w morze, chcąc ominąć ostre skały i zdradliwe mielizny. Angelo, który pływał po tych wodach od dziecka, trzymał się nadal blisko wybrzeża, by nie tracić czasu.

Wkrótce jednak mielizny i skały przestały być jedynym problemem, jaki pochłaniał uwagę kapitana „Zimorodka”. Od południa niebo zaczęły zasnuwać gęste, ciemne chmury. Powietrze stało się tak ciężkie, że można go było prawie dotknąć, a wiatr gwałtownie szarpał żaglami i olinowaniem. Thomas wiedział, że zbliża się potężny sztorm.

Sprawdzając pospiesznie pokłady, ujrzał Serafinę siedzącą nadal wraz ze służącą na nadbudówce. Prawie się stąd nie ruszała od czasu, gdy po raz pierwszy dostrzegli „Fiamettę”. Obserwując ją uważnie, Thomas domyślił się, jaka jest spięta; a słysząc ostre słowa, skierowane do służącej, przekonał się, że nawet zła.

Nie to go jednak teraz obchodziło. Był za nią odpowiedzialny, jej bezpieczeństwo zależało od tego, w jaki sposób pokieruje galeonem podczas burzy. Podeszedł do niej, skłonił się lekko i rzekł:

- Chciałbym, abyście obie zeszły do swej kajuty. Teraz. Gdy tylko to powiedział, wiedział już, że wybrał niewłaściwe słowa. Służąca Luisa wstała posłusznie, ściskając w ręku robótkę i wykrzywiając usta jak do płaczu, Serafina zaś spojrzała nań uważnie swymi czarnymi oczami, ale się nie podniosła.

- Ponieważ będzie burza, panie Marlowe? Wolałabym zostać na pokładzie.

Ona także zauważyła ożywcze porywy wiatru i złowrogie, szarozielone chmury gromadzące się na horyzoncie. No i oczywiście rozsądną prośbę Thomasa musiała odczytać jako wyzwanie. Miał już powiedzieć: „Pójdiesz do tej cholерnej kajuty, nawet gdybym sam miał cię zanieść”, ale uświadomił sobie, że

śłucha ich część załogi, szukając okazji do uciechy. Cristofano na przykład odłożył młotek i gwoździe i nie krył uśmiechu.

Thomas poczuł, że ogarnia go znajome rozdrażnienie i z wielkim trudem pohamował się, by nie wybuchnąć.

- Madonna, czeka nas potężny sztorm. I chociaż pani woli zostać na pokładzie, ja wolałbym, żeby poszła pani do swej kajuty. Będzie tam pani bezpieczniejsza.

- Panie Marlowe - Serafina wstała; uśmiechała się słodko, mówiąc cichym głosem - może pan sobie przypomina, że przeżyłam już kilka burz na morzu.

Wysoko na jej czole wciąż widać było ślad po uderzeniu

o burtę łodzi. Gdyby była członkiem załogi, pomyślał ze złością Thomas, po prostu ukarałbym ją za nieposłuszeństwo. Ale nie należała do załogi, była współwłaścicielką jego statku. Nie zamierzał dostarczać swym ludziom rozrywki i robić widowiska, jakim byłaby kłótnia między kapitanem a właścicielem statku.

- Skoro tak sobie pani życzy - odpowiedział jej równie cichym głosem. - Moich ludzi zapewne rozbawi widok, jaki będzie pani przedstawiać z mokrymi włosami i w ociekających wodą sukniach. Mnie w każdym razie na pewno. Ale, na miłość boską, niech pani pośle na dół służącą, zanim doprowadzi nas wszystkich do wściekłości swymi lamentami.

W odpowiedzi otrzymał spojrzenie równie groźne jak burzowe chmury. Na jego oczach Serafina okręciła się na pięcie

i zniknęła z godnością pod pokładem, z przerażoną Luisą, drepzczącą tuż obok.

Cristofano stał na tyle blisko, że słyszał całą ich utarczkę słowną i parsknął stłumionym śmiechem. Thomas zlecił mu z całą satysfakcją niewdzięczne zadanie - miał sprawdzić, czy towary w ładowni są bezpieczne - a sam poszedł do kajuty, by spojrzeć na mapy.

Przyglądając się uważnie układowi mielizn i linii brzegowej, zastanawiał się, co zrobi „Fiametta”. On sam znajdował się zbyt daleko od lądu, by warto było szukać jakiegoś innego schronienia poza Marsylią, ale na miejscu Angela Guardiego zwinąłby do najbliższej zatoki przy wyspie lies d'Hyeres. Ale jakoś nabrał wątpliwości, czy przeciwnik tak postąpi. Zaczynał już tworzyć na swój użytek wizerunek kapitana „Fiametty”, opierając się na tym, co opowiedziała mu Serafina i co sam zaobserwował na Zante, w Civitavecchia i dawno temu, w Marsylii. Kapitan „Fiametty” okazał się niewątpliwie inteligentnym człowie-

kiem: potrzeba było inteligencji i sprytu, by zaaranżować tak sprawy na Zante. A także zorganizować na tutejszych wodach oryginalne porwanie Serafiny i jej ojca. Musiał być także dobrym dyplomata i mieć urok osobisty. Potrafił uczynić Hierony-ma Carcandellę swym sprzymierzeńcem na Zante, a co więcej, prowadził interesy z algierskimi korsarzami. Dawno temu zdobył zaufanie Franca Guardiego i przeciągnął na swą stronę prawnika Jehana de Coniaquesa. No i oczarował małą Serafinę. Coś z tego oczarowania pozostało zresztą do dziś.

Ale nie był nieomylny, ponieważ nie ma ludzi nieomylnych, o czym dawno już Thomas się przekonał. Błędy Angela zaczęły się układać w pewien wzór, fascynujący, spójny ciąg. Ów dom w Marsylii, błyszczący od złota. I „Fiametta”, z pozłacanym dziobem i rufą zniszczoną przez rozbijające się o nią przybrzeżne fale. Jedno i drugie wydawało się piękne, a zarazem na swój sposób - absurdalne, jako kosztowne kaprysy. Ten okazały, kłujący w oczy przepychem dom był z pewnością fanaberią w tak niespokojnym mieście jak Marsylia. Fanaberią okazał się również ów statek, Angelo bowiem wydał zbyt wiele pieniędzy na ozdoby, a zbyt mało na solidną budowę. Dbał o pozory, jak orzekła Serafina, wydawał pieniądze na to, co rzuca się w oczy. Typowy błąd człowieka bez nazwiska, niskiego stanu.

Może więc, rozmyślał Thomas, zwijając mapy i odkładając w bezpieczne miejsce astrolabium, choć Angelo postąpiłby rozsądniej, schroniwszy się do najbliższej zatoczki - to wcale tak nie zrobi. „Zimorodek” mógł dlań nic nie znaczyć, a ich wyścig stanowił jedynie niewinną rozrywkę podczas nudnej skądinąd podróży, lecz dla Angela mogło to być również coś więcej. Angelo Guardi prawdopodobnie pragnął wygrać, rozumował Thomas. Angelo Guardi mógł się spodziewać, że wygra, ponieważ całe swe dorosłe życie poświęcił wygrywaniu.

Thomasa nie cieszyła perspektywa zbliżającej się burzy, ale wiedział, że choćby statek płynął wspaniale przy dobrej pogodzie, to dopiero podczas sztormu okaże się, na ile jest dobry do żeglugi.

Poza tym, on także chciał wygrać. Przez wzgląd na samego siebie. A także na Serafinę.

Następnego dnia w Marsylii rybak Jules Crau przyglądał się wejściu dwóch galeonów do portu.

Chociaż z zawodu był rybakiem, nie wypływał już własną łodzią. Kiedyś miał łódź, należała wcześniej do jego ojca, ale czas i niepogoda zrobiły swoje, aż wreszcie, bez względu na to, jak bardzo łątał i naprawiał uszkodzenia, wiedział, że łódź nie nadaje się już do żeglugi.

Którejś szczególnie ciężkiej zimy porąbał ją i napalił nią w piecu. To było cztery lata temu, tej samej zimy, podczas której zmarła jego żona - pozornie z powodu poronienia, ale tak naprawdę z powodu niedożywienia i przepracowania.

Jules miał jedno dziecko, siedmioletnią córeczkę o imieniu Isabelle. Odkąd stracił własną łódź, zarabiał na życie, pracując na łodziach innych ludzi. Pieniądze miał z tego niewielkie, a ostatnio już prawie żadne i coraz trudniej było znaleźć zajęcie. Sytuacja się nieco poprawiła, gdy Marsylia dostała się pod rządę Charlesa de Casaulxa, ale w lutym został on zamordowany. Jules podziwiał monsieur de Casaulxa, stał wraz z innymi na ulicy i robił mu owację, gdy ten przejeżdżał. Wówczas miał jeszcze jakąś nadzieję. Teraz jednak Jules rozglądał się wokół, patrzył na wspaniałe domy bogatych kupców i wiedział, że na tym świecie nie ma dla niego miejsca.

Czasami myślał, że gdyby nie Isabelle, skończyłby z sobą, tak jak kiedyś skończył ze swą łodzią. Ale córeczka była pro-myczką w jego życiu: bez niej zrobiłoby się zupełnie ciemno. Tak więc z powodu Isabelle dalej szukał pracy. Gdyby nie brak jedzenia, mała byłaby śliczna: odziedziczyła po matce brązowe, kręcone włosy i gładką, śniadą cerę. Zeszłej zimy jednak dostała wrzodów wokół ust, a jej oczy, wielkie, ciemne oczy, nabrały wyrazu smutku i zniechęcenia. Czasami całymi godzinami nic nie mówiła i siedziała w kącie, z dłońmi na kolanach, ze wzrokiem wbitym w ścianę.

Była teraz w domu, spała mocno, ponieważ rano Jules zabrał ją na wieś, na łąki pełne maków i margerytek, otaczające Marsylię. Świeciło słońce, niebo było bezchmurne, a trawa świeża po nocnej burzy. Jules zaniósł córkę na łąkę i do lasu, dźwigając na barczystych ramionach lekkie jak piórko ciało dziewczynki. Nazrywał dla niej stokrotek, śpiewał jej piosenki i córeczka nawet raz się roześmiała.

Ale po jakimś czasie jej oczy zmatowiały, położyła rączkę na brzuchu i powiedziała, że ją boli. Tak rzadko na coś się skarżyła, że Jules poczuł lęk. Nie mogła nawet wrócić sama na

ścieżkę: jej rozpaczliwie chude nóżki nagle osłabły i musiał ją sobie znów posadzić na ramionach. Znał oczywiście przyczynę - mała była po prostu głodna. Nieustannie głodna, głodna przez całe swe krótkie życie. Wiedział także, z bolesną jasnością, że dziecko nie przeżyje następnej ciężkiej zimy.

Kiedy wrócili do domu, była tak zmęczona, że spała już, gdy owinał ją w koc i położył na wiązce słomy w rogu izby. Poprosił sąsiada, aby miał oko na dziecko i udał się do portu, by szukać, jak zwykle, pracy.

I znów, jak zwykle, nic nie znalazł. Włóczył się pomiędzy rzędami małych łodzi rybackich, objijających się o nadbrzeże. Rybacy, jego znajomi, kręcili głowami i wspominali o ciężkich czasach, a w oczach tych ludzi widział odbicie własnej biedy i braku nadziei. Ktoś wcisnął mu do ręki torebkę z małżami. Jules przyjął jąłmużnę przez wzgląd na Isabelle.

Ze względu na nią nie szukał pracy na większych statkach handlowych. Nie miał nikogo, kto by się zajął dzieckiem, gdy on byłby na morzu, wiedział też, że ów nikły płomyček życia, jaki się w niej jeszcze tlił, zgasłby bez stałej opieki i troski ojca. Wiedział także, że on sam nie zniósłby takiej straty i straciłby rozum.

Jules siedział na beczce, położywszy obok paczuszkę z małżami i patrzył, jak dwa wielkie galeony wpływają do portu. Nie potrafił czytać, ale rozpoznał po banderach, że jeden jest tokański, a drugi francuski. Na francuskim statku niektóre żagle zwisały bezsilnie, a jeden ze sztagów przedniego masztu zanurzał się w wodzie. Po wczorajszej burzy, pomyślał Jules Crau. Statek tokański, który dopłynął do Marsylii pół godziny wcześniej niż francuski, był w dobrym stanie, a jego załoga zaczynała już zwijać żagle.

Ale to we francuski statek Jules Crau wpatrywał się głodnym wzrokiem - z powodu licznych złocień i zdobień. Pasażerowie złocistego galeonu zaczęli schodzić na ląd: służący nieśli sakwy i skrzynie, żeglarze sprawdzali liny, którymi umocowano statek do nadbrzeża. Pojawił się jakiś ważny człowiek, zapewne kapitan.

Kapitan miał czerwony strój i krótką, czerwono-srebrną pelerynę; był młody, bogaty, przystojny. Jules jakby mimowolnie podszedł do niego, zamierzając powiedzieć coś, na co nigdy wcześniej nie pozwalała mu duma.

Usłyszał własne, nieskładne słowa, gdy wymamrotał coś o ciężkich czasach i głodującej córce. Zobaczył, że właściciel statku wzdrygnął się z obrzydzeniem, gdy poczuł dotyk brudnej ręki na swym gładkim, aksamitnym rękawie, a potem, o cudzie - bogacz sięgnął do kieszeni i rzucił coś Jules'owi na wyciągniętą dłoń.

Rybak otworzył dłoń i spojrzął na nią.

Guzik, guzik wykonany z rogu.

Po dwutygodniowym pobycie we Włoszech Marsylia wydała się Angelowi Guardiemu brudniejsza i bardziej zatłoczona. Okolice portu i szerokie aleje cuchnęły. Miasto było prostackie i wulgarne, brakowało mu owej elegancji i wyrafinowania charakteryzującego Florencję. No i żebracy mnożyli się jak szczury, do których coraz bardziej się upodabniali. Roili się na wszystkich ulicach i podwórcach, wstrętni i śmierdzący.

Angelo pogardzał biedakami. Jak wielu innych ludzi, którzy wszystko zawdzięczali wyłącznie sobie, gardził żebrakami za ich brak dumy i przedsiębiorczości. On, stworzywszy samego siebie z niczego, odrzucał tych, którzy wciąż znajdowali się w rynsztoku.

To wszystko moje, pomyślał, wchodząc do obszernego, starego domostwa, należącego niegdyś do Franca Guardiego. A jednak czasami, nawet po dziesięciu latach, czuł się dziwnie, chodząc po tym domu, gdzie chciał, siedząc za stołem i bez niczyjego pozwolenia pijąc wino, które przynosił mu służący. Czasami miejsce to nawiedzały duchy: echo powtarzało śmiech Franca, w korytarzach słyhać było szelest jedwabnych sukien Marguerite i lekkie kroki dziecka. A jednak niekiedy przyłapywał się na tym, że chce zapukać do drzwi i waha się, czy wejść do gabinetu Franca. Wtedy wszystko to, o co walczył przez całe życie, wydawało mu się nieważne, jakby miało obrócić się w proch, gdy on obudzi się z długiego snu. Angelo próbował pozbyć się złego nastroju, jaki ogarnął go po powrocie do rodzinnego miasta. Jego faktor zawarł korzystne transakcje w Neapolu i Civitavecchia, on sam wybrał wspaniałe tkaniny we Florencji. Powtarzał sobie, iż nie ma powodu do niepokoju, że powinien uznać swą wizytę we Florencji za sukces, że nie mógł oczekiwać niczego więcej od takiego człowieka jak Lorenzo Nadi. Stwierdził też, że nie leży w jego cha-

rakterze martwić się o przyszłość; do jego obyczajów należało nad nią panować. Powiedział sobie, że Lorenzo wkrótce napisze, wyrażając zgodę na zaręczyny. Kołyszając w jednej ręce kieliszek z winem, a drugą gładząc się po gładko wygolonym podbródku, Angelo pomyślał, że chociaż Fiametta Nadi nie jest piękną kobietą, to z pewnością znajdą się pewne dobre strony ożenku z niezbyt urodziwą kobietą. W przeciwieństwie do Lorenza Nadiego, mógł być pewny wierności przyszłej małżonki. Wiedząc, że jest przystojny i pociągający dla kobiet, Angelo mógł oczekiwać od Fiametty oddania i stałości uczuć.

Podniósłszy wzrok, widział przez okno port pełen statków. Wreszcie, wpatrując się w maszty z opuszczonymi żaglami na tle turkusowego nieba, rozpoznał przyczynę swego przygnębienia. Dwa dni wcześniej wypatrzył niedaleko Wybrzeża Liguryjskiego statek tokański, galeon noszący - co szczególnie - angielską nazwę „Zimorodek”. Ów „Zimorodek” był porządnym statkiem, Angelo jednak wiedział, że „Fiametta” może się z nim równać, i dał się wciągnąć w wyścig. Ostatniej nocy prawie nie spał, prowadząc ostrożnie „Fiamettę”, nieco nadwreżoną przez nagłą burzę - wokół zdradliwych brzegów Iles d'Hyeres. Potem w porcie ze smutkiem przekonał się, że przegrał. Toskański statek stał już przy nabrzeżu; wpłynął do Zatoki Lwiej wprost z otwartego morza i dotarł do Marsylii przed nim.

Angelowi niemal chciało się śmiać ze swej głupoty, gdy uświadomił sobie, iż trapi go przegrana w zwykłym, nieformalnym wyścigu, do jakiego wyzwał go nieznajomy. Wiedział, że melancholia, która go ogarnęła, była jedynie wynikiem wyczerpania po nieprzespanej nocy. Pomyślał leniwie, że kapitan „Zimorodka” też pewnie tęskni już za swym łóżem.

Kapitan „Zimorodka” zapadł już, tak naprawdę, w głęboki, spokojny sen, kiedy współwłaścicielka statku obudziła go, stukając do drzwi kajuty.

Musiła podejść do jego hamaka i potrząsnąć nim. Sprawilo jej to pewną przyjemność, jako mały rewanż za nudną noc, którą spędziła zamknięta w pomieszczeniu o rozmiarach psiej budy wraz ze szlochającą i wymiotującą Luisą. W końcu Thomas jęknął i wygramolił się z hamaka, złorzeczając Serafinie.

- Zamierzam otworzyć dom Jacopa - oznajmiła, przyglądając się krytycznym wzrokiem swemu kapitanowi, który przejechał palcami po rozczochranych włosach.
- To znaczy mój dom.

Zmarszczył czoło i spojrzał na nią zaspanymi oczami.

- Nie spałem od trzydziestu sześciu godzin. Obudziłaś mnie, żeby mi o tym powiedzieć?

- Obudziłam cię, żeby ci powiedzieć, że chociaż ja podczas naszego pobytu w Marsylii będę mieszkać w moim domu, ty zostaniesz na pokładzie „Zimorodka” - odrzekła niecierpliwie.

Przez chwilę patrzył na Serafinę pustym wzrokiem, potem spochmurniał i zapytał podejrzliwie:

- Dlaczego?

- Ponieważ tak wypada. Ludzie zaczęliby plotkować, gdybyśmy mieszkali w tym samym domu. W końcu jestem wdową.

Thomas milczał przez chwilę. Serafina przyłapała się na tym, że unika jego wzroku.

- Nie rób tego - odezwał się w końcu. - To zbyt niebezpieczne, zaszkodziś sobie. Poczekaj. Nadejdzie twój dzień.

Poczuła, że twarz zaczyna ją palić, ale zdołała zapanować nad głosem i spytała w miarę spokojnie:

- O czym ty mówisz, Thomasie? Czego mam nie robić? Uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Nie składaj wizyty kuzynkowi. Nie zapraszaj go na przyjemny obiad we dwoje, nie czynź z siebie ofiarnego zwierzęcia, które składa się na ołtarzu.

Tym razem, zamiast skrzyć Thomasa za nieznośne wtrącanie się w jej życie, Serafina roześmiała się i odrzekła:

- Nie mam zamiaru robić czegoś takiego. Będę mieszkać sama w domu Caprianich, ponieważ to bardziej przystoi, i to wszystko.

A jej kapitan, kładąc się z powrotem na hamaku, mruknął tylko:

- A zatem odzyskam przynajmniej swą cholerną kajutę -i zamknąwszy oczy, zapadł w sen.

W Pizie kurtyzana Constanza podejmowała bankiera Gale-azza Merliego.

Zjedli kolację w towarzystwie kilku przyjaciół Galeazza, śpiewali razem - oczywiście bankier zagłuszał swymi wrzaskami ciepły, niski głos kochanki.

Później, na znak Merliego przyja-

ciele i znajomi wyszli, zostawiając po sobie stół zastawiony brudnymi kieliszkami po winie oraz okruchy ze słodyczy i pestki z winogron na dywanie. Galeazzo siedział w fotelu i przyglądał się kobiecie.

Nadal jadł; winogrona wędrowały systematycznie z dłoni do ust, pestki wypluwał celowo na podłogę. Ale wzrok miał utkwiony w Constanzy, jakby była jakimś szczególnie interesującym zestawem ksiąg rachunkowych - interesującym, choć niekoniecznie budzącym sympatię. Galeazzo zawsze coś je albo pije, pomyślała kurtyzana i podniosła się, by zabrać swój flet z kałuży wina, w której ktoś niedbale go położył. Zawsze jadł, pił albo się kochał. Nie zaproponowała mu, by się kochać, ponieważ nigdy tego nie robiła. To był jego przywilej - prosić o to, co mu się należało.

Tego wieczora jednak nie przycisnął jej do siebie, gdy przechodziła obok i nie zaciągnął po schodach do sypialni. Siedział w bałaganie, jaki zostawili po sobie jego przyjaciele i obserwował Constanzę. Wreszcie odezwał się pozornie obojętnym tonem:

- Gościłaś tu kogoś ostatnio. Jakiegoś Anglika.

Delikatnie wycierając do czysta flet, miała ochotę uśmiechnąć się do samej siebie. A więc to o to chodziło. Messer Merli obawiał się, że straci swą własność.

- To prawda. Zatrzymał się u mnie na początku roku niejaki Thomas Marlowe. Na pewno go pamiętasz, Galeazzo.

Mówiła spokojnym głosem, nie miała bowiem nic do ukrycia, jeśli chodzi o stosunki łączące ją z Thomasem. A poza tym nie składała bankierowi żadnych przyrzeczeń dotyczących wierności. To była zwyczajna umowa między kontrahentami: usługi świadczone w zamian za pieniądze.

- A tak, pamiętam - odrzekł, sięgając po brzoskwinię ze stojącej obok misy. - Był na moim bankiecie w zeszłym roku, jesienią. Przyszedł wraz z przedstawicielem Kompanii Lewan-tyńskiej - jak on się nazywał? Keane.

Przepołowił palcami brzoskwinię, a sok trysnął mu na kaftan, gdy wyjmował pestkę.

- Słyszałem, że popłynęłaś wraz z messerem Marlowe'em statkiem. Do Neapolu.

Kurtyzana położyła flet na stolyczku z boku, zdjawszy uprzednio wstążki, jakimi był przewiązany - zupełnie zniszczone po kąpieli w winie - i odwróciwszy się do Galeazza, powiedziała:

- Messer Marlowe okazał się tak miły, że zaproponował mi podróż do Neapolu na pokładzie swego statku. W ten sposób pragnął odwdziżyć się za to, że pozwoliłam mu zostać tutaj przez kilka tygodni. Nie łączyło nas nic prócz przyjaźni, zapewniam cię, Galeazzo.

Włożył sobie połowę brzoskwini do ust; sok ściekał mu po brodzie. Jego małe, ciemne oczy wciąż były utkwione w Con-stanzy, podeszła więc, położyła mu rękę na ramieniu i powtórzyła stanowczo:

- Nic prócz przyjaźni.

Skończywszy jeść, lepką ręką chwycił ją za nadgarstek.

- Messer Marlowe jest także przyjacielem tej wdowy Capriani - zauważył. - Albo przynajmniej ludzie tak mówią.

Constanza nie odpowiedziała. Galeazzo zaczął lizać lekki ślad, jaki został wokół jej dłoni, czuła dotknięcie jego podbródka. Wiedziała, że chce wziąć ją na kolana i pościć tutaj, wśród rozsypanej skórki pomarańczowej i rozlanego wina. Ale nie była zwykłą prostytutką, uwolniła się więc od jego uścisku i ruszyła na górę po schodach, pozwalając, by poszedł za nią.

Kiedy skończył i zasnął, usłyszała stukanie do drzwi. Wstała, upięła włosy i włożyła suknię, zanim usłyszała, że Helion biegnie do drzwi, by je otworzyć. Galeazzo nadal spał, leżał rozwalony na prześcieradłach, a pot spływał mu po twarzy. Nieunikniony, lekki strach, który zawsze towarzyszy niespodziewanym wizytom albo odgłosom kroków dobiegających z tyłu, gdy idzie się pustą ulicą, opuścił ją, kiedy wyjęła z biureczka sztylet, wzięła świecę i zeszła bezszelestnie na dół, zamykając za sobą drzwi sypialni.

Najpierw usłyszała piskliwy głos Heliona, a potem drugi głos: też wysoki, ale niewątpliwie należący do dziewczyny.

Rozpoznała go natychmiast. Porzuciwszy sztylet na schodach i postawiwszy na stole świecznik, Constanza już trzymała w ramionach swą jedyną córkę Marię.

Kiedy upewniła się, że dziewczyna jest cała i zdrowa, zrobiła krok w tył i przyjrzała się swemu krnąbrnemu dziecku. Maria miała na sobie ową nową suknię, którą Constanza sprawiła jej w maju, a brązowe włosy, niedbale upięte pod nieładnym kapeluszem, wiły się niesfornie nad czołem. Suknia była rozdarta u dołu, koronka przy kołnierzyku nadpruta. Dziewczyna patrzyła niewinnie na matkę, nie próbując unikać jej wzroku.

- Rozmawiałeś w czasie ręcznych robótek? - zapytała surowo Constanza. - Poszłaś do portu? - Głos jej lekko drżał.

Maria pokręciła głową.

- Siostra Esmeralda musiała wyjechać - wyjaśniła. - To moja wina.

Powoli, wśród zamieszania panującego w jadalni, cała okropna historia wyszła na jaw. Maria znalazła kotka, a właściwie dostała go od jakiegoś obcego mężczyzny. Był to pers o błękitnym futerku i żółtych oczach, po prostu чудо. Miał chorą przednią łapkę. Maria wykradła z klasztornej infirmerii lekarstwa i wynosiła w kieszeni resztki jedzenia, aż zwierzątko, trzymane w skrzyni w sypialni, powoli zaczęło wracać do zdrowia.

Niestety, kiedy siostra Bonawentura przechodziła obok izdebki dziewczyny, kot zaczął kichać. Maria, obawiając się, że wszystko się odkryje, jako że siostra Bonawentura stawała się coraz bardziej podejrzliwa, zmuszona była oddać zwierzątko pod opiekę siostry Esmeraldy. Niestety, siostra Teresa, która normalnie nie zauważyłaby nawet słonia w klasztorze, zobaczyła siostrę Esmeraldę wracającą do swej celi z kotkiem ukrytym pod habitem. Lękając się najgorszego - demonów czy też innej nieczystej siły, gdy dostrzegła poruszający się kształt pod wy-krochmalonymi fałdami odzienia nowicjuszki, wezwała siostrę Bonawenturę.

- A ta utopiła kotka - zakończyła ze smutkiem Maria. - A kiedy próbowałam jej wyjaśnić, że to nie miało nic wspólnego z biedną Esmeraldą, że to wszystko moja wina - nie chciała mnie słuchać. Powiedziała, że siostra Esmeralda przyjęła prezent od mężczyzny, a więc nie nadaje się na zakonnice. A ja miałam myć podłogę w kuchni podczas ранней rekreacji, to wszystko. To dlatego, że obiecałaś im lichtarz, a rodzina siostry Esmeraldy jest biedna, tak? - dodała.

Constanza, która zbierała się, by wypełnić swój trudny, matczyny obowiązek i złączyć córkę, milczała.

- Jakżeś tu dotarła, moja droga? - spytała wreszcie.

- Ach, znalazłam jakiś statek. Nie galeon, taki jak messera Marlowe'a, ale małą barcę. Było wspaniale. Aha, zostawiłam też list siostrze Bonawenturze.

- To dobrze - powiedziała słabo Constanza. Wiedziała, że nie ma sensu przekonywać zakonnice czy też

pisać pojednawczych listów do klasztoru świętej Klary, obie-

cując kolejne lichtarze i nowe rzeźby na ołtarz. Wiedziała także, patrząc w spokojne, orzechowe oczy córki, że Maria podjęła decyzję, całkiem logiczną w tym oceanie obłudy, i że wszelkie starania, by zmienić owo postanowienie, byłyby taką samą hipokryzją. To wszystko na nic: przynajmniej przez jakiś czas córka będzie musiała pozostać w Pizie.

Na chwilę zapomniała o śpiącym mężczyźnie, ale ciężkie kroki na schodach i odgłos otwieranych drzwi do jadalni przypomniały jej gwałtownie, dlaczego wysłała Marię do Neapolu.

Był już zupełnie ubrany; prezentował się imponująco i godnie. Constanza zobaczyła, że jego wzrok natychmiast spoczął na Marii. Wstała więc, podeszła do córki i objęła ją opiekuńczym gestem za ramiona.

Bankier uśmiechnął się grzecznie.

- Chyba powinnaś mnie przedstawić, Constanzo.

- Mario, to messer Galeazzo Merli, mój przyjaciel. Galeazzo - to moja córka, Maria - powiedziała sztywno kurtyzana.

Dziewczyna ukloniła się lekko. Constanza dosłyszała we własnym głosie niepokój i napięcie, gdy poleciła córce:

- Idź do łóżka, kochanie. Już późno.

Zobaczyła, że mężczyzna wodzi wzrokiem za zgrabną sylwetką dziewczyny, kiedy Maria wychodziła z pokoju. Pomyślała, że gdyby miała w ręku sztylet, użyłaby go właśnie w tym momencie.

Usłyszała cichy głos Galeazza:

- Czasami przypominają się uroki młodości.

A potem poczuła, że mężczyzna zaciska jej dłonie na ramionach, odwraca ją i zmusza, by spojrzała w błyszczące zwierciadło, wiszące na przeciwległej ścianie. Światło świecy wydobyło ślady, jakie na jej twarzy zostawiły mijające lata i cienie wokół głęboko osadzonych oczu. Blizna na brodzie wydawała się równie głęboka jak owego dnia, kiedy zadano cios.

- Czy wydaje ci się - szeptał mężczyzna, wodząc palcami po miękkiej, lekko obwisłej skórze na jej szyi - że długo jeszcze będziesz mogła zarabiać na życie? Spójrz w lustro, Constanzo, i zastanów się, być może wkrótce kto inny będzie musiał pracować na ciebie.

Nigdy, pomyślała, łapiąc z trudem powietrze i walcząc ze strachem i złością, gdy Galeazzo wyszedł. Nigdy.

Część jedenasta

1596

JAZDA W PYLE

Jedwabne, różnobarwne chustki, by chronić oczy podczas jazdy w pyle.

„RZECZY, KTÓRE NALEŻY MIEĆ PRZY SOBIE" (w:)
„ZAPISKI Z ODKRYCIA DROGI PÓŁNOCNO-WSCHODNIEJ"

RICHARD HAKLUYT

Wcześniej Serafina obawiała się, że w Marsylii może mieć zbyt wiele czasu na rozmyślanie, lecz przekonała się, że przynajmniej tej udręki jej oszczędzono. Dni wypełniały jej niewielkie zwycięstwa i niewielkie przykrości, była więc zbyt zajęta, by zebrać myśli.

Otworzyła dom Jacopa, położony na przedmieściu, i zrzuciła pokrowce z mebli, wzbijając tony kurzu, które blask słoneczny przemienił na chwilę w okruchy złota. Mieszkała w owym domu już wcześniej, dwa lata temu, kiedy Jacopo znalazł ją na targu i zatrudnił jako służącą. Od tamtego czasu wiele się wydarzyło.

Dom był brzydki i źle umeblowany, ale nie zwracała na to uwagi. W pokoju na dole urządziła kantor dla siebie i urzędników, zatrudniła porządną kucharkę i kilku służących. Ledwie zważała na upał, muchy krążące po pokojach czy też hałas dobiegający z pobliskich ulic i podwórzy. Pracowała do późnej nocy, a wstawała wczesnym rankiem, ponieważ miała dużo pracy, a także dlatego, że tutaj, w Marsylii, nie mogła spać.

Tłumaczyła sobie, że to upał nie pozwala jej zasnąć, ale wiedziała, że to nie jest prawdziwy powód. Kiedy tylko zamknęła oczy, powracały wspomnienia z przeszłości: wyraźne, pełne dramatycznych wydarzeń sny, które nie dawały jej chwili wytchnienia. Czasami śnił jej się jedynie port, leżący tak niedaleko, i budziła się, oszołomiona złudnym szczęściem, we śnie bowiem stała i patrzyła na statki, trzymając za rękę ojca. Kiedy indziej śnił jej się janczar z rozpalonym, żelaznym prętem w dłoni, a potem musiała przetrwać jakoś godziny dzielące ją od świtu.

Unikała Thomasa, jak tylko mogła. Pozwoliła niestety, by za dobrze ją poznał i pojął obawy oraz ambicje, jakie nią kierowały. Nie pragnęła wcale, by ją rozumiał: potrzebowała jego inteligencji i energii. Ograniczyła rozmowy z Marlowe'em do tematów handlowych: przewiezienia tkanin ze statku do składów, pojemności ładowni na „Zimorodku”, odległości między Lewantem a Pizą. Nie dzieliła się z nim swymi odkryciami, o których rozmyślała w ciszy, po zapadnięciu zmroku. Że plotka głosi, iż Angelo Guardi pożyczył za dużo pieniędzy, i teraz stara się zdobyć fundusze, by zapłacić za towary, którymi wypełnił ładownię „Fiametty”. Gdyby nie to, że budziły ją w nocy koszmary, nie mogłaby zasnąć z powodu owych intrygujących skrawków informacji. Wiedziała, że Thomas wyczytałby z jej oczu nadzieję, trzymała się więc odeń z daleka, jadła z nim obiad od czasu do czasu, przybierając pogodną, acz nieprzeniknioną minę.

Interesy szły dobrze, po uwolnieniu się Marsylii z izolacji łatwiej było przewozić towary na północ. Serafina miała długą listę klientów i kontaktów zmarłego męża oraz drugą własną, otrzymaną od kupców i bankierów z Pizy, Livorno i Genui. Cieszyła się szacunkiem i swobodą, jakie dawały jej wdowieństwo, uroda i młodość. Miała to wszystko, na co nikt nie mógł pozostać obojętny: wdzięk, piękność i rozum. Miała głowę do liczb i sylwetkę, która mogła zawrócić w głowach. W książce zamówień rosły kolumny cyfr; tkaniny i wyroby jedwabne, kupione w Neapolu albo wytworzone w Pizie, sprzedała za dobrą cenę. Wieczorami, kiedy cały dom spał, siedziała w kantorze i przeglądała rachunkowe.

W końcu udała się do pozłacanej kamienicy. Poszła tam za dnia, wiedziała bowiem, że po zmierzchu usłyszałyby tamten głos: „Równie dobrze mogę się przespać z moją kłaczą. Ona przynajmniej śmierdzi tylko końskim gównem”. Stojąc teraz na rogu ulicy i patrząc na budowlę, która kiedyś była jej domem, Serafina miała na sobie czarną, jedwabną suknię, ozdobioną haftem i welon z brukselskiej koronki. Pachniała paczulą i wodą różaną. Mijający ją mężczyźni zerkali na nią, uśmiechali się i pozdrawiali skinieniem głowy. Nie była już biedna, brzydka ani brudna. Oslaniając oczy przed słońcem, Serafina zauważyła, że domostwo Guardich straciło nieco swój blask; jaskrawe farby zaczęły się łuszczyć, a spod złocień widać było jasne cegły, które

pamiętała z dzieciństwa. Wyglądało to trochę tak, jakby dom począł zrzucić złoconą, świeżą skórę, którą narzucił mu Angelo, i ukazywał to, co było pod spodem, swe prawdziwe oblicze.

Uśmiechała się, wracając do siebie zatłoczonymi uliczkami. Kiedy dotarła do kamienicy Capriani, udała się do kantoru i zasiadła do pisania listu.

Notariusz Jehan de Coniques przyniósł swemu chlebobdawcy dwa listy.

Pierwszy z nich Angelo otworzył natychmiast. Gdy łamał pieczęć, jego mina zdradzała niepokój. Czytał szybko, spuściwszy nisko wzrok, tak że Jehan nie mógł widzieć jego oczu. Autorem był Lorenzo Nadi, pismo zawierało szczegóły ich umowy. To bardziej kontrakt niż list, pomyślał Angelo i uśmiechnął się w końcu.

Jehan, który obserwował go cały czas, zachichotał i powiedział:

- Jestem pewien, że zachowa dla pana dziewictwo, Angelo. Te włoskie dziewczęta trzymane są pod kluczem niczym zakonnice.

To nie tyle ordynarne słowa notariusza wywołały u Angela rzadki u niego gniew - którego źródłem było napięcie, jak sobie później uświadomił - ile tak bezceremonialne użycie jego imienia. W przeszłości byli sobie równi, obaj kiedyś zostali wydziedziczeni, ale czas i cierpliwe manipulowanie ludźmi oraz wydarzeniami sprawiły, że ich obecna pozycja społeczna ogromnie się różniła.

Jehan nigdy jednak nie uznawał dzielącego ich dystansu i imię Angela przechodziło mu przez gardło równie gładko, jak kiedyś, kiedy młodzieniec zabiegał o jego względy, by zabezpieczyć swą własną pozycję.

Angelo nie dał wszakże po sobie poznać, że ogarnął go gniew.

- Przygotujesz potrzebne dokumenty, Jehanie - polecił chłodno. - Spodziewam się, że moje zaręczyny nastąpią wiosną.

Notariusz nalał sobie jeszcze wina do kieliszka i zachichotał.

- *Mon ami*, znam się na przygotowywaniu dokumentów - odrzekł bełkotliwym głosem. Miał szarą, obwisłą skórę. - Zdrowie twojej narzeczonej - dodał, unosząc kieliszek. - Za piękną - i bogatą - Fiamettę Nadi. Oto nagroda za grzeszny postępek: pięćdziesiąt tysięcy dukatów i dziewiętnastoletnia dziewczica...

De Coniques'owi drżała ręka i wino rozlało się po rzeźbionym stole, by wsiąknąć w wypolerowane drewno. Angelo przesunął się za jego plecami, jedną ręką schwycił prawnika za kościsty nadgarstek, drugą za chudy kark.

Wino - jego wino, najlepsze prowansalskie - chlusnęło na dywan i meble. Puchar z weneckiego szkła rozbił się na kawałki na blacie.

- Grzeszny postępek - syknął cicho Angelo wprost do ucha Jehana - w którym miałeś taki sam udział jak ja. Czyżby gryzło cię teraz sumienie, mój uległy doradco? A może ta dziewiętnastoletnia narzeczona przypomina ci pewną inną, wysłaną do innego małżeńskiego łóżka? Łóżka, które obaj przyszykowaliśmy?

Wciąż ścisnął mocno dłoń Jehana, trzymając ją nieco ponad blatem stołu. Teraz zaś opuścił powoli jego rękę, wciskając ją w połyskujące odłamki kielicha. Usłyszał, jak Jehan wciągnął powietrze, gdy szkło rozcięło mu skórę i ścięgna.

Puścił dłoń de Coniques'a, czując nagle obrzydzenie, gdy potargane, tłuste włosy tamtego przeleciały mu po twarzy, gdy poczuł pod palcami luźną skórę i kości.

Notariusz nie krzyknął, oczy mu się tylko zaczerwieniły, jakby miał się rozpląkać.

Dawno temu, Angelo, chociaż wyśmiewał się ze starego nazwiska i mizernej spuścizny Jehana, poważał jego znajomość poplątanych ścieżek prawa. Teraz wydawało się, że notariusz utopił owo poważanie w morzu alkoholu i zawiści.

Angelo podszedł do okna, by nie widzieć purpurowej plamy na stole, i otworzył okiennice. Słyszał, jak tamten wstaje i idzie z trudem w stronę drzwi, chwytając powietrze bolesnymi haustami. Na swych dłoniach Angelo dostrzegł kurz z okiennic, poraził go dochodzący z ulicy smród ekskrementów. Zdał sobie sprawę, że cały drży; wydarzenia ostatnich miesięcy go zmęczyły - jego, który uważał za swój najmocniejszy punkt własną niewyczerpalną siłę.

Przypomniawszy sobie, iż ma już najgorsze za sobą, że teraz nie musi się obawiać utraty tego wszystkiego, o co walczył. Poczul nagle wszechogarniającą ulgę, serce zaczęło mu bić wolniej. Wyjął z kieszeni drugi list i złamał nie znaną mu pieczęć. Przeczytał napis na dole kartki: „Capriani” i spojrzawszy weselszym wzrokiem znów na port, na tłum statków, małych i dużych. Nie zdołał wypatrzeć „Zimorodka”, ale znał nazwisko jego właściciela. Skrupulatny jak zwykle, dowiedział się, że galeon nale-

ży do kupca o nazwisku Capriani, a co ciekawsze, ów kupiec Capriani to kobieta. Uświadomił sobie, że się uśmiecha. I jest ciekawy. Przypomnił sobie, iż w końcu zasłużył na jakąś rozrywkę. Ta wdowa Capriani może być brzydką, starą jedzą z haczykowatym nosem i podwójnym podbródkiem, ale w to akurat Angelo wątpił. Z tego co słyszał - znów się uśmiechnął - jest wręcz przeciwnie.

Wezwawszy sekretarza, zaczął mu dyktować odpowiedzi na oba listy. Z tym pierwszym, do Lorenza Nadiego, poszło mu całkiem łatwo. Nad drugim, do tajemniczej madonny Capriani, musiał się trochę zastanowić, ale w końcu był zadowolony z ostatecznego efektu. Ze względu na narodowość adresatki, Angelo zredagował ów list w swym doskonałym włoskim rodem z Toskanii. Madonna Capriani, właścicielka „Zimorodka” została zaproszona na obiad do messera Guardiego, właściciela „Fiametty”.

W Londynie, w Greenwich, Faith Whitlock pomagała mężowi spakować się przed czekającą go podróżą.

- Koszule - powiedziała, wskazując stosik leżący na stole. - Tuzin płóciennych, pół tuzina jedwabnych z kryzami. Wszystkie wykrochmaliłam, ale mogą oklapnąć, jeśli będzie wilgotno.

Edward Whitlock, jak zawsze niespokojny przed długim rejsem, grzebał wśród koszy z wieszakami, słoików z krochmalem i *potpourri*, znajdujących się na parapecie okiennym. Na dworze padał deszcz i walił zawzięcie w szyby, zamieniając herbarium Faith w strugi błota, jakby chciał przypomnieć, jaka jest pora roku.

-Kiedy odpływacie, Ned? - zapytała żona, zerkając w okno. - Jak jest z wiatrem? Edward, bawiąc się *potpourri*, zmarszczył twarz.

- Chyba się zmienia. Powinniśmy wyruszyć pod koniec tygodnia. Zamierzam w październiku opłynąć Capri. Hiszpanie powinni wówczas spać.

Faith zawsze się pilnowała, by nie martwić się o niego ani o kogolwiek z załogi, nie rozmyślać o sztormach i katastrofach morskich, chciwych korsarzach czy mściwych Hiszpanach. Dawno temu nauczyła się, że może przetrwać tylko w jeden sposób: stworzyć sobie własne życie, na tyle przyjemne i absorbujące, na ile to możliwe. Teraz liczyła spokojnie sznurowadła leżące

przed nią na stole, służąca Betty zaś składała koszule i pakowała do kufra, wkładając między nie gałązki suszonej lawendy.

- ...czterdzieści dziewięć, pięćdziesiąt - dokończyła Faith i wzięwszy ostatnie sznurowadło, zawiązała nim cały pęk. - Czy dostałeś uzbrojenie takie, jak chciałeś?

- O, tak. Richard Staper ostatecznie jednak nabrał rozumu. - Odwrócił się, przewracając skrzynkę z kawałkami drewna służącymi do farbowania tkanin.

Pochylił się i zaczął niezgrabnie zbierać zawartość do pudełka. - „Legacy” i „Saviour of Britain” mają o pół tuzina więcej dział. A „Garland” został niedawno odremontowany w Livorno.

Przez chwilę panowała cisza, potem Faith powiedziała spokojnie:

- Pomóż panu pozbierać drewno, Betty. Czy John Keane płynie z tobą, kochanie? Edward wyprostował się i wytarł ręce o spodnie.

- John płynie na „Legacy”. Ma się ożenić z Dorothy Jenkin-son po powrocie.

Wiedziałaś o tym, Faith? Jej ojciec zmarł w zeszłym tygodniu. Stary satrapa - ludzie mówią, że nawet Dorothy poczuła ulgę, choć nigdy się do tego nie przyzna

- Uśmiechnął się i dodał: - Popłynę jako kapitan „Garlanda” - to meduzy, ale dzielny statek. Potrzebuje kogoś, kto go zna. Musi dopłynąć do Aleksandretty i z powrotem,

Faith. Nigdy jeszcze me straciłem żadnego statku. - Odwróciwszy się, zaczął szorować w wiadrze z wodą czerwono-brązowe od drewna ręce. Deszcz ustał,

wyszło nawet nieśmiałe słońce, które oświetliło czubek głowy Edwarda, wskazując, gdzie rude włosy zaczynają rzednąć i prześwieca przez nie skóra. - A do czego to w ogóle służy? - zapytał, wskazując na skrzynkę z drewnem, którą Betty postawiła

obok wiadra.

- Do farbowania kotar - wyjaśniła Faith, składając jego kaftany. - Trochę wyblakły.

Edward nic nie powiedział. Stał do niej tyłem, pochylając się nad wiadrem. Faith, odłożywszy na bok ubrania, podeszła do męża, przytuliła się doń i położyła mu

głowę na ramieniu, obejmując go tak czule, jakby ścisnęła swego synka czy córkę!

- Mój drogi Edwardzie - odezwała się spokojnym tonem. - Mały Ned chciałby zakrzywioną szablę janczarską, ale nie przywoź mu jej. Wystarczy kilka figur

szachowych - zgubił większość z kompletu, który ostatnio kupiłeś. A Alice przywieź ko-

raliki i jakieś świecidełka. I kup mi, jeśli możesz, biały jedwab na koszulkę do chrztu. Ta płócienna jest już podniszczona.

Odwrócił się z rękoma ociekającymi wodą. Sądząc po jego minie, czuje się zmieszany i zakłopotany, pomyślała Faith. Nigdy przedtem tak nie wyglądał, gdy wyruszał w podróż do Le-wantu, odległego o tysiące mil od domu. Swymi pocałunkami zmusiła męża, by się uśmiechnął.

- To w końcu nic trudnego urodzić dziecko - powiedziała łagodnie. - No i będę miała się czym zająć, prawda, kochanie?

Serafina udała się do pozłacanej kamienicy sama.

Minął już ponad miesiąc, odkąd „Zimorodek” zacumował w Marsylii. Miesiąc, który upłynął na kupowaniu i sprzedawaniu, robieniu planów i zdobywaniu informacji. Znacznie wcześniej, zanim przyплыnęła tutaj z Pizy, wiedziała już, że prawdziwym celem jej podróży jest to spotkanie.

A jednak wydawało się, że nadeszło zbyt szybko; powinna była mieć więcej czasu. Stojąc u stóp schodów wiodących do domu, Serafina mówiła sobie, że to niedorzeczne. Planowała owo spotkanie od miesięcy, nie, od lat. Od dwóch i pół roku, kiedy stanęła tu po raz pierwszy, odkąd zaczęła rozumieć, że oprócz strachu i rozpaczki po utracie wszystkich i wszystkiego, istnieje także zdrada. Od tamtej pory manipulowała ludźmi i kierowała wydarzeniami, zawsze w tym jednym celu.

Przypomniała sobie, że robiła dokładne plany, które były teraz bliskie realizacji. Thomas znajdował się w Awinionie i najprawdopodobniej wróci dopiero jutro, interesy w Marsylii doprowadziła prawie do końca, ładownię „Zimorodka” wypełniały cenne tkaniny. Do załatwienia została jeszcze ta jedna, najważniejsza sprawa.

Drzwi otworzył służący, który wziął od niej rękawiczki i lekki szal. Widziała swe odbicie w kryształowym lustrze wiszącym nad kominkiem w holu: wspaniała, czarna suknia, przybrana ciemnymi perłami, z koronkowymi mankietami i kryzą; ciemne włosy, upięte gładko nad karkiem; duże, ciemne oczy i gładka, smagła cera. Zastanawiała się, czy nie pociągnąć lekko policzków czerwoną minią, ale mając w pamięci krytyczne uwagi Thomasa, ze złością pozostawiła nietknięty słoiczek w sekretarzyku.

To moje, pomyślała, rozglądając się po domu. Mój dom, zabrany przez kogoś, kto także ukradł mi nazwisko. A jednak, nieoczekiwanie dostrzegła, że dom tylko częściowo wydaje jej się

znajomy, jakby widziała go wcześniej na obrazku albo mignął jej w śnie. Pomieszczenia były jakby mniejsze, nie takie tajemnicze, meble zwyczajne, mniej kolorowe niż we wspomnieniach. Rozpoznała rozkład pokojów i niektóre sprzęty, ale tylko dzięki temu, że zachowała w pamięci katalog miejsc z przeszłości: Kuchnia, pomywalnia, gotowalnia, idąc z korytarza na prawo Hol i kantory na parterze. Na piętrze - szła w ślad za służącą stukającą obcasami na dębowych stopniach - jadalnia i salon.' Na stole rzeźbiony mosiężny świecznik; kiedyś lubiła wkładać do mego nowe świece, gdy stare się wypaliły. Arrasy, wiszące nieruchomo w wieczornym powietrzu: kiedyś liczyła na nich konie i nadawała im imiona. Destrier i Bayard, i Dancer, i...

- Przyszła madonna Capriani, panie - oznajmiła służąca, gdy dotarli na szczyt schodów.

Wzrok Serafiny, wędrujący po, znajomym, a jednocześnie nieznanym otoczeniu, nie mogąc zatrzymać się na niczym dłużej, spoczął na drzwiach. W progu stał mężczyzna o ciemnozłoty włosach, połyskujących w blasku świec.

Angelo.

Chociaż dom pod wpływem jakiegoś magicznego zabiegu się zmienił, to jej kuzyn pozostał taki sam. Te same rysy, które zachowała w pamięci, darząc je miłością i nienawiścią. Oczy, usta, nos, włosy - żywe odbicie twarzy, od lat nawiedzającej ją w snach. Nie musiała jej się przyglądać - znała ją i nosiła w sercu.

Ponieważ przez większą część swego życia Serafina kryła się z uczuciami, umiała teraz ukryć emocje, które ją ogarnęły. Potrafiła podać mu rękę, by ucałował jej palce, mogła uśmiechnąć się, wypowiedzieć kilka banalnych uwag o pogodzie i nieznośnym upale.

Dopiero gdy weszła przed nim do pokoju, przymknęła na chwilę oczy, zaciskając mocno powieki. Szybko jednak się opanowała. Zobaczyła, że stół nakryto dla dwóch osób. Liczyła, że tak będzie, bowiem to, co zamierzała powiedzieć kuzynowi, należało powiedzieć na osobności. Wiedziała też, że jej nie rozpoznał, że minione lata, gdy z dziecka stała się kobietą, zmieniły ją nie do poznania. Angelo nie dostrzegał ani chudego dziecka które dostało się w ręce korsarzy, ani brudnego chłopca, śpiącego kiedyś na jego własnych, zamiecionych do czysta schodach.

No i w końcu uważał, że ona nie żyje. Nie spodziewał się, że w ten upalny, wrześnieowy wieczór ujrzy ducha.

- Było zuchwalstwem z mojej strony, pisać do pana, messer Guardi - odezwała się z wolna. Z trudem przychodziło jej wymówić to nazwisko, własne nazwisko. - Widzi pan, pragnęłam poznać właściciela „Fiametty”.

Angelo uśmiechnął się, a służący nalał im wina.

- Madonna, jeśli to była zuchwałość, to życzyłbym sobie częściej jej doświadczać. Wzięła do ręki kieliszek i zasiadła za stołem. Ten pokój zawsze służył jako jadalnia. To tutaj, dawno temu, ojciec powiedział jej o zaręczynach z Michele Corsinim. Gdyby znów zamknęła oczy, jakież zjawy mogłaby wywołać?

Angelo usadowił się na przeciwko niej, a służący zaczął przynosić półmiski.

- Ma pani znakomity statek, madonna. Nosi chyba angielską nazwę, prawda? Kiwnęła potakująco głową.

- Zbudował go pewien Anglik.

Miała przygotowane na wszelki wypadek odpowiednie kłamstewko. Falszywe nazwisko, budowniczy powrócił już zresztą do swego ojczystego kraju. Wiedziała, że Angelo mógł znać nazwisko Thomasa i jego narodowość. To dlatego między innymi chciała, aby Marlowe przebywał na statku albo jeździł w interesach w dolinę Rodanu. Chociaż nie był to najważniejszy powód.

Nie musiała jednak kłamać - Angelo uniósł tylko kieliszek i powiedział:

- Wypijmy za zwycięzcę wyścigu, madonna. Gratuluje pani. Rzadko przegrywam, a „Fiametta” jest wspaniałym statkiem. Ale to przyjemność przegrać z tak zachwycającym przeciwnikiem.

Stuknęli się lekko kieliszkami, senną ciszę przerwał cichy dźwięk, jakby kurant wybił.

- Proszę mnie tak nie nazywać - odrzekła cicho Serafina. - Nie chciałabym uważać pana za swego przeciwnika, messer Guardi.

- Za kogo zatem chciałaby mnie pani uważać, madonna? Nie odpowiedziała, ale dostrzegła, że jego ciemne oczy

otworzyły się nieco szerzej, a w kącikach ust igrał uśmiech.

- Jak rozumiem, jest pani wdową, madonna Capriani? - do-dai leniwie.

Jadła coś, ale nie wiedziała, co. Mogły to być ostrzygi albo truskawki, glina lub kurz. Angelo przyglądał jej się z nieukrywanym zainteresowaniem. Serafinie zadrżała ręka, gdy podnosiła do ust kieliszek. Gdzieś, w głębi jej duszy rozbrzmiewał głos Thomasa: „Kochałaś go. O Boże, ty wciąż go kochasz!”. Uczucie, jakim darzyła Angela, które płonęło w jej oczach, była to jednak czysta nienawiść, nic innego. Opróżniła kieliszek, próbując w ten niezwykle dla siebie sposób odzyskać spokój.

- Tak, jestem wdową, messer Guardi. Mój mąż, kupiec z Pizy, zmarł na początku tego roku. Byłam na tyle zuchwała, żeby sądzić, iż mogę spróbować poprowadzić i rozwinąć jego firmę. Ze względu na dziecko, rozumie pan.

- Ma pani dziecko, madonna?

Pochyliła głowę. Czy Angelo kiedykolwiek myślał o tamtym dziecku, które prawie dziesięć lat temu wysłał na śmierć? Czy gdyby wypowiedziała imię „Serafina” pobladłby i otworzył usta?

- Mam syna. Francesco jest jeszcze mały, ale kiedy dorośnie, odziedziczy przedsiębiorstwo Capriani. Ja tylko - bardzo nieumiejętnie, obawiam się - próbuję zachować dla niego spadek.

- Nieumiejętnie? - Angelo, z rozbawioną miną, gestem ręki oddalił służącego. - Jest pani wobec siebie niesprawiedliwa, madonna. Zasięgnąłem języka. Podobno kupcy z wieloletnim doświadczeniem obawiają się pani. Jest pani tak twarda w interesach, że mężczyźni trzęsą się ze strachu przed pani progiem.

Odstawił kieliszek na stół. Miał na sobie jedwabną koszulę z koronkowym kołnierzem oraz szkarłatny kubrak bez rękawów, ozdobiony czarnym kratkowanym haftem. Przyglądał się jej uważnie, aż Serafina poczuła kropelki potu na górnej wardze, na karku i między piersiami.

- Jeśli o mnie chodzi, mógłbym drzeć przed panią z innego powodu. Słyszałem, że jest pani wpływową kobietą, a teraz widzę, że jest pani również piękna.

Powietrze w pokoju niemal stało, nie czuło się nawet najmniejszego przewiewu.

Oczy Angela przyciągały jej wzrok ni-

czym płomień świecy, przyciągający niezdarną, spragnioną światła ćmę.

- Uroda ma swoje dobre i złe strony, messer Guardi - odezwała się w końcu Serafina.

- Niektórzy kupcy, pańscy znajomi, uważają piękną kobietę za cenny kryształ, zbyt kruchy i delikatny jak na okrutny, twardy świat handlu. Inni sądzą, że musi być głupia i płytka, że nie posiada nic więcej, prócz urody. A inni myślą po prostu, iż z pewnością jest rozwiązła.

Odłożyła nóż, nie mogąc już jeść. Słyszała brzęczenie komara, z dołu dobiegały głosy służących. Ale wydawało się, że nie należeli oni do tego domu i do tej chwili. Angelo także skończył jeść. Wstał z krzesła i podał Serafinie rękę, pomagając jej wstać. Nie wypuścił jej dłoni, lecz przycisnął ją do swego szkarłatno-czarnego kaftana obok serca.

- Krucha kobieta nie ściagałaby się z galeonem podczas burzy. Głupia nie zyskałaby powszechnego uznania i szacunku w ciągu zaledwie miesięcznego pobytu w Marsylii. A kobieta rozwiązła... - urwał.

Serafina czuła, jak pod cienkim jedwabiem bije mu serce. Wiedział, że i jej serce bije szybciej i mocniej niż zwykle. Miała wrażenie, że rozpływa się pod wpływem silnego, letniego upału, który odzierał ją ze wszystkiego, aż do naga.

- Rozwiązła kobieta - rzekł w końcu Angelo, puszczając jej rękę - nie napisałaby do mnie w interesach. Postarałaby się

o spotkanie - przez przypadek, oczywiście - w porcie, na rynku albo w domu innego kupca. To byłoby całkiem łatwe, prawda? Ukryłaby twarz za wachlarzem albo śmiałaby się i błysnęła mi stopką spod ozdobnego rąbka sukni. Potem zaś by odeszła. A ja, w końcu, podążyłbym jej śladem.

Zapadła cisza. Kiedyś, pomyślała Serafina, odrzucił ją

1 śmiał się z niej. Teraz jej pragnął, widziała to w jego oczach.

I to budziło w niej lęk. Że wciąż posiadał ową moc, która zawładnęła jej dziecięcą duszą dawno temu. Nie, to byłoby nie do zniesienia.

- Jeśli już mówimy o handlu - odezwała się szorstkim, lekko drżącym głosem. -

Zajmuje się pan tkaninami, o ile wiem, messer Guardi?

Uklonił się i otworzył podwójne drzwi jadalni, wiodące do przyległego pokoju.

- Podobnie, jak i pani, madonna Capriani. Kupuję piótna i barchany na póinocy, jedwabie, brokaty i tafty we Włoszech i krajach Lewantu. Zbudowałem „Fiamettę”, żeby móc przewozić tkaniny najtaniej jak można.

Nie było tu ani trochę chłodniej. Przez otwarte okna i okiennice nie wpadał najłżejszy choćby powiew. Letnie powietrze wydawało się gęste i ciężkie jak w Algierze.

- My, kupcy handlujący jedwabiem, próbujemy się zabezpieczyć przed każdą ewntualnością, nieprawdaż, messer Guardi? - zauważyła cicho Serafina. - Pan za pomocą „Fiametty”, a ja - „Zimorodka”. Ale wiatry często się zmieniają. I zawsze dzieje się to niespodziewanie, tak że nie możemy się przed nimi bronić.

Angelo odchylił się wygodnie w krzesło, wyciągając przed siebie nogi w eleganckich pończochach. Pokój wydawał jej się mały, drzwi były zamknięte, czuła się więc uwięziona wraz z nim na niewielkiej przestrzeni.

- Nie zgadzam się, madame - odrzekł cicho. - Staram się wszystko kontrolować. Robię plany na wypadek jakiegokolwiek niepowodzenia, w tym tkwi sekret mego sukcesu. To dlatego mam mój dom, statek, firmę. Musiałem na to wszystko zapracować.

Ogarnęła ją nieprzeparta ochota, by się śmiać i płakać; chciała podrapać paznokciami tę jego gładką, nieskazitelną skórę. Ale jedyną bronią, jaką dysponowała, były słowa, zapanowała więc nad sobą i rzekła:

- Ja również musiałam zapracować sobie na mą obecną pozycję w świecie, którą się teraz cieszę, messer Guardi. Oboje zatem walczyliśmy o to, czego pragniemy. Ale i ja zasięgnęłam języka i rozejrzałam się wokół. Na złoceniach pańskiego domu łuszczy się farba, a pański statek został zbudowany za pożyczone pieniądze. W Marsylii nastały ciężkie czasy, wszyscy o tym wiedzą, a kupcy ucierpieli najbardziej. Może pan snuć plany, messer Guardi, ale nie może pan sprzeciwić się wyrokowi historii. Są niezwyciężone.

Wydało jej się, że w nieodgadnionych, ciemnych oczach błysnął gniew. Ale zaraz zgasł, pojawił się w nich natomiast uśmiech; Angelo uczynił gest wyrażający zgodę.

- Madonna Capriani, jest pani nadzwyczajna. No i oczywiście ma pani rację. Lata dyktatury oraz izolacji Marsylii nie

były dla mnie łatwe - jak i dla wielu mych znajomych. Owszem, pożyczyłem pieniądze, by zbudować mą drogą „Fiamettę”. Ale przetrwałem, co nie udało się wielu znanym kupcom. I nadal uważam, że trzeba planować. Musimy być przygotowani na wszelką ewentualność, jaką może nam zesłać Bóg.

- Nie możemy przejrzeć boskich zamiarów.

W jej głosie zabrzmiała gorycz, choć Serafina wcale tego nie chciała. Angelo wstał z krzesła, podszedł do niej i klękając, wziął ją za rękę.

- Mówi pani oczywiście o swoim mężu, madame. Doświadczyła pani tak bolesnej straty w tak młodym wieku.

Klęczał teraz przy niej, mogła wyciągnąć rękę i dotknąć tych znajomych złotych włosów, wierzchem dłoni dotknąć jego policzka, ust. Mogła go pocałować. Mogła zamknąć oczy i przypomnieć sobie ów pocałunek, którym ją kiedyś obdarzył na wzgórzu za miastem. Od tamtego czasu jednak przekonała się, że ów pocałunek był jedynie symbolem zdrady, tak jak każdy uśmiech, każde miłe słowo, każde dotknięcie. Fałszywa serdeczność, jaką jej okazywał, gdy była dzieckiem, była jedynie po to, by zyskać zaufanie Franca Guardiego.

Serafina poczuła nagle, że traci panowanie nad sobą, pogrążając się w pustce i rozpacz. Wiedziała, że musi się opanować, że całymi latami walczyła, by zniszczyć jego reputację, zrujnować go, zawładnąć tym, co jej zabrał. Ale ten pokój nawiedziły duchy, sprawiając, że stał się on nagle znajomy. Zaatakowały ją i oszołomiły cienie przeszłości, dawni mieszkańcy tego domu.

Wbiła paznokcie w dłonie, aż na białej skórze ukazały się cztery małe półksiężyce, podobne do szkarłatnych symboli islamu, które widniały na białych żaglach korsarskiego okrętu. Duchy znikły i Serafina odzyskała zdolność jasnego myślenia.

- Kocham mego syna, ale nigdy nie darzyłam miłością męża, messer Guardi. Był starym człowiekiem, dlatego właśnie za niego wyszłam. Kobiety też robią plany. Wciąż je układam ze względu na mego syna. Czy mam panu powiedzieć, czemu napisałam do pana i dlaczego pragnęłam się z panem zobaczyć? Widzi pan, zasięgnęłam języka i wiem, że tonie pan w długach. Przyszłam tu, aby zaproponować panu pewien sposób rozwiązania obecnych trudności. Kupiec potrzebuje kapitału, w przeciwnym razie przegrywa. Czy stać pana na sfinansowanie następnej podróży? Czy stać pana na spłacenie długów?

Wiedziała, że postępuje zuchwale, ale mina Angela nie zdradzała gniewu, jedynie zainteresowanie. Patrzył na nią, zaciskając ręce na poręczach jej krzesła, tak że czuła się niemal okrażona przez niego. Miał błyszczące, poważne, niemal czułe oczy. Nauczyła się wcześniej, by nie ufać jego uczuciom, nauczyła się obawiać uroku, jaki roztaczał.

- Rozwiązanie? - odezwał się wolno Angelo. - Niech mi pani powie, madonna Capriani, jakie rozwiązanie może mi pani zaproponować?

Zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy, zmusiła się, by wypowiedzieć słowa, które przygotowała sobie dawno temu.

- Mogę panu zaproponować, iż odkupię od pana pańską firmę, messer Guardi, aby w ten sposób połączyć ją z moją. W Pizie mam pieniądze, ale brakuje mi możliwości ekspansji. Oboje rozwiążemy nasze problemy. Uwolnię pana od jakże realnej groźby bankructwa.

Pragnęła ujrzeć w jego oczach strach na dźwięk słowa „bankructwo”, nic jednak nie dostrzegła; ciemne oczy, kształtem zbliżone do migdałów, nie wyrażały żadnych uczuć.

- Zachowałabym oczywiście nazwisko Guardi. - Głos jej lekko zadrżał. - Jest w końcu o wiele bardziej znane niż Capriani.

Jednym zgrabnym ruchem Angelo poderwał się nagle, a Serafina pomyślała, że nie zdziwiłaby się, gdyby użył przemocy, która pojawiała się w jej snach - zaplanowanego, pozbawionego skrupułów działania, do którego był zdolny. Zebrała całą swą odwagę, by się nie poruszyć, by nie drżeć przed nim ze strachu.

Ale nie uderzył jej, nie podniósł ręki. Wybuchnął natomiast gromkim śmiechem:

- Doprawdy, jest pani nadzwyczajna, madonna Capriani - powiedział. - Mógłbym prawie zaproponować pani swój statek, firmę, siebie samego. Ale nie... - Kręcąc przecząco głową, wziął ją za ręce i pomógł jej wstać. Ciągłe jeszcze się uśmiechał.

- Widzi pani, nie zrobię tego - rzekł łagodnym głosem. - Nie mogę się pani sprzedać. Nie mogę nawet - choć miałbym taką pokusę - zaproponować pani współpracy na innych zasadach, moja droga. Ponieważ nie potrzebuję pani. Znalazłem już sposób na rozwiązanie mych problemów, niewątpliwie poważnych. - Jego ciemne oczy wyrażały rozbawienie i pewność siebie. Nie było w nich ani cienia strachu. - Widzi pani, mam zamiar się ożenić - oświadczył z dumą.

Angelo i jego piękna, bogata narzeczona! Serafina nie wiedziała, nie mogła przewidzieć, że ta wiadomość zaboli ją tak, jakby ktoś wbił jej sztylet w serce i jeszcze powoli obracał ostrze. Jakaś jej cząstka wciąż pamiętała o wzgórzach za Marsylią, o rozmarynie i powoju we włosach. Zamierzała odzyskać to, co jej się należało. Pragnęła odbudować to, co straciła. Chciała, by przyszłość wynagrodziła jej przeszłość.

Ale Angelo, burząc jej dalekosiężne plany, postanowił ożenić się z dobrze urodzoną dziewczyną z Florencji. Popłynie do Toskanii z orszakiem pozłaczanych i obwieszonych proporcami galer; w ładowni, w kufrach wiezie swe bogate stroje i prezenty dla narzeczonej. I nie czyhają na niego żadni korsarze, nie przetną dramatycznie jego życia na dwie połowy. Ożeni się i będzie mieć dzieci. Dzieci z prawego łóża.

Została jeszcze w złotym domu przez jakiś kwadrans, mechanicznie mówiąc to, co należało i wykonując odpowiednie gesty. Kiedy tylko poczuła, że ma wystarczająco dużo siły, by to znieść, wstała, pożegnała się i wyszła na ulicę. Nie wróciła jednak do domu Caprianich. Włączyła się po cichych uliczkach, alejkach i podwórzach, po których żadna kobieta nie powinna spacerować sama. Pomyślała później, iż ocalił ją wyraz twarzy, gdyż nawet złodziej nie obrabowałby ducha. W Marsylii bowiem Serafina była jedynie duchem, zapomnianym okruczem przeszłości, cieniem, który nie powinien tu się zjawić.

Na ulicach, na progach domów, ukryci w beczkach i skrzyniach na podwórzach spali żebracy. Z pewnością wcześniej nie było ich tu aż tylu. Wielki tłum ludzi pozbawionych środków do życia, głodnych, chorych, bez imion i bez pracy. Czyjaś dłoń dotknęła jej sukni; nie zdając sobie sprawy z tego, co robi Serafina odczepiła sakiewkę i wysypała srebrne i złote monety na bruk. Idąc dalej, bezwiednie zdjęła z palca obrączkę, z uszu perłowe kolczyki, a z szyi medalion i rzuciła to wszystko ciemnym, niewyraźnym postaciom.

Później, w porcie, stała długo na nadbrzeżu. Bez trudu mogła zrobić krok do przodu, zsunąć się z bezpiecznego kamienia i wpaść do czarnej, gęstej wody. Nie miała już jednak siły woli, by dokonać wyboru. Była znów niewolnicą, która istnieje, funkcjonuje, ale nie żyje, odebrano jej owo podstawowe prawo, by mogła wybierać między życiem a śmiercią. Była nikim

widziała teraz wyraźnie tę prawdę, równie wyraźnie, jak swe odbicie w nieruchomej, mętnej wodzie. Nie miała domu ani imienia, była bezsilnym tworem czyjegoś kaprysu, zupełnie jakby nigdy nie opuściła algierskiego więzienia. W końcu wzeszło słońce, pokrywając morze pomarańczowymi i różowymi smugami. Serafina uznała to za sygnał wzywający ją do powrotu do owej częściowej egzystencji. Mijając znajome ulice i place, wiedziała tylko, że raz na zawsze musi wyjechać z Marsylii.

Nie wróciła jednak do domu Caprianich sama. Kiedy stanęła u drzwi, ktoś nadjeżdżał konno. Miał czarne włosy i błękitne oczy: z początku nie poznała go, należał bowiem do innego świata. Ale pozwoliła, by zabrał ją z ulicy do domu. Rozpuszczone, potargane włosy wiły się wokół jej bladej twarzy. Nie pamiętała, co się stało z jej kosztownościami, dół sukni miała zachlapany błotem. Wygląd Serafiny przyprawił Thomasa o wstrząs; wydawało mu się, że gdyby jej dotknął, jej krucha dusza rozprysnęłaby się na tysiąc kawałków.

- Poszłaś jednak do niego - powiedział z przekonaniem. To nie było pytanie, po prostu stwierdził fakt.

Skinęła potakująco głową, jej oczy były zupełnie pozbawione wyrazu.

Domyślając się, jaki może być ów zatrwajający powód, tłumaczący jej stan, Thomas kontynuował śledztwo:

- Zranił cię.

Podniosła powoli wzrok i pokręciła głową.

- Nie. Nie tak, jak myślisz - odrzekła. - Angelo mnie nie dotknął. Nie poznał mnie. Szłam tylko piechotą, to wszystko.

Teraz lękał się czego innego. Chodziła całą noc, jak mu powiedziała. Włóczyła się sama po tym niespokojnym mieście, od północy aż do świtu. Miała bladą, niemal przezroczystą twarz i sine cienie wokół oczu. Trzęsła się mimo upału.

Thomas znalazł dla niej wygodne krzesło w jej własnym kantorze, okrył ją ciepłym szalem i wcisnął do zaciśniętej dłoni szklanekę wina. Zastanawiał się, czy zawołać służącą, ale uznał, że nie. Służba plotkuje. On sam wrócił z Awinionu wcześniej, nie wierząc do końca w intencje, które kierowały Serafiną, gdy kazała mu się tam udać. Teraz przekonał się, że jego podejrzenia nie były bezpodstawne.

Kiedy, ulegając jego namowom, wypła nieco wina, odezwał się łagodnie:

- Powiedz mi, Serafino, co się wydarzyło.

Bawiła się szklanką. Podniosła głowę, ale nie spojrzała mu w oczy, zapatrzyła się w nicość.

- Poszłam do jego domu, aby mu zaproponować, że kupię firmę.

- Firmę Guardich? - Opierając się o parapet, Thomas utkwiał w niej wzrok. - Ale jak mogłaś? To nie...

- Angelo jest bliski bankructwa, Thomasie. Zasięgnęłam języka. Sama się zresztą do tego przyczyniłam, odbierając mu klientów i rozsiewając niepokojące pogłoski. Mówiła beznamiętnym, jednostajnym głosem. Wino w jej szklance zakołysało się, jakby znalazła się nagle na pokładzie statku. Thomas pomyślał, że nawet on nie zdawał sobie do końca sprawy z tego, jak jest bezlitosna, jak metodycznie i skrupulatnie zaplanowała to wszystko.

- I cóż? - zapytał delikatnie. - Myliłaś się? Potrząsnęła głową.

- Nie. Nie myliłam się. - Grymas, mający przypominać uśmiech, wykrzywił jej twarz. - Dowiedziałam się, że Angelo znalazł już kogoś, komu się sprzeda. Ma zamiar się bogato ożenić.

Thomas westchnął ciężko. Chciał do niej podejść, przekroczyć ową niewidzialną granicę, która wyrosła między nimi, wziąć ją w ramiona i czule uścisnąć, na co tak rzadko mu pozwalała. Ale wiedział, że byłby to niemądry gest, że choć może nauczyła się szanować jego ambicje i umiejętności, to nigdy go nie pokochała i nigdy nie pokocha, póki nie uwolni się z więzów przeszłości.

- Ta dziewczyna mieszka we Florencji - mówiła dalej Serafina. Patrzyła przed siebie, wodząc pustym wzrokiem po Thomasie, pokoju i widocznym w oddali, połyskującym w słońcu Morzu Śródziemnym. - Pochodzi z zamożnej rodziny. Jej ojciec jest bankierem, a także właścicielem warsztatów wytwarzających jedwab. Angelo ma statek, kontakty, zna szlaki handlowe. Messer Nadi posiada kapitał i jedwabie. Ten związek będzie korzystny dla nich obu.

Teraz głos Serafiny nie był już tak beznamiętny, dała się w nim słyszeć gorzycz. Jej policzki zaróżowiły się lekko, ręce

przestały drżeć. Po raz pierwszy spojrzała Thomasowi prosto w oczy i oznajmiła:

- Narzeczona Angela ma dziwiętnaście lat i jest jedyną spadkobierczynią swego ojca. Nie ma braci. Nazywa się Fia-metta Nadi.

Fiametta. No tak, naturalnie. Ów wielki, pozłacany statek.

- Nazwał dla niej swój statek. Jakaż kobieta, powiedział mi, mogłaby oprzeć się mężczyźnie, który wybudował dla niej tak piękny galeon?

Słyszał ból w jej głosie i jeszcze coś: może zazdrość?

- Powinam się była domyślić - dodała jeszcze, jakby mówiąc do siebie. - To oczywiste, że się ożeni. To oczywiste, że jego narzeczona będzie bogata, piękna i z dobrego domu. Angelo zawsze podobał się kobietom.

Thomas zauważył, że oczy miała czerwone ze zmęczenia, a nie od płaczu.

Zastanowił się, jak rzadko widywał ją płaczącą. Wiedział, że nie mógł jej w niczym pomóc ani dodać otuchy czy pocieszyć. Odzyskała do pewnego stopnia równowagę, lecz nadal w jej oczach widać było ową straszną pustkę. Zastąpiła ona wcześniejszy gniew i wyrachowanie, których zaczęło mu teraz prawie brakować.

- Angelo zamierza płynąć do krajów Lewantu - ciągnęła Serafina. - Jeśli podróż mu się powiedzie, po powrocie zaręczy się z Fiamettą Nadi. Ślub, jak sądzę, nastąpi wkrótce potem. Nie będzie chciał czekać.

Thomasowi kiedyś wydawało się, że Serafina zapomni o An-gelu, że pochłonięta opieką nad synkiem i pracą pogodzi się może z przeszłością i przestanie szukać zemsty. Teraz widział, że to nie tak, że zniszczy samą siebie, jeśli nie będzie mogła zniszczyć Angela. A jednak nie mógł na to patrzeć.

Serafina wstała i odstawiła na bok kieliszek z winem. Klęcząc na podłodze pośród fałd zabłoconej sukni, zaczęła wkładać do skrzyni książki i papiery.

- Angelo pojedzie najpierw do Florencji, by wziąć złoto na sfinansowanie podróży. Monsieur de Coniques popłynie z nim, by być obecnym przy układaniu kontraktu ślubnego. Monsieur de Coniques... - Urwała nagle i przysiadła na piętach.

-Monsieur de Coniques - powtórzyła powoli.

Thomas usłyszał w jej głosie nieomylną oznakę, iż odzyskała nadzieję.

Monsieur de Coniques, pomyślała. Jehan.

Nie widziała poprzedniego wieczora notariusza, ale gdzieś tam zapewne był. Widać Angelo nie dopuszczał swego współnika w zbrodni do wieczornych rozrywek.

Wcale nie chciała zobaczyć tego człowieka; obawiała się, że znajomy, ostry wzrok przeszyje ją na wylot i Jehan odgadnie jej tajemnicę.

A teraz o nim pomyślała.

Żałowała, że jest przy niej Thomas, pragnęła bowiem w spokoju zastanowić się nad tym majaczącym ledwo, nierealnym pomysłem. Ale Thomas się nie poruszył, opierał się nadal o parapet, przyglądając jej się zmrużonymi oczami, ze zmarszczonym czołem, ponieważ nagle przestała zawijać pióra w miękkie szmatki i układać starannie pliki listów. Popełniła błąd, pozwalając, by ten mężczyzna zbyt dobrze ją poznał.

- Monsieur de Coniques - powtórzył spokojnie. - Powiedz mi, Serafino, widziałas się z nim?

Przynajmniej na to pytanie mogła odpowiedzieć zgodnie z prawdą. Odzyskawszy władzę w członkach, potrząsnęła przecząco głową.

- Nie było go tam. Słyszałam, że zbyt dużo pije.

- Pił już zbyt dużo dwa lata temu, kiedy spotkałem go w Li-vorno.

Prawie go nie słuchała. Jehan, pomyślała. Jehan i Angelo. Dziesięć lat temu Jehan i Angelo zaplanowali napaść korsarzy na statki Guardich. Nie - to Angelo zaplanował porwanie ich obojga, ojca i córki, a Jehan spisał testament, który pozwolił temu pierwszemu odziedziczyć firmę. Notariusz o wszystkim wiedział.

Trzeba przekonać w jakiś sposób Jehana, by o wszystkim opowiedział. By oświadczył to na piśmie, podpisał i opatrzył pieczęcią, tak jak powinien zrobić dobry notariusz. Ale w jaki sposób?

Jedna myśl goniła drugą. Jest szantaż, jest łapówka. Nie, to niemożliwe, pomyślała, odrzucając szybko oba pomysły. Nie mając dowodu, nie miała czym szantażować Jehana de Coniques'a. A jeśli chodzi o łapówkę - Jehan nigdy nie pragnął pieniędzy, lecz odpowiedniej pozycji i szacunku. Czy postawiłby po raz drugi na szali swą reputację, swoje życie - dla pieniędzy?

Serafina uznała, że nie. Pozostawała więc tylko groźba. Serafina jednak stwierdziła, że myśl o Jehanie de Coniquesie

przerazonym, błagającym o litość, z nożem przystawionym do gardła, nie jest jej niemiła. Wszak sama też kiedyś była przerażona, gdy korsarz dotknął zakrzywioną szablą wyszywanego perełkami stanika jej sukni.

Zapomniała o Thomasie, ale poczuła na ramieniu jego palce. Pomógł jej wstać i odwrócił ją, by na niego popatrzyła. Nie mogła deptać notariuszowi po piętach w jakiejś pustej uliczce i zmusić go, by wyznał wszystkie swe winy. Nie była wystarczająco silna, nie potrafiła obchodzić się z bronią. Nawet mężczyzna taki jak Jehan, posługujący się raczej piórem niż szpadą i mający pociąg do alkoholu, wyśmiałby ją tylko i odepchnął. Pracowała sama, by zapewnić sobie reputację i bogactwo, ale teraz potrzebowała czyjejś pomocy.

- Powiedz mi - odezwał się cicho Thomas. Nie spuszczał z niej wzroku i trzymał ją lekko za nadgarstki. - No dalej, Serafino, powiedz mi. Jehan de Coniques. O czym myślisz?

Wahała się tylko przez chwilę. Wyobraziła sobie Thomasa we florenckim więzieniu, zamiast na mostku własnego statku; Thomasa, który ma zawisnąć na szubienicy na Piazza della Signoria, zamiast przedzierać się przez lody, by odkryć Drogę Północno-Zachodnią. Widziała własne odbicie w jego błękitnych oczach, wydawała się sobie mała i ciemna. Wreszcie odłożyła na bok sentymenty i stwierdziła:

- Jest jeszcze inny sposób, ale nie mogę tego sama zrobić. To ma związek z Jehanem.

Pojał natychmiast. Zamrugnął powiekami i wzmocnił uścisk.

- Aha - odrzekł spokojnie. - Trzeba przekonać sługę, by zdradził swego pana?

- Kiedyś nie był sługą Angela. - Serafina przypomniała sobie dawne czasy, Jehana i Angela i ich wzajemne docinki. - W firmie byli sobie równi. Oczywiście Angelo należał do rodziny mej matki, ale Jehan był lepiej urodzony. Teraz wszystko się zmieniło.

- Sądzisz, że notariusza może to drażnić? - Thomas uśmiechnął się lekko. - Masz nadzieję, że go to drażni?

- Mam nadzieję - Serafina usłyszała, że głos jej się łamie z przejęcia - iż oburza to Jehana na tyle, by chciał zdradzić Angela. Może trzeba go będzie jednak nieco zachęcić - dodała, czując, że ma sucho w ustach.

Thomas roześmiał się i puścił jej rękę.

- Jakże ciekawie rozwija się moja kariera! Sternik na statku należącym do Angielskiej Kompanii Lewantyńskiej, kapitan statku tokańskiego, przewożącego tkaniny i wreszcie wynajęty zabójca. Muszę doprawdy spisać swe wspomnienia. Jeśli dożyję!

- Nie będziesz zabójcą - odparła Serafina z napięciem. - Nie będziesz musiał go zabić.

- Wystarczy - odrzekł z namysłem Thomas - że lekko go za-drapię?

Wyobraziła sobie, jak nóż kaleczy owego posępnego człowieka z jej dzieciństwa. Krople krwi ukazują się na skórze Jehana: na moment mocno zacisnęła powieki, by po chwili je otworzyć.

- Nie mogę cię do tego namawiać, Thomasie. - Głos jej drżał lekko. - Jeśli nie chcesz mi pomóc, bądź tak dobry i zapomnij o tej rozmowie.

- A ty będziesz tymczasem przemierzać ciemne zaułki Marsylii w poszukiwaniu jakiegoś łotra, który dobrze posługuje się nożem?

Zbyt dobrze ją znał. W domu zaczął się ruch. Serafina podeszła do drzwi i zasunęła rygiel, by pracownicy nie mogli wejść do kantoru.

- Tak - odparła po prostu. - Znajdę kogoś. To moja ostatnia nadzieja.

- A więc wciąż jest to dla ciebie takie ważne?

Skinęła głową. To znaczyło dla niej więcej niż wszystko inne na świecie. Więcej niż pieniądze Caprianych, zgromadzone w skrzyniach i bankach, więcej niż domy w Pizie, Neapolu i Marsylii, więcej niż wspaniały statek, który pływał pod jej rozkazami. Więcej nawet niż Francesco.

- Angelo i Jehan udają się do Włoch - powiedziała. Zacisnęła razem obie dłonie, palce miała sztywne. - Jak tylko załadują towar na „Fiamettę”, popłyną do Florencji, by wziąć od messera Nadiego pieniądze na wyprawę. No i oczywiście po to, aby ustalić szczegóły dotyczące zaręczyn.

Oczyrna duszy ujrzała inną postać: Fiamettę Nadi, przyszlą narzeczoną Angela. Jest piękna, pełna wdzięku, ma także ową pewność siebie, którą dać może jedynie życie w luksusie i pieniądze. Serafina nienawidziła Fiametty Nadi.

- Angelo i Jehan nie będą się trzymać za rączki - rzuciła szorstko. - Jehan potrzebuje czasami samotności. Był sam, kiedy spotkałeś go w Livorno.

- Sam i rozmowny - potwierdził Thomas. - Zgorzkniały, zazdrosny. I nie dbał o słowa.

Przerwał; Serafina widziała, że pogrążył się w myślach, po raz pierwszy poważnie rozważając jej propozycję. Za oknami, na ulicach, rozpoczynał się ruch i gwar. Z kuchni dochodziły pokrzykiwania kucharza, sztorcującego służące. Serafina poczuła, że bezwiednie wstrzymuje oddech, że irytuje ją fakt, iż znowu jej los zależy od kogoś innego.

W końcu Thomas powiedział:

- Dobrze, zrobię to. Serafina odetchnęła głośno.

- Pod jednym wszakże warunkiem - dodał. Zgodziłaby się na wszystko; mógłby dostać wszystko, czego

zaząda. Wyrzuci nawet do morza słoiczek z czerwoną minią, który ukryła w czasie podróży w kajucie.

- Co tylko zechcesz.

- Napiszę list - oświadczył. - Do brata w Anglii.

Usiadł przy biurku i znalazł czystką kartkę. Serafina nie rozumiała jeszcze, na czym polega ów warunek Thomasa. Nie było to dla niej ważne. Po ostatniej nocy, kiedy to otarła się o śmierć, czuła, że żyje, że roznosi ją radość. Myślami była już we Florencji, przy Jehanie, skulonym i drżącym w jakimś ciemnym zaułku, gdzie wyznawał wszelkie niegodziwe czyny, jakich dopuścił się w przeszłości.

Thomas siedział z pochyloną głową za biurkiem, pisząc coś szybko. Kiedy skończył, posypał kartkę piaskiem, złożył i zapieczętował woskiem. Odwróciwszy się do Serafiny, zaczął mówić:

- Mam w Anglii dom. Nic wielkiego - należał do moich rodziców. Zostawili go Robertowi, memu starszemu bratu, ale on miał już tawernę, więc przekazał mi ten swój spadek. Myślał pewnie, że się ustatkuję i osiadę na łądzie. - Wstał, trzymając w ręku list. - To niebezpieczne zadanie, Serafino, mam jechać do Florencji i przekonać Jehana de Coniques'a, by opowiedział o zbrodni popełnionej wiele lat temu. To niebezpieczne nie tylko dla mnie, ale i dla ciebie. Jeśli popełnię jakiś błąd, jeśli mi się nie powiedzie, a Angelo dowie się, kim jestem i skojarzy mnie z tobą, wówczas może zacząć się zastanawiać nad przeszło-

ścią. Być może pamięta jednak małą Serafinę Guardi, może też się domyśla, że korsarze nie wypełnili jego poleceń. A wówczas ty i Francesco znajdziecie się w niebezpieczeństwie. A tego nie chcę. Jeśli Angelo dojdzie, kim naprawdę jesteś, Serafino, nie będziesz już dłużej bezpieczna we Włoszech. Ani we Francji. Ale sądzę, że w Anglii nic ci nie będzie grozić. To wystarczająco daleko. W tym liście napisałem Robertowi, kim jesteś. Wyjawiłem całą prawdę i poprosiłem go, aby dał ci klucze od mego domu. Musisz mi obiecać, że jeśli nie wrócę z Florencji, pojedziesz wraz z dzieckiem do Anglii. Masz „Zimorodka”, a William Williams znajdzie ci kapitana, który zdoła cię tam zawieźć. Ale musisz mi to obiecać, inaczej nigdzie nie pojedę. Musisz mi przysiąc na to, co jest najdroższe twojemu sercu. Mogłaby mu obiecać wszystkie gwiazdy na niebie i' wszystkie ryby w morzu. Ów list i obietnica nie były potrzebne: czuła niezwykle wyraźnie po tej nieprzespanej nocy, że jest bliska celu, że walka wkrótce się skończy.

Ale wzięła list i przeczytała nazwisko adresata. Potem wsunęła go na dno skrzyni i po cichu złożyła przysięgę na imię zmarłego ojca. A kiedy podeszła do drzwi, by otworzyć rygiel, usłyszała słowa Thomasa:

- A jeśli mi się nie powiedzie? Jak będziesz wtedy żyć, Serafino?

Ale choć pojęła, o czym mówi, nie odpowiedziała.

Po epizodzie z galeonem Jules Crau wiedział, że nie jest już rybakiem, lecz żebrakiem. Porzucił nadzieję, iż uda mu się znaleźć pracę. Isabelle chorowała na żołądek i bał się zostawić ją samą dłużej niż na godzinę. A poza tym, pracy nie było. Kiedy dziecko spało, opuszczał izbę, która była ich domem, i ruszał do miasta. Włoczył się po ulicach Marsylii, obok pięknych rezydencji bogaczy, po cuchnących dzielnicach biedoty, z wiecznie wyciągniętą ręką, z wiecznie czujnym wzrokiem, bacząc, czy piekarzowi nie spadnie z wózka bochenek chleba i czy jakaś służąca nie zostawi bez opieki koszyka z zakupami. Stał się stworzeniem żerującym w nocy. Isabelle w nocy lepiej spała, jako że pod wieczór, gdy się ochładzało, spadała jej gorączka.

W nocy ulice były nadal zatłoczone. Jules'owi wydawało się, jakby cały świat nędzarzy przybył do Marsylii, wypełniając swym nieszczęściem i głodem wąskie uliczki i zamknięte dzie-

dzince. Widział Cyganów, kaleki, rannych żołnierzy - niepotrzebne pozostałości po długich latach wojny domowej, chłopów, których lata nieurodzaju doprowadziły do nędzy i którzy porzucili swe chaty, by szukać lepszego losu w mieście. Bóg o nich zapomniał, stwierdził w duchu Jules, idąc noga za nogą jak i pozostali, po wyłożonych kocimi łbami ulicach. Bóg ich przeklął, zsyłając im wiatr i deszcz, i mroźne zimy. Kiedyś tak im było, pomyślał, próbując przypomnieć sobie własne dzieciństwo. Kiedyś deszcz nie pustoszył wschodzącej pszenicy, kiedyś zatoka im zamarzała w styczniu. Koniec wieku był coraz bliżej, a wraz z nim czarna otchłań, w którą on sam dawno by się już rzucił, gdyby nie Isabelle. Jakiś wędrowny mnich powiedział im na rynku, że wraz z końcem stulecia nadejdzie koniec świata. W nocy Jules Crau mu wierzył.

Kiedyś znalazł się w miejscu spotkań żebraków, na Placu Cudów. Był to brudny plac na końcu cuchnącego zaułka. Wokół tłoczyły się lepianki biedoty i stare domostwa, pochylone tak, że prawie stykały się dachami. Ktoś chwycił Jules'a za ramię i powiedział:

- Patrz! Król Żebraków!

Jules wbił wzrok w szumiący, mrowiący się tłum. Król żebraków miał na sobie wiele warstw podartych ubrań, które kiedyś należały do bogaczy: z tafty, jedwabiu i aksamitu. W świetle pochodni niesionych przez jego świtę, ubiór ten znow wyglądał okazale, połyskiwał purpurą i szkarłatem a kolejne warstwy mieniły się wspaniałymi kolorami. Wygląda naprawdę jak król, pomyślał Jules.

Ow człowiek miał przyjemny, niski głos i iście królewski sposób bycia. Najpierw mówił łagodnie o braterstwie, łączącym wszystkich obecnych na placu, potem stopniowo przemawiał coraz głośniejszym głosem, krytykując bogatych kupców i ich wymalowane żony, ekstrawaganckie rezydencje, huczne biesiady. To zachłanność kupców sprawiała, że ceny żywności szły w górę, zmuszając biednych do żebrania i kradzieży. A jednak kupcy wciąż prześladowali żebraków i kazali wieszać drobnych złodziei. W świetle pochodni oczy króla połyskiwały czerwienią; Jules wpatrywał się, zahipnotyzowany, w te szkarłatne źrenice. Kiedy tamten skończył swą przemowę, wszyscy zaczęli wrzeszczeć, tupać nogami, wymachiwać pięściami na znak, że się zgadzają. Jules słysząc słowa króla, zapomniał nawet na chwilę o Isabelle.

Następnego dnia na ulicach wybuchły walki, na targu przewrócono kilka kramów, podłożono ogień pod stajnie kupców. Władze miasta przypisały owe oznaki buntu nieznośnemu upałowi. Jules nic nie widział, cały dzień bowiem spędził, kołysząc na kolanach Isabelle. Ale w nocy zdarzyło się coś dziwnego.

Znalazł się znów na Placu Cudów, mając nadzieję, że ujrzy króla we wspaniałych szatach, z gorejącymi oczami. Ale tamten się nie pojawił - jedynie kilku żebraków, takich jak on, spało lub sprzeczało się, leżąc na bruku. Jules'owi także chciało się spać. Zamknął na chwilę oczy, a gdy się obudził, zobaczył zjawę.

Rozpoznał natychmiast ducha swej zmarłej żony, Marianny. Była ubrana na czarno - poznał ją po długich, ciemnych włosach i gładkiej, oliwkowej cerze, którą kiedyś tak kochał. Szła wśród pospólstwa, lekko, niemal nie dotykając bruku, a idąc - wyrzucała z sakiewki monety i biżuterię. Jules złapał nawet jedną z monet - złotego florena. Próbował dotknąć zjawy, ale wydawała się bezcielesna i minęła go, rozplywając się w powietrzu, zanim zdołał się podnieść.

Złoty floren zapewnił Jules'owi i Isabelle jedzenie na cały miesiąc.

Część dwunasta

1596

PO ZMIERZCHU

Ci, którzy mają pozwolenie, by nosić przy sobie w miastach broń,
nie mogą jej nosić po zmierzchu.

„DZIENNIK PODRÓŻY”,
FYNES MORYSON

Florencja miała kolor róży, umbry, terakoty i ochry. Pałace i piazze połyskiwały w jesiennym deszczu, który towarzyszył Angelowi podczas podróży doliną Arno. Florencja oznaczała nadzieję i obietnicę. Nad dalekimi wzórzami rozpościerała się nawet tęcza, będąca dobrą wróżbą.

W pałacu Nadich powitano messera Guardiego, jeśli nie jak zięcia, to przynajmniej jak przyjaciela rodziny. Wieczorem, w eleganckiej komnacie obwieszanej ciemnymi arrasami i zasłonami z brokatu, wraz z Jehanem spożywał obiad z rodziną Nadich. W kącie sali jadalnej przycupnął lutnista, a wstążka spływająca z instrumentu połyskiwała w świetle świec. W kominku paliło się pachnące drewno, choć wieczory nie były jeszcze zimne.

Lorenzo Nadi mówił o tkaninach i pieniądzach, Giulia opowiadała o przyjęciach, Nencia uśmiechała się przymilnie, gdy Angelo zwracał się do niej, a Fiametta odzywała się tylko wtedy, gdy ją o coś pytano i odpowiadała monosylabami. Przyglądając się uważnie jej bladej twarzy i spuszczonej oczom, Angelo pomyślał, że dziewczyna jest nie w humorze. Później zmusił te wykrzywione usta do uśmiechu, do oddania pocałunku. Potrzebował pewności, że Fiametta Nadi go pragnie. Nie zaszkodzi zdobyć taką pewność.

Jej ojciec pytał o pobyt Angela w Marsylii.

- Mam płótno, barchan i trochę doskonałej wełny. Ale w ładowni „Fiametty” jest jeszcze mnóstwo miejsca na pańskie jedwabie, messer Nadi.

Nie ośmielił się jeszcze zwracać się do Lorenza Nadiego bardziej poufale.

Później, pomyślał, pozwalając służącemu nałożyć sobie porcję bażanta nadziewanego przepiórkami. Po ślubie.

Swym uśmiechem podbił całą rodzinę Nadich. Nencia znów zachichotała i odrzuciła do tyłu czerwonozłote loki, Giulia, wyglądająca wyjątkowo wytwornie i subtelnie w turkusowej, jedwabnej, sukni, powiedziała:

- Cóż to za zaszczyt, Fiametto, że messer Angelo nazwał swój statek twym imieniem!

Fiametta mruknęła coś i wbiła wzrok w jedzenie.

- Kiedy byłam młoda i ładna - dodała matka - pewien książę nazwał cztery swe galery na moją cześć: Giulia Wiosenna, Giulia Letnia, Giulia Jesienna, Giulia Zimowa.

Starsza córka spojrzała ponuro znad talerza.

- Kiedy odkryję jakieś nowe morze, madonna Giulia, nazwę je pani imieniem - odezwał się, uprzejmie Angelo. - To dla mnie zaszczyt, móc siedzieć i spożywać obiad w towarzystwie trzech tak pięknych dam.

Unosząc kieliszek, Angelo pomyślał z żalem, że żadna z trzech kobiet w rodzinie Nadich nie jest jednocześnie piękna, bogata i do wzięcia. Przyłapał się na tym, że myśli o owym wieczorze w Marsylii, o upalnych godzinach spędzonych w towarzystwie madonny Capriani. Owdowiała madonna Capriani była zamożna i piękna. A także inteligentna, odważna i imperty-nencka, i musiał też przyznać, że uwodzicielska. A poza tym było coś jeszcze, co go w niej pociągało: wiedza, doświadczenie - nie potrafił dokładnie określić, co.

- Popłynie pan zatem do Aleksandretty?

Lorenzo Nadi przerwał potok komplementów. Zainwestował w zbliżającą się podróż „Fiametty” bele wspaniałego jedwabiu, a oprócz tego - skrzynię złota. Odwróciwszy się i odsunąwszy talerz z truflami, Angelo odpowiedział:

- Owszem, Aleksandretta jest portem docelowym, zastanawiam się jednak, czy nie zawinąć najpierw na Zante.

Z końca stołu, przy którym siedział Jehan, dobiegł stłumiony rechot. Nie zwracając uwagi na notariusza i bacząc, by nie okazać niezadowolenia, Angelo dodał:

-Prowadziłem już wcześniej pewne interesy na Zante. Messer Carcandella, gubernator wyspy, jest moim dobrym znajomym.

- Angelo - odezwał się Jehan, opróżniwszy kieliszek - ma wielu znajomych. - Pochodzą ze wszystkich zakątków obszaru Morza Śródziemnego: z Francji, Wenecji, Morza Jońskiego.

- I wkrótce również będę ich szukał w krainach Lewantu -przerwał mu gładko Angelo. - Jak pan wie, rodzina Guardich nie mogła wcześniej kupować surowego jedwabiu w Aleksandrecie. Ale teraz, gdy mam „Fiamettę” i pańskie poparcie, messer Nadi, całe Morze Śródziemne leży przed nami otworem. W końcu, kto wie, może popłyniemy jeszcze dalej? Na przykład na północ albo do Indii.

- W Indiach - odezwała się Nencia, unosząc do twarzy rozsunięte palce i patrząc przez nie na Angelo - kobiety noszą tylko chustę przewiązaną w pasie i koraliki na szyi. Wyobraźcie to sobie! - uśmiechnęła się, pokazując ładne, białe zęby.

- Necia! - fuknęła ze złością Fiametta, ale młody człowiek odwzajemnił uśmiech i powiedział:

- A w Maroku kobiety owijają się ciemną szatą od stóp do głów, tak że widać im tylko oczy. Cieszę się - dotknął dłoni przyszej narzeczonej - że tutaj nie ma takiego zwyczaju.

Cofnęła natychmiast rękę, jakby ją ukąsił swym dotknięciem. Jej bladą twarz pokryły różowe plamy, oczy, otoczone prawie białymi rzęsami, patrzyły groźnie gdzieś przed siebie. Jest podobna do królika, pomyślał z rozbawieniem Angelo. Wielki, niezdarny królik, trzęsący się ze zdenerwowania.

Lutnista powrócił do swego instrumentu i zaczął znowu grać. *Bianco fiore*, pomyślał Angelo, rozpoznając melodię. Biały kwiat. Miał nadzieję, że Fiametta Nadi przypomina ów biały kwiat: blady, chłodny i zarazem namiętny, ale podejrzewał, że tak nie jest. Za to z pewnością jest dziewczicą, a pozbawianie dziewczyny dziewictwa sprawiało mu zawsze jakąś szczególną przyjemność. Doceniał doświadczone, wyrafinowane kobiety, ale bycie tym pierwszym było bardzo podniecające. Później wyciśnie z tego niedojrzałego ciała, ile się da, ale wiedział, że ta dziewczyna nie jest w stanie zaspokoić go seksualnie. Nieważne: to Fiametta musi być zadowolona, a więc i wierna, a wierność w małżeństwie okazuje się znacznie ważniejsza w przypadku kobiety. On sam wiedział zbyt dobrze, jak ważne jest pochodzenie. Musiał mieć pewność, że jego dzieci pochodzą naprawdę z jego krwi. A we Florencji - eleganckiej i wyrafinowanej, znajduje się mnóstwo okazji, by uniknąć nudy monogamii.

Giulia dała znak służbie, by wniesiono desery. Ciasta, tarty i galaretki, owoce, skomplikowane budowle z cukru, lodów i kandyzowanych kwiatów.

- Kiedy spodziewa się pan wrócić z Lewantu, mój drogi Angelo? - zapytała, obierając figę.

- Sądzę, że na wiosnę.

Angelo zwrócił się do Giulii, ale kątem oka obserwował wciąż notariusza, który nalewał sobie kolejny kieliszek wina. Wiedział, że nie ufa już Jehanowi de Coniques'owi, że nie może już dłużej być pewien, iż tamten będzie milczał. Od owego incydentu w Marsylii coś się między nimi zmieniło: zawiść prawnika stała się wyraźniejsza, zaczął też używać ostrych słów i grózb. Alkohol sprawiał, że zachowywał się nieostrożnie. W Marsylii podpalił zasłony; przewrócił świecę i legł obok pijany, chrapiąc donośnie, a wzorzysty adamaszek zaczął się tlić, aż w końcu stanął w płomieniach. Czujni słudzy Angela na szczęście uratowali dom i samego Jehana - to drugie wydawało się już mniejszym szczęściem.

Jednak nie można go było udusić we wspaniałej jadalni Lorenza Nadięgo.

Wziąwszy pomarańczę, Angelo obrał ją ze skórki i dodał:

- Nie mam jednak pewności, madonna. To długa podróż, a zmiany pogody mogą sprawić, że będzie trwać parę miesięcy albo prawie rok. Ale mam nadzieję - tu uśmiechnął się do Fia-metty - że nie będzie trwała tak długo. W końcu mam poważny powód, by pragnąć jak najszybszego powrotu do Florencji.

- Wart pięćdziesięciu tysięcy dukatów - odezwał się Jehan. - To doprawdy poważny powód.

Zapadła cisza, przerywana jedynie rechotem notariusza, który śmiał się z własnej niesmacznej uwagi. Nawet lutnista przestał grać, wydawało się też, że płomienie w kominku przygasły. Angelo poczuł, iż krew odpływa mu z twarzy, zacisnął dłoń na nóżce od kieliszka.

- Wydaje mi się, że powinien pan odejść od stołu, messer de Coniques - rzekł powoli Lorenzo Nadi. - Nie jest pan w odpowiednim nastroju, by przebywać w naszym towarzystwie.

Tamten nie poruszył się jednak. Angelo poderwał się jednym zgrabnym ruchem, podszedł do końca stołu, pochwycił prawnika za wyświechtaną, czarną szatę i ściągnął go z krzesła.

Jehan de Coniques był lekki jak piórko; wydawało się, że pod szeleszczącymi warstwami materiału nie ma już nic. Pozostał zeń już zaledwie ślad dawnych czasów i dawnego przywiązania. Gdyby Angelo szarpnął go mocniej, skóra i kości rozpadłyby się i rozsypały w proch. Młody człowiek musiał wynieść Jehana z sali jadalnej i kopniakami wepchnął go po schodach do jego sypialni. Stwierdził, że kopanie tego pijaka sprawia mu przyjemność.

Zostawił go rozwalonego na podłodze obok łoża. Ich spojrzenia spotkały się tylko raz, gdy Jehan przewrócił się na bok z półotwartymi ustami, i spojrzał na swego pracodawcę czerwonymi, zażawionymi oczyma. Mam nadzieję, że zakrztusi się własnymi wymiocinami, pomyślał Angelo, wychodząc z pokoju. A może doczołga się do schodów, spadnie i złamie kark, powiedział do siebie, zatrzaskując drzwi. Gdy podszedł do schodów, te jak gdyby zakołysały się na chwilę, a potem stanęły w miejscu. Wiedział już, co musi zrobić, tak jak kiedyś wiedział, co musi zrobić z Frankiem Guardim. Zdawał sobie sprawę, że tak jak i wówczas - nie ma wyboru. Pomyślał, że byłoby lepiej poczekać, aż wrócą na pokład „Fiametty” i powierzyć Jehana morzu. Ale nie zamierzał brać notariusza do Lewantu - chciał odesłać go samego do Marsylii. Teraz jednak wiedział, że nie wolno mu pozwolić, by ten pijak wrócił do Francji. Tak czy owak, zmiana planów mogłaby wzbudzić podejrzenia Jehana. A poza tym, niełatwo znaleźć się tylko we dwóch na pokładzie.

Trucizna także nie wchodziła w grę. Nie czuł się na tyle Włochem, by otruć de Coniques'a; jego francuskie ego wołało, że to zbyt niebezpieczne - zdobycie i odmierzenie właściwej ilości odpowiedniej substancji wiązało się z wieloma trudnościami. Nie, istniały prostsze sposoby, a Angelo Guardi zawsze był ich zwolennikiem.

Fiametta nie poczuła się urażona słowami notariusza -w końcu ten powiedział tylko prawdę.

Później, gdy wystawny, irytujący obiad się skończył, pozwoliła, by Angelo Guardi zabrał ją do galerii. Z ozdobionych malowidłami sufitów zwieszały się ogromne kandelabry, a na ścianach lubieżni bogowie gonili na obrazach nimfy o krągłych

pośladkach. Zatrzymawszy się w połowie galerii, Angelo, tak jak spodziewała się Fiametta, wziął ją w ramiona.

Był od niej o pół głowy wyższy; widziała z dołu jego zadbaną, złocistą bródkę i pulsującą na gardle żyłę. Zapach tego mężczyzny budził w niej obrzydzenie: mieszanina czerwonego wina i drewna sandałowego. Wiedziała, że chce ją pocałować, zacisnęła więc mocno powieki i wstrzymała oddech.

Było gorzej, niż się spodziewała. Wcisnął jej język między wargi, zatopił palce w piaskowych włosach. Położyła mu dłonie na plecach, wiedziała bowiem, że tego od niej oczekuje. Poczowała, jak pod jedwabnym kaftanem i koszulą pracują mu mięśnie. Był silny, pewny siebie i przypominał jej ojca, a Fiametta, choć się z tym kryła, w duchu go się bała. Gardziła matką i Nencią, ale lękała się Lorenza, gdyż był silny i władczy.

Angelo oderwał się w końcu od jej ust, nie pozwolił jej jednak odejść. Otworzywszy oczy, Fiametta utkwiała kamienne spojrzenie w Zeusie i Ledzie, narzeczony zaś obsypywał pocałunkami jej policzki, szyję, ramiona. Łabędź zatrzepotał wielkimi skrzydłami, gdy Angelo zaczął gnieść palcami stanik sukni Fiametty, miętosząc jej duże, płaskie piersi. Zerknąwszy chłodno w dół, ujrzała, że twarz mu się zaróżowiła, a na czoło wystąpił pot. Pomyślała sobie, że mężczyźni to straszni głupcy, skoro tak łatwo tracą zmysły, a najzwyczajniejszy dotyk brzydkiej kobiety zamienia ich w ptaki, w bestie.

„A jeśli mi się nie powiedzie? Jak będziesz wtedy żyć, Serafino?”.

Nie odpowiedziała mu wtedy i oczywiście nie oczekiwał od niej odpowiedzi. To pytanie męczyło jednak Thomasa w ciągu długiej podróży z Marsylii do Toskanii, a także podczas systematycznych poszukiwań we Florencji. Dręczyło go wspomnienie jej pustego spojrzenia.

Nie potrzebował wiele czasu, by odnaleźć palazzo Nadich -młody czeladnik i głupiutka służąca potrafili mu wskazać drogę. Pałac był wielki i okazały, wychodził na ulicę leżącą w pobliżu kościoła Santa Maria Novella. Wysokie ściany ozdabiały wymalowane koła i romby, niektóre wypełnione znakami heraldycznymi. Półkoliste okna były zamknięte, pokryty dachówką dach opadał nisko. Budynek ów stanowił symbol zamożności, bezpieczeństwa i dumy. Wokół, w lekkiej mgłę, wznosiły się wspaniałe

siedziby ludzi zamożnych i odnoszących sukcesy. Owe fortece nie do zdobycia w tym mieście pełnym tajemnic miały pozamykane okiennice i zaryglowane drzwi. Zimny obfity deszcz spływał po okazałych, dębowych drzwiach wiodących do pałacu Nadich. Kryjąc się częściowo przy wejściu, Thomas rozmyślał o Angelu Guardim i jego *âme damnée*, Jehanie de Coniquesie. Nie zabawią długo we Florencji: Angelo, podobnie jak Thomas, będzie się niecierpliwił, by jak najszybciej wypłynąć do krain Lewantu. Thomas wiedział, że istnieje możliwość, iż Jehan de Coniques siedzi zamknięty w czterech ścianach dzień i noc, czekając, aż Guardi wraz ze swymi towarzyszami opuści Florencję. Być może przestał pić i jest teraz trzeźwym, małomównym, sumiennym prawnikiem.

Ale Thomas nie sądził, by tak było. Tamten człowiek, którego spotkał w gospodzie w Livorno, niszczył samego siebie - powoli, lecz nieuchronnie. Przygniatały go poczucie winy i gorycz. Prędzej czy później, Jehan de Coniques opuści te mury, by ruszyć na ulice i do tawern Florencji.

Thomas, opierając się plecami o ścianę, dotknął palcem noża i obiecał sobie, że będzie cierpliwy.

Było już ciemno, gdy notariusz wyszedł wreszcie z *palazzo*. Mrok nocy rozjaśniał jedynie słaby płomień świec, wydobywający się zza zamkniętych okiennic i latarnie niesione przez przechodniów. Krótkie, wielobarwne płaszcze powiewały w migoczącym świetle malującym głębokie cienie na twarzach przechodniów. Marlowe ukrył nóż w fałdach ubrania: we Florencji nie wolno było nosić nocą broni.

Kiedy Jehan de Coniques wyszedł z pałacu Nadich, serce w piersi Thomasa забиło mocniej, a potem znowu zaczęło pracować normalnie. Natychmiast rozpoznał prawnika, mając w pamięci luźne, wyświechtane szaty, zgarbioną sylwetkę i haczykowaty nos, sterczący w zapadłej twarzy. Thomas ruszył w ślad za Francuzem ulicą, a potem wyszedł na plac.

Górowała nad nimi jasna, geometryczna bryła kościoła Santa Maria Novella. Jehan szedł pewnym krokiem. Zerknął kilkakrotnie za siebie, ale Thomas ukrył się w cieniu, opuścił głęboko na twarz kapelusz i kroczył bezgłośnie po bruku. Minęli ogromne budowle: *duomo* i baptysterium, o białych, biało-zie-

lonych barwach, przypominające w ciemnościach zjawy. Via del Proconsolo zaczęli schodzić w stronę rzeki.

Mógłby teraz dopaść tamtego, w cieniu wysokich domów po którejś stronie ulicy, ale czekał dalej. Chciał, żeby Jehan de Coniques stał się rozmowny, a więc - żeby się upił. Obserwował z ulicy, jak notariusz wchodzi do małej winiarni w pobliżu rzeki Arno. Sam chętnie by się napił, ale oparł się pokusie. Musiał myśleć jasno, a poza tym, Francuz mógł go rozpoznać.

Jakaś godzinę później - według oceny Marlowe'a - Jehan opuścił traktiernię.

Thomas widział, jak potknął się o próg i chwycił futryny, by zachować równowagę. W fałdach peleryny miał ukrytą butelkę i co pewien czas podnosił ją do ust, popijając chciwie.

Minał Anglika, ukrytego w cieniu zaledwie kilka kroków dalej. Idąc, szeptał coś pod nosem. Po chwili szept przeszedł w mamrotanie, a potem we wrzask.

Na stopniach pałacu, na stopniach pałacu stoi piękna dziewczyna...

Jehan de Coniques roześmiał się i znowu wypił łyk wina. Thomàs, wyłoniwszy się z uliczki, po cichu ruszył w ślad za notariuszem.

Ma tylu kochanków, ma tylu kochanków, że nie wie, którego wybrać...

Tamten szedł niepewnie, zataczając się z jednej strony ulicy na drugą. W którymś z pobliskich domów otworzyły się okiennice, aż Thomas musiał się ukryć przed nagłym blaskiem światła i jakiś głos zawołał coś obelżywie po włosku. Jehan de Coniques pomachał zaciśniętą pięścią i ruszył dalej w drogę.

Thomas uświadomił sobie, że notariusz zmierza w kierunku rzeki.

- „Piękna, jeśli zechcesz - wrzeszczał Jehan, a po chwili jego głos znów przycichł do szeptu: - będziemy spać razem...” -który odbijał się echem od pozłacanych ścian, tajemniczych drzwi i pozamykanych okiennic.

Thomas poczuł, że cały drży, a jego dłoń, ściskająca rękojeść noża, zrobiła się mokra.

W wielkim, kwadratowym łożu, w wielkim, kwadratowym łożu z piękną, białą pościelą...

Ostry, szyderczy głos przycichł i prawie nie było go już słyszeć. Mężczyzna przystanął, oparł się o narożnik domu i przyłożył butelkę do ust. Thomas, przyklejony płasko do muru, widział przed sobą Arno, w której czarnych wodach odbijały się światełka z Ponte Vecchio. Droga rozdzielała się tutaj, przechodząc w ciemną alejkę i szerszą ulicę. Marlowe czekał, czując napięty każdy mięsień. Jehan ruszył, potykając się, alejką w dół. Na ustach Thomasa pojawił się cień uśmiechu, niebieskie oczy błysnęły w świetle księżyca. Notariusz podjął swój śpiew.

Pod puchową pierzyną, pod puchową pierzyną...

Nigdy jednak nie dokończył tej zwrotki. Czyjaś dłoń pochwyciła go mocno za ramię i odwróciła gwałtownie. Druga ręka przyłożyła mu nóż do poplamionego płaszcza.

- „Pod puchową pierzyną...” - zanucił cicho Thomas Marlowe. - Rzeka jest głęboka”.

Jehan zamrugał oczami, potem zaś otworzył i zamknął usta niczym ryba. Teraz, patrząc z bliska, Thomas widział na twarzy Francuza ślady, jakie pozostawiły na niej czas i alkohol. Prawnik miał wiotką, poszarzałą cerę i podpuchnięte, mętne oczy.

- Rzeka jest głęboka - powtórzył Thomas z uśmiechem. -Bardzo, bardzo głęboka.

Może przejdziemy się nad rzekę, monsieur de Coniques?

Pierwszą reakcją tamtego był strach, który jednak zniknął szybko. Jehan de Coniques odezwał się zadziwiająco spokojnym i wyraźnym głosem:

- Jeśli pan sobie życzy, monsieur...?

- Marlowe - odpowiedział Thomas. - Thomas Marlowe. Owszem, spotkaliśmy się już wcześniej, monsieur de Coniques. W tawernie w Livorno.

Notariusz zmrużył małe, przekrwione oczy, przyglądając się badawczo Thomasowi.

- Jest pan Anglikiem - rzekł wreszcie.

- Owszem. Ale nie po to trudziłem się, abyśmy mogli porozmawiać o geografii, monsieur de Coniques. Chodźmy zatem nad rzekę.

Jedną ręką trzymał Jehana za ramię, drugą, ukrytą pod fałdami peleryny, przyciskał wciąż sztylet do boku notariusza. Zaczęli schodzić alejką w kierunku rzeki, niezgrabnym, powolnym krokiem, Francuz często potykał się na kamieniach. Jehan de Coniques roztaczał wokół siebie nieprzyjemną woń, na którą składał się zapach starego wina i dawno niepranych ubrań.

- Zadawał mi pan pytania - odezwał się nagle notariusz. -W Livorno. O Angela. Dotarli do wąskiej dróżki, biegnącej zaledwie o parę kroków od rzeki. Odgłosy miasta ucichły, słyszeć było tylko delikatny plusk wody i szelest czarnych szat, ocierających się o mokre kamienie. Thomas dostrzegł błysk inteligencji w zamglonych oczach notariusza, cień ironii i ciekawości.

- Zgadza się. - Przycisnął Jehana plecami do muru. Puścił jego ramię, ale nadal trzymał mu nóż na wysokości żeber. -Pytałem pana o Angela. I o Francesca i Serafinę Guardich. A pan mi powiedział, że Angelo to sprytny bękart.

Jehan zachichotał, ale z jego twarzy nie zniknął wyraz goryczy.

- To prawda. Cholernie sprytny bękart.

- I przybywa mu sprytu. Dobrze sobie radzi, chyba się pan ze mną zgodzi, monsieur de Coniques. Jest właścicielem firmy Guardich, kapitanem wspaniałego galeonu, no i ma się ożenić z bogatą, młodą panną z dobrego domu. „Piękna, jeśli zechcesz”. Co pan o tym sądzi?

Notariusz, niczym małe dziecko, wysunął do przodu górną wargę.

- To nieważne, co ja o tym sądzę.

- Ależ tak! - Thomas mówił cicho i wyraźnie. Deszcz znów zaczął padać, skrapiając pogniecioną opończę Jehana i mieszając się z lodowatym potem, który ściekał Thomasowi po karku. - Chciałbym wiedzieć, co pan o tym sądzi. W końcu kiedyś bardzo mi pan pomógł.

Tamten otworzył teraz szeroko oczy, wcześniej na wółprzy-mknięte.

- Nic panu nie powiedziałem! - syknął.

- Niechże pan da spokój, monsieur de Coniques. Nie pamięta pan? Zapomniał pan o naszej pogawędce. Pozwoli pan zatem, że przypomnę: oświadczył pan, że Angelo Guardi to sprytny bękart. I powiedział mi pan również, że to Angelo ukartował śmierć swego chlebowodawcy, aby móc odziedziczyć firmę Guardich.

-Nigdy... . .

- Powiedział pan - uśmiech na twarzy Thomasa zamienił się w szeroki grymas - że korsarze pojмали Franca i jego córkę, uniemożliwiając jej zaręczyny.

Notariusz pokręcił głową i podniósł butelkę do ust.

- To szczęśliwa okoliczność - odrzekł beztróska. - Przynajmniej dla Angela.

Nadal chichotał, a wino ściekało mu czerwonym strumyczkiem po brodzie. Thomas miał ochotę użyć noża albo uderzyć Jehana w tę chytrą, głupawą twarz.

Jeszcze nie. Jeszcze nie. Cierpliwości.

- Potrzebowałem wiele czasu, by dojść, co tu się me zgadza - odezwał się z roztargnieniem. - Wreszcie sobie to uświadomiłem. Powinna była zostać wykupiona. To znaczy, ta dziewczynka, Serafina. Bogaty kupiec i jego jedyna córka powinni być zostali wypuszczeni za okupem.

Jehan de Coniques otarł sobie twarz wierzchem dłoni.

- Nie żyli już - powiedział, a w jego przekrwionych oczach malowała się pogarda. - Nie żyli oboje. Nie można wykupić martwego człowieka. Franco zmarł na febrę w...

- ...więzieniu w Algierze - dokończył znudzonym tonem Thomas. - Było nieco inaczej, przyzna pan chyba, monsieur de Coniques? Franco Guardi nie zmarł w więzieniu, zmarł od chłosty, i dlatego nie mógł zostać wykupiony. Jego córkę jednak można było uwolnić. A nie zrobiono tego.

Notariusz utkwiał w nim teraz czarne, błyszczące oczy.

- Co pan, do diabła, mówi?

- Mówię o tym, że Serafina Guardi zdołała uniknąć losu, jaki zaplanował dla niej kuzynek Angelo. Że żyje i że spotkałem ją w Algierze.

Butelka z winem wyslizgnęła się Jehanowi z dłoni i roztrzaskała na bruku.

Czerwony płyn rozlał się na kamienie, pomieszany z deszczem i śmieciami.

- Chcę, aby zrobił pan coś dla mnie, monsieur de Coniques - Thomas mówił chłodnym, beznamiętnym głosem. - Chcę, żeby pan napisał oświadczenie, wyjaśniające, jak wszystko to zostało przeprowadzone. Jak Angelo poznał korsarza, jak pan zamienił testament - bo chyba mam rację, sfalszował pan testament Franca Guardiego? Chcę, żeby pan to wszystko spisał. Od owego dnia, kiedy Angelowi przyszedł do głowy taki pomysł, aż do tego, gdy przejął przedsiębiorstwo. Na piśmie, przy świadkach i z odpowiednimi pieczęciami. Zna się pan na tym, jest pan przecież notariuszem.

Francuz znów się roześmiał, ale wydobył z siebie tylko jedno, chrapliwe słowo:

- Dlaczego?

- Dlaczego? - Thomas urwał, przyglądając się Jehanowi de Coniques'owi, jakby był jakimś dziwnym, budzącym wstręt stworzeniem, przywiezionym z nieznanego łądu.

- Ponieważ chcę, aby majątek i przedsiębiorstwo Guardich wróciły do prawowitego właściciela. I dlatego, że jeśli się nie zgodzisz, zabiję cię.

Znów rozległ się urywany śmiech, który odbił się echem od murów i rozszedł daleko po rzece.

- A jeśli to zrobię - on mnie zabije. Widziałem to w jego oczach!

Ów on to oczywiście Angelo Guardi, którego tak bardzo lękał się Jehan.

- Ale zrobię to - rzekł nagle notariusz. Wykrzywił twarz w uśmiechu, odsłaniając rzadkie, nierówne zęby. - „Piękna, jeśli zechcesz... - syknął. - będziemy spać razem”. Tylko że ona nie prześpi się w moim łóżu, prawda? Nie, prześpi się w łóżku Angela. Ale i tak bym jej nie chciał, tej aroganckiej suki - dodał, robiąc gwałtowny ruch głową.

Słowa „arogancka suka” sprawiły, że Thomasa przeszył lodowaty dreszcz, jakby ciepły deszcz zamarzał nagle i zamienił się w lód. Czy ten łajdak mówił o Fiamecie Nadi czy o Serafinie Guardi?

- Chciałem mieć pieniądze - ciągnął Jehan, a jego głos nabrał jękliwego tonu. - I pozycję. W końcu on jest tylko bękartem i nikim więcej. Nigdy nie oddał mi sprawiedliwości. Kiedyś wyśmiewał się ze mnie, a ja pochodzę z jednego z najstarszych rodów w Prowansji. Czy wiedział pan o tym, panie Angliku? Ale ten łotr straci wszystko, jeśli się nie ożeni, a ja z radością będę

się przyglądał, jak stacza się z powrotem do rynsztoka. Zadłużył się potwornie, budując swój cholerny statek.

- Wiem, „Fiamette”. Messer Guardi handluje nie tylko tkaninami, prawda? - zapytał Thomas. - Na przykład cyną.

Zobaczył, że notariusz marszczy czoło, a w jego oczach pojawił się wyraz podejrzliwości.

- Co pan o tym wie?

- Nieważne. - Thomas potrząsnął głową. Wydawało się, że tamten zapomniał o nim.

- Nie może tkać jedwabiu w Marsylii, nie ma jak. Widzi pan, Angelo stracił kontakty. Stary Franco kupował oczywiście wyroby jedwabne od Corsinich. Ale nawet Angelo - notariusz znów zachcichotał - nie ośmielił się podtrzymywać z nimi stosunków.

A więc uśmiercając Franca Guardiego, Angelo własnoręcznie rozpoczął powolny upadek firmy, którą kochał. Thomas poczuł w gardle duszącą woń kłęski i zepsucia. Męczyło go to, jakby było zaraźliwe niczym mór, którego można uniknąć, ssąc słodzone pastylki albo spalając proszek siarczany.

- Zatrzymałem testament - odezwał się nagle Jehan. - Ten pierwszy testament, oryginalny. Jako zabezpieczenie, rozumie pan.

Thomas, wlepiwszy w niego wzrok, z początku nie mógł nic z siebie wydusić. Po chwili odetchnął głęboko i przejechał ręką po twarzy, strzepując krople deszczu z rzęs i koniuszków włosów.

- Niech mi pan go przyniesie. Mogę zabrać pana tak daleko od Angela, jak pan zechce. Ja też mam statek.

Jehan stracił już dawno zdolność odczuwania szczęścia, ale czuł coś, jakby ślad triumfu, gdy wracał sam do domu cichymi uliczkami.

Serafina Guardi żyje - ta myśl sprawiała, że chciał mu się śmiać. To było tak, jakby bogowie, którzy zdawali się być na rozkazy Angela, w końcu postąpili zgodnie ze swą własną wolą i zesłali mu odmianę losu, której nie przewidział. Fakt, że Serafina przeżyła, otworzył przed notariuszem szansę, by zmiażdżyć swego chlebodawcę na proch, tak jak wtedy, w Marsylii, Angelo niemal zmiażdżył Jehanowi rękę, wciskając ją w odłamki szkła. De Coniques żałował, że upuścił butelkę z winem: chichocząc, pomyślał, że ten rzadki wyśmienity humor, który go ogar-

nał, mogiby jeszcze poprawić jedna albo dwie szklaneczki trunku.

Ponieważ się śmiał, z początku nie usłyszał, że ktoś za nim idzie. Od pałacu Nadich dzieliło go jeszcze kilka ulic, minął już *duomo* i kościół Santa Maria Novella. Kiedy w końcu usłyszał lekkie postukiwanie, myślał, że to deszcz. Gdy postukiwanie stało się głośniejsze i zmieniło się w stukot kroków, będących prawie echem jego własnych, sądził, że to ów Anglik.

Wiedział jednak, że się myli, gdy posłyszał szelest jedwabiu i aksamitu. Thomas Marlowe miał na sobie płócienną odzież. Jehan rzucił się w bok, próbował uciekać, ale było już za późno. Na cichej, ciemnej ulicy znalazł się sam na sam z jedynym człowiekiem, przed którym czuł strach.

Cienki sznurek zacisnął mu się wokół szyi. Nie próbował nawet go zerwać; ręce odmówiły mu posłuszeństwa. Kiedy Jehan de Coniques, z twarzą wykrzywioną śmiertelnym grymasem, po raz ostatni podniósł powieki, ujrzał ciemne oczy Angela Guardiego, patrzące na niego z góry.

Wiadomość ta dotarła do Thomasa dwa dni później. Rzeka wyrzuciła na lewy brzeg - tam, gdzie górowała nad miastem wspaniała, mozaikowa fasada kościoła San Miniato - ciało jakiegoś mężczyzny. Ów człowiek nie utonął, jak objaśniał z ukontentowaniem pomocnik karczmarza, lecz został uduszony i obrabowany, a kiedy nięsiono znad rzeki jego ciało, wciąż miał jeszcze na szyi sznurek.

Thomas przez kilka dni czekał w napięciu na gościa, który w końcu nie przyszedł. Notariusz mógł zmienić zdanie, mógł zwierzyć się Angelowi Guardiemu, mógł też po prostu, zamroczony alkoholem, zapomnieć o tym, że umówił się z Anglikiem.

Ale kiedy chłopak od karczmarza opowiedział Anglikowi o znalezionym ciele, ten nabrał przerażającej pewności, że się spóźnił. Zabrakło mu zaledwie jednego dnia.

„On mnie zabije. Widziałem to w jego oczach” - powiedział Jehan. I miał rację.

Tego dnia Thomas Marlowe poznał gorzki smak porażki. Kiedy mijał rogatki, przyłapał się na tym, że szepcze ostatnią linijkę z piosenki Jehana:

Będziemy tak spać, będziemy tak spać

aż do końca świata... Trala li, tarala la, aż do końca świata!

Gdy śmierć Jehana wyszła na jaw, Angelo mógł wreszcie opuścić Florencję.

Obawiał się, że powolne, żółtawe wody Arno zanoszą ciało w stronę morza, albo, co gorsze, że obrzmiałe zwłoki będą pływać w rzece całymi tygodniami. Ale w końcu znalazła je jakaś para, szukająca ustronia. Leżały na wilgotnym piasku wśród odpadków i wodorostów.

Messer Guardi rozpoznał ciało, okazał należyty smutek i żal i zaoferował odpowiednio wysoką nagrodę za wykrycie mordercy. A później rozkazał, by natychmiast rozpocząć przygotowania. Służba Nadich pracowała sprawnie i cała grupa była gotowa do wyjazdu po posiłku, który spożyto w południe.

Angelo jednak stwierdził, że nie może jeść. Widział już wcześniej trupy, ale nie takie, które dwa dni pływały w wodzie. Lukrowany marcepan, podany na deser, przypominał mu gładkie i błyszczące, nagie członki Jehana. Patrząc z kolei na plastry cieleciny, pomyślał o ranie, jaką widział na czole notariusza. Musiały ją spowodować jakaś muszla lub ostry kamień na długo po śmierci de Coniques'a. Angelo poczuł, że ogarniają go mdłości, tak samo jak wtedy, gdy niósł ciało do rzeki. Gdy myślał o tej wyprawie, nadal oblewał się potem, ale wtedy nie miał innego wyjścia: notariusz zginął zbyt blisko pałacu Nadich, żeby można było zostawić zwłoki na ulicy. Angelo zmusił się, by opróżnić kieszenie Jehana, pozorując napad rabunkowy.

Dolegliwości, jakie odczuwał, zdumiały go: nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczył. To Florencja, zbyt obfite jedzenie i ów nieustanny wysiłek nerwowy, by okazać się właściwym kandydatem na zięcia Lorenza Nadiego.

Nie żałował jednak tego, co zrobił. Wcześniej przeszukał dokładnie sypialnię Jehana. W jednej z szufladek w biurku znalazł coś, co mogło go zniszczyć: oryginalny testament Franca Guardiego. Przekonał się wtedy, że jego wspólnik, może me do końca świadomie, od dawna już planował zdradę. Ze zdziwieniem zauważył, że niespodziewana rozwaga notariusza wzbudziła w nim pewien podziw.

Constanza zaczęła odczuwać lęk, słysząc odgłos męskich kroków na progu i walenie do drzwi.

Tym razem jednak wiedziała, że to nie może być Galeazzo, ponieważ ten spał na górze. Pojawił się w południe, spragniony jedzenia, wina i pieszczot, a później, zaspokojony, zasnął.

Zdobyła się na odwagę i otworzyła drzwi. Ujrzała Thomasa Marlowe'a, którego kiedyś, pod wpływem jakiegoś impulsu, przyjęła pod swój dach i pielęgnowała. Miał buty oblepione błotem i ubranie zakurzone jak po podróży. Położywszy palec na ustach, by był cicho, gestem ręki zaprosiła go do środka.

- Galeazzo jest na górze - szepnęła. - Lepiej go nie budzić. Zobaczyła, że Anglik spochmurniał i zacisnął usta na wzmiankę o bankierze. Nienawidził Galeazza Merliego, ponieważ ten publicznie naśmiewał się z madonny Capriani. A messer Marlowe kochał madonnę Capriani. W innym świecie, w innych okolicznościach, Constanza mogłaby się zakochać w Thomasie.

Zaprowadziła go do cichej komnatki, gdzie słabe, jesienne słońce prześwitywało przez okiennice. Na stole leżały rzeczy do naprawy: halka z odprutą falbanką, kapelusz ze zwisającą bezładnie wstążką. Kurtyzana naląła Thomasowi kieliszek wina. Nie umiała stwierdzić, czy pił już wcześniej; jego oczy miały intensywnie niebieski odcień i płonęły złością, której Galeazzo nie był zapewne jedyną przyczyną, pomyślała Constanza.

- Przepraszam - odezwał się Anglik, spoglądając na nią ze skruchą. - Znów nadużywam twej gościnności. Albo raczej wielkoduszności, Constanzo. Ale tym razem tylko na pół godziny. Nie przyszło mi do głowy, że możesz mieć gościa. W jego głosie nie słychać było sarkazmu, gdy wymówił słowo „gość”. Kto inny, pomyślała kurtyzana, siedząca naprzeciwko, użyłby innego określenia. Na przykład „klient”.

- Nic nie szkodzi - odrzekła, zgodnie z prawdą. - Galeazzo zawsze śpi co najmniej godzinę. No i cieszę się, że cię widzę, Thomasie. - Wzięła do ręki kapelusz i zaczęła przypinać wstążkę. - Ale wyglądasz na zmęczonego.

Wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Właśnie przyjechałem konno z Florencji. Bez żadnego postoju. Wydawało mi się, że powinienem odbyć tę podróż jak najszybciej. Ale teraz - potrząsnął głową - stwierdziłem, że jej kres napawa mnie lękiem.

Constanza odgadła, co miał na myśli, mówiąc o kresie podróży. U kresu wszystkich podróży Thomasa Marlowe'a znajdowała się Serafina Capriani, niegdyś młoda żona starzejącego się i skąpego kupca - teraz bogata, dobrze radząca sobie i niezależna kobieta. Wyczuła, że Anglika spotkało jakieś niepowodzenie. Kiedy indziej wypytywałaby go i pocieszała, teraz jednak była zbyt zajęta własnymi niewesołymi sprawami i obawami.

- Ale ty także wyglądasz na przygnębioną, Constanzo - usłyszała słowa gościa. - Żle się czujesz?

Pokręciła głową i zdobyła się na uśmiech. Każdego ranka patrzyła w lustro i widziała, jak jej niegdyś tak gładka skóra zaczyna pokrywać się zmarszczkami. Ale to nie choroba, tylko naturalna kolej rzeczy. To nie powinno jej tak martwić.

- Miewam się całkiem dobrze - odrzekła. - Tylko że... Maria przyjechała.

Nie zamierzała mu o tym mówić, ale nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo pragnęła podzielić się z kimś swymi obawami i troską.

Thomas zmarszczył czoło. Blade światło słoneczne padające z okien podkreślało cienie i rysy jego twarzy, on także więc, przez chwilę, wyglądał staro.

- Sądziłbym, że jej przyjazd sprawi ci radość - zauważył łagodnie.

- Owszem. - Głos jej się łamał i po raz pierwszy od wielu lat Constanza stwierdziła, że chce jej się płakać. - Tak. Ale, widzisz, jest jeszcze Galeazzo... - Spostrzegła, że on jej nadal nie rozumie, że wciąż jeszcze nie wie, co to znaczy być czyjąś własnością. - Widział ją, Thomasie - powiedziała, przyszywając wstążkę do kapelusza Marii dużym, nierównym ściegiem.

Przez chwilę panowała cisza, potem Constanza usłyszała, jak zaklął. Wstał, podszedł do okna i otworzył okiennice, jakby chciał odetchnąć świeżym, jesiennym powietrzem.

- I chce ją mieć - stwierdził otwarcie.

- Oczywiście, że chce ją mieć. - Jej oczy miały równie nieprzejednany wyraz jak oczy Thomasa. - Czy jest jakiś mężczyzna, który by jej nie chciał? A Galeazzo gustuje w młodych dziewczętach. Ma zwyczaj żenić się z szesnastoletnimi dziewczętami, które później umierają w połogu. Był przerażony, gdy trzecia żona przeżyła narodziny ich córki! - Gniew zniknął z jej

oczu równie nagle, jak się pojawił. - Nie dostanie jej - dodała cicho. - Prędzej go zabiję, gdy zaśnie, niż pozwolę, żeby ją miał. Tylko co stanie się z Marią, gdy jej matkę powieszają na rynku?

Zwiesiła głowę. Nie chciała wcale aż tyle powiedzieć. Zrzucenie z duszy ciężaru przejmowało ją lekko, jakby raz jeszcze ofiarowywała komuś jakąś część siebie. Mrugając powiekami, by ukryć łzy, znów zajęła się szyciem.

Poczuła, że Thomas położył jej rękę na ramieniu, pragnąc dodać otuchy.

- Gdzie jest teraz Maria? - zapytał.

- Z messerem Williamsem. - Podniosła wzrok i spojrzała na niego ze skruchą. - Przepraszam, Thomasie, że odrywam go od pracy. Posłałam mu wiadomość na pokład „Zimorodka”. Widzisz, ufam mu. Messer Williams zabiera Marię z domu na kilka godzin. Tak jest lepiej.

Dokończyła obszywanie kapelusza, a potem wzięła do ręki halkę i zaczęła naprawiać porwaną koronkę.

- Ale „Zimorodek” wkrótce odpłynie, a William wraz z nim jako cieśla okrętowy - zauważył Thomas.

Constanza znów podniosła głowę i ich oczy się spotkały.

- Wiem - powiedziała ponuro. - Wiem od Marii. Nie wspominaj nikomu o naszej rozmowie, Thomasie, ani messerowi Williamsowi, ani nikomu innemu.

Bezpieczeństwo Marii to tylko moja sprawa i niczyja więcej.

Chciał jej przerwać i zaprzeczyć, lecz na górze rozległy się odgłosy kroków.

Wiedziała, że Galeazzo się obudził i człapie po pokoju, zbierając rzeczy, które wcześniej rzucił był na podłogę.

- Pójdę już - szepnął Thomas. - Ale nie trap się, Constanzo, wymyślę coś.

Wyszedł, zamykając bezszelestnie za sobą drzwi. Wiedziała, że nie będzie mógł jej pomóc, że nikt nie może jej pomóc, że jak zawsze, znalazła się sama ze swymi problemami. Wszakże poprawiając włosy i odkładając na bok szycie, by przygotować się na powitanie Galeazza, poczuła, że jednak jest lżej, że zwierzenie się z własnych trosk innemu człowiekowi nieco jej pomogło. Przyniósł jej ulgę krzepiący gest i świadomość, że ktoś nią dba, choćby troszeczkę.

Pomysł ów zaczął mu kielkować w głowie, gdy wskoczywszy na grzbiet zmęczonego wierzchowca, ruszył w kierunku via S.

Domenico. Thomas był rad, że miał czym zająć myśli, że mógł oderwać się od rozmyślań o czekającej go wkrótce rozmowie z Serafiną.

Droga nie była długa, jechał przez zszarzałą od jesieni Pizę, a chłodne powietrze zapowiadało zbliżającą się zimą. Wiatr rozwiewał stopy liści, które gromadziły się też w rynsztokach, na rogach ulic. Kilka mil dalej stał w porcie „Zimorodek”, gotów już zapewne do podróży do Lewantu.

Innymi traktami podążał Angelo Guardi. Zmierzał do Livorno, gdzie w porcie zacumowana była „Fiametta”. Thomas nie widział jeszcze tego człowieka, ale coraz bardziej czuł, że ich losy są powiązane ze sobą i coś ich ku sobie przyciąga niczym magnes.

Serafina wiedziała, że przegrali, zanim jeszcze Thomas skończył swą relację, zanim nawet otworzył usta. Wyczytała to z jego twarzy, domyśliła się, gdy nie chciał usiąść na krześle, które mu zaproponowała.

Był brudny i zmęczony po podróży, na jego pokrytym kurzem obliczu malowało się wyczerpanie. Rzucił kapelusz na pobliski stolik i powiedział bez ogródek:

- Widziałem się z monsieur de Coniques'em. Po krótkich namowach wykazał chęć do współpracy. Ale wkrótce po naszej rozmowie ktoś zacisnął mu na szyi postronek i wrzucił ciało do rzeki.

Miała kilka tygodni, by przyzwyczaić się do myśli, że może ponieść klęskę. Gdy Thomas zapytał ją: „A jeśli mi się nie powiedzie? Jak będziesz wtedy żyć, Serafino?”, zmusiła się, by spojrzeć w mrok i znaleźć jakąś odpowiedź. Będę nadal prowadzić swą firmę, wychowywać syna i dalej egzystować, pomyślała wtedy. Tak - egzystować, lecz nie żyć.

A jednak jego słowa okazały się dla niej wstrząsem. Usiadła nagle, jakby nie mogła już dłużej ustać na nogach. *Todo man-giada*, pomyślała, spojrzawszy w otchłań. Ujrzawszy zdziwioną minę Thomasa, uświadomiła sobie, że myśli na głos.

- Tak mawiali w więzieniu w Algierze - wytłumaczyła rwącym się, niepewnym głosem. - *Todo mangiada*. Stracona nieodwołalnie. Nic nie zostało. Zupełnie nic. Nie widziała już jego twarzy, bo obraz zaczął jej się zamazywać. Miała przed oczyma jedną tylko scenę: opuchnięte, białe

ciało, na gardle sinoczerwona kreska. Zamknęła jednak na chwilę oczy i odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić.

- Angelo? - zapytała w końcu.

- Jestem tego pewien. - Thomas spoglądał na nią ponuro. - Notariusz śmiertelnie go się bał. Pozornie był to napad rabunkowy, ale nie mam wątpliwości, że to monsieur Guardi zabił Jehana de Coniques'a. Dziwię się tylko, że nie zrobił tego wiele lat wcześniej. Może ze względu na dawne czasy.

Na myśl o braterskim, acz śmiertelnym przywiązaniu, jakim darzyli się Angelo i Jehan, Serafina poczuła niestosowną chęć, by się roześmiać.

- Nie - powiedziała wciąż nieco drżącym głosem. - Przypuszczam, że tak mu było wygodniej.

Zauważyła, iż Thomas rzucił jej ostre spojrzenie. Znajdowali się w pokoju na piętrze, w którym kiedyś pokasływał i po-legiwał na sofie Jacopo i gdzie, dawno temu, Serafina wpięła we włosy purpurowe i szkarłatne wstążki. Wszystko na nic. *Todo mangiado*. Nieodwołalnie stracona.

Poprzez strach, który nappełnił jej serce, usłyszała słowa Thomasa:

- Zabiję go, jeśli chcesz.

Zdołał skupić na sobie uwagę Serafiny i przywołać ją gwałtownie do rzeczywistości.

- Mówię oczywiście o Angelu - dodał. - Uczyniłbym to z radością. To gnida, gorsza od Galeazza Merliego, uświadomiłem to sobie, wracając z Florencji. Jeśli sobie tego życzysz, zabiję go.

Ujrzała w jego oczach coś, czego nigdy wcześniej nie widziała - poczucie klęski - i pokręciła głową.

- Nie - odrzekła po prostu.

Nie pozwolił jej zmienić tematu. Usiadł w końcu na ulubionym fotelu Jacopa, tym z szerokimi, rzeźbionymi oparciami. Przejechał palcami po czarnych, przykurzonych włosach i powiedział, nie spuszczać z niej wzroku:

- Nie tylko dla ciebie, Serafino. Także dla siebie.

Poczuła, że odzyskuje władzę nad swym ciałem. Wstała i zadzwoniła na służącą. Znow założyła codzienną maskę, powracając do zwyczajnych spraw. Gospody między Florencją a Pizą były różne, Thomas mógł nie mieć nic w ustach od wielu godzin. Odwróciwszy się do niego plecami, dobierała ostrożnie słowa:

- Nie, Thomasie. To prawda, że masz do tego prawo, ale proszę cię, błagam, nie rób tego. Obiecuj mi, Thomasie, że go nie zabijesz. Widzisz, nic bym wskutek tego nie zyskała.

Była zmęczona i zagubiona, nie rozumiała już samej siebie. Jeśli myśl o Jehanie, uduszonym i wrzuconym do rzeki, chwilami przyprawiała ją o mdłości, to obraz martwego Angela z nożem Thomasa wbitym w brzuch odbierał jej odwagę.

- Nie zrobisz tego, obiecuj mi, że go nie zabijesz - powtórzyła ostrym głosem, w którym dało się słyszeć histeryczną nutę.

Thomas skinął głową; jego twarz była zupełnie bez wyrazu.

Gdy pojawiła się służąca, Serafina poleciła jej przynieść wino i jedzenie. Zmusiła się, by przywrócić choćby pozory normalnego funkcjonowania.

Kiedy zostali znowu sami, Thomas powiedział:

- On zachował oryginalny testament. De Coniques miał mi przynieść prawdziwy testament twego ojca, Serafino. Ten, który wraz z Angelem zataili.

Pomyślała, że nie napije się z Thomasem wina, gdyż będzie miało ono gorzki smak.

- Nie sędzę - ciągnął, biorąc z tacy chleb i szklanę, gdy wróciła służąca - żeby Angelo dowiedział się czegokolwiek od Jehana. Ciało leżało w wodzie przez jakiś czas, zanim je znaleziono. Rozmawiałem z jednym ze służących rodziny Nadich, który z radością opowiedział mi wszystkie frapujące szczegóły. Widziałem topielców, Serafino, i podejrzewam, że notariusz został zabity krótko po naszej rozmowie. A Angelo z pewnością by mnie poszukiwał, gdyby tamten wyjawił mu moje nazwisko. - Odłamał kawałek chleba i umoczył go w winie. - A więc jesteś bezpieczna - dodał. - Dzięki Bogu!

Tak naprawdę to myślał o bezpieczeństwie Francesca. Thomas raz popełnił błąd, domagając się pewnych praw do dziecka i Serafina wiedziała, że nie zamierza go powtórzyć. Ale to nie znaczyło, iż nie dba o syna. Stwierdziła nagle, ku swemu zaskoczeniu, że chce go pocieszyć.

- Francesco jest tutaj - powiedziała. - Na górze. Thomas, zbity z tropu, wbił w nią wzrok. Po powrocie

z Włoch Serafina złożyła niezapowiedzianą wizytę niańce. Francesco leżał w kałuży moczu, miał żółtą, podrażnioną i pokrytą wysypką skórę. Straciła panowanie nad sobą, uderzyła poleconą jej mamkę i natychmiast zabrała dziecko do Pizy*

gdzie przemierzała boczne uliczki miasta tak długo, aż znalazła odpowiednią kobietę do opieki nad dzieckiem.

- To nie było właściwe miejsce - rzekła. - Ta mamka okazała się tępą, leniwą idiotką. Francesco może tutaj zostać, póki jest karmiony piersią.

Thomas odsunął resztki jedzenia i wstał z krzesła, a w jego oczach pojawił się nowy błysk.

- Nie mogę sobie pozwolić, by go stracić - wybuchnęła ze złością i w następnej sekundzie pożałowała własnych słów. Równie dobrze mogła go uderzyć, tak jak uderzyła tę głupią niańkę.

- Zabezpieczenie - powiedział Thomas i uśmiechnął nieprzyjemnie. - Francesco stanowi twoje zabezpieczenie na przyszłość, prawda, Serafino? Tak samo jak ów testament dla Jehana.

Wiedziała, że kolejny raz stanęli nad brzegiem przepaści. Jakaś część siebie chciała, by kłótnia potoczyła się zwykłym torem, pragnęła krzyknąć i wściekać się na Thomasa, zmusić go, by powiedział, co o niej sądzi. Ale większa jej część mówiła, że dzisiaj taka scena nie przyniosłaby satysfakcji, że nie ma już do tego ani pasji, ani energii. Że on mimo wszystko starał się, jak tylko mógł i że jej świat zawęził się niemal nieznośnie do Francesca śpiącego w kołysce na piętrze i tego mężczyzny, który stał obok niej, oddalony o zaledwie kilka kroków, a w jego ciemnoniebieskich oczach paliła się wściekłość. Poza nimi nic po prostu nie istniało. Pustki w jej duszy nigdy nic nie wypełni.

Przygryzła więc wargę i wyszeptwała:

- On jest wszystkim, co mam, Thomasie. Z moich krewnych pozostał Angelo, no i Francesco. To wszyscy.

Niebezpieczeństwo minęło. Serafina poczuła, że zbliża się do Thomasa i pozwala, by objął ją ramionami, by oparł twarz o jej głowę, by głaskał ją po rozpuszczonych, jedwabistych włosach. Usłyszała jego słowa:

- Chciałbym cię prosić o przysługę, Serafino.

To doprawdy nie jest żadna przysługa. Tak, z radością przyjmie pod swój dach Marię Garzoni, córkę Constanzy, na tak długo, jak tylko będzie ona chciała. Maria może bawić się z dzieckiem i mieć na oku nową piastunkę. Serafina z radością przystała na jego prośbę, i ona bowiem miała długi do spłacenia. Wobec Constanzy, która pomogła jej, ciężarnej

i obolałej, zabierając ją z ulicy do domu. I wobec Galeazza Merliego, który uczynił z niej obiekt kpin, kiedy najłatwiej było ją zranić.

Gdy jednak Thomas zamknął drzwi na skobel i Serafina pozwoliła sobie na zapomnienie w jedyny znany sposób, myśl o ironii losu wciąż sprawiała jej ból, ponieważ największy dług nigdy nie zostanie spłacony. A kiedy w końcu zamknęła oczy, oddając się rozkoszom, przyłapała się na tym, iż wyobraża sobie, że to usta Angela i jego ciało czuje tuż przy swoim.

Część trzynasta

1597

DOBOROWE TOWARZYSTWO Z ALEPPO

Ja, Ralph Fitch, kupiec z Londynu, zapragnąwszy ujrzeć Indie Wschodnie, w roku pańskim 1583 wyruszyłem w drogę własnym statkiem o imieniu „Tiger”.

Towarzyszyli mi przede wszystkim sir Edward Osborne i mr Richard Staper, parający się kupiectwem obywatele Londynu. Dotarliśmy do Tripoli w Syrii, stamtąd zaś udaliśmy się do Aleppo, gdzie spotkaliśmy doborowe towarzystwo. Wreszcie udaliśmy się do Birry.

„PODRÓŻ RALPHA FITCHA Z GOA DO SYJAMU”
RICHARD HAKLUYT

Dla przedstawicieli Kompanii Lewantyńskiej - Johna Keane'a, kapitana „Legacy”, Edwarda Whitlocka, kapitana „Garlanda” i Izaaka Taylora, kapitana „Saviour of Bristol” pobyt w gospodzie „U celników” był kulminacyjnym momentem wyczerpującej, pięciomiesięcznej podróży.

Utrzymywali jednak dobrą prędkość, rozmyślał John Keane, gdy służący pokazywał przeznaczone dla nich pokoje w części dla europejskich kupców. Opłynęli wybrzeże Hiszpanii pod koniec października i, Bogu dzięki, żadni nadgorliwi Hiszpanie nie czaili się na niespokojnych wodach wokół przylądka, by wziąć odwet za poniżającą klęskę swego króla w roku 1588. Konwój dotarł do Livorno w grudniu, zawinął do tego samego portu, w którym John Keane spędził rok 1595, i tam dokonano koniecznych, drobnych napraw i uzupełniono zapasy. Potem z Livorno udali się do Aleppo i zaledwie przed dwoma tygodniami zacumowali w Aleksandrecie, porcie najbliższej położonym, i przez trzy dni obijali sobie kości, jadąc na wielbłądach do Aleppo właśnie.

Teraz, pomyślał John, gdy zrzucił zakurzoną koszulę i obmywał twarz i tors zimną wodą, teraz zacznie się prawdziwa przyjemność. Kupowanie, targowanie się, by zyskać kilka dukatów więcej za belę płótna czy beczkę z cyną. Kiedy nadchodził ów czas, Keane przestawał być wilkiem morskim, który czerpał radość z odkrywania nowych szlaków i lądów. Nie chciał być jak Anthony Jenkinson czy Ralph Fitch, zdobywający sławę w odległych krainach czy na nieznanym wodach. On znosił długie

miesiące na morzu tylko w jednym celu: aby móc cieszyć się handlem, który był dla niego źródłem niekończących się przyjemności.

John Keane włożył szkarłatny kaftan i pończochy, przypiął skromny kołnierzyk oraz mankiety do czystej koszuli, i przygładził mokrymi rękami rzadkie włosy, by nabrały jakiegoś takiego wyglądu. Zza przymkniętych okien czuł zapachy i słyszał odgłosy typowe dla Aleppo. Zawodzenie muezzina nawołującego wiernych do modlitwy, okrzyk: „Destur!” ulicznych tragarzy, biegających między zatłoczonymi bazarami z wyładowanymi kosztami i bagażami, woń wielbłądziego i końskiego łąjna kawy i przypraw, unosząca się w balsamicznym, lewantyńskim powietrzu. John, zerkając w kawałek lustra, przyciął brzytwą brodę i wąsy i uśmiechnął się do siebie.

Dom angielskiego wicekonsula położony był w ładniejszej części Aleppo. Zastępca wicekonsula, George Dorrington, powitał z entuzjazmem kapitanów angielskich statków i zaprowadził ich do dużego, chłodnego pomieszczenia, którego umeblowanie stanowiło mieszaninę stylów: europejskiego i tureckiego. Pokój ogrzewały trzy ozdobne piecyki na węgiel drzewny; w oknach jak w większości tureckich domostw, nie było szyb.

- Mieliście dobrą podróż? - zapytał George, machnąwszy ręką w kierunku krzeseł, poduszek i sof.

- Całkiem dobrą. - Edward Whitlock przysiadł na brzeжку taboretu, a John Keane i Izaak Taylor usadowili się niezgrabnie na wyłożonych poduszkami, niskich sofach.

- Trafiliśmy na kiepską pogodę w pobliżu przylądka, ale tam akurat była to dla nas sprzyjająca okoliczność.

- Tak. - Dorrington, wielki i pogodny mężczyzna, zachichotał. - Niepogoda zatrzymała tych cholernych Hiszpanów w porcie, co, Ned?

Pojawił się służący z tacami z winem, orzechami i tureckimi słodyczami. Dorrington wcisnął swe potężne ciało w jedyny w pokoju fotel.

- Nie mogę dać sobie rady z tymi tureckimi obyczajami - poskarżył się, wskazując znów ręką sofę. - Kilku mężczyzn przez poł godziny podnosi mnie z tych cholerstw.

A jedzenie' - Wziął z tacy kieliszek z winem i sięgnął tłustą ręką po duży kawałek ciasta. - Lubię czasem zjeść kawałek czegoś takiego, ale

cóż po słodyczach, jeśli potem nie można ich popić kieliszkiem wina? Na szczęście chłopcy z ostatniego konwoju przywieźli mi skrzynkę wspaniałego wina z Kandii. Dorrington utkwiał z nadzieją bładoniebieskie oczy w Edwardzie Whitlocku. John Keane odezwał się śpiesznie:

- Jestem pewien, że możemy ofiarować panu kilka butelek. Może pan wrócić z nami do Aleksandretty i wybrać sobie, co pan chce.

Na szerokiej, przyjemnej twarzy wicekonsula odmalowała się teraz ulga.

- Widzi pan, niewiele ma się tu przyjemności z życia - rzekł ponuro. - Można dostać kieliszek wina w żydowskiej czy armeńskiej tawernie, ale we wszystkich innych jest go cholernie mało. No i nie mogę znieść tego ich okropnego napoju, *kahveh*, a opium spróbowałem tylko raz i potem przez tydzień bolała mnie głowa. A jeśli chodzi o kobiety - Dorrington uniósł brwi, tak że prawie zniknęły pod ciemnobrązowymi lokami - cóż, kto chciałby płacić za te przyjemności własną głową?

- A tawerny? - zapytał delikatnie John Keane. - Łazieny?

- W łazienach pełno jest chłopaczków z loczkami - wymamrotał Dorrington, mając w ustach ciasto i miód. - A prostytutki w tawernach to wszystko Greczynki albo inne takie. Ja lubię blondynki - dodał płaczącym tonem. - Zresztą życie tutaj jest wystarczająco niezdrowe i bez syfilisu.

Keane, do połowy zakopany w poduszkach, pozwolił, by służący znów napełnił mu kieliszek.

- Jak się pan zatem miewa?

- Zazwyczaj nie najgorzej. - George szarpnął za kołnierzyk, przygniatając kryzę. - Tylko to cholerne kolano daje mi się znowu we znaki, no a poprzedniej jesieni prawie trzy tygodnie chorowałem na malarię. Ale cóż - wziął sobie kolejny kawałek ciasta z tacy - żaden Europejczyk długo tu nie wytrzyma.

- Zwykle około roku - powiedział Ned Whitlock, kręcąc się na brzegu taboretu. - Michael Lock siedział w Aleppo dwa lata i dzielnie sobie radził. Ten klimat nam nie służy.

- W Aleksandrecie jest gorzej. - Izaak Taylor, wysoki, ponury chudzielec rozsiadł się na wyłożonej jedwabiem sofie George'a Dorringtona. - Panuje tam gorączka bagienna.

- Owszem. - Zniecierpliwiony Whitlock potrząsnął głową nad miską z migdałami. - Nie można oczekiwać, że będzie ła-

two. Ale i nagrody, jakie ma dla nas Lewant, są wspaniałe, czyż nie, panowie? George Dorrington uśmiechnął się i przytaknął ruchem głowy. Owe nagrody były to jedwab, przyprawy, bawełna, perły, porcelana - wszystkie skarby Orientu. Aleppo, usytuowane na skrzyżowaniu Jedwabnego Szlaku i Wonnej Drogi, służyło jako ośrodek handlowy dla licznych karawan przybywających ze Wschodu.

- A poza tym - dodał Whitlock, wyciągając zza pazuchy list - mam dla pana dobre wieści.

Jasnoniebieskie oczy Dorringtona rozblęły, gdy łamał pieczęć i zaczął czytać.

- To od Ralpa Fitcha! - oznajmił z radością, gdy przeleciał już wzrokiem połowę strony. - Przyjedzie tu za parę miesięcy, by objąć stanowisko konsula. Jadę do domu!

Dokończywszy czytać, wcisnął list do kieszeni. Jego szeroka, niemal dziecinna twarz płonęła z podniecenia, w kącikach ust krył się uśmiech.

- Latem pewnie będzie pan już w Anglii - rzekł uprzejmie John. - Proszę tylko pomyśleć: żadnych dam z osłoniętymi twarzami i żadnych niewygodnych poduszek.

- Fitch powinien sobie dobrze radzić. - Whitlock widać siedział już zbyt długo, wstał i zaczął krążyć po pokoju. - Nikt nie spodziewał się, że powróci z ostatniej podróży.

John Keane, który zjadł zbyt dużo ciasta i słodkiego wina, w duchu przyznał mu rację. Ralph Fitch wyruszył w wielką podróż, trasa wiodła z Tripoli do Ormuzu, stamtąd do Goa i dalej, do Państwa Wielkiego Mogoła i Syjamu. Wrócił do Londynu po ośmiu latach, by dowiedzieć się, że przyjaciele uznali go za zmarłego.

- Mówi się - odezwał się Ned Whitlock, przystanąwszy przy piecyku, aby ogrzać ręce - o założeniu wkrótce nowej Kompanii. To całkiem poważne pogłoski.

W oczach Dorringtona zabłysła ciekawość. Wytarłszy lepkie od cukru dłonie w mokry ręcznik, podany przez służącego, zapytał:

- Żeby prowadzić handel z Indiami?

John wykrzywił twarz w uśmiechu. Nawet Ned lekko się uśmiechnął.

- W 1592 monopol Kompanii Lewantyńskiej objął także Indie - wyjaśnił George. - Byłoby logicznym posunięciem utwo-

rzyć w końcu oddzielną placówkę. - Przerwał na chwilę. - Mielibyśmy z tym jednak pewne... kłopoty.

W tej części świata zawsze pojawiały się kłopoty. Mimo trzech rozpalonych piecyków, wraz z zachodem słońca w pokoju zaczęło robić się chłodniej i John żałował, że oddał służącemu płaszcz.

- Któż przysparzałby owych kłopotów? - zapytał, rozcierając dłonie, by trochę się ogrzać.

Z twarzy George'a Dorringtona zniknęły wszelkie oznaki niezdecydowania i pobłażliwości. Wzruszył ramionami.

- Nawet sam sułtan nie potrafiłby zagwarantować bezpieczeństwa na szlakach śródlądowych. Mogą przekupywać i grozić, ale miasta takie jak Basra, Bagdad czy nawet Aleppo w końcu się zbuntują. No i są jeszcze rozbójnicy pustynni, którzy ściągają ci koszulę z pleców i puszczą cię wolno kompletnie nagiego, naturalnie, jeśli masz szczęście. Duże karawany potrafią same się obronić, ale niewielkie wyprawy Europejczyków łatwo padają ofiarą bandytów.

- Ralph Fitch trafił do więzienia w Goa - odezwał się pojednawczym tonem Ned Whitlock. - I w Indiach żyją dziwni ludzie. Uważają, że zabić muchę to grzech, ale kobieta musi spłonąć na stosie pogrzebowym wraz ze zwłokami męża.

Zapadła cisza.

- Pieprz, imbir, gałka muszkatołowa, kamfora - wyliczał powoli George Dorrington.

- Piżmo, kość słoniowa, rubiny, szafiry. I diamenty. Fitch wszystko to widział.

Miny czterech mężczyzn wyrażały nadzieję, strach i fascynację zarazem.

Po chwili John Keane, widząc, że zapada zmierzch i że wkrótce będą musieli wrócić do gospody, rzekł:

- Ale teraz porozmawiajmy o sprawach dzisiejszych. Czy karawany z jedwabiem już przybyły, panie Dorrington?

W Europie panował głód. Od lat padały deszcze trzykrotnie większe niż kiedyś, niszcząc wiosną młode zboże i zsyłając na ziarno pleśń i grzyby. Po słabych zbiorach następowała wyjątkowo surowa zima, silne wiatry miotły statkami na morzu i przedostawały się przez słabe, wielokrotnie naprawiane ściany do domów biedaków.

We Francji, w Marsylii, żebrak Jules Crau, który sądził, że widział już największe nieszczęścia, przekonał się, że może być

znacznie, znacznie gorzej. Przepowiednie wędrownego mnicha, których wysłuchał na rynku, spełniały się na jego oczach. Zbliżali się ku końcowi stulecia z ogromną prędkością i zmuszeni byli oglądać, jak świat niszczy sam siebie. Jules nie widział jeszcze potwora morskiego wylaniającego się z głębin ani Anioła Śmierci zstępującego z niebios, ale zobaczył wystarczająco wiele, by uwierzyć w słowa kaznodziei. W miastach włóczędzy gromadzili się na każdym rogu, dzieci miały z głodu spuchnięte brzuchy, a dorosłym skóra zwisała luźno na wychudzonych członkach. Na wsiach głodni mieszkańcy wyrwali z ziemi rośliny i wpychali je sobie do ust, jakby to były egzotyczne potrawy ściągnięte ze stołu bogaczy. Czasami potem umierali, ich żołądki bowiem nie mogły strawić tego, co winno być paszą dla zwierząt. Zmarli leżeli na polach, z zamkniętymi wreszcie oczami, a z zamarzniętych ust wystawały im źdźbła zielonej trawy.

Żywi zaczęli jeść padlinę, urządzać sobie uczyty nad trupami zdechłych koni, osłów i bydła. Na drogach roilo się od ludzi: głodnych i bez pracy. W końcu wielu z nich stało się kanibalami.

Jules tak długo, jak to było możliwe, utrzymywał się ze złota, jakie dostał od zmarłej żony. W ciągu owych szczęśliwych tygodni zdrowie Isabelle nieco się poprawiło: z jej buzi zniknęły wrzody, a policzki nawet lekko się zaróżowiły. Zaczęła znów się odzywać i interesować tym, co działo się wokół. Jules czuł się tak, jakby cofnął się znad krawędzi przepaści, jakby raz jeszcze wyczuł pod nogami pewny grunt.

Teraz, gdy siedział przy córce w ich ubogiej izbie, owa przepaść znów się przybliżyła. Isabelle leżała zwinięta w kącie, przykryta strzepami koców, które miały ją ogrzać. Głaszcząc córeczkę po zmatowiałych, ciemnych włosach, Jules zauważył, że dziecko ma palce zbielełe od zimna i popękane, pokryte pęcherzami usta. Większą część dnia przesypiała i pomyślał, że kiedyś po prostu zaśnie i nigdy się już nie obudzi. Wtedy on runie w ciemną otchłań z ogromną prędkością i zostanie pochłonięty.

Król Żebraków powiedział mu, kto jest przyczyną tych wszystkich cierpień. Bogacze w swych wspaniałych pałacach, kupcy i możni panowie w pozłacanych kamienicach, gdzie stoły uginają się od wyszukanych potraw. Ci ludzie nie wypełniali obowiązku, jaki na nich spoczywał: wszak Bóg nakazał im dać pracę ubogim. Słabe zbiory i kaprysy pogody nie miały

wpływu na życie uprzywilejowanych. Czasami, stojąc przez jednym z owych błyszczących od złocen gmachów, Jules miał ochotę chwycić za sztaby u okien i szarpać nimi tak długo, aż cała błyszcząca fasada runie w gruzach.

Ukryty w ciemnym, hałaśliwym porcie, Thomas czekał.

Śledził „Fiamettę” od Livorno aż tutaj. Opłynął włoski but, przebył Morze Jońskie i Egejskie, minął wyspy Rodos i Cypr. Czasami pozwalał się wyprzedzić o kilka dni, nawet o tydzień -zawsze trzymając się poza polem widzenia ściganego. Tym razem nie było zyskowych postojów na Zante, „Fiametta” płynęła prosto do

Aleksandretty - portu położonego najbliżej Aleppo.

„Zimorodek” zawinął tam następnego dnia, w takim miejscu, by nie można go było zobaczyć z francuskiego statku. Jeśli nawet Angelo Guardi nie widział twarzy Thomasa Marlo-we'a, to na pewno znał statek madonny Capriani.

Zdawał sobie sprawę z tego, iż ów tajemniczy pościg nie ma sensu. Wiedział także, że kiedy powiedział Serafinie: „Zabiję go!” - to właśnie miał na myśli; on, który nigdy wcześniej nikogo nie zabił z zimną krwią, mógłby zamordować Angela Guardiego gołymi rękami, czerpiąc ze swego czynu przyjemność. Ale nie robi tego, nie pozwalają mu na to inne wspomnienia. Płacząca Serafina. *Todo mangiado*.

Nieodwołalnie stracona. Serafina, zabraniająca mu zabijać Angela Guardiego.

Teraz można go było zobaczyć z pokładu „Fiametty”. *Widział pozłacane burty, błyszczące jasno w świetle zachodzącego słońca, widział wyryte ozdobnymi literami imię narzeczonej Angela Guardiego.

Za dokami w porcie toczyło się intensywne, kosmopolityczne życie. Aleksandretta, wciśnięta w zatokę, była siedliskiem zarazy - otoczona bagnami, od tyłu opasana górami Amanus. W porcie stało mnóstwo niewygodnych, jednomasztowych statków handlowych z Morza Czarnego, galeonów z północnej Europy i szybkich, delikatnych kaik. Kołysały się też na wodzie korsarskie galery z krajów północnoafrykańskich. Thomas przyglądał im się, mrużąc oczy. Niektóre ozdobione były jedwabnymi proporcami, burty obsiedli na wpółnaczy wioślarze. Na dziobach wielu łodzi wisiały girlandy z niebieskich koralu, które miały uchronić je przed złym okiem. A na jednej - tylko na jednej - na dziobie wymalowano girlandę z niebieskich kwiatów.

Ale Thomas nie spuszczał na dłużej z oka „Fiametty”. Chciał ujrzeć człowieka, który zniszczył nieodwołalnie życie Serafiny, chciał zobaczyć mężczyznę, którego wciąż, pomimo wszystko, chronił. Który sprawił, że szczęście jest dla nich nieodwołalnie stracone. Człowieka ten zajmował w życiu Serafiny takie miejsce, którego on, Thomas, nigdy nie wypełni. Mógł być ojcem jej dziecka, mógł ofiarować jej najwspanialszy na całym Morzu Śródziemnym statek i pomóc rozwinąć firmę. Ale wciąż, w porównaniu z obsesyjnym uczuciem, jakim darzyła Angela - on był zupełnie nieważny i ich dziecko również nic nie znaczyło. Zarówno Thomas, jak i Francesco wydawali się zaledwie pionkami w grze, którą toczyli już od dzieciństwa Serafina i Angelo. Fatalna, destruktywna gra, mimo to jednak wciągająca.

Właśnie ze względu na Serafinę czekał tutaj: na Serafinę o ciemnych oczach, ciemnych włosach i zimnym, zamkniętym sercu. Przez trzy lata ich znajomości wielokrotnie go wykorzystywała, by realizować własne cele. Z początku jej nie pojmował. Potem, kiedy wreszcie zobaczył ją we właściwym świetle, sądził, że zdoła przyzwyczaić się do myśli, iż jest jej obojętny. Teraz, od pobytu we Florencji, gdy widział, jak twarz Serafiny przeobraża się pod wpływem doznanej porażki i słyszał ból w jej głosie - nie był już tego taki pewien. Kiedyś mógł ją bez przeszkód widywać, dzielić z nią pokój, a nawet na jej zaproszenie spać z nią - na jej warunkach, gdy go potrzebowała. Teraz uświadomił sobie, że może go zniszczyć fakt, iż nie jest jej już potrzebny. Kiedyś miał inne ambicje i nadzieje. Czasami myślał, że jeśli zostanie dłużej we Włoszech, straci nawet i to - a wówczas będzie niczym, odrobiną kurzu pod ozdobionym kolorowymi kamieniami pantofelkiem na wysokim obcasie.

Choć Aleksandretta, zwana teraz przez Turków Iskanderu-nem, była miastem muzułmańskim, znalazły się tam jednak miejsca, w których żeglarze mogli trafić na miłe towarzystwo

- jeśli wiedzieli, dokąd pójść.

Angelo, schodząc z „Fiametty” tego wieczoru, pragnął się odprężyć po ciężkich przeżyciach, w jakie obfitował ostatni rok. Z pewnością należała mu się nagroda za to, że zdołał się utrzymać na powierzchni i odpoczynek po ograniczeniach, jakie sam sobie narzucił. To nie był łatwy rok: Angelo czuł się

tak, jakby wciąż musiał czynić uniki i knuć intrygi, by uniknąć katastrofy. Po raz pierwszy w życiu czuł się zmęczony i wyczerpany owym nieustannym wysiłkiem, aby przetrwać.

Szedł przez okrywający się ciemnością targ rybny. Wyłożony kamiennymi płytami plac już opustoszał; idący samotnie Angelo ślizgał się na kamieniach. Powietrze było aż gęste od woni rybich wnętrzności, choć sprzedawcy dawno już opróżnili swe kosze. Młody człowiek nie przyciskał jednak do nosa uperfumowanej chusteczki: nie był szlachetnie urodzony, nie musiał udawać, że zapachy miasta budzą w nim obrzydzenie. Był bękartem, parweniuszem i oportunistą, dlatego też szanował islam i nie miał skupułów, prowadząc interesy z jego mniej ortodoksyjnymi wyznawcami. Kraje muzułmańskie, w przeciwieństwie do chrześcijańskich, pozwalały parwieniu-szom wykorzystywać swe umiejętności i realizować ambicje. Tutaj niewolnicy stawali się panami, jeśli tylko pracowali na to wystarczająco ciężko. Angelo zawsze ciężko pracował. Dopiero od niedawna, odkąd musiał zamordować Jehana, owa pracowitość poczęła zostawiać na nim ślad.

Minał łaźnię, teraz zamkniętą; nie widział już na zewnątrz sprzedawcy *kahveh*, siedzącego po turecku z głową pochyloną nad rozżarzonymi węglami. Zmierzał do armeńskiej tawerny, zgodnie ze wskazówkami, jakie przekazał mu w porcie kapitan korsarskiej galery. Angelo posiadał ów dar prawdziwych podróżników: niemal instynktownie potrafi odnaleźć właściwą drogę wśród nieznanymi ulic.

Gdy zbliżał się do dzielnicy chrześcijańskiej, wydawało mu się, że słyszy za sobą czyjeś kroki. Ale kiedy odwrócił się i wbił wzrok w ciemność, nie dostrzegł nikogo. Tawerna, z niskim sufitem i drewnianymi ławami, była słabo oświetlona. Chmury dymu ze zwykłych fajek i kryształowych, poskręcanych cybuchów nargili napełniały powietrze ciężkim, słodkawym zapachem bhang i opium. Klientelę stanowili tu żeglarze z portu oraz Armeńczycy i Żydzi, którzy zamieszkiwali w chrześcijańskich dzielnicach miasta. W kącie siedziała także grupa janczarów, którzy swymi wysokimi nakryciami głowy, przypominającymi góry cukru, prawie dotykali sufitu.

Po ciszy panującej na ulicach, wchodzący do gwarnego wnętrza mógł doznać wstrząsu. Głośna melodia, wygrywana

na cymbałach pośrodku sali, ginęła wśród odgłosów klótni janczarów, pisków i chichotu kobiet, krzyków gości domagających się wina i tytoniu. Jedyne palacze opium zachowywali milczenie, przebywając we własnym świecie marzeń i snów. Angelo - pewny siebie, ubrany w czerwony aksamit i czarny jedwab - stanął w progu i powoli omiół spojrzeniem całe wnętrze. Nieznajoma kobieta w błyszczących, wielobarwnych sukniach, jakie upodobali sobie Armeńczycy, podeszła i dotknęła jego ramienia, ale uśmiechnął się i potrząsnął przecząco głową. To może poczekać. W końcu, rozglądając się dookoła, dojrzał wśród rozgorączkowanych, gestykulujących postaci jedną jedyną znajomą twarz i zaczął przepychać się przez cizbę.

Mężczyzna ów, siedzący na wyłożonej poduszkami ławie, ubrany był według islamskiego obyczaju i wyglądał na starszego od Angela o jakieś dziesięć albo piętnaście lat.

- Witaj, bracie - odezwał się korsarz z ukłonem.

Miał na imię Hamid, poznali się przypadkowo. Ale po dziesięciu latach od ich pierwszego spotkania, jeśli nie nazwaliby jeden drugiego przyjacielem, to łączyła ich przynajmniej znajomość oparta na wzajemnym szacunku i przekonaniu o wartości partnera.

- Wina? - zapytał Hamid, wskazując na stojącą na stole karafkę. - Tytoniu? Haszyszu?

Korsarz palił nargile, ustnik miał przyczepiony do długiej, giętkiej rurki zanurzonej w miseczce, w której mógł być tytoń, haszysz albo opium. Angelo przyciągnął zydel i usiadł naprzeciwko Hamida.

- Wina - odpowiedział. - Na razie.

Wziął karafkę i nalał sobie do kubka wina. Po pierwszym łyku napięcie, jakie odczuwał w ciągu ostatnich miesięcy, zaczęło go opuszczać, a wizja dryfującego w wodzie ciała Jehana, która nawiedzała go w snach od czasu pobytu we Florencji, stała się daleka i mało ważna. Tutaj znowu mógł uwierzyć, że los się odmieni, gdy tylko on pstryknie palcem i wszystko będzie tak, jak sobie tego życzy.

- A jakże się sprawuje twój wspaniały statek, bracie? - zapytał korsarz, przyglądając się współnikowi.

W głosie Hamida słyhać było jedynie ślad ironii. Ostatni raz widzieli się na Zante, a tamto spotkanie było dla Angela upokarzające. Zerknął na swego rozmówcę, oczekując niemal

kpin. Ale spojrzenie ciemnych oczu korsarza wyrażało ciekawość i niemal przywiązanie. Nadal też się uśmiechał, ukazując poczerwiałe i połamane zęby. - „Fiametta” jest w dobrym stanie - odrzekł Angelo. Poczł, że czoło i kark ma mokre od potu, chociaż pozbawione szyb okna nie zatrzymywały w sali nagrzanego, zadymionego powietrza. - Jest teraz ciężka od złota, które mam wydać w miastach Lewantu.

W oczach korsarza błysnął jakiś ognek. Dotknął siwiejącego koniuszka brody i spytał:

- Czy mam zatem przygotować na ciebie zasadzkę, bracie? Czy mam wycelować swe działo w twój wspaniały statek i odebrać ci złoto?

Janczarzy siedzący w odległym kącie, zaczęli śpiewać dość fałszywie. Cymbalista wciąż klęczał przy swym instrumencie, ale tylko on słyszał melodię, jaką wygrywał. Ktoś usiadł na ławie w pobliżu Angela i korsarza. Kupiec, jak zawsze ostrożny, przyjrzał mu się uważnie, lecz uznał, iż twarz przybysza nie jest mu znana, a zniszczony europejski kaftan i kapelusz niegodne są uwagi. Jeszcze jeden europejski żeglarz z portu, spragniony wina i towarzystwa chrześcijan, pomyślał Angelo.

- Bracie - odezwał się łagodnie do korsarza. - Wasze słabe *bdtards* nie naruszyłyby kadłuba „Fiametty”, a twoi wychudzeni wioślarze nie zdołaliby jej dogonić.

Hamid uśmiechnął się tak szeroko, że jego ogorzała od słońca i wiatru twarz rozdzieliła się niemal na dwie części.

- Nie pragnąłbym wcale zatopić „Fiametty”, przyjacielu - rzekł. - Wciągnąłbym ją tylko na brzeg, aby rozebrać statek na kawałki i zobaczyć, jak go zbudowano.

Nieznajomy, siedzący w pobliżu Angela, zabrał się z entuzjazmem do butelki czerwonego wina.

Angelo uśmiechnął się równie szeroko i zapytał:

- Czy porzuciłbyś zatem swe galery, Hamidzie?

Korsarz nie pił, palił fajkę, z której wydobywał się zapach tytoniu i haszyszu.

Angelo oddychał ciężkim powietrzem i raz jeszcze pomyślał, że ludzie Wschodu

postępują znacznie rozsądniej niż chrześcijanie. Dzięki haszyszowi czy opium

można było osiągnąć stan błęgiego spokoju, jakiego nie dawał alkohol. Angelo

nigdy nie mógł pojąć przywiązania Jehana do używki, która sprawiała jedynie, że jej niewolnicy stawali się

prostaccy i nieokrzescani. Wino nie dawało tak nagłej przyjemności, owej utraty zmysłów i możliwości pogrążenia się w coś zaskakująco cudownym.

Na to jednak przyjdzie czas później. Istniały pewne przyjemności, w których opium przeszkadzało, a Angelo zamierzał się nimi nacieszyć, jak tylko będzie mógł. W końcu, we Włoszech czekała nań Fiametta, i po powrocie będzie musiał udawać, że ją ubóstwia, przynajmniej do dnia ślubu. Niezbyt to ekscytująca perspektywa: krótkie spotkanie w galerii w domu Nadich przekonało Angela, że to małżeństwo przyniesie mu jedynie finansowe korzyści.

4 Dni galer są policzone, przyjacielu - powiedział korsarz, odkładając na chwilę fajkę. - Nowe statki Europejczyków mogą pływać po morzu w każdą pogodę, o każdej porze roku. Są szybkie i mocne, i nie trzeba utrzymywać setek niewiernych, by siedzieli przy wiosłach. Wkrótce prześcigną i pobiją nasze okręty. My także musimy się zmieniać wraz z upływem czasu, bo w przeciwnym razie zginieemy. Janczarzy zaczęli się kłócić i wyciągnęli wielkie, zakrzywione szable. Rozległ się brzęk tłuczonych naczyń, szcęknięcie metalu. Właściciel gospody poodsuwał spiesznie sprząty ze środka sali, robiąc miejsce dla tancerek. Europejczyk w czarnym kapeluszu siedzący obok Angela zamknął oczy i zaczął z cicha pochrapywać.

- W tutejszym porcie stoi w tej chwili pewien europejski statek - odezwał się kupiec spokojnym i przyjemnym głosem. - Należy do Kompanii Lewantyńskiej. Nazywa się „Garland”.

Tancerki wbiegły na środek sali, furkoczac szkarłatnymi, szmaragdowymi i złotymi strojami, trzymając w rękach ozdobione wstążkami tamburyny. Obok nich, na podłodze usiadł po turecku chłopiec z bębenkiem i przykleknął skrzypek.

Wzrok korsarza spoczął znów na Angelu.

- Nasz przyjaciel z Zante - rzekł powoli Hamid. - Ten Anglik, który oszukał nas na cynie, czy nie tak?

- Tak. Zasięgnąłem języka. - Angelo przejechał dłonią po wilgotnych włosach i rozluźnił tasiemki u kołnierza kubraka. - Stoją tu trzy angielskie statki, ale ich kapitanowie są teraz w Aleppo. Jednak niedługo wrócą.

Kobiety zaczęły tańczyć, kołysząc się i poruszając rytmicznie. Było ich sześć, cztery dorosłe i dwie młodsze dziewczyny,

może czternastoletnie, o identycznym wyglądzie i identycznie ubrane. Wszystkie były Armenkami, miały ciemne włosy i gładką skórę o barwie kości słoniowej, a ich strój składał się z licznych, barwnych spódnic i kaftanów obszytych wstążkami; pobrząkiwały koralikami i bransoletami.

Angelo, nie spuszczać oczu z dwóch młodziutkich dziewcząt na przedzie, wyjaśnił:

- Ten „Garland” to mały statek, wielokrotnie łatany i stary. Ale dwa pozostałe: „Legacy” i „Saviour of Bristol” - to galeony. Oba porządnej konstrukcji, dobre do żeglugi. Zabierz choćby jeden z nich do Afryki, Hamidzie, rozbierz na części i będziesz miał wzór, jak budować swoje w przyszłości. Z pomocą odpowiednio uzdolnionego cieśli, oczywiście.

- Ach! - Korsarz z uśmiechem oparł się o poduszkę leżącą pod ścianą. - Wyławiamy z morza budowniczych okrętów niczym karpie. To właśnie takie zdolne, chrześcijańskie rybki tworzą naszą flotyllę.

Jedna z młodszych tancerek wycofała się, a jej miejsce zajęła kobieta starsza o kilka lat. Klęcząc na podłodze, kołysała ciałem, odchylając się coraz bardziej do tyłu, tak że światło migotało na jej szyi, szczupłej talii i krągłych, pełnych piersiach.

Angelo patrzył, jak gęste, czarne włosy tańczącej dotykają zakurzonej podłogi, niczym wielki, granatowoczarny wodospad falujący i migoczący w świetle świec. Na czole kobiety, jej nagarstkach i kostkach u nóg pobrząkiwały złote i srebrne łańcuszki, a gdy zmrużył oczy, widział tylko kołyszące się złote światełka i owe hipnotyzujące, ciemne jak noc włosy.

W sali powoli zapadła cisza, aż wreszcie słyhać było tylko czyjś ochrypły głos, powtarzający melodię za dwustrunowym instrumentem i nieustające walenie w bęben. Chłopak wystukiwał rytm coraz szybciej, naśladując ruchy Leilah, która pochylała się niżej i niżej, aż dotknęła tyłem głowy podłogi, a jej ciało wygięło się w łuk niczym ciało węża, zanim ten znieruchomieje przed atakiem.

Angelo nie wiedział nawet, kiedy wraz z innymi podniósł się z miejsca, splunął na złotą monetę i przycisnął ją do wilgotnego czoła tancerki. Po chwili Leilah miała czoło i ramiona oklejone małymi, złotymi krążkami. Wyglądała niczym bizantyjska mozaika, kapiąca złotem. Pochylając się nad nią, Angelo zobaczył, iż otoczył ją wachlarz czarnych włosów. Oczy i usta miała

lekko uchylone, a jej cera - biała, niemal półprzezroczysta, przypominała skórę topielicy. Wstrząsnął nim dreszcz. Muzyka ucichła, a Angelo doznał uczucia strasznej pustki.

Gdy odwrócił się ponownie do korsarza, poczuł, że cały jest mokry. Zimny pot spływał mu lodowatym strumyczkiem po plecach.

- Napij się, bracie - odezwał się Hamid, popychając wino w jego stronę. - Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

„To tylko wspomnienia” - chciał odpowiedzieć Angelo, chwytając drżącymi dłońmi karafkę. Wspomnienia o głupcu i pijaku. Nie miał pojęcia, czemu myśl o Jehanie, właśnie o nim, miała tak go dręczyć. A może w owej twarzy topielicy spostrzegł tamto dziecko? Małą Serafinę, zabraną dawno temu z więzienia czy haremu, zawiązaną w worku i wrzuconą do morza?

Nie. Angelo nabrał duży łyk powietrza i przypomniał sobie, że nie tak w końcu potoczyły się losy dziewczynki. Jego kuzynka, podobnie jak wielu innych jeńców chrześcijańskich, umarła na febrę, będąc niewolnicą w jakimś domu niedaleko Oranu. Bóg zabrał ją do siebie, zanim Angelo zdołał zrealizować własny plan. Hamid powiedział to swemu wspólnikowi wiele lat temu.

Napił się wina. Gdy grupa tańczących chłopców zajęła miejsce dziewcząt, korsarz odezwał się z namysłem:

- Jeśli chodzi o „Garlanda”, to nie wystawiłbym dwóch statków przeciwko konwojowi trzech angielskich okrętów. Mielibyśmy słabe szanse, bracie, bardzo słabe.

Angelo najpierw nic mu nie odpowiedział. Prawie zapomniał o „Garlandzie”; wpatrywał się w młodziutkich tancerzy, jakby i on, podobnie jak janczarzy, cenił urodę tych chłopców. Ubrani jak dziewczęta, z długimi, kręconymi włosami, pstrykali palcami i okręcali się w takt muzyki. Turcy wznosili okrzyki podziwu i walili pięściami w stoły. Żeglarz w czarnym kapeluszu położył się na blacie i spał, zupełnie pijany.

Angelo wiedział, że korsarz ma rację, że byłoby głupstwem wystawić „Fiamettę” i korsarską galereę przeciw angielskim galeonom. A jednak ze zdumieniem zauważył, iż niełatwo mu się zgodzić z tym stwierdzeniem. Zdawał sobie sprawę, że klucz do jego sukcesów stanowiła zawsze zimna, trzeźwa ocena. Inteligencja, wdzięk i wygląd były oczywiście niesłychanie ważne, ale wiele zawdzięczał swej umiejętności oddzielenia emocji od

zamierzeń. Gdy ujrzał „Garlanda” w Aleksandrecie, uznał to za dobry znak, za nagrodę, która mu się należała po problemach, jakich przysporzyli mu Charles de Casaulx, Jehan de Coniques i Lorenzo Nadi. A także kapitan angielskiego statku.

- Oczywiście. Byłoby to po prostu samobójstwo - odezwał się w końcu. - Choć angielskie statki będą obładowane jedwabiami i przyprawami, więc powinny płynąć nieco wolniej. A „Fiametta” stałaby się dla nich godnym przeciwnikiem, ręczę ci. Ale zobaczymy, poczekajmy trochę. Jeden ze statków może się odłączyć od konwoju. Może wiatry rozdzieli Anglików - któż to wie? W końcu mogą wieźć cyne z Cypru do Kandii.

Chłopcy skończyli swój taniec. Korsarz przywołał jednego z nich, kiwając nań zgiętym palcem. Tancerz o oliwkowej cerze był drobnej budowy i miał może z dziesięć lat.

- A ty, bracie? - zapytał Hamid, kładąc rękę na upierścienionych palcach chłopca. Angelo pojął natychmiast jego pytanie. Tancerze stali na środku sali, uśmiechnięci, ich twarze błyszczały od potu. Dziewczeta jeszcze nie wyszły, przycupnęły na podłodze pośród swych ciężkich, kolorowych spódnic. Dostrzegł kobietę, której ofiarował złotą monetę: czarnowłosą Leilah, która przez chwilę przypominała mu Serafinę. Nie na niej jednak zatrzymał wzrok, lecz na bliźniaczkach siedzących spokojnie obok. Dziewczeta były drobne, miały ciemną skórę. Serafina by taka była, gdyby on i Bóg się nie wmieszali. Może nadszedł czas, by odprawić egzorcyzmy nad tym widmem?

Angelo potrząsnął przecząco głową i skinął w kierunku armeńskich bliźniaczek.

- Która? - zapytał z uśmiechem korsarz.

- Obie - odpowiedział jego wspólnik i wstał.

Dopiero gdy Guardi i korsarz oddalili się wraz ze swym towarzystwem na tyły tawerny w kierunku małych izdebek oddzielonych kotarami, Europejczyk w czarnym kapeluszu podniósł się i wyprostował, zupełnie trzeźwy.

Miał niebieskie oczy i czarne, kręcone włosy. Wyszedł z tawerny i powlókł się z powrotem cichymi uliczkami, zanim Angelo Guardi zdążył zdjąć z dwóch chichoczących dziewcząt skomplikowane, wielowarstwowe ubiory.

Następnego ranka Thomas Marlowe wyruszył do Aleppo.

Serafina z ulgą pożegnała się z Thomasem. Mogła teraz lizać swe rany w samotności i rozmyślać nad pogmatwanymi uczuciami, które owładnęły nią po powrocie Anglika z Florencji.

Z początku myślała jedynie o Angelu. O kuzynie z czasów dzieciństwa, który ofiarował jej wianek z rozmarynu i powoju, zanim jeszcze ją zdradził. O Angelu z jej ostatniej podróży do Marsylii, którego dotknięcie niemal ją hipnotyzowało, gdy jej oznajmił: „Znalazłem już sposób, by rozwiązać moje problemy”. O Angelu z Florencji, który zostawił na gardle Jehana de Coniques'a czerwoną kreskę.

Ów obraz nawiedzał Serafinę w snach, dołączając się do poprzednich, dobrze znanych koszmarów nocnych. Kiedy budziła się w nocy, rozdygotana, wykrzykując coś stłumionym głosem - wówczas samotność stawała się nieznośna. Thomasie! -słyszała swe własne słowa i obejmowała mocno poduszkę, szukając pociechy. W końcu wstawała i owinąwszy się szalem, szła do pokoju dzieciennego. Nie wyjmowała Francesca z kołyski, patrzyła tylko na niego, ściskając w dłoni świecę, a drugą ręką delikatnie głaskała go po policzku, po małej, ciepłej główce w koronkowym czepku.

Stopniowo zgadzała się, aby Amadeo i Michèle brali na siebie coraz więcej codziennych obowiązków, związanych z działalnością firmy. Amadeo sprawdził się podczas jej nieobecności, Michèle był zaś uczciwy i pracowity. Teraz jej uwagę zaprzętały inne sprawy. Przede wszystkim - Francesco, ale także Maria, córka kurtyzany.

Zgodziła się przyjąć tę dziewczynę pod swój dach, chciała bowiem odwdzińczyć się Constanzy, ale także wziąć odwet na Galeazzu Merlim. Maria przyjechała, gdy Thomas wyjechał do Aleppo i przeszła przez dom niczym tajfun, zmieniając go nie do poznania. Ład, który narzuciła w domu madonna Capriani znikł, książki i pióra gubiły się, by kilka tygodni później odnaleźć się w najdziwniejszych miejscach, rozgardiasz zapanował wśród krzesel, stołów, w korytarzach. Któregoś razu Serafina niemal potknęła się o kotka śpiącego na szczycie schodów, kiedy indziej zaś na ulubionym krześle Jacopa znalazła ptasie gniazdko z piskletami. Na parapetach okiennych i półkach walały się dziwaczne rupiecie z bazaru i z portu: figurka słonia z kości słoniowej, kolekcja srebrnych dzwonków, składany, drewniany kłown dla Francesca.

Ale, ku swemu zaskoczeniu, Serafina przekonała się, że dobrze się czuje w towarzystwie tej dziewczyny, że dzięki niej dom się zmienił, zniknęła wreszcie owa ponura atmosfera, która była dziełem Jacopa. Wypełniony niemowłęcym gaworzeniem i dziewczęcym śmiechem, wydawał się teraz weselszym, szczęśliwszym miejscem. A Maria, młodsza od Serafiny o zaledwie kilka lat, nie była wcale bezmyślnym i roztrzepanym stworzeniem, jakim się wydawała. Dla Francesca była cierpliwa i czuła, stała się też inicjatorką wieczornych pogawędek, kobiecych rozmów - a stanowiły one luksus do tej pory niedostępny dla Serafiny, która nie miała ani siostr, ani przyjaciółek.

Któregoś razu, siedząc z Marią w saloniku, Serafina uświadomiła sobie, że przepełnia ją jakieś nowe uczucie. Przez okno wlewało się zimne, popołudniowe światło. Na dworze mali czeladnicy budowali na rzece zamki z lodu, tak jak co roku, podczas karnawału. Francesco, który już raczkował, próbował stanąć, opierając się o krzesło. Niańka często karciała go i próbowała utrzymać w kołysce, ale Serafina odczuwała pewną przyjemność, obserwując, jak wędruje po pokoju, potykając się niczym niezdamny szczeniaczek. Pod nimi, w kantorze, Amadeo i Michèle uzupełniali księgi rachunkowe. W warsztatach rzemieślniczych w Pizie tkano jedwab dla firmy Capriani.

A gdzieś daleko, o setki mil stąd, Thomas Marlowe płynął na „Zimorodku”, aby kupić jedwabną przędzę i cenne tkaniny, by sprzedać wstążki z Neapolu oraz płótno, które nabyli w Marsylii i Awinionie. Według wyliczeń Serafiny „Zimorodek” miał wrócić do Pizy dopiero za parę miesięcy, nie wcześniej niż w połowie lata. Nagle poczuła, że tęskni za Thomasem, że chciałaby, żeby tu był, by mógł patrzeć, jak jego niebieskooki syn ściąga ze stołu obrus, by mógł posłuchać jednej ze skomplikowanych opowieści Marii o klasztorze. Wówczas cały obraz stałby się kompletny. Otrząsnęła się z takich myśli i powiedziała sobie, że są niemądre. Wszak kiedy znajdą się oboje razem, tylko się kłóć. Thomas jest potrzebny w Lewancie, a ona doskonale sobie radzi sama w Pizie. Nie potrzebuje go tutaj. Nie należy tęsknić za partnerem od interesów.

Podniosła jednak Francesca z podłogi i obsypała pocałunkami jego okrągłą, pozbawioną włosów główkę.

W Aleppo, agent John Keane, wróciwszy do swej izby w gospodzie, odkrył, że ma niespodziewanego gościa.

John wiedział, że zarówno głowa, jak i żołądek nie pozwolą mu usnąć, gdyż wypił zbyt dużo cennego, kandyjskiego wina George'a Dorringtona i roztoczył wizję świetlanej przyszłości czekającej i Lewant, i nowe, Wschodnioindyjskie Kompanie. W gospodzie panowała cisza, na ulicach było ciemno i pusto. Zamknąwszy za sobą drzwi, John położył na stole świecę, rozluźnił tasiemki przy kubraku i zaczął przygotowywać się do nużącej, bezsennej nocy.

Wtedy to usłyszał szmer. Obróciwszy się, sięgnął po sztylet. Ale czyjaś ręka spoczęła na jego dłoni, nie dając mu szansy na wyciągnięcie noża z pochwy, a jakiś głos powiedział cicho:

- To nie złodziej ani nie dżin, który przeniknął przez ściany twojej izby. Nóż nie będzie ci potrzebny, Johnie.

Rozpoznał ów głos natychmiast.

- Thomas Marlowe, na Boga! - zawołał półgłosem i rozluźnił palce, w których ścisnął sztylet. Zmrużył oczy; widział słabo w ciągu dnia, w nocy zaś było jeszcze gorzej.

- Przepraszam, że wtargnąłem tutaj w tak dramatyczny sposób - rzekł wesoło sternik. - Powiedziałem służbie, że jestem Hiszpanem, wędrownym handlarzem wielbłądów. To zdumiewające, czemu niektórzy ludzie dają wiarę.

- Są przecież drzwi - zauważył Keane, odzyskawszy głos i wskazał gościowi krzesło.

Marlowe wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Wiem. Podniosłem zasuwę. Ale nie byłem pewien, czy to twoja izba, czy też Whitlocka. Dlatego ukryłem się za kotarą.

-Aha.

John usiadł i zaczął przyglądać się uważnie przybyłemu. Minął zaledwie rok od chwili, kiedy widział Thomasa po raz ostatni. Wtedy to Marlowe, który mniej więcej wrócił do zdrowia po zaciętej walce na śmierć i życie z Nedom Whitlockiem, oddał Edwardowi pieniądze, które wcześniej pożyczył od Keane'a, by dokończyć budowę „Zimorodka”. Na oczach Johna, oczywiście, który pilnował, by żaden z przeciwników nie wyciągnął z pochwy szpady.

Keane pomyślał, zmrużywszy znów oczy, że Marlowe postarzał się przez ten czas więcej niż o jeden rok. Oceniał go na jakieś trzydzieści lat, ale Thomas wyglądał starszej. Na stole stała

jedna świeczka, której migotliwy płomyk ledwie rozjaśniał ciemności, ale Johnowi wydawało się, że jego gość ma wokół oczu i ust sińce, jakby walka z Nedom Whitlockiem nie była ostatnią, jaką stoczył. John, przypomniawszy sobie plotkę, która dotarła do niego podczas ostatniego pobytu w Livorno, zmarszczył czoło.

- Co cię sprowadza do Aleppo, Thomasie?

- W dużym stopniu to samo, co i ciebie, przyjacielu. Handel. - Marlowe odchylił się do tyłu i położył stopę na kolanie. - Jedwabie, tafty, serże i płótna. Oczywiście w mniejszych ilościach niż Kompania Lewantyńska. Nie mam tylu kontaktów - jak dotąd.

- Chciałbym się dowiedzieć - rzekł John z uśmiechem - co cię sprowadza do mego pokoju, przebranego za hiszpańskiego handlarza wielbłądami - jeśli w ogóle istnieje taki fach. Handel? - Mówił przyciszonym głosem: Ned Whitlock i Izaak Taylor zajmowali sąsiednie izby.

- Niezupełnie - odparł Marlowe. - Choć nie miałbym nic przeciw temu, gdyby ktoś wskazał mi jakiegoś dobrego tłumacza. Mój potwornie się jąka. Ale nieważne. Powiedzmy, że jestem spragniony rozmowy, Johnie. Chciałbym posłuchać plotek o Londynie, o Kompanii, usłyszeć wreszcie własny język.

Keane obserwując go, pomyślał, że te słowa zawierają część prawdy, ale nie całą; na resztę będzie musiał trochę poczekać.

- Mogę przynieść ci wina, jeśli chcesz - zaproponował. - Mamy gdzieś butelkę albo dwie. Ja wypilem już dosyć u Geor-ge'a Dorringtona.

- Dorrington jest teraz konsulem? - Thomas pokręcił głową.

- Pełni obowiązki wicekonsula. Chwilowo. Nasi przedstawiciele w Aleppo zmieniają się niesłychanie często. To ten cholerny klimat. George to dobry człowiek, ale tak piekielnie samotny, że gotów jest za każdym razem zadusić cię swą gościnnością. Napchałem się tureckich słodyczy i opilem ma-derą. - Poklepał się z ponurą miną po brzuchu.

Napięcie, malujące się na twarzy Thomasa, nieco zelzało.

- A zatem Kompanii dobrze się wiedzie, Johnie?

Keane odnotował w duchu interesujące spostrzeżenie - iż dla Thomasa Marlowe'a, choć mieszkał z dala od ojczyzny przez ostatnie trzy lata i pracował dla młodej, ambitnej, owdowiałej Włoszki - angielska Kompania Lewantyńska pozostała po prostu „Kompanią”.

Skiną głową.

- Wiedzie nam się doskonale. Tak naprawdę - przerwał na sekundę, by rozważyć ryzyko - rozważamy założenie drugiej, bliźniaczej Kompanii.

Thomas na chwilę otworzył szerzej oczy.

- Indie? - zapytał.

- Oczywiście. Po wyprawie Fitcha musi to być kolejny krok. Kompania Lewantyńska osiąga wystarczające dochody, by sfinansować takie przedsięwzięcie.

- John milczał przez chwilę, rozmyślając o rozmowie w domu George'a Dorringtona. Potem dodał: - Oczywiście, potrzeba by nam było ludzi. I statków. Marlowe uniósł brwi, ale nic nie odpowiedział.

- Wracaj do Anglii, Thomasie - zaproponował łagodnie Keane. - Wystarczająco długo bawisz z dala od domu. Cztery lata, co?

Marlowe zmarszczył czoło.

- Prawie. „Toby” zatonął jesienią 1593 roku.

Mrok nocy wyrył na twarzy sternika głębokie cienie, od nosa po brodę i między brwiami.

- Wróć do domu - powtórzył John Keane. - Kompania cię potrzebuje. I twego statku także. Jest piękny, Thomasie. Wiedziałem o tym już pierwszego dnia, kiedy mi go pokazałeś. Jest stworzony na większe wody niż Morze Śródziemne.

- A co z Nedom Whitlockiem? - Thomas poruszył temat, który musiał się pojawić. - Gdybym przez pomyłkę znalazł się w jego pokoju, wątpię, czy zabiegałby o moje towarzystwo.

Keane żałował, że tyle wypił. Do tej rozmowy potrzebny był mu świeży umysł. W oczach Marlowe'a malowała się tęsknota.

- Ned - zaczął mówić ostrożnie - nieco się uspokoił. Faith jest znowu w ciąży i mają nadzieję, że urodzi się drugi syn. Podejrzewam, iż gdybyś jeszcze przez jakiś czas schodził mu z drogi, w końcu zacząłby cię tolerować. No i nie widywalibyście się zbyt często, chyba że płynęlibyście w tym samym konwoju. Poza tym... - Przerwał i zaczerpnął powietrza. - Jak długo będziesz się przed mną ukrywał, Thomasie?

Kolejny rok, dziesięć lat? Do śmierci?

Marlowe zacisnął usta, a jego dłoń, spoczywająca na oparciu krzesła, zbiała. Nie odpowiedział od razu, a John Keane uświadomił sobie, że po raz setny zastanawia się, czemu jego rozmówca nie wrócił do Anglii po katastrofie „Toby'ego”. Wiedział jednak, czemu teraz pozostaje we Włoszech.

- Mam inne zobowiązania - odezwał się wreszcie Thomas ponuro, jakby nie sprawiały mu one radości.

- Wiem - rzekł John. - Płynąc tutaj, zatrzymaliśmy się w Livorno. Rozpytywałem tam o ciebie.

Marlowe podniósł głowę i spojrzał nań ze złością.

- I czego się dowiedziałeś?

- Że pracujesz dla jakiejś kobiety o nazwisku Capriani, która zajmuje się handlem jedwabiem.

To, co jeszcze usłyszał, czego nie powtórzył, zawisło ciężko w powietrzu. Złośliwa plotka w Toskanii głosiła, że Thomasa Marlowe'a i madonnę Capriani łączą bliższe stosunki niż zazwyczaj między panią a sługą. Że madonna Capriani jeszcze jako służąca oczarowała kiedyś bogatego starca i wyszła za niego dla pieniędzy. Że po ślubie owa przebiegła suka pozbawiła swego starego męża sił, aż ten umarł w przeciągu roku. Istniała też jeszcze podlejsza plotka, jakoby madonna Capriani otruła męża; mówiono też, że piękna, elegancka madonna Capriani jest czarownicą. Gdyby powtórzył takie opinie, dostałby zapewne pięścią w twarz.

Zmieniając temat rozmowy, John oznajmił:

- Wkrótce będę miał wpływ na działania Kompanii Lewan-tyńskiej. Po powrocie do Londynu żenię się z Dorothy Jenkin-son, a Dolly chce, żebym przejął kontrolę nad udziałami w Kompanii, które odziedziczyła po ojcu. W ten sposób uzyskam wpływ na bieg wypadków i prawo do podejmowania decyzji. Będę mógł wybierać, czyje wyprawy finansować i które statki popierać. Wątpię, żebym sam miał jeszcze pływać - mój wzrok się pogarsza. Ale wciąż chcę twego „Zimorodka”, i chcę, abyś ty na nim pływał.

Zobaczył, że Thomas otwiera usta i szykuje się, by mu odmówić, ale przerwał mu, kładąc na stole swe ostatnie przetargowe karty.

- Pomyśl tylko. Droga lądowa na Wschód jest kiepska, sam o tym wiesz. Za wielu rozbójników i bandytów - nawet Turcy nie mogą zagwarantować karawanom bezpieczeństwa. Musimy szukać lepszych szlaków - wokół Afryki albo obu Ameryk. Potrzebujemy żeglarzy z doświadczeniem i wyobraźnią.

Thomas nic nie odpowiedział, lecz po jego minie Keane wiedział, że sternik nie przebywa już w Aleppo, spowitym w wonie

przypraw, konopi, *kahveh* i wielbłądów, lecz żeglujecie po pustym, bezkresnym oceanie, mając wokół siebie tylko morską wodę i zapach smoły, i gdzie czeka go niekończąca się walka z siłami natury. Niektórzy ludzie tracili od tego rozum, inni zaś popadali w uzależnienie, tak jak palacz uzależnia się od opium.

- Nie - odrzekł nagle Marlowe i potrząsnął głową. - Przykro mi, Johnie. Cieszę się, że dobrze ci się wiedzie, cieszę się z powodu Dorothy i życzę Kompanii Wschodnioindyjskiej samych sukcesów. Ale mam zobowiązania w Toskanii - przynajmniej w tej chwili.

Mówił stanowczym, mocnym głosem, ale Keane wiedział, że zmusił Thomasa, by się zastanowił, komu tak naprawdę chce być wierny. Przypatrując mu się, John pomyślał także, że owe plotki, które do niego dotarły, są prawdziwe. Thomas i owa Włoszka - zdziwił się lekko. To z jej powodu Marlowe odrzucił propozycję.

A zatem pozwólmy Thomasowi marnotrawić swój talent na Morzu Śródziemnym jeszcze przez jakiś czas. Pozwólmy, by zatęsknił za oceanem, za wolnością, za niezależnością, którą może dać mu Kompania Wschodnioindyjska.

Marlowe wstał nagle.

- Posłuchaj, Johnie, to nie jest wizyta towarzyska, jak się zapewne domyślasz.

Przyszedłem tutaj, by cię ostrzec - w podzięce za to, że wtedy, w Livorno, wyłowiliś mnie z morza.

Keane rzucił mu baczne spojrzenie. W głowie mu się rozjaśniło, choć żołądek wciąż się buntował.

- Ostrzec mnie?

- Tak. Posłuchaj, kiedy w zeszłym roku popłynąłem dla ciebie na Zante, miałem tam pewną przygodę z innym statkiem. Francuskim.

Opowiedział pokrótce o gubernatorze Carcadelli, o cynie i korsarskiej galerze.

Kiedy skończył, John Keane odezwał się, zmarszczywszy czoło:

- Wszyscy wiemy, że teraz nie obowiązują żadne zasady. Niestety, chrześcijanie bardzo często napadają na statki innych chrześcijan, jak sam mi kiedyś wspominałeś, Thomasie. Ale muszę przyznać, że raczej rzadko zdarza się słyszeć o chrześcijanach, którzy pomagają Turkowi w piractwie.

- Chodzi o to - odrzekł cicho Thomas - że owa „Fiametta” stoi obecnie w porcie w Aleksandrecie. Podobnie jak turecka galera.

John Keane zaklął.

- I? - zawiesił głos.

- I podśledzałem arcyciekawą rozmowę messera Guardiiego z jego muzułmańskim przyjacielem. Messer Guardi żałuje, iż stracił wtedy cynę. Messer Guardi wyraża spore zainteresowanie ładunkiem „Garlanda”.

Keane wlepił wzrok w swego rozmówcę i zastanawiał się gorączkowo.

- A czy on wie, że zmienił się kapitan?

Opierając się o rzeźbiony parawan, Thomas wzruszył ramionami.

- Oczywiście, że nie. Więc bądź ostrożny w drodze powrotnej do domu. Może się okazać, iż nie obędzie się bez przygód. - Urwał, zbierając się do odejścia. Po chwili jednak dodał: - Oczywiście, jest inny sposób.

- ...jest taka słodka - zachwyciła się Maria Garzoni. - Prawda, Serafino?

Obiektem jej uniesień była zręczliwa, łysiejąca papuga, która wyrwała sobie po kolei wszystkie barwne pióra z ogona, znudzona siedzeniem na pręcie w rogu targowiska.

- A ten człowiek chce za nią tylko dziesięć dukatów! - dokończyła z triumfem dziewczyna.

Spojrzała z niepokojem na Serafinę. Zima ostatnio nieco zelżała: w dachówkach i kamieniach, którymi wyłożone były ulice, odbijały się słabe promienie słońca, pierwsze wiosenne kwiaty kołysały się na lekkim wietrze. Lepsza pogoda sprawiła, że większość mieszkańców Pizy wyszła z domów, by pogawędzić na rogach ulic i potargować się o warzywa na targu. Maria odetchnęła głęboko rześkim powietrzem, zwiastującym wiosnę, i znów zapatrzyła się na papugę.

- Wszystkie pisklęta zdechły, a Leo spędza większość czasu na polowaniach - zauważyła ze smutkiem.

Leo był to kot, którego ofiarował Marii William Williams, zanim popłynął do Aleppo. Kolejne szkarłatne pióro spadło na ziemię, a papuga zakłęła.

- Leo nie polubiłby papugi - rzekła przebiegle Serafina. -Być może miał też coś wspólnego ze śmiercią piskląt. I pomyśl tylko, jakiego słownictwa mógłby nauczyć się Francesco.

- Cóż, pewnie tak. - Maria nie potrafiła długo się smucić. -Chociaż Thomas polubiłby ją na pewno. Żeglarze lubią papugi.

- Żeglarze - odpowiedziała stanowczo Serafina - lubią mieć trochę spokoju po długiej podróży, a nie patrzeć na jakieś hałaśliwe ptaszysko, które rzuca przekleństwami za każdym razem, gdy się wchodzi do pokoju.

Maria dała się odciągnąć od papugi w kierunku kramu ze wstążkami. Obserwowała, jak Serafina dotyka jedwabnych i aksamitnych tasiemek, niecierpliwie odkłada kolejne kłębki i grzbie w połyskujących zwojach. Potem zapatrzyła się w niebo, po raz pierwszy od wielu tygodni bezchmurne, i powędrowała myślami do „Zimorodka”. Ileż. to jeszcze czasu minie, zanim galeon przybędzie do Pizy? Na pewno całe miesiące. Maria i William Williams postanowili się pobrać, gdy statek wróci z wyprawy. Nie mówili jeszcze o tym Constanzy, bo zmartwiłaby się i uznała, że córka jest za młoda do małżeństwa. Marii wydawało się, że matka ciągle się teraz martwi. Próbowwała sprawić jej radość częstymi wizytami i drobiazgami, które dostawała od Serafiny - kawałkiem koronki z Neapolu albo jedwabiem z Ormuz. Któregoś razu Constanza miała podbite oko i siniak na twarzy. Maria objęła czule matkę i zrobiła jej okład na oko, ale nie pytała, skąd się wzięły siniaki. Dziewczyna wiedziała, że są sprawy, o których matka nigdy jej nie powie.

Naraz usłyszała obok siebie kroki i czyjś głos wymówił jej imię. Odwróciwszy się, z początku nie poznała mężczyzny, który zatrzymał się koło niej, ale gdy spojrzała na niego raz jeszcze, wiedziała już, że to messer Merli, przyjaciel mamy.

Mężczyzna zdjął z głowy zamaszystym ruchem kapelusz ozdobiony piórami.

- Witam parną, madonna Garzoni. Cóż za miła niespodzianka. Był postawnym, łysem mężczyzną, kosztownie odzianym. Maria uśmiechnęła się, ponieważ uśmiechała się do wszystkich.

- Dzień dobry, messer Merli - odrzekła i dygnęła.

- Madonna Garzoni - Mario - czy mogę tak się do pani zwracać? Myślałem, że może pani o mnie zapomniała. - Messer Merli też się uśmiechał. - Nigdy cię nie ma, gdy odwiedzam twą matkę.

- To dlatego, że mieszkam teraz u madonny Capriani - wyjaśniła chętnie Maria.

- Wiem. - Głos bankiera brzmiał łagodnie i życzliwie. Jego wzrok przesunął się na Serafinę, dyskutującą z właścicielem straganu o jedwabnych dodatkach i krytykującą jakość wystawionego towaru. - Nie wiedziałem, że wasze rodziny się przyjaźnią.

- Och, tak! - Maria przyjaźniła się teraz z połową miasta, a Serafina, w zastępstwie biednej siostry Esmeraldy, stała się jej najlepszą przyjaciółką.

Próbowała wyjaśnić messerowi Merliemu, który wydawał się zdezorientowany, łączące ich stosunki.

- Messer Marlowe - on pływa na „Zimorodku” na zlecenie madonny Capriani - jest przyjacielem mamy. Madonna Capriani ma małego, kochanego synka, nazywa się Francesco, i szukała kogoś, kto by pomógł nim się zajmować.

- Praca piastunki? - messer Merli uniósł lekko brwi. - Taka piękna, młoda kobieta jak ty nie powinna pracować.

Nigdy nie uważała zabawy z dzieckiem za pracę.

- Francesco jest kochany - oświadczyła stanowczo. - Jestem szczęśliwa, że mogę dotrzymywać mu towarzystwa.

Messer Merli znów się uśmiechnął.

- Oczywiście - powiedział życzliwie. - A czy chowa się zdrowo? To jedyny syn madonny Capriani, o ile wiem?

Niedaleko od nich skrzeczała papuga, grzechotała też żelaznym łańcuchem, którym była przypięta do żerdki. Dziewczyna pomyślała o malcu, który oprócz Williama i mamy był największą radością jej życia.

- Jest bardzo zdrowym dzieckiem - odrzekła. - Tak, to jedyny syn madonny Capriani. Widzi pan, jej mąż zmarł na kilka dni przed narodzinami Francesca.

Gdy Maria po raz pierwszy o tym usłyszała, owa smutna historia wywarła na niej wielkie wrażenie. Zresztą madonna Capriani, kiedy Maria przybyła do jej domu, wydawała się taka nieszczęśliwa. Maria więc często rozmawiała z Serafiną, zachęcała ją do zabaw z dzieckiem i stopniowo madonna Capriani odzyskała dobry humor. A teraz czasami się nawet śmieje. A kiedy messer Marlowe wróci do domu, Serafina Capriani będzie bardzo szczęśliwa, myślała Maria. Bardzo lubiła messera Marlowe'a.

- A ten dzieciak - Francesco - spytał jakby od niechcenia messer Merli. - Czy jest podobny do matki?

Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę.

- Ma ciemne włosy, takie jak madonna Capriani - odrzekła, wyobraziwszy sobie małą, okrągłą buźkę Francesca. - I jej nos i usta. Ale ma niebieskie oczy.

- Doprawdy? - Spojrzenie mężczyzny powędrowało w stronę Serafiny, która właśnie wkładała zwitek tasiemek do koszyka. - To bardzo ciekawe.

Słońce skryło się za chmurą. Barwy bazaru straciły żywy odcień, szkarłat przemienił się w purpurę, złoto w ochrę. Messer Merli, wzięwszy Marię za rękę, zaczął wodzić kciukiem po wewnętrznej stronie jej dłoni w rękawiczce.

- Widziałem wczoraj twoją matkę - powiedział. Przyglądał się uważnie twarzy i całej sylwetce dziewczyny. - Źle wyglądała.

Miała ochotę wyrwać mu dłoń, ale ścisnął ją mocno.

- Mama? - zapytała z niepokojem. - Chora? Co pan chce przez to powiedzieć, messer Merli?

Podniósł jej dłoń do ust.

- Chcę przez to powiedzieć, że winnaś zatroszczyć się o zdrowie matki, Mario. Może warto, abyś pomyślała o tym, że Constanza już niedługo nie będzie mogła pracować.

Musnął ustami koniuszki jej palców, a potem obsypał pocałunkami jej dłoń. Maria zamarła, nie mogąc się ruszyć. Po chwili usłyszała znajomy kobiecy głos:

- Czas iść do domu, Mario. Tutejsze towarzystwo nie zawsze mi odpowiada.

W słowach Serafiny zadźwięczał stalowy chłód; towarzyszyło mu zawodzenie wiatru, który rozwiewał liście i śmieci, zalegające pod straganami.

- Czego chciał ten człowiek? - zapytała ostro Serafina.

Maria potrząsnęła głową. Poczula, że cała drży i chociaż zupełnie nie rozumiała, czego chciał messer Merli, to wzbudził w niej lęk.

- Pytał, gdzie teraz mieszkam - szepnęła. - Pytał o Francesca. I powiedział, że mama jest chora.

Zobaczyła, że madonna Capriani groźnie marszczy brwi. Wyglądała na jeszcze bardziej zagniewaną niż wtedy, kiedy jakiś rzemieślnik pracujący dla niej użył nici jedwabnej gorszego gatunku. Marię zapiekły oczy od łez.

- Twoja matka czuje się dobrze - odrzekła stanowczo Serafina. - Sama ją wczoraj widziałam. Jest tylko troszkę zmęczona-

na, to wszystko. Ale nie powinnaś rozmawiać z messerem Mer-lim, Mario. To zły człowiek.

Marię paliła ręka w miejscu, gdzie dotknęły jej usta bankiera. Miała ochotę zdjąć rękawiczkę i wbić ją obcasem w ziemię. Kilka łez spłynęło jej na policzki.

- Zapomnij o nim - powiedziała łagodnie przyjaciółka. - Nic złego się nie stało. Wzięła ją za ramię gestem wyrażającym otuchę i pociechę. Maria wytarła łzy wierzchem dłoni.

- Poza tym, chyba miałyśmy jeszcze coś kupić? Na przykład papugę? - dodała Serafina.

Gdy „Fiametta”, statek Angela Guardiego, zbliżała się do Cypru, morze przypominało kawałek starego szkła. Gładkie i przejrzyste, pokryte było niezliczonymi, drobnymi falami.

Spoglądając na morze z mostka „Fiametty”, Angelo stwierdził, że są niemal widoczni z tego głupiego „Garlanda” należącego do Angielskiej Kompanii Lewantyńskiej. Kiedy opłynie następny cypel, zobaczy ów mały, ciężki statek, którego działo ma zasięg dwa razy mniejszy niż dzieląca ich odległość.

Ledwie wierzył własnemu szczęściu, obserwując, jak „Garland” wypływa samotnie z portu w kierunku Cypru, zaś pozostałe statki z konwoju, „Legacy” i „Saviour of Bristol” ruszają na południe, w stronę Aleksandrii.

Doszły go słuchy, iż ponoć wybuchła kłótnia. Kapitan „Garlanda” chciał sprzedać swój ładunek cyny i płótna na Cyprze w zamian za miód, terpentynę i ałun, zaś kapitanowie „Legacy” i „Saviour of Britain” woleli uczynić to w Aleksandrii, słynącej z doskonałej bawełny. Kapitan „Garlanda”, człowiek porywczy, stracił panowanie nad sobą, zaczął wrzeszczeć i wymachiwać pistoletem, aż wszyscy, którzy mieli trochę rozumu w głowie, zeszli mu z oczu. Wypłynął wówczas w pojedynkę w stronę Cypru, zaś kapitanowie „Legacy” i „Saviour of Britain” wyruszyli, w posepnych humorach, na południe, do Aleksandrii.

Messer Guardi przygotowawszy spiesznie statek do podróży, popłynął za „Garlandem”, zachowując jednakże rozsądną odległość. Za „Fiamettą” zaś ruszył statek korsarski, który dzięki wioślarzom mógł rozwinąć większą prędkość w ostatniej, decydującej chwili. Pod lawendowym bezchmurnym nie-

bem Angelo niepostrzeżenie podążał w ślad za swą ofiarą, płynąc wokół Cypru. Po pobycie w Aleksandrecie był odprężony i w dobrym nastroju. Załatwił drobne interesy, zawarł korzystne kontrakty i zaczął już ustalać ceny na bele jedwabiu, które miała przywieźć następna karawana wielbłądów. Gdy wraz z korsarzem dogoni „Garlanda”, uwiężą go obaj w śmiertelnym uścisku -i Angelo zabierze ładunek, a Hamid załogę statku. Jutro wróci do portu i sprzeda łupy, dzięki czemu będzie mógł spłacić długi, do których nie przyznał się przyszłemu teściowi. Potem, oczywiście pod warunkiem że w Aleppo dokona udanych transakcji, będzie miał zapewnioną przyszłość.

Było późne popołudnie. Płynęli od samego świtu. Teraz słońce, przypominające mały, różowy dysk, opadało coraz niżej i niedługo zniknie za horyzontem. Nie będzie dłużej czekał, na wypadek gdyby „Garland” miał zawinąć do jakiejś rybackiej wioski po drodze do Kireonii.

Opierając się łokciami o rzeźbioną barierkę, Angelo pomyślał o owych armeńskich dziewczętach. Spędził trzy rozkoszne noce w ich towarzystwie i na pożegnanie sownie je wynagrodził. Raz jeszcze pomyślał, że w krajach islamskich panują rozsądne obyczaje. W Aleppo mógłby założyć turban i miałby cały harem takich klejnocików.

Okrążając cypel, Angelo dostrzegł „Garlanda”. Galeon był teraz niemal w ich zasięgu, a jego sylwetka rysowała się wyraźnie na tle różowego słońca, niczym wycięta z czarnego papieru. Krzyknąwszy do kanoniera, Angelo rozkazał swym ludziom oczyścić pokład strzelniczy i przygotować armaty.

Wytoczono do przodu działa, a artylerzyści zaczęli wpychać proch do luf. Działa były porządne; wykonano je z brązu, o lufach bogato zdobionych tłoczeniami i ślimacznikami. Messer Guardi wydał na nie bardzo dużo pieniędzy.

Cały czas stał na mostku, zupełnie spokojny, lekki wiatr rozwiewał mu włosy. Uśmiechał się: „Garland”, ciężki od cyny, kołysał się na falach niczym niepodejrzewający niczego ptak, do którego mierzą myśliwi. Prawie bezwietrzna pogoda sprzyjała napastnikom, gdyż angielski statek nie mógł rozwinać większej prędkości przy słabym wietrze. Szerokie żagle „Fiametty” łapały każdy podmuch, zamieniając go w pęd. Za rufą Angelo

widział statek korsarski, z każdą minutą coraz większy. Pięćdziesiąt wiosel zanurzało się i podnosiło równocześnie, galera sunęła w kierunku dwóch galeonów cicho i sprawnie.

Kanonier krzyknął do swego kapitana, że „Fiametta” gotowa jest do bitwy. Angelo skinął głową i poczuł, jak pokład drży pod ciężarem przetaczanego działa. Kula uderzyła w wodę, nie osiągnąwszy celu, ale Angelo zachował spokój. Zamierzał przestraszyć „Garlanda”, pokazać Anglikom, że wszelki opór i walka są daremne, a jeśli kapitan i załoga pragną ująć z życiem, muszą się poddać. Wcale sobie nie życzył walki. Chciał tylko cyny, a Hamid potrzebował niewolników.

Ale żeglarze z „Garlanda”, którym musiał z pewnością wystarczyć jeden rzut oka, by przekonali się, że „Fiametta” góruje nad nimi wielkością i uzbrojeniem, nie dała znaku, iż się poddaje. Odpowiedzieli błyskiem pomarańczowej latarni i chmurą białego dymu, w powietrze wyleciała też kula armatnia, która spadła całkiem niedaleko burty „Fiametty”.

Na „Garlandzie” dostrzegli zapewne korsarską galere, pomyślał Angelo. Żeglarze z angielskiego statku wiedzieli, że walczą nie tylko o środki do życia, ale o wolność i religię. Angelo uśmiechnął się szerzej. Zupełnie jak podczas gry w szachy: kolejny ruch w partii, która rozpoczęła się ponad rok temu na Zante.

Na „Fiamecie” rozległ się kolejny grzmot, obwieszczający odpalenie działa, a zaraz po nim dał się słyszeć głuchy odgłos i trzask łamiących się desek na pokładzie strzelniczym. Z twarzy Angela zniknął uśmiech, gdy zobaczył wydobywający się z otworów strzelniczych dym, który przysłonił oświetloną promieniami zachodzącego słońca sylwetkę „Garlanda”.

Gdy zbiegł po schodkach z mostka na pokład strzelniczy, buchnęły mu w twarz gorące płomienie. Schwycił stojącego najbliżej żeglarza i potrząsnął nim.

- Pękły liny przytrzymujące dział, panie kapitanie! - Jego twarz usiana była czerwonymi i czarnymi plamami - od żaru i dymu. - Przygniotło dwóch ludzi...

Ogień już przygasał, Bogu dzięki, pożar wybuchł tylko w rogu drewnianego pokładu. Angelo dostrzegł strzępy popalonych ubrań i bezładnie splątane kończyny, które ledwie przypominały ludzkie ciała. Schwyciwszy, jak i pozostali, wiadro z wodą, wylał je na płomienie.

W końcu ogień zasyczał i zgasł, a dym począł się rozrzedzać, Angelo mógł więc rozejrzeć się po pokładzie. Zobaczył, że liny, którymi powiązane było jego wspaniałe działo z brązu, aby zminimalizować szarpnięcia, pękły i wążąca pięćset funtów armata potoczyła się do tyłu, rujnując część pokładu i przygniatając dwóch ludzi. Przyczyną pożaru była przypadkowa iskra, która spadła na zwój płótna żeglarskiego, porzuconego przez kogoś niedbale w tym miejscu.

Gdyby płomienie dosięgły beczek z prochem, stojących zdecydowanie za blisko działa - wówczas wybuch rozłupałby statek na dwie części.

Messer Guardi, wodząc wzrokiem po zniszczonym pokładzie, poczuł, że ogarnia go zimny gniew, połączony z lękiem, co przypominało mu, niestety, mdłości, jakich doświadczył we Florencji, gdy oglądał nagie zwłoki Jehana. Strach był dla niego nowym uczuciem. Wskazywał mu, że chociaż Angelo zawsze wszystko planował, to jednak w jakiś sposób przecenił swe możliwości i wydarzenia zaczęły wymykać mu się spod kontroli.

Artylerzysta wskazał na dwóch ludzi uwięzionych pod działem.

- Co mamy robić, panie kapitanie?

Gdyby to były ranne psy albo konie, pomyślał Angelo, mógłbym poderżnąć im gardła. W końcu na nic więcej nie zasługiwali, skoro nie zajmowali się działem, jak należało.

- Dajcie każdemu po pół litra brandy i niech leżą, aż dotrzemy do portu - polecił sucho. - Nie będziemy teraz podnosić działa.

Wiedział, że ci dwaj w ciągu godziny umrą na skutek wstrząsu i upływu krwi. Nie da się przeżyć z takimi ranami.

Wspinając się na główny pokład, zawołał do artylerzysty:

- Przygotujcie znów działo! Następnym razem macie dobrze mierzyć w burty galeonu!

Rad był, że mógł opuścić piekło, jakim stał się teraz pokład strzelniczy. Uszy pękały mu od hałasu, który czyniła armata, i od wrzasków rannych. Nie mógł złapać tchu, zupełnie, jakby przed chwilą odbył długi bieg, ale wytłumaczył sobie, że to z powodu cuchnącego powietrza na dolnych pokładach oraz zapachu krwi, dymu i saletry. Nabrawszy w płuca świeżego powietrza i otarłszy twarz z sadzy, Angelo wbił wzrok w morze.

Z początku myślał, że to fatamorgana lub jakaś sztuczka blednącego, lewentyńskiego słońca albo też dziwny cień rzucany przez zachodzące słońce. Gdy jednak zamrugał parę razy powiekami i wytarł szare od sadzy łzy, przekonał się, że to, co widzi, to rzeczywistość: koszmar, upiorna rzeczywistość.

„Garland” bowiem nie był już sam. Naprzeciw „Fiametty” płynęły teraz dwa inne statki: „Legacy” i „Saviour of Bristol”.

Angelo domyślił się od razu, co się stało, i nie mógł się z tym pogodzić. Oszukali go: w jakiś sposób angielski statek przejrzał jego zamiary i umyślnie wyruszył w drogę, żeby odplacić się mu za poprzedni atak na „Garlanda” na Zante. Te dwa większe galeony zapewne zmieniły kurs, gdy tylko wypłynęły na tyle daleko od portu, że nie można ich było dostrzec, i okrążyły Cypr od południa. „Garland” zaś specjalnie wlokł się powoli, aby dwa pozostałe mogły na czas dotrzeć do północnego wybrzeża wyspy. Angelo, zacisnąwszy pięści, stwierdził, iż nie może znieść myśli, że ktoś go przechytrzył.

Po chwili jednak nie miał już czasu do namysłu. Krzyknął na swych ludzi, wydając im rozkazy. Usłyszał, że przygotowują działą z niespotykaną szybkością i zobaczył, że wszyscy na pokładzie podnoszą i ładują arkebuzy. On sam miał także muszkiet, szpadę i nóż. Spojrzawszy do tyłu, zobaczył, iż również załoga galery zauważyła „Legacy” i „Saviour”. Na jego oczach dziób ozdobiony niebieskimi girlandami odwrócił się pod wiatr i popłynął z powrotem, w stronę Aleksandretty. Przeklinając Hamida i wszystkich jego braci, Angelo usłyszał okrzyk rozpacz, jaki na „Fiamecie” wydały trzeszczące deski i łomoczące żagle. On jednak nie zawrócił i nie uciekał jak korsarz.

Walili w siebie kulami, które, wpadając do wody, zakłócały spokojną toń. Jedna z nich uderzyła w „Legacy”, inna pozbawiła „Garlanda” wierzchołka bukszprytu. A po chwili któraś z kul wystrzelona z „Legacy” trafiła w kadłub „Fiametty”.

Nic nie powinno się było stać. Kula ześlizgnęła się po burcie i wpadła do wody.

Gdyby belki, z których zbudowano statek, były dobrej jakości, gdyby szpary między nimi właściwie uszczelniono w suchym doku, istotnie nic by się nie stało. Jednak warstwa desek zadrżała, trzasnęła i runęła do morza. Angelo, podbiegłszy do burty, zobaczył, że morze, które wydawało się tak spokojne i gładkie, podnosi się i wciska w zniszczony

kadłub „Fiametty”, belki odpadają, jakby były tylko słabo przyklejonymi drewniakami, a woda wlewa się przez otwory. Od pierwszego dnia, tuż po zwodowaniu, konstrukcję „Fiametty” osłabiała woda, tak że teraz statek niemal z radością powitał wdzierające się fale. Gdy Angelo zbiegł na dół, by ocenić zniszczenia, dosłyszał ów straszny odgłos, jakie wydaje morze wciskające się w głąb statku, ciągnąc go ze sobą na dno.

Biegąc z powrotem na górę po niekończących się schodkach, Angelo usłyszał własny krzyk. Sam nie wiedział, co krzyczy; wydawało mu się, że to głos „Fiametty”, opierającej się beznadziejnie złemu losowi, który w końcu zwyciężył. Uratował się dzięki instynktowi, całe życie bowiem poświęcił jednemu celowi: aby przetrwać. Gdyby pozwolił sobie na minutę namysłu, utonąłby jak cała reszta załogi.

Gdy był już w wodzie, dostrzegł w bliskiej odległości od siebie jakąś beczułkę, unoszącą się na falach. Trzymał się jej kurczowo jeden z jego ludzi. Beczułka nie utrzymałaby ich dwóch, więc Angelo wyciągnął zza pasa nóż i zadźgał mężczyznę, zanim jeszcze tamten zdążył się rozejrzeć. Jego ręce zwolniły chwyt, przejrzysta, niebieska woda wokoło nabrała czerwonej barwy; Angelo zaś oparł się na beczce. Za jego plecami „Fiametta” wraz z całym złotem Lorenza Nadiego nieubłaganie pogrążała się w morzu. Korsarska galera zniknęła już z zasięgu wzroku. Trzy angielskie statki, osiągnąwszy swój cel, chowały działa. Wkrótce na morzu zapadła cisza, a zachodzące słońce oblewało purpurową poświatą cypryjskie wybrzeże. Nie będąc wprawnym pływakim, Angelo pozwolił, by fale wyrzuciły go wraz z beczułką na jakąś srebrzystą plażę, gdzie zasnął.

Część czternasta

1597

TOWARY WYSZUKANE I ZBYTKOWNE

Zabierz ze sobą tylko to, co prawdziwie dobre,
bowiem towary wyszukane i zbytkowne,
a wraz z nimi i ty sam, spotkania się z potępieniem.

ZAPISKI Z ODKRYCIA DROGI PÓŁNOCNO-WSCHODNIEJ
RICHARD HAKLUYT

Morze Śródziemne przypominało zatłoczony staw, po którym pływało kilka niedużych, drewnianych łodzi. Wiadomość o zatonięciu jednej z nich natychmiast rozchodziła się wokół niczym kręgi na wodzie, a powtarzana przez plotkarzy nabierała wyrazistości i mocy.

Dla Edwarda Whitlocka i Johna Keane'a, pływających pod banderą Angielskiej Kompanii Lewantyńskiej, zatopienie „Fiametty” było tylko jednodniowym zajęciem, koniecznym, by móc dalej prowadzić handel. Dla Neda także kolejną historią, którą będzie mógł opowiedzieć synowi po powrocie do Londynu, a dla Johna kolejnym powodem, by pogodzić się z myślą, iż coraz gorzej widzi i szczęśliwie już niedługo nie będzie musiał w ogóle wypływać w morze.

Dwa miesiące później, w dokach w Aleksandrii, Thomas kierujący załadunkiem tkanin na „Zimorodka”, usłyszał ową wiadomość. Jeden z jego rodaków, przekrzykując odgłosy młotków i pił oraz brzęczenie much, przekazał mu najnowszą plotkę. Anglik uczcił owo zwycięstwo butelką wódki; Thomas, kręcąc przecząco głową, potrząsnął tylko pięścią i odrzucił zaproszenie, oddając w ten sposób honory zwycięskiemu morzu. Potem zaczął ponaglać swych ludzi, chcąc jak najszybciej wrócić do Włoch i do Serafiny.

Wieści rozchodziły się powoli i nie dotarły jeszcze do odległych wybrzeży Włoch. Lorenzo Nadi, zaglądając do kalendarza, zasepił się nieco. A Serafina Guardi, kołyszając w ramionach swego rocznego synka, zajmowała się tylko teraźniejszością, zaniechawszy zupełnie myśli o przeszłości czy przyszłości.

Pewnego majowego dnia żebrak Jules Crau poszedł wraz z córeczką Isabelle do kościoła Świętego Ducha w Aix-en-Provence. Plotka głosiła, że rektorzy i kwestarze z tego kościoła mają rozdawać ubogim chleb, a Jules, widząc martwy wzrok córki i jej nóżki chude jak patyczki, postanowił wyruszyć do Aix.

Na bezchmurnym, niebieskofioletowym niebie świeciło słońce. Przeżyli zimę - ledwo, ledwo. Wielu innym się nie udało. Jules czuł na ramionach kruche, leciutkie ciało córki, która trzymała się chudymi rączkami jego głowy. Kiedyś zbierał dla niej stokrotki i śpiewał piosenki. Dzisiaj, mimo blasku słońca, uznał, że już nie potrafi. Dręczyły go głód i rozpacz; chwilami stawianie kolejnych kroków stawało się wysiłkiem ponad jego możliwości i nawet ciało Isabelle wydawało się nieznośnym ciężarem.

W kościele Świętego Ducha pachniało kadzidłem i niemytymi ciałami zgromadzonych nędzarzy. Wysokie, poczerniałe ściany ozdobione były rzeźbami. Przez witrażowe okna wpadało jasne słońce. Chyba cała Prowansja, pomyślał ze zdziwieniem Jules, przybyła tu, by żebrać o kromkę chleba. Isabelle stała obok ojca, który trzymał ją za małą, wychudzoną rączkę. Z jej oczu zniknął ów wyraz martwoty - dziewczynka wyglądała na przestraszoną.

Jules nie widział rektorów ani kwestarzy, wiedział jednak, kiedy przyniesiono chleb, gdyż nowy zapach, słodki i ciepły, przytłumił woń kadzidła i potu. Później zaś ludzie zaczęli przesuwać się do przodu, najpierw pojedynczo, potem grupami zlewającymi się w jedną masę: ogromną, nie do opanowania rzeszę głodnych mieszkańców Prowansji.

Jules uświadomił sobie nagle grożące im niebezpieczeństwo, którego wcześniej nie przewidział. Próbował podnieść Isabelle do góry i posadzić ją sobie znów na ramionach. Ale nie mógł się schylić, nie mógł uwolnić rąk, które w panującym tłoku miał przyciśnięte ciasno do tułowia.

- Belle! Belle! - zawołał łamiącym się głosem, ale nawet ten okrzyk rozpaczony utonął w tłumie, stłumiony naporem ludzi kłębiących się wokół. Poczuł, że małe paluszki wysuwają mu się z ręki, i nie mógł nic zrobić, aby je przytrzymać, by przyciągnąć do siebie istotę, która była mu droższa od własnego życia.

Później obliczono, iż tego dnia w Aix zgromadziło się ponad tysiąc dwustu biedaków, spragnionych chleba. Kiedy w końcu zdołano wyprowadzić tłumy z kościoła, okazało się,

że zginęło tam siedmioro kobiet i dzieci, które się podusiły bądź zostały stratowane na śmierć.

Jedną z owych siedmiu ofiar była Isabelle, córka Julesa Craua.

Angelo, odbywszy podróż na cypryjskiej łodzi rybackiej, kreteńskiej barce, a w końcu na statku kupieckim, należącym do jednego ze swych rodaków, znalazł się we Włoszech w czerwcu.

W Neapolu, w wynajętej izbie, w jaskrawych promieniach słońca wpadających przez zakurzone okiennice, napisał długi, zawadiacki list do Lorenza Nadięgo. Wiedział, że nic w ten sposób nie osiągnie, ale postanowił przynajmniej spróbować. Bankier najprawdopodobniej zażąda, by messer Guardi oddał mu równowartość zatopionych dukatów, jak również cofnie zgodę na małżeństwo swej córki z Angelem.

Skrobiąc na dole podpis, młody człowiek przestał pisać na chwilę i zamyślił się głęboko. Napisał także osobno do Fiametty - była to bardziej udana epistoła, w której przedstawił cały swój ból w kilku odpowiednio dobranych zwrotkach wiersza. Ale znów musiał przyznać przed samym sobą, iż jego starania pójdą z pewnością na marne. Gdyby Fiametta Nadi była równie namiętna jak jej matka czy siostra, wówczas mógłby zyskać nad nią jakąś władzę. Ale jest zimną, nieprzystępną kobietą i nie spodziewał się, że dostanie od niej jakąkolwiek odpowiedź. Fiametta Nadi i marzenia, do niedawna przez nią uosabiane, były dlań nieodwołalnie stracone, podobnie jak statek, noszący jej imię, z którego została teraz kupka połamanych desek na jakimś odległym brzegu. Napisał do tej dziewczyny tylko dlatego, że wiedział, iż musi być sumienny do końca i wykorzystać wszelkie możliwości.

Poza tym nie był tak całkowicie uzależniony od łaskowości rodziny Nadich. Uświadomił to sobie na Cyprze, kiedy po tygodniu, gdy już wydobrzał, odzyskał swą wrodzoną zdolność utrzymywania się na powierzchni i znowu zaczął snuć plany. Jakaś stara, prosta kobieta znalazła go na plaży i zabrała do swej chaty. Morze sponiewierało Angela bardziej, niż myślał i na początku, leżąc na wypchanym sianem sienniku i łykając jakąś wstrętną zupę, ledwie znajdował siły, by walczyć z gorączką i obrażeniami. Potem, otworzywszy oczy którejs cichej, rozgwieżdżonej nocy, dostrzegł nagle rozwiązanie swych pro-

blemów, i zarówno gorączka, jak i rozpacz, które owładnęły nim po utracie „Fiametty” - zniknęły w jednej chwili.

Przypomniawszy sobie, że doszedł do wszystkiego sam i w końcu poczuł, że wraca mu część dawnej energii. W dzieciństwie nie miał nic i już raz prawie utracił wszystko, co było mu drogie. Dziesięć lat później, dzięki swej woli przetrwania spróbował przeciwstawić się krótkowzroczności Franca Guardiego. Gdy ten oświadczył córce: „Poślubisz Michele Corsiniego, Serafino”, Angelo pojął, że wszystkie jego nadzieje i ambicje biorą w łeb. Musiał wówczas przedsięwziąć nadzwyczajne środki, by nie tylko zabezpieczyć własną przyszłość, ale również odnieść sukces i zdobyć pozycję, na którą nigdy nie mógłby liczyć ktoś równie niskiego stanu jak on. I teraz podniesie się znowu - powiedział sobie, ponieważ mimo utraty „Fiametty” wciąż ma urodę, inteligencję i siłę, i nic - ani nikt - nie zdoła mu tego wszystkiego odebrać.

Wpatrując się przez pozbawione szyb okno w cypryjską noc, Angelo poczuł, że będzie znów walczył, ponieważ wreszcie wymyślił, od czego należy zacząć.

Od tej chwili szybko wracał do zdrowia. Pewnego dnia zabrał starszycę mały woreczek z pieniędzmi, który chowała w amforze i opuścił jej chatę, gdy kobieta zajmowała się stadkiem wychudzonych kóz. Łódź rybacka zabrała go na Krete, gdzie miał znajomych. Tam, pożyczwszy ubranie i pieniądze, popłynął na pokładzie barki do Grecji, gdzie znalazł statek kupiecki, który zabrał go prosto do Włoch.

Angelo wstał, podszedł do okna i otworzył okiennice. Widział przed sobą spokojne, ciemnoniebieskie morze, połyskujące srebrnymi falami. Na niebie nie było ani jednej chmurki, na horyzoncie mieszały się różne barwy. Wyżej, gdzie lazur przechodził w indygo, krążyło stado ptaków, korzystając z ciepłych prądów powietrznych. Ich intensywnie niebieskie skrzydła odbijały się na tle jaśniejszego nieba.

Obserwując przelatujące ptaki, Angelo uświadomił sobie, że się uśmiecha.

Zimorodki, pomyślał, wyglądając przez okno. To ciekawe. Gdyby wierzył w takie rzeczy, uznałby ów widok za wróżbę, ale uważał, że przesady są dla głupców, którzy ich potrzebują.

Uśmiechał się, gdyż były w końcu jeszcze inne statki prócz „Fiametty”. Jeden z nich nazywał się „Zimorodek” - dość dziwnie jak na tokański statek.

W Pizie Maria rozmawiała z papugą i karmiła ją orzechami laskowymi, wyglądając przez okno w kierunku portu.

Ptaszysko nie było już wcale tak łyse jak Galeazzo Merli: na głowie miało teraz zielone, żółte i niebieskie piórka, a gdy tylko dziewczyna przestawała mówić, papuga składała wspaniałe, szkarłatny ogon. Zaczęła nawet wyrażać się łagodniej i przeklinała tylko wtedy, gdy drażnił ją za bardzo kot albo coraz bardziej ruchliwy Francesco.

Miała swój pręt przy oknie, Maria bowiem tkwiła tutaj niemal cały czas. Codziennie przyływały do portu statki z ładowniami wypełnionymi jedwabiem, przyprawami i drogocennymi kamieniami. I „Zimorodek” także zapewne już niedługo wróci z wyprawy. Za każdym razem, gdy dziewczyna zerknęła w dół, na ulicę, spodziewała się ujrzeć messera Marlowe'a, maszerującego zwawo po via S. Domenico z Williamem u boku.

- Robi się ciemno - odezwała się Serafina, wchodząc do pokoju i zamykając za sobą drzwi. - Zamknij lepiej okiennice.

- Och, proszę, jeszcze chwilkę! - Maria, odwróciwszy się, spojrzała na swą przyjaciółkę proszącym wzrokiem. - Ludzie mówią, że dziś wieczorem przyplynie jeszcze kilka statków - dodała przymilnym tonem.

Serafina usiadła przy stole, na którym leżał stos ksiąg rachunkowych. W ten ciepły, czerwcowy wieczór nie czuło się nawet najłżejszego powiewu, który mógłby zaszeleścić kartkami.

- A więc dobrze, jeszcze chwilkę. Ale kiedy zapalę świece, będziesz musiała zamknąć okiennice, bo inaczej zlecą się tu chmary owadów.

Maria znów oparła łokcie na parapecie, patrząc na ulicę. Przez chwilę panowała cisza, przerywana tylko skrzypieniem pióra i dobiegającymi z dołu odgłosami kroków. Wydawało się, że miasto spowił spokój, wszystkie dźwięki przycichły, a ostatnie barwy zachodzącego słońca wydawały się pochwałą lata i jeszcze czegoś - może bezpieczeństwa. Kilka dni temu Maria próbowała wyjaśnić Serafinie, że czuje się tutaj bezpieczna. Przyjaciółka spojrzała na nią ze zdumieniem, a po chwili uściślała ją, co nie zdarzało się często. Gdyby jeszcze William wrócił - byłoby idealnie. Maria pomyślała nawet, że gdyby zamknęła oczy i skupiła się, mogłaby siłą swej tęsknoty przywołać ukochanego z ciemności.

- Niedługo wrócą - powiedziała Serafina, podnosząc na chwilę wzrok znad księgi. - „Zimorodek” to dobry statek, a Thomas jest doskonałym żeglarzem. Najlepszym. Nie sądzę, żeby wrócili wcześniej niż za kilka tygodni. Mieli popłynąć do Aleksandrii, a większość ze statków, które zawijają teraz do portu, nie dotarła dalej niż do Aleksandretty.

Maria westchnęła. Próbowwała być rozsądną dziewczyną i nie myśleć o piratach, sztormach i wrogich okrętach.

- Wiem - odrzekła. - Tylko że...

Jej słowa zawisły w ciszy. Tylko że minęło już sześć miesięcy od chwili, gdy pożegnała się z Williamem na nadbrzeżu w Pizie. Tylko że mama wyglądała na zmęczoną i chorą i żadne słowa Marii już nie pomagały. Tylko że ten wstrętny Galeazzo Merli dwa razy szedł ostatnio za nią do portu, zagadując ją i próbując jej dotknąć. Z początku na usilne prośby Serafiny, a potem już z własnej woli brała ze sobą na owe spacerunki którąś służącą, na wypadek spotkania z messerem "Merlim. Chętnie kupiłaby sobie wielkiego, groźnego psa, ale Serafina powiedziała dobitnie, że pragnie, aby jej dom pozostał domem i nie zamienił się w przytułek dla zwierząt. Westchnąwszy powtórnie, Maria znów zerknęła na ulicę. Z ciemności wyłoniła się czyjaś sylwetka; twarz owego mężczyzny skrywał cień. Przez chwilę serce zaczęło jej walić jak oszalałe, ale potem, gdy spojrzała raz jeszcze, doznała wielkiego rozczarowania. Odwróciwszy się do Serafiny, powiedziała:

- Mamy gościa. Myślałam, że to William albo messer Marlowe, ale on ma żółte włosy.

Serafina wstała, odłożyła pióro i podeszła do okna. Spojrzawszy w dół, Maria przekonała się, że ów mężczyzna miał nie tyle żółte włosy, co raczej ciemnozłote, żółtego odcienia zaś nabrały w świetle pochodni. Nosił ubranie z czarnego aksamitu i czarną czapkę z piórem, którą przez pomyłkę uznała za dobrze znany kapelusz Thomasa.

- Znasz go, Serafino? - zapytała.

Z początku Serafina nic nie odpowiedziała. Potem zaś skinęła głową i odrzekła:

- Tak, znam go. Kiedyś znałam go bardzo dobrze.

Angelo! Angelo, nieproszony, przyszedł do jej domu. Dlaczego?

Jakiś instynkt kazał Serafinie, gdy tylko wysłała Marię do łóżka, zbiec po schodach, by samej otworzyć drzwi, zamiast czekać na zbyt powolną służbę. W jej sercu mieszały się bezładnie rozmaite uczucia. Wiedziała tylko, że nie chce, aby ktokolwiek był świadkiem ich rozmowy. Mogła spotkać się z Anżelem jedynie w cztery oczy, aby nikt inny nie zniszczył jej zapasów siły i opanowania, gromadzonych z takim trudem przez długie lata.

Nie miała czasu, by zmienić suknię czy choćby spojrzeć w lustro. Gdy otworzyła drzwi, gość uklonił się i przeprosił za niezapowiedzianą wizytę. Serafina ze zdziwieniem przekonała się, że jest w stanie odnaleźć odpowiednie słowa powitania, zaprosić przybyłego do środka i zaprowadzić na górę, do salonu. Odprawiła ruchem ręki służącą, która pojawiła się ciekawa niespodziewanego gościa.

W ciągu ostatnich sześciu miesięcy życie Serafiny toczyło się według pewnego rytmu. Teraz, zupełnie nagle, ów porządek został zakłócony. Nie mogła złapać tchu i czuła się tak, jakby serce podeszło jej do gardła.

Wodząc niespokojnym spojrzeniem po pokoju, pomyślała, że ten mężczyzna dziwnie tu nie pasuje. Nie należeli do tego samego świata: Angelo stał się częścią innej scenarii. Niskie urodzenie pozbawiło go naturalnego prawa do wszystkiego, czego pragnął, a ją z rozmysłem pozbawiono takiego życia, jakie jej się należało z tytułu pochodzenia. Angelo wyglądał absurdalnie wśród stosu ksiąg rachunkowych, papuzich piór i dziecięcych zabawek. On był częścią owego niszczonego, połączonego domu w Marsylii - miasta, które stało się jej obce i wrogie.

Papuga skrzeczała i klęła na przemian, więc Serafina przykryła jej klatkę kawałkiem materiału. Ta prosta czynność dała jej czas, by odzyskać oddech i jasność myślenia. Pojęła teraz, że Angelo z pewnością zamierzał ją o coś prosić.

- Witam panią, madame Capriani - odezwał się, składając jej wdzięczny ukłon ręką.
- Przepraszam panią stokrotnie za to, że przychodzę bez zaproszenia. I o tak późnej godzinie. Ale byłem w Pizie i pamiętając, że jesteśmy przyjaciółmi... - Tu nastąpił kolejny wdzięczny ruch ramion. - Jest pani dobrze znana w Pizie - dodał. - Zapytałem jakiegoś przechodnia o madonnę Capriani i natychmiast mi wskazał pani dom.

To była prawda, wszyscy w Pizie ją znali, ale Serafina zaczynała podejrzewać, że cieszy się raczej niedobrą sławą. Ludzie

przystawali i wpatrywali się w jej dom, szeptali coś ukradkiem, gdy ich mijała, a pewnego razu, jakieś dwa tygodnie temu, kilku chłopców obrzuciło ją na ulicy kamieniami. Nie zwracała na to uwagi: nie potrzebowała przyjaciół. Miała Francesca i Marię, miała też swą pracę.

Zaproponowała Angelowi coś do zjedzenia, ale przyjął tylko kieliszek wina. Jej serce nieco się uspokoiło i mogła powiedzieć spokojnie:

- Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, messer Guradi, pochwalił mi się pan, że wkrótce nastąpią pańskie zaręczyny. Czy mogę już złożyć gratulacje?

Uśmiechnął się wymijająco. Ów uśmiech, budzący tyle wspomnień Serafiny, kiedyś prawie złamał jej serce, ale teraz przekonała się, że chociaż nadal podziwia pełne, kształtne wargi tego mężczyzny i ciemne oczy w kształcie migdałów, tak podobne do jej oczu, jednak ma dziwne uczucie, jakby oglądała go z daleka, jakby był to jedynie widok w zwierciadle, portret kogoś - kto żył dawno temu.

Zmusiła się do wypicia kieliszka wina, aby uspokoić nerwy i zebrać myśli.

Usłyszała słowa Angela:

- Nie jestem zaręczony, madonna. Nie zamierzam już się zenić z Fiamettą Nadi.

Musiła zacisnąć mocno pięści na kolanach, żeby opanować drżenie rąk. Ogarnęła ją wielka, niepohamowana radość: wygrała! Wiedziała już, że instynkt słusznie jej podpowiadał; Angelo przyszedł ją o coś prosić, a nawet błagać, i stracił swą władzę nad nią.

Spojrzała nań, unosząc brwi w niemym pytaniu.

- A zatem sprawił pan owej damie zawód, messer Guardi? Angelo skrzywił się, ale odpowiedział gładko:

- Niezupełnie, madonna. Jak pani wie, mam kłopoty finansowe, które ostatnio stały się szczególnie dokuczliwe. Umowę zerwał - za moją zgodą - ojciec madonny Nadi. Serce znowu poczęło jej walić jak oszalałe. Podniósłszy się z fotela, by zmusić uparte, nieposłuszne ciało do działania, Serafina zamknęła okiennice i zaczęła zapalać świece. Poczucie całkowitej klęski przemieniło się nagle w świadomość triumfu. Ręce jej drżały, gdy przykładła hubkę do knota.

Tak niedawno jeszcze odzyskanie rodzinnej spuścizny wydawało się Serafinie niemożliwe. Pół roku temu, po powrocie Tho-

masa z Florencji, porzuciła wszelką nadzieję, iż uda jej się zdobyć to, co powinno było do niej należeć. Przez te sześć miesięcy uczyła się czerpać satysfakcję ze swej obecnej pracy, dziecka i oczekiwania na „Zimorodka”, wyładowanego skarbami Lewantu. Nigdy jednak nie odczuwała się w pełni zadowolona. A teraz, zupełnie nagle, gdy straciła już wszelką nadzieję, niespodziewanie otrzymała wszystko to, czego tak gorąco pragnęła.

Cóż takiego przydarzyło się Angelowi, tam, w dalekim Le-wancie? Serafina mogła się tylko domyślać, co sprawiło, że jej kuzyn utracił Fiamettę Nadi i rzucił się w objęcia kogoś innego. Zawsze potrafiła dobrze ukrywać swe uczucia, nauczyły ją tego długie lata nieszczęść i sam Angelo. Ukazała mu teraz tę samą twarz, którą podziwiał w Marsylii: w błyszczących, ciemnych oczach Angela Guardiego odbijał się wizerunek pięknej, pewnej siebie, spokojnej młodej kobiety. Serafina wiedziała, że wystarczy zacisnąć pięść, by go zmiażdżyć, że na jej oczach znika tamten pozłacany młodzieniec z czasów dzieciństwa, ów arogancki tyran z jej nocnych koszmarów. Teraz oto stała nad nim z biczem; Angelo sam do niej przyszedł, sam jej się oddawał, klęcząc z pochyloną głową.

Wszakże nie tego chciała - nie będzie tak okrutna. Pozwoli mu przez pewien czas żyć nadzieją, tak jak i ona kiedyś żyła. Gdy człowiek pozwala sobie żywić nadzieję, staje się wówczas podatny na ciosy, jednakże właśnie utrata nadziei jest rzeczą najgorszą na świecie.

- A zatem ma pan złamane serce, messer Guardi? - spytała z uśmiechem.

Angelo rozsiadł się wygodnie na krześle, założywszy nogę na kolano. Serafina zaważyła, że trochę się odprężył; wydawało mu się zapewne, iż najgorsze ma już za sobą, że skoro przyjęła do wiadomości zaawolowaną informację o jego klęsce finansowej, to reszta pójdzie łatwiej. Umyślnie rozbudziła w nim tę nadzieję.

- Ależ skąd, madonna. Łączyły nas tylko interesy, nic więcej. Zerwanie z jakąś niezbyt ładną tokańską dziewczyną nie pozostawiło nawet śladu w moim sercu. Nie taka kobieta mogłaby złamać mi serce.

- Doprawdy? - Odzyskała panowanie nad sobą. Czowała teraz podniecenie - czyste i orzeźwiające niczym woda źródłana. Fiamettą Nadi, którą w myślach obdarzyła majątkiem i urodą,

zbladła, stając się zwykłą, dziewiętnastoletnią dziewczyną, odrzuconą przez kochankę. Włożywszy hubkę z powrotem do szuflady, Serafina odwróciła się do Angela. - Jakaż więc kobieta mogłaby złamać pańskie serce?

- Ach, powinna mieć ciemne włosy - a madonna Nadi jest blondynką. Powinna być też drobna i zgrabna, a nie wysoka i niezręczna. No i powinna lubić - a raczej pasjonować się - tkaninami. A zwłaszcza jedwabiem.

Zupełnie jakby dwie połowy, na które podzielilo się jej życie, wreszcie się połączyły. Serafina jako dziecko, jedyna córka bogatego kupca handlującego jedwabiem, i madonna Ca-priani, odnosząca sukcesy w handlu tkaninami.

Ukształtowało ją dzieciństwo - Marsylia, Algier. A Angelo chciał ją teraz w obu tych wcieleniach.

- Dostrzegam w pańskich słowach jakąś... przewrotność, messer Guardi - zauważyła, przyglądając mu się bacznie. - Wielu innych kupców uważa moje handlowe zainteresowania za pewną ułomność.

- Skoro mój podziw jest przewrotny - odrzekł cicho - wobec tego owszem, jestem przewrotny. Cenię panią za wszystko.

Wstał z krzesła i podszedł do niej bliżej. Płomienie świec migotały, dając słabe światło w gęstniejącym mroku i rzucając na pokój długie, granatowe cienie. Cień padał także na twarz Angela, podkreślając jego rysy, obfitość złotych włosów. Serafina poczuła, że dotknął jej ręki, a całe jej ciało przeszedł zimny dreszcz. Zamierza mnie uwieść, pomyślała i chciało jej się śmiać. Jakiż to staromodny sposób załatwiania interesów. No cóż, sama niegdyś wykorzystała tę metodę. Angelo uniósł jej dłoń do ust i zaczął po kolei całować wszystkie palce. Czula jego ciepłe usta i trochę szorstki, wygolony podbródek.

- A pani, madonna? - szepnął. - Rozpytywałem ludzi, gdyż byłem ciekaw, ale dowiedziałem się, że jeszcze nie wyszła pani ponownie za mąż.

- Nikt nie zaproponował mi małżeństwa, messer Guardi. A raczej nikt odpowiedni - odparła z uśmiechem. - Niektórzy mężczyźni zapewne ożeniliby się ze mną ze względu na mfeją urodę, inni - dla mych pieniędzy - a jeszcze inni - jeden czy dwóch - bo mam głowę do interesów. Ale to starzy ludzie, a ja nie chcę po raz drugi wychodzić za starca.

Kiedyś moim życiem kierowali starzy mężczyźni, pomyślała. Ojciec, który chciał mnie wydać za obcego człowieka, Kara Ali, którego byłam własnością. Jacopo, który pragnął odzyskać przy mnie młodość. Wkrótce uwolnię się już od nich wszystkich. Nie będę należeć do żadnego mężczyzny!

Nie cofnęła dłoni. Zamierzała pozwolić, by jeszcze przez chwilę cieszył się nadzieją, przekonaniem, że dzięki swej powierzchowności i wdziękowi może zdobyć wszystko, co chce. Angelo dotknął drugą ręką jej głowy, gładził upięte do góry włosy. Po chwili poczuła, że wyjmuje szpilki, a loki opadają jej połyskliwymi pasmami na plecy. Podniósłszy wzrok, zaczęła przyglądać się uważnie jego obliczu. Zobaczyła swego ukochanego z dzieciństwa: gęste, złotobrazowe włosy, wijące się wokół szerokiej, gładkiej twarzy, lekko wykrzywione, czerwone usta i czarne, skośne oczy.

- Cóż teraz pragnie pan kupić, messer Guardi? - zapytała cicho. - I co pan ma na sprzedaż?

- Pragnę kupić przyszłość. - Uśmiechnął się zachęcająco. - Przyszłość, która może nas połączyć, którą zaproponowała mi pani ubiegłego lata w Marsylii. Nasze statki, pływające pod banderą Guardich. Nasi przedstawiciele w każdym porcie Le-wantu. Przez chwilę oczyma duszy widziała owe rysujące się wspaniale perspektywy. Angelo ujął jej obie ręce i podniósł je do ust.

- W zamian proponuję pani swe nazwisko. I moją reputację kupca - dodał. - I całą mają spuściznę.

Wszystko, co sprzedajesz, nie należy do ciebie, pomyślała ze złością Serafina.

Wszystko, co mi proponujesz, i tak jest już moje. Poczuła znajome ukłucie w sercu; oładnęła nią nienawiść, miała ochotę go uderzyć, wbić paznokcie w te błyszczące, pewne siebie oczy, porwać aksamitne i jedwabne szaty.

Ale zamiast tego pozwoliła, by Angelo przyciągnął ją do siebie, aż poczuła ciepło jego ciała i ciężki zapach drewna sandałowego, którym przesiąknięte były jego ubranie i skóra. Nagle uświadomiła sobie, że stoi na skraju przepaści, gotowa wzbić się w powietrze i polecieć w nieznaną dal. Że może go osiąść, jako że on nigdy nie zdołał zawładnąć nią, i w ten sposób sprawić, aby szale przeszłości przechyliły się na jej stronę.

Głos Serafiny zadrżał lekko, gdy spytała:

- A co z panem, messer Guardi? Czy siebie samego też pan sprzedaje?

Pojął, co chciała przez to wyrazić. Zamrugał oczami, otworzył je szerzej i zaczął oddychać szybciej.

- Jeśli pani sobie tego życzy - odrzekł.

On nie wystawał na targu niewolników w Algierze ani nie musiał się obnażać, by wzbudzić pożądanie w starym kupcu. Ale też nie różnił się niczym od Serafiny - doskonale go rozumiała. Są tacy podobni, ona i Angelo. Dziwiła się, że jej nie poznał, iż dotąd nie uświadomił sobie, że wpatruje się w zwierciadlane odbicie własnej twarzy i duszy. W ich żyłach płynęła ta sama krew, łączyły ich takie same ambicje i zamiłowania. Obiektem pragnień Angela - jej pragnień - były wielkie bele kolorowych jedwabi. Szkarłatne, turkusowe, szmaragdowe, ogniste - kolory marzeń, które zaszczepiono im w dzieciństwie; które znali tylko oni, rodzina Guardich. Oboje oddaliby duszę i ciało za kilka błyszczących zwojów jedwabnych nici.

Pochylił głowę, dotykając ustami jej czoła, policzka, szyi. A potem odnalazł jej usta, przyciągnął ją do siebie i w ten oto sposób historia, która rozpoczęła się na wzgórzu pod Marsylią, zatoczyła pełne koło. Serafina oddała mu pocałunek, odkrywając, że jej podniecające uczucie triumfu nie osłabło, lecz przeobraziło się gwałtownie w namiętność innego rodzaju.

- Nie jest to odpowiednie miejsce do pieczętowania umów. - Usłyszała własny szept. Zaprowadziła go do swej sypialni na piętrze, trzymając w jednej ręce lichtarz. Dom spowijały cisza i spokój letniego wieczoru, od świata zewnętrznego odgradzały im wspomnienia. Angelo oddał jej się, a ona go wzięła, tak jak kiedyś zabrała z piekarni bochenek chleba, tak jak wcześniej jeszcze ukradła niebieską miseczkę pełną migdałów. Już dawno temu naczyła się, iż trzeba brać, skoro nadarza się taka możliwość, a nie dlatego, że się czegoś potrzebuje. Chciała odeń wszystkiego, bo tylko w ten sposób mogła wynagrodzić sobie to, co straciła.

Ale czuła też pożądanie, zdradzieckie i zniewalające, które nieco zmieniło to, co miało być ostatnim ruchem w grze, zainicjowanej przez nienawiść. Leżąc w swej małżeńskiej sypialni, w objęciach kuzyna, Serafina pomyślała przez chwilę o Thomasie. Przez szparę między zasłonami otaczającymi łożo widać było świecę na tle okna. Za oknem rozciągało się miasto, przy-

cupnięte na skraju Morza Śródziemnego. A nad sobą widziała twarz Angela, rysującą się niewyraźnie w mroku. Czuła na swym ciele jego usta, ręce. Jakiś znajomy głos, gdzieś z oddali wyszeptał: „Kochałaś go. Na Boga, ty wciąż go kochasz!”. Serafinie przemknęła myśl, iż jest w łóżku z kimś nieznanym, że przyzwyczaiła się do innego ciała.

Docierała do końca ścieżki wyznaczonej dawno temu, na którą wprowadził ją sam Angelo, machając tamtej dziewczynce na pożegnanie z portu w Marsylii. Nie dano jej wyboru, jak postąpić - nigdy nie miała tego wyboru. Wiele lat temu dostała się w niewolę, i to przez tego człowieka. Poznała jego słoną skórę, poczuła jego ciało, mocne i pragnące jej. Znow ogarnęło ją pożądanie, słodkie i nie do odparcia, zrodzone z triumfu i podniecenia sytuacją. Poczwała, jak w nią wszedł i wtedy, po raz pierwszy od dziesięciu lat, zawołała go po imieniu, a potem zamknęła oczy i poddała się ciemności.

Serafina sądziła, że nie zaśnie, ale spała mocno. Kiedy się obudziła, przez okiennice prześwitywało jasne światło poranka.

Ubrała się szybko i po cichu, nie budząc mężczyzny leżącego w jej łóżu. Słońce na niebie przypominało srebrny łuk wiszący nad horyzontem. Serafina stanęła przy oknie. Po chwili jej spojrzenie spoczęło na Angelu.

Przyglądała mu się badawczo, tak samo jak poprzedniego wieczora, studiując każdy rys i zagłębienie na jego twarzy. Nic nie czuła. Oczarowanie znikło, rozwiało się zupełnie w ciągu tej krótkiej nocy. Patrząc na tego mężczyznę, nie czuła ani miłości, ani nienawiści, pożądania ani niechęci. Urok, jaki na nią rzucił, przysł jak bańka mydlana.

Kochałaś go. Nie, to nie była miłość. Może zaślepienie albo fascynacja. Ale ona nie jest już tamtym dzieckiem, a Angelo nigdy nie był księciem. Był po prostu mężczyzną, do głębi zepsutym, młodym mężczyzną.

Serafina pomyślała, że oto nadszedł już czas. Należało wreszcie wyjawić tajemnicę i skończyć z oszustwami. Odsunęła zasłony wokół łóża i otworzyła okiennice, by wpuścić do pokoju światło poranka.

Angelo poruszył się i otworzył oczy. W jego ciemnych oczach mignęło zakłopotanie i jeszcze coś - może strach? Ale trwało to tylko moment; ziewnął, przeciągnął się i usiadł na łóżku.

- Dzień dobry, madonna Capriani.

Stała pod oknem, oparta o parapet, na tle słońca.

-Madonna Capriani - brzmi to trochę zbyt oficjalnie w tych okolicznościach, nie sądzisz, Angelo?

Zauważyła, że wzdrygnął się lekko na dźwięk własnego imienia. Siedział na brzegu łóżka, machając nogami, i wkładał koszulę, a potem pończochy.

-Jest pani lepiej poinformowana ode mnie, madame. A może uczyni mi pani tę łaskę i powie mi, jak się pani nazywa - odezwał się pewnym głosem.

- Serafina - odpowiedziała. - Nazywam się Serafina. Zawahał się na ułamek sekundy. Ale nie dlatego, żeby miał jakieś podejrzenia - nie mógł jednak uniknąć wspomnień.

- Jestem Serafina, to chciałam powiedzieć - odrzekła spokojnie. Podeszła bliżej, odsuwając się od okna. - Spójrz na mnie, Angelo. Nie poznajesz mnie? To ja, Serafina.

Krew odplynęła mu z twarzy, aż stał się przeraźliwie blady jak topielec. Miał rozczochrane włosy, na jego twarzy pozostały jeszcze ślady snu.

- To ja, Serafina Guardi - powtórzyła. - Córnka Franca. Wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami.

- Nie - wyszeptał. - Nie. Serafina...

- Nie żyje? A zatem jestem zjawą, widmem. Nie, Angelo, Serafina Guardi nie umarła. Popełniłeś mały błąd.

A jego błąd, teraz już wiedziała, polegał na tym, że nie wziął pod uwagę miłości. To była jej najcenniejsza karta w tej grze: że ów renegat, medyk Kara Ali ją pokochał, że Kara Ali kochał całą ludzkość i dlatego nie pozwolił janczarowi zabrać i utopić tamtej małej dziewczynki. Miłość istniała, ale nie w świecie Angela Guardiego. Angelo siedział nieruchomo, z naciągniętą do połowy łydki pończochą, w niezapiętej koszuli. Wyglądał dziwnie.

- A Franco? - spytał chrapliwym głosem.

Ach, Franco. Franco o łagodnym spojrzeniu i szerokim uśmiechu. Nigdy wcześniej nie pożegnała się z nim, ale teraz, w końcu, musi to uczynić, musi pogodzić się z myślą, że ojciec należy już nieodwołalnie do przeszłości, że zamilkł na wieki.

- Mój ojciec zmarł w więzieniu, tak jak kazałeś - odparła. - Ale mnie zabrano i sprzedano w niewolę do pewnego domu w pobliżu Oranu.

- Hamid cię tam wyśledził - Angelo z trudem wydobywał z siebie głos. - Wysłał janczara, który dowiedział się, że nie żyjesz.

Nie mógł oderwać od niej wzroku. Wpatrywał się w nią, jakby naprawdę była zjawą. Serafina powoli pokręciła głową.

- Mój pan pokazał janczarowi grób swej córki. Mieszkałam u niego przez sześć lat, a potem pomógł mi wyjechać z Algieru i wrócić do Francji. Przyjechałam z powrotem do Marsylii i odkryłam, że przejąłeś firmę i stałeś się właścicielem domu i statków. A przecież wszystko było moje. Teraz jest moje.

Usta mu drżały, aż wreszcie zdobył się na jakąś parodię uśmiechu.

- Weź to - wyszeptał z trudem. - Nic już nie zostało. Jestem zrujnowany.

- Ach tak, wiem. - Usiadła przy małym stoliku, opierając ręce o błyszczący blat. - Spędziłam cztery lata, próbując odzyskać to, co mi byłeś dłużny, Angelo. Ale w końcu los mi dopomógł.

- Nie, wcale nie los - odpowiedział i ponownie wykrzywił twarz w okropnym grymasie. - To Angielska Kompania Le-wantyńska.

Nie miała pojęcia, o czym mówi Angelo i ze zmarszczonym czołem słuchała jego słów:

- Rok temu próbowałem obrabować jeden z ich statków, wiozący niewielki, acz znaczący ładunek cyny. Statek ów zarzucił kotwicę w Zakinthos. Wydawało mi się, że nic łatwiejszego...

Serafina wiedziała już, o jakim statku mówi. Wyremontowanym w Livorno „Garlandem” Thomas Marlowe popłynął kiedyś na Zante.

- Nie przyjęli mnie jednak zbyt gościnnie. - Angelo zaśmiał się chrapliwie. - Teraz właśnie wróciłem z Aleksandret-ty, gdzie mi się zrewanżowano. Tyle że Anglikom powiodło się lepiej niż mnie wtedy...

Z początku nie pojęła jego słów, ale po chwili spytała:

- „Fiametta”?

- Leży na dnie Morza Śródziemnego. Albo roztrzaskała się u brzegów Cypru.

Jakiś niewytłumaczalny instynkt powiedział jej, że to Thomas był odpowiedzialny za zatopienie „Fiametty”. Z owego

wspaniałego, osdobionego złoceniami statku, z którym „Zimorodek” ścigał się do Marsylii, pozostały teraz tylko drewniane szczątki, kołyszące się na morskich falach. Pół roku temu Thomas oświadczył: „Zabiję go!”. Nie zrobił tego może z uwagi na przysięgę, jaką Serafina na nim wymusiła, ale jego zemsta była równie dotkliwa.

- Pięćdziesiąt tysięcy złotych florenów - ciągnął Angelo rozmarzonym głosem. - Pieniądze Lorenza Nadiego, Serafino. Były ukryte w mojej kajucie. Stały się strawą dla ryb.

Jej głos, nabrzmiały bólem, zakłócił spokojną atmosferę poranka.

- Czemu? Czemu to zrobiłeś, Angelo?

Pojał jej słowa od razu; zawsze byli sobie bliscy, w dzieciństwie nigdy nie musiała za wiele wyjaśniać swemu kuzynowi. Angelo zapiął koszulę i włożywszy kaftan, oświadczył:

- Franco nie mógł żyć wiecznie. Zamierzał zostawić firmę ignorantowi z Florencji i kobiecie. Przedsiębiorstwo Guardich nie przetrwałoby w rękach twojego męża, Serafino. Corsini posiadali warsztaty, w których tkano jedwab, ale nie mieli pojęcia o handlu. Od dawien dawna także mieli majątek i szanowane nazwisko i to dlatego Franco chciał, byś weszła do ich rodziny. Zawsze był stuknięty na punkcie starych rodów. Przypomnij tylko sobie Jehana.

Mogłam tego dokonać sama, pomyślała Serafina i nagle do jej oczu nabiegły łzy.

Teraz wiedziała, że gdyby pozwolono jej prowadzić interesy Guardich, to nie tylko firma by przetrwała, ale jeszcze i rozkwitła. A jednak ani Angelo, ani ojciec, choć dobrze ją znali, nie brali pod uwagę jej umiejętności. Ignorant z Florencji i kobieta! Kiedyś pragnęła zapytać Angela, czy nie żałuje, choćby trochę, tego co zrobił. Teraz stwierdziła, że to już jej nie interesuje.

- Wiem, co zrobiłeś memu ojcu - powiedziała. -1 Jehanowi. Ale co z monsieur Jacques'em? I z Marthe?

Na dźwięk imienia „Jehan” Angelo na chwilę przestał zawiązywać kaftan. Jakiś mięsień pod okiem zaczął mu lekko drgać.

- Miałem nadzieję, że zdołam nauczyć Jacques'a rozumu - odrzekł. - Był dobry w tym, co robił. Ale później przekonałem się, że może mi narobić kłopotów.

Postarałem się więc - pociągnął tak mocno za tasiemkę, że pękła - żeby nie mógł mówić.

- Zabiłeś go.

W jej głosie nie było śladu emocji, mówiła zupełnie spokojnie. Skinął głową.

- Tak. A jeśli chodzi o Marthe - cóż, była już stara, schorowana i po prostu umarła. Nie musiałem przykładać do tego ręki.

Wierzyła mu, a jednak stwierdziła, że najbardziej nienawidzi właśnie tego, co uczynił jej piastunce. Pozwolił staruszce umrzeć w przekonaniu, iż jej ukochana podopieczna nie żyje.

- Co zamierzasz zrobić, Serafino? - zapytał nagle Angelo. - Wezwać sędziów, złożyć zeznania, poderżnąć mi gardło?

Odzyskał trochę panowanie nad sobą. Znów się uśmiechał, i to prawdziwym uśmiechem, zrodzonym z wiary w swą urodę, wdzięk i siłę oddziaływania. Nie, nie wezwie sędziego ani nie wynajmie ludzi, by go zabili. Koniec. Nienawiść zniknęła. Jakaś część jej życia zakończyła się i nigdy nie wróci.

Serafina pokręciła głową. Wstała z krzesła i odwróciła się w stronę okna. W dole rozciągało się miasto; dachy i wieże połyskiwały złotem w blasku słońca, a bezchmurne, niebieskie niebo obiecywało jej wszystko. Nic już nie chciała od Angela Guardiego. Przestał się liczyć, uwolniła się od niego. Poczwała, że ciężar przeszłości spada jej z serca. Miała wszystko, co chciała; niemal przez przypadek odnalazła wszystko, co ważne.

Usłyszała, że Angelo wstaje, otwiera drzwi i zamyka je za sobą. Nie odwróciła się jednak, by spojrzeć na niego, ponieważ jej wzrok przyciągnęła znajoma postać za oknem, przeciskająca się przez poranny tłum.

Żeglarski strój, zniszczony czarny kapelusz wciśnięty na potargane, czarne włosy, worek przewieszony przez ramię. Thomas Marlowe powrócił do Toskanii - musiał płynąć z Lewantu ze znaczną prędkością. Nie spodziewała się ujrzeć go wcześniej niż za tydzień, ale teraz wiedziała, że Thomas jest częścią tego wszystkiego, czego pragnęła, częścią tego, co zdobyła w ciągu długich lat walki. Uniósłszy spódnicę, Serafina zbiegła na dół.

Drzwi wejściowe otworzyły się gwałtownie, gdy dotarła do holu. Ujrzała Angela, który minął przybysza w odległości zaledwie dwóch kroków, ten zaś, zmierzając do drzwi, zatrzymał się nagle i wbił wzrok w wychodzącego mężczyznę. Dostrzegła jeszcze w jego błękitnych oczach wstrząs, jakby w jednej sekundzie pojął wszystko. Odwrócił się na pięcie i ruszył w przeciwną stronę.

Rozpuszczone włosy opadły jej na plecy, na nogach miała tylko cienkie, aksamitne pantofle, ale mimo to rzuciła się za nim biegiem. Na ulicach było już tłoczno: terminatorzy szli do pracy, służące z koszykami przewieszonymi przez ramię spie-szyły do piekarni, bezdomne psy węszyły w rynsztokach w poszukiwaniu jedzenia. Serafina przeciskała się przez tłum, czując pod stopami twarde bruk i wołała Thomasa po imieniu.

Zatrzymał się dopiero na rogu, gdy dogoniła go i chwyciła za łokieć. Ale nawet wtedy się nie odwrócił, póki nie krzyknęła zdyszana:

- Thomasie!

Odwrócił się w końcu. Był opalony, ale oczy miał zapadnięte. Wiele czasu spędził w podróży, pomyślała Serafina.

- Myślałem, że on nie żyje - odezwał się, a po chwili, spojrzawszy wreszcie na nią, dodał z umyślnym okrucieństwem: -A może wyjdiesz za niego, Serafino? Mówię oczywiście o Angelu. Moglibyście podzielić się Morzem Śródziemnym, mieć całą flotyllę okrętów i dom w każdym mieście. Moglibyście nawet kupować niewolników!

Serafina pomyślała o Ibrahimie, który mieszkał w ich domu rodzinnym za czasów jej dzieciństwa, pomyślała też o sobie samej wtedy, w Marsylii. Wzdrygnęła się lekko.

- Nie ma go już - odrzekła. - Angelo nigdy nie wróci.

- Ach, przecież ty umiesz sprawić, żeby wrócił. - W oczach Thomasa malował się lodowaty chłód, jakiego nigdy wcześniej nie widziała, nawet podczas ich najgorszych kłótni. - Oczywiście, że wróci do ciebie. Mam wrażenie, że zawsze dostajesz wszystko, czego tylko chcesz.

Ręka Serafiny ześlizgnęła się z jego ramienia. Ludzie potracali oboje i szturchali. Choć stali tak blisko siebie, nie dotykali się i dzielili ich mile.

Serafina spróbowała wytłumaczyć Thomasowi to, co sama pojęła zaledwie przed chwilą.

- Ale ja go nie chcę, Thomasie. Uświadomiłam to sobie dziś rano. To już koniec.

Jestem wolna. Oto, czego chcę! - Wskazała na miasto, ruchliwie i zalane jaskrawymi promieniami słońca. - Jestem szczęśliwa.

- Moje gratulacje - odparł sucho. - Cieszę się, że choć jedno z nas jest szczęśliwe.

- I potrzebuję ciebie, Thomasie!

Wypowiedziawszy to zdanie, wiedziała, że mówi prawdę. Potrzebowała Francesca, potrzebowała „Zimorodka”, potrzebowała też swej firmy, ale najbardziej potrzebowała Thomasa Marlowe'a.

- Kocham cię. Teraz o tym wiem.

Ktoś odwrócił się z uśmiechem, słysząc kobietę głośno wyznającą miłość na środku zatłoczonej ulicy. Ale na Thomasie nie zrobiło to żadnego wrażenia, może tylko nieco posmutniał.

- Czy nie kochasz mnie choćby odrobinę? - zapytała cicho. Nie poruszył się i nie odpowiedział, tylko stał, wpatrując się w nią ponurym wzrokiem.

- Kiedyś kochałem cię bardziej niż siebie samego, Serafino - odezwał się po chwili.

- A teraz - nie wiem. Jestem zmęczony, mam dosyć tego wszystkiego. Wracam do Anglii.

Z początku nie mogła pojąć jego słów, nie mogła uwierzyć, że go straciła - właśnie teraz, kiedy wreszcie uświadomiła sobie, jak go potrzebuje.

Spojrzał na nią nieco łagodniej. Rzeczywiście, wyglądał na bardzo, bardzo zmęczonego.

- Zabieram „Zimorodka” i wracam do Anglii - powiedział łagodnym tonem. - Od pewnego czasu zastanawiałem się, czy nie wrócić do domu. Wydaje mi się, że nie jestem ci już nic dłużny. Wiele zawdzięczam też Kompanii Lewantyńskiej. Moi ludzie wyładowują właśnie teraz tkaniny z „Zimorodka” i przewożą do składów. Zrobiliśmy dobry interes w Lewancie, będziesz miała z tego niezły dochód.

Chciała mu powiedzieć, że nie dba już ani o zyski, ani o straty, lecz zdołała tylko powtórzyć żalonym szeptem:

- Ale ja cię kocham, Thomasie.

W końcu na chwilę chwycił ją za ramiona.

- Doprawdy? Ciekaw jestem. Tyle razy kłamałaś, że wątpię, byś potrafiła odróżnić prawdę od kłamstwa, nawet gdyby ta zastukała do twoich drzwi. - Wypuściwszy ją z uścisku, pochylił się i podniósł worek, który upadł wcześniej na ziemię. - Opiekuj się Franceskiem - powiedział. - Zbuduj kiedyś dla niego okręt...

Serafina wciąż nie mogła uwierzyć, że Thomas zamierza odejść.

- A... a Edward Whitlock? - zapytała. Pokręcił wolno głową.

- Zaryzykuję.

Serafina zastęła w bezruchu. Pojęła wreszcie, że mimo wszystko w końcu go straciła. Ale uchwyciwszy się dumy, która od wielu lat dawała jej siłę do życia, zmusiła się do uśmiechu.

- A zatem skończyłeś już z pończochami i wełnianymi czapkami?

Thomas zarzucił worek na ramię i ruszywszy przed siebie, odkrzyknął:

- Chodzą pogłoski, że w Londynie założono nową kompanię, która będzie się zajmować handlem z Indiami. Może...

Odszedł. Wszystkie dźwięki wokół nagle umilkły, Serafina widziała tylko kołyszący się, zniszczony czarny kapelusz. Poczwała nagle piekący ból pod powiekami.

Może, pomyślała. Może.

We Florencji Fiametta Nadi, zniósłszy dzielnie rozmowę z ojcem, zastukała do drzwi sypialni matki.

Kiedy córka weszła do komnaty, Giulia leżała jeszcze w łóżku. Chociaż minęło już południe, w pokoju było ciemno, światło dobiegało jedynie przez szpary między zamkniętymi okiennicami. Łoże i okna przysłaniały ciemnozielone kotary; pantofle, suknie i bielizna porozrzucane były niedbale na podłodze i meblach. Omijając niezgrabnie zmięte pledy i walającą się garderobę matki, Fiametta odsunęła ciężkie, aksamitne zasłony, aż wokoło wzbił się kurz.

- Kochanie...

Giulia Nadi jęknęła, przetarła oczy i usiadła na łóżku. Fiametta, odwróciwszy się, przyjrzała się matce chłodnym wzrokiem, dostrzegając pogniecioną, jedwabną koszulę, rozczochrane włosy i bladą, pełną twarz.

- Muszę z tobą pomówić, mamó. Chodzi o moją przyszłość.

Giulia okryła się szalem. Powietrze w sypialni przesycone było ciężkim zapachem lawendy. Owa woń i gniew ojca, który miała świeżo w pamięci, sprawiły, że Fiamette zbierało się na wymioty, ale stała nieruchomo przy łóżu, zacisnąwszy dłonie.

- Twoja przyszłość jest już postanowiona, kochanie - ziewnęła Giulia. - Kiedy drogi Angelo wróci...

- Angelo już wrócił. Ale bez statku.

W końcu udało jej się skupić na sobie uwagę matki. Wielkie, niebieskie oczy, nieco wyblakłe w jaskrawym świetle słonecznym, spoczęły na Fiamecie.

- Ojciec otrzymał dziś rano list. Statek messera Guardiego nigdy już nie wróci do Włoch - wyjaśniła grzecznie dziewczyna. - Zatonął. Jego ukochana „Fiametta” zatoneła.

Giulia otworzyła usta. Jakże brzydko wyglądała z tym obwisłym podbródkiem, pomarszczonym czołem i licznymi, drobnymi bruzdami wokół ust, pomyślała Fiametta. Trzeba będzie wiele różu, żeby móc pokazać tę twarz światu.

- I to z naszym złotem na pokładzie - dodała. - Ojciec jest bardzo zirytowany. Właśnie pod wpływem jego złości, której była świadkiem, postanowiła tutaj przyjść, nie do końca wiedząc jeszcze, po co. Raz czy dwa razy w życiu widziała ojca w takim stanie, ale niebezpieczeństwo jego gniewu wciąż nad nimi wisiało - był niczym dymiący wulkan, który w każdej chwili może wybuchnąć. Nie znosiła irytacji ojca i była już zmęczona staraniami o jego dobry humor. Przez całe życie musiała liczyć się ze zmiennymi nastrojami i gwałtownym temperamentem Lorenza Nadiego.

Giulia podniosła się i szukała ubrania. Ona także wyglądała na przestraszoną.

- Niech mama lepiej do niego pójdzie - powiedziała chłodno Fiametta. - Mama zwykle potrafi odwrócić jego uwagę.

- Tak... - Giulia najwyraźniej rozmyślała o czymś intensywnie, słychać to było w jej głosie. Siedząc przy małym stoliczku, zaczęła rozczesywać swe długie, złotorude włosy.

- Miejmy nadzieję - ciągnęła Fiametta - że ojciec nie usłyszy już nic więcej, co by go mogło rozłościć. - Chyba się mama ze mną zgadza?

Giulia upięła sobie włosy w węzeł na czubku głowy.

- Oczywiście, moja droga. Musimy bardzo uważać. No i nie powinnaś się zamartwiać, jestem pewna, iż znajdziemy ci kogoś innego. Zawsze mi się wydawało

- dodała, wpinając ostatnie szpilki - że Angelo Guardi ma w sobie coś z parweniusza. Nie sądzisz, kochanie?

- Nigdy nie wyjdę za męż. - Fiametta przejechała ręką po swych słabych, cienkich włosach.

Wyjąwszy z miseczki łapkę królika, Giulia zaczęła pudrować twarz.

- Nie bądź niemądra, kochanie. Przeżyłaś rozczarowanie i tyle. Był przystojny to prawda, ale ładna twarz to nie wszystko. Nie warto po nim płakać. Kiedy młodzi ludzie dowiedzą się, że jesteś wolna, Fiametto, zaczną tłoczyć się u naszych drzwi, jestem pewna.

- Nie płaczę za messerem Guardim. - Fiametta zacisnęła pokryte gęsto piegami palce. - Nienawidziłam go. I nie wyjdę za nikogo innego. Nienawidzę wszystkich mężczyzn!

Matka, nadal trzymając króliczą łapkę w dłoni, odwróciła się na taborecie.

- Kochanie...

- Niech mama pozwoli mi iść do klasztoru. I ofiarujcie siostram tak dużą sumę pieniędzy, bym mogła być pewna, że któregoś dnia zostanę przełożoną.

Giulia wlepiała wzrok we Fiamettę i roześmiała się głośno.

- Nie bądź śmieszna, kochanie! Czemu moja córka miałaby zostać zakonnica? Twój posag zapewni ci dobrego męża. No i ojcu by się to nie spodobało, wiesz o tym. Chce, żebyś dobrze wyszła za mąż - powiedziała, marszcząc czoło.

Fiametta przyglądała się matce zimnym, twardym wzrokiem. Pomyślała, że choć jest wiele kobiet, którymi pogardza, to żadna nie budziła w niej lęku.

- Nie uczynię tego, mamó - odparła zimno i wyraźnie. - Nie mam zamiaru w ogóle wychodzić za mąż. I niech mama tylko pomyśli - utkwiała w Giulii chłodne, wyblakłe oczy - o ileż bardziej ojciec będzie się gniewał, jeśli dowie się o mamie i młodym messerze Frescobaldim.

Giulia sapnęła i upuściła miseczkę z pudrem. Biały obłok pofrunął w górę, napełniając pokój mdłym, słodkim zapachem.

- Byłaby ze mnie dobra matka przełożona, a zła żona. To zależy od mamy. Ale sądzę, że jeśli ojciec dowiedziałby się te raz o messerze Frescobaldim, mógłby nawet mamę zabić.

Twarz Giulii zrobiła się teraz biała ze strachu.

- Okropna z ciebie dziewczyna! - syknęła, niezgrabnie próbując zgarnąć trochę rozsypanego pudru z powrotem do miseczki. Mimo że przez całe życie odgrywała rolę bezradnej piękności, w istocie była kobietą praktyczną. Przemyślawszy całą sprawę, zapytała, przyglądając się córce: - A czy Lorenzo nie zabije mnie, jeśli mu powiem, że zamierzasz zostać zakonnica?

- Nie, nie zrobi tego. - Fiametta podeszła do drzwi - duża, niezgrabna dziewczyna w sztywnej sukni z różowego brokatu, która nie dodawała jej uroku. - Ma w końcu Nencię. Ona zrobi świetną partię. A mama zawsze potrafiła do wszystkiego ojca przekonać, jeśli się tylko postarała. Spodziewam się, że nadal tak będzie - przynajmniej przez jakiś czas - dodała bezlitośnie i wyszła z pokoju.

Giulia przez jakiś czas siedziała nieruchomo, wpatrując się w lustro, potem zaś wstała i zawołała służącą.

Angelo wrócił do Marsylii, do swego rodzinnego miasta. Dom Franca Guardiego - i Serafiny - był w końcu jego domem, jedynym, jaki miał.

Przypłynął na pokładzie geneueńskiej karaki, płacąc za przejazd pozbawioną wartości monetą, jaką były teraz jego reputacja i nazwisko. Z portu udał się prosto do domu Guardich. Nie mógł trafić kluczem do zamka: stał, próbując zapanować nad drżeniem rąk, aż w końcu służący otworzył przed nim drzwi.

Wnętrze domu wydało mu się dziwne i obce. Ledwie rozpoznawał pokoje i z trudem przypominał sobie, co mieści się w kredensach i skrzyniach. Wiedział, że teraz patrzy na to wszystko innymi oczami, że surowe spojrzenie Serafiny Guardiego zawładnęło jego ciałem i stopniowo go paraliżuje.

Zdołał jednak zachować pozory, iż nic się nie stało. Był wystarczająco próżny - w końcu to rodzinna wada! - by dalej pisać listy, zapełniać księgi rachunkowe kolumnami cyfr i szacować rozmiary swej klęski. Wiedział, że musi stracić dom, służbę oraz mniejsze statki - wszelkie zewnętrzne odznaki wysokiego statusu społecznego, które z takim trudem zdobywał. Dalej jednak odgrywał rolę, jaką narzuciło mu życie, które sam sobie wykreował, ponieważ było to jedyne życie, jakie znał.

Pewnego razu, obudziwszy się w środku nocy, pomyślał, że wszystko mogło potoczyć się w inny sposób. Ale wiedział, że nie mogło być inaczej: został ulepiony ze złej gliny. Jego urodzenie i ambicja zawsze kroczyły różnymi drogami.

Wiedział, że jego problemy są nierozwiązywalne: żył niczym szczur uwięziony w beczce i coraz bardziej rozpaczliwie goniący w kółko pośród śmieci i zwiędłych liści. Angelo często żałował, że nie pograżył się w morskich otchłaniach, by zasnąć na zawsze.

Thomas płynął na „Zimorodku” przez błękitny bezmiar Morza Śródziemnego, mijając ze znaczną prędkością Sycylię i Korsykę.

Przez większą część dnia nie myślał ani o przeszłości, ani

o przyszłości, tylko o chwili obecnej, o wyznaczaniu kursu, wybieraniu żagli, szukaniu najlepszego wiatru. Pochłaniało go nieustanne wypatrywanie innych żaglowców, a gdy je dostrzegł, ustalanie, czy są nastawione wrogo, czy przyjaźnie. Po kilku dniach od opuszczenia Pizy dogonił trzy statki. Rozpoznawszy je, kazał nieco zwolnić. „Legacy”, „Garland”

1 „Saviour of Bristol” płynęły wreszcie do Anglii, zawinawszy w drodze powrotnej z Aleksandretty do Livorno - w celach handlowych i aby dokonać drobnych napraw. Thomas wolałby nie odbywać tej podróży wraz ze statkami Kompanii, ale skoro tak nagle opuścił Pizę - nie, miał wyboru. Trzymał się ostrożnie daleko z tyłu za trzema angielskimi żaglowcami, by Edward Whitlock nie uważał, iż „Zimorodek” rzucił mu jakiekolwiek wyzwanie. Stawił mu czoło w Lodynie - rozsądnym i spokojnym miasteczkiem, tak odmiennym od upalnych, pełnych dokuczliwych owadów metropolii śródziemnomorskich. Tam przemówił za nim John Keane, a także sam „Zimorodek” - i zabrzmiało to bardziej przekonująco niż jakiekolwiek słowa, których Thomas Marlowe mógłby użyć na swą obronę. Nareszcie gołąb zamiast drapieżnej mewy. Zwiastun pokoju.

Jeśli w ogóle myślał o Serafinie, to tylko od czasu do czasu, gdy nagle i niespodziewanie przypominały mu się jakieś sceny z ich wspólnego życia: Serafina w Pizie, Serafina jako służąca w domu Jacopa Capriani, Serafina na bankiecie u Merlich, dumna i zła, nosząca w łonie jego dziecko. I co najtrudniej było znieść - Serafina w jego ramionach, cała we łzach, namięta i czuła. I w chłopięcym stroju, na koniu, jadąca u jego boku z Walencji do Marsylii, z pochyloną głową, pod wiatr. Wszystko to już przeszłość, myślał Thomas, wpatrując się w morze, tylko wiatr wciąż wieje mi w oczy.

Od czasu gdy Jules Crau pochował córkę w zbiorowej mogile na obrzeżach Marsylii, życie straciło dlań sens. Czuł się tak, jakby zapomniał, po co żyje. Nie mógł sobie nawet przypomnieć, na czym mijały mu dni po śmierci Isabelle; nie mógł sobie przypomnieć, czy spał, jadł coś lub mówił. Jego życie by-

ło ciągiem pojedynczych chwil, niepowiązanych ze sobą w żaden racjonalny sposób.

Któręgoś wieczora znalazł się na rynku. Po jednej stronie placu stał dom cały ze złota; zachodzące słońce rozjaśniało zdobione ściany, oświetlając go niczym latarnia morska. Ostre promienie, wskazujące ten właśnie budynek pośród innych, raziły Jules'a w oczy, rzucając purpurowe, srebrne i złote błyski i nie mógł oderwać od nich wzroku. Jules'owi wydawało się, że ów gmach jest siedzibą jakichś złych mocy, skoro nie można przestać na niego patrzeć. Ten dom wabił go i jednocześnie drwił sobie z niego. Nagle Jules Crau poczuł z niezachwianą pewnością, że tej nocy pozna ową przyczynę, która po śmierci Isabelle nadal trzymała go przy życiu. W pewnej chwili uświadomił sobie, że ktoś stoi obok niego i zwraca się doń po imieniu. Kątem oka Jules dostrzegł jednego ze swych towarzyszy z królestwa żebraków. Ale nawet wtedy nie poruszył się ani nie odezwał, ponieważ wiedział, że nie może tego uczynić. Słyszał głosy, nakazujące mu, by nic nie mówił. Wykrzywił więc tylko twarz w przerażającym uśmiechu, który sprawił, że jego przyjaciel pobiegł, aby odszukać towarzyszy.

Był upalny wieczór. Jules nie zdawał sobie zupełnie sprawy z tego, że po plecach, pod warstwami podartych ubrań, sływa mu pot. Na placu zaczęli gromadzić się inni żebracy, których przyprowadził jego znajomy. Crau wciąż wpatrywał się w ową kamienicę, zahipnotyzowany wielobarwnymi błyskami zachodzącego słońca. Wydawało się, że gmach się kołysze, ogromnieje, wypełniając całe pole widzenia, wypełniając całe niebo.

W końcu otworzyły się drzwi wiodące do złotego domu. Jules zamrugał oczami i drgnął. Jakiś mężczyzna zszedł po schodach, a potem ruszył wąską uliczką przylegającą do budynku. Miał złote włosy i ubrany był w szkarłatne szaty. Jules poznał po barwie jego stroju, że to szatan. Wszak szkarłat to diabelski kolor. Tak mu mówiły owe głosy. Jules ruszył w ślad za mężczyzną ciemną, wąską alejką. Za nim szli głodni z całej Marsylii.

Kiedy był w połowie alejki, ów człowiek odwrócił się, usłyszawszy za sobą kroki. Jego włosy mieniły się złotem w promieniach słońca, przebłyskujących spoza dachów. Był młody i przystojny, podobny do Lucyfera - piękny i lśniący. Jules, ujrawszy jego twarz, sapnął i pojął wszystko. Poznał człowieka, który wyszedł przed chwilą z tego przeklętego, jaśniejącego-

go domu. To kupcy są odpowiedzialni za cierpienia i nędzę biedaków - tak mu ktoś powiedział: Charles de Casauhc czy też Król Żebraków. A latem, w porcie, ten właśnie kupiec dał Jules'owi guzik. Guzik z rogu.

W końcu Jules zrozumiał, dlaczego musiał żyć, kiedy jego najbliżsi już zmarli. Musiał żyć po to, aby uwolnić świat od zła, które niszczyło Marsylię. Zło - tak jak ten człowiek - pochodziło z owego pozłacanego domu na placu.

Jules w końcu odzyskał głos, lecz nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Ryk bóleści, zrodzony z nieszczęścia, strachu i głodu, odbił się echem od murów pobliskich domów. Z tyłu powłóczący nogami przyjaciele żebracy powtórzyli ów okrzyk.

Jules poczuł nagle w sobie dziwną siłę i uderzył kupca, zanim tamten zdążył dobyć szpady. Nie miał żadnej broni, prócz rąk i nóg, ale wywijał nimi w powietrzu, szarpiąc na strzępy jedwabną koszulę i szkarłatny kubrak.

Zapadała ciemność, gdy żebracy wypełnili alejkę. Byli teraz jednym ciałem i ta myśl dodawała im siłę. Ich wycie przypominało wycie wilków, grasujących jeszcze w najbardziej niedostępnych rejonach francuskich lasów; słyhać w nim było głód, gniew i nienawiść. Brudne, zrogowaciałe palce odnalazły piękną, wysadzaną kamieniami szpadę kupca i wyciągnęły ją z pochwy.

Gdy poćwiartowali już ciało mężczyzny, wdarli się do jego domu, rozwalając po drodze drzwi i okna, porąbali meble i obrazy na kawałki, podpalili egzotyczne dywany i kotary. Objedli się przysmakami ze spiżarni i ogołocili piwnice z wina; napychali się tak długo, aż ich skurczone żołądki odmówiły posłuszeństwa i zaczęli chorować. Darli paznokciami ściany domu i po pewnym czasie dostrzegli, że mają na palcach złoty pył.

Wreszcie wezwano straż miejską; część żebraków uciekła, ci zaś, którzy nie zdążyli, zginęli od mieczy i toporów. Kiedy znów zapanowały spokój i cisza, a słońce zniknęło w przejrzystych, chłodnych głębinach Morza Śródziemnego, pojawił się księżyc, oświetlając alejkę obok domu kupca.

Na murach i kamiennych płytach lekki, ciepły wiatr rozwiewał kawałki czerwonego jedwabiu. Wyglądały niczym maki tańczące na wzgórzach wokół Marsylii, które wystawiały płatki do słońca i ginęły, zanim powiały pierwsze zimne wiatry, zapowiadające nadejście zimy.

Wkrótce po wyjeździe Thomasa z Pizy niechęć otoczenia, odczuwana przez Serafinę już wcześniej, zaczęła przybierać coraz bardziej zatrważające formy. Zaczęło się od słowa „dziwka”, nabazgranego czarną farbą na progu jej domu. Serafina wysłała kogoś ze służby, żeby wytarł napis, oparłszy się pokusie, by zrobić to samej na klęczkach, dając w ten sposób ujście złości.

Dwa dni później na progu pojawiło się następne słowo. Kiedy przestraszona służąca powiedziała o tym swej pani, ta po raz pierwszy poczuła raczej lęk niż gniew. Na schodku napisane było „bękart” - Serafinie przyszedł na myśl niebieskooki Francesco, bawiący się teraz na górze z Marią. Trzymając kurczowo za klamkę u drzwi, rozglądała się nerwowo po opustoszałej ulicy. Wydało jej się, że ściany domu zaczynają pękać, a podniósłszy głowę, uznała że dach nie wygląda zbyt solidnie i mógłby go zmieść pierwszy mocniejszy podmuch wiatru. Zaczęła palić przez całą noc światło w holu i poleciła, aby jeden ze służących czuwał w nocy.

Wszystko się zmieniało, lecz nie na lepsze. Był środek zimy, a w Pizie panowały nieznosne upały, dokuczały muchy, z pobliskich bagien zaś napływało cuchnące powietrze. Któregoś wieczora, kiedy Serafina wracała ze składów, ktoś na nią splunął, ale kiedy się rozejrzała dookoła, usłyszała tylko śmiech i odgłos oddalających się kroków. W domu ściągnęła z siebie zabrudzoną suknię, rzuciła ją na podłogę i podeptała, a twarz i ręce dokładnie wyszorowała.

Kiedy podniosła wzrok, zauważyła Marię, która przyglądała jej się z oczyma pełnymi łez.

- Mama mi powiedziała, że messer Merli twierdzi, iż otrują swego męża - wyszłochała dziewczyna. - To kłamstwo, prawda?

Serafina znieruchomiała na chwilę, z rącznikiem przy twarzy i odrzekła pozornie lekkim tonem:

- Naturalnie, że kłamstwo.

Kradła, oszukiwała, ale nigdy nikogo nie zabiła. To Angelo zabijał - i tym się różnili.

Wysłała listy do Constanzy, mieszkającej teraz w Luce, i do Williama Williamsa, który nie odpłynął na pokładzie „Zimorodka”, lecz został w Livorno. W nocy budziła się często, gdyż wydawało jej się, że słyszy obce głosy przed drzwiami i czyjeś kro-

ki w korytarzu. Odkryła, że chociaż można poświęcić długie lata na stworzenie sobie domu, nowego życia i rodziny, wystarczy jedno słowo, aby to wszystko zaczęło drzeć w posadach. Obelgi, które szeptało pod jej adresem, gdy spacerowała ulicami, chodziła na targ i do portu, stawały się coraz głośniejsze. Dziwka. Bękart. Wiedźma.

Kiedy tajemniczy oprawca uśmiercił kota Marii, a po mieście rozeszła się wieść, że owo biedne stworzenie należało do wiedźmy, Serafina napisała po raz drugi do Constanzy, uprzedzając kurtyzane, że nie jest w stanie dłużej zagwarantować bezpieczeństwa jej córce. W nocy Francesco sypiał w pokoju matki, w kołyszce stojącej tuż obok jej łóżka. Serafina nie walczyła z plotkami, nie starała się też uchronić od ruiny owoców swego trudu. Nie próbowała nawet, bo nie było żadnego widzialnego wroga. Pracowała tak ciężko, zносиła upokorzenia, straciła mężczyznę, którego kochała, a teraz to wszystko miało pójść, na marne. Było w tym coś nieuchronnego, coś, co pojąłby tylko Kara Ali. Leżąc w łóżku, w środku nocy, Serafina pomyślała, że zonglowała zbyt długo i zbyt śmiało, że złote obręcze, które podrzuciła wysoko w niebo, mogą wkrótce spaść na ziemię, przygniecione ciężarem plotki.

Wyjęła pieniądze z banków i kufrów, wydając w tajemnicy skomplikowane rozporządzenia, by móc bez przeszkód dysponować swym majątkiem. Sprzedała tyle tkanin, ile się dało, ale nie miała powodzenia w handlu. Ludzie nie chcieli kupować niczego od wiedźmy i mężobój czyni. Służący, którzy pracowali od czasów Jacopa, zaczęli szemrać. Niektórzy oświadczyli swej chlebobawczyni, że chcą odejść i nie patrzyli jej przy tym w oczy. Spakowała rzeczy swoje i Francesca i starała się z nim nie rozstawać. W pewnej chwili uświadomiła sobie, że nie opuszcza własnego domu, zasuwa zasłony i zamyka okiennice, że znowu ją uwięziono, tak jak niegdyś w Algierze.

Pewnej nocy udało jej się wreszcie zasnąć na dłużej, lecz nagle się obudziła. Z początku myślała, że to świt, ale gdy rozejrzała się wokół i zobaczyła nienaturalne, pomarańczowe światło, zalewające pokój, wiedziała już, że to nie poranna zorza. Podbiegła do okna i uchyliła lekko okiennicę.

Na ulicy płonęło ognisko. Na środek stosu rzucono kukłę, zrobioną z drewna i wosku, ubraną na czarno. Serafina patrzy-

ła, jak drewno zaczęło się palić, a twarz i ciało z wosku topniały, aż grubo wyciosane rysy kobiece stały się groteskowe. Na ulicy było pełno ludzi: płomienie ogniska oświetlały oblicza zgromadzonych od dołu, przemieniając ich w nierozpoznawalne demony. W powietrzu unosiły się purpurowe iskry z płonącej, woskowej postaci. Serafina ubrała siebie i Francesca tak szybko, jak tylko mogła, pobiegła do pokoju Marii, obudziła dziewczynę i oddała jej dziecko. Potem zakradła się po cichu do kantoru i otworzyła pewną skrzynię.

Rozpaczliwie przerzucała jej zawartość, wysypując wszystko na podłogę: księgi, umowy, rachunki, dokumenty. Wiedziała że ten papier musi tu być, sama go tu przecież schowała przed rokiem. Kiedy znalazła to, czego szukała, odczytała napis u góry, a potem wsunęła list za stanik sukni.

Gdy biegła z powrotem po schodach, usłyszała łomotanie do drzwi. Czyjeś silne ręce szarpały ciężkimi, żelaznymi ryglami tak długo, aż zamki ustąpiły. Słysząc też było męskie głosy, powtarzające monotonna wciąż te same słowa:

- Dziwka! Bękart! Wiedźma!

Thomas obudził się wczesnym rankiem, słysząc huk dział.

Spał w swej kajucie na „Zimorodku”, znajdującym się gdzieś niedaleko przylądka.

Odgłos wystrzału wyrwał go natychmiast z koszmarne, męczącego snu.

Wygramoliwszy się z koi, usłyszał na schodach kroki „oka”.

Otworzył drzwi, zanim marynarz zdążył zapukać.

- Panie...

- Wiem. Słyszałem. - Thomas, już w koszuli i spodniach, biegł na mostek.

Wiał mocny wiatr, wzbijając duże, spienione fale. Jeszcze nie świtało, ale gdy Marlowe lustrował horyzont, dostrzegł szkarłatny poblask. Zaraz potem rozległ się głuchy, straszny huk. Thomas poczuł przebiegający po karku dreszcz, wyteżył wzrok, ale było zbyt ciemno i zbyt daleko, by cokolwiek zobaczyć.

Bosman, który stał obok niego, zapytał:

- Hiszpanie?

Jego kapitan zmarszczył czoło.

- Możliwe.

Wpatrując się nadal w morze, słyszał, jak „Zimorodek” budzi się ze snu, ludzie wyskakują z hamaków i wybiegają, z gniewnymi pomrukami, na pokład.

Bosman, usłyszawszy kurs, jaki podał mu przełożony, znów się odezwał:

- Panie kapitanie, moglibyśmy...

- Zawrócić i popłynąć z powrotem na Morze Śródziemne? - Oczy Thomasa lśniły czystym błękitem w półmroku, a w kącikach ust czaił się uśmiech. - Nie.

Podpłyniemy i rozejrzemy się trochę. Widzisz, jestem ciekawy, kto to. Ciekawość zawsze była moją wadą.

Ale to nie ciekawość sprawiła, że „Zimorodek” popłynął w kierunku, z którego dochodziły wybuchy. Thomasa popchnęły w tamtą stronę niepokój, smutek i stara, dobrze mu znana potrzeba działania. Gdy podpłynęli bliżej miejsca walki, zobaczył, że to nie Hiszpanie, lecz zupełnie inny wróg, który okrążył trzy statki, opływające przylądek.

Owe trzy statki, jak domyślił się Thomas, były to „Legacy”, „Saviour of Bristol” i „Garland”. Walczyły z całą flotyllą berberyjskich korsarzy.

Thomas usłyszał za plecami, jak Ruf us klnie pod nosem. Ujrzał też, że po twarzach jego ludzi przemknął strach. W Livorno zatrudnił kilku nowych na miejsce tych, którzy postanowili zostać we Włoszech. Wśród nowych żeglarzy byli Grecy, Francuzi, ale i paru Anglików. Podczas pierwszych tygodni na morzu stosował wobec nich metodę kija i marchewki, aż stali się częścią zgranej drużyny, jaką była załoga „Zimorodka”.

On sam nie czuł żadnego lęku, lecz na ułamek sekundy znieruchomiał, pogrążając się w rozmyślaniach. Mógł, jak tego chciał bosman, zmienić kurs i uciec. Mógł sobie powiedzieć, że to nie jego sprawa, że walka toczy się między Angielską Kompanią Lewantyńską a korsarzami. Jego to nie dotyczy.

Ale też niemal natychmiast odpowiedział sobie, że to po prostu nieprawda i cała sprawa dotyczyła go na wiele sposobów. Ten statek, ta załoga, ubranie, jakie miał na sobie - wszystko to tak naprawdę sfinansowała Kompania Lewantyńska, zsyłając mu podarunek w postaci złota, które znalazł po zatonięciu „Toby'ego”. Wszystko zawdzięczał Kompanii.

No, a poza tym dokonał wyboru wiele tygodni temu, jeszcze w Pizie. „Wracam do domu”, oznajmił Serafinie. Wracał do domu, do Anglii. Nie zamierzał tego mówić, ale gdy tylko wypowiedział te słowa, zrozumiał, że wyrusza w jedyną drogę, jaka mu pozostała. Mógł już tylko wrócić do kraju i zacząć od nowa realizować swe plany, o których prawie zapomniał - przez Serafinę. Nie mógł uwolnić się od niej - takiej, jak wyglądała owego ostatniego poranka: ciemne włosy rozwiewał jej wokół twarzy ciepły wiatr; w oczach miała tyle radości, którą on, umyślnie zniszczył. Jej usta, zmuszające się do uśmiechu. Złość, jaką odczuwał na myśl o Angelu Guardim całującym te usta i pieszczącym to ciało - była nie do zniesienia.

Teraz wszakże owa wściekłość zwróciła się przeciw komuś innemu. Trójkątne żagle z czerwonym, muzułmańskim półksiężycem trzepotały na wietrze. Na masztach statków Kompanii Lewantyńskiej powiewały czerwone krzyże. Sześć zwinnych i szybkich, dobrze uzbrojonych korsarskich okrętów okrążyło trzy angielskie statki przemyślnym szykiem i na oczach Thomasa jeden z wrogów znów wystrzelił z działa, a kula uderzyła w burtę „Saviour of Bristol”. Nie słyszał krzyków ludzi na trafionym statku, ale widział czarną dziurę, którą wyrwała kula i gorączkową krzątaninę ludzi, próbujących załatać uszkodzenie.

Rozkazał oczyścić pokłady „Zimorodka” i wtedy właśnie, osłaniając oczy ręką przed pierwszymi promieniami słońca, rozpoznał okręt, z którego właśnie wystrzelono. Lśniąca, zręczna galera, z wymalowanym na dziobie wieńcem błękitnych kwiatów, mającym strzec ją od zła. Widział tę galere niecałe pół roku temu w Aleksandrecie. Jej właściciel był przyjacielem Angela Guardiego, nazywał się Hamid.

A więc Hamid, jak Thomas ostrzegał wcześniej Johna Keane'a, popłynął w ślad za angielskimi statkami Morzem Śródziemnym. Tyle że tym razem jego sojusznikiem nie był Francuz Angelo Guardi, lecz cała flota berberyjskich korsarzy, spragnionych jedwabiu, przypraw i ludzi, których mogliby przykuć do wiosł swych statków.

Na „Zimorodku” ludzie pospiesznie szykowali pokłady. Hamaki, pościel, odzież i sprzęty odsuwano na bok, a załoga strzelnicza gromadziła narzędzia, kule i beczułki z prochem. W pogotowiu stały już kadzie z wodą, służącą do chłodzenia nadmiernie rozgrzanych dział, na deskach rozsypywano sól

i piasek, aby nie było tak ślisko. „Zimorodek” został dobrze uzbrojony, większe działa umieszczono w niższej części statku, lżejsze zaś znajdowały się wyżej. Na przednim i środkowym pokładzie wycelowano w kierunku galer mniejsze działa, zwane falkonetami. Thomas usłyszał zgrzytanie i jękliwy odgłos, gdy otworzono drewniane otwory strzelnicze, a potem niski, metaliczny warkot, gdy wtocono działa na miejsca. Wyżej, nad jego głową, żeglarze sprawdzali olinowanie, by zabezpieczyć reje.

„Saviour of Bristol” nadal utrzymywał się na wodzie, jego załoga wciąż naprawiała pospiesznie dziurę, jaką uczyniła kula. Ale jeszcze jeden taki strzał, pomyślał ponuro Thomas, wydawszy polecenia sternikowi, i żaglowiec z pewnością pójdzie na dno. Nie dlatego, żeby korsarze chcieli go zatopić - Hamid oraz jego sojusznicy woleli przejąć ładunek i załogę angielskiego statku niż patrzeć, jak „Saviour” wraz ze wszystkimi skarbami idzie na dno.

Ustawiając „Zimorodka” w najlepszym położeniu, Marlowe pomyślał, że jeszcze go nie zauważyli. Zarówno korsarze, jak i Anglicy byli zbyt pochłonięci śmiertelną grą, jaką właśnie toczyli, by dostrzec jeszcze jeden statek, pchający się w sam środek walki. Thomas uświadomił sobie, że się uśmiecha, podnosząc rękę, by dać znak artylerzyście. Po chwili z pokładu „Zimorodka” padła pierwsza, śmiertelna salwa. Z obserwatorów stali się uczestnikami tego rozdania.

John Keane na pokładzie „Legacy” usłyszał wystrzał z działa „Zimorodka”. Ów dźwięk przebił się do jego świadomości, wyrrywając go z pełnego skupienia namysłu, niczym ze złego snu. Wydawało mu się, że mięśnie, kości i zęby wibrują w tym samym rytmie, co ów dźwięk.

Korsarze otoczyli ich, niespodziewających się niczego, wczesnym rankiem, podpłynawszy niczym stado groźnych, srebrzystych ryb - znikąd. Szybko udało im się rozdzielić konwój; wcisnęli się między „Garlanda” i „Saviour of Bristol”, uniemożliwiając obu powrót na Morze Śródziemne lub ucieczkę na Atlantyk. Takiego właśnie rozwoju wypadków obawiał się zawsze John Keane, a tym razem lęk ów był większy niż zwykle, John wiedział bowiem, że angielskie statki osłabiła już potyczka w okolicach Cypru. W Aleksandrii dokonali napraw kadłuba „Legacy”, ale „Garland”, mały i już nienowy, mocno szwankował od czasu spotkania z chciwym Francuzem. Sześć wojennych galer korsarskich przeciwko dwóm wyładowanym galeonom i niemalże szalupie - szanse nie były wyrównane. A gdy jeszcze korsarska kula uderzyła w „Saviour of Bristol” - ich szanse zmniejszyły się jeszcze bardziej.

Tylko tego brakowało, rozmyślał ponuro John Keane, żeby do walki przyłączyli się ci przekłeci Hiszpanie.

Stojąc na mostku, mrużył oczy i wpatrywał się w morze. Z początku nie zdołał rozpoznać, skąd rozległ się wystrzał. Trochę niżej jego ludzie nabijali ponownie działo; koszula Johna była już czarna od dymu i cuchnęła prochem. Na trafionym kulą statku wciąż walczyli, by utrzymać go w pozycji pionowej.

Sternik chwycił Johna za ramię.

- Niech pan spojrzy, panie kapitanie...

Keane odwrócił się, przeklinając swój słaby wzrok i wpatrywał się bezradnie w zalane słońcem morze. Widział jedynie jakiś statek, wielki i piękny, którego sylwetka rysowała się na tle porannego słońca.

- Jak się nazywa? - syknął ze złością do sternika, nie zdoławszy odczytać napisu na burcie ani rozpoznać koloru flagi powiewającej na maszcie.

- „Zimorodek”, panie kapitanie.

Keane spojrzał raz jeszcze z niedowierzaniem. Galeon podpłynął bliżej, mając w tle różowość i fiolet wschodzącego słońca. Wyrzeźbiony na dziobie statku ptak zrywał się do lotu. Proporce miały barwy niebieskie i złote, ale na bezanmaszcie powiewał dumnie czerwony krzyż.

- Chryste Panie! - zawołał John Keane. - To Thomas Marlowe! - Przetarł ręką oczy.

- A co on tutaj, u diabła, robi?

Ale nie było czasu, by się nad tym zastanawiać, czy też cieszyć się myślą, że Thomas ponownie przemyślał propozycję, którą otrzymał w Aleppo i oto właśnie płynie do Anglii. John odwrócił wzrok i spojrzał na „Legacy”. Z jego pokładu dał się słyszeć wystrzał z dział, a po chwili, niczym echo, podobny odgłos dobiegł z „Zimorodka”. John miał wrażenie, że całe morze i niebo zasnuły się czarnym dymem, w którym rozbłyskiwały szkarłatne płomienie ognia.

Jeśli Ned Whitlock rozpoznał „Zimorodka”, a tak zapewne się stało, to i on także, jak każdy myślący człowiek, z radością

przyjął pojawienie się niedawnego wroga. John nigdy się nie dowiedział, czyja kula jako pierwsza trafiła korsarski okręt. Nagle wszystkie cztery angielskie statki zaczęły walić z dział: pojedynczo i seriami, raziły napastnika ogniem i ciężkimi, żelaznymi kulami. Galera, którą otoczyły „Garland”, „Legacy” i „Zimorodek”, najpierw została ugodzona żelazną kulą armatnią, a potem rozmaitym żelastwem. Maszt złamał się jak zapalka, a John usłyszał okropne krzyki wioślarzy, przygniecionych drewnianymi odłamkami. Wszyscy jeńcy byli chrześcijanami i mogli znajdować się wśród nich także Anglicy. Najpierw zapaliła się rufa, później zaś płomienie zaczęły lizać drewnianą konstrukcję, żagle i olinowanie, a także odzież niewolników. John Keane zamknął oczy tylko na chwilę. Kiedy je otworzył, galera już tonęła, fale skrywały ją wraz z wioślarzami przykutymi do pokładu. Wkrótce jednak przestał współczuć niewolnikom i myśleć o domu, Anglii i o Dorothy. Nie było tu miejsca na litość czy ' miłość: te uczucia się nie liczyły, należały do innego życia. Był całkowicie pochłonięty wydawaniem rozkazów załodze, pomocą sternikowi przy określaniu najlepszej pozycji, ochranianiem innych statków, gdy tego potrzebowały, waleniem z dział, gdy znajdowali się w korzystnym położeniu.

W pewnej chwili tego niekończącego się ranka „Zimorodek” wespół z „Garlandem” zatopiły drugą galerę korsarską. Tonęła powoli, acz nieodwołalnie, jakby wciągał ją w morskie odmęty jakiś potężny, choć niespieszny wir. Pozwoliło to załodze angielskiego statku dostać się na pokład wroga, rozgromić Turków i uwolnić chrześcijańskich niewolników. Załoga galery walczyła zaciekle, zabijając dwóch ludzi Neda Whitlocka, aż wreszcie korsarze ponieśli jednak śmierć od szpad Anglików. Whitlock zabrał z galery na „Garlanda” uwolnionych jeńców: dwa tuziny wyczerpanych ludzi, którzy dostali najlepszy posiłek, jaki mieli w ustach od wielu miesięcy, zanim kazano im walczyć w obronie własnej religii.

Podczas oswabadzania jeńców „Garland” stracił bezan-maszt, powalony przez żelazny łańcuch, który owinał się wokół lin niczym trujący, wijący się bluszcz. Maszt złamał się na pół, wydając odgłos podobny do wystrzału z działa i John Keane spodziewał się prawie ujrzeć czerwone płomienie wydobywające się z potrzaskanego drewna. Ludzie roili się na pokładzie

niczym mrówki, cięli splątane olinowanie i wyrzucali żagle oraz liny do morza. Szanse są teraz wyrównane, pomyślał John, ładując jedno z lekkich dział na przednim pokładzie i celując w jakąś galere. Zostały teraz cztery, a „Zimorodek” i „Legacy” warte były przynajmniej dwóch statków wroga.

Ledwie zauważył, że minęło już południe. Wysoko nad masztami „Legacy” świeciło słońce, zmierzające teraz powoli coraz niżej, lecz nadal rozjaśniające im drogę powrotną do Anglii. Nie miał czasu, aby coś zjeść: wypił tylko nieco wody, zacierpniętej dłonią z kadzi stojącej na pokładzie strzelniczym. Trochę później przyniósł ze swej kajuty ostatnie butelki wódki i obszedł z nimi wszystkich, by być pewnym, że każdy członek załogi wypił potężny łyk. Jeden z chłopców okrętowych - mniej więcej dwunastoletni - został trafiony w kolano. John przytrzymał rannego na stole w swej kajucie, gdy chirurg, odurzywszy biedaka mocnym trunkiem, odjął mu zmiążdżoną część nogi. Po zabiegu trzymał przez chwilę chłopaka w ramionach, gdy medyk bandażował mu zakrwawiony kikut - ranny bełkotał, płakał i wzywał matkę, potem zaś, dzięki Bogu, zemdłał. A John, wymiotując po drodze, ruszył z powrotem na przedni pokład, spowity wonią palącej się smoły, prochu, soli i potu. „Saviour of Bristol” poszedł na dno po południu, opierając się nieuchronnemu przeznaczeniu przez dziewięć godzin. Kula ledwie o niego zawadziła, ale dziura w burcie, którą załoga tak rozpaczliwie próbowała załatać wczesnym rankiem, odsłoniła się po raz drugi i wlała się przez nią woda. John obserwował, jak marynarze wskakiwali do morza, gdy galeon przechylał się coraz bardziej, aż wreszcie końce masztów skryły się pod wodą. Ci z załogi, którzy nie umieli pływać, utonęli, mimo że John, zdzierając sobie gardło od krzyku, gwałtownie zmienił kurs i podpłynął na „Legacy” bliżej tego miejsca. Zdołał wydobyć z wody tylko kilku ludzi, gdy jedna z galer podpłynęła zwinnie i piraci zabrali na swój pokład chrześcijańskich żeglarzy wraz z belami jedwabiu i beczułkami przypraw, które tonący „Saviour” oddał ze swych ładowni.

John przyglądał się suchymi oczami, gdy przykuwano do wiosła Izaaka Taylora, kapitana zatopionego statku. Czuł tylko, że ogarnia go coraz większa nienawiść, nad którą nie potrafił zapanować. Odkrył też, że nawet on, subtelny John Keane, gry-

wający na lutni i lubiący szachy, mógłby zabić gołymi rękami wszystkich tych ludzi w turbanach i z brodami, gdyby tylko miał taką możliwość. Co więcej, sprawiłoby mu to radość.

Mieli cztery statki, zostały trzy. Wszyscy byli już teraz zmęczeni, nawet wioślarze na korsarskich galerach pracowali wolniej, mimo że bat chłostał ich po plecach. Ludzie Keane'a, pod wpływem zmęczenia i napięcia, zaczęli popełniać błędy. John, zawsze tak spokojny, stwierdził, że nie potrafi już kontrolować własnego zachowania. Prawie uderzył jednego ze swych żeglarzy, który porzucił niedbale na pokładzie tłący się kawałek hubki. Zdołał zapanować nad sobą dosłownie w ostatniej chwili, zacisnąwszy dłoń w pięść, gdy sięgał już ręką do szpady. Odszedł na przedni pokład, by zaczerpnąć powietrza.

Tylko na „Zimorodku” panował spokój, jak się wydawało. Jeśli pozostali popełniali pomyłki, to bezbłędne posunięcia jego kapitana były efektem chłodnych kalkulacji, jakby zapalczywy temperament Thomasa Marlowe'a ostygł i okrzepł w ogniu bitwy. Gdy John podnosił wzrok znad falkonetu, wydając kolejne rozkazy bosmanowi lub cieśli, widział przed sobą „Zimorodka”, rysującego się dumnie na tle coraz ciemniejszego nieba. Nietknięty kulami wroga, przez cały długi dzień wypuszczał śmiertelne salwy. Thomas zatopił kolejną galere, zanim John Keane, oparłszy się na chwilę o poręcz, w pełni pojął jego zamiary. Korsarski okręt zatonął trafiony jedną, dokładnie wycelowaną kulą, która uderzyła w burzę; poszedł na dno, zostawiając na powierzchni morza lekką zmarszczkę, na znak, że w ogóle istniał. Wtedy dopiero John, ocierając rękami twarz z brudu i potu, pojął, co się stało.

„Zimorodek” jednak polował na pewien określony statek korsarski - jego celem stała się najdłuższa, najszybsza i naj-zwinniejsza galera z wieńcem niebieskich kwiatów wymalorwanym na dziobie. Inne odrywały go tylko na chwilę od tej śmiertelnej gry w chowanego; były niczym uciążliwe muszki, gryzące wygłodniałego wilka, które odgania się, gdy nie może już opanować rozdrażnienia. Keane pojął także, prostując się i zmuszając, by wysłuchać ostrzeżeń artylerzysty, który wykrzykiwał coś o kurczących się zapasach prochu, że i ów korsarz wiedział, iż jest głównym celem polowania. Dla nich dwóch cała reszta świata mogłaby nie istnieć.

Intuicja podpowiedziała Johnowi, iż to przed tym właśnie statkiem Thomas ostrzegał go w Aleppo. Wszystko się zgadzało: walka wet za wet trwała już od miesięcy - a raczej od lat, pomyślał Keane przypomniawszy sobie, co Thomas Marlowe opowiedział mu o swej podróży na Zante. Gdyby stawką w tej grze nie było życie jego i jego załogi, mógłby niemal z przyjemnością obserwować pojedynek, jaki toczyły ze sobą „Zimorodek” i korsarska galera. Użył całej siły woli, by zapanować nad sobą i nie dać się pochłonać temu fascynującemu, śmiertelnemu tańcowi, by skupić się na własnych działaniach, poświęcając im właśnie resztki koncentracji.

Wreszcie to nie John Keane, lecz Edward Whitlock popełnił ostateczny błąd. Ned miał z nich wszystkich zadanie najtrudniejsze, jako że „Garland” był najsłabszym i najwolniejszym statkiem w konwoju. Ned jednak znakomicie nim kierował i wykorzystując niewielkie rozmiary swego galeonu, śmigał między galerami korsarzy, nie pozwalając wrogom się otoczyć i dostać na pokład.

Teraz jednak John Keane, zajęty rozsupływaniem splątanego olinowania „Legacy”, ujrzał, że „Garland” uczynił swój pierwszy i jedyny błąd. Obróciwszy się, wypalił ze wszystkich dział w kierunku jednej z mniejszych galer i zniszczył jej ster. Na statku nie zauważono wszakże, że największa galera - ta, na którą polował Thomas - zbliżała się do nich od strony zawietrznej z prędkością pięćdziesięciu uderzeń wiosłem na minutę. Jej dowódca miał ochrypły od krzyków głos i rękę obolałą od wywijania batem. Keane widział, jak galera ustawiła się w pozycji najlepszej do ataku i zarzucono hak, który zaczepił o górną część burty „Garlanda”.

Sternik „Legacy” pojął groźbę sytuacji. Potwornie wolno jego statek wykonał zwrot, przygotowując się, by ruszyć Whitlockowi na pomoc. Ale gdy John zaczął już ładować arkebuz, ujrzał, że „Zimorodek” podpływa od tyłu do korsarskiej galery. Trzeba było wyjątkowo doświadczonego i sprawnego kanoniera, by trafić kulą w burtę przeciwnika, a nie uszkodzić przy tym „Garlanda”. John Keane wstrzymał oddech, gdy odgłos wystrzału przeszył powietrze.

Okręt korsarski zatonął natychmiast, łańcuchy i hak pogrzażyły się bezwolnie w morzu, błękitne kwiaty na dziobie znikły w końcu pod wodą.

John z radości zerwał kapelusz z głowy. Ale gdy rozejrzał się wokół, ujrzał ostatnią galerę i okrzyk triumfu uwiązł mu w gardle.

Z początku nie mógł pojąć, czemu Thomas Marlowe nie dostrzegł atakującego wroga. Po chwili zrozumiał, spoglądając na zachód, w stronę Atlantyku, że kapitan i załoga „Zimorodka” widzieli jedynie zachodzące słońce, oślepiające pomarańczowe zorze i srebrzystą kulę, kryjącą się za horyzontem.

Z piersi wyrwał mu się ostrzegawczy krzyk, lecz jego głos został stłumiony przez wiatr, zanim zdołał przebyć połowę odległości między „Legacy” a „Zimorodkiem”. Usłyszał ostatni, przerażający huk i ujrzał, jak kula uderza w kadłub „Zimorodka”, czyniąc w nim wyrwę. Cała potężna konstrukcja zachybotała się, jakby galeonem wstrząsnął dreszcz zaskoczenia, i statek zaczął się przechylać coraz bliżej fal.

Niebo było zamglone, a morze ciemne, niemal czarne.

Thomas pochwycił kawałek drewnianej belki, ale i tak zawsze dobrze sobie radził w wodzie i bez większego trudu utrzymywał się teraz na powierzchni. Wiedział, że w jego kierunku zmierzają dwa statki: ostatnia korsarska galera i „Legacy” Johna Keane'a. Zdawał sobie sprawę, że galera płynie szybciej niż angielski galeon, ale było mu to obojętne.

Serce mu pękało, gdy słuchał odgłosów, jakie wydawał „Zimorodek”. Jednostajny szmer stopniowo zamieniał się w kwilenie, gdy drewniana konstrukcja rozpadała się pod naporem fal. Czasami statek jakby skomlał, gdy spomiędzy desek woda wyszarpywała gwoździe. Co jakiś czas jęczał, gdy deski obijały się o siebie. Potem zaś następował wrzask, gdy belki rozłupywały się na kawałki.

Thomas, poruszając nogami w wodzie, ani na chwilę nie odrywał oczu od swego statku. Widział, jak maszty na „Zimorodku” odchylają się i łamią, słyszał trzask pękającego drewna. Patrzył, jak fale wnikają do wnętrza kadłuba, przepływając swobodnie przez osłabioną, połamaną konstrukcję. Wobec niezmierzonej morskiej przestrzeni śmierć „Zimorodka” była niczym, jak zdmuchnięcie niewielkiej, niepotrzebnej świecy.

Kres wszystkiego, o co Thomas walczył, w imię czego kradł i kłamał, nie odznaczał się niczym spektakularnym. Następo-

wała jedynie powolna, nieuchronna destrukcja: kadłub, maszty i belki znikwały na zawsze w morskich głębinach.

Utracił wszystko: Francesca, Serafinę i „Zimorodka”. Może już wkrótce utraci również życie, czuł bowiem, iż jest bardzo wyczerpany. Wciąż jednak uparcie wykonywał powolne ruchy nogami i trzymał się kurczowo szczątków swego marzenia. Gdy ostatnim śladem statku były już tylko ulatujące bąbelki powietrza, Thomas pomyślał, że zrobił to dla niej, dla swej miłości. Aby wyrównać rachunek i pozalutwiał dawne sprawy. Żeby wszystko wreszcie wróciło na swe właściwe miejsce, do prawowitego właściciela.

Tyle że gdy jacyś ludzie wychylili się przez burtę i wyciągnęli go z wody, wciąż nie był pewien, o którą miłość mu chodziło: o statek czy kobietę.

Część piętnasta

1599

DOZNAWSZY UCZUCIA ZNUŻENIA

Doznawszy uczucia znużenia, w obliczu nadchodzącej starości,
rad jestem, że mogę odpocząć we własnym domu.

„PODRÓŻE ANTHONY'EGO JENKINSONA"
RICHARD HAKLUYT

Koniec końców jesteśmy tacy, jakimi ukształtowała nas przeszłość. Kara Ali miał oczywiście rację, nie dano nam wyboru.

Tamtej okropnej nocy opuściliśmy wraz z Franceskiem dom w Pizie kuchennym wyjściem i uciekliśmy nam tylko znanymi uliczkami, zanim napastnicy zdążyli wyważyć drzwi. Schroniliśmy się w mieszkaniu Williama Williamsa w Livorno. Wszystko to już wcześniej zaplanowałam: przeżycia z dzieciństwa przekonały mnie, że warto układać plany zawczasu. Z Livorno pojechaliśmy we troje do Neapolu, gdzie zatrzymaliśmy się w domu Jacopa. Po sześciu tygodniach, podczas których William i Maria wzięli ślub, a ja dopełniłam wszelkich niezbędnych prawnych formalności, wsiadłam wraz z moim synkiem na statek. Thomas miał jednak rację, we Włoszech nie byłibyśmy bezpieczni, zламаłam zbyt wiele reguł. I nigdy już nie wrócę do Francji.

Dom w Neapolu przekazałam Constanzy, ponieważ uratowała życie i mnie, i Thomasowi. I oczywiście po to, żeby odplacić się messerowi Merliemu, a także dlatego, że żadna ludzka istota nie powinna być własnością innego człowieka. Przybyliśmy do Anglii zimą, kiedy drzewa stały nagie i czarne na tle żółtawego nieba. Pamiętam, że gdy tylko opłynęliśmy przylądek, zrobiło mi się zimno i było mi wciąż zimno, gdy szukałam mieszkania w Londynie. Znalazłam dla nas dość przyzwoite lokum, a właściciel był zadowolony, gdyż zapłaciłam mu złotymi monetami. A Francesco, mój śliczny, niebieskooki Francesco, podbił serca wszystkich wokoło. Następnego dnia po naszym przyjeździe ukrył się w kuchni, u żony właściciela gospody, wyjął z wiadra kawałek węgla i chciał nakarmić nim

kota. Pod koniec pierwszego dnia pobytu w Londynie znał już trzy słowa po angielsku: „kot”, „nie” oraz „więcej”. Jeśli chodzi o mnie, to potrzebowałam miesiąca, by wypowiedzieć jakieś sensowne zdanie w tym języku, z Thomasem bowiem rozmawialiśmy zawsze po francusku albo włosku. Kiedy byłam dzieckiem, uczenie się języków przychodziło mi z taką łatwością, a jednak tutaj, w Londynie, mój język odmawiał artykułowania owych dziwnych, kanciastych słów. Pierwszą noc przeplakałam, gdyż niemożność porozumiewania się sprowadziła mnie do pozycji niemowlęcia albo istoty niespełna rozumu.

Dwa dni później pojechałam konno do Southwark. Właściciel zajazdu znalazł mi przewodnika, młodzieńca, który kiedyś służył u francuskiego ambasadora. Roland jest nadal przy mnie, tyle że teraz pisze mi listy i pobiera nauki, by zostać notariuszem. Tamtego dnia pokazałam mu adres na liście, który Thomas dał mi kiedyś, dawno temu, w Marsylii, i pojechaliśmy razem do Southwark. Francesca zabrałam ze sobą - miał uwiarygodnić moje słowa. Nikt, kto go zobaczy, nie może żywić wątpliwości co do tego, kim jest jego ojciec.

Bez trudu znaleźliśmy ową gospodę. Największa w całym Southwark, z metalowym, kołyszącym się na wietrze szyldem przedstawiającym łabędzia.

Pamiętam, że było bardzo zimno; palce u rąk mi zdrętwiały, a Francesco zaczął płakać, gdyż zmarzły mu uszy, zawięłam go więc w swoją opończę. Wydawało się, że wiatr podnosi się znad szarej rzeki, porywając krople wodyi które po drodze zamieniały się w lód. Byłam znów bliska płaczu: samotna kobieta w tak zimnej krainie. Gdy Roland wziął ode mnie Francesca i zsiadłam z konia, pomyślałam, że tylko Thomas znów mnie ogrzeje.

W gospodzie Roberta Marlowe'a było jednak ciepło. Na parapetach stały świece, w kominku płonął ogień, na rożnach obracały się kawałki wołowego mięsa i solony bekon. Minęło południe i w obu izbach pełno było czeladników z pobliskich warsztatów i żeglarzy z portu. Kiedy weszłam, wszyscy odwrócili głowy i wlepili we mnie oczy. Mimo że czułam się obco i niepewnie, uniosłam głowę wysoko i ruszyłam przed siebie pewnym krokiem. Sprzedano mnie i kupiono, wyszłam za męża i urodziłam dziecko, wygrałam wszystko i wszystko straciłam - i to dwukrotnie. Dlaczegoż miałabym się lękać tłumu cudzoziemców, trajkoczących w swym własnym, niezrozumiałym języku?

Później zdałam sobie sprawę z tego, że do pewnego stopnia spodziewałam się, iż znajdę tutaj Thomasa, siedzącego przy starym, zniszczonym stole ze szklanką piwa w dłoni albo że będzie rozmawiał z bratem o statkach i handlu w jakimś pokoiku na zapleczu. Nigdzie jednak go nie widziałam. Roland znalazł Roberta Marlowe'a, zapytawszy jednego z gości o właściciela, a ja wręczyłam mu list.

Zaczął go czytać, a ja stałam obok z Franceskiem w ramionach. Chciało mi się śmiać, gdy widziałam, jak wyraz twarzy Roberta ulega zmianie: najpierw dostrzegłam na jego obliczu ciekawość, zmieszanie i nieufność, aż wreszcie, gdy zerknął na Francesca, widać było, że uwierzył we wszystko. Kochany Robert nie przypomina zupełnie Thomasa: o osiem lat starszy, jest niski, tęgi i łysawy. Ale to najlepszy człowiek pod słońcem.

Kiedy przeczytał list do końca, nie odezwał się, tylko wziął mnie pod ramię i zaprowadził do izby na zapleczu. Była to ogromna kuchnia, obwieszona mosiężnymi garami i patelniami, w której ciepło buchało od wielkiego pieca, a służący przygotowywali jedzenie dla gości. Znajdowała się tu Anna, żona Roberta, otoczona trójgiem dzieci. Dwoje najstarszych było w szkole i spodziewano się ich w domu w każdej chwili. W kołysce, którą bujała rytmicznie niania, leżał chłopczyk młodszy od Francesca o kilka miesięcy. Dopiero gdy Anna Marlowe przeczytała ów list, domyśliłam się, że coś się stało. Widziałam litość w ich wzroku i w spojrzeniach, jakie rzucali na Francesca. Zmusiwszy się, by cierpliwie znieść męczarnię, jaką było oczekiwanie, aż Roland przetłumaczy mi ich słowa, dowiedziałam się, że Thomas nigdy nie wrócił do kraju. Że „Zimorodek”, płynący z Pizy do Anglii, został zatopiony przez korsarzy niedaleko przylądka. Nie było pewne, czy Thomas przeżył, czy zginął. Jeśli jeszcze żył, stał się więźniem piratów. Tamtej nocy zatrzymałam się na nocleg w gospodzie Marlowe'ów. Następnego dnia pojechałam do domu Keane'ów w Blackfriars. John Keane, dzięki Bogu, zna francuski i włoski, mogłam więc usłyszeć od niego całą historię zatonięcia statku bez pomocy tłumacza. Słuchając opowieści Johna, zaczęłam wierzyć, iż Thomas żyje. Nie mogłam pogodzić się z myślą, że poddał się morzu. Zaczęłam więc znowu układać plany.

Nawet gdybym go nie kochała, nie mogłabym pozwolić, by został na zawsze w Algierze. Zniszczyłyby go to w taki sposób, w jaki nie zdołało nigdy zniszczyć mnie. Thomas ma głębokie poczucie swej narodowej tożsamości, ja zaś jestem cyganką, podróżniczką, wędrowną handlarką błyskotek.

Robert Marlowe dał mi klucz od domu swego brata w Greenwich. Nie jest duży, lecz dogodnie położony w pobliżu portu, bardzo mi się więc przydał. Poszłam tam po wizycie u Keane'ów, zrzuciłam pokrowce z mebli, napaliłam w kominkach, by usunąć wilgoć panującą w pokojach, a następnie zatrudniłam kilkoro uczciwych i pracowitych kancelistów i służbę. Potem zabrałam się do pracy.

Każdego człowieka - nawet tak cennego dla korsarzy jak Thomas - można wydobyć z niewoli, jeśli krewni zapłacą odpowiednio wysoki okup. Mam znaczne zapasy złota, które zgromadziłam w różnych sekretnych miejscach w Neapolu i Livorno, gdy tylko pojęłam, jakie zamiary żywi wobec mnie Galeazzo Merli. No i wciąż mam przyjaciół we Francji i Włoszech, takich jak William Williams, Constanza oraz kilku bankierów i kupców, którzy najpierw pragnęli mego ciała, a potem zaczęli mnie poważać ze względu na mój umysł. Czasami pożądanie i szacunek mogą przerodzić się w sympatię i lojalność. Wiedziałam, z kim należy rozmawiać, no i znałam język tureckiego więzienia oraz islamu. Zdawałam sobie sprawę z tego, że Thomas, w przeciwieństwie do Kara Alego, nigdy nie przywdzieje turbanu, i że niewola zniszczy go w końcu psychicznie, wszczęłam więc spiesznie działania, by go wykupić.

Aby zapewnić sobie bezpieczne życie w Anglii, przeszłam na protestantyzm.

Zmiana religii miała dla mnie niewielkie znaczenie - w końcu już dawno temu, jeszcze jako dziecko, przestałam wierzyć w miłosiernego Boga. Przez długi czas wierzyłam natomiast, że to człowiek stworzył Boga, żeby wypełniał jego wolę i bronił go przed nocnymi koszmarami. Teraz już dobrze sypiam i nie mam czego się lękać. Bóg narzuca pewien porządek, choć nie istnieje nic takiego jak ustalona kolej rzeczy i wszystko jest iluzją.

A jednak muszę przyznać, że owego dnia, kiedy otrzymałam wiadomość, iż Thomas żyje, dostrzegłam w naszym życiu jakąś odrobinę boskiego ładu. List ów, napisany przez jednego z braci zakonnych, zawierał wyjaśnienie, iż Thomas nie utonął, lecz

został uwięziony w Algierze. Potem otrzymałam jeszcze kilka. Wszyscy autorzy zapewniali, iż Thomas przetrzymywany jest w dobrych warunkach, a piraci dobrze go traktują i chcą, by pracował dla nich w swym fachu. Wysłałam pieniądze oraz kilka listów, choć nie wiem, czy trafiły one do adresatów. Pół roku temu dostałam wreszcie wiadomość, iż „messer Marlowe buduje statek...”. Pokazałam ów list Edwardowi Whitlockowi, który wyjaśnił mi, że korsarze pragną zastąpić swe galery galeonami większymi niż te z krajów północnych. Pojmani budowniczości mają zbudować statki, dzięki którym piraci będą mogli brać w niewolę innych chrześcijan.

Kiedy Thomas powróci, nie będzie już pływał po Morzu Śródziemnym, lecz zacznie przemierzać oceany. Popłynie tam, dokąd zawsze pragnął się udać; gdzie korsarze, mając nawet świetne statki, zbudowane przez chrześcijan, nie ośmielią się go ścigać. Nie chcę go trzymać przy sobie: wiem, już że łańcuchy, którymi mnie spętano w Algierze, były to brak bezpieczeństwa i miłości i że zerwałam je raz na zawsze. Potrzebowałam ponad roku, by przywyknąć do pogody, jaka panuje na tej wyspie. Przez rok cały patrzyłam, jak w ciągu godziny niebo zasnuwa się chmurami i rozpoczyna się burza. Teraz, gdy zbliża się już druga wiosna, którą spędzę w Anglii, zaczynam dostrzegać jej piękno. Na początku często zamykałam oczy i wyobrażałam sobie, że znów jestem w Marsylii lub Pizie. Malowałam szare niebo na niebiesko, osuszałam zalane deszczem ulice, uspokajałam wzburzone fale. Ale później zaczęłam się uczyć, jak żyć w prawdzie, i dostrzegać, iż zmiany mają także swe dobre strony.

Zaczęłam również pojmować, że przyszłość należy do ludów północnych. W naszych czasach, gdy wszystko się zmienia, krainy południowe się starzeją. Hiszpania straciła wielkiego władcę, Filipa II, a Włochy są wewnętrznie podzielone, i każde państewko czuje zawiść do swych sąsiadów, a wszystkie razem zazdroszczą sukcesów narodom Północy. W zeszłym roku Anglicy zostali wygnani z Toskanii, a teraz obu tym krajom zabroniono ze sobą handlować.

Moja biedna ojczyzna, Francja, jest już zmęczona wojną domową, a jej mieszkańcy mają dosyć głodu i rozruchów. Dowiedziałam się o śmierci Angela przez przypadek, podsłuchawszy

któregoś dnia urywek czyjejś rozmowy w porcie. Ów żeglarz znalazł się w Marsylii w czerwcu 1597 roku i był świadkiem zamieszek, jakie wybuchły wśród biedaków. Z początku nie mogłam uwierzyć, że Angelo nie żyje, że cały jego wdzięk i inteligencja zostały zniszczone w wyniku czyjegoś zbrodniczego działania, podobnego do metod, jakie on sam stosował w życiu. Ale po pewnym czasie zaczęłam dostrzegać w tym rękę sprawiedliwości: widać i mnie ogarnęło owo przekłete pragnienie, by nadać naszemu życiu jakiś sens i porządek.

Ale epoka Angela i jemu podobnych już minęła. Minęły też czasy wielkich imperiów - nawet tureckiego. Stare stulecie się kończy i wkraczamy w nowy wiek, tak różny od poprzedniego. Przyszłość - nowe stulecie - należy do Północy. Anglia również się zmienia, królowa się starzeje i chociaż nie wyznaczyła jeszcze swego następcy, musi w końcu przekazać królestwo synowi nieżyjącej królowej Szkocji. Nie ma innych kandydatów.

Anglicy są ludźmi energicznymi i rzeczowymi. Mieszkając na wyspie spowitej w szare mgły i zalanej deszczem, odcięci są od nieszczęść, jakich doświadcza reszta świata, a także od obciążeń historii. Kobiety są piękne i zdecydowane; mężczyźni z początku wydawali mi się niegrzeczni, ale z czasem ich polubiłam. Wielu z nich przypomina pod pewnymi względami Thomasa: z uporem nie godzą się z wyrokami losu i z determinacją próbują odebrać obojętnym bogom władzę nad własnym życiem.

Jeśli chodzi o mnie, to chociaż wiem, że to błędna filozofia, przyjmuję ją, bo mi odpowiada. Powoli staję się Angielką, wyznaję angielską religię i mam angielskich przyjaciół: Whitlocków i Keane'ów, Marlowe'ów i Staperów. Faith Whitlock i jej trójka dzieci są przyjaciółmi moimi i Francesca. Wołają na mego syna „Francis”, a on sam wkrótce zapomni już, jaki kolor ma niebo w Toskanii i jak pachną pomarańcze i cytryny w ogrodzie z fontanną.

Za pośrednictwem Johna Keane'a kupiłam akcje Kompanii Wschodnioindyjskiej. Dla Thomasa, gdy wróci, i dla mnie samej. Potrzeba tutaj ludzi takich jak Thomas i takich statków, jak jego. Są niczym krew pulsująca w żyłach Anglii i to dzięki nim ten kraj udowodni światu swą wartość. To młody, energiczny naród i bez trudu stałam się jego częścią. Angielscy piraci mogą sobie pływać po Morzu Śródziemnym i Atlantyku, lecz

tu nie ma niewolników. W odróżnieniu od Algieru i Livorno tutaj wszyscy są wolni. Mam teraz udziały w dwóch statkach - jesienią popłyną do Indii. Pieniądze niezainwestowane to pieniądze stracone, a ja potrzebuję ich dużo, by wykupić Thomasa i zapewnić memu synowi przyszłość. Ale to nie jedyny powód, dla którego powróciłam do handlu. Z saloniku w domu Thomasa widać doki i port londyński, zaczynam więc znów czuć tęsknotę i potrzebę, by robić to, do czego zostałam stworzona. Moje zajęcie przyniosło mi zarówno szczęście, jak i cierpienie, ale nic innego robić nie potrafię i nie umiem bez tego żyć. Znów będę mieć jedwab, przyprawy, kamienie szlachetne, srebro i złoto. Ale przed wszystkim jedwab. Kiedy Thomas wróci do domu, zbuduje dla mnie statek - nie zatrudniłabym nikogo innego. Widziałam, jak „Zimorodek” rozpościerał swe wielkie żagle, szykując się do dalekiej drogi; stałam na mostku, a wiatr rozwiewał mi włosy, pod stopami czułam fale uderzające w drewniany kadłub. Nigdy tego nie zapomnę.

Jak widać, niczego nie żałuję. Nawet gdybym mogła, niczego bym nie zmieniła ani we własnym życiu, ani w życiu Thomasa. Robiłam to, co musiałam. Rozumiem, że inni - może nawet i on - będą to postrzegać inaczej, ale wiem także, że koleje mego losu zostały określone owego dnia, gdy mój ojciec rzekł: „Masz wyjść za messera Corsiniego, Serafino”.

Widzę, że i życie Thomasa zatoczyło już niemal pełne koło od czasu, gdy opuścił ojczyznę przed sześciu laty. Mam nadzieję, że wkrótce owo koło przestanie się poruszać i Thomas wróci do domu. Mam także nadzieję, iż stanie się bardziej wyrozumiały, a może i nauczy się wybaczać. Że wybaczy mi zdradę, której potrzebowałam, by utrwalić własną niezależność, a która w końcu, jak się okazało, nie miała żadnego znaczenia. I zrozumieć, że wszystkimi wydarzeniami kierują ludzie, który zostali wciągnięci w tę grę oraz historia. I nic więcej.

Stoję przy oknie w saloniku na pierwszym piętrze domu w Greenwich. Przez szyby wpada do pokoju słońce, odbijając się tęczowymi barwami w wypolerowanej posadzce. Minęło właśnie południe, na ulicach i w porcie toczy się gwarne życie. Dochodzą do mnie nawoływania ulicznych sprzedawców i okrzyki żeglarzy z nadbrzeża, ale ich głosy tłumia wiatr i szyby w oknach.

Niebo ma ten jasnoniebieski odcień, który w końcu pokochałam, choć jest tak różny od lapis lazuli i szafiru nieba nad Morzem Śródziemnym. Tutaj nadaje ono srebrzysty odcień brukowanym ulicom, mokrym jeszcze po nocnym deszczu, podwórzom i statkom zakotwiczonym nad Tamizą. Na jego tle połyskują w oddali maszty galeonu, sunącego ostrożnie od strony otwartego morza wzdłuż rzeki, w opiekuńcze ramiona portu.

Żaglowiec prezentuje się wspaniale: potężny i dumny, o pięknej i zgrabnej sylwetce, zapewniającej statkowi szybkość i zwrotność. Żagle są opuszczone, gdyż galeon płynie ostrożnie, omijając liczne barki i łodzie zaśmiecające rzekę. Kapitan, doskonale znający fach, zręcznie wymija przeszkody. Statek jest żywym odbiciem innego żaglowca, na którego masztach powiewały niegdyś błękitne i złote proporce. Jest niczym ów feniks, odrodzony „Zimorodek”.

Przecieram ręką zaparowaną szybę, by lepiej widzieć. Mam łzy w oczach, z początku więc nie mogę odczytać nazwy, wypisanej na burcie galeonu.

Po chwili wyraźniej widzę litery.

„Serafina”.